BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 189.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

1889.

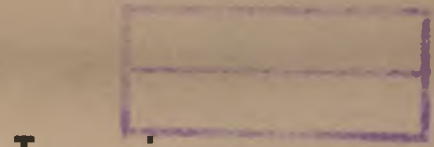

Tom pierwszy.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—

1889.

4620.1889.1
II.
30.000,—

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Декабря 1888 г.

X-14293
4620/1889 II 1.

Druk W. Ratyńskiego (dawniéj J. Bergera) Elektoralna № 14.

BILANS ROLNICZY

UBIEGŁEGO ROKU 1888.

Rok ubiegły nie przyniósł rozwiązania téj ważnéj kwestyi, która pod mianem przesilenia rolniczego od 1878 roku ciąży nad Europą. Czy w położeniu naszego rolnictwa nie pojawiły się jeszcze momenta, świadczące o tém, że walka, którą staczamy z nadprodukcyą wszechświatową, przybiera łagodniejsze formy? czy w ekonomicznych i kulturalnych warunkach otoczenia nie widzimy zapowiedzi korzystniejszego ułożenia się stosunków. Oto, co w odpowiedzi dać nam powinien krótki rzut oka na dzieje roku minionego.

W spuściznie po 1887 roku, następca jego odebrał ogólne cechy charakteryzujące położenie dotychczasowe przedsiębierstwa i usposobienie jego kierowników—jedno i drugie w niezbyt pocieszających barwach; — lecz jednocześnie drobne objawy, świadczące o stopniowém wzmaganiu się sił rolnictwa i żwawsza działalność rolników, w połączeniu z zapowiedzią reform, które państwo w celu podniesienia rolnictwa przedsiębierze, każą się spodziewać, że jaśniejsza przyszłość otwiera się dla naszego ekonomicznego bytu.

Ujmijmy w cyfry wybitniejsze sprawy minionego roku w chronologicznym ich porządku.

Najprzykrzejszym ciosem r. z., który rolnictwu odeprzeć należało, było podniesienie ceł zbożowych w Niemczech do niesłychanéj wysokości, w czém wielu widziało ostateczny cios dla wywozu z Polski. Na szczęście pesymistyczne przewidywania spełzły na niczém, a pomimo zmiany kierunków eksportowych państwa rosyjskiego, które, omijając Niemcy, wysyłało zboże wprost do krajów importujących, państwo niemieckie, chcące się usunąć z pod nacisku, który produkt nasz na jego rynkach wywierał, musiało mimo ceł odwoływać się do pomocy tutejszéj produkcyi. Rachuby na dowozy

amerykańskie zawiodły, gdyż chociaż produkcya Stanów Zjednoczonych silnym jest czynnikiem w normowaniu się cen zbożowych, to skutkiem zmniejszającéj się wytwórczości, zwłaszcza w latach średnich urodzajów, Ameryka nie jest w stanie zadość uczynić potrzebom konsumpcyi europejskiéj. To też Niemcy nie mogły się obejść bez naszéj pomocy. Gdy Stany Zjednoczone w 1881 roku wprost około 31 procent ogólnych dowozów pszenicy do Niemiec dostarczyły, (do czego doliczyć należy 17 procent z Belgii, Holandyi, Hamburga i Bremy, jako dowóz pośredni), to rzeczywisty dowóz z Ameryki północnéj w 1887 wynosił tylko 6 procent, a 20 proc. nadeszło dowozem pośrednim. Ubytek ztąd powstały pokryło państwo rosyjskie, a cyfry objaśniają nas, że, gdy w 1881 z Rosyi do Niemiec przywieziono 24 proc. ogólnych dowozów zboża, to w 1887 już cyfra importu pszenicy rosyjskiéj sięga 52 procentów. Jednym z ważniejszych powodów tego przyrostu jest taniość transportów, gdyż np. pszenica rosyjska, dostawiana aż do Manheimu, taniéj wypada aniżeli amerykańska. Rok miniony nietylko zmiany w tym kierunku nie wywołał, lecz do chwili obecnéj— chociaż większość zapasów tegorocznéj kampanij jeszcze za granicę wysłaną nie została—ruch handlowy zbożem do Niemiec nadzwyczaj jest ożywiony. Cła zatém, jakeśmy to w piśmie naszém przewidywali, nie zamknęły naszéj produkcyi ujścia do Niemiec, lecz głównym ciężarem spadły na tamtejszych konsumentów. Niezadowolenie z tego tytułu ogarnia coraz szersze koła publiczne w Niemczech, a wyrazem jego jest wniosek zniesienia ceł, który wolnomyślne i socyalistyczne stronnictwa zapowiadają w parlamencie. Naturalnie wniosek tego rodzaju, jako przeciwny interesom większości parlamentarnéj, złożonéj z właścicieli ziemskich i ich przyjaciół, w sejmie nie przejdzie, niemniéj mamy w tém dowód, że środki prohibicyjne przeciwko naszéj produkcyi wymierzone na pożytek Niemcom nie wychodzą.

W ogóle miniona kampania zbożowa wypadła pomyślniéj dla naszego kraju. Urodzaj wyżéj średniego, jakością zboża się odznacza, co w połączeniu z niedoborem, który odczuwają kraje importujące, skutkiem ogólnego nieurodzaju, przedstawia widoki korzystne dla nas. Nie można jeszcze w téj chwili zamykać bilansu handlowego rolnictwa, gdyż ostateczny jego rezultat teraz dopiero wiadomym będzie, témbardziéj, że producenci w obec widoków cen wyższych na zboże, wstrzymywali się ze sprzedażą. W tém miejscu zwrócić powinniśmy uwagę na układające się obecnie stosunki wywozu państwa rosyjskiego, który dla naszych producentów powinien być wskazówką, kiedy nadchodzi najlepsza pora sprzedaży ich produktów. Skutkiem udoskonalonych warunków komunikacyjnych i odpowiedniego urządzenia gospodarstw południowo-zachodniéj Rosyi, najżywszy handel zboża ztamtąd idzie w jesieni. Ich wielka własność posiada lokomobile,

za pomocą których omłaca zaraz po sprzęcie całoroczną produkcyą, a łatwość odstawy do Odesy skłania rolników do sprzedaży jesiennéj, skutkiem czego o téj porze koncentruje się tamże główny ruch zbożowy. Wyczerpawszy tamtejsze zapasy kupcy zbożowi zwracają się do producentów Królestwa i z tego względu największego ożywienia cen u nas z wiosną dopiero spodziewać się można, co zaś, z uwagi na dość korzystne konjunktury zbożowe, ze stratą dla nas nie wypadnie.

Przy układających się w ten sposób dosyć pomyślnie warunkach, zaszła okoliczność, wpływająca w poważnym stopniu na stosunki handlowe Królestwa. Mówimy tu o nowych taryfach zbożowych, ustanowionych na ostatnim zjeździe przedstawicieli dróg żelaznych państwa rossyjskiego. Zjazd, przyjąwszy za punkt wyjścia oznaczenie normy opłat do portów baltyckich i południowych, zależnie od kosztów dostawy zboża do głównego miejsca zbytu, t. j. do portów angielskich, oraz określenie stosunku, który zachowany być winien między frachtami do portów i stacyj wywozowych zboża, rozważał również kwestyą, które też to mianowicie okolice korzystać winny z danego punktu wywozu oraz z dostawy do wewnętrznych rynków spożywczych, moskiewskiego i warszawskiego. Ogrom sprawy, którą sobie wziął za zadanie zjazd, w połączeniu z okolicznością, że do udziału w naradach nie powołano najbardziéj zainteresowanych a pod pewnym względem kompetentnych rolników, wywołały to następstwo, że nowo ustanowione taryfy nietylko żadnych ulg nie przynoszą, ale zwiększają dotychczasowe frachty. Zwłaszcza Królestwo najbadziéj jest upośledzone; ustanowienie dla Libawy frachtów niższych aniżeli opłaty do Królewca, a nadewszystko postawienie w zależności taryf przewozowych do pogranicznych punktów na południu Królestwa, od opłat do Radziwiłłowa i Wołoczysk, z zachowaniem na korzyść tych dwu ostatnich rs. 51 od wagonu, jest postanowieniem upośledzającém produkcyą tutejszą, ograniczającém do minimum tranzyt zboża przez Królestwo a narażającém nas na konkurencyą zboża rosyjskiego na wewnętrznych naszych rynkach. Tym razem zasada s i n e m e d e m e w najobszerniejszém znaczeniu była zastosowaną, a chociaż ostatnia uchwała taryfowa ma obowiązywać sposobem próby tylko rok jeden, kto nam zaręczy, że po roku, nowy zjazd tak samo o rolnictwie bez rolników decydujący nie wystrzeli z nową podwyżką, z nowém upośledzeniem pewnych okolic? To też ze wszystkich przejawów życia publicznego, uchwała taryfowa dróg żelaznych należy do najujemniejszych faktów ekonomicznych, które rok ubiegły rolnictwu naszemu przyniósł.

Przechodząc do porządku dziennego nad postanowieniem, które być może po roku da się usunąć, jeśli, jak to proponują, Towarzystwo popierania przemysłu i handlu sprawą tą się zajmie, (w co radzibyśmy wierzyć, przypuszczając, że nowe słońce nowym

promieniem oświeci dość zaciemniony widnokrąg instytucyi), sądzimy, że korzystne widoki dla produkcyi zbożowéj, które rok miniony nam przyniósł, nie powinny upoważniać rolnictwa do przeceniania tych widoków. Przy znanéj bowiem jednostronności naszych systematów gospodarczych, widząc zmniejszającą się wytwórczość Ameryki, która nam tyle strachu napędziła i zmusiła przynajmniéj do uznania w teoryi konieczności rozszerzenia gałęzi produkcyi, gotowiśmy powrócić do dawnego kultu pszenicznego... który stępiwszy w nas zmysł przewidywania, doprowadził rolnictwo do obecnego przesilenia. Przeciwnie, wciąż na uwadze mieć potrzeba, że wielkie przestrzenie nieuprawnych jeszcze gruntów, ułatwienie komunikacyi, skracające drogę z Ameryki do Europy o 10,000 kilometrów, wreszcie coraz umiejętniejsze stosowanie środków, podnoszących wydajność pól uprawnych, au qui vive! wołają na rolnictwo, któreby w jednostronnym kierunku zbożowym chciało widzieć zabezpieczenie swego bytu.

Zewnętrzne więc stosunki rolnictwa układają się pomyślniéj o tyle, o ile zrozumieć i ocenić potrafimy, że zasadą produkcyi rolniczéj nie może być jéj jednostronne wyzyskiwanie; ale raczéj eksploatacya rozmaitych artykułów pokarmowych, których ilość i jakość w obec coraz wzmagających się potrzeb konsumpcyi staje się wciąż różnostronniejszą,— stanowi cel dobrze prowadzonego i do warunków podaży i popytu naginającego się przedsiębiorstwa.

W wewnętrznem bytowaniu rolnictwa główną uwagę zwraca na siebie ruch własności ziemskiéj. Sprzedaże z wolnéj ręki szły opornie, ale tam, gdzie do tranzakcyi dochodziło, cena sprzedażna ziemi nie była tak nizką, jakby się tego, w obec powszechnych narzekań na rentę gruntową, spodziewać było można. Parę majątków w kaliskiém i płockiém osiągnęło cenę od 2,500 do 3,000 rubli za włókę, wreszcie w warszawskiéj gubernii sprzedano duży majątek po 3,000 rubli włóka. Były to naturalnie majątki zagospodarowane, w dobrych warunkach ekonomicznych położone, a w obec Ukazu o cudzoziemcach, ograniczającego najpopłatniejszą klientelę na majątki ziemskie, ceny otrzymywane świadczą, że mimo téj okoliczności szacunek ziemi utrzymuje się na pożądanym poziomie. Przedmiotem sprzedaży były również majątki ziemskie, wystawiane na sprzedaż publiczną przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie za nieopłacenie rat w terminie a rezultat tych sprzedaży jest przynajmniéj pod tym względem pocieszającym objawem, że ziemia utrzymuje się jeszcze w ręku „rdzennych żywiołów.“ Pomijając nadmiernie wysoką ilość dóbr przez Towarzystwo na sprzedaż wystawionych, która faktycznie na licytacyi redukowała się najwyżéj do 10 % ogółu dóbr stowarzyszonych, widzimy, że z majątków sprzedanych prawie wszystkie przeszły do rąk krajowych nabywców. Chociaż bowiem cudzoziemcom wzbronione jest nabywanie nieruchomości, jest inny niepożądany żywioł,

mianowicie żydzi, których na wsi rzadko jako obywateli w obszernem tego słowa znaczeniu lub jako rolników w rzędzie inteligencyi wiejskiéj widzimy. Otóż żydzi, podzielając zapewne ogólne a fałszywe przekonanie o niepopłatności ziemi, nie kwapili się stawać do licytacyi i z wyjątkiem dwóch czy trzech wypadków w dyrekcyi piotrkowskiéj, wszystkie inne majątki nabyli posiadacze polscy. Faktu tego nie należy lekceważyć—tkwi w nim zapowiedź, że wieś nie straci swego dotychczasowego charakteru i że miejsce ustępujących, zapełniają ludzie tych samych zasad, tak samo ziemię rodzinną miłujący. Wreszcie, trzecia forma sprzedaży — parcelacya, najmniéj występowała w tranzakcyach o majątki ziemskie. Ponieważ opłakana nasza statystyka nie może zaspokoić pod żadnym względem ciekawości badających stosunki krajowe, więc i co do parcelacyi na cyfrach oprzeć się nie możemy. Jedna tylko gubernia kaliska zebrała dane o parcelacyi z roku ubiegłego, które pod pewnym względem służyć mogą za miarodajną ocenę zmniejszającego się wybitnie ruchu parcelacyjnego. Gdy od 1864 w ciągu lat 24-ech włościanie nabyli systemem parcelacyjnym 61,614 mr., czyli przeciętnie rocznie po 2,567 morgów, w roku ostatnim drogą parcelacyi przeszło w ręce włościan tylko 409 mr., pomimo wyjątkowo korzystnych warunków w nabywaniu ziemi. Czegóż fakt ten dowodzi? Opinia kładzie go na karb zubożenia ekonomicznego włościan. Godząc się pod pewnym względem na ten pogląd, winniśmy jednak zauważyć, że przesilenie ekonomiczne w bardzo tylko małym stopniu dotknęło włościan i że zmniejszenie się ich siły nabywczéj jest wypływem nadzwyczaj niedołężnéj gospodarki, która niepozwala przysparzać oszczędności, nagromadzonych umiejętną pracą. Gorączka, którą w nabywaniu ziemi widzieliśmy po 1864 r. siłą rzeczy zmalała, gdy się wyczerpały zapasy tuzów włościaństwa, to jest zamożniejszych kmieci, gdy majątki, których właściciele mogli rozprzedaż uskuteczniać na umiarkowane raty, poszły już na parcelacyą i gdy wreszcie lichwiarze, którzy pożyczek na kupno ziemi włościanom chętnie nie udzielali, sparzywszy się na swych dłużnikach, cofnęli im swój kredyt. Wyczerpanie kapitałów naturalnych i sztucznych prędko nastąpiło i dziś stoimy w obec faktu niezaprzeczonego, że włościanin, mimo korzystnych warunków otoczenia, nie jest w stanie własną pracą przysparzać mienia i bytowanie jego z dnia na dzień tylko przy większéj oświacie i specyalném uzdolnieniu może się zmienić na działalność, wskazującą, że chłop nie tylko na utrzymanie życia zarobić potrafi, lecz—że umiejąc spożytkować siły przyrodzone ziemi własną pracą, osiąga zyski, z których z czasem może powiększyć swoję własność. Niemałą również przeszkodą w pomnażaniu mienia włościan jest spieszny przyrost ludności wiejskiéj, pochłaniający rodzinom oszczędności, któreby one przy mniejszym liczebnym składzie gromadzić mogły.

W tém położeniu, pomoc, którą mający się otworzyć Bank włościański obiecywać się zdawał, byłaby nie małego znaczenia, gdyby nie okoliczności, znane już z „Biblioteki Warszawskiéj" roku zeszłego, jeszcze z innéj strony téj sprawy nie utrudniały. Filie Banku, operujące w Cesarstwie, przekonały się, że w udzielaniu pożyczek równie całym gromadom jak i pojedynczym włościanom należy zachowywać najwyższą ostrożność, gdyż solidarność ich bardzo jest ujemna, wypłatność wątpliwa. Klienci Banku w Cesarstwie zalegają masami w opłacie rat pożyczkowych, a zarządzone licytacye bardzo niefortunnym kończą się rezultatem, gdyż nowych nabywców znaleźć trudno. Przyczynia się do tego cena szacunkowa, na którą przy kupnie zgadzają się włościanie, ceniąc lekko pożyczki z Banku otrzymywane, a gdy po krótkim czasie okaże się, że ziemia nabyta nie wystarcza na opłatę nawet rat pożyczkowych, zalegają w ich opłacie, wiedząc, że nikt parceli po wygórowanéj cenie nie weźmie, bank w posiadanie jéj wejść nie pragnie, a zalegający klient jeszcze przez czas długi może korzystać z własności. Już dziś filie Banku w Cesarstwie ścieśniły znacznie zakres udzielanych pożyczek, Bank zaś w Królestwie funkcyonować mający przez to samo, że wyższą pożyczkę na morgę ma dawać, jeszcze naturalnie będzie ostrożniejszy.

Trudno zatém spodziewać się, by parcelacya mogła zaspokoić w żądanych rozmiarach interesy większéj własności, tak samo jak trudno nie ubolewać nad poglądami, które ratunek własności większéj widzą we wprowadzeniu „gospodarstw połowicznych." Czysto sprawozdawcze zadanie niniejszéj pracy, nie pozwala nam walczyć z błędnymi poglądami, zaznaczamy więc tylko fakt niepocieszający, że system połowiczny, szkodliwy istocie stosunków rolnych i postępowi rolnictwa zaczyna zyskiwać adeptów wśród wyznawców słodkiego f a r n i e n t e.

Zwracając się do postanowień i projektów prawodawczych, powołujemy szereg artykułów, które w piśmie naszém były omawiane. Staje w tym rzędzie: Bank włościański, prawo leśne, komisya rolnicza pod przewodnictwem senatora Plewego, kwestya gorzelnicza, taryfy zbożowe, budowa elewatorów, dostawy do magazynów wojskowych prowiantów wprost przez producentów, ułatwienia w celu podniesienia handlu eksportowego w produktach zwierzęcych, wreszcie instytucya inspektorów rolniczych, którzy o tyle stać się mogą pionierami postępu i organami skutecznie pośredniczącymi między rolnikami a władzą opiekuńczą, o ile rekrutować się będą z ludzi przedewszystkiém znających miejscowe stosunki i odczuwających lokalne potrzeby. W każdym razie rok miniony jest świadkiem nadzwyczaj pocieszającego faktu, mianowicie zwrócenia uwagi sfer decydujących na interesy rolnictwa, oraz zmiany polityki ekonomicznéj państwowéj, która do téj pory zbyt jednostronie opiekowała się pewnymi prze-

mysłami, pomijając najważniejszy przemysł rolniczy. Przy téj pomocy dojść można z czasem do pomyślnych rezultatów, do wzmożenia bytu ekonomicznego państwa, którego podstawą jest rolnictwo.

Najbardziéj zastanawiającém i najciekawszém przy zamykaniu ostatecznego bilansu za rok 1888 i wypisywaniu salda zysków czy strat, jest zsumowanie i ocena czynów wytworzonych wewnętrzną siłą społeczeństwa rolniczego. Ich „plus“, to najpiękniejsza zapowiedź przyszłości, ich „minus,“ to stwierdzenie zarzutów, które przedstawicielom rolnictwa szlą prorocy ultra-demokratyczni. Nie kierując się ani uprzedzeniem ani pobłażliwością, pragniemy trzeźwo ocenić działalność kierowników rolnictwa, téj zwłaszcza ich części, która wykształceniem, wyższym zasobem przymiotów moralnych i posiadaniem większéj własności powołaną jest do wywierania przeważnego wpływu, do nadania właściwego typu przedsiębiorstwu rolniczemu. Otóż stan ziemiański robi wrażenie zbiorowiska ludzi indywidualnie obdarzonych przymiotami serca i charakteru, pragnących szczerze podniesienia przedsiębiorstwa, ale zbiorowo tworzących obozowisko rozbite. Brak zrozumienia czém jest zjednoczenie sił, niewyrobiona idea solidarności, na drobne i bezsilne atomy dzieli społeczność, która wspólną pracą mogłaby olbrzymich dzieł dokonać. Nie odczuwamy jeszcze potęgi, którą dają „stowarzyszenia,“ nie rozumiemy, że w chwili, gdy działalność ludzka opiera się na koncentracyi pracy, gdy kapitalizm tłumi wszelkie odosobnione usiłowania, rolnictwo chcąc być wielkim przemysłem, musi wielkim kapitałem rozporządzać, wielkie siły w grę wprowadzić. Gdy zaś warunek taki niemożliwym jest do wykonania dla pojedyńczych jednostek w odosobnieniu działających, trzeba siłę wytwarzać drogą jedynie racyonalną i powodzenie zapewniającą, to jest drogą stowarzyszeń. Tymczasem chwycenie się tego środka zbawczego przechodzi nie tyle nasze siły, ile nasze stosunki danéj chwili; pojedynczo każden z rolników czołem bije przed ideą stowarzyszeń, ale nikt pierwszy z inicyatywą wystąpić nie śmie, wreszcie nikt inicyatorowi—jeśli się taki znajdzie—ręki nie poda. Rok ubiegły przyniósł nam pod tym względem niejeden dowód bardzo wymowny. Wszak świeżo mamy w pamięci dzieje spółki chmielarskiéj, która z chwilą jéj postanowienia taką sympatyą ogólną się cieszyła, a gdy przyszło do zapisów na drobną stosunkowo sumę 100,000 rubli, sympatye schowały się za parawan i poronioną spółkę z szatańskim chyba uśmiechem, łaskawie przyjął pod swą opiekę niemiec, który pod Warszawą sortownię i suszarnię chmielu założył. Tak samo miało się ze spółką owocową, nie lepiéj z nadzwyczaj ważném stowarzyszeniem dla eksportu mięsa za granicę. W ogóle wszędzie, gdzie tylko potrzeba było czynu i energii cofaliśmy się trwożliwie—przed czém—niewiadomo, dla jakich funduszów—któż prze-

widzieć może. Dopóki rolnicy nie zrzucą z siebie trwożliwości czy wstrętu, który do spółek czują, dopóty produkcya nasza będzie chorągiewką na dachu, którą lada wiatr przechyla. Że jednak agitacya jest żwawą, że np. w takim dziale jak ubezpieczenia ogniowe kółka ziemiańskie prędko się potworzyły, że od gradobicia dwa stowarzyszenia już mamy, wszystko zdaje się wskazywać blizkie nadejście chwili, w któréj zbiorowa praca ziemiaństwa stanie się główną podstawą rolnictwa. A wtedy amerykańsko-indyjsko-argentyńskie konkurencye obali siła „wielkiéj gromady."

Nie imponowaliśmy w roku ubiegłym publicznymi popisami rolniczemi, aleśmy też światła nie trzymali pod korcem. Dwie wystawy: inwentarzy i nasion, jeśli nie ilością, to jakością celowały, co właśnie dodatnim jest rezultatem, a nadanie wystawom charakteru utylitarnego, ściśle targowego świadczy o praktyczności poglądów naszych producentów.

Takim jest nasz dorobek z ubiegłego roku. Materyalnie korzystnie się on wyróżnił od swych poprzedników, moralnie rzuca nieco jaśniejsze światło na przyszłość w znacznem podniesieniu ducha, w ciągle wyrabiających się przymiotach oszczędności ziemiaństwa, w pojęciach, uważających rolnictwo nie już za rzemiosło, lecz za naukę, a nadewszystko w powolném dążeniu do oparcia pracy na zjednoczeniu sił, co będzie ukoronowaniem zadań społecznych.

* * *

Przebiegłszy w krótkim szkicu dzieje ubiegłego roku, winniśmy jeszcze na chwilę zwrócić uwagę czytelnika na przyszłość. Jaki punkt wyjścia ma obrać rolnictwo pod względem czysto zawodowym? Czy—jak to wielu utrzymuje—za pośrednictwem podniesienia wydajności naszych pól i naszéj hodowli?

Oto jest problemat do rozstrzygnięcia, który rok 1888 następcom swym przekazuje. Nie wystarcza już dzisiaj życie z dnia na dzień. Trzeba bezwłocznie zająć stanowisko, któreby nas strzegło od błędnéj drogi, — trzeba zobaczyć, czy nadprodukcya rolnicza nie zawikła się w ten sposób, że ani w przyroście ludności, ani w zwiększonym eksporcie ujścia dla siebie nie znajdzie? Można nie zbyt chętnie zajmować się badaniami niepokojącemi opinią publiczną w tych czasach bezwładności; ale w interesie blizkiéj przyszłości koniecznem jest, by dano głos przezorności, chcącéj zapewnić nam jutro. Mieliśmy lata małych zysków lub nawet strat. Proponują zapobiegać temu przez zwiększoną produkcyą. Jaką jest wartość téj rady? czy nie pociągnie ona za sobą innych chorób? Czy nie jesteśmy zagrożeni w krótkim czasie „kryzysami obfitości," któreby pozbawiły naszę produkcyą, będącą rezultatem rolnictwa o zbiorach maksy-

malnych, nabywców i konsumentów? Czy mielibyśmy doczekać się chwili, w któréj rolnictwo żałowałoby, że za wiele produkuje, że za pospiesznie poszło za radami, zalecającymi mu, by wytwarzać 10, 12, 15 korcy pszenicy na mordze, zamiast 5, 6, 8, otrzymywanych przeciętnie w latach ostatnich? Wszak takie podniesienie wytwórczości nie jest niemożliwe, bo anglicy i inne narody europejskie doszły a nawet prześcignęły plon 15-stu korcy z morgi?

Lecz produkować—to dopiero połowa zadań rolnictwa. Należy skonsumować lub sprzedać z zyskiem produkta ziemi. Czy jesteśmy w stanie zwiększyć miejscową ludność i potrzeby konsumentów zagranicznych do wysokości naszych ofert? Związek, który istnieje między konsumpcyą i produkcyą, spuszczają z uwagi zwolennicy systematów intensywnych. Zwiększać plony rolnicze, to bardzo dobrze, ale należy przytém zobaczyć, czy przybytek konsumpcyi odpowiada przybytkowi produkcyi.

Choć rozumiemy wszyscy korzyści lepszego odżywiania się ludności, nie można zaprzeczyć, że w obec istniejących środków podnoszenia produkcyi, trudno przypuszczać, by zwiększanie się rodu ludzkiego szło w równéj mierze ze zwiększaniem się środków pokarmowych. Trudno już dziś pisać się na słowa Buffona, że obok bochenka chleba wyrasta człowiek. Wielką prawdą dnia jest to, że należy szukać środków podniesienia p r a c y n a r o d o w é j, by zapewnić wzrost konsumpcyi i produkcyi. Siła rzeczy tak chce: pracy przedewszystkiem a reszta przyjdzie jako konsekwencya dobrego porządku rzeczy, pod warunkiem, by istniała proporcya między ilością morgów pszenicy i cyfrą ludności oraz eksportu.

Jak i w jakim kierunku rozwijać pracę, by uniknąć nadprodukcyi? Czy drogą przemysłową? czy drogą rolniczą?

Długo, pod wpływem angielskiéj szkoły ekonomicznéj, sądzono, że należy rozpoczynać od rozwoju pracy przemysłowéj. Wszystko zdawało się przemawiać na korzyść tego systemu, który stał się dźwignią wielkości przemysłowéj, handlowéj i morskiéj Anglii w czasach, gdy Anglia pierwsza system ów wprowadziwszy, mogła się spodziewać, że utrzyma szczęśliwą pozycyą wielkiego fabrykanta całego świata. Anglia była sama, robiła cuda i ci, co ją naśladowali w pierwszych chwilach dość się czuli zadowolonymi. W ten sposób dziś już i inne kraje produkują tyle, że skutkiem wyczerpywania się źródeł zbytu, przemysł musiał ograniczyć swój szybki rozwój. Nam tą drogą iść nie wypada.

Czy nadprodukcya rolnicza jest dla nas tyle niebezpieczną co przemysłowa?

Stoimy w obec rdzenia kwestyi i wyznaję, że gdybyśmy mieli być tylko p r o d u c e n t a m i z b o ż a b e z m o ż n o ś c i w y w o ż e n i a g o, nasza przyszłość nie byłaby zbyt pewną. Na 1,581,810 morgów gruntów pszennych, które kraj nasz posiada,

gdyby część trzecia poddana rocznéj uprawie podniosła swą produkcyą o 2 korce na morgu, przybyłoby nam rocznie 1,060,000 korcy nadprodukcyi, których zbyt byłby dość utrudniony. Jeśli więc chcemy otrzymywać 15-cie korcy pszenicy z morga, należy nam obsiewać mniéj morgów i w konsekwencyi szukać, w jaki sposób dałyby się najlepiéj spożytkować morgi odjęte uprawie pszenicy.

Ten wzgląd zawsze na uwadze miéć potrzeba. Jeśli jest dowiedzionem, że każdy z 15 korcy, zebranych na jednym morgu, kosztuje mniéj aniżeli każdy z 15 korcy, zebranych z dwóch morgów, to należy w celu zmniejszenia kosztów produkcyi, ograniczyć przestrzenie poddane uprawie pszenicy. Jest to reforma najpożądańsza; bez jéj zachowania doczekaćbyśmy się mogli rolnictwa bez kupców produktów jego.

Wielka uprawa, ograniczająca uprawę pszenicy na znacznych przestrzeniach, czy może odbić ten ubytek na innych produktach np. na mięsie, wełnie, nabiale, czy znajdzie kompensatę w burakach, okowicie, roślinach przemysłowych?

Sądzę, że co się tyczy produkcyi zwierzęcéj liczyć możemy na zyskowniejsze źródła zbytu aniżeli dla pszenicy i wierzę, że im większy udział damy w naszéj ekonomii rolnéj hodowli, tem więcéj produkować będziemy zboża z korzyścią.

Niech znaczna przestrzeń Polski zamieni się w sad, w ogrody, w pola, produkujące rośliny handlowe — i owszem; niech wiele naszych gruntów ubogich zostanie zadrzewionych—bardzo dobrze. Lecz zdaje mi się, że reszta powinna być rozdzielona między zboża o wielkiéj wydajności i paszę, mogącą nam zapewnić, za pośrednictwem zwierząt dobrze żywionych, więcéj siły rodzajnéj, więcéj koni dla zaprzęgów, więcéj mięsa i mleka dla konsumpcyi, a nadewsystko jeszcze raz powtarzam — jak najwięcéj nawozów.

Niewiadomo jakimby był los naszego rolnictwa, gdyby podnosząc wydajność swych pól, nie zmniejszało jednocześnie znacznéj ilości morgów, poddanych uprawie pszenicy o małych plonach. Jeśli zatem uznajemy konieczność podniesienia plonów pszenicy, należy koniecznie zgodzić się na zmniejszenie przestrzeni ziarnem tém obsiewanych. Jesteśmy w chwili zerwania równowagi między produkcyą a konsumpcyą; jest to organizacya rolnictwa narażonego na stratę przez pszenicę. Zrozumiejmy się dobrze. Ponieważ w obecnych warunkach produkcya 6 korcy na mordze przynosi stratę, nie mamy wyboru, jesteśmy zmuszeni otrzymywać więcéj i ograniczyć obsiewy pszenicy w ten sposób, żeby ustosonkowywać zawsze zwiększanie plonów do potrzeb konsumpcyi.

Konkurencya zamorska i ludność nasza, któréj brak zarobku i która skutkiem tego nie spotrzebowuje tyle produktów rolniczych i przemysłowych jakby to miało miejsce przy ogólnéj pomyśl-

ności—oto co nas powstrzymuje. Jesteśmy przygotowani do wielkiéj produkcyi; nie jesteśmy przysposobieni do wielkiéj konsumpcyi i wielkiego eksportu. Istnieje nadprodukcya, lecz to jest charakterystyczném w naszém położeniu ekonomiczném, że nadprodukcya rolnicza łatwiejszą jest do zniesienia aniżeli nadprodukcya przemysłowa. Wyższość rolnictwa, zwłaszcza rolnictwa małéj uprawy, na tém się zasadza, że zużywa część swéj produkcyi i tworzy konsumentów produktów przemysłowych. Oto w jaki sposób kraj nasz, posiadając liczną ludność rolniczą, łatwiéj może przetrwać przesilenie aniżeli inne kraje. Co się tyczy specyalnie naszych systematów ekonomicznych, pamiętajmy, że Polska produkuje za wiele pszenicy na słabych gruntach.

W konkluzyi dojść musimy do przekonania, że przesilenia ekonomiczne stały się złem europejskiém. By je usunąć, nie dość jest zwiększyć produkcyą, należy pomnożyć ludność i jéj dobrobyt. Jest to w całém tego słowa znaczeniu, problemat międzynarodowy, w którego rozwiązaniu rolnictwo odegra pierwszorzędną rolę.

O DOMACH PODRZUTKÓW.

przez

Dr. Antoniego Okolskiego.

I. Wstęp.—II. Pogląd historyczny na domy podrzutków.—III. Pogląd na domy podrzutków ze stanowiska miłosierdzia chrześciańskiego. — IV. Domy podrzutków ze stanowiska moralności. — V. Domy podrzutków ze stanowiska ekonomicznego. — VI. Domy podrzutków ze stanowiska interesu samych podrzutków. — VII. Domy podrzutków ze stanowiska interesów społeczeństwa.—VIII. Wywody ogólne.

I.

Nieraz już dawniéj zdarzało się nam spotykać w prasie tutejszéj nawoływania do założenia, bądź w Warszawie, bądź na prowincyi drugiego domu podrzutków. Nawoływania te powtórzyły się w ostatnich czasach, z powodu podniesionéj myśli wystawienia pomnika ks. Baudouinowi, zacnemu założycielowi szpitala Dzieciątka Jezus, w którym podrzutki znalazły u nas pierwsze, dla nich wyłącznie przeznaczone schronienie. Pojawiające się nader często w dziennikach tutejszych doniesienia o podrzuceniach dzieci w Warszawie, zdawałyby się potwierdzać potrzebę otworzenia drugiego takiego zakładu, — jeżeli pierwszy okazał się niewystarczającym. Jeżeli bowiem podrzutki są, trzeba z nimi coś zrobić; trudno ich zostawić na pastwę psom, jak się według podania o Baudouinie zdarzało. Jeżeliby jednak kwestya ta była w tym sensie rozstrzygniętą, przedstawiłaby się zaraz inna, nie mniéj ważna, mianowicie trudność finansowa podobnego przedsięwzięcia. Wiadomo bowiem, że utrzymanie takiego zakładu wymaga corocznie znacznego nakładu, nie licząc kosztów pierwotnego wystawienia i urządzenia.

Z drugiéj strony dziwny i uderzający fakt, że podrzucenia, tak częste w Warszawie, należą do rzadkości w innych miastach Królestwa, że są prawie zupełnie nieznane po wsiach, zdawałby się upo-

ważniać do wniosku, że podrzucanie dzieci w Warszawie jest objawem specyficznie warszawskim, który musi mieć swoje szczególne, tu tylko działające przyczyny, objawem zupełnie obcym innym miejscowościom kraju. Fakt ten zdawałby się wskazywać, iż jakkolwiek w Warszawie potrzeba specyalnego zakładu dla podrzutków czuć się daje, w innych jednak miejscowościach nie istnieje. W takim razie nasuwa się samo z siebie pytanie, na co zakładać tak kosztowną instytucyą na prowincyi, gdzie byłaby zbyteczną, bo nie wywołaną rzeczywistą potrzebą. Jeżeli prócz tego zwrócimy jeszcze uwagę na to, iż w wielu krajach domów podrzutków wcale nie ma, chociaż dzieci naturalnych, z których przeważnie wychowańcy ich pochodzą, nie braknie, to przyjdziemy w naturalnym rzeczy porządku do zadania sobie pytania, czy w ogóle zakłady takie są potrzebne? Przecież i w tych krajach musiano odczuwać potrzebę zabezpieczenia losu dzieci pozostawionych bez opieki; w jakiż więc sposób starano się zadosyć uczynić jéj bez zakładania domów podrzutków? Czy pozostawiono je na los szczęścia, czy też przedsięwzięto względem nich inne środki?

W obec tak rozmaitych sprzeczności i w obec wznieconéj kwestyi założenia drugiego domu podrzutków u nas, nieodrzeczy, zdaje się nam, będzie zbadać kwestyą tę wszechstronniéj w celu przekonania się, *czy zakłady takie są w ogóle potrzebne? czy niemożnaby znaleźć innych, skuteczniejszych może środków zabezpieczenia losu nietylko podrzutków, ale w ogóle dzieci pozostawionych bez opieki?* Sądzimy iż takie zbadanie nie będzie bez pożytku przed rozstrzygnięciem pytania, czy należy się starać o założenie drugiego takiego zakładu w Warszawie lub na prowincyi.

II.

Dla dokładniejszego wyjaśnienia kwestyi domów podrzutków, nie od rzeczy będzie rzucić okiem w przeszłość, w celu przekonania się jak zapatrywano się na podrzutków dawniéj i jakie środki względem nich przedsiębrano. Tym sposobem będziemy w stanie, o ile się nam zdaje, odrazu ocenić stanowisko, jakie zakłady te zajęły w rzędzie środków, używanych względem podrzutków w ogóle. Uważamy jednak za obowiązek z góry uprzedzić czytelnika, iż nie zamierzamy bynajmniéj traktować tego przedmiotu wyczerpująco, ze wszystkiemi podawanemi nam przez historyą szczegółami. Zamiarem naszym może być tylko zwrócenie uwagi na okoliczności lub fakty charakterystyczne, cechujące pewną epokę, z których możnaby wyciągnąć pewne względem zajmującéj nas kwestyi wnioski.

Zagłębiwszy się nieco w świat klasyczny, grecki i rzymski widzimy, iż panujące w świecie tym zapatrywania, obyczaje a nawet i prawa, dozwalały rodzicom dzieci swe nie tylko pozostawić bez opieki, podrzucić je, ale nawet i życia pozbawić. W Sparcie pra-

wodawstwo Lykurga, mając na celu wychowanie tylko zdrowego i silnego, zdolnego do wojny pokolenia, wymagało zbadania nowonarodzonych dzieci, wskutek czego słabowite i ułomne były zabijane. Prawodawstwo Solona w Atenach, nadając ojcu prawo życia i śmierci nad dziećmi, dozwalało mu zabijać je i sprzedawać. Prawo to wypływało bądź z przecenienia władzy rodzicielskiéj, bądź z nienależytego ocenienia życia jednostki, bądź wreszcie z obawy przeludnienia, było zaś ogólném w całéj Grecyi. Zapatrywania te odbiły się nawet na greckiéj filozofii, na dowód czego można przytoczyć, że i Platon zalecał pozbawienie życia dzieci, niedostatecznie fizycznie rozwiniętych. Przy takiém prawodawstwie i takich zapatrywaniach dzieciobójstwa i podrzucania nie tylko dzieci naturalnych, ale i prawych, były w Grecyi faktem zwykłym, codziennym, na który nie zwracano nawet uwagi i nie uważano ani za czyn karygodny, ani za naganny, pod względem moralnym. Jeżeli chciano dziecię pozbawić życia porzucano je w miejscu odległém lub nieuczęszczaném; przeciwnie jeżeli chciano uwolnić się tylko od ciężaru wychowywania go, porzucano je w miejscach, w których spodziewano się, iż je ktoś miłosierny podejmie. Ma się rozumieć, iż w takim stanie rzeczy nie mogło być mowy o jakiemkolwiek staraniu ze strony państwa lub społeczeństwa o zabezpieczeniu losu podrzutków.

Podobne stosunki wyrobiły się i w Rzymie. I tu także prawo nadało najobszerniejszą władzę ojcu nad dziećmi. Ojciec miał prawo życia i śmierci, wskutek czego mógł bezkarnie dziecię swe życia pozbawić, porzucić je lub sprzedać. Z prawa tego korzystano przedewszystkiém względem dziewcząt, jako niezdatnych do służby wojennéj i obrony państwa. Z tego powodu najczęściéj utrzymywano w każdéj familii tylko jedną najstarszą dziewczynę przy życiu. Każde nowonarodzone dziecię było składane przez kobietę, która je odebrała, u nóg ojca na ziemi. Jeżeli je podniósł było to znakiem, iż uznawał je za członka rodziny i zgadzał się na pozostawienie go przy życiu. Zostawienie na ziemi było uważane za wyrok śmierci lub podrzucenia. Były nawet w Rzymie dwa miejsca, w których dzieci takie podrzucano, mianowicie: Columna lactaria, i Velabrum w bliskości góry awentyńskiéj.

Późniéj, jakkolwiek pierwotna srogość prawa rzymskiego była pod wielu względami złagodzona, zwyczaj jednak podrzucania dzieci jeszcze bardziéj się upowszechnił, kiedy z upadkiem pierwotnéj czystości obyczajów zagnieździła się w Rzymie rozpusta. Według ówczesnych świadectw mało z dzieci w ten sposób porzuconych było podjętych, zwykłym zaś losem ocalonych od śmierci było to, iż stawały się niewolnikami tych, którzy się niemi zaopiekowali. Wzięcie dziecka podrzuconego na wychowanie uważano nawet za najtańszy sposób dojścia do posiadania niewolnika.

Podobne stosunki istniały i u innych narodów w starożytności. Silna władza ojcowska, grubość obyczajów, obawa przeludnienia,

straszne lekceważenie życia ludzkiego, były czynnikami, które się na wyrobienie ich składały. To też podrzucania i dzieciobójstwa były wtedy na porządku dziennym, zwyczajem głęboko zakorzenionym w obyczaje narodu. Jako cechę charakterystyczną owych czasów możnaby przytoczyć, że fantazya ludowa z podrzutków robiła wtedy swoich bohaterów, że nieraz im przypisywała założenie nawet najpotężniejszych państw. Tak np. państwo perskie było założone przez Cyrusa, a Rzym przez Romulusa, obydwaj zaś byli podrzutkami.

Jeden tylko naród w starożytności trzymał się wyjątkowo innych zapatrywań, mianowicie żydowski. Żydzi, uważając się za naród wybrany, któremu sam Bóg przyobiecał mnożenie się jako piasku w morzu, widzieli w płodności małżeństwa nie złe społeczne, nie groźbę przeludnienia, ale błogosławieństwo boże. Największém nieszczęściem dla kobiety żydowskiéj była bezpłodność. Liczne potomstwo uważane było za rzecz nadającą ojcu rodziny prawo do szczególniejszego poważania. Ponieważ zaś naród karmił się nadzieją przyjścia Mesyasza, nie wolno było zabijać nowonarodzonych, których życie było wskutek tego zabezpieczone religijnie. Z tego powodu u żydów i dzieciobójstwo i podrzucenie było uważane za czyn karygodny. Co najwyżéj prawodawca dozwalał ojcom, nie mającym środków utrzymania lub obciążonym długami, pozbyć się dziecięcia za pomocą sprzedaży.

Z tego wszystkiego możemy dojść do wniosku że w starożytności kwestya podrzutków wcale nie istniała a nawet istnieć nie mogła, że wskutek tego nie przedsiębrano wtedy żadnych środków w celu zabezpieczenia ich życia lub wychowania. Kwestya ta mogła powstać dopiéro późniéj pod wpływem przeważnie chrystyanizmu.

Chrystyanizm wystawił zupełnie nowe, nieznane przedtém poglądy na ludzkość i wzajemny stosunek ludzi między sobą. Wbrew ekskluzywności świata starożytnego, która uznawała solidarność tylko między obywatelami pewnego miasta, prowincyi, państwa, wszystkich zaś innych nienależących do tego związku, uważała za obcych, za nieprzyjaciół, chrystyanizm rozszerzył tę solidarność do wszystkich ludzi. Według niego wszyscy ludzie byli braćmi, stanowiącemi jednę rodzinę, połączoną węzłami miłości braterskiéj, któréj wspólnym ojcem był Bóg. Z tego powodu wszyscy wzajemnie winni byli sobie miłość bliźniego, winni byli nieść sobie pomoc, być ożywieni jedném współczuciem. Dobroczynność była uważana za jednę z najwyższych cnót chrześciańskich. Pod wpływem takich pojęć chrześcianie musieli inaczéj się patrzéć jak poganie, na nowonarodzone dzieci, musieli uważać dzieciobójstwo, podrzucenie, zaprzedanie w niewolę za czyn karygodny, za grzech. Wszak sam Chrystus, zbierając koło siebie dzieci, polecał je szczególnéj opiece swych naśladowców. Dlatego téż, już ojcowie kościoła, wołając z prorokiem: *Pater meus et mater mea me dereliquerunt, Dominus autem assumpsit me!* występowali w obronie dzieci i przemawiali wymownemi

słowy przeciwko dzieciobójstwu, podrzuceniu, zaprzedaniu w niewolę. Każde podrzucenie według nich należało uważać na równi z zabójstwem. Ojcowie kościoła wykupywali podrzutków, pozostających w niewoli, wzywali w imię miłości Boga cesarzów potężnego Rzymu, do udzielenia swéj opieki podrzutkom, których wszyscy opuścili. Pierwotnie gminy chrześciańskie tworzyły wspólne kasy, z których pomoc mieli otrzymywać ubodzy, sieroty, podrzutki; ustanawiały dyakonów i dyakonise, obowiązanych do udzielania jéj. To było pierwszym środkiem, który powstający świat chrześciański zaczął używać względem podrzutków.

Pod tym wpływem i władza świecka nie mogła pozostać obojętną na ich niedolę. Już Konstantyn wydawał prawa, które miały na celu ograniczenie podrzuceń, dzieciobójstwa, zaprzedania w niewolę; prawa te wszakże nie przyniosły wielkiego pożytku, choćby z tego powodu, że nie miały sankcyi karnéj, nie przepisywały kar za popełnienie podobnych czynów. Tenże cesarz polecił w 315 r. władzom administracyjnym we Włoszech przyjmować dzieci od rodziców, którzy nie byli, w stanie utrzymywać ich i wychowywać je kosztem państwa. Prawo to jednak już w 329 r., z powodu zbytecznego obciążenia budżetu kosztami z téj przyczyny wynikłemi, było zniesione.

Cesarze Walentynjan I i Walens postanowili w 364 r. że każdy ojciec obowiązany jest utrzymywać swoje dzieci, a zarazem ustanowili karę za podrzucenie i karę śmierci za pozbawienie życia dziecięcia. Za następnych cesarzów były wydane prawa, które zabraniały sprzedaży dzieci pod karą 5 uncyi złota, i stanowiły, że dzieci wbrew temu zakazowi przedane, nie traciły pomimo to wolności.

Upadek zachodniego państwa rzymskiego, zalew całéj zachodniéj Europy przez barbarzyńców, powszechny zamęt jaki potem nastąpił, przerwały na długo działalność prawodawczą państwa na korzyść podrzutków. Tylko w niektórych postanowieniach ówczesnych soborów znajdujemy rozporządzenia, mające na celu zmniejszenie liczby podrzuceń lub zaprzedawania dzieci w niewolę. Rozporządzenia te jednak pozostawały powiększéj części bezskutecznemi, rodzice bowiem pod wpływem nędzy nie przestawali ani podrzucać swoich dzieci, ani sprzedawać ich, tak że w całéj zachodniéj Europie handel dziećmi przybrał w owe czasy przerażające rozmiary.

To też od VIII-go wieku spotykamy miłosiernych ludzi, którzy, przejęci wzniosłemi ideami chrystyanizmu, tworzyli zakłady, mające na celu ocalić podrzutków od śmierci i zapewnić im wychowanie. Pierwszym takim zakładem, o którym historya podała nam wiadomość, miał być zakład utworzony w 787 r. przez arcybiskupa Datheusa w Medyolanie. Duchowny ten kupił dom, znajdujący się przy katedrze i postanowił, że dzieci podrzucone przy niéj, miały być przez duchowieństwo podejmowane, przez mamki karmione i w domu tym na wychowanie do 8 roku pomieszczane. Od téj chwi-

li spotykamy od czasu do czasu wzmianki o podobnych zakładach, tworzonych i w innych miejscowościach zachodniéj Europy. Z początku nader rzadko. w następstwie coraz częściéj. Tak np. znajdujemy ślady takiego zakładu w 982 r. w Bergamo, w 1041 r. w Lublanie, w 1198 r. w Rzymie. Ostatni ten zakład, utworzony przez papieża Inocentego III, tém się odznaczał, iż urządzone było przy nim po raz pierwszy koło, w które kładziono podrzucane dzieci. Urządzenie to było przyjęte późniéj we wszystkich tym podobnych zakładach.

Za zupełnie zbyteczne uważamy wymieniać tutaj szczegółowo kiedy i gdzie zakłady takie powstawały w następstwie w różnych krajach Europy. Dość powiedzieć, że liczba ich coraz bardziéj się powiększała. Niektóre z nich były zakładane za inicyatywą ludzi świątobliwych, jak Guya, syna hr. Montepellier lub ś-go Wincentego á Paulo we Francyi, ś-go Tomasza z Villanueva w Hiszpanii, Baudouina u nas. Wszyscy ci mężowie, powodowani uczuciem chrześciańskiéj miłości bliźniego za zadanie swego życia wzięli staranie o dzieciach, opuszczonych przez tych, którzy głównie o nich troszczyć się byli obowiązani. Inne przeciwnie zawdzięczały swe powstanie takim zdobywcom jak Napoleon, który wszędzie starał się je zaprowadzić gdzie tylko wpływ jego dosięgnął, jako instytucyą państwową dobroczynności publicznéj. Według dekretu tego ostatniego z 19 stycznia 1811 r., w każdym okręgu Francyi miał być otworzony dom podrzutków z kołem. W skutek tego miało ich być 360, w rzeczywistości jednak otwarto ich tylko 271 [1]).

W krajach, w których domy podrzutków istniały, uważano je prawie do ostatnich czasów, za najważniejszy, nieomal jedyny środek z pomocą którego społeczeństwo i państwo mogło się starać o zabezpieczenie losu podrzutków. Na dosyć szybkie stosunkowo rozpowszechnienie się ich i przyjęcie w różnych krajach, bez względu na narodowość, wyznanie, stopień cywilizacyi, wpłynęło przedewszystkiém to, że odpowiadały one religijnemu nastrojowi średnich wieków i niosły doraźną pomoc na istniejące złe. W saméj rzeczy los

[1]) W skutek tego dekretu Francya należała w swoim czasie do krajów, w którym najwięcéj było domów podrzutków. W Austryi, bez Węgier, w których domów podrzutków nie ma, było ich do niedawnego czasu 17; we Włoszech 109; w Belgii 40; w Hiszpanii 49; w Portugalii 21. W innych krajach przeciwnie znajdujemy bardzo ograniczoną ilość domów podrzutków. Tak np. w Anglii było ich tylko dwa, mianowicie jeden w Londynie, prywatny, i drugi w Dublinie rządowy. Tak samo w Szwecyi i Danii było tylko po jednym takim zakładzie. W Rosyi, oprócz dwóch na wielką skalę utrzymywanych domów podrzutków, mianowicie moskiewskiego, założonego w 1763 r. i petersburskiego, utworzonego w 1770 r., istnieją przy niektórych zakładach dobroczynnych oddziały do przyjmowania podrzutków.

podrzutków w średnich wiekach był godzien pożałowania. Podrzucane przy kościołach, na ulicach, w czystém polu, po większéj części umierały, a nieraz stawały się pastwą dzikich zwierząt. W najlepszym razie dostawały się pod opiekę włóczęgów lub żebraków, którzy, jeżeli ocalali im życie, wywierali na nich najgorszy wpływ pod względem moralnym. Religijność średniowieczna, poznawszy złe, chciała na nie wyszukać odpowiedni środek. Nie można jednak powiedzieć, aby się to jéj udało. Pochodziło to po części ze skrzywienia, zapoznania, pierwotnéj myśli jaka przyświecała zakładaniu takich instytucyi, po części zaś z innych powodów. W saméj rzeczy pierwotni założyciele domów podrzutków mieli na celu przedewszystkiém przyjść z pomocą tym rodzicom, którzy nie byli w stanie wychowywać swoich dzieci, widocznie zaś nie mogli dążyć do uwolnienia od obowiązków rodzicielskich tych, dla których utrzymanie dzieci nie było ciężarem. Inaczéj działając podkopywaliby ideę rodziny, tak wysoko podniesioną przez chrystyanizm. W następstwie wszakże, głównie w skutek urządzenia przy zakładach takich koła, pomoc tę otrzymywali nie tylko ci rodzice, którzy rzeczywiście jéj potrzebowali lub na nią zasługiwali, ale i ci, którzy wcale nie byli tego godni. W saméj rzeczy znaczna część dzieci, podrzucanych do koła, była pochodzenia prawego, których rodzice mieli nawet środki ich utrzymania, najwięcéj zaś było dzieci naturalnych, których ojcowie przynajmniéj należeli do klasy zamożniejszéj. Były to jednem słowem dzieci rodziców, którzy, zapominając o swoich najświętszych obowiązkach, uwalniali się od ciężaru ich utrzymania, składając go na społeczeństwo. Domy podrzutków były więc głównie wypływem uczucia, chybiały jednak swego celu, bo przyczyniały się do rozkrzewiania niemoralności.

Dla tego też w XIX-ym wieku zaczęto patrzeć na nie z pewném niedowierzaniem. W następstwie rozmaite dane, dostarczone przez statystykę, doprowadziły do tego, że przestano widzieć w nich wyłączny środek do zabezpieczenia losu podrzutków, że badając je nie tylko ze stanowiska wyłącznie uczuciowego, religijnego, ale krytycznego, racyonalnego, wykryto rozmaite złe skutki, które z nich wypływały. Do takiego krytycznego zastanowienia się nad domami podrzutków prowadziły rozmaite, częścią moralne, częścią ekonomiczne względy. W skutek tego wszystkiego zaczęto badać, czy oprócz tego środka zabezpieczenia losu podrzutków, nie ma innych skuteczniejszych, a wolnych od zgubnych następstw, połączonych z domami podrzutków.

Do tego także przyłączyła się okoliczność, któréj niepodobna pominąć milczeniem, że były kraje, w których domów podrzutków wcale nie było, które w inny sposób starały się o zabezpieczenie ich losu, i w których, pomimo tego pozornego zaniedbania, nie dały się czuć żadne zgubne następstwa.

W saméj rzeczy kiedy reformacya religijna w XVI wieku

wniosła w świat katolicki rozdwojenie, kraje, które pozostały katolickiemi, nie tylko utrzymały istniejące wtedy domy podrzutków, ale owszem starały się o zakładanie nowych. Przeciwnie kraje, które przyjęły protestantyzm, jak Niemcy północne, Szwajcarya, Holandya, Anglia, państwa Skandynawskie, w skutek zmienionego prawodawstwa i wyrobienia się odmiennych stosunków społecznych, nie tylko nie zakładały nowych domów podrzutków, ale w XVII i XVIII wieku znosiły nawet istniejące z dawniejszych czasów. W krajach tych starano się w inny sposób zabezpieczyć los podrzutków.

Zbierając to cośmy wyżej powiedzieli, możemy, zdaje się, dojść do wniosku, że kwestya podrzutków i dzieci opuszczonych w ogóle przechodziła trzy fazy w historycznym swoim rozwoju. Najprzód w starożytności kwestya ta wcale nie istniała. Dzieci opuszczone były pozostawione na los szczęścia. Następnie pod wpływem przeważnie chrystyanizmu, zaczęto tworzyć dla nich specyalne zakłady dobroczynne, domy podrzutków. Zakłady te wszakże, których powstanie wypłynęło głównie z uczucia, okazały się być pod wielu względami niedogodnemi a nawet zgubnemi. W skutek tego zaczęto je badać krytycznie, racyonalnie, zaczęto wyszukiwać środki, któreby lepiéj odpowiadały swemu celowi, to jest skuteczniéj zabezpieczały los podrzutków, a zarazem były wolnemi od ujemnych stron zakładów dla nich przeznaczonych. Dążenie to, cechujące chwilę obecną stanowi trzecią fazę w rozwoju kwestyi podrzutków w ogóle.

Ztąd też widzimy, iż obecnie istnieją dwa systematy środków, używanych względem podrzutków. Pierwszy, którego trzymają się przeważnie kraje katolickie, polega na domach podrzutków, w skutek czego znany jest pod nazwą katolickiego albo romańskiego. Systematu tego trzyma się też i Rosya, jakkolwiek innego wyznania. Drugi, na mocy którego względem podrzutków używane są inne środki, wyrobił się w krajach przeważnie protestanckich, w skutek czego nazywają go protestanckim albo germańskim. Z tego powodu wynikł nawet w świecie naukowym spór o pierwszeństwo jednego lub drugiego systematu, w którym głównym punktem ataku i obrony były właśnie domy podrzutków.

Ponieważ naszém założeniem jest rozstrzygnięcie pytania, czy drugi dom podrzutków jest potrzebny w Warszawie, lub w ogóle w kraju naszym, uważamy za konieczne zastanowić się krytycznie nad zasadami przytaczanemi w obronie tych zakładów, tudzież nad zarzutami im czynionemi. W ten tylko sposób dojdziemy do wyjaśnienia gruntownego i rozwiązania pytania, któreśmy sobie postawili.

III.

Zastanawiając się nad kwestyą pożyteczności lub szkodliwości domów podrzutków, należy zapatrywać się na nie z rozmaitego

punktu widzenia rzeczy. Najprzód ze stanowiska chrześciańskiego miłosierdzia, filantropii, dla zbadania, czy odpowiadają one celowi dla którego założone zostały? Następnie ze stanowiska moralności pod względem wpływu, jaki wywierają na obyczaje narodu. Dalej ze stanowiska ekonomicznego, czy koszta poniesione na ich utrzymanie odpowiadają przynoszonym korzyściom? Prócz tego należy jeszcze zwrócić uwagę na to, o ile zakłady tego rodzaju przynoszą korzyść samym wychowańcom i jaki pożytek społeczeństwo z nich odnosi? Tylko takie wszechronne zbadanie może, zdaniem naszém, wyjaśnić dostatecznie kwestyą domów podrzutków.

Zwróćmy się przedewszystkiém do rozpatrzenia zajmującego nas przedmiotu ze stanowiska chrześciańskiego miłosierdzia.

Nie ulega wątpliwości, że główną przyczyną zakładania domów podrzutków było pragnienie ocalenia życia dzieciom, opuszczonym przez rodziców lub wprost podrzuconym, które pozostawione bez pomocy w większéj części umierały.

Obrońcy domów podrzutków utrzymywali, że zakłady te odpowiadały jednemu z głównych swych zadań, ponieważ zmniejszały ilość przestępstw popełnianych na dzieciach, do których zaliczyć można dzieciobójstwo, podrzucenie, a także i spędzenie płodu. W skutek tego są one ich zdaniem koniecznie potrzebne. Przy bliższém jednak zastanowieniu się nad temi mniemanemi korzyściami domów podrzutków, pożytek z nich okaże się być nader wątpliwym.

Zatrzymajmy się przedewszystkiém nad dzieciobójstwem.

Domy podrzutków są, jak wiadomo, dwojakie. Przy jednych znajdują się koła do odbierania podrzucanych dzieci, które tak są urządzone, żeby nawet osoba podrzucająca nie była widziana. Przy drugich kół takich nie ma. Pierwsze zakłady nie przedstawiają żadnych trudności przy przyjęciu dzieci; drugie przeciwnie przyjmują je tylko po mniéj lub więcéj ścisłém zbadaniu warunków, z którychby widać było, że przyjęcie jest konieczne. Ponieważ domy podrzutków z kołami są daleko dogodniejsze dla dziewcząt upadłych przy podrzuceniu, a zarazem są w stanie łatwiéj ukryć tajemnicę, któréj nie chcą wyjawić, aniżeli zakłady drugiego rodzaju, zdawałoby się więc, iż mogą wpłynąć zapobiegawczo na ilość dzieciobójstw, że są w stanie zmniejszyć ich liczbę. Ściślejsze jednak badania statystyczne wykazały, iż domy podrzutków z kołami takiego dobroczynnego wpływu na ilość dzieciobójstw nie wywierają, że nawet niekiedy przestępstwa te są liczniejsze tam, gdzie zakłady takie istnieją. Tém bardziéj nie można powiedzieć, aby zakłady drugiego rodzaju mogły wywrzeć tak zbawienny wpływ.

We Francyi dzieciobójstw było 212 w 1880 roku; 193 w 1881; 183 w 1882 r.; i 201 w 1883 r. [1]).

---

[1]) Annuaire statistique de la France, 1886, str. 93.

Stosunek dzieciobójstw do liczby urodzeń i ilości mieszkańców przedstawia się w następny sposób: [1]).

Od 1826—32	było 1 dzieciob.	na	10,174	urodzeń i	336,455	mieszk.
„ 1833—39	„	„	8,038	„	275,534	„
„ 1840—46	„	„	6,949	„	245,806	„
„ 1847—53	„	„	5,718	„	212,559	„
„ 1854—59	„	„	4,073	„	138,869	„
„ 1860—65	„	„	4,368	„	177,186	„
„ 1866—70	„	„	4,824	„	211,173	„

W 1881 r. było 1 dzieciobójstwo na 4,885 urodzeń [2]).

Widzimy ztąd, iż do 1854 r. liczba dzieciobójstw ciągle wzrastała, od tego zaś roku zaczęła się zmniejszać. Zdaniem obrońców domów podrzutków należałoby zmniejszenie się liczby dzieciobójstw, widoczne od 1854 r., przypisać powiększonéj ilości tych zakładów, zwłaszcza z kołami. Tak jednak sądząc mylilibyśmy się bardzo, gdyż przeciwnie ilość ich we Francyi ciągle się zmniejszała, największe zaś zmniejszenie przypada właśnie na czas największego zmniejszenia liczby dzieciobójstw. W 1826 r. było we Francyi 217 domów podrzutków z kołami i 56 takichże zakładów bez kół. W peryodzie od 1826—53 r. zniesiono 165 kół, a utworzono nowych tylko dwa. W 1860 r. było 25 kół na 170 zakładów; a w 1871 r. było ich tylko 7. We wszystkich zakładach bez kół przyjęto systemat tak zwany à bureau ouvert, na mocy którego przyjmowano dzieci dopiero po zbadaniu okoliczności odnoszących się do osobistości ich rodziców, przez co zaprowadzona została pewna kontrola, a zarazem i utrudnienie w przyjmowaniu dzieci.

Z tego powodu słusznie Block przyszedł do wniosku, że zniesienie kół, tych charakterystycznych cech domów podrzutków, wcale nie wpłynęło na powiększenie ilości dzieciobójstw. Tenże autor zauważył, iż najmniéj dzieciobójstw było w departamentach, w których znajdowały się wielkie aglomeracye ludności, jak np. wielkie miasta, a najwięcéj w departamentach z ludnością rzadko rozsianą. Okoliczność zaś tę przypisywał temu, że w wielkich miastach i ogniskach przemysłowych dziewczyny-matki mniéj się obawiały skandalu i że nie były tak popychane do przestępstwa w celu ukrycia swego upadku, jak kobiety po wsiach, będące w tymże położeniu. Do podobnych rezultatów winniśmy dojść, rozważając statystyczne dane z Austryi.

Z 17 domów podrzutków, które istniały w Austryi do 1869 r. pozostało obecnie tylko 7, mianowicie w Wiedniu, Pradze i pięć w Dalmacyi, to jest w Zarze, Cattaro, Raguzie, Sebenico i Spalato [3]). Zda-

[1]) Block. Statistique de la France comparée avec les divers pays d'Europe, 1875, T. I, 316.

[2]) Raudnitz, Die Findelpflege, Wien, 1885, str. 53.

[3]) Zakłady dla podrzutków we Lwowie i Krakowie z powodu złych rezultatów, jakie przynosiły, były zniesione w 1873 r.; w Linz 1869 r.; w Tryeście,

wałoby się, że tak znaczne zmniejszenie liczby zakładów, przeznaczonych do przyjmowania podrzutków, powiększy w odpowiednim stosunku liczbę dzieciobójstw. Tymczasem ilość tych przestępstw wcale się nie powiększyła, jak widać z poniżej pomieszczonéj tabelki, ułożonéj za dziesięć lat, w ciągu których zakłady te były zniesione [1]).

W roku	Było dzieciobójstw	to jest 1 na urodzeń	1 na nieprawych urodzeń
1871	111	7396	973
1872	97	8549	1056
1873	110	7711	947
1874	99	8583	1037
1875	103	8377	1011
1876	96	9111	1140
1877	93	9159	1283
1878	128	6678	950
1879	120	7317	1063
1880	114	7459	1104

Tym sposobem w powyższym dziesięcioletnim peryodzie przypadało średnio 107,1 dzieciobójstw na rok, czyli 1 dzieciobójstwo na 8033 urodzeń i 1056 urodzeń nieprawych, różnice zaś między jednym rokiem lub drugim były wcale nieznaczne.

W Styryi, po zniesiesieniu zakładu w Gracu 1872 r., przeznaczonego dla tego kraju, liczba dzieciobójstw nawet się zmniejszyła, mianowicie w peryodzie od 1862—1871 r. było tych przestępstw 92, a w peryodzie od 1872—1881 r. tylko 60 [2]).

Tak samo w Galicyi w 1871 r. było 29 dzieciobójstw, w 1872—24, w r. 1873—26, w r. 1874—16, w r. 1875—27, w r. 1876—20, w r. 1877—25, w r. 1878—36, w r. 1879—23, w r. 1880—30 [3]).

W Królestwie Polskiém w peryodzie od 1848—1860 r. było średnio 80 dzieciobójstw rocznie, a w peryodzie od 1860—1875 roku po 113 rocznie [4]). Powiększenia tego nie można uważać za nadzwyczajne z powodu naturalnego przyrostu ludności w tymże czasie. Z drugiéj strony z cyfr tych widać, że istnienie domu podrzutków w Warszawie nie wpłynęło na zmniejszenie ilości dzieciobójstw.

Przeciwnie we Włoszech pomimo tego, iż istnieje znaczna ilość domów podrzutków, mianowicie 109, z których 7 z kołami, spotykamy znaczną stosunkowo ilość dzieciobójstw. W peryodzie od 1880

Bernie i Ołomuńcu 1879 r.; w Gracu 1872 r.; w Lublanie 1871, a w Inspruku 1881 r. Zakłady w Dalmacyi, o ile słyszeliśmy ze sfer kompetentnych w Wiedniu, są skazane na zniesienie w blizkim terminie, ze względu na zgubne następstwa połączone z niemi.

[1]) Raudnitz, l. c. 72. [2]) Tamże, l. c. 75. [3]) Tamże, l. c. 76.

[4]) Simonienko, Srawnitielnaja statistika Carstwa Polskawo, 1879, tab. 13.

—1882 r. przypadało 1 dzieciobójstwo na 3,326 żywo urodzonych dzieci, i 1 na 244 nieprawych urodzeń.

Z powyższych danych moglibyśmy, zdaje się, dojść do przekonania, iż ilość dzieciobójstw nie zależy bynajmniéj od istnienia większéj lub mniejszéj ilości domów podrzutków, ale od innych zupełnie okoliczności. W saméj rzeczy, zastanawiając się nad temi zakładami, należy dojść do przekonania, iż nie mogą one nawet wywrzéć zbawiennego wpływu pod tym względem. Pochodzi to ztąd, iż dzieciobójstw dopuszczają się przedewszystkiém te kobiety, które chcą zupełnie zataić swój upadek, dla których ukrycie nie tylko faktu urodzenia dziecięcia, ale i brzemienności jest bezwarunkowo koniecznem. Nie można zaś myśléć, aby kobiéta będąca w tém położeniu, zdradzała się ze swéj tajemnicy przed innemi osobami, których współdziałanie jest potrzebne do umieszczenia dziecięcia w domu podrzutków. Z tego powodu słusznie zauważył Hügel, iż taka kobieta dopuściłaby się dzieciobójstwa nawet i wtedy, gdyby mieszkała w domu podrzutków [1]).

Podobnie i według Oettingena z danych statystycznych należy dojść do przekonania, iż tam gdzie istnieje wiele domów podrzutków, zwłaszcza z kołami, liczba tych przestępstw nie tylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie powiększa [2]). Według niego godna potępienia ze względów moralności zasada, na mocy któréj matka zrzuca staranie o dziecku na społeczeństwo, działa na otaczającą ludność tak demoralizująco w miejscach, w których istnieją domy podrzutków, że w skutek niéj zwiększa się nie tylko ilość dzieciobójstw, ale nawet przyczynienia się do śmierci przez niedbalstwo, a nawet liczba martwo urodzonych [3]).

Podobnie się ma z drugiém przestępstwem, to jest podrzuceniem dzieci, któremu domy podrzutków niby mają zapobiegać. Statystyka jednak pokazuje, że liczba tych przestępstw nie tylko się nie zmniejsza, ale właśnie powiększa tam, gdzie istnieją podobne zakłady.

Tak np. w Moguncyi, gdzie od 1799—1811 r. nie było wcale domu podrzutków, w tym przeciągu czasu było tylko 30 podrzuceń. Kiedy za Napoleona I urządzono w tém mieście w 1811 r. taki zakład z kołem, liczba podrzuceń w przeciągu 40 miesięcy wzrosła do 516; kiedy zaś zakład ten zamknięto, liczba podrzuceń spadła do 6—7 na rok [4]). W Maestrychcie przed otwarciem domu podrzutków z kołem w 1817 r. było zaledwie 12 podrzuceń. Po tém liczba ta wzrosła do 33, 72, 100 i t. d. rocznie; kiedy zaś w 1824 r. zamknięto ten zakład, było tylko 5 podrzuceń, a od 1825—1830 r. 1 albo 2

[1]) Hügel, Die Findelhäuser und das Findelwesen Europa's, Wien, 1863, str. 539.

[2]) Oettingen. Die Moral.-Statistik. 1874, str. 667.

[3]) Oettingen. l. c. str. 331.

[4]) Hügel. l. c. 540.

rocznie [1]). W Paryżu w 1845 r. było tylko 19 właściwych podrzuceń, w 1846—32; w 1847—30; w 1848—17; w 1849—32; w 1850—19; 1851—26; w 1852—51; w 1853—74; w 1859—86 [2]). W 1883 r. podrzucono w samym departamencie Sekwany 168, a w innych departamentach 189 dzieci [3]). W Austryi od 1822—1831 r. było 1974 podrzuceń, a z téj liczby 1314 przypadało na włoskie prowincye, w których właśnie istniało najwięcéj zakładów z kołami, i które w skutek tego przedstawiały największą łatwość pozbycia się dziecięcia. W Londynie, w którym istnieje jeden tylko niewielki prywatny dom podrzutków, w peryodzie od 1819—1823 r. było tylko 151 podrzuceń, bez względu na jego ówczesną dwumilionową ludność [4]).

W krajach, w których domów podrzutków wcale nie ma, podrzucenie dzieci należy w ogóle do rzadkości. Tak np. w Wirtembergu [5]) w Meklemburgu, gdzie jedno podrzucenie ma miejsce raz na 2 albo 3 lata [6]). W Norwegii przestępstwo to jest prawie nieznane, tak że nie uważano za stosowne wspominać o niém w szczególności w statystyce karnéj, jakkolwiek jest zagrożone karą.

Jeżelibyśmy do liczby podrzutków zaliczyli nie tylko dzieci wprost porzucone na ulicy lub w innych tym podobnych miejscach, ale i dzieci opuszczone lub oddane do domów podrzutków, po dopełnieniu nawet pewnych wymaganych przez prawa warunków, przekonalibyśmy się, iż liczba ich z dniem każdym wzrasta, dochodząc niekiedy do zastraszających rozmiarów.

Nadzwyczaj pouczające pod tym względem cyfry przedstawia nam statystyka francuzka, z któréj widać jak rozmaite okoliczności lub przepisy administracyjne, mające na celu ułatwienie lub utrudnienie przyjęcia dzieci do zakładu, wpływały na powiększenie lub zmniejszenie się ich liczby. Z tablicy ułożonéj przez Oettingena za peryod od 1824—1853 r. o liczbie podrzutków corocznie przyjmowanych do zakładów dla nich przeznaczonych, widać do 1833 r. ciągłe powiększanie się ich liczby tak, że gdy w pięcioleciu od 1824—1828 r. pomieszczano w nich rocznie średnio po 32,981, w drugim pięcioleciu od 1829—1833 r. przyjmowano średnio po 34,242. W tym czasie widać tylko nieznaczne zmniejszenie z 32,876 na 32,504 w roku 1827, w skutek bardzo prostego środka, użytego przez administracyą tych zakładów, polegającego na tém, iż wychowańcy jednych zakładów byli przenoszeni do innych. Środek ten, wstrzymując niektóre kobiety od oddania dzieci do zakładu, albo nawet skłaniając je

---

[1]) Oettingen. l. c. 329.
[2]) Hügel. l. c. 163.
[3]) Annuaire statistique de la France. 1886, str. 212.
[4]) Hügel. l. c. 378.
[5]) Hügel. l. c. 374.
[6]) Hügel. l. c. 377.

do odebrania ich, wpływał pomyślnie na zmniejszenie liczby podrzutków. Rok 1831 pokazał przeciwnie znaczną podwyżkę z 33,423 na 35,863, co należy przypisać ówczesnym wypadkom politycznym, które zwykle odbijają się niekorzystnie na stanie moralności kraju. Gdy i w r. 1832 okazała się ta sama przewyżka (35,460) rady generalne departamentów upraszały rząd o przedsięwzięcie odpowiednich środków w celu zapobieżenia ciągłemu powiększaniu się liczby podrzutków. Na skutek tego przystąpiono do stopniowego znoszenia kół, przewyżka zaś spadła w 1833 r. do 33,374. Od tego też czasu ciągle zmniejszała się, z wyjątkiem czasu po 1848 r. kiedy znów na skutek wypadków politycznych, a także przyjęcia do konstytucyi art. 13, wkładającego ciężar utrzymania podrzutków i w ogóle dzieci opuszczonych na państwo, nastąpiło pewne powiększenie. W 1853 r. przyjęto do zakładów tylko 26,133 dzieci. Zmniejszenie to było w bezpośrednim związku ze zniesieniem kół, gdyż można je było zauważyć przeważnie w 60 departamentach, w których zniesiono 125 kół, to jest po 2,5 na departament. Przeciwnie dało się czuć pewne powiększenie liczby podrzutków w pozostałych 26 departamentach, w których zniesiono 40 kół, to jest po 1,5 na departament. Drugą przyczyną zmniejszenia się ilości dzieci przyjętych w owym czasie do zakładów, było udzielanie zasiłku dziewczętom-matkom, chcącym wychowywać swoje dzieci, które wtedy zaczęło być na większą skalę stosowane. Przy téj sposobności Block zauważył, że w tych departamentach najmniéj było podrzutków, w których wcale kół nie było [1]).

W wiedeńskim domu podrzutków liczba przyjętych dzieci w peryodach dziesięcioletnich okazuje także ogromne zwiększenie, mianowicie:

Od	1791—1800	przyjęto	27,027
„	1801—1810	„	31,435
„	1811—1820	„	34,475
„	1821—1830	„	42,686
„	1831—1840	„	44,846
„	1841—1850	„	66,355 [2])
„	1851—1860	„	87,148
„	1861—1870	„	88,737
„	1871—1880	„	83,011
„	1881—1886	„	46,289 [3])

[1]) Block. l. c. 315.

[2]) Oettingen. l. c. 326.

[3]) Te ostatnie cztery cyfry są zestawione z danych statystycznych, podanych przez dra Friedingera w jego: Denkschrift über die wiener Gebär-und Findelanstalt. Wien. 1887, str. 93.

W moskiewskim domu podrzutków w 1877 przyjęto 12,599 dzieci, a w 1886 r. już 15,707 [1]).

Tak samo i w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie widać ciągłe wzrastanie liczby wychowańców tego zakładu. W 1736 r. było dzieci 48 [2]), w 1796 r.—890; w 1806 r.—1326; w 1816 r.—1947; w 1828 r.—3457; w 1858 r.—4267 [3]). Według ostatnich danych było w tym zakładzie 1 stycznia 1886 r. 91 niemowląt i 91 starszych dzieci, tudzież 2,854 na wsiach na wychowaniu. W ciągu 1886 r. przyjęto 1843 dzieci, w skutek czego ogółem w tymże roku było ich 4879 [4]).

Podobne cyfry możnaby przedstawić i z innych krajów, w których istnieją domy podrzutków. Cyfry te zdaje się przynoszą dostateczny dowód, że zakłady te nie tylko nie wpływają na zmniejszenie liczby podrzutków, ale owszem wywierają niekorzystny pod tym względem wpływ. Wszędzie, gdzie więcéj było tych zakładów, zwłaszcza z kołami, spotykamy też większą stosunkowo ilość podrzuceń lub opuszczeń dzieci. Inaczéj nawet być nie może, zakłady te bowiem działają demoralizująco na ludność, zwłaszcza na kobiety. Kobieta, chcąca się uwolnić od ciężaru utrzymywania dziecięcia, od obowiązków matki, znajduje wszelkie co do tego ułatwienie w domu podrzutków. Ale ułatwiając to domy podrzutków wytępiają także miłość macierzyńską, najpiękniejsze uczucie kobiety, z serc tysiąców. Nie ulega wątpliwości, że łatwość pozbycia się dziecka prowadzi także wiele kobiet niższych, a nawet i średnich klas społeczeństwa do upadku. Wszystkie te okoliczności wywierają widocznie fatalny wpływ na wstydliwość niewieścią i moralność narodu w ogóle. Ta też łatwość pomieszczania dzieci nieprawych i uwolnienia się od troski o ich utrzymanie tłómaczy nam dla czego w Warszawie jest rokrocznie tyle podrzuceń. Że jednak nie wpływa to pomyślnie na moralność ludności, tego, sądzimy, nikt nie zaprzeczy.

Zwracając się wreszcie do trzeciego przestępstwa, któremu mają niby zapobiegać domy podrzutków, to jest spędzenia płodu, i co do niego także winniśmy przyjść do takiego samego, jak względem dwóch poprzednich, rezultatu. Wprawdzie statystyka tego przestępstwa nie może się odznaczać wielką dokładnością; zdaje się bowiem, że daleko więcéj wypadków spędzenia płodu pozostaje niewy-

---

[1]) Otczet po Imperatorskomu Moskowskomu Wospitatelnomu domu, za 1886 g. Moskwa. 1888, str. 6 i 8.

[2]) Rys historyczno-statystyczny szpitali i zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskiém. T. I, str. 45 i 269. Do poznania domu podrzutków w Warszawie może też posłużyć rozprawa L. Paprockiego. Opieka nad dziećmi opuszczonemi i dom podrzutków w Warszawie 1871.

[3]) Rys hist. statystyczny szpitali i t. d. l. c. str. 378.

[4]) Otczet o sostoianii obszczestwiennago prizrenia w gorodie Warszawie za 1886 g. Warszawa 1887. Tab. I.

krytych, niżeli wykrytych. I z tych wszakże danych, które mamy pod ręką można dojść do wniosku, że istnienie domów podrzutków albo jest zupełnie obojętnym czynnikiem, nie wywierającym wpływu na większą lub mniejszą ilość tego przestępstwa, albo nawet wprost do przeciwnych prowadzi rezultatów.

Tak np. w Paryżu, gdzie istniał dom podrzutków z kołem, od 1834—1836 r. składano w tamtejszéj mordze w przecięciu po 19 spędzonych płodów. Od 1837—1838 liczba ta podniosła się do 39 rocznie, a od 1839—1844 do 61. W 1881 r. było jednak w całéj Francyi tylko 72 spraw, wytoczonych z tego powodu [1]). Przeciwnie we Włoszech, pomimo znacznie mniejszéj ludności, i stosunkowo do tego większéj ilości domów podrzutków, w przeciągu trzech lat od 1880—1882 r. było o to samo przestępstwo 653 spraw, czyli po 217 rocznie [2]).

Przestępstwo to zdarza się tak w krajach, w których są domy podrzutków, jak i w tych, w których ich nie ma. Podług Oettingena ma ono być bardzo częstem w Ameryce Północnéj. Na poparcie tego Oettingen, powołując się na zdanie d-ra Allena, przytacza fakt, że codziennie pojawiają się w tamtejszych dziennikach ogłoszenia lekarzy, którzy podejmują się za pomocą środków pewnych, niebolesnych i nieprzedstawiających żadnego niebezpieczeństwa, usunąć wszelkie przeszkody regularnéj menstruacyi [3]). Że zajęcie to opłaca się, przekonywa okoliczność, że ogłoszenia takie kosztują setki tysięcy dolarów, a przecież nie mogą być robione na próżno.

W ogóle przestępstwo to należy uważać za wynik chorobliwy nowoczesnéj, po części sztucznéj cywilizacyi, w skutek czego kobiety albo nie chcą wcale mieć dzieci, albo pragną ograniczyć liczbę ich do minimum. Jest też ono częstszém w wyższych klasach społeczeństwa, aniżeli w niższych, w klasach, na których postanowienia pod tym względem nie wpływa większa lub mniejsza ilość domów podrzutków.

IV.

Zapatrując się na domy podrzutków ze stanowiska moralnego, należy uwzględniać rozmaite okoliczności przytaczane w ich obronie; z rozbioru ich jednak wypłynie, zdanie naszém, jeden dowód więcéj wskazujący nietylko bezużyteczność ich, ale nawet i szkodliwość.

Pod tym względem obrońcy tych zakładów przytaczali najprzód, iż wywierają zbawienny wpływ moralny, tworząc podrzutkom sztuczną rodzinę w zastępstwie naturalnéj, któréj zostali pozbawie-

---

[1]) Raudnitz. l. c. 153.

[2]) W Styryi w peryodzie od 1862—1871 r. było 14 wypadków spędzenia płodu, w peryodzie zaś od 1872—1881 roku 16. Raudnitz. l. c. 75.

[3]) Oettingen. l. c. 261.

ni. Przeciwko temu jednak można przywieść, że zakłady te nietylko nie przynoszą zbawiennych skutków, alo owszem że nieodłączne są od nich pewne zgubne następstwa. Pochodzi to naprzód ztąd, że do domów podrzutków przyjmowane są nietylko podrzutki, w właściwém tego słowa znaczeniu, lub dzieci naturalne, ale i wiele dzieci prawych, których rodzice w następstwie nie odbierają. W skutek tego następuje rozluźnienie węzłów rodzinnych, demoralizujące społeczeństwo, objawiające się przedewszystkiém tam, gdzie istnieją domy podrzutków z kołami. Z drugiéj strony zakłady te, wyrządzają ogromną krzywdę nawet tym dzieciom, którym mają niby przychodzić z pomocą, pozbawiając je rodziny, praw stanu cywilnego, jakiegoby używały w świecie, a nawet ewentualnych praw majątkowych, któreby miały po swych rodzicach. Okoliczności tych nie można zapominać, rozważając kwestyą domów podrzutków.

Że tak jest, można się ztąd przekonać, iż liczba dzieci oddawana do domów podrzutków przewyższa niekiedy liczbę urodzeń nieprawych. Już Suesmilch zwrócił na to uwagę w ubiegłém stuleciu. Z danych statystycznych dostarczonych przez niego, a odnoszących się do paryzkich podrzutków za czas od 1728—1757 r., godnym uwagi jest fakt, że z samego początku porządnego utrzymywania i rejestrowania podrzutków liczba ich równała się liczbie dzieci nieprawych, w następstwie jednak coraz bardziéj wzrastała. Ztąd wyprowadzano wniosek, że między podrzutkami było wiele dzieci prawych, opuszczonych przez rodziców, chcących uwolnić się od włożonych na nich przez samę naturę obowiązków. Najgorzéj stosunek ten przedstawia się i teraz w krajach, w których istnieją domy podrzutków z kołami, zkąd można wnosić, iż urządzenie to wywiera najfatalniejszy wpływ na rodzinę, podkopując ją w saméj podstawie. Według obliczenia Oettingena odnoszące się do tego cyfry przedstawiają się w następny sposób [1]):

[1]) Oettingen, l. c. tablica 22. W danych tych jest wiele niedokładności zwłaszcza co do liczby domów podrzutków, i znajdujących się przy nich kół, które w ostatnich czasach wszędzie zostały znacznie zredukowane.

Państwo	Ilość domów podrzutków	Ilość kół	Ilość podrzutków	Ilość dzieci nieprawych	na 100 nieprawych dzieci przypada podrzutków
1. Anglia	2	—	967	66,000	1,46
2. Szwecya	1	—	847	10,000	8,47
3. Dania.	1	—	1,172	9,000	13,02
4. Rossya	2	—	62,000	140,000	44,28
5. Belgia.	9	5	7,574	11,000	68,86
6. Austrya	36	20	120,021	150,000	80,14
7. Hiszpania	49	47	44,250	30,000	147,50
8. Francya	101	54	127,000	75,000	169,33
9. Portugalia	21	21	35,111	12,000	292,59
10. Neapol z Sycylią . . .	16	16	19,100	6,000	318,33
11. Prow. dawn. kościelne	4	4	3,560	1,000	356,00
12. Toskania.	75	75	26,335	4,500	589,66
13. Sardynia.	32	32	18,260	3,000	608,66

Tablica ta przekonywa, że w krajach, w których istnieje wiele domów podrzutków, ilość podrzuconych dzieci przewyższa znacznie ilość nieprawych urodzeń, zkąd znów dojść należy do wniosku, że znakomita część podrzutków musi być pochodzenia prawego.

W związku z tém, należy zwrócić uwagę na fakt, iż pomimo oddawania do domów podrzutków znacznéj ilości dzieci prawych, bardzo mało rodziców odbiera ich w następstwie. Tak np. we Francyi matki albo krewni odebrali z domów podrzutków dzieci: od 1815—1824 r. 0,52%; od 1845—1852 r. 1,49% a od 1853—1860 roku 2,80%.

Ten stosunek wszakże uważany jest za bardzo pomyślny w porównaniu z innemi krajami [1]). Z moskiewskiego domu podrzutków w 1886 roku odebrano dzieci nieprawych 217, prawych 44, chociaż w tymże roku przyjęto dzieci 15,707 a z dawniejszych lat pozostawało w zakładzie 31,291 [2]). W petersburskim domu podrzutków na ogólną ilość 38,038 dzieci, zwrócono w 1884 r. nieprawych 996 i prawych 194 [3]).

Widzimy ztąd, że domy podrzutków działają demoralizująco na rodzinę, zachęcając nawet rodziców dzieci prawych do uwolnienia się w ten sposób od obowiązku ich utrzymywania. Nie potrzeba także zdaje się dowodzić, że tym sposobem rodzicom nadane są nawet zbyt wielkie prawa względem dzieci, gdyż przez oddanie ich do domu podrzutków mogą je pozbawić praw stanu cywilnego,

[1]) Oettingen l. c., 384.
[2]) Otczot, l. c. 4.
[3]) Izwleczenije iz otczeta, l. c. 2.

ewentualnych praw majątkowych, a nawet, jak będzie wykazane niżéj, narazić ich życie na większe niebezpieczeństwo aniżeli to, na które byłyby wystawione, gdyby nie były oddane do domu podrzutków. Dom podrzutków więc nie jest w stanie ani zastąpić tym dzieciom rodziny, ani wynagrodzić za utracone prawa i korzyści.

Obrońcy domów podrzutków, utrzymywali daléj, że zakłady te działają zbawiennie na kobiety, ocalając cześć niewieścią tym, które upadły, tudzież pomagając im do moralnéj rehabilitacyi. I jedna wszakże i druga zasada jest w zupełności fałszywa. Ocalenie czci niewieściéj przez ukrycie skutków błędu, to jest oddanie dziecięcia do domu podrzutków tak, aby nikt o tém nie wiedział, zdarza się w rzeczywistości w bardzo nielicznych, wyjątkowych wypadkach. Może to się udać kobietom zamożnym, rozrządzającym samodzielnie swoją osobą, które na czas ciąży mogą opuścić zwykłe miejsce zamieszkania i wrócić się do niego dopiéro po połogu. W każdym razie będą to tylko wyjątki. W zwykłym biegu rzeczy, w ogromnéj większości wypadków, całe otoczenie kobiety wié o stanie, w jakim się znajduje, wié także o tém, kiedy rozwiązanie jéj nastąpiło.

Moralną znów rehabilitacyą pojmowano w ten sposób, że kobiéta, która raz zbłądziła, w następstwie, nauczona gorzkiem doświadczeniem, nie popełni tego samego błędu poraz drugi, że owszem przez moralne prowadzenie będzie się starała odkupić poprzedni upadek. Praktyka jednak pokazuje, że się dzieje zupełnie przeciwnie, łatwość bowiem pozbycia się dziecięcia stanowi dla kobiét do pewnego stopnia zachętę do dalszych błędów. Wiadomo że pierwszy krok najwięcéj kosztuje i najtrudniéj przychodzi, późniéj zaś idzie się na drodze upadku z wielką łatwością. To téż bardzo często kobiety takie oddają i następne dzieci do domu podrzutków. Bywały wypadki, w których kobiety pozbywały się w ten sposób sześciorga a nawet i więcéj dzieci [1]). Z pewnością zaś nie przyszłoby do tego, gdyby nie znajdywały wszelkich ułatwień pozbycia się owoców błędu w domach podrzutków.

Słusznie téż zauważył Hügel, że domy podrzutków nie mogą wpływać na moralną poprawę kobiet, gdyż zakłady te nic w tym kierunku nie robią. Przeciwnie, wywierają one nawet zgubny wpływ pod względem moralnym, bo pokrywają osłoną tajemnicy i bezkarnością takie czyny, jak podrzucenie dziecięcia, które stanowi przestępstwo przewidziane przez kodeks karny, i za które kobieta winna być nawet pociągniętą do odpowiedzialności sądowéj [2]). Nie mogą téż domy podrzutków wpływać na moralną rehabilitacyą kobiet, bo stanowią jedną z przeszkód do późniejszego zamążpójścia matki dziecięcia nieprawego za jego ojca, a przez to do uprawnienia ich stosunków i podniesienia moralnego obojga rodziców. Wprawdzie ob-

[1]) Oettinger, l. c. 330.
[2]) Hügel, l. c. 548.

rońcy tych zakładów zaprzeczają ich złego pod tym względem wpływu; nie sądzimy wszakże, aby można było z niemi się zgodzić. Widocznem jest bowiem, iż mężczyzna, żyjący nieślubnie z kobietą, daleko więcéj ma pobudek moralnych do zawarcia z nią małżeństwa dopóki dziecię ich między niemi się znajduje, dopóki ich łączy wspólnym węzłem przywiązania, aniżeli wtedy, kiedy zostało oddane do domu podrzutków. Mężczyznie, który uwolnił się od dziecięcia, najłatwiéj przychodzi później uwolnić się i od jego matki. Z tego powodu w krajach, w których istnieją domy podrzutków, rzadsze są małżeństwa między rodzicami dziecka nieprawego, jak w krajach, gdzie zakładów tych nie ma [1]).

Do téj saméj kategoryi zasad moralnych, przytaczanych w obronie domów podrzutków, należy i ta, że istnienie ich pozwala prawodawcy zabronić w prawodawstwie cywilném dochodzenia ojcostwa naturalnego. Tym sposobem ponieważ odpowiedzialność za błąd spadnie tylko na kobietę, powstrzyma się ją od powtórzenia tegoż błędu w przyszłości. Przeciwko temu jednak byłoby wiele do przytoczenia.

Najprzód widocznem jest, że zakaz dochodzenia ojcostwa nie może powstrzymywać kobiet od upadku, jeżeli jednocześnie z tém prawodawca, jako do pewnego stopnia ekwiwalent, urządza domy podrzutków, w których kobiety znajdują wszelką łatwość uwolnienia się od skutków swego błędu. Widocznem też jest, iż ta niekonsekwencya prawodawcy, nie zapobiegając upadkowi kobiet, pobudza tylko do niemoralności mężczyzn, którzy i w pierwszym i w drugim wypadku uwolnieni są od obowiązków względem dziecięcia, któremu dali życie.

Prócz tego możnaby zaprzeczać sprawiedliwości i słuszności zakazu dochodzenia ojcostwa w ogóle. Przez to bowiem cały ciężar wspólnéj winy pada na stronę słabszą to jest kobietę, gdy strona silniejsza, mężczyzna, zupełnie jest od niego uwolniona. To też w prawodawstwie ostatnich czasów można nawet zauważyć dążenie do zniesienia tego zakazu, przez dozwolenie dochodzenia ojcostwa. Kwestya to jednak zbyt ważna, abyśmy się mogli nad nią w tém miejscu obszerniéj zastanawiać. W każdym jednak razie widać, że prawodawca zabraniając dochodzenia ojcostwa i tworząc domy podrzutków, ciężar ich utrzymania wkłada ostatecznie na społeczeństwo, zamiast, jakby się słusznie należało, na rodziców, bądź prawych, bądź naturalnych, którzy do tego przez samę naturę są zobowiązani, którzy dali życie dziecięciu, nie pytając się społeczeństwa, czy to w następstwie zechce wziąć na siebie koszt jego utrzymania.

Zapatrując się na domy podrzutków ze stanowiska moralnego, niepodobna w końcu pominąć milczeniem i téj okoliczności, że istnienie ich, o ile się zdaje, wywiera fatalny wpływ na powiększenie się

[1]) Hügel, l. c. 549.

ilości podrzutków i dzieci naturalnych, a wskutek tego i na moralność narodu w ogóle.

W saméj rzeczy patrząc na tą kwestyę ze stanowiska czysto abstrakcyjnego, uważać należy za fakt zupełnie naturalny, że w krajach, w których kobiety mogą przez bardzo łatwy, a nawet prawodawcę dozwolony środek, uwolnić się od skutków swego błędu, będą one daleko skłonniejsze do nieprawych stosunków, aniżeli w krajach, w których łatwości téj niema, i w których będą wiedzieć, że cały ciężar utrzymania dziecięcia na nie spadnie. Na poparcie tego apriorystycznego twierdzenia możnaby przytoczyć wiele ciekawych i pouczających danych statystycznych. Tak np. w Paryżu w 1640 r. kiedy nie było jeszcze domu podrzutków, było 272 podrzuconych dzieci. Później wszakże, skutkiem właśnie téj łatwości, jaką przedstawiał w przyjęciu dzieci dom podrzutków z kołem, liczba ich wzrosła do ogromnych rozmiarów. W 1784 r. było podrzutków we Francyi ogółem 40,000, a w 1832 r. 129,699 [1]). Najwyższéj cyfry dosięgła ilość podrzutków w 1833 r. odkąd zaczęła się zmniejszać w następującym stosunku [2]).

	poz. z popr. roku.	przyj. w ciągu roku.	było ogółem.
1833	130,945	33,374	164,319
1834	129,222	31,846	161,068
1835	121,563	31,413	125,976
1836	109,656	31,495	141,151
1837	99.695	29,646	129,341
1838	97,912	26,900	124,812

W 1879 r. było 1 stycznia w zakładach 70,843 dzieci; w 1880 r. 70,300; w 1881 r. 69,321; w 1882 r. 71,160, a w 1883 r. 60,467 [3]).

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że powyższe cyfry, wykazujące znaczne zmniejszenie się liczby dzieci wychowanych w zakładach, przemawia przeciwko temu, cośmy wyżéj powiedzieli. Tak jednak nie jest, gdyż zmniejszenie to pochodzi z rozmaitych utrudnień, które prawodawca zaprowadził w przyjmowaniu dzieci do zakładów lub innych środków przez niego użytych, a nie z powodu zmniejszenia się ilości dzieci naturalnych, gotowych kandydatów do przyjęcia. Tak np. zamknięto znaczną część domów podrzutków, a w zostających zniesiono urządzone przy nich koła. Dekret z 21 lipca 1827 r. postanowił przeniesienie dzieci z jednych zakładów do drugich, odleglejszych, a jeden ten środek spowodował, że w peryodzie od 1830 — 1835 roku 32,608 matek zgłosiło się po swoje dzieci [4]). Następnie zaprowadzono tak zwane admission à bureau

[1]) Hügel l. c. 549.
[2]) Oettingen l. c. 328.
[3]) Annuaire statistique de la France, 1886 str. 210.
[4]) Hügel l. c. 130.

ouvert, na mocy którego względem przyjęcia do zakładu decyduje komisya, która może go odmówić w wypadkach przez prawo przewidzianych. Wreszcie zastosowano udzielanie zasiłków dziewczętom matkom (secours aux filles—mères), skutkiem czego znaczna ich ilość pozostawiła dzieci przy sobie. W 1883 r. było 47,780 takich kobiet otrzymujących zasiłek na wychowanie swych dzieci naturalnych [1]).

Co się tyczy dzieci naturalnych, jak ich nazwaliśmy kandydatów do domów podrzutków, tych liczba coraz bardziéj wzrasta. Według Blocka urodzeń prawych w 1801 r. było we Francyi 867,653, a naturalnych 41,635, to jest że urodzenia naturalne stanowiły 4,82% prawych. W 1870 r. było urodzeń prawych 879,190, naturalnych zaś 70,415, czyli że procent tych ostatnich podniósł się do 8,06% [2]). Tym sposobem w peryodzie 70-letnim liczba urodzeń prawych skutkiem przyrostu ludności powiększyła się bardzo nieznacznie o 12,137, przeciwnie ilość urodzeń naturalnych w tymże czasie powiększyła się o 28,780.

Przeciwnie cyfry wzięte z innych krajów potwierdzają w zupełności to, cośmy wyżéj powiedzieli o zgubnym wpływie domów podrzutków na ilość dzieci opuszczonych i naturalnych, a przez to i na moralność narodu w ogóle. Tak w Wiedeńskim domu podrzutków przyjęto w 1784 roku 1366 dzieci; w 1794 r. 2682; w 1804 r. 3287; w 1814 r. 3030; w 1824 r. 4815; 1834 r. 4417; w 1844 r, 6059; a w 1854 r. 8638. W 1859 r. liczba podrzutków dosięgła najwyższéj cyfry 9797, ażeby spaść do 8148 w 1868 r. i 7191 w 1886 r. [3]). Zmniejszenie to jednak liczby podrzutków pochodziło głównie z tego powodu, iż zakład wiedeński w 1868 r. z ogólno-państwowego został zamieniony na prowincyonalny, niższéj Austryi, wskutek czego zaprowadzone zostały pewne ograniczenia w przyjmowaniu dzieci z innych prowincyi [4]).

Patrząc na to ciągłe powiększanie się ilości wychowańców domów podrzutków, niepodobna nie widzieć w tém potwierdzenia tego cośmy wyżéj o zgubnym ich wpływie na społeczeństwo, powiedzieli. Wszystkie przytoczone powyżéj okoliczności winny, zdaniem naszém, doprowadzać do wniosku, że zakłady te działają w najwyższym stopniu demoralizująco na społeczeństwo.

V.

Badając kwestyą domów podrzutków ze stanowiska ekonomicznego nie podobna nie przyjść do przekonania, iż utrzymanie ich pada

[1]) Annuaire statistique str. 210.
[2]) Block, Statistique de la France. T. I.
[3]) Friedinger Denkschrift l. c. Ubersichtstabelle str. 90.
[4]) Raudnitz l. c. 73.

ciężkiém brzemieniem na społeczeństwo. Brzemię to wszakże z dniem każdym staje się groźniejszém i uciążliwszém bądź z powodu ciągłego, bezustannego powiększania się ilości podrzutków, bądź z powodu wzrastania kosztów, łożonych na ich utrzymanie.

W saméj rzeczy we wszystkich krajach, w których domy podrzutków istnieją, koszta ich utrzymania z każdym rokiem są większe. We Francyi kosztowały one w 1810 r. 1,600,000 franków, w 1830 r. 10 millionów, a w 1834 r. 12 milionów franków [1]). Późniéj najkorzystniéj przedstawia się peryod od 1837 — 1845 r. kiedy wydatki nie przewyższały 8 milionów, od tego jednak czasu widać ciągłe powiększanie się ich tak, że w 1861 r. wydano na nie 10,524,042 fr. [2]). W 1883 r. wydano na domy podrzutków 10,225,760 fr. ale prócz tego udzielono tytułem zasiłków matkom nieprawych dzieci 4,928,561 [3]); czyli że ogółem utrzymanie tych dzieci kosztowało Francyą przeszło 15 milionów franków.

W wiedeńskim domu podrzutków koszta utrzymania wynosiły w 1845 r. 470,281 fl. w 1854 r. 601,966 [4]), a w 1886 r. 1,475,852 fl. [5]). W całéj Austryi wydawano na ten cel 2,021,373 guldenów [6]).

W Hiszpanii koszta te wynosiły 18,039,030 realów; we Włoszech 14,314,144 lirów [7]); w Portugalii 2,526,734 franków; w Belgii 511,721 franków [8]).

W moskiewskim domu podrzutków koszta utrzymania w 1886 r. wynosiły 1,247,642 rub. [9]), a w petersburskim w 1884 r. 1,134,062 rub. [10]).

W szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie na wychowanie niemowląt i dzieci starszych wydatkowano w 1832 roku 49,418 złotych a w 1841 r. 68,085 złotych. W 1842 r. wydatki te wynosiły 15,570 rub. a w 1858 r. 42,028 rub. [11]).

W ogóle Hügel koszta utrzymania domów podrzutków w krajach, w których istnieją, obliczał rocznie na 97,805,734 gul. austrya-

---

[1]) Hügel l. c. 551.
[2]) Block l. c. 319.
[3]) Annuaire statistique l. c. 210.
[4]) Hügel l. c. 198.
[5]) Friedinger Denkschrift l. c. 2.
[6]) Oesterreichische statistik XIII Band. III Heft str. 105.
[7]) Raudnitz l. c. 14.
[8]) Raudnitz l. c. 17 i 19.
[9]) Otczet l. c. 62.
[10]) Izwleczenie iz otczeta l. c. 61.
[11]) Rys historyczno-statystyczny szpitali i zakładów dobr. w Król. Pol. T. I 488. W ostatniém sprawozdaniu za 1886 r. niewykazano ilości wydatków w szczególności na podrzutków, ale ogólną summę wydatków w połączeniu z szpitalem Dzieciątka Jezus. Otczet. Tablica 12.

ckiéj waluty [1]). Jakkolwiek zaś w obliczeniu tém są pewne niedokładności np. co do Rossyi, w każdym jednak razie przyznać należy że koszta te są ogromne, i że poważne zajmują miejsce w budżecie wydatków, zwłaszcza tam, gdzie są włożone niebezpośrednio na skarb państwa, ale na departamenty, gminy, miasta lub inne okręgi administracyjne.

Nie da się nawet przewidzieć, ażeby koszta te mogły przy dzisiejszym systemacie uledz jakiejś redukcyi. Pochodzi to najprzód ztąd, iż liczba podrzutków coraz bardziéj się zwiększa, a następnie ztąd, że koszta utrzymania każdego z nich także się powiększają. Jeżeli bowiem w ostatnich czasach śmiertelność podrzutków znacznie się zmniejszyła, należy to przypisać lepszemu, a wskutek tego kosztowniejszemu ich utrzymaniu. Tak np. we Francyi utrzymanie jednego podrzutka rocznie kosztowało w peryodzie od 1824—1833 r. 82 fr. od 1851—1860 r. 103 fr. a od 1861 już 113 fr. Na kosztach zaś tych nie można robić oszczędności, bo każda z nich odbije się zaraz niekorzystnie na śmiertelności dzieci. Tak np. w wiedeńskim domu podrzutków skoro w 1811 r. podwyższono koszta utrzymania dziecka śmiertelność ich zaczęła powoli spadać z 74% do 13% w 1829 r. Skoro zaś w tymże roku zredukowano je śmiertelność zaczęła wzrastać, ażeby dosięgnąć maximum 32% w 1866 r. [2]).

VI.

Widzieliśmy powyżéj, iż przeciwko domom podrzutków można przytoczyć nader poważne zarzuty ze stanowiska filantropijnego, moralnego i ekonomicznego. Zobaczmy obecnie, czy zakłady te są pożyteczne dla samych podrzutków? czy dzieci pomieszczone w nich zyskują lub tracą przez to, że w ten sposób prawodawstwo ich byt zabezpieczyło?

Pod tym względem obrońcy domów podrzutków utrzymują że zakłady te są ze wszech miar godne uznania, bo zabezpieczają największe dobro człowieka — ż y c i e. Trzeba zakładać domy podrzutków, wołają oni, gdyż inaczéj dzieci te podrzucone na polach, ulicach, placach publicznych, w czasie słoty, mrozu, niepogody nie unikną pewnéj śmierci. Miłosierdzie chrześciańskie wymaga od nas koniecznie zakładów niezbędnych dla ocalenia życia setkom tysięcy dzieci. Bliższe jednak zastanowienie się nad tym przedmiotem doprowadzić nas winno do przekonania, iż powyższe zapatrywania jakkolwiek ożywione najlepszemi, najszlachetniejszemi pragnieniami są tylko czczém złudzeniem, znikającém pod powiewem smutnéj rzeczywistości. I tu także statystyka dostarcza cyfr przemawiających z nieubłaganą bezwzględnością przeciwko domom podrzutków.

---

[1]) Hügel l. c. 333.

[2]) Friedinger. Denkschrift, l. c. Übersichtstabelle.

W saméj rzeczy zakłady te wtedy tylko możnaby uważać za odpowiadające wyżéj wymienionemu celowi, gdyby zabezpieczały życie podrzutków, gdyby śmiertelność między dziećmi, do nich przyjętemi, była, jeżeli nie mniejsza, to przynajmniéj taka sama, jak między dziećmi, wychowywanemi zewnątrz zakładu, prawemi lub naturalnemi. Statystyka wszakże pokazuje, że dzieci tych umiera daleko więcéj, że wskutek tego przez przyjęcie do zakładu położenie ich nie tylko się nie polepsza, ale przeciwnie pogarsza.

Według Wappaeusa brak macierzyńskiéj opieki, któréj dzieci te w pierwszych latach życia są pozbawione, działa zabijająco na ich młodociany organizm. Wskutek tego jeżeli w ogóle śmiertelność między dziećmi w pierwszym roku życia wynosi 18,85%, w najlepszych domach podrzutków jest ona dwa, a nawet cztery razy większą [1]). We Francyi umierało w peryodzie od 1838 — 1845 podrzutków w pierwszym roku życia 50%, a przed ukończeniem 12 roku 78%. Z tego powodu jeden z publicystów francuzkich słusznie się wyraził, że domy podrzutków, w których z dwojga przyjętych dzieci jedno przynajmniéj jest na pewną śmierć poświęcone, należy uważać za zabójczą instytucyą. W petersburskim domu podrzutków w czasie od 1772 — 1784 r. umarło 85,5% dzieci, a od 1785 — 1797 r. 76,2%. W moskiewskim domu podrzutków od 1763—1856 r. przyjęto 367,788 dzieci, z których w młodym wieku zmarło 288,554. W domach podrzutków w Belgii umierało przecięciowo od 1823 — 1833 r. 54%, w niektórych jednak zakładach śmiertelność była większa. Tak np. w Brukselli wynosiła 69%, w Gandawie 62, a w Mons 57% [2]). W ogóle do niedawnego jeszcze czasu statystyka przedstawiała przerażające dane co do ilości dzieci, umierających w domach podrzutków. Mianowicie na 100 dzieci umierało w Madrycie 75, w Dublinie 98, w Neapolu 69, w Paryżu 72, w Rossyi 76 i t. d. [3]).

Były nawet domy podrzutków, jak np. w Smoleńsku, gdzie ani jedno dziecię przyjęte w ciągu 20 lat nie zostało się przy życiu [4]).

To téż słusznie Oettingen, patrząc na taką śmiertelność dzieci w domach podrzutków, zapytuje się czy można widzieć w nich zakłady mające na celu zachowanie życia podrzutków, ocalenia ich od śmierci? czy nie należałoby raczéj powtórzyć z Laktancyuszem: *Tam igitur nefarium est infantes exponere quam necare* [5]). Jeszcze drastyczniéj wyraził się o zakładach tych Villermé, mówiąc, iż na nich

---

[1]) Wappaeus. Allgemeine Bevölkerungsstatistik. 1859. T. I. 213 i odsyłacz Nr. 110.

[2]) Wappaeus l. c. 213.

[3]) Hügel l. c. 541, 301.

[4]) Andrejewskij. Policiejskoje prawo. 1874. T. I 601.

[5]) Oettingen l. c. 667.

powinienby być umieszczony napis: „*Ici on fait mourir les enfants aux frais du public.*“

Państwo więc, urządzając domy podrzutków, nie tylko nie zabezpiecza lepiéj życia dzieci, dla których są przeznaczone, ale przeciwnie pogarsza ich położenie, zmniejszając szanse życia, jakieby mieli pozostając zewnątrz zakładu. Z drugiéj strony postępując tak, nadaje do pewnego stopnia rodzicom prawo życia i śmierci nad dziećmi, upoważniając ich do pozbycia się ich w sposób legalny, który jednak okazuje się być groźnym w skutkach dla ich życia.

Wiemy, iż przeciwko temu wszystkiemu stronnicy domów podrzutków mogliby powiedzieć: Wszystko to jest prawdą, ale tak znaczna śmiertelność podrzutków w zakładach nie powinna nas ani zastraszać, ani zniechęcać do tych instytucyi, nowsze bowiem statystyczne dane wykazują znakomitą pod tym względem poprawę. Poprawa ta, to jest zmniejszanie śmiertelności podrzutków, jest rezultatem wprowadzonych w ostatnich czasach ulepszeń w tych zakładach, w racyonalniejszém wychowywaniu dzieci, w ściślejszém stosowaniu wymagań hygieny i t. d. Jeżeli więc ulepszenia te będziemy daléj stosować, dojdziemy do jeszcze większego zmniejszenia śmiertelności podrzutków, dojdziemy do tego, iż dzieci tych będzie umierać tylko tyle, ile umiera ich w normalnych warunkach życia, zewnątrz zakładów.

Nie można zaprzeczyć, iż rozumowanie to po części jest słuszne, odnośne bowiem cyfry pokazują pewną poprawę w tych stosunkach, poprawa zaś ta jest przedewszystkiém skutkiem zaprowadzonych w domach podrzutków ulepszeń. Tak np. we Francyi według obliczeń Oettingena [1]) na 100 nowo przyjętych podrzutków umierało:

od	1824 — 28	średnio	59
„	1829 — 33	„	58
„	1834 — 38	„	60
„	1839 — 43	„	61
„	1844 — 48	„	53
„	1849 — 53	„	47

W wiedeńskim domu podrzutków jeszcze w 1869 r. umierało w pierwszym roku życia 68,2% dzieci, cyfra ta zaś spadła do 40,5% w 1885 r. [2]).

W moskiewskim domu podrzutków w 1886 r. na 15,707 przyjętych dzieci do zakładu umarło 4,909 czyli 31,2% [3]). Z liczby zaś 10,996 dzieci oddanych na wieś na wychowanie umarło w ciągu roku 4,570 czyli 41,5% [4]). W petersburskim domu podrzutków na ogół-

[1]) Oettingen. Moralstatistik. l. c. Tab. 21.
[2]) Raudnitz l. c. 73.
[3]) Otczet l. c. 55.
[4]) Otczet l. c. str. 6 i 8.

ną cyfrę 38,038 umarło 7,179, a z téj liczby w samym zakładzie 17,49%, po wsiach na wychowaniu 46,82% [1]). W szpitalu Dzieciątka Jezus z 4879 znajdujących się w nim dzieci umarło w ciągu roku 1,065 czyli przeszło 20% [2]).

Wszystkie te wszakże cyfry, jakkolwiek niewątpliwie wskazują pewne polepszenie w stosunkach śmiertelności dzieci, nie mogą przekonywać bezwarunkowo na korzyść domów podrzutków. Najprzód bowiem i one jeszcze przedstawiają bardzo wielki procent śmiertelności na niekorzyść podrzutków, w porównaniu z dziećmi prawemi lub naturalnemi, ale nie pomieszczonemi w zakładach. Następnie dla tego, że wcale nie jest rzeczą pewną, czy zaprowadzenie wszystkich nawet ulepszeń zdołałoby zupełnie wyrównać stosunek śmiertelności na korzyść podrzutków. Owszem pod tym względem można powiedzieć prawie na pewno, że celu tego nie osiągniemy nawet i wtedy, gdybyśmy wszystkie te ulepszenia zaprowadzili. Przekonanie zaś to opieramy na tém, że większa śmiertelność dzieci w domach podrzutków nie pochodzi z jakichś przyczyn czasowych, miejscowych lub przypadkowych, którym możnaby było w zupełności zapobiedz za pomocą odpowiednich środków, ale z przyczyn stałych, których skutki można wprawdzie do pewnego stopnia złagodzić, ale których w zupełności usunąć niepodobna. Niektóre z tych przyczyn są tego rodzaju, że domy podrzutków wpływają tylko na ich intensywność, inne zaś działają na dzieci nie tylko od czasu, kiedy zostały przyjęte do zakładu, ale bez porównania wcześniéj, nawet przed przyjściem ich na świat.

Dla przekonania się o tém, znów wypada nam zwrócić się do statystyki.

Nie ulega wątpliwości, że większość podrzutków jest pochodzenia nieprawego, statystyka zaś pokazuje, że więcéj bywa martwych noworodków między dziećmi nieprawemi aniżeli między prawemi. We Francyi w 1868 r. na 100 nowonarodzonych prawych dzieci było 4,19% nieżywych, na takąż zaś samą ilość dzieci nieprawych było nieżywych 8% [3]). Tak samo i w innych krajach przewyżka nieżywo urodzonych jest po stronie dzieci nieprawych, jakkolwiek nigdzie stosunek ten nie jest tak niekorzystny, jak we Francyi. Powyższy fakt wyjaśnia się tém, że matka nieprawego dziecięcia w czasie brzemienności znajdowała się nieraz w nader ciężkich okolicznościach, które tak zgubnie działały na rozwój płodu, że ten nie mógł się należycie rozwinąć i wykształcić. Okoliczności te tłómaczą dla czego dzieci takie, nawet w razie urodzenia się żywemi, są słabowitsze w ogóle, że nie mogą opierać się zgubnym

[1]) Izwleczenie iz otczeta l. c. 2.
[2]) Otczet o sostojanii obszcz. prizr. w Warsz. Tab. I.
[3]) Block, l. c. 68.

wpływom, działającym na ich organizm, tak zwyciężko, jak dzieci prawe. Nikt jednak nie może utrzymywać, aby zgubny wpływ tych okoliczności, działających jeszcze przed przyjściem na świat przyszłego podrzutka, mógł być zmniejszony przez istnienie domów podrzutków.

Przechodząc w dalszym ciągu do śmiertelności dzieci już podrzuconych, statystyka poucza nas, że większa śmiertelność podrzutków od śmiertelności dzieci prawych lub naturalnych, lecz pozostających zewnątrz zakładu, najbardziéj daje się widzieć w samym początku przebywania ich w zakładzie, tudzież w pierwszych latach ich życia.

Według obliczeń Watteville'a na 100 wypadków śmierci dzieci prawych we Francyi w różnych chwilach ich początkowego życia, przypada między podrzutkami 106 wypadków śmierci w dzień urodzenia 181 między 3 a 8 dniem, 248 między 8 a 15, a 276 między 15 i 30 [1]). Tym sposobem w ciągu pierwszego miesiąca po urodzeniu umiera prawie trzy razy więcéj podrzutków jak dzieci prawych. Raudnitz ułożył nawet matematyczną formułę, wykazującą w jakim stosunku dzieci naturalne winnyby umierać, gdyby pozostawały zewnątrz zakładu. Statystyka jednak pokazuje, że umiera ich daleko więcéj, a tę przewyżkę śmiertelności trzeba położyć na karb nieprzyjaznych warunków, w których znajdują się w domach podrzutków [2]). Z danych dostarczonych przez niego możnaby ułożyć następującą tabliczkę:

	umiera dzieci prawych na 100	powinnoby umierać dzieci naturalnych	umierało rzeczywiście	przewyżka śmiertelności dzieci naturalnych
w Saksonii 1882	26,4	32,1	37,11	5,1
we Francyi 1880	16,95	21,8	31,22	9,42
w Belgii 1883	14,61	19,9	25,0	5,1
w Bawaryi 1881	27,3	29,0	35,5	6,0
w Wirtember. 1881	27,7	30,0	35,8	5,8
w Badenie 1883	21,8	26,7	29,4	2,7

We Włoszech stosunek ten przedstawia się w różnych prowincyach rozmaicie, stosownie widocznie do miejscowych warunków, najgorzéj zaś w Kalabryi, gdzie prawych dzieci umiera 20,0, naturalnych winnoby umierać 25,7, umiera zaś w rzeczywistości 41,2 [3]).

[1]) Oettingen, l. c. 661.
[2]) Raudnitz, l. c. 23.
[3]) Raudnitz, l. c. 33.

Fakt większéj śmiertelności podrzutków łatwo wytłómaczyć okolicznościami w jakich dzieci te są podrzucane. Wszakżeż większość ich bywa podrzucaną bez względu na pogodę, w czasie deszczu, słoty, zimna, mrozu i śniegu, bez ciepłéj odzieży, zabezpieczającéj od zgubnych wpływów klimatycznych, wszystkie są pozbawione starań, których wymaga koniecznie ich młodociany organizm. To też nie można się dziwić, że wiele z nich ginie zaraz po przyjęciu do zakładu z chorób, których nabawiły się przedtém; niektóre przynoszone bywają już konające. Domy podrzutków wszakże nie są w stanie osłabić zgubnego wpływu wszystkich tych okoliczności; owszem przez łatwość przyjęcia dzieci, podwyższają tylko ich intensywność. To też w niektórych domach podrzutków używane są rozmaite środki, w celu zmniejszenia téj strasznéj śmiertelności dzieci w pierwszych chwilach po przyjęciu ich do zakładu. Środki te w ogóle dążą do tego, aby dzieci były oddawane już starsze, po przebyciu tak niebezpiecznéj dla nich epoki, aby opóźnić o ile można, przyjęcie ich do zakładu. Tak np. w Petersburskim domu podrzutków osobom, które przyniosły dziecię z aktem urodzenia, w wieku od sześciu tygodni do dwóch miesięcy, wydawane jest od 1869 roku na żądanie proszącego wynagrodzenie pieniężne w ilości 10 rubli. Jeżeli zaś do tego przyłączone było świadectwo o szczepieniu ospy, wydaje się dodatkowo jeszcze 3 ruble. Przy tém jeżeli dzieci te były przynoszone przez matki, wolno im było, po otrzymaniu tego zasiłku pieniężnego, brać je do domu na dwa tygodnie na wychowanie [1]). Ale takie wydawanie zasiłków, jakkolwiek może zmniejszać śmiertelność dzieci w zakładzie, wygląda bardzo na nagrodę, premium, za czyn, którego bądź co bądź, za moralny uważać nie można.

(*Dok. nast.*)

---

[1]) Andrejewskij, l. c. 53.

„ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO“

MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.

STUDYUM Z LITERATURY XVI-GO WIEKU.

NAPISAŁ

Walery Gostomski.

WSTĘP.

Rej bowiem, jako ty sam w Polszcze wodzisz,
W naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz.
Trzycieski.

Mikołaj Rej nie odebrawszy w młodości systematycznego wykształcenia a w późniejszym wieku wiodąc żywot bujny i hulaszczy, nie wiele czasu mógł poświęcić na książkową naukę. Ale życie samo było dla niego otwartą księgą; na jéj kartach umiał on czytać doniosłe prawdy, wypisane żywemi głoskami ludzkich uczuć i czynów; bystry jego umysł wśród zgiełku i wrzawy otaczających go stosunków życiowych, chwytał w lot pożywne dla siebie pierwiastki, a przetrawiwszy je w sobie, tworzył sobie z nich pewien system poglądów na świat, poglądów niezbyt może rozległych i głębokich, lecz nacechowanych wewnętrzną siłą prawdy i wybitnym indywidualizmem.

Jeżeli jednak wyjątkowe przymioty umysłowości Reja pozwoliły mu bardzo wiele korzystać z doświadczenia życiowego, to jedynie dzięki temu, iż to życie, które go otaczało, zawierało w tak szczególnie obfitéj mierze zasoby pożywnych dla umysłu pierwiastków. Nie

wszystkie karty księgi życiowéj zapisane są bowiem równie bogatą w naukę treścią. Często osnowa ich tak jest czczą, jałową, iż najbystrzejszy nawet umysł nie zdoła zaczerpnąć z niéj pożywnéj dla siebie strawy. Życie nasze płynie czasem jak mętna fala rzeki: jednostajna szara powierzchnia codziennéj powszedniości zakrywa wszelką treść głębszą. Cóż wtedy można z niego zaczerpnąć? Chyba tę trochę doświadczenia, które starczy na zapełnienie jakiéjś nader ciasnéj sfery powszedniéj działalności.

Nie tak było za czasów Reja. Szeroko i wartko płynął wtedy potok życia, gnany wichrem ludzkich uczuć i namiętności; burzliwe jego fale, przelewając się w bystrym pędzie, wyrzucały na powierzchnią żywioły ukryte w głębi. Naród polski w XVI wieku pełen był młodzieńczéj siły i żywotności. Stał on wtedy u zenitu swego dziejowego rozwoju.

Świetne powodzenia w polityce zagranicznéj w ciągu XV-go wieku, jako to: unia z Litwą, pokonanie zakonu krzyżowego, przyłączenie Prus, zapewniły Polsce niepospolitą potęgę zewnętrzną i spowodowały nadto ogromne podniesienie ekonomicznego dobrobytu ludności. Bogate ziemie Podola i Ukrainy stają się zdobyczą pługa polskiego; porty baltyckie, które razem z Prusami weszły w skład rzeczypospolitéj, otwierają drogę dla handlu, ułatwiają zbyt krajowych ziemiopłodów. A wszystko to obraca się wyłącznie na korzyść stanu szlacheckiego, który, wystąpiwszy na pierwszy plan ogólno-narodowego życia, pochłonął w sobie wszystkie żywotne jego pierwiastki. Doskonała równowaga stanów, będąca wynikiem mądréj polityki Kazimierza Wielkiego, dawno już została zachwianą. Począwszy od przywileju koszyckiego z 1374 r. szlachta zdobywała sobie coraz rozleglejsze prawa. Za pierwszych Jagiellonów dążenia jéj w tym kierunku uwieńczone zostały najzupełniejszém powodzeniem: w roku 1494 stało się to kosztem stanów włościańskiego i miejskiego, w 1505 kosztem władzy królewskiéj. Odtąd król nic nowego nie mógł postanowić bez zgody sejmu, na którym przewagę mieli przedstawiciele szlachty; szlachcic posiadał pełnią praw obywatelskich i politycznych, i tylko on mógł je posiadać; inne stany skazane zostały na zupełnie podrzędną rolę: włościanie, upośledzeni podobnie u nas jak w całéj Europie zachodniéj pod względem praw cywilnych, stali się niemal niewolnikami swych panów; mieszczaństwo, odepchnięte od życia publicznego, musiało się zamknąć w ścieśnianych coraz bardziéj granicach swego samorządu.

Wiadomo, jak smutne następstwa wynikły ztąd dla rzeczypospolitéj. Nadmierne wybujanie jednego stanu, a przygnębienie innych spowodowało ogromną jednostronność społecznego życia; nadto ów stan uprzywilejowany, zagarnąwszy w swe ręce władzę, okazał się zupełnie do niéj niedojrzałym. Prędka i łatwa stosunkowo emancypacya jego z pod absolutnéj władzy królewskiéj nie pozwoliła mu osią-

gnąć należytéj dojrzałości politycznéj i społecznéj; wprawdzie posiadał on silnie wyrobioną świadomość narodową, ale brakło mu jasnego pojęcia warunków politycznéj egzystencyi oraz wewnętrznego hartu ducha i wytrwałości w dążeniach.

O ile jednak ten stan rzeczy ujemnie wpływał na życie państwowe i społeczne, o tyle, z drugiéj strony, korzystnie musiał oddziaływać na rozwój indywidualny jednostki szlacheckiéj.

Nie ulega wątpliwości, iż jest pewien antagonizm między rozwojem społecznym a indywidualnym, antagonizm, wynikający z organicznéj natury ustroju społecznego. Wszelka organizacya polega na zależności cząstek od całości; im całość jest doskonalszą, tém owa zawisłość musi być zupełniejszą. W społeczeństwie doskonale uorganizowaném każda jednostka posiada właściwą sobie sferę działania; im zaś lepiéj spełnia swoje zadanie, im zupełniéj do niego jest przystosowaną, tém społeczeństwo zdrowiéj i moralniéj się rozwija. Z drugiéj strony jednostka ludzka, jako samodzielne indywiduum duchowe, posiada dążność wszechstronnego rozwinięcia ogółu swych przymiotów. Ztąd antagonizm. Interes społeczny wymaga przedewszystkiem przystosowania się do pewnéj szczególnéj funkcyi ogólnego życia, rozwój indywidualny zmierza przeciwnie do jak najszerszéj, jak najogólniejszéj działalności. W idealnym stanie społecznym te dwa sprzeczne dążenia winny się wzajemnie równoważyć; w praktyce najczęściéj przeważa jedno lub drugie: albo społeczeństwo pochłania zbytecznie jednostkę, lub też indywidualny rozwój jednostki odbywa się kosztem rozwoju społecznego. W życiu dawnéj szlachty polskiéj zachodził wypadek ostatni: wybujały indywidualizm wyłamał się z wszelkich karbów organizacyi, doprowadził ją do zupełnego rozstroju i sam w końcu uległ zatrważającemu zwyrodnieniu. Atoli w XVI-ym wieku ten proces rozkładowy zaledwie się rozpoczął: społeczność polska silna była jeszcze organizacyą, jaką jéj nadały poprzednie pokolenia; jednostka zdobyła sobie wprawdzie już pełnię warunków indywidualnego rozwoju, ale nadmierna wybujałość jéj nie zdążyła jeszcze wywrzeć znaczniejszych wpływów ujemnych na zbiorowe życie całości. Dlatego epoka ta ukazuje się nam w tak świetnych barwach: społeczeństwo polskie na zewnątrz przedstawiało imponującą potęgę polityczną, w jego łonie zaś wrzało bujne życie licznéj i gwarnéj szlachty.

Szlachcic polski XVI-go wieku korzystał z ogromnych zasobów, nagromadzonych przez przeszłość, a w działalności swojéj nie był krępowany przez żadne zewnętrzne czynniki. Obywatel potężnego państwa, mając zapewniony byt materyalny, nie potrzebował zużywać sił swoich w ciasnéj sferze pracy zawodowéj, jedyna powinność, która na nim ciążyła—obrona kraju—w téj epoce długo trwałego pokoju wcale nie dawała się uczuć; miał on więc wszelką możność zwrócić swą działalność w tym kierunku jedynie, w którym go popychały wewnętrzne, indywidualne pobudki. A pole téj działalności

obszerne było niezmiernie. Europa cała wrzała niesłychanie bujném życiem. Wielkie prądy dziejowe odrodzenia i reformacyi do gruntu wstrząsnęły całym dotychczasowym ustrojem państw i narodów. Odrodzona cywilizacya starożytna otworzyła przed oczami ówczesnych ludzi nowe horyzonty a pod jéj wpływem znikła ascetyczna jednostronność wieków średnich; jednostka ludzka mogła teraz w całéj pełni rozwijać indywidualne swe przymioty. Zakwitły sztuki, nauki, poezya; w autorach starożytnych znaleziono nieznane dotąd zasady i pojęcia, w sztuce greckiéj ujrzano ideał pięknéj i harmonijnie rozwiniętéj natury ludzkiéj. Z drugiéj strony protestantyzm, podnosząc w imię zasad chrześciaństwa głos oburzenia przeciw temu wszechwładztwu pogańskiéj kultury, ogarniającéj swym wpływem kościół na równi z całém społeczeństwem, wystąpił zarazem przeciw wszelkim uznanym powagom i w samodzielnéj krytyce istniejących instytucyi religijnych wskazywał drogę do zreformowanéj prawdy chrześciańskiéj: zasady religijne i złączone z niemi kwestye polityczne i społeczne stały się przedmiotem publicznéj dyskusyi; tysiące sprzecznych dążeń ścierało się ze sobą na polu teoretycznych sporów i praktycznego współzawodnictwa.

Cała ta rozgłośna wrzawa donośném echem odbiła się w Polsce. Szlachta ówczesna, posiadając zupełną swobodę działania, a pełna przytém żywotnéj energii i wiary we własne siły, z zapałem rzuciła się w odmęt tego ruchu: nowość ją pociągała, własne widoki skłaniały do szukania sprzymierzeńców w agitujących się na zachodzie prądach religijnych i politycznych. Młodzież szlachecka, dzięki posiadanym środkom materyalnym, mogła tłumnie wyjeżdżać za granice i tam, u źródeł owego namiętnego ruchu zdobywać to wszystko, co było najwyższym wyrobem ówczesnéj pracy duchowéj. Na wszechnicach włoskich zapoznawała się ze skarbami literatury klasycznéj; w miastach tamtejszych oglądała niezrównanie piękne i doskonałe wzory sztuki; w Niemczech przysłuchiwała się zaciętym sporom teologicznym i zabierała znajomości z najznakomitszymi przedstawicielami dążeń reformatorskich.

Powróciwszy do kraju, przejęta nowemi ideami, stawała się gorliwą ich krzewicielką. Nadto cudzoziemscy reformatorowie, zwabieni potęgą polityczną i bogactwem Polski, panującą w niéj wolnością myśli i słowa, licznie odwiedzali nasze kraje, znajdując w nich dogodne pole dla propagandy swoich zasad. Nowo wynaleziona i rozpowszechniająca się szybko sztuka drukarska ułatwiała ogromnie tę propagandę; chciwa nowości szlachta chętnie dawała jéj posłuch.

Wkrótce zakotłowało w Polsce wrzące życie umysłowe.—Głębsza, poważna nauka nie znalazła wprawdzie wielu zwolenników, brakło po temu odpowiedniego wyrobienia myśli; zresztą ruchliwe i gwarne życie publiczne nie pozostawiało ani czasu, ani spokoju potrzebnego do uprawy gruntownéj wiedzy; sztuki piękne, wskutek ubóstwa a nawet braku miast większych, nie mogły zakwitnąć;—ale poezya, wykształco-

na na wzorach starożytnych, wspaniałym zajaśniała blaskiem;— literatura polityczno-społeczna doszła do wysokiego stopnia rozwoju. Szczególniéj ta ostatnia znalazła nader szerokie rozpowszechnienie, ponieważ zajmowała się sprawami przystępnemi dla całego ogółu szlachty, jako to reformą Rzplitéj, uporządkowaniem jéj praw, zabezpieczeniem wolności obywatelskich i t. p.— Przy tém pisarze polityczni, porzucając stopniowo łacinę, zaczęli przemawiać językiem narodowym, zrozumiałym dla wszystkich; jeśli nawet który z nich pisał po łacinie, to dzieło jego (jak np. O poprawie rzeczypospolitéj Modrzewskiego, lub Turcyki Orzechowskiego) zazwyczaj natychmiast tłómaczono na język polski. Stąd czytelnictwo rozpowszechniło się ogromnie; drukarnie powstawały nie tylko w większych miastach, ale nawet w miasteczkach i wsiach; możni panowie, idąc za popędem mody, ambicyi, lub też swoich politycznych i konfesyjnych widoków, protegowali uczonych, popierali wydawnictwa. A choćby nawet ktoś nie miał czasu i ochoty do czytania, to z rozmów towarzyskich, z wieści, które obiegały kraj cały, dowiadywał się o wielkich kwestyach, agitujących się na arenie życia publicznego. Odgłos walk parlamentarnych i sporów religijnych dochodził do najdalszych zakątków kraju, budził wszędzie żywe zajęcie, wyrywał umysły szlacheckie z ciasnéj sfery prywatnych stosunków, poruszał tysiące myśli i uczuć. Rozwinięte bardzo życie towarzyskie ułatwiało wymianę myśli — żadne zebranie nie obyło się bez ożywionych dyskusyi o rzeczach publicznych. Czy to głośna sprawa Orzechowskiego, czy doniosła kwestya egzekucyi i wiążące się z niemi liczne religijne i polityczne dążenia, musiały zajmować nawet najmniéj uczone i myślące głowy. Każdy szlachcic, mający choć trochę wyższéj ambicyi, czuł się w prawie zabierania głosu w sprawach publicznych; każdy pragnął odegrać jakąś ważniejszą rolę, zdobyć wybitne stanowisko w Rzplitéj.

Wśród takiéj pełni życia umysłowego można było znaleźć obfitą naukę: — ktokolwiek posiadał trochę bystrzejszą myśl, na każdym kroku znajdował sposobność obznajmienia się z najważniejszymi kwestyami czasu; nie trzeba było nawet jeździć na zagraniczne akademie, odbywać mozolne studya szkolne, aby się o nich dowiedzieć: znajdowano je na miejscu, zastosowane praktycznie w rozprawach sejmowych i sporach religijnych. Rozumie się gruntownéj wiedzy tą drogą nikt nie nabył, ale osiągano przez nią zewnętrzny polor umysłu, znajomość życia i jego stosunków; oświata nie głęboka, ale wszechstronna dosyć—i ku praktycznym zwrócona celom szerzyła się między ogółem szlachty; pod jéj wpływem cały ten ogół pełen młodzieńczéj żywości rwał się do czynu; pragnął żyć jaknajpełniejszém życiem, dążyć do wielkich celów.

Atoli ten wspaniały rozkwit żywotnych sił narodu drogo niezmiernie kosztował. Na to, aby szlachcic mógł pędzić życie bez troski, podróżować po zagranicznych krajach i nie myśląc o chlebie powszednim, zajmować się wielkimi kwestyami religii i polityki, —

liczna ludność robocza, jęcząc równie w Polsce jak i wreszcie Europy pod groźną swawolą stanu rycerskiego, musiała krwawą pracą dostarczać mu potrzebnych dla swywoli środków. Miasta upadały widocznie, bo wszechwładna szlachta dla siebie tylko wyzyskiwała wszelkie prawa i przywileje, nie troszcząc się wcale o ich los coraz smutniejszy; przemysł nie mógł się rozwijać, bo cła graniczne, które powinny go ochraniać, zniesiono, jako przeciwne interesom szlacheckim;—handel był w zupełnym zastoju, tylko zboże polskie masami płynęło do Gdańska, unosząc ze sobą do obcych krajów część bogactwa narodowego [1]) a pieniądze, które za nie wpływały, poszły na zbytki, na utraty, szerzyły zepsucie i demoralizacyą.

Ludzie, głębiéj na rzeczy patrzący, widzieli złe skutki ztąd mogące wyniknąć; ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Ale ogół powierzchowny i lekkomyślny głuchym był na te przestrogi, cieszył się obecném szczęściem, nie troszcząc się o przyszłość, która srogo się zemścić miała na tym stanie uprzywilejowanym, upośledzając go pod względem moralnym, intellektualnym, fizycznym i ekonomicznym, aż przyszło do dzisiejszéj poniewierki.

Burzliwe fale tego potoku dążeń i zapałów, nieokiełznane przez pierwiastek porządku i władzy, uniosły Polskę na skały anarchii, na których rozbił się jéj byt polityczny. Ale w XVI wieku daleko było jeszcze do tego: zasoby były ogromne, potęga polityczna zdawała się ustaloną. Pogodne słońce jaśniało nad polskimi krajami; w jego promieniach wszystko wrzało życiem, wszędzie panował ruch niesłychany, rozbrzmiewał gwar różnorodnych dążeń i zabiegów.

W téj świetnéj epoce bytu narodowego, wśród téj pełni życia kształcił się i rozwijał umysł owego Poczciwego szlachcica, któremu sądzono było zostać patryarchą literatury polskiéj.

Rej z natury posiadał niepospolite przymioty: — silną organizacyą fizyczną, ogromny zapas wewnętrznéj żywotności i energii, umysł bystry, wrażliwy, żywą wyobraźnię, wiele zdrowego rozsądku i jasności sądu. Już w dzieciństwie okazywał niemało sprytu, wskutek czego krewni przepowiadali „iż Mikołajek nie zależy na starość gruszek w popiele“ (Trzycieski). Była to jednak natura gruba i prostacka dosyć, mało skłonna do subtelniejszych wzruszeń psychicznych, do wyższego polotu ducha. Wychowanie nie przyczyniło się do zmodyfikowania wrodzonego usposobienia. Umysłu młodego Mikołajka nie rozwinięto w systematycznéj szkole; wrażliwości zmysłowéj nie uszlachetniono przez wpływ wyższéj kultury. Nie mógł téż ten umysł wznosić się do wyższych sfer abstrakcyjnego myślenia i był pozbawiony poczucia dla delikatniejszych wrażeń estetycznych.

---

[1]) Łatwości zbytu zboża w Gdańsku nie liczylibyśmy do klęsk narodowych w kraju przeważnie rolniczym. Ogólnych wad europejskich nie piętnowalibyśmy jako wady i przywary wyłącznie naszego społeczeństwa. *Red.*

Wchodząc w świat, był Rej typem natury bogatéj w zasoby wewnętrzne, lecz zarazem nieokrzesanéj bardzo i pierwotnéj, reprezentował doskonale owo młodzieńcze, mało psychicznie wyrobione społeczeństwo, z którego wyszedł. Wkrótce porwany został przez wir tego bujnego życia, które wrzało dokoła niego. „Światek smakował mu bardzo," jak mówi Trzycieski. Energia wewnętrzna bogatéj jego natury znajdowała ujście w wesołym i hulaszczym trybie życia. Charakter łatwy, dowcip żywy i bystrość wrodzona czyniły go pożądanym i miłym towarzyszem;—w gronie podobnych sobie wesołych kompanów trawił czas na bezmyślnych hulankach i uciesznych a pustych krotofilach.

Jednocześnie wszakże i poważniejsza strona życia nie pozostała bez wpływu na tę bujną naturę. Ocierając się na dworze Tęczyńskiego o ludzi światłych i uczonych, poznał młody Mikołajek swoje nieuctwo; obudziła się w nim wyższa ambicya. Począł się tedy zastanawiać nad sobą, uczyć po trochu i tak „z listów, z rozmów między pisarzami, z czytania, a snadź więcéj z natury jął się przegryzować po trosze, z łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał tedy się pytał." Niezwyczajne zdrowie, potężna organizacya fizyczna pozwoliły mu noce całe zajmować się nauką, a dnie poświęcać towarzystwu.

Pod wpływem tego wniknięcia w siebie obudziła się w nim zdolność twórcza. „Teksty dziwne a wiersze rozmaite, tak nic nie rozmyślając, czynił." Nie znając łaciny pisał po polsku, wskutek tego wkrótce szeroko się rozeszła jego sława, pobudzając tembardziéj wrodzoną ambicyą. Rozumie się jednak, że ta powierzchowna dorywcza nauka, oraz warunki życia, wśród których się obracał, nie mogły silniéj wpłynąć na zmianę wrodzonego usposobienia, umysł jego nie wyrobił się odrazu.

Dzięki olbrzymiemu zasobowi sił i niesłychanéj ruchliwości umysłu Rej pisał nadzwyczaj dużo. Ale strona jakościowa nie odpowiadała w jego pismach ilościowéj. Wskutek braku intellektualnéj i estetycznéj kultury panuje w jego poczyach ton nader poziomy, brak wyższego polotu a forma ich jest nieokrzesana i chropowata. Nieraz wprawdzie błyśnie w nich jakaś trafna myśl, lub jakieś wyrażenie dosadne i malownicze uderzy wyobraźnią, zawsze widać znajomość życia, zdrowy rozsądek i szlachetne dążenia, ale obok tego mnóstwo myśli pospolitych, wyrażeń trywialnych psuje dobre wrażenie i dotkliwie razi nasze poczucie estetyczne.

Jednakże nie było przeznaczono Rejowi uwięznąć w téj tak niedoskonałéj fazie twórczości. Wyższy talent jego powoli wydobywał się z pod wpływu niekorzystnych warunków zewnętrznych. Szczęśliwa, pełna wewnętrznego zdrowia organizacya psychiczna, rozwijając się normalnie, zwróciła jego umysł na właściwą drogę i pozwoliła mu pozbyć się wszystkiego, co zaciemniało przyrodzoną jasność i konsekwencyą myśli. Wyszumiało młode piwko, wyburzyła się dzi-

ka, nieokiełznana energia bujnéj natury młodzieńczéj, z wiekiem przychodził statek, rozwaga, wrodzony zdrowy rozsądek zaczął coraz więcéj brać górę.

Tymczasem w ciągu owego bujnego żywota ogromne zasoby doświadczenia wzbogaciły umysł naszego pisarza. Ocierając się wiele o ludzi w najrozmaitszych stosunkach życia, a obdarzony przytem niepospolitym darem spostrzegawczym, poznał on na wylota przy świetle zdrowego rozsądku, jasno odróżnił to, co posiadało rzeczywistą wartość w życiu od tego, co błyszczało fałszywym blaskiem, lub burzyło się w smętnych szumowinach pospolitych żądz i namiętności.

Usunąwszy się na starość od zamieszanych stosunków światowych i rozmyślając w spokoju o tém „jako się świat kołysze w różnych obłędnościach, jako się ludzie broją w dziwnych omylnościach“ umyślił Rej zamknąć całe swoje doświadczenie życiowe w dziele, któreby każdemu wskazywało drogę, jaką ma obrać w życiu i ostrzegało przed tém wszystkiém, co może przynieść ujmę jego cnocie i obowiązkom. Tak powstało „Zwierciadło albo kształt, w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jak we zwierciadle przypatrzyć.“ Dzieło to składa się z kilku pism pojedynczych, różnych bardzo rozmiarami, lecz zbliżonych treścią. Z pomiędzy wszystkich utworów Reja najgłówniejszy jest co do treści, rozmiarów i znaczenia literackiego „Żywot człowieka poczciwego,“ którym się szczegółowiéj zająć postanowiliśmy.

„Zwierciadło“ jest koroną działalności pisarskiéj Reja—jest to jakby duchowy jego testament, zawierający w sobie ostateczne wyniki długoletniego doświadczenia, esencyą całéj jego mądrości życiowéj. Tutaj dopiero zajaśniały w pełni niepospolite przymioty jego umysłu: jasność i konsekwencya myśli, trzeźwy i rozumny pogląd na stosunki życia; wolny od wszelkich stronniczych uprzedzeń i namiętnych uniesień, a przytem niezrównany talent pisarski, przyodziewający całą osnowę dzieła w barwną szatę nadzwyczaj pięknego stylu, pełnego ruchu życia i werwy.

Chociaż „Zwierciadło“ przewyższa ogromnie wszystkie poprzednie pisma Reja, nie różni się jednak od nich zasadniczym swym charakterem,—odnajdujemy bowiem w niém nietylko zalety, ale i wady, znamionujące indywidualność Reja w całéj jego działalności pisarskiéj. Próżnoby tu szukać głębokich myśli i poglądów, wyższego polotu ducha, estetycznéj równowagi i harmonii formy, bo te cechy nie mogły się wyrobić w Reju już to skutkiem wrodzonego usposobienia, już też i warunków jego życia. Wyższość tego pisma polega głównie na tém, że, gdy zalety talentu autora występują w niém w całéj pełni, to wady zredukowane zą do zaledwie dostrzegalnego minimum. Przytem natura przedmiotu nadaje się zupełnie do rodzaju i kierunku uzdolnienia Reja. Jest on tu w swoim żywiole, pisze o rzeczach, które doskonale zna i pojmuje, rozległość zaś myśli

i uczuć tu zawartych nie przechodzi zakresu jego wyobraźni, tak iż zawsze znajduje odpowiednie i nader trafne formy zmysłowe dla zewnętrznego ich wyrażenia.

Wszystkie te dodatnie strony szczególnie wybitnie dają się dostrzedz w głównéj części Zwierciadła, w „Żywocie człowieka poczciwego.“ Utwór ten przedstawia nam pewien skończony, zamknięty w sobie całokształt myśli, zawarty w formie nieporównanie wyraziściéj i plastycznéj.

Przyjrzyjmy się bliżéj ogólnemu charakterowi tego całokształtu.

Jak sam tytuł dzieła wskazuje, chodzi w niém o przedstawienie ideału moralnéj doskonałości człowieka. Wszelkie idealne wytwory naszéj myśli są rezultatem ogółu doświadczenia, przetworzonego stosownie do naturalnych zasobów naszego umysłu. Autor „Żywota“, jak wiadomo, z natury i z wykształcenia mało posiadał zdolności do abstrakcyjnéj myśli, a w następstwie tego—zewnętrzne wrażenia przedstawiały mu się w formie przeważnie konkretnéj a nie rozwijały się w jakieś szerokie, idealne uogólnienia, wytwarzały raczéj pewne całości pojęciowe, odznaczające się wybitnie konkretnym charakterem. Stąd wynikło, iż ideały Reja musiały pozostawać w ścisłéj łączności z zewnętrznymi warunkami życia, musiały być bezpośrednim wynikiem ogólnéj sumy realnych wrażeń życiowych.

Wiadomo zaś, iż nasz pisarz przez całe swoje życie obracał się wyłącznie w kole miejscowych, szlachecko polskich stosunków. Sam on o sobie mówi:

Bom ja też prosty polak, nigdzie nie jeżdżając,
Tum się pasł na dziedzinie, jako w lesie zając.

Chociaż więc w Zwierciadle chodziło o przedstawienie ideału poczciwego człowieka w ogólném pojęciu, to poczciwy ten człowiek nie mógł się Rejowi przedstawić inaczéj jak pod postacią szlachcica polskiego. Cały ogół zawartych tutaj moralnych poglądów i myśli zaczerpnięty jest wyłącznie z tradycyi narodowéj i zastosowany do warunków polsko-szlacheckiego życia. Zdrowy rozsądek, cechujący Reja i tak wybitnie dominujący w jego umyśle w epoce powstania Zwierciadła, sprawił, iż umiał on z tradycyi narodowéj wyosobnić prawdziwie dodatnie i zdrowe żywioły, odrzucając to wszystko, co jako wynik prądów chwilowych lub chorobliwych zboczeń, nie stanowiło integralnych jéj części.

A tradycya owa pełna była żywotnéj treści i zasobna w zdrowe pierwiastki. Wiek XVI odziedziczył ją po poprzedzającéj epoce, w któréj naród w pełni sił i zdrowia dokonał najświetniejszych swych czynów i nagromadził ogromne zasoby materyalnych i duchowych środków. Kwestya nader żywotna przedstawiała się teraz: jak zużytkować te zasoby? W jakim kierunku prowadzić daléj pracę poprzednich pokoleń?

Rozmyślali nad tém głęboko ludzie wyższego umysłu, rozmaicie rozstrzygając to zadanie. Jedni, jak Siennicki z gronem wybitniejszych posłów sejmowych, Modrzewski, Przyłuski i t. d. szukali w reformacyi pierwiastku silnéj władzy państwowéj; inni, jak Orzechowski, w katolicyzmie widzieli spójnią polityczną ustroju rzeczypospolitéj; inni jeszcze, jak Górnicki wskazywali jako wzór oligarchią wenecką, lub jak Warszewicki absolutyzm austryacki: wszyscy wołali o władzę, organizacyą, ład rządowy; pragnęli ująć cały ten chaos dążeń w jakiś system racyonalny, zwrócić go w ściśle określonym kierunku. Ogół szlachecki niewiele się troszczył o racyonalny system, władzy wszelkiéj nie cierpiał, do ładu nie czuł wcale pociągu. Odrzuciwszy wszelkie więzy absolutyzmu monarszego, drżał tylko, aby mu ich na nowo nie nałożono i chcąc się od tego zabezpieczyć, chwytał się wszelkich prądów, prowadzących do rozszerzenia zakresu swobód politycznych i obywatelskich. Ciążyły mu jeszcze więzy autorytetu kościelnego, reformacya religijna obiecywała od nich uwolnić; nie wiele więc filozofując nad stroną jéj dogmatyczną i teologiczną, z właściwą sobie fantazyą rzuca się ten tłum ruchliwy w wir reformatorskich dążeń.

Wiemy, iż i nasz „poczciwy szlachcic polski“ Rej nie pozostaje w tyle i z innymi pędzi za śladem krzykliwych haseł nowéj nauki [1]). Atoli wkrótce zdrowy rozum hamuje te zapędy; przy jego świetle ujrzał ów rubaszny rzecznik nowinek geneweńskich całą niedorzeczność téj bezładnéj ruchawki. Nie miał on tyle rozumu, aby, jak Modrzewski, budować na podstawie reformy religijnéj wspaniałe systemy polityczne; miał go zaś zbyt wiele, aby być pochłoniętym przez zapalczywość bezmyślną szlacheckiego tłumu.

W następstwie tego zaczął się Rej wycofywać z téj agitacyi stronniczéj i zajmować coraz bardziéj neutralne stanowisko wśród walczących obozów. Zwrócił się do téj sfery, gdzie się czuł w swoim żywiole, gdzie jego czysto polska natura mogła pełną piersią wciągać w siebie ożywczą atmosferę pojęć i wyobrażeń narodowych, zwrócił się do owych zasobów duchowych, tak obficie nagromadzonych przez przeszłość i czerpiąc pełną dłonią ze skarbów téj arki przymierza między dawnymi i nowymi laty, utworzył to swoje niezrównane „Zwierciadło,“ w którém tak jasno, tak wyraźnie odbiło się zdrowe i czerstwe oblicze narodowéj tradycyi. Tém donioślejsze zaś zna-

---

[1]) P. Bołcikowski (ze studyów nad literaturą polską, wydanie pamiątkowe, Warszawa 1886 str. 37) utrzymuje, że „nie lekkomyślność, jak wiele głów tamtoczesnych przeciągnęła Reja na stronę protestantyzmu, ale umysł głębiéj rzeczy biorący, rozsądny, a przedewszystkiém realny na każdym kroku i z tego powodu zgadzający się z duchem epoki, która reformę Lutra wywołała.“ Twierdzenie to wydaje mi się niezupełnie słusznem. Niewątpliwie, iż Rej, przewyższając ogół szlachecki wrodzoną inteligencyą, głębiéj nieco mógł od niego pojmować znaczenie re-

czenie ma dla nas obecnie to odbicie, iż dokonane zostało w epoce, gdy owa tradycya miała uledz radykalnym przemianom pod wpływem parcia gwałtownego ówczesnych dążności; na chwilę przed tém, zanim ona została zamąconą i skrzywioną przez późniejszy doktryneryzm polityczny i przez niedorzeczne utopie wyuzdanéj wolności. Jakkolwiek bowiem za czasów Reja już anarchia zaczęła podnosić głowę, nie stała się ona jeszcze programem politycznym całéj szlachetczyzny. Żyły jeszcze zdrowe pojęcia w rozumniejszych głowach; prawdziwe uczucia obywatelskie nie wygasły jeszcze w sercach ogółu; mógł więc Rej znaleźć w życiu ówczesném obfite źródło rozumnéj tradycyi i odtworzyć ją w swoim „Żywocie człowieka poczciwego."

Jednakże sama osnowa tradycyjnych pojęć nie stanowi jedynéj zalety „Żywota." Wiemy, że owe pojęcia czerpał Rej bezpośrednio z rzeczywistości życiowéj, wśród któréj za młodych swoich lat tak żwawo się uwijał. Jego żywa, twórcza wyobraźnia pozwoliła mu wiernie zachować i odtworzyć z niezrównaną plastyką i kolorytem różnobarwne obrazy, przesuwające się przed nim w ruchliwym kalejdoskopie życia. Dla tego owe pierwiastki tradycyjnéj mądrości przedstawione są nie w oderwanéj teoryi moralności, lecz wcielone w żywe, plastyczne kształty obrazów poetyckich, lub też rozwinięte w pełnéj ruchu i werwy dramatycznéj akcyi. Z drugiéj strony, przeciwstawiając owym dodatnim ideałom życia różne jego streny ujemne, porozrzucał Rej po swém dziele mnóstwo obrazków satyrycznych, nakreślonych z humorem i werwą, tu i owdzie naszkicował wyborne sylwetki charakterów ludzkich i takim sposobem rozwinął przepyszny obraz życia, pełen barwy i ruchu, dający nam wierne pojęcie o stosunkach i ludziach ówczesnych.

---

formacyi. Ale głębokość to względna bardzo, cała działalność pisarska autora „Żywota" wskazuje, iż nie odznaczał się on siłą i rozległością myśli, ani uzdolnieniem do filozoficznéj refleksyi. W obec tego trudno téż przypuszczać, aby mógł on pojmować istotę ducha protestanckiego, który właśnie był objawem refleksyjnego nastroju umysłów. Z drugiej strony usposobienie Reja, tryb życia, wreszcie charakter pierwszych pism jego, w których, jak sam p. Bełcikowski utrzymuje, jest tylko sarkazm i dowcip rubaszny a brak zupełny filozoficznéj myśli: wszystko to wskazuje, iż w początkowych przynajmniéj swoich wystąpieniach przeciw katolicyzmowi powodował się Rej nie głębszym rozmysłem, lecz głównie bujną fantazyą i lekkomyślną butą, i w tem jest zupełnie podobny do ogółu swoich szlacheckich współbraci. Wyższość Reja nad tym ogółem nie tyle polegała na głębokości myśli, ile na większéj jéj precyzyi, jasności i konsekwencyi; nie wnikał on w głąb rzeczy, zatrzymywał się na powierzchni, ale w tym zakresie widział jasno i dokładnie.

I. Przegląd i rozbiór dzieła.

Chcąc wystawić ideał człowieka poczciwego, poczyna sobie Mikołaj Rej w sposób bardzo prosty: rozważa mianowicie życie ludzkie w całéj jego rozciągłości, od kolebki do grobu; zastanawia się nad obowiązkami człowieka w różnych epokach życia, wskazuje wady i błędy, właściwe każdemu wiekowi i ztąd wyprowadza pewne maksymy i prawidła moralne.

Całe dzieło składa się z trzech części: pierwsza obejmuje wiek młodzieńczy, druga średnie lata, trzecia wreszcie starość człowieka poczciwego.

Rozpoczyna Rej rzecz swoję od stworzenia świata; opowiada wedle biblii o Adamie i o Ewie, i o wężu, i o drzewie; następnie rozwija swój pogląd na naturę ludzką i prawa nią rządzące.

Poznajmy ten pogląd. Nie jest on wcale oryginalny, a tém mniéj głęboki; można w nim jednak zaznaczyć pewne charakterystyczne cechy naszego domorosłego mędrca.

Przedewszystkiém ze swego protestanckiego stanowiska wygłasza Rej zasadę, że natura ludzka podlega pewnym stałym prawom; odrzuca więc średniowieczną teoryą rządów świata przez Opatrzność, co po swojemu w dosyć naiwny sposób tłómaczy „żećby to niepotrzebna praca była tego tak wielmożnego bóstwa, aby po pięci albo po sześci tysięcy lat o najmniejszym człowieku wiedzieć a postanowić miał, ale jako raz rzekł, a jako raz postanowił i mocnym swym dekretem utwierdził i zapieczętował, także się to już tak aż do skończenia świata zawżdy toczyć i sprawować musi."

Rozumie się, iż Rej nie formułuje jasno i ściśle zasady powszechności praw w naturze, nie rozumie całéj jéj rozległości, boć też to pojęcie jest dopiero dziełem najbliższych nam czasów, w każdym razie jednak w pewnym zakresie nasz autor jasno ją dosyć pojmuje.

Jakież to są prawa, którym podlega natura ludzka?

Oto, wedle Reja, człowiek przynosi z sobą na świat pewne wrodzone usposobienie, wynikające z jego ustroju cielesnego, a mianowicie z przewagi w nim jednego ze składowych płynów, czyli wilgotności, jak się wyraża: krwi, żółci, flegmy i melancholii; nadto wpływ planet panujących na niebie podczas urodzenia dziecka, wytwarza w niém różne skłonności, wiodące go do złego lub dobrego. Takim sposobem charakter moralny człowieka z góry jest już skreślony przez pewien ciążący nad nim fatalizm. Jednakże nie jest on podległy absolutnie téj przyrodzonéj fatalności; — ma ona jedynie moc nad cielesną stroną natury ludzkiéj; bo człowiek posiada prócz tego pierwiastek niemateryalny, duchowy, który Rej nazywa naprzemian duszą lub rozumem, nie rozróżniając tych dwóch pojęć.

Ta strona duchowa powinna panować nad skłonnościami cielesnymi i zwracać je w kierunku zgodnym z przeznaczeniem człowieka;—przykazania i prawa boskie wskazują mu to przeznaczenie. Dla tego nikt nie ma prawa usprawiedliwiać się wrodzonymi skłonnościami; każdy bowiem może je opanować siłą rozumu i, oświecony światłem nauki chrześciańskiéj, dążyć do cnoty i mądrości.

Powyższy pogląd nie zawiera żadnéj głębszéj, oryginalnéj myśli, streszcza tylko panujące wówczas popularne religijne i naukowe opinie;—jednak w tém streszczeniu przyznać trzeba pewną jasność i konsekwencyą myśli:—przymioty, które stanowią wybitną cechę umysłowości Reja.

Opierając się na swojéj teoryi, mówi autor następnie o wychowaniu dzieci i naucza rodziców, jak powinni uwzględniać usposobienie wrodzone dziecka i do niego stosować środki wychowawcze. Jednakowoż w dalszym ciągu niewiele się troszczy o swoję teoryą psychologiczną i opiera się wyłącznie na doświadczeniu oraz na tradycyi i obyczaju narodowym. Rozważa kolejno wychowanie fizyczne, religijne i naukowe. W pierwszém zaleca przedewszystkiém prostotę i skromność;—radzi przyzwyczajać dzieci do potraw prostych, do sukni skromnych; każe unikać wszystkiego, co się przyczynia do rozpieszczenia i wydelikatnienia natury dziecka, gdyż głównem zadaniem powinno być wychowanie ludzi silnych, zdrowych, nie zaś słabych i delikatnych pieszczochów. Pogląd ten w zasadzie trafny i rozumny, pojęty jest jednak przez Reja w sposób dosyć gruby i prostacki; oczywiście, iż w ten sposób pojmowany mógłby on znaleźć zastosowanie tylko przy pewnym dosyć nizkim poziomie towarzyskiéj i estetycznéj kultury, nie dałby się pogodzić z wyższemi wymaganiami estetyki życia. Oto np. jak sobie Rej wyobraża ideał fizycznego zdrowia: „Patrz na te kraje, gdzie cebrem piwo piją, a pani matka i w sześci niedzielach donicę z grzankami czasem nachyli, jacy się chłopi, by żubrowie rodzą, bo jeszcze w brzuchu utyje jako prosię, urodzi się jako cielę, a urośnie jako wół“ [1]) (str. 23). Jest to zapewne dobitny bardzo obraz natury fizycznie silnéj i zdrowéj, — ale oczywiście ten chłop, co na grzankach i piwie „uroście jako wół“ nie będzie się odznaczał ani bardzo lotnym umysłem, ani zbyt delikatną i estetycznie wrażliwą naturą. Zresztą Rej nie rozwija obszernie swych poglądów na wychowanie fizyczne; lecz poprzestając na kilku ogólnych uwagach, przechodzi do jego strony religijnéj. Uznając naiwność zaszczepiania w młodocianym umyśle zasad religijnych, dodaje, iż w zamęcie pojęć, jaki współcześnie panuje, trudno nieraz rozróżnić zasad prawdziwych

[1]) Powołuję się na wydanie „Biblioteki Mrówki“ Tom 110—115, Lwów, 1881. Str. 651 i 5,—księgarnia polska Bartoszewicza i Biernackiego.

od fałszywych;—radzi tedy przedewszystkiém nie zważać na wywody i filozofowania mędrków, a trzymać się ściśle litery Pisma świętego. Dla bliższego wyjaśnienia téj rady rozważa najgłówniejsze zasady religijne, jako to: o istności i naturze Boga, o stosunku człowieka do niego, a powołując się na tekst Pisma świętego, wyjaśnia je w sposób prosty, naturalny, niekiedy dosyć naiwny, czyniąc od czasu do czasu wycieczki polemiczne przeciw racyonalistom i filozofom krańcowych sekt protestanckich. W całym tym ustępie okazuje się charakterystycznie stanowisko religijne Reja. Jeden z najgorliwszych rzeczników reformacyi, wycofał się następnie z ruchu religijnego i chociaż nie powrócił do katolicyzmu, jednakowoż, kierując się swoim prostym rozumem, ujrzał jasno całą nieużyteczność i jałowość podnoszonéj bez końca przez reformatorów polemicznéj wrzawy. W obec katolicyzmu zajmuje stanowisko protestanta, tradycyi kościelnéj nie uznaje, ale nie skłania się téż do żadnéj z panujących sekt protestanckich; odrzucając wszelkie teologiczne subtelności, trzyma się najbardziéj utartego pojmowania prawd religijnych, które w gruncie rzeczy niewiele się różni od katolickiego.

Przechodząc do wykształcenia umysłu rozwodzi się Rej we wstępie nad doniosłemi korzyściami, które ono człowiekowi przynosi, lecz zapatruje się na nie z właściwego sobie dosyć jednostronnego i ciasnego punktu widzenia. Ceni naukę o tyle, o ile ona przyczynia się do kształcenia charakteru, wyrobienia pojęć moralnych, o ile umożliwia opanowanie namiętności i jest kierowniczką naszego postępowania, zupełnie zaś niemal pomija jéj znaczenie w sprawie rozszerzenia zakresu wiedzy. Taki pogląd wynikał konsekwentnie z ogólnego stanowiska Reja. Czerpie on bowiem całą swoję mądrość z rzeczywistości życiowéj; umysł jego nie wznosi się do szerszych teoretycznych uogólnień, lecz zawsze krąży w sferze bezpośrednio go otaczających konkretnych warunków. Stąd wynikają wszystkie ujemne i dodatnie strony jego poglądów:—z jednéj strony ograniczoność ich zakresu oraz nizki poziom, z drugiéj niezmierna jasność i trzeźwość sądu, oraz ten zdrowy, praktyczny rozum, który nieraz w danéj sferze stokroć lepiej się oryentuje aniżeli najbystrzejsza myśl spekulatywna.

Rozważmy tedy zapatrywanie Reja na teoretyczną naukę.

Rej uważa że wszelka nauka, która nie może być zastosowaną w życiu, nie wiele warta. „Albowiem co pomogą wystawne a ony zafarbowane z gramatyki słówka, jeśli prawda a skutek daleko się z niemi mija? Są prawie jako gdy na się kto cudną szatę oblecze, a błotem ją opluska, albo pierzem nastrzępi. Albo co pomoże geometrya, iż się kto nauczy świata albo cudzych gruntów rozmierzać, gdy się sam rozmierzyć poczciwie nie umie, albo i tego gruncika, co mu Pan Bóg dał, aby go umiał pobożnie, pomiernie a spokojnie używać, wedle chrześcijańskiéj powinności swojéj. Albo co też komu pomoże umieć astronomią, to jest, z biegów niebieskich przyszłe a przypadło

rzeczy, a on i tych, co przed oczyma ma, nie umie użyć ani rozeznać... albo się nauczy z arytmetyki jako cudze tysiące rozmierzać a swéj trochy rozmierzyć nie umie, jakoby jéj pobożnie, pomiernie użył wedle stanu swego“ (str. 47). Rej zdradza tutaj niepojmowanie odległych korzyści, które umysł ludzki osiąga z rozszerzenia zakresu wiedzy, z poznania prawdy saméj w sobie. Z drugiéj strony jednak w całym powyższym ustępie widać zdrowy rozsądek, który nie może się wznieść do szerszego pojęcia abstrakcyjnego umysłu, ale jednocześnie jasno widzi granicę, oddzielającą rzeczywistość od abstrakcyi, dwie całkiem odrębne sfery, które tak często mieszają z sobą niedouczeni mędrkowie i powierzchowni ideolodzy. Rej nie pojmuje wprawdzie istotnego znaczenia abstrakcyi w stosunku do odległéj rzeczywistości, ale doskonale ocenia jéj stosunek do rzeczywistości bezpośrednio go otaczającéj; — z tego punktu widzenia ocenia on wszystkie nastręczające mu się kwestye. Punkt ten nie wznosi się wysoko, ale raz na nim stanąwszy, widzi nasz autor niezmiernie jasno i dokładnie te wszystkie czynniki życia, które z niego dojrzeć można. Co więcéj: właściwy Rejowi zdrowy rozsądek i konsekwencya myśli pozwalają mu niekiedy bardzo trafnie oceniać niedostatki ówczesnéj nauki,—jak to np. widzimy w zdaniu jego o logice: „Też i logika nie wiem coby nam do polskiego ćwiczenia wiele pomódz mogła, ktora też nic uczy jedno wykrętnych słówek, jakoby z prawdy nieprawdę uczynić, a prawdę z nieprawdy; a też dobremu przyrodzeniu z łaski Bożéj mało się tego uczyć potrzeba. Najdzie dziś drugiego, chociaż się prostaczkiem widzi, iż to tak dobrze będzie umiał wykręcić, jak, wierę nanauczeńszy mistrz w kollegium“ (str. 461). Wiadomo, iż rzeczywiście panująca jeszcze wówczas scholastyczna logika niewiele się przyczyniała do kształcenia umysłu, bo przez swoję zawiłą dyalektykę niekiedy bardziéj zamącała niż rozjaśniała pojęcia ludzkie.

W dalszéj już konsekwencyi przywiązuje Rej małą wagę do książkowéj nauki, mówiąc, „iż lepszy jest zawżdy głos niż zdechła skóra, co ją na pargamin wyprawują.“ Wreszcie naturalną jest też rzeczą, iż Rej ze swego stanowiska nie umie należycie ocenić znaczenia estetycznego wykształcenia umysłu: najprzód, sam nie posiadał wyżéj rozwiniętego estetycznego poczucia, następnie, nie pojmując odległych korzyści, płynących z nauki teoretycznéj, nie może też rozumieć tych pożytków, które przynosi człowiekowi harmonijne rozwinięcie władz jego duchowych za pośrednictwem piękna. Dlatego pomija on zupełnie kształcący wpływ sztuk pięknych: o sztukach plastycznych nie wspomina nawet. Muzykę, którą, jak o tém świadczy Trzycieski, sam bardzo lubił, chociaż chwali wprawdzie kilkakrotnie, ale tylko jako przyjemną, bardzo lekką zabawkę, w poezyi wreszcie widzi jedynie bezpośrednią korzyść moralną, którą z niéj można wyciągnąć; przypisuje jéj tylko dodatkowe znaczenie w kształceniu umysłu, jako pożytecznéj rozrywki, która nie powinna być brana zbyt seryo.

od fałszywych;—radzi tedy przedewszystkiém nie zważać na wywody i filozofowania mędrków, a trzymać się ściśle litery Pisma świętego. Dla bliższego wyjaśnienia téj rady rozważa najgłówniejsze zasady religijne, jako to: o istności i naturze Boga, o stosunku człowieka do niego, a powołując się na tekst Pisma świętego, wyjaśnia je w sposób prosty, naturalny, niekiedy dosyć naiwny, czyniąc od czasu do czasu wycieczki polemiczne przeciw racyonalistom i filozofom krańcowych sekt protestanckich. W całym tym ustępie okazuje się charakterystycznie stanowisko religijne Reja. Jeden z najgorliwszych rzeczników reformacyi, wycofał się następnie z ruchu religijnego i chociaż nie powrócił do katolicyzmu, jednakowoż, kierując się swoim prostym rozumem, ujrzał jasno całą nieużyteczność i jałowość podnoszonéj bez końca przez reformatorów polemicznéj wrzawy. W obec katolicyzmu zajmuje stanowisko protestanta, tradycyi kościelnéj nie uznaje, ale nie skłania się też do żadnéj z panujących sekt protestanckich; odrzucając wszelkie teologiczne subtelności, trzyma się najbardziéj utartego pojmowania prawd religijnych, które w gruncie rzeczy niewiele się różni od katolickiego.

Przechodząc do wykształcenia umysłu rozwodzi się Rej we wstępie nad doniosłemi korzyściami, które ono człowiekowi przynosi, lecz zapatruje się na nie z właściwego sobie dosyć jednostronnego i ciasnego punktu widzenia. Ceni naukę o tyle, o ile ona przyczynia się do kształcenia charakteru, wyrobienia pojęć moralnych, o ile umożliwia opanowanie namiętności i jest kierowniczką naszego postępowania, zupełnie zaś niemal pomija jéj znaczenie w sprawie rozszerzenia zakresu wiedzy. Taki pogląd wynikał konsekwentnie z ogólnego stanowiska Reja. Czerpie on bowiem całą swoję mądrość z rzeczywistości życiowéj; umysł jego nie wznosi się do szerszych teoretycznych uogólnień, lecz zawsze krąży w sferze bezpośrednio go otaczających konkretnych warunków. Stąd wynikają wszystkie ujemne i dodatnie strony jego poglądów:—z jednéj strony ograniczoność ich zakresu oraz nizki poziom, z drugiéj niezmierna jasność i trzeźwość sądu, oraz ten zdrowy, praktyczny rozum, który nieraz w danéj sferze stokroć lepiéj się oryentuje aniżeli najbystrzejsza myśl spekulatywna.

Rozważmy tedy zapatrywanie Reja na teoretyczną naukę.

Rej uważa że wszelka nauka, która nie może być zastosowaną w życiu, nie wiele warta. „Albowiem co pomogą wystawne a ony zafarbowane z gramatyki słówka, jeśli prawda a skutek daleko się z niemi mija? Są prawie jako gdy na się kto cudną szatę oblecze, a błotem ją opluska, albo pierzem nastrzępi. Albo co pomoże geometrya, iż się kto nauczy świata albo cudzych gruntów rozmierzać, gdy się sam rozmierzyć poczciwie nie umie, albo i tego grunciku, co mu Pan Bóg dał, aby go umiał pobożnie, pomiernie a spokojnie używać, wedle chrześcijańskiéj powinności swojéj. Albo co też komu pomoże umieć astronomią, to jest, z biegów niebieskich przyszłe a przypadłe

rzeczy, a on i tych, co przed oczyma ma, nie umie użyć ani rozeznać... albo się nauczy z arytmetyki jako cudze tysiące rozmierzać a swéj trochy rozmierzyć nie umie, jakoby jéj pobożnie, pomiernie użył wedle stanu swego“ (str. 47). Rej zdradza tutaj niepojmowanie odległych korzyści, które umysł ludzki osiąga z rozszerzenia zakresu wiedzy, z poznania prawdy saméj w sobie. Z drugiéj strony jednak w całym powyższym ustępie widać zdrowy rozsądek, który nie może się wznieść do szerszego pojęcia abstrakcyjnego umysłu, ale jednocześnie jasno widzi granicę, oddzielającą rzeczywistość od abstrakcyi, dwie całkiem odrębne sfery, które tak często mieszają z sobą niedouczeni mędrkowie i powierzchowni ideolodzy. Rej nie pojmuje wprawdzie istotnego znaczenia abstrakcyi w stosunku do odległéj rzeczywistości, ale doskonale ocenia jéj stosunek do rzeczywistości bezpośrednio go otaczającéj; — z tego punktu widzenia ocenia on wszystkie nastręczające mu się kwestye. Punkt ten nie wznosi się wysoko, ale raz na nim stanąwszy, widzi nasz autor niezmiernie jasno i dokładnie te wszystkie czynniki życia, które z niego dojrzeć można. Co więcéj: właściwy Rejowi zdrowy rozsądek i konsekwencya myśli pozwalają mu niekiedy bardzo trafnie oceniać niedostatki ówczesnéjnauki,—jak to np. widzimy w zdaniu jego o logice: „Też i logika nie wiem coby nam do polskiego ćwiczenia wiele pomódz mogła, ktora też nic uczy jedno wykrętnych słówek, jakoby z prawdy nieprawdę uczynić, a prawdę z nieprawdy; a też dobremu przyrodzeniu z łaski Bożéj mało się tego uczyć potrzeba. Najdzie dziś drugiego, chociaż się prostaczkiem widzi, iż to tak dobrze będzie umiał wykręcić, jak, wierę nanauczeńszy mistrz w kollegium“ (str. 461). Wiadomo, iż rzeczywiście panująca jeszcze wówczas scholastyczna logika niewiele się przyczyniała do kształcenia umysłu, bo przez swoję zawiłą dyalektykę niekiedy bardziéj zamącała niż rozjaśniała pojęcia ludzkie.

W dalszéj już konsekwencyi przywiązuje Rej małą wagę do książkowéj nauki, mówiąc, „iż lepszy jest zawżdy głos niż zdechła skóra, co ją na pargamin wyprawują.“ Wreszcie naturalną jest też rzeczą, iż Rej ze swego stanowiska nie umie należycie ocenić znaczenia estetycznego wykształcenia umysłu: najprzód, sam nie posiadał wyżéj rozwiniętego estetycznego poczucia, następnie, nie pojmując odległych korzyści, płynących z nauki teoretycznéj, nie może też rozumieć tych pożytków, które przynosi człowiekowi harmonijne rozwinięcie władz jego duchowych za pośrednictwem piękna. Dlatego pomija on zupełnie kształcący wpływ sztuk pięknych: o sztukach plastycznych nie wspomina nawet. Muzykę, którą, jak o tém świadczy Trzycieski, sam bardzo lubił, chociaż chwali wprawdzie kilkakrotnie, ale tylko jako przyjemną, bardzo lekką zabawkę, w poezyi wreszcie widzi jedynie bezpośrednią korzyść moralną, którą z niéj można wyciągnąć; przypisuje jéj tylko dodatkowe znaczenie w kształceniu umysłu, jako pożytecznéj rozrywki, która nie powinna być brana zbyt seryo.

W powyższych sądach o nauce i sztuce Rej reprezentuje przedewszystkiém ten średniéj miary ogół szlachecki, który, czerpiąc przeważnie swą mądrość z tradycyi narodowéj, nie mógł wznieść się do pojęcia ogólno-ludzkiego znaczenia działalności naukowéj i artystycznéj. Wszakże zauważyć należy, iż arystokracya umysłowa Polski XVI-go wieku, ludzie stojący na wysokości europejskiéj kultury, jak Modrzewski, Orzechowski i inni, jakkolwiek wysoko cenili znaczenie nauki, uprawiali ją jednak głównie dla celów praktycznych i w swoich pismach mieli wyłącznie prawie na widoku bieżące kwestye polityczne, religijne i społeczne. Toż samo w zakresie twórczości artystycznéj. Byli wprawdzie wtedy u nas ludzie estetycznie wykształceni, lecz szerszego rozwoju sztuki piękne się nie doczekały; jedna tylko poezya, jako najmniéj podległa warunkom estetycznego piękna, bujnie i wspaniale zakwitła, chociaż i ona miała więcéj tendencyjny aniżeli artystyczny charakter,—nawet taki artysta jak Kochanowski, przeniknięty do głębi duchem wzorów klasycznych, nie mógł się pozbyć tendencyjności i to nawet w utworach, nie mających żadnego związku z życiem współczesném, jak np. w Odprawie posłów greckich. Przyczyną tego zjawiska była owa pełnia publicznego życia, które pochłaniało wszystkie wyższe umysły. Tak więc to praktyczne stanowisko, zajmowane przez autora „Żywota“ jest naturalną konsekwencyą nastroju w społeczeństwie młodém, pełném poczucia własnéj siły i żywotności, które, pogrążając się całkowicie w ożywionéj działalności zewnętrznéj, nie ma ani czasu ani możności głębszego wniknięcia w siebie, aby w wewnętrznym świecie ducha rozwinąć pełniejsze życie abstrakcyjnéj myśli i uczucia.

Na zakończenie rozdziału o wychowaniu podaje autor nader trafne rady co do sposobu nabywania pożytecznych wiadomości. — „Przytém też to miéj na pieczy, naucza Rej, iż cokolwiek smacznego przeczcisz albo usłyszysz, niechże to nie będzie u ciebie jako miedzianym brzękiem, który tylko, iż mimo uszy przeleci, ale donoś wszystko do onego wszech zmysłów wójta a do wójtowéj, to jest do rozumu a do pamięci, a co wójt rozezna, iż potrzebnego jest, to wójtowa niechaj mocno schowa a zapieczętuje, bo to tam już będziesz miał jako w skrzyni ku wiernéj ręce schowanéj“ (str. 55). Daléj spotykamy porównanie umysłu ludzkiego do pszczółki, która z różnych ziół miód wyciąga. „Jakie też ten baczny człowiek cokolwiek widzi, słyszy lub przeczyta, to toż zebrawszy co z potrzebniejszych ziółek ma znieść do onego uliku, to jest do rozumu, a nadobnie ono pamięcią zalepić i zapieczętować, iżby to tam długo trwać miało. A jako pszczółka niepotrzebne zioła omija, także też ten czego mu nie trzeba długo pamiętać, a coby mu się w niwecz na potém nie przygodziło, może obminąć, a do ulika nie przynosić ani chować“ (str. 56). Doskonale wyjaśnił tutaj nasz pedagog potrzebę czynienia wyboru między różnymi wiadomościami niemniéj i potrzebę dobrego przetrawienia ich w umyśle. I w tym

względzie można zauważyć wyższość Reja nad wielu ludzi wyższego często od niego wykształcenia, ale nie posiadających tyle, co on zdrowego rozsądku, którzy mechanicznie i bezładnie naładowawszy swe głowy mnóstwem różnorodnych wiadomości, wytwarzają w nich najniedorzeczniejszy chaos myśli i pojęć.

W następnych trzech rozdziałach rozprawia Rej o dalszém kształceniu i wyrabianiu się młodzieńca, gdy już wyjdzie z pod bezpośredniéj kuratele rodzicielskiéj i własnym pocznie się kierować rozumem. Przedewszystkiém, stosownie do obyczaju wieku, zaleca podróż za granicę. Jakkolwiek sam „z granicy polskiéj mili nie wyjechał“ ocenia jednak korzyści, płynące ze zwiedzenia cudzych krajów; pojmuje to, iż podróże przyczyniają się do rozszerzenia zakresu myśli i wiadomości. Ale młody człowiek ma pilnie zważać, aby podróże rzeczywistą mu korzyść przyniosły; znaleźć ją może w towarzystwie ludzi zacnych i rozumnych tudzież w naśladowaniu ich cnót i przymiotów. W ogóle w poznaniu dobrych obyczajów ludzkich i wyciąganiu z nich moralnego pożytku widzi Rej główne znaczenie podróży.

Z powyższego przeglądu widać, iż Rej szukał głównego celu wychowania w wyrobieniu charakteru moralnego, w zaprawieniu go do cnoty i sprawiedliwości;—w ostatecznéj więc konsekwencyi wszystkich swoich poglądów w tym przedmiocie wystawia znaczenie i doniosłość cnoty w życiu człowieka. Tylko człowiek cnotliwy może używać prawdziwego szczęścia i spokoju; fortuna nigdy ich dać nie może, wszystkie jéj dary zmienne i przemijające. „Bo już takiemu, kto już statecznie umysł swój zafarbuje, wszystko mu jedno: szczęście i nieszczęście; tak mu się między różami układać i usnąć, jako i między pokrzywami albo piołunem. Obudzi się, ano myśl oua wspaniała jako orzeł ku górze wszystko bujać chce, a żadnéj innéj rzeczy więcéj na pieczy nie ma, jedno to napilniéj, coby cnotę a rozum ucieszyło“ (str. 79).

Skoro już młodzieniec wykształci swój umysł i wyrobi charakter, to powróciwszy do domu z podróży zagranicznych, nie powinien darmo tracić czasu w próżnowaniu, lecz zaprawiać się do przyszłéj obywatelskiéj i społecznéj działalności. Zaleca więc jak najusilniéj życie towarzyskie, które w szlacheckiéj rzeczypospolitéj pewną grało rolę. Młody człowiek powinien zawczasu uczyć się żyć z ludźmi, jednać sobie ich przyjaźń i szacunek, przedewszystkiém zaś winien czynić odpowiedni wybór w towarzystwie, szukać w ludziach moralnego gruntu i charakteru, nie uwodzić się pozornym blaskiem zewnętrznym. Następnie wybór stałego zajęcia. Dwa rodzaje zajęć najodpowiedniejsze były dla szlacheckiego młodzieńca:—obowiązki na dworach króla lub możnych panów i rzemiosło rycerskie. Rej zastanawia się nad każdym z tych stanów i naucza jak w nim sobie postępować należy. Wybornie charakteryzuje życie dworskie: „Trzeba tam, mówi, pilnie upatrywać, gdzie stąpić, jako po grudzie boso-

mi nogami, bo tam silna gruda i silny mróz około ciebie z pierwotku będzie“ (str. 89).

Stan rycerski, jako najważniejsze zadanie szlachcica, szczególną się cieszy sympatyą Reja. Z upodobaniem, w barwnych obrazach przedstawia przyjemności życia żołnierskiego i wskazuje korzyści, które ono przynosi człowiekowi przez zahartowanie go na trudy i niebezpieczeństwa, oraz przez wyrobienie charakteru i przyuczenie do radzenia sobie we wszystkich potrzebach. Wszakże nie przeoczył Rej i ujemnych stron rzemiosła rycerskiego:—ucisk biednych ludzi, hulanki, swawolę; każe się pilnie wystrzegać tych grzechów. Przy téj sposobności wtrąca dykteryjkę, wziętą z Erazma Rotterdamskiego, w któréj charakterystycznie odbija się reformatorski duch epoki. Drab wraca z wojny i opowiada gospodarzowi jak to „wolno tam brać świnie, owce, kury, gęsi, gdzie kto co znajdzie. Rzekł gospodarz: Ale to cudze a Pan Bóg nie kazał ruszać cudzego. — Powiedział drab: Niewiem ci ja jeśli cudze, ale tak tam jest ten obyczaj na wojnie, a tożem się tego wczora spowiadał przed ministrem, co jest u Franciszkanów, co powiedają, iż ma taki list z Rzymu, iż by i dyabła zjadł, tedy ma moc rozgrzeszyć“ (str. 97).

Dalej naucza Rej jak młodzieniec, powróciwszy z wojaczki, winien się zachowywać względem rodziców, powinowatych i sług, raz jeszcze ostrzega przed gnuśnością i próżnowaniem; — każe ciągle uczyć się czytać, a przedewszystkiém zaprawiać do zbroi i konia, poznawać prawa i obyczaje krajowe: jedném słowem sposobić się nieustannie do szerszéj działalności obywatelskiéj, która stała otworem przed każdym szlachcicem.

II.

Druga część żywota, traktująca o średnich latach życia ludzkiego, najważniejsza jest ze wszystkich. Tutaj przedstawione są główne zadania i obowiązki, które na człowieku ciążą w pełni sił jego męzkiego wieku. I tu opiera się Rej na tradycyi narodowéj i w swoim ideale doskonałego człowieka przedstawia właściwie ideał szlachcica-ziemianina polskiego. W malowniczych, plastycznych rysach roztacza przed nami obszar polsko-szlacheckiego życia, a równolegle z tém rozwija poglądy na moralną i społeczną wartość różnych jego objawów, poglądy, nacechowane zawsze głęboką praktyczną mądrością, zaczerpniętą z doświadczenia i tradycyi.

Życie szlachcica polskiego upływało w kole domowém, rodzinném, w rozgałęzionych stosunkach towarzyskich, w zajęciach rolnych i wreszcie w rozległéj obywatelskiéj i politycznéj działalności. Stosownie do tego rozważa Rej kolejno wszystkie te sfery szlacheckiego bytu, rozpoczynając od życia rodzinnego. Młody człowiek, doszedłszy do średnich lat swoich, ma przedewszystkiém do wyboru dwie dro-

gi: wstąpić w związki małżeńskie, lub pozostać w stanie bezżennym. Jako protestant, pomija Rej zupełnie stan kapłański i związany z nim celibat, pojęty jako wyższy obowiązek religijny: w życiu bezżennem widzi jedynie źródło rozpusty i stanowczo je potępia. Małżeństwo pojmuje jako wyższą instytucyą moralną, opartą na prawie bożem i umożliwiającą człowiekowi osiągnięcie trwałego szczęścia i moralnego udoskonalenia. Rozdział o małżeństwie i życiu rodzinnem należy niewątpliwie do najpiękniejszych i najbardziéj zajmujących ustępów całego dzieła, ponieważ tutaj okazuje się najwyraźniéj usposobienie moralne i umysłowe Reja, występuje typowo natura ludzka, uszlachetniona wyższą kulturą etyczną, okrzesana doświadczeniem życiowém i zachowująca przytém w całéj pełni przyrodzoną świeżość i naiwność uczuć. Przedewszystkiém uderza tu żywe odczuwanie naturalnych skłonności serca ludzkiego, a obok tego właściwy zawsze Rejowi rozsądek, rachujący się ściśle z wymaganiami rzeczywistości życiowéj. Jeżeli w innych miejscach „Żywota“ można zarzucić Rejowi zbyt niski poziom umysłowy, to zarzutu tego w żadnym razie do tego ustępu stosować nie będziemy. Wynika to ztąd, iż nasz moralista stoi tu na wysokości swego przedmiotu; gdy tymczasem w innych razach niezawsze mu to przyznać można. Mówiąc np. o wykształceniu umysłowém, Rej oczywiście nie jest kompetentnym sędzią, gdyż jego zasady intelektualne, poczerpnięte jedynie z miejscowéj tradycyi i osobistego doświadczenia, nie są wystarczające dla ocenienia ogólnych warunków kultury naukowéj; wystarczają one jedynie dla właściwéj oceny znaczenia społecznego rodziny. Życie rodzinne bowiem, jako jedna z najpierwszych form cywilizacyjnego bytu, musiało stosunkowo wcześnie osiągnąć pewien wyższy stopień udoskonalenia; ideał moralny rodziny, wytworzony w pewnym stopniu cywilizacyjnego rozwoju w późniejszych wiekach, nader nieznacznym mógł uledz modyfikacyom. Ten ideał, oparty na chrześciańskiéj i narodowéj tradycyi, wystawiony przez Reja w tak żywym i pięknym obrazie w istotnych swych cechach jest wyrazem nietylko ówczesnych pojęć, lecz można go przystosować do wszelkich stopni naszéj nowoczesnéj, chrześciańskiéj kultury.

Przyjrzyjmy się bliżéj szczegółom obrazu.

Widzieliśmy wyżéj jak wielkie i podniosłe znaczenie przypisuje Rej związkom małżeńskim; dlatego zaleca, aby młodzieniec przy wyborze przyszłéj towarzyszki życia rządził się głęboką a poważną rozwagą, bo „tu nie o rękaw idzie, ale o całą suknią.“ Naturalnie przedewszystkiém trzeba szukać w przyszłéj małżonce cnoty i bojaźni bożéj, przymiotów charakteru i umysłu; małżeństwo oparte tylko na interesie, wynikające z żądzy dostatków i znaczenia nie może być szczęśliwe. Z drugiéj strony nie należy téż powodować się samą tylko miłością bez uwzględnienia materyalnych warunków bytu; „bo między młodszymi niedługo miłość trwa, a snać

i lada mucha je czasem zwadzi." Wogóle Rej nie okazuje żadnego współczucia dla erotyzmu i romansowości; dosadnie, z rubasznym humorem przedstawia zaślepienie miłosne: „Drugi zasię nie dba ni ócz, jedno iż mu się co z miłości a z dobréj myśli tak bez wszego rozmysłu upodoba, to już wiedzie jako kozę za rogi" (str. 109). To sarkastyczne zdanie o miłosnych zapałach wynika z cechującéj zawsze Reja trzeźwéj i rozumnéj myśli; obok tego jednak przebija z tego charakter życia i tradycyi narodowéj. Społeczeństwo polskie nie znało rycerskości średniowiecznéj z jéj egzaltacyą i sentymentalnym kultem kobiety, w skutek tego obcą mu była wszelka romantyczność w stosunku obu płci, bo nie znajdowała ona szerszego uznania w życiu i obyczaju narodowym [1]). Można powiedzieć, iż w pewnym względzie miało to ujemny wpływ na rozwój psychiczny, mianowicie na wykształcenie psychicznéj strony umysłu, w czém nie małą rolę odegrała romansowość rycerska na zachodzie; we względzie jednak moralnym, a szczególniéj w zastosowaniu do bezpośredniéj praktyki moralnéj, miał ten brak raczéj dodatnie, aniżeli ujemne następstwa. Owe romansowo-idealne stosunki służyły często tylko za bardzo wygodną zasłonę dla wcale nieidealnych skłonności, osobliwie zaś w wieku XVI, gdy odrodzona cywilizacya pogańska sprowadziła rozluźnienie węzłów moralnych i religijnych, trzymających w karbach te krewkie i silne natury średniowieczne: panująca wówczas zmysłowość, odziana w piękną szatę galanteryi rycerskiéj, występuje bardzo charakterystycznie u Aryosta i w licznych romansach rycerskich. W ogóle stosunek nie ujęty w określone formy etyczne, a opierający się jedynie na indywidualném poczuciu jednostki, musiał mieć za następstwo pewną anarchią moralną, szkodliwie wpływającą na obyczajność. Wreszcie jeśli ten marzycielski erotyzm miał swoje dodatnie następstwa w rozwoju ogólnym uczuciowości, to w zastosowaniu bezpośredniém do związków małżeńskich, mógł tylko ujemnie oddziaływać. Rodzina, to poważna i wielkiego znaczenia instytucya społeczna, która musi się opierać na silnych, dokładnie określonych podstawach moralnych, która musi się rachować ściśle z realnymi warunkami życia, umożliwiającymi jedynie jego rozwój pomyślny; tutaj więc najprędzéj wszelkie marzycielstwo, wszelki nadmiar uczucia staje się szkodliwym. Uczucie musi być podstawą związków małżeńskich, bez niego straciłyby one wszelki moralny charakter, ale uczucie to musi być wolne od wszelkiéj egzaltacyi i marzycielstwa, które zamącają naszę

[1]) Wyróżnia się pod tym względem Górnicki, który w swoim Dworzaninie szeroko bardzo i z wielkiém współczuciem rozprawia o miłosnych afektach. Ale Górnicki nie jest rzecznikiem czysto narodowéj tradycyi; reprezentuje on wyższą warstwę ówczesnego społeczeństwa szlacheckiego, przeniknionego nie tylko intellektualną, lecz i towarzyską kulturą Zachodu. — Zresztą ustępy o afektach miłosnych są niewolniczo naśladowane z Castiglone'a.

świadomość i nie pozwalają trzeźwo oceniać danéj sytuacyi moralnéj i materyalnéj. Tak po wszystkie czasy należy pojmować charakter i znaczenie związków małżeńskich; przynajmniéj dopóki rodzina pozostanie tém, czém jest obecnie: główną podwaliną ustroju społecznego, koniecznym czynnikiem, warunkującym normalny jego rozwój. W ten sposób téż pojmuje Rej kwestyą małżeńską, a poglądy jego w téj mierze w zupełności do obecnych czasów zastosować można. Mickiewicz w „Kursie literatury słowiańskiéj“ czyni interesujące porównanie zapatrywań Reja na związki małżeńskie z poglądami w tym samym przedmiocie współczesnego mu prawie francuskiego myśliciela Montaigne'a. Montaigne przewyższa Reja wykształceniem i siłą myśli, ale stoi nierównie niżéj od niego pod względem czystości uczuć przyrodzonych, oraz moralnego ich nastroju. Na małżeństwo zapatruje się Montaigne badrzo sceptycznie: widzi w niém tylko środek poprawienia swego bytu, oddziela od niego zupełnie miłość, która, wedle niego, tylko poza związkami małżeńskiemi może się swobodnie rozwijać. Tu występuje nader charakterystycznie różnica między pojęciami cywilizacyi wyższéj a prostą, pełną naturalnéj świeżości kulturą społeczeństwa, stojącego jeszcze blizko źródła uczuć przyrodzonych. Różnica ta znajduje swoje wyjaśnienie w ogólnym charakterze postępu i rozwoju społecznego: dokonywa się ona ciągle przez rozkład istniejących w danym momencie cywilizacyjnych wytworów. Produkta tego rozkładu, zanim z nich powstaną nowe jakieś formy, przedstawiają nam się jako chaos różnorodnych żywiołów, będących źródłem anarchii w pojęciach moralnych i społecznych. Tylko w pewnym okresie czasu i miejsca mogą się zachować skrystalizowane formy cywilizacyjnego bytu, poza granicami tego okresu, porwane przez wir nieprzeparty ewolucyjnéj dążności, ulegają pod jéj parciem rozbiciu na składowe pierwiastki, służące jako materyał nowych, wyższych i doskonalszych formacyi. W Reju widzimy jasne i konkretne sformułowanie pewnego całokształtu skrystalizowanych pojęć moralno-społecznych; w Montaign'u chaos wyobrażeń i zasad, ale zarazem zarodki wielkich myśli, dążność rozwoju, postępu umysłowego: jedném słowem ci dwaj pisarze reprezentują dwa przeciwne bieguny, między (?) którymi dokonywa się normalny rozwój ludzkości, polegający na zachowaniu zdobyczy przeszłości oraz na dalszéj ich przeróbce i wydoskonaleniu.

Przy téj sposobności jeszcze jedna uwaga, dotycząca porównania Montaigne'a z Rejem, która nietylko odnosi się do będącego w mowie przedmiotu, ale rozciąga się także na całą osnowę dzieł obydwóch pisarzów. Rej jest często rubaszny, nieokrzesany w swoich wyrażeniach, Mantaigne daleko wytworniejszy i więcéj ogładzony, a pomimo tego Rej okazuje daleko więcéj od Montaigne'a delikatności uczuć i poczucia przyzwoitości. W całém „Zwierciadle“ nie ma ani jednego ustępu, któryby nie mógł być odczytany przez najniewinniejszą panienkę,

Montaigne zaś czasami jest w wysokim stopniu nieprzyzwoity: traktuje w swojém dziele z bezceremonialną swobodą najdrażliwsze przedmioty. Ta różnica między dwoma myślicielami jest również bardzo charakterystyczna i z tego samego, co tamta wypływa źródła. Rej nie ma zewnętrznéj ogłady francuzkiego myśliciela, ale czyste i żywe poczucie moralne czyni go niezmiernie delikatnym i drażliwym na punkcie pewnych przedmiotów; Montaigne przeciwnie, pomimo swéj wyższéj ogłady i wykształcenia, nie posiadając moralnéj czystości Reja, nie ma téż żadnych skrupułów w podejmowaniu mniéj przyzwoitych przedmiotów. Przytém głęboko refleksyjny umysł Montaigne'a pragnie wszystko poddawać analizie bez względu na moralne i obyczajowe wymagania, Rej w analizę się nie wdaje, w filozoficzne badania nie zagłębia; chodzi mu tylko o jasne i dobitne sformułowanie zasad moralnych dla praktycznego użytku.

Rozumie się, że uwaga dotycząca delikatności uczuć i przyzwoitości Reja, odnosi się jedynie do „Zwierciadła"—wiadomo bowiem, że w poprzednich swoich utworach wcale się tém nie odznaczał. Ale téż należy zawsze pamiętać, iż Rej w pełni rozwoju swych uczuć i myśli okazuje się nam dopiéro w „Zwierciadle;" Rej z epoki pism polemicznych „Figlików" i t. p. to dopiéro materyał na przyszłego wielkiego pisarza, to uczeń, przechodzący szkołę życia, zanim się wykształcił na mistrza. Ta delikatność uczuć, okazuje się szczególnie w przedstawieniu wzorowego pożycia małżeńskiego i rodzinnego. Rozwija tutaj Rej szereg obrazków, pełnych takiéj świeżości uczuć, takiego ujmującego wdzięku, iż stanowią one jakby prześliczną idyllę, osnutą na tle prozy codziennego życia i opartą na silnéj podstawie realnéj. Przytaczam tutaj nieco dłuższy ustęp dla dania pojęcia o téj niezrównanéj sile obrazowania: „Nuż zasię w domku sobie mieszkając taki poczciwy staniczek, a zaś małe rozkoszek swych nadobnych pomiernie użyć może? Azaż sobie nie mają onych nadobnych przechadzek po sadkach, po ogródkach? I coś oboje grzebią, ochędażają, oprawują, szczepią, ziółeczka sadzą, ano wszystko sporo, ano się wszystkiego z wielką ochotą i dojrzéć i o wszystko starać się chce. Już przyszedszy do domeczku ano chędogo, ano wszystko miło, kąseczek chociaj równy, ale chędogo a smaczno uczyniony. Już obrusek biały, łyżeczka, miseczka nadobnie ochędniona, chleb nadobny, jarzynki pięknie przyprawione, krupeczki bieluchne a drobniuczko usiane, kureczki tłuściuchne. Owa w każdy kącik, gdziekolwiek weźrzysz, wszystko miło, wszystko jakoby się śmiało, a wszystko wdzięczniéj niźliby u drugiego na trzy misy nakładano" (str. 115). „Nuż gdy jeszcze owi przyrodzeni błazenkowie, a owe dziateczki wdzięczne przypadną, gdy jako ptaszątka około stołu biegają świrkocą a około nich kuglują, jaka to jest rozkosz a jaka pociecha. Już jedno weźmie, drugiemu poda, tedy się tu sobie urozkoszują, to się tu im jako najlepszym błazenkom uśmieją. A ono gdy już umie mówić, tedy leda co bełkoce,

a przed się mu nadobnie przystoi. Tu już patrząc na onę swoję pociechę jakoż nie mają Pana Boga chwalić, jakoż mu dziękować nie mają? A Pan też nie może jedno wdzięcznemi oczyma na onę taką społeczność i na ofiarę swoję, którą mu podawają w poczciwem rozrodzeniu swojem patrzyć, i im wedle obietnic swoich błogosławić" (str. 116).

Cały ten obraz bije w oczy swoją prawdą realną, dorodną plastyką kształtów i wyrazistością zarysów, a przytém: jaka tu niezrównana żywość odczuwania przyrodzonych skłonności serca ludzkiego, jakie proste serdeczne uczucie owiewa tę idyllę życia rodzinnego. Słusznie uważa Mickiewicz, iż Rej w tym opisie posiada świeżość i naiwną prostotę ludowych poetów serbskich. Nieco niżéj daje nam Rej przepyszny opis, obrazujący ideał rodziny:

„Żona ona jego (mówi w odniesieniu do swego „Poczciwego człowieka," jako ojca i głowy rodziny) będzie jako winna macica, podawając wdzięczne gronka, i Panu Bogu ku czci, a ku pociesze onemu towarzyszowi swemu. Dziatki będą jako oliwne gałązki około stołu jego. A sam w swéj starości stanie jako drzewo cedrowe nad pięknym zdrojem mocno stojące, które już żadnym wichrem nigdy już poruszone być nie może" (str. 116). Znać tu wpływ biblii, z którą Rej, jako protestant, doskonale musiał być obznajmiony. Rzeczywiście, jeśli co wywarło wpływ na ten samorodny talent twórczy, to z pewnością Pismo święte. Ale bo też naiwna prostota uczuć i dosadna żywość dykcyi, widoczne we wszystkich opisach i obrazach biblijnych, szczególnie przypadały do téj świeżéj, można powiedzieć, dziewiczéj natury autora „Żywota" i silnie bardzo musiały przemawiać do jego żywéj i ruchliwéj wyobraźni.

W przeciwstawieniu do tego prześlicznego obrazu wzorowego pożycia małżonków, przedstawia autor z właściwym sobie jowialnym i dosadnym humorem, satyryczne obrazki źle dobranego małżeństwa. Nierówność stanów jest wedle niego wielką przeszkodą do szczęścia małżeńskiego. Oto jakie ztąd następstwa:

„Ów co się z wielkiego stanu mienił, nie może być inaczéj, aby wżdy staniku swego jako tako przyniewolić nie miał, bo już i więtszym kosztem i w więtszéj powadze i w więtszéj trudności onę miłościwą chować musi, niśli powinien wedle staniku swego. Już czerwony rząd musi być na woźniki a niedźwiedzie do kolan, a kobierce z kolebki wywieszaj z obu stron, a gałki, aby się ze wszech stron błyszczały... Przyjedzie gość, już go w więtszéj ceremonii chować musi, bo już musi być wino, i z bożą męką malowana śklenica, i kasza ryżowa na wieczerzę, bo się już jęczmień dla pani nie godzi. Przyjedzie zasię szwagier w kilkadziesiąt koni, to już na sześć mis zarębuj, już wszystkim równo nalewaj, bo każdy będzie z lisim kołnierzem, trudno będzie poznać kto pan... Przyjedzie też zasię pan zięć do pana szwagra, alić konie w karczmie i z pachołki; przywitają go wżdy: a witajże panie zięciu, siądźże panie zięciu, nalejże też przez pana

zięcia. A na wieki nie spytają jeśli jadł pan zięć, albo gdzie konie stoją, że czasem nieborak zięć i na czczo się upije, i także i spać do brogu gdzie polezie“ (str. 110).

Czyż to nie wprost z życia pochwycony obrazek? Owa miłościwa pani, paradująca w kolebce ze świecącemi gałkami i z powywieszanemi kobiercami a ów buńczuczny pan szwagier, traktujący nieboraka zięcia z lekceważącą wielkopańską uprzejmością—jak żywi stają przed oczyma. A czyż to w naszych czasach, mutatis mutandis, mało podobnych obrazków? I dzisiejsze miłościwe panie nieraz dobrze ciemiężą swych nieboraków małżonków nie o gałki u kolebki i kobierce wprawdzie, ale o szory angielskie i o modne stroje, o szyk, elegancyą. Zmieniają się czasy i obyczaje, słabości i głupstwo ludzkie zawsze te same.

Z tego satyrycznego poglądu na małżeństwo, wynikające z ambicyi, z chęci wyniesienia, oraz z téj rady, aby każdy szukał żony równego sobie stanu, okazuje się zamiłowanie Reja w umiarkowaniu i prostocie życia, pewien demokratyzm szlachecki, lubujący się w swym miernym stanie.

W zakończeniu rozdziału o małżeństwie i rodzinie zaleca autor mężowi, aby postępowanie jego było zawsze moralne i uczciwe, aby mogło służyć za przykład żonie i domownikom. „A chceszli, aby ona (mówi o żonie) była tobie wierna, skromna, trzeźwa, we wszem pomierna, także się też ty zachowaj przeciwko niej i także jéj przykłady z siebie dawaj. A nie ukazuj jéj żadnego nietrefnego podobieństwa po sobie.“ (str. 123). Tutaj przebija wyraźnie jasne i ściśle określone stanowisko moralne Reja,—nie czyni on ustępstwa dla panujących sądów opinii publicznéj, która, pobłażając wybrykom męża, wymaga, aby żona była wzorem cnoty i moralności. Nasz moralista jest ścisły i konsekwentny w swoich zasadach: w jego pojęciu mąż i żona stoją na równych prawach pod względem moralnym, oboje mają ten sam obowiązek stosować się ściśle do zasad cnoty i uczciwości małżeńskiéj, unikać wszystkiego, coby mogło przynieść ujmę harmonii i zgodzie ich wzajemnego pożycia.

Z uwag powyższych możemy dowodnie się przekonać, iż Rej, kreśląc obraz życia rodzinnego, stoi na wysokości zadania swego przedmiotu: jego ideał rodziny czysty jest i podniosły, zarysowany jasno i wyraźnie, oparty na niewzruszonych podstawach rzeczywistych warunków życia, oraz na podstawach przyrodzonych uczuć i skłonności ludzkich, wreszcie uszlachetniony przez wyższe etyczne i religijne zasady i podniesiony przez nie do godności pełnéj znaczenia i wagi instytucyi społecznéj.

Rozszerzyłem się bardzo nad rozdziałem dotyczącym życia rodzinnego, gdyż z wielu względów ustęp ten „Żywota“ można uważać za najważniejszy ze wszystkich: nigdzie Rej nie zaznaczył dobitniéj i jaśniéj swego stanowiska moralnego, nigdzie nie wzniósł się wyżéj w swoich poglądach, nigdzie wreszcie nie zdobył się

na piękniejsze formy obrazowania i stylu. Przytem nakreślony tu na podstawie życia i tradycyi ideał rodziny stanowi najcenniejszy może, a w każdym razie najtrwalszy wytwór narodowéj kultury. W późniejszéj epoce, gdy upadła moralność obywatelska i społeczna, gdy ogólny rozstrój ogarnął świetne niegdyś instytucye Rzplitéj, tylko w życiu rodzinném, kwitnącém wśród cichych dworków szlacheckich, przechowała się żywotna siła i moralna dzielność narodu. Wreszcie dodam tu nawiasem: wszak i w naszych czasach ta odwieczna, prastara instytucya społeczna na polskim zaszczepiona gruncie jest najsilniejszą, nieomal jedyną podwaliną egzystencyi narodowéj, jest owém świętém palladium, w którém się przechowują skarby ducha i tradycyi narodu.

W dalszym postępie dzieła mówi Rej o obowiązkach obywatelskich i społecznych poczciwego szlachcica.

Wypowiedziawszy kilka ogólnych uwag o moralném stanowisku człowieka, zastanawia się Rej dłużéj nad urzędem poselskim, który w politycznym ustroju Rzplitéj, na rządach sejmów opartym, oczywiście niezmiernie doniosłe miał znaczenie. Przedewszystkiém wyraża Rej zdanie, iż każdy szlachcic winien brać udział w życiu publicznem, spełniać pewne obowiązki obywatelskie. „Starajcie się też za się, abyś się nie nazbyt domem obarłożył, abyś nie był tylko jako wieprz w karmniku, albo jako suchy pień na roli; co się oń pługi zawadzają. Wiedz téż w jakiem prawie siedzisz i co jest powinność twoja, albowiem widzisz, iż każde prawo, by było najmocniejsze, jako będzie na szrot puszczono a poważną roztropnością nie będzie opatrowane, każde się zelżeć musi i bardzo osłabieć.“ Następnie objaśnia Rej znaczenie i doniosłość reprezentacyi narodowéj, tłómaczy dlaczego wszyscy obywatele nie mogą jechać na sejm i po co posłów wybierają. Urząd posła, jako obdarzonego zaufaniem współobywateli rzecznika ich praw i potrzeb, wystawia jako niezmiernie ważny, nieomal święty: „patrzajcie, mówi, jaka to jest rzecz wielka a poważna, a mógłby ją właśnie sacrosanctum nazwać (str. 129).“ Następnie z głębokiém przejęciem mówi o moralnéj odpowiedzialności posła, ostrzega, aby nikt nie brał na siebie tak wielkiego obowiązku, nieobliczywszy się z siłami, czy mu zdoła godnie odpowiedzieć, wreszcie popiera swe wywody przykładami cnót publicznych z dziejów starożytnych.

Doskonale pojmuje Rej mechanizm państwa polskiego. W pojęciu doniosłego znaczenia obowiązków posła, obok ogólnych zasad obywatelskiéj moralności, jest jeszcze coś specyficznie polskiego. Jeśli bowiem gdzie, to z pewnością w Polsce urząd posła był prawdziwém sacrosanctum i wymagał szczególnie wysokiego moralnego poziomu; — przy nieograniczonéj bowiem wolności, przy braku silnéj organizacyi rządowéj, dobro kraju tylko w cnotach jednostek, reprezentujących ogół, znajdowało swoję gwarancyą: Rzplita kwitła dopóki ogólny poziom moralny obywateli wysoko się wznosił, upadła zaś, skoro ten znacznie się obniżył.

Oprócz obowiązków poselskich każdy szlachcic mógł sprawować i inne urzędy koronne i ziemskie; — z kolei mówi tedy nasz autor o tych ostatnich. Niezbyt radzi ich się podejmować, a to głównie dlatego iż przyjęcie stałego obowiązku pozbawia człowieka wolności, tego najdroższego, wedle Reja, klejnotu. Ten wstręt do stałych urzędów cechował Reja przez całe życie — Trzycieski w jego biografii kilkakrotnie o tém wspomina. Widać w tém owo bezgraniczne zamiłowanie swobody, ów indywidualizm szlachecki, nie mogący znieść żadnych zewnętrznych więzów obowiązku; wszakże miał nasz szlachcic i inne słuszniejsze racye tego wstrętu do urzędów, na co już Mickiewicz uwagę zwracał. Mianowicie, przy rozluźnionéj machinie administracyjnéj było sprawowanie urzędów w Polsce połączone z większymi niż gdzie indziéj trudnościami i rzeczywiście wystawiało często na ciężkie pokusy sumienie ludzkie, — dlatego to Rej, któremu głównie chodzi o zachowanie moralnéj czystości swojego szlachcica, obawia się tych pokus. Wszakże pojmuje on, iż szlachcicowi nie przystoi usuwać się od obowiązków obywatelskich, nie odradza też stanowczo podejmowania się urzędów, owszem, jakby z pewnego rodzaju nieśmiałością mówi tylko: „Jeślićbyś mógł bez tego się obejść, tedyćby mało nie lepiéj," lecz zaraz dodaje: „Ale jeśli się nie będziesz mógł swéj woli odjąć, bo szlachetne przyrodzenie nie dopuści, któremu się wszystko bujać chce, by wołowi ku górze, tedy pilno rozmyślaj a roztropnie uważaj, jako się masz w tém bez obrażenia cnoty zachować" (str. 139).

Najważniejsze jednak, najdonioślejsze znaczenie miał w Rzplt. urząd senatorski. Senat wchodził w skład sejmu, jako jego izba wyższa, nadto stanowił przyboczną radę królewską, stąd mógł wywierać bezpośredni wpływ na osobę monarchy. Rej szczególniéj zastanawia się nad tą ostatnią atrybucyą urzędu senatorskiego i przy téj sposobności wypowiada swój pogląd na znaczenie władzy monarszéj i stosunek poddanych do niéj. Rej ma wysokie pojęcie o godności królewskiéj; król, wedle niego, to „człowiek boży, przejrzeniec, powołaniec i pomazaniec jego." Pomyślność i szczęście państwa zależy od cnót i przymiotów monarchy, „przez złe króle państwa upadały." Świętym zatem jest obowiązkiem senatora udzielać dobrych, cnotliwych rad swemu panu. „Albowiem pana każdego umysł jest jako płomień, który się zawzdy ku górze ciągnie, kiedy do niego dobrych drew przykładają. Ale jeśliże mu też mokrych a sapiących przyłożą, tedy się też wlecze z dymem pospołu. Także też dobra rada panu każdemu, albo z nim ku górze leci, albo się z dymem po ziemi włóczy" (str. 147). Trudne i ciężkie nieraz jest zadanie senatora, gdy mu przyjdzie przestrzegać pana, jeśliby w czém pobłądził,—obowiązek sumienia nakazuje mu to uczynić a majestet pomazańca bożego wzbudza cześć i trwogę „bo niech on będzie nadobrotliwszy, przed się ma coś bożego a strasznego w sobie... jako się oń pokusić, jako strofować albo napominać. A on jednem wejrzeniem srogiem snadnie każdemu umysł iście odmienić może" (str. 149). Wszakże senator, pomny

na swój obowiązek, pomny na dobro kraju nie powinien się poddawać téj trwodze i z należnym dla majestatu szacunkiem ma wystąpić z radą, przestrogą i opozycyą nawet—tam, gdzie potrzeba. Przykładami z Pisma świętego i dziejów starożytnych wykazuje Rej, jakie to straszne klęski spadały na państwa z winy złych królów, jak na odwrót cnoty ich zapewniały szczęście i pomyślność poddanych. Zresztą nawet dobrp samego monarchy zależy od cnót jego; cnotliwy tylko pan może sobie bowiem zapewnić miłość poddanych, a ta miłość, to mocne mury, to najsilniejsza podstawa jego potęgi, bez niej najpotężniejszy monarcha słaby jest, niepewny życia i władzy. Dlatego pochlebcy są najgorszymi wrogami kraju i pana samego: oni mu gotują niechybną zgubę i sami często odnoszą zamiast nagrody zasłużoną karę. Cnotliwy i sumienny doradzca musi zawsze w końcu zwyciężyć i zapewnić sobie przychylność pana.

W całym tym ustępie o władzy monarszéj przebija zdrowa polityczna tradycya narodu, wolna od późniejszych doktryn szlacheckiéj anarchii, która widziała w królu tylko szafarza starostw i ukoronowaną głowę państwa, na którą zawsze wkładano wszelkie ciężary i odpowiedzialność moralną za wszystko i za wszystkich obezwładniając wszelkie rozporządzenia władzy monarszéj. W w. XVI władza królewska bardzo już była u nas ograniczoną; ale moralny jéj autorytet był jeszcze ogromny, idea monarchiczna posiadała jeszcze nadzwyczajny urok dla ogółu; dla tego widzimy i w poglądach Reja głębokie poczucie czci dla majestatu monarszego. Jakże daleko stąd do owego lekceważenia władzy królewskiéj w późniejszéj epoce skrzywienia zasad politycznych? Nawet w pojęciu oświeceńszych ludzi późniejszych czasów, np., u Paska nie dostrzegamy ani cienia owéj głębokiéj czci, którą Rej otacza pomazańca bożego [1]). Z drugiéj jednak strony ta cześć dla władzy nie zawiera bezwzględnéj uległości; ponieważ uznaje prawo poddanego do oponowania woli monarchy, wchodzącego na złą drogę, przez co odzywa się ów indywidualizm narodowy, będący podstawą całego ustroju politycznego dawnéj Rzplitéj. Rej opiera swoje pojęcie stosunku poddanych do osoby królewskiéj przedewszystkiém na gruncie moralnym: król cnotliwy zyskuje miłość i uległość poddanych, traci je przez grzechy i zbrodnie. Zresztą cały pogląd polityczny Reja oparty jest na uznaniu moralnéj wartości jednostki, jako głównéj gwarancyi pomyślności powszechnéj. W tym względzie istnieje ścisły związek między pierwszą i drugą częścią „Żywota“, system wychowania zmierza głównie do wyrobienia moralnego charakteru, w którym też Rej widzi jedynego kierownika i regulato-

[1]) Pasek wierny jest królowi: do konfederacyi wojskowéj i do rokoszu Lubomirskiego nie przyłącza się, pomimo iż Lubomirskiemu nawet sprzyja, odzywa się o królu zawsze z życzliwością; ale głębszej czci dla majestatu monarszego w nim nieznać. Charakterystyczną jest anegdota Paska o owej szlachciance z rawskiego, która ośmieliła się lżyć przybywającego do niéj w odwiedziny króla, z powodu, iż żołnierze królewscy wycięli jéj jakąś brzezinę, wartującą 50 złp.

ra wszelkiéj działalności ludzkiéj. Takie zapatrywanie wynikało zupełnie naturalnie z indywidualizmu szlacheckiego i z republikańskiéj organizacyi dawnéj Polski: cnota obywatelska była główną podstawą jéj siły a nawet egzystencyi. W późniéjszéj epoce usprawiedliwiano przez tę ideę cnoty obywatelskiéj utopią nieograniczonéj wolności, uznawano za niepotrzebne wszelkie więzy praw i ustaw, gdyż moralne poczucie każdéj jednostki miało jéj wskazywać właściwą drogę postępowania. W „Żywocie człowieka poczciwego“ nie ma jeszcze téj niedorzecznéj doktryny. Zdrowy rozum Reja wskazywał mu, iż w obec niedoskonałości natury ludzkiéj musi ona być poddana prawu, ulegać władzy, dlatego też żywi on cześć dla osoby monarchy, który, jako najwyższy reprezentant téj władzy na ziemi, przedstawia mu się otoczony aureolą boskiego niemal majestatu. W szlachcicu widzi wprawdzie Rej ideał doskonałości i uważa stan szlachecki za wyłącznie uprzywilejowany do przodownictwa w Rzeczypospolitéj, ale różni się zasadniczo od wyobrażeń późniejszych wieków przez głębsze pojmowanie istoty szlachectwa; bo nie w bezmyślnéj adoracyi klejnotu rodzinnego, ale w uznaniu powołania szlachty do przodowania narodowi w cnocie i miłości ojczyzny — widzi tytuł jéj wyższości. — „Szlachectwo prawe jest jakaś moc dziwna a prawie gniazdo cnoty, sławy i poczciwości.“—Kto to gniazdo swemi postępkami kala i błyszczy tylko sławą swego rodu a nie własną zasługą, ten nie jest prawym szlachcicem, choćby posiadał herby, zaszczyty i liczny szereg przodków (str. 187). Takie pojęcie szlachectwa jako potęgi moralnéj, podnoszącéj człowieka na wyższe stanowisko etyczne, chociażbyśmy wedle doktryny nowoczesnéj demokracyi na nie się nie godzili, jest podniosłe bardzo i na rozumnéj oparte zasadzie i przynosi prawdziwy zaszczyt nietylko pisarzowi, który je z taką siłą przekonania jasno wypowiedział ale i społeczeństwu wieku XVI-go, którego on jest rzecznikiem. Jeden z największych poetów nowoczesnych a zarazem głęboki i konsekwentny myśliciel, Zygmunt Krasiński w podobny sposób pojmował znaczenie i rolę szlachty w społeczeństwie. Moralista nasz każe wreszcie szlachcicowi wystrzegać się wszelkich wad i grzechów a przedewszystkiém pychy i pyszałkostwa wszelakiego, za które Pan Bóg karze. Rej trzyma się i tutaj gruntu rzeczywistości, przedstawiając nie jakiś wymarzony ideał doskonałości, lecz tylko wzór, mogący w życiu znaleźć urzeczywistnienie, nie żąda od poczciwego szlachcica, aby się odznaczał jakąś ascetyczną pokorą; — owszem dodaje, iż skromna wspaniałość nic poczciwemu szlachcicowi nie wadzi, wymaga tylko, aby w mierze była zachowaną „Bo w każdéj rzeczy a w téj zwłaszcza trzeba strzedz nadobnéj pomiary — gdyż każda rzecz nazbyt wysilona szkodliwa bywa.“ (*C. d. n.*)

O NAJNOWSZYCH

POLSKICH PRZEKŁADACH ILIADY *).

NAPISAŁ

Roman Zawiliński.

4. Imiona własne.

Nie wiemy dlaczego, ale fakt to niezaprzeczony, że w warsztacie heksametrów polskich, użytych w omawianych przez nas przekładach podobnie jak i w dawniejszych, szczególną ofiarą padają—imiona własne. Oto na przykład w wierszu 3, ks. I. Iliady mówi poeta, że gniew Achillesa wysłał wiele dusz bohaterów do Hadesu. Ale tłómaczowi forma „Hadesu“ przeszkadza; heksametr byłby dobry, gdyby nie jedna zgłoska zbyteczna, której żadnemu wyrazowi odjąć nie można—niechże więc téj amputacyi ulega „Hades“ i stanie się „Hadem.“ W ten sposób wiersz brzmieć będzie:

Wiele szlachetnych dusz bohaterów do Hada wyprawił.

Ale nie tylko w heksametrach los ten spotyka imiona własne. Już Siemieńskiemu wytknęła krytyka, że z Odysseusa robił Odyssejsa lub Odysa podług potrzeby, z Zeusa—Zewsa, z Aloeusa—Aleja, z Aitona—Etona i t. p. że Laertiadesa pisał Laerciadesem, Tityosa—Tycyosem, Mantiosa—Manciosem (!!) — a mimo to tłómacze nasi nietylko nie usłuchali przestrogi, lecz owszem jakby urągają wszelkim zasadom polszczenia imion własnych.

Zasady? Gdzież te zasady? Prawda w podręczniku gramatycznym ich nie ma, chociaż mówiąc otwarcie być powinny, ale tkwią one w nieskażonem poczuciu językowém, i są stokroć silniejsze od przepisów—pisanych. Jeżeli i o te chodzi, znajdziemy je w historyi języka.

*) Dokończenie—Zob. zeszyt na miesiąc grudzień r. b.

Zaznaczamy z góry, że mówić będziemy tylko o przyswajaniu imion własnych greckich, bo o te nam tu chodzi przedewszystkiém.

W epoce kształtowania się i urabiania naszego języka, w epoce zabytków językowych złożonych w przekładach psałterzy i Biblii i pieśni kościelnych, imion greckich wcale nie napotykamy. Dopiero wiek XVI a szczególniéj „Żywoty filozofów“ Bielskiego dają nam sporą liczbę imion miejsc i ludzi w najrozmaitszych formach. Tam tedy spotykamy formy: Eneas, Eneasa, Peleasa, Biasowi, obok (gen.) Pitagory, Epaminondy, po Pitagorze; formy: Tales, Talesowi, Sokrates, Sokratesowi, Achillesa, w Epimenidesie—obok: Laerta, Alcibiada, w Epimenidzie; Homerus, po Homerusie, Priamusa, Likurgus—obok: Ezop, Jeromin; wreszcie Plato, Zeno z dat. Zenowi. Jedném słowem u Bielskiego obok poczucia 1. przypadka jako tematu na wzór imion polskich, już się uwydatnia wpływ szkoły w wyszukiwaniu w dalszych przypadkach tematu właściwego i tworzenia od niego form deklinacyjnych; przyczém zauważyć należy, że grecka końcówka—*os* występuje tu w formie łacińskiéj—*us* jako świadectwo drogi, którą się do naszego języka dostała. W podobny sposób w „Wizerunku“ Reja mamy formy imion: Epikurus, Theophrastus, Homerus; Ipokrates, Diogenes, Sokrates, Xenokrates; Solon, których inne przypadki urobione od 1 przyp. jako tematu, a więc: Epikurusa, (str. 10 wyd. Ptaszyckiego) Platona (str. 11) Solonem (str. 11) Achillesowie (str. 46, w. 315) Parysowie (str. 46 w. 315 i str. 66, w. 449). Priamusowie (str. 46, w. 316).

U Kochanowskiego mamy formy Orpheus (wyd. pomnikowego t. I. str. 362 w. 85, II. 405) a nawet Orph*a*eus (!) (II, 404); Tezeus (I, 369, 42, II, 290, 430) Briareus (II, 30, 45), Perseus (II, 12, 213, 214), Proteus (II, 401), Prometheus (II, 405), Tantalus (I, 362, 92), Menelaus (II, 62, 21; 63, 27), Pythias (II, 290), obok form z końcówką łacińską Menelae (II, 79), lub już spolszczoną: Aeneasz (II, 371), Tymoteusza (II, 276), a nawet imiona w całém brzmieniu łacińskiém: Ajax, Ulixes, Minerwa...

Wiek XVII. odrzucał stanowczo końcówki, a biorąc temat goły zrobił go pierwszym przypadkiem. Mamy więc formy: Orpheowi u Szymonowicza, po Ante*u* u Gawińskiego, Prometea u tegoż, Arystotelesa u Opalińskiego, a w ślad za tém formy: Pheb, Diomed, Orpheu, Prometheu w Gawińskiego „Dworzankach“, a nawet, Sokrat, Achil u Kochowskiego.

Wiek XVIII poszedł jeszcze daléj; formy: Epaminond (u Konarskiego) Kreza (2 przyp. od Krezusa u Drużbackiéj) Laert, Temistokl (u Naruszewicza) Pitagor (u Zabłockiego) i Pitagora (2 przyp. u Naruszewicza) świadczą dostatecznie, że w wyłuszczaniu tematu posunięto się aż do upodobnienia wszystkich imion do wzoru z końcówką *os*, *us*, i odrzucano również *as* i *es* bez litości.

W wieku obecnym straciliśmy wszelkie pod tym względem zasady. Obrazem tego niechaj będą poetyczne parafrazy z Iliady Jul.

Słowackiego, w których spotykamy: Achillesa i Achilla, Apolla i Apollina, Euforba i Euforbiusza, Piritousza, Panteusza, Boreasza i Patroklusem, a nawet formy Patrokl*es*! Co więcéj, wielki poeta nie robił sobie skrupułu i nazwy greckie bogów przemieniał na łacińskie mówiąc w tłómaczeniu czy parafrazie Iliady o Jowiszu, Minerwie, Wulkanie, Junonie a w następstwie tego i o Ajaksie i Ulissesie...

Gruntowne studya filologiczne spowodowały zmianę na lepsze o tyle, żeśmy się starali o wprowadzenie pewnéj jednolitości, a wyrazem jéj wszystkie książki szkolne używane w szkołach średnich galicyjskich, w których imiona obce ile możności zostawione są w brzmieniu właściwym: a więc greckie np. Miltyades, Alkibiades, Achilles, Patroklos, Zeus, Hera, Hefajstos i t. p.

Z powyższych uwag i przykładów, któreśmy z potrzeby musieli ograniczyć i tylko naszkicować (raz dla braku zebranego materyału, drugi raz dla nadania téj rzeczy rozmiarów odpowiednich a nie przesadzonych) łatwo łaskawy czytelnik wyprowadzi sobie konsekwentny wniosek jako zasadę, że albo powinniśmy przyjąć imiona greckie w formie I przypadka jako tematy i podług tego tworzyć przypadki dalsze (a więc Patroklos, Patroklosa, Patroklosowi... Odysseus, Odysseusa...) albo wydobywszy rzekomy temat grecki (zwykle spółgłoskowy) i do niego stosując końcówki przypadkowe polskie, zrobić go zarazem I przypadkiem (a więc skoro Hefajsta, Hefajstem to I. przyp. Hefajst, skoro Hada Hadem to I przyp. Had a 7. w Hadzie). Na pierwszą zasadę położyliśmy umyślny nacisk, bo ona się nam wydaje racyonalniejszą; nie mogąc jednak i drugiéj pewnéj przynajmniéj racyi odmówić stawiamy ją obok, zaznaczając, że mieszanie obydwu podług chwilowéj potrzeby uważamy za naganny zamęt.

Taki to zamęt, powiększony jeszcze do tego zmianą form imion własnych wewnątrz tematu, panuje w tym względzie u obu tłómaczy Iliady—p. Popiela i Szmurły. U p. Popiela Apollo nazywa się i Apoll (I, 46, 86, 386, 438....) i Apollin (I, 14, 21, 35, 75, 373....) i Apollon (I, 43, 64, 72, 110, 182...) Odysseus zaś Odyssejem (I, 145, 430, 440; II, 244, 272, 278; III, 200.... V, 679...) albo Odyssem (I, 138, II, 169, 173, 220.. III, 191, 223... V, 674...) a nawet Odyss*e*sem (I, 311). Ajas obok właściwego imienia greckiego nosi i łacińskie Ajax (II, 406); Menelaos przezwany Menelajem (I, 159, II, 408...), Briareus—Briarem (I, 403) Hefajstos—Hefestem (II, 102) Kronos — Kronem (II, 205, 319...) Tersytes — Terzytem (II, 244, 246...) Boreas — Borejem (V, 524, 697...) a Afrodyta ma I przyp. Afrod*ys* (!!) (II, 820, III, 374).

Najgorzéj wyglądają imiona mające w nagłosie lub wewnątrz dwugłoskę Au- lub Eu-. Na podstawie prawa głosowego nie istniejącego

w głosowni polskiéj p. P. zmienia brzmienie dwugłoskowe *eu- au-na*: *aw-*, *ew-*, i tworzy z Eubei—*Ewbeję* (II, 535) lub *Ewboję* (II, 536); z *Euenosa*—*Ewena* (II, 693), z Euajmona—*Ewajmona* (II, 736, V, 76), z Eumelosa—Ewmelosa (II, 765) tak, że podobnych Tewthrantów, Tewtamidesów, Polydewkesów, Ewrymedów, Awgejów (II, 583), Thawmakij (II, 716) moglibyśmy jeszcze znaczną ilość przytoczyć [1]). Jako dowód braku wszelkiéj zasady mogą posłużyć fakta, że w innych imionach zmienia znowu p. Popiel owo *v* (y) na *j*: Ejfem (II, 864), Ejssor (VI, 8) albo je całkiem wypuszcza: Eryal (II, 565) Erypil (II, 736. V, 76. 79...), Erybat (II, 184) i t. p. Za bałamucącą nieświadomego czytelnika uważamy przemianę Hadesa na *Ajda* (V, 845), a Zeusa na *Diosa* (I, 86. 202. 334. 570. II, 25. 49. 63. 102... i t. d.) Kreteńczyków na *Kretenów* (IV, 295. XIII, 255), chociaż to bywa w tekście greckim, albo taką przemianę brzmienia, która się staje dwuznaczną np. Diomedzie (3 przyp. od Diomed*a* w V. 866). Nakoniec brak stałéj pisowni: Aeneasz obok Enej; Thracy, Thoant, Thyest, obok He*f*est, Ajgajon — może dopełnić wyobrażenia, jak się przedstawiają imiona własne w przekładzie p. Popiela, który nazywa nawet Ilion — *Ilionę* (II, 113. IV, 46. 413. V, 210... w ogóle czterdzieści pięć razy).

Więcéj staranności znać w przekładzie imion własnych p. Szmurły. Przestrzega on dość skrupulatnie brzmienia greckiego i dla tego ani nie czyni Zeusa—Zewsem, ani Eurybatesa—Ewrybatem, ani Euryalosa—Eryalem—lecz pisze: Achilles, Odysseus, Pirytoos, Taltybios, Euros, Notos, Fojbos Apollo—a nawet Klitajmnestra (I, 113) i Hermejas XIV, 491. XVI, 185) chociaż formy Klitemn*e*stra i Hermes już się w polskim języku utarły. Ta jednak skrupulatność nie tylko, że nie poprowadziła p. Sz. drogą dalszéj konsekwencyi, ale zmusiła go gdzieindziéj do zmiany brzmienia greckiego a utworzenia dziwoląga — w ortografii polskiéj. Mówimy o przemianie wewnątrz imion greckiego *ι* (jota) (=pol. *i*) na spółgłoskowy dźwięk *j* i o skracaniu w ten sposób imion o jednę zgłoskę. Z Kro-ni-ona (3 zgł.) stał się tedy „Kron-jon“ (2 zgł.) (I, 16, 74, 239... i t. d.) z Kloniosa—Klonjos (II, 495) z Azyosa—Azjos (II, 837) z Hodyosa—Hodjos (II, 856) z Heliosa—Heljos (XIV, 344) a w następstwie tego mamy Drakjosa (XIII, 692), Filejda (XIII, 692. XVI, 313) Erjopę (XIII, 697) Askanja (XIII, 790) Aktorjona, Menojtjosa (XVI, 14) i t. d.... Prawda, że p. Szm. był do tego nieraz (ale nie zawsze!) zmuszony ilością zgłosek, których miał zawiele, i że mu w tém jototwórstwie (sit venia verbo!) przyświecały wszystkie „Kurjery“ — ale w pierwszym razie mógł użyć innego sposobu, w dru-

[1]) Czytelnicy pojmują, że nie możemy całych stronic zapełniać cytatami imion i liczb; a ograniczyć się musimy tylko do minimum, mogącego dać odpowiednie o rzeczy wyobrażenie.

gim poszukać innych wzorów a nie „Kur-jerów" które są przestrogą, do czego doprowadzić może od stu lat blizko zacięcie prowadzona walka o byt—nieszczęśliwéj joty!

Gdzie p. Sz. nie potrzebował skracać, tam źle formował przypadki imion. Jeżeli użyję w 1 przyp. formy imienia „Atreus" (A-treus), to poczucie językowe nie pozwoli mi inaczéj odmieniać daléj jak Atreusa, Atreusowi i t. d. Jeżeliby kogo te formy raziły może użyć form: Atreusz Atreusza, Atreuszowi, Fileusza, i t. p. jak to i sam p. Szm. sporadycznie czyni (I, 7. 11. 102. II, 577. 628. VII, 125. XI, 717. XIV, 29. XVI, 15... i t. d.) bo się to w historyi języka napotyka i do dziś dnia dość silnie utrzymuje. Ale raz przyjąwszy formę na *eus* czy *eusz* czy nakoniec sztuczny temat na—*j* (Odyssej, Menelaj...) nie można od tego odstępować, ale konsekwentnie już jednéj z tych form jako tematu używać. Tymczasem p. Sz. pisze i Atre*us* (np. II,105) i Atreusz (jak wyżéj) ale 2 przyp. tworzy Atr*ea* (I, 122, 203, 224, II, 6, 9, 23, 60...) podobnie Area (II, 110, 401, 512, 515, XVI, 245, 784 i często) Odyssea (II, 169, 259) Eïonea (VII, 11) Oïlea (XIV, 520) Mikistea (VI, 28) a nawet Azea (II, 513) Menelaa (XIII, 581, XVII, 1) Protezylaa (XIII, 681, XVI, 286) i t. p. Jeszcze gdyby te formy były konieczne, ze względu na krótkość, albo gdyby język znosił zbieg dwu obok siebie samogłosek w brzmieniu obcych imion, musieliśmy się z tą koniecznością pogodzić; ale w tym razie formy Atreusa lub Menelaja są równe co do ilości zgłosek z użytymi przez p. Sz. a naśladowanie w formie A r e a brzmienia greckiego zam. utartego A r e s a jest przynajmniéj dziwaczne.

Jestto tém osobliwsze, że gdzieindziéj nie tylko zmienia p. Sz. brzmienie greckie 1 przyp. ale zmienia tak wyraz, że jego formy greckiéj domyślić się trudno. Nie mówiąc już o formach takich jak Odyss, Atryd, któżby się mógł domyślić, że *Pantus* (XIII, 754. XVII, 9. 23. 40. 59. 81...) to *Pantoos* a *Tetya* (XIV, 201) to Tetys (v. Tetyda) matka Achillesa!

Często bez potrzeby i zasady nadaje p. Szm. imionom greckim łacińskie brzmienie samogłoskowe lub spółgłoskowe. Pospolicie tedy mamy zam. gr. *aj* łac. *ae* (e) w imieniu *Ea*k(os) (II, 874) Hefestos, (I, 584. 595. 608) Hefest (XIV, 167. XVIII, 137 i często) Ach*e*owie (często oprócz „Wyjaśnień" na końcu), zam. gr. *ei* łac. *i*: Chiron (XVI, 143); zam. *oi—e:* Fenix (IX, 223. 607. XIX, 311); zam. *k* łac. *c:* Cyllę (I, 38. 452), Cefiz (II, 522. 523), Myc*e*ny (II, 569. XI, 46); Sycyon (II, 572) Cytera (X, 268); a nawet niem. brzmienie *c* zam. gr. ζ (dz): Celei (Zelei) (II, 824) i niem. *z* (zam gr. *s* (σ)): Ajzep. (II. 825).

Nie dosyć na tém, p. Szm. w epopei greckiéj używa form imion zupełnie łacińskich, pisząc Teucer (VI, 31) Ilez*jum* (II, 499) Iljum (b. często) a nawet Ulisses, (I, 430); lub używając t. zw. „punkta

diaereseos“ Aïda (często) Eïonea (VII, 11) Areïtoa (VII, 137. 138) Pantoïda (XIV 449) i i.

W tym rozdziale wspomnieć musimy również o przekładzie tak zw. *patronymica* to jest nazw nadanych bohatérom od imion ich ojców celem zaznaczenia ich pochodzenia. I tak Agamemnon od ojca Atreusa zowie się Ἀτρείδης lub Ἀτρείων, Achilles Πηλείάδης lub Πηλείων, Odysseus Λαερτιάδες i t. p. Nie możnaby wcale uważać za coś barbarzyńskiego, gdyby się te nazwy nietknięte w ich brzmieniu greckiém przeniosło do przekładu, skoro nam trudno iść za przykładem Kochanowskiego („Odprawa posłów greckich“) i nazywać Parysa Pryamicem a z Jackiem Przybylskim mianować Achillesa Pelejowiczem. Pewne jednak nazwy już się utarły jak np. Atryda, a chociaż ona ma brzmienie łacińskie, zyskała w języku zupełne prawo obywatelstwa. Sądzilibyśmy tedy, że tłómacz powinien albo zostawić brzmienie greckie, albo idąc za utartym „Atrydą“ w ten sam sposób utworzyć Pelidę, Kronidę, Testorydę i t. p., nie czyniąc jednak tego przy Kronionie, Pelejonie, Atrejonie. Takich zasad w przekładzie pp. Popiela lub Szmurły szukać darmo. I tu znowu nie wzgląd na brzmienie ale na potrzebną ilość zgłosek powoduje tłómaczami że „patronymica“ w najrozmaitszy przekładają sposób. Przypatrzmy się tylko najpospolitszym.

Achilles Pelida zowie się u p. Popiela: Peleusa synem (I, 1, 322), Peleidą (I, 146. II, 220), Pelidą (I, 188), Peleidesem (I, 223. 245. 277. 489), u p. Szmurły: potomkiem Pelea (I, 1. XXIV, 431), synem Pelea (I, 322; XV, 64, 74), synem Peleusza (XXIII, 41) i Pelidą (I, 146. 197. 223. 245; XX, 27. 80. 88; XXII, 58) a ta ostatnia nazwa występuje nawet tam, gdzie w tekscie greckim jest Πηλείων (I, 188; II, 674. 770...). W kilku miejscach ponieważ tak było p. Szmurle wygodniéj, Pelida przetłómaczony poprostu przez Achill (I, 23, 249, 277, 306; II, 220.).

Agamemnon Atryda zowie się u p. Popiela: Atrydesem (1, 7. 94. 247. 313. 318. 369; II, 402), Atreusa synem (I, 24. 102. 355. 411...), Atrejdą (I, 203), Atrydesem (I, 387), Atreja potomkiem (II, 9), Atreja synem (II, 60. 249...), u p. Szm.: synem Atreusza (I, 7. 102; IX, 89, 339; XI, 15) synem Atrea (I, 122. 224. II, 6. 60. 185...), potomkiem Atrea (I, 203; II, 9...), Atrydem (I, 313), Atrydą (najczęściéj) a w I, 411 owo „patronymicum“ całkiem opuszczone. Atrejon natomiast przetłómaczył p. Szm. przez Atrydę (II, 192. 445).

Kilka innych „patronymica“ zestawiamy dla porównania tabelarycznie:

w tekście greckim	u p. Popiela	u p. Szmurły
Ilíada:		
513 *Αζείδαο*	Azejdy	potomka Azea
518 *Ναυβολίδαο (υἱέες)*	synowie Naubolidy,	*wnuki Naubola*
528 *Τελαμώνιος*	Talamończykiem	*ów syn Talamona*
541 *Χαλκωδοντιάδης*	Chalkodonta potom.	syn Chalkodonta
624 *Αὐγηιάδαο*	potomka Awgeji	*wnuk Augeasza*
679 *Ηρακλείδαο*	*ze szczepu Herakla*	syn Herakla
705 *Φυλακίδαο*	*Fylakis go rodził*	wnuk ów Fylaka
746 *Καινείδαο*	Kaineadesa	*wnucz. Kajnea po mieczu.*
842 *Τευταμίδαο*	Tewtamidesa	Teutama potomka
847 *Αἰακίδαο*	Ajakidy	potomka Eaka

Oto próbka do jakich częstokroć wybiegów uciekać się musieli tłómacze, aby „heksametrowi polskiemu“ nadać odpowiednie rozmiary, skoro treści greckiéj nie wystarczało. Czy takie najrozmaitsze, dowolne, często z różnych dodatków złożone przekładanie imion własnych i „patronymica“ może być uważane za przymiot przekładu, czytelnicy sami osądzić potrafią.

5. *Przydomki bohatérów czyli tak zwane epiteta ornantia.*

„Nic niewątpliwie nie charakteryzuje tak bardzo kreacyj Homerowskich, jak owo częste powtarzanie się jednych i tych samych

zwrotów na oznaczenie potocznych wypadków życia ludzkiego, jak owo *bogactwo utartych epitetów*, którymi piewcy stale określają bogów i królów, kapłanów i śpiewaków i resztę ludzi. *Jeżeli tłómacz nie zatrzymuje w przekładzie swym tych stałych określników, jeżeli ich nie oddaje dokładnie i stosownie i zawsze jednako w języku ojczystym, jeżeli je raz jeden tak tłómaczy, a drugi raz inaczéj, innym znów razem opisuje dowolnie, jeszcze w innym wypadku całkiem opuszcza—tém samém niszczy i zaciera jedno z najistotniejszych znamion oryginału*, przekształca jego charakter i indywidualizuje według swego widzimisię to, co było wyrazem wspólnego sposobu mówienia szczepu, co było wynikiem równego stopnia ukształcenia całego ludu, co jest właściwe każdéj poezyi ludowéj. Z téj więc zasady, zdaniem mojém, wychodzić winien każdy tłómacz, że na tych miejscach, gdzie w greckim tekście stałe epitety i formułki się znachodzą, zawsze też o ile możności jedne i te same umieszczać należy zwroty i określniki i w polskim przekładzie. Bacznie on przeto na to zważać jest obowiązany, aby polskie i greckie wyrazy były z sobą identyczne, to znaczy, że wyrazy polskie muszą być tak dobrane, aby obejmowały również wszystkie znaczenia, w jakich odnośne wyrazy greckie na różnych miejscach zachodzą."

Do takiego rezultatu musi dojść po głębokiem zastanowieniu się każdy, kto zna charakter starożytnéj epopei, i ocenia jéj piękności zdrowo i bez uprzedzenia; i dlatego to dłuższy ten ustęp rozprawy prof. d-ra L. Ćwiklińskiego [1]) pozwoliliśmy sobie tu dosłownie przytoczyć, jako stanowisko, z jakiego na przekład epitetów patrzéć musimy.

Jak wiadomo, większość epitetów tworzą wyrazy złożone, bądź to rzeczowniki, bądź przymiotniki. W skład pierwszych wchodzi zwykle albo dwa rzeczowniki (*βο-ῶπις*) albo rzeczownik z tematem czasownikowym (*τοξο-φόρος*); w skład drugich rzeczownik z przymiotnikiem (*ποδ-ώκης*) lub odwrotnie (*ἀργυρό-τοξος*) albo przysłówek z rzeczownikiem (*ἡύκομος*). Tego rodzaju złożenia uważa wielu za obce naturze języka polskiego i dlatego tłómacze zakrywając się tą tarczą sądzą, że są już dostatecznie uzbrojeni przeciwko pociskom krytyki. A tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczéj, niżby się na pierwszy rzut oka przedstawiać mogła. Złożenia w języku polskim mają taką samą racyą bytu jak i w innych, tylko w ogólności mają znacznie mniejsze niż np. w języku niemieckim zastosowanie.

Kochanowski w parafrazie III, ks. Iliady w „Monomachii Parysowéj z Menelausem" jakkolwiek niezbyt skrupulatnie przestrzega przekładu wiernego epitetów, nie unika ich przecież tłómacząc np. greckie *αμπελοεὶς* (III, 184) przez: *winorodny; πολυ-*

[1]) Przewodnik naukowy i literacki, 1881, str. 326 i 327.

μυθος (III, 214) *wielomowny;* πουλυβότειρα (III, 89, 195, 265...) *wielożywna;* a ποντοπόρος (III, 46) *wodopławny.*

W dziełach Klonowicza spotykamy 115 epitetów złożonych [1]). Z tych zdają się być tłómaczeniem epitetów Homerowskich: czarnogrzywy (κυανοχαίτης Il. XX, 224), wielostoczna (πολύπτυχος Il. XXI, 449. XXII, 171), zbożodarna (ζείδωρος II, 548), krzywomyślny (ἀγκυλομήτης II, 205, 319...), szumnogłośny (πολύφλοισβος I, 34. II, 209. VI, 347...) inne są przynajmniéj znaczeniem zbliżone, lub dają wzory, w jaki sposób podobne wyrazy składaćby można.

Z pomiędzy kilkudziesięciu epitetów złożonych w „Wojnie chocimskiéj" W. Potockiego możnaby dobrze oddać wyrazem *storęki* (Potocki W. choc. wyd. warsz. str. 289) gr. hom. ἑκατόγ-χειρος (I, 402); *bystrolotny* (Pot. str. 325) gr. ὠκυπέτης (VIII, 42, XIII, 24) lub ὠκύπτερος (XIII, 62); *złotopióry* (Pot. 358) gr. χρυσόπτερον (VIII, 398. XI, 185).

Pomijając oryginalne pod każdym względem złożenia u Naruszewicza, zwłaszcza w Lirykach [2]), znajdujemy i u Mickiewicza: srebrnoruny (Grażyna), gromowładny (Dziady), srebrnopióry, jelenionogi (Graż.), u Zaleskiego: gęstolistny (w Rusałkach) (gr. πυκνός) różnobarwy, (t.) złotopłynny, lekkopióry i t. p., które już posłużyć mogą nie tyle do dosłownego przekładu z języka greckiego, ile raczéj jako wzory a zarazem dowód że złożenia nie są językowi polskiemu obce.

Że tak jest, dowodem tłómacze dawniejsi, jak np. Szujski (Lit. św. niechrz., str. 192 n.), Siemieński (w Odyssei) i Balzer (Album uczącéj się młod. pol. pośw. Kraszewskiemu, str. 21 n.), którzy chętnie posługują się złożonymi epitetami, jak srebrnostopa, wielkooka, krętowłosy, szybkoskrzydły, bystrooka, białoręka, chmurozbiorca, ziemiotrzęs i t. p.

Chcącemu tedy i znającemu dokładnie naturę złożeń polskich tłómaczowi, nie sprawiłyby epitety osobliwszych trudności. U naszych tłómaczy jednak sprawa ta z małymi wyjątkami i to przeważnie u p. Szmurły, przedstawia się dosyć niekorzystnie.

Przypatrując się epitetom u p. Popiela podług zasad prof. Ćwiklińskiego powyżéj przytoczonych, spotykamy najpierw zupełne pominięcie epitetów βαρύς (I, 89 βαρείας χεῖρας) μώνυχος (VIII, 157, μώνυχας ἵππους), διοτρεφής (X, 43, διοτρεφές ὦ Μενέλαε) lub użycie imienia zamiast epitetu: I, 110 zam. ἑκηβόλος—Apollon; VIII, 440. zam. κλυτος—Posejdon; XX, 13. zam. ἐνοσίχθων—Posejdon. Nie starając się o dokładny i konsekwentny przekład epi-

[1]) Por. J. M. Pawlikowski: „Epitota złożone u S. F. Klonowicza." Spr. kom. język. Akad. um., t. IV.

[2]) Por. Wybór poezyi Naruszewicza, Warsz., 1882, str. XVII i XVIII.

tetów, nie dosyć że je rozmaicie opisuje, jeszcze do tego ten sam epitet rozmaicie przekłada. I tak: γλαυκωπις przydomek przedewszystkiém Ateny znaczy raz I, 206 *promiennooka*, to znowu VIII, 406. *sowiooka* lub VIII, 373 *o sowich oczętach* (!), lub nakoniec nawet XXIV, 26: *z modremi oczami*. Ἑκήβολος jest I, 14. 21. *w dal godzący*; I, 96. *zdala dosięgający*; a XXII, 302, *co godzi z daleka*.

Γαιήοχος znaczy IX, 183 *ziemiodzierżca*; XIII, 43. 59. *lądy dzierżący*; XIII, 125, *lądem trzęsący*; XV, 201, *mocarz ziemicy* (!).

Ἰοχέαιρα nazywa się w V, 53. *ciesząca się łukiem*; IX, 538. *co w strzałach sobie podoba*; a XXI, 480, *mistrzyni pocisków*.

Δουρικλειτός przełożone w II, 645 i V, 55. *kopijnik*, a V, 578. *przesławny w boju na włócznie*.

Κλυτοτέχνης w I, 571 nazwany: *w kunsztach biegłym*, w XVIII, 143 *płatnerz*, a XVIII, 391 *sztukmistrz*.

Χρυσηλακάτη jest w XVI, 183 *o złotem wrzecionie* a XX, 70 coś zupełnie niepodobnego: *złotostrzelista*.

W opisywaniu posuwa się p. Popiel nawet tak daleko, że τοξοφόρος w XXI, 483 przetłómaczył osobném zdaniem: *chociaż ci służy łuk*...

Nie brak też tłómaczeń niedokładnych lub całkiem fałszywych. Z pomiędzy pierwszych notujemy wspomniane już powyżéj δουρικλειτος—*kopijnik*; καλλιπλόκαμος (XIV, 326) *o bujnych kędziorach* lub (XVIII, 407. 692) *pięknowłosa*; πολυβουλος (V, 260) *rajczyni*; βοῶπις (VII, 10) *bystra*...; do drugich liczymy: βαθύκολπος (np. XVIII, 122. 339) *o piersi wypukłéj* lub (XXIV, 215) *piersi wyniosłéj*; (zam. nisko opasana) μεγάθυμος (II, 53) *rozumem dojrzały*; (zam. wielkoduszny) ἀμφικύπελλον (I, 584) *dwuręczny* (zam. dwustronny); τετραφάληρος (V, 743) *grzywiasty poczwórnie zagięty*, (XI, 41 z *guzami czteroma* (tak!) (zam. czterogrzebienny)...

Mimo tych usterek nie możemy pominąć zaznaczenia, że nie brak u p. Popiela i trafnych przekładów (np. ἀγάννιφος—śnieżysty; ἠύκομος—pięknowłosa; χρυσόθρονος—złototronna; πτολίπορθος—grodoburca; κλυτοτέχνης — sztukmistrz); ujemne jednak strony w przekładzie epitetów (zwłaszcza niejednostajność) stanowczo przemagają.

P. Szmurło snać korzystał tu i owdzie z pracy poprzedników, bo nietylko utrzymał utarte epitety, ale tworzył dosyć szczęśliwie nowe. I tak: ἀμφιγυήεις tłómaczy jednostajnie prawie wszędzie przez: *silnoramienny* (XIV, 239. XVIII, 383. 393. 614) tylko w I, 607 *potężnoramienny*; ἑκατόγχειρος przez: *sturamienny* (I, 402) które nawet lepiéj brzmi niż Potockiego (Wojna chocimska) *storęki*;

καρηκομόωντες—*długowłosy* (VII, 328 możeby jeszcze wierniéj było: *bujnowłosy*); κυανοχαίτης—*czarnogrzywy* (XX, 224 jak wyżéj u Klonowicza); πολύμυθος—*wielomowny* (II, 214 jak u Kochanowskiego w Monomachii); χρυσηλακάτη—*złotokądzielna* (XVI, 183. XX, 70); ὠκύπτερος—*chyżopióry* (XIII, 62) i inne.

Zato brak u Szmurły wszelkiéj jednostajności w przekładzie tego samego epitetu. Ów częsty przydomek Achajów εὐκνημίδες (zbrojnogolenni) tłómaczy Szmurło raz: *o zbrojnych goleniach* (I, 17, XI, 149, VII, 57) lub z niepotrzebnym dodatkiem: *o zbrojnych misternie goleniach* (XII, 141), *o zbrojnych wytwornie goleniach* (VII, 430) lub z zachowaniem nazwy greckiéj: *o pięknych knemidach* (VII, 311), lub *w pięknych knemidach* (VII, 67) a więc np. w saméj księdze VII, na czterech miejscach cztery razy inaczéj.

Χαλκοχιτῶν przełożone nie źle w XII, 354: *miedzianopancerny*, brzmi w I, 371 *w pancerze zakuci* (a więc niedokładnie); III, 127 i VIII, 71 *miedzią odziany* (niestosownie); V, 180 *pancerny* (niedokładnie); XV, 330 *w miedziane zakuci pancerze* (rozwlekle).

Κροκόπεπλος (żółtoszatna?) przetłómaczone VIII, 1. XIX, 1. XXIV, 695 *w płaszcz szafranowy odziana*; a XXIII, 227 *krokoszowa* (niezrozumiale, chociaż wyrazu tego używa Klonowicz w Worku Judaszowym o brodzie Judasza).

Ἀγκυλομήτης (Klon. krzywomyślny) jest raz *skryty* (II, 205, IV, 59) raz *przebiegły* (II, 319, XII, 450).

Z pospolitych przydomków Zeusa przekłada p. Szm. Ἀστεροπητής w I, 580 *gromowładny* stosunkowo najlepiéj; mniéj dobrze I, 609 *gromowładca;* śmiesznie XII, 275: *bóg błyskawiczny*, a zupełnie fałszywie VII, 443 *ćmiący błyskami!*

Νεφεληγερέτα (chmurobiorca) nazwany w IV, 30. VII, 280. 454 *chmurowładnym* a I, 560 szumnie długo a fałszywie: *w piorunowych przestworach* (!?) *władnący.*

Τερπικέραυνος (gromotrzęs) przetł. podobnie jak ἀστεροπητής w VIII, 2 przez *gromowładny*, w I, 419 *chętny piorunom*, a w XII, 252 nawet: *miotający z rozkoszą pioruny.*

Niedokładnie przełożono ἀμφικυπέλλος (obustronny) przez *podwójny* (I, 584); χαλκοκνημίς (spiżowogolenny) przez: *o zbrojnych wspaniale* (!) *goleniach* (VII, 41); κορυθαίολος (chełmotrzęs) przez: *w buńczucznym szyszaku* (II, 816, III, 83, VIII, 160, XX, 38) ἱππόδαμος (koniowładny) przez *rycerski* (XII, 440); ποντόπορος (morzopławny) przez: *sunący po morzu* (I, 439, II, 771) lub *sunący po falach* (III, 46); βοῶπις (wielkooka) przez *z wyniosłem wejrzeniem* (I, 551); πολύπτυχος (wielostoczny Klon.) przez: *jarami wijący się* (XXII, 171) lub *wieloma wąwozy wijący się* (XXI, 449) i i.

Nakoniec nie brak u p. Szm. miejsc, gdzie fałszywie zupełnie epitet przełożony np. *βαθύκολπος—o łonie wyniosłém* (XVIII, 122, 339) lub *o pięknéj kibici* (XXIV, 215); *μεγάθυμος—na duchu podniosły* (!) (II, 53) lub *dumnie góruje* (XVI, 488) (gdzie ledwo część znaczenia i błędnie oddana); *Τριτογένεια*—przez *Zgłowyzrodzoną* (VIII, 39, XXII, 183) chociaż p. Szm. wiedział w IV, 515, że to imię własne *Trytogeneja*,—nie brak opuszczeń epitetów i podstawienia albo imion własnych albo innych rzeczowników np. VIII, 53 *καρηκομώοντες Ἀχαιοί* przetł. *synowie* Achiwów; w V, 31 *βροτολοιγέ*, *μιαιφόνε* przetł. mordem *śmiertelnych* zbroczony (tylko *βροτο-* z pierwszego przetłómaczywszy); II, 766 i V, 517 *ἀργυρότοξος* przetł. *Fojbos;* VIII, zob. *γλαυκῶπις* przetł. *Atena* i t. p.

Tuszymy sobie, że przytoczone przykłady dadzą cierpliwemu czytelnikowi wyobrażenie o jakości i miarę sądu o przekładzie epitetów u obydwu tłómaczów. Braki są znaczne u obydwu, ale zrozumienie większe u p. Szm. i często dość szczęśliwe złożenie. Do doskonałości, a przynajmniéj zadowolenia skromnych nawet wymagań, jeszcze jednak daleko.

Niezmiernie ułatwiłyby tłómaczom pracę słowniki specyalne do poetów naszych a oprócz tego słownik grecko-polski epitetów homeryckich, na podstawie umiejętnéj oparty, a tłómaczący złożenia złożeniami. Niestety—na takie rzeczy długo jeszcze czekać będziemy musieli, skoro pracujących na niwie języka polskiego nęcą przedewszystkiem dociekania etymologicznych zagadek (dające w rezultacie nowe — zagadki) lub zawsze sporne kwestye poprawy grafiki i ortografii polskiéj...

6. *Dykcya.*

Kto miał sposobność zastanowić się i rozważyć, w czém leży urok przekładu „Odyssei“ przez L. Siemieńskiego; kto ją czytał nie dla napisania krytyki filologicznéj, mającéj naturalnie wiele do zarzucenia, ale dla samego poznania tego poematu w polskiéj szacie, tego zapewne uderzyła forma stylistyczna i językowa, i łatwość i potoczystość dykcyi, mającéj wprawdzie tu i owdzie zakrój rubaszny, jakby gawędowy, ale w ogólności czystój i prawdziwie poetyckiéj. Ten ostatni zwłaszcza przymiot, którego niestety nie posiadały tłómaczenia Homera ani przed Siemieńskim, ani po nim—jest powiewiedzieć można główną tego przekładu cechą, i on to przedewszystkiém stanowi o powodzeniu każdego przekładu.

„Tłómacz nigdy o tém zapominać nie powinien — mówi prof. J. Czubek [1]) że przekłada poezyę a nie prozę, że więc samo logiczne oddanie myśli nie wystarczy, lecz że myśl oryginału w polską obleczona szatę powinna budzić uczucie czyli sprawiać na umyśle słu-

[1]) W rozprawie „O tłómaczeniu“ cytowanéj we wstępie.

chacza silne wrażenie. Ponieważ zaś poezya tak, jak i inne sztuki piękne działa swą formą, kształtem zmysłowym, poza którym kryje się idea, uczucie, przeto tłómacz będzie dobierał takich wyrazów i zwrotów, które zdolne są obudzić fantazyą słuchacza czy czytelnika i zmusić go niejako do wystawienia sobie równie pięknych równie plastycznych obrazów, jakie rzeźbił w fantazyi swoich czytelników poeta oryginalny. Przedewszystkiém więc będzie unikał wyrazów bladych, startych, pospolitych, oderwanych a używał barwnych, świeżych, szlachetnych, rzadszych, konkretnych ..“

W dykcyi tłómaczów, pp. Popiela i Szmurły, nie widzimy przestrzegania podobnych zasad.

W doborze wyrazów spotyka się często tłómacz utworów homerowskich z wątpliwością, czy jakąś właściwość narodu greckiego w życiu, obyczajach lub ubiorze przełożyć lub zostawić niezmienną. Otóż w tym względzie panuje ogólne przekonanie, że takie nazwy jak: *keryks*, *chiton*, *chlajna*, (ale nie *chlena*), *dyskos*, *lotos*, powinny zostać niezmienne, bo jak słusznie dr. Ćwikliński zauważył „i *kontusza* i *fraka* nikt nie będzie mógł nazwać inaczéj jak kontuszem i frakiem,“ nie zgodzilibyśmy się jednak na pozostawienie wyrazów takich jak *krater*, który ma dziś powszechniejsze znaczenie otworu wulkanu, albo *knemidy*, które nie były wyłączną właściwością wojska greckiego. Tymczasem p. Popiel używa *krateru* (X, 579) a p. Szm. bardzo często mówi o *knemidach*, i *knemidnych* żołnierzach, a nawet uważał za stosowne pozostawić smoka w formie greckiéj *drakon* w VI, 181.

Ze względu na starożytność poematu, uważają niektórzy tłómacze za powinność niemal, pstrzenie dykcyi *archaizmami*, które mają nibyto stylowi dawać więcéj powagi i szlachetności. Ale „archaizmy są wdzięczne w poezyi byle ich używać ostrożnie i byle *były jeszcze zrozumiałe*“ — mówi prof. Czubek i dlatego słusznie krytyka wytknęła Siemieńskiemu posługiwanie się bez potrzeby takimi wyrazami jak *sudno*, *nosada*, *postoły*, *rubież*, i t. p. I p. Popiel lubi archaizmy; ale jeżeli takie, jak *witeź* (VII, 170), *proporzec* (XI, 260) a nawet przyswojone: *dank* (IX, 316) i *folga* (IX, 317) jeszcze są zrozumiałe i nie rażą, stanowczo nie na miejscu jest używanie wyrazu *zagłoba* (VI, 525), *dłuższy* (XI, 563), a jeszcze gorsze wprowadzenie wyrazu *docz* (córka) (XI, 740, XIV, 224, XXI, 416), zupełnie niepolskiego. P. Szmurło nie lubi, ale lubuje się w archaizmach. Ulubionym jego wyrazem jest *władyka* (I, 222, i b. często), a oprócz tego nie zapomina o *turmie* (V, 387) o *żywocie* (w zn. brzucha) (V, 587) *o otoku* (obwód) (XVIII, 479, 608) o *rataju* (rolnik) (XXIII, 835) o *puże* (puha—bicz XXIII, 845) i t. p. Szczególniéj lubi archaizmy w nazwach części uzbrojenia, i to bez względu na znaczenie posługuje się pozornymi synonimami, które jednak mają w sobie nowsze i odmienne pojęcia. I tak oprócz *miecza* wymienia *bułat* (I, 194, 220, XXI, 179...) bez względu na to, że wyraz to tu-

recki i mieści w sobie pojęcie szabli krzywéj, któréj klinga od rękojeści ku ostrzu coraz szersza (zob. J. Łepkowski „Broń sieczna.“ str. 71)—a takiéj broni grecy ani czasów wojny trojańskiéj ani późniéj nie znali. Podobnie w niespełna dziesięciu wierszach XXI księgi (169—178) używa czterech synonimów na oznaczenie dzidy, a to: *ratyszcze* 169; *oszczep* 171; *kopija* 172; *bełt* 178; chociaż to odmienne od siebie rodzaje pocisków (zob. ks. Krasińskiego Słownik Synonimów, I, 270) a *ratyszcze* to czeskie r a t i š t č. Zamiast tarczy mamy i *paiże* (III, 335 i często) i *pawęże* (III, 356 i często) chociaż znowu z nimi łączą się odmiene a z grecką tarczą nie zupełnie zgadzające się pojęcia. Oprócz tego napotykamy jeszcze: *nawiązki* (XVIII, 498) *sprzężaj* (XVIII, 543) *maślacz* (VIII, 232) zupełnie nie polskie *skomorochy* (XVIII, 605) daléj *karować* (VI, 457) i *głodać* (w formie dwuznacznéj *głodzą* (gryzą) XXI, 204).

Przejdźmy do *prowincyonalizmów* i wyrazów technicznych. Łączymy je razem, bo wyrazy techniczne w pewnym zakresie nauk czy rzemiosła używane, są także gwarą, dla fachowych zrozumiałą. Z jednych i drugich korzystali nasi tłómacze dobierając wyrazów dla oddania pojęć greckich; ale nie zachowali zwłaszcza przy prowincyonalizmach potrzebnéj ostrożności, aby nie używać ich tam, gdzie mamy liczne inne wyrazy języka ogólnego i literackiego.

P. Popiel naprzykład zamiast wyrazów: troska, zmatrwienie, używa wyrazu przyswojonego *turbacya* (VI, 355) i stosownie do tego i czasownika *turbujesz się* (X. 176) *sturbowany* (XI. 702) obok *poturbowany strzałami* (XV, 727) w znaczeniu: poraniony. Zamiast: przyrządzony, przysposobiony, czytamy u p. P. *zrychtowany* (X, 353) *rychtują* (XIX, 395), zamiast: silnie, mocno—*dychtownie* (XII, 454), *dery dychtowne* (XVI, 224); zamiast: trafem, przypadkiem, czytamy: *trafunkiem* (II, 594) i daléj podobnie (XIII, 10) *jankur* (I, 192), *gunia* (X, 265), *ino* (tylko) (XIII, 104); *w doma* (X, 378).

Wierzymy że wyrazy: *wexle* (XXIII, 712) *rafkę* (XXIII 505) *sztyber* (XXIII, 327) są techniczne; ale zdaje nam się, że można było znaleść na nie inne w języku, a odpowiedniejsze i zrozumialsze, a przedewszystkiém łatwo zastąpić także techniczny wyraz, ale zarazem barbaryzm: kamieniami *glejchuje* (XVI, 212) dobrym polskim wyrazem: *równa, gładzi.*

P. Szmurło używa konsekwentnie wyrazu *kompan* (I, 345, 26, VIII, 79. 125. 138... b. często) zamiast zwykłego: towarzysz lub prawdziwie poetyckiego: druh; lubi bardzo *turnie* (499, VII, 3, XXI, 389) i *hale* (XXIII, 684, 780, XXIV, 81) a nawet *debry* (XXIII, 122). Co do ostatniego wyrazu zauważyć musimy, że brzmienie jego u ludu polskiego jest *debrza* a nie *debra* i tego też w ostatecznym razie należało użyć. Z innych wymieniamy: *wiater* (IV, 355) w formie ludowéj z *e*; *kwasty* (V, 738, XXI, 400) *połać* (V, 857) *susz* (XX, 490), *trzcinnik* (XVIII, 576); *tyli* (tak wielki) (II, 528) *podstrzegać* (VII, 243), *térać* (XXII, 464, XXIV, 16) *znarzać się* (XXIII, 732). Wyrazów *piżeja* (VI, 247) i *sczochnąć* (V, 308) nie znaleźli-

śmy w żadnym słowniku; ze sensu tylko domyślamy się, że pierwszy ma znaczyć *stronę, część*; drugi: *zetrzeć, obetrzeć*. Do technicznych wyrazów zaliczyć musimy *kil* (przód okrętu, I, 482) *wasong* (u wozu XX, 499, XXI, 38) pisany zwykle przez *q*; i *sfugować* XXIII, 712).

Oczywistą jest rzeczą, że tego rodzaju wyrazy nie przyczyniają się do jasności i piękności dykcyi; wiele z nich, zwłaszcza techniczne nazwy, jeżeli ich użycie jest nieuniknione, powinny przynajmniéj znaleść objaśnienie w odnośniku u dołu, aby czytelnik sposobem łatwym mógł je zrozumieć.

Jeżeli tedy wytknąć musieliśmy w dykcyi archaizmy i prowincyonalizmy, zwłaszcza niezrozumiałe, cóż wreszcie powiedzieć mamy o wyrazach i zwrotach pospolitych, *trywialnych*, lub co gorsza nie polskich, barbarzyńskich, w jakie niestety, zwłaszcza przekład p. Popiela do zbytku obfituje.

Oto np. zaraz na 1 stronicy w w. 17 czytamy:

Atrydowie i wszyscy Achajo *na łydach okuci*...

W najprostszym stylu wyraz *łyda* musiałby nawet niewybrednego razić; a tu styl ma być poetycki, a miejsce patetyczne! Ten wyraz spotyka się potém często—to jest wszędzie gdzie są w tekście *ἐυκνημίδες Ἀχαιοί*, tylko czasem z odmianą na *łydookuci*... a więc zawsze fałszywie, bo uzbrojenie *goleni* nie jest okuciem *łydek*... W podobnym guście czytamy daléj: bogów *czereda* (!) (I, 222, XV, 50, 54 161, 177...) *zygające* (sic!!) *źródło* (IV, 654) *gnaty* (XII, 386) *kobyła* (XXIII, 265), *chłopaki* (to ma być: synowie XI, 123) *w kupie* (V, 502), *w kupie trzymaj* (IX, 708), *do kupy związawszy* (X, 493), *zbioi do kupy* (V, 782), *w gębie* (X, 375), *palnął* (XI, 240), *gruchnął* (V, 42, 540, 617) *borukać* (IV, 472). Również dowiadujemy się że: bramy się *z hukiem* rozwarły (V, 749, VIII, 393) że była *mordęga* (!) okropna (V, 811, X, 399, 471, XV, 85, XVII, 745, 746) że Harpal *klapnął* na miejscu (XIII, 653), że Menelaj *dogrzał* tamtemu (XV, 572), że potoki *waliły się z góry na łeb* (XVI, 391 i 392), że Hefajstos uchwycił *łagę* (XVIII, 416) Zeus *huknął piorunem* (XX, 56), Hera *pękała od gniewu* (XXI, 479) a Atena Aresa *po karku trzasnęła i członki zgnębiła* (XXI, 406). Szlachetna dykcya, niema co mówić!..

Do tego warto dołączyć parę kwiatków uszczknionych na niwie barbaryzmów p. Popiela. Bohaterowie zbrojąc się *pasują szyny* (III, 330, XI, 17, XVI, 131, XXI, 531); Atenę *passya* trawi (IV, 23), Mydon w kurzawę *na sztorc* ramieniem się oparł (V, 586) i oszczepy stały *na sztorc* na propocach zatknięte (X, 153) dzidy *sztorcem* na ziemi stanęły (XI, 474) lub *sztorcem* utkwiły (XV, 317), piasty były ze srebra toczone *w cyrkiel* gładziutko (V, 726), strzała *o szpicu* potrójnym (XI, 507); również czytamy tam o *impecie* (V, 623, 661, XI, 298) *o frycu* (VII, 198) *o sztabikach* (XIII, 407) i t. p.

Winniśmy sprawiedliwość p. Szmurle i zaznaczamy, że jego dyk-

cya pod tym względem nieporównanie czystsza. Bo oto naprzykład z trywialnych wyrażeń moglibyśmy wyliczyć tylko: *pomyje* (I, 314, bardzo często) i zwroty: *nie pociągniesz już długo* (V, 285) *lunął Kronida* (XII, 26), *Hektoraśmy zmietli* (!) (XXII, 393) a z barbaryzmów: znowu *pasować* (III, 333) *fossa* (XII, 4) *brustwer* (XII, 381), *frontowy* (XIX, 151) *sztychem* (XX, 377).

Czy w obec znanego już przecież bogactwa języka polskiego potrzeba tłómaczowi tworzyć nowe wyrazy—pozwolimy sobie wątpić; ale jeżeli już w skarbcu narodowym nie dane mu było znaleść odpowiedniego pojęciu greckiemu wyrazu, to niechże przynajmniéj tłómacz pamięta przestrogę udzieloną przez prof. Czubka w słowach: „Najostrożniéj należy sobie oczywiście postępować przy kuciu nowych wyrazów: ileż to takich nowotworów ukutych przez znakomitych myślicieli i poetów przepadło bez śladu!“ Dlatego nie wiémy, jakimi względami powodowany np. p. Popiel nie mógł użyć wyrazów: ulubieniec, dzban, ziemia, kopijnik, cieśnina, i t. p. ale pisał: *lubieniec* (XIII, 674) *dzbaniec* (I, 584) *ziemica* (II, 748, V, 769) *dzidowcy* (VIII, 473), *węzizna* (XII, 66) a potém *pochowek* (XXIII, 619, 680, 748, XXIV, 38) zam. pogrzéb; *nieśmiertny* (prawie zawsze) zam. nieśmiertelny; *nowinny* (XVIII, 541) zam. ugorny; *podsobni* XXIII, 338) zam. prow. lejcowy; i t. p.

Również i p. Szmurło lubi nowotwory: *pożerca* (I, 231) i *pożerczy* (VIII, 181, 235) *bytujący* (!) (II, 412), *harcerz* (IV, 143), *zamczyście* (VIII, 288), *pasterzować* (XIV, 445), *popytne* (!) *dziewice* (XVIII, 593)—to poczet najważniejszych—z których nawet ostatniego nie wahalibyśmy się zaliczyć do niezbyt estetycznych...

Nareszcie jako *anachronizmy* wytknąć musimy p. Popielowi, *szablę* (XI, 19, XIII, 147, XX 469), *mołojców* (XIX, 248, XXIII, 175) i XXIV, 239) a p. Szmurle: *welon* (III, 141) *walacha* (o koniu XXIII, 514) *boxera*! (XXIII, 669) przymiotnik *elegancki* (XXIII, 384, XXIV, 441) i nakoniec zwrot: *w sam ogień* (!) *potyczki*, w który uniósł p. Szmurłę zapał—oratorski! Jeźli od czego, to od podobnych anachronizmów zupełnie wolna powinna być dykcya tłómaczów, jeźli nie chcą zniżyć swych przekładów do rzędu—trawestycyi...

To część leksykalna dykcyi. Przejdźmy teraz do *stylistyczno-gramatycznéj*.

W dziale tym mamy p. Popielowi bardzo wiele do zarzucenia, i radzi nie radzi—aby spełnić sumiennie obowiązek przyjęty, zejść musimy nawet do błędów gramatycznych i ortograficznych.

Nie może się przyczynić do jasności przekładu opuszczanie niezbędnych członków zdania jak podmiotu, przedmiotu, orzeczenia, chociażby w języku greckim członków tych z uwagi na składnią jego brakować miało. I tak nie da się usprawiedliwić brak przedmiotu w zdaniu: Trojanie sypnęli na niego dzidami, świecącemi, ostremi, o *tarcze się liczne odbiły* (V, 619) gdzie zai-

mek *te* przed wyrazem „*o tarcze*“ niezbędnie potrzebny. Konieczne jest również dodanie zaimka *my* w zdaniu: jeźli albowiem i (my) reszta zginiemy wszyscy pospołem (XII, 245); wyrażenie podmiotu w zdaniu: tędy on prosto rumaki kierował a za nim dążyli z krzyki głośnemi... (XII, 124); dodanie przedmiotu w formie odpowiedniego zaimka w zdaniach: Lecz ze złością odesłał (I, 25); gdyż nawet nad Klytemnestrę przekładam I, 113); tak powiedziawszy wypuścił (V, 290) i w zdaniach V, 517. 723. 848. VIII. 412. X, 657. 712. IX, 308. XI, 352. XII, 51. 251. XVI, 232. 346. a zaimka zwrotnego *się* w zdaniach XVI, 232. XX, 17. XXIV, 68. 207. 541. 718. Nie znaleźliśmy orzeczenia w VII, 420: (Argeie) wstali by zwozić poległych a reszta po drzewo do lasu (?).

Każda gramatyka szkolna poucza, że jeżeli podmiotem zdania jest liczebnik główny przy określeniu przedmiotów żywotnych, wtedy występuje on w 4 przyp. a orzeczenie wyraża się nie osobowo; a więc: było pięciu braci, wielu nie rozumiało i t. p. P. Popiel jednak pisze: *Sto dwadzieścia młodzieży* Bojotów szło na wyprawę (II, 510); w każdym *pięćdziesiąt było wioślarzy* (II, 719), *było nas* bowiem *dwanaście* Neleja zacnego *potomków* (XI, 692) *wielu będą... karani* (IV, 161); *wielu* z Achajów *gryźli* kurzawę (XXIV, 738).

W zgodzie orzeczenia z podmiotem zaniedbanie zgody rodzaju lub liczby nie jest u p. P. rzadkie: A więc: *wojska* który z grodów... *zburzyli* (I, 164) ...*z narodów*, co ziemię *obsiedli* (II, 804); cała *starszyzna* narodu... *zasiedli* (III, 149) bitwę... *staczali wojsko* zebrane (VII, 133); *reszta... toczyli potyczkę* (XII, 175); *siłom* nakażmy by *powracali* (XV, 295) i podobnie XIX, 248. XXII, 71. XXIII, 881. XXIV, 588. 609. 116.

W składni przypadków nie rozróżnia p. P. zwrotu: *zaręczyć kogoś* od: *zaręczyć komuś* i używa pierwszego w znaczeniu drugiego, IX, 19: *zaręczył mię* (niem. versicherte mich...). Natomiast atoli pisze: moglibyśmy *tobie poręczyć najlepszą z córek* Atrydy (XIII, 378). Przy czasowniku *zagrzewać* kładzie sam 4 przyp. rzeczy zamiast przyimka *do* z 2 przyp. np. XI, 213: *straszną potyczkę zagrzewał* (ἔγειρε δὲ φύλοπιν αἰνὴν) lub XIV, 3 *zważajcie* ...téj sprawy *obrót i koniec* zam. *na obrót*: Z drugiéj strony spotykamy niepotrzebnie przyimek *na* w zwrocie: *spotkawszy na srebrne okucie* (XI, 237) lub użycie fałszywe zaimka *na* zam. *w*: *w okręty się schronił* (VII, 149) *na* z 4 przyp. zam. z 7: *wsparty na pomnik* (XI, 371), z tarczami *na ramię wpartemi* (XXII, 4).

Na jednę z najistotniejszych właściwości języka polskiego, używania po negacyi 2 przypadka rzeczowników zależnych od słów przechodnich, p. Popiel bardzo mało zwraca uwagi, chociaż to w poczuciu językowém tkwi silnie. Przykłady takie jak: *dziewicę się ojcu nie odda* (I, 98) *nie zedrę ci* lubéj odzieży, *płaszcz i chiton i to co...* (II, 262), *nie stracił z uwagi przestrogę* (II, 807); *nie potrafi potęgę wstrzymać* (IX, 351), *nie powinieneś serce mieć twarde* (IX, 407) i in-

ne w X, 312. XIV, 34. XX, 256. 369. XXII, 159—dostateczne dają wyobrażenie o téj stronie stylu p. Popiela. Również i przy słowie *dosięgam* zwykliśmy kłaść 2 przyp. udziałkowy; p. P. kładzie przyp. 4: *głowę... dosiągł* (XXIII, 765).

Natomiast znajdujemy w dziwny sposób użycie 2 przyp. tam, gdzie ono zupełnie błędne i chyba składnią języka greckiego da się wyjaśnić. Oto np. *usłyszawszy rozkazu* (IV, 198) dałoby się wytłómaczyć greckim genit. przy ἀκούω, lecz w tém miescu tego nie ma; ale czém wytłómaczyć takie zwroty jak: *nie sądzę, żeby na długo wytrzymał groźnego pocisku* (V, 104) lub: *na czegóż* (!!) ci trzeba téj porywczości (VII, 109)? (Por. oprócz tego XII, 327, XIII, 48, XV, 44; XXIII, 458). Niestosownie użyto przyimków *do, od, przed* z 2 prz. gdzieby bądź to 4 przyp. bądź innych użyć należało; np. *umiem się rzucać do* (*w*?) *zgiełku* (VII, 240) *nadbiegają do zgiełku* (VIII, 89), *błagał... do nieba* (VII, 364), *nie ustanie od walki* (VIII, 473, XI, 255), *starli się do walki* (XII, 377), *statki do morza wyciągać* (XIV, 97) *stanął przed niego* (XI, 397).

Zastanawiając się nad składnią przypadków spostrzegliśmy, że prawie wszystkie konstrukcye z 3 przyp. w języku polskim niestosowne pochodzą z dosłownego przekładu bez względu na składnię polską. I tak wiersz V, 181: *walecznemu Tydejdzie bym jego zupełnie porównał*—odpowiada najzupełniéj greckiemu: Τυδείδῃ μὲν ἐγὼ γε δαΐφρονι πάντα ἐίσκω; VI, 115: *żeby modlili się bogom* — δαίμοσιν ἀρήσασθαι; IX, 251 *żebyś Danajom odwrócił... dzień zguby*—ὅπως Δαναοῖσιν ἀλεξήσεις κακὸν ἦμαρ; X, 46, *nakłaniając się... ofiarom..* μᾶλλον ἐπιφρένα θῆκε ἱεροῖσιν. Może podług analogii powyższych przykładów urobił p. P. zwroty: *jemu się uśmiechnął* (VI, 404) *odwrócił im zgubę* (XIII, 783).

Podobne „przejęcie się oryginałem bezpośrednie“ a zbyteczne i niewłaściwe, widzimy w składni przypadku 6. Zwrot: *uszami wszyscy słuchali* (XII, 442) odpowiada w zupełności greckiemu οἱ δ' ὄυασι πάντες ἄκουον; *Pelejdem pokonan* (XX, 294) gr. Πηλείωνι δαμείς... W ten sam sposób urobiono zwroty: *luba mną rządza nie wrzała* (?!) (XII, 324) *a tę Pelejowi bogowie wspaniałym podarkiem dali* (XVIII, 84), jego Achilles wyznaczył *nagrodą* (XXIII, 748), *niczém* się widać nie troszczysz (XXIV, 683). Całkowicie grecką jest konstrukcya zdania: *unikał strasznie tamtych popierać* (XIII, 356. —ἀμφαδίην μὲν ἀλεξέμεναι ἀλέεινε —ale w polskim monstrualną). Trudno wytłómaczyć sobie powstanie zwrotu: *ustali z robotą* (παύσαντο πόνου) powtarzającego się od I, 467, i II, 430... dosyć często.

Ta skłonność p. P. do przejmowania się składnią grecką na niekorzyść języka polskiego, pokazuje się najwyraźniéj w zwrotach imiesłowowych. Wiadomo, że w składni języka greckiego ta kato-

gorya form słownych ważną odgrywa rolę, i że często imiesłowów greckich albo się wcale nie tłómaczy, albo przysłówkowo, albo nakoniec całém zdaniem. W przekładzie p. Popiela imiesłowy tworzą bądź to orzeczenie, bądź przydawkę lub dopowiedzenie, bez względu na właściwości języka polskiego, byle tylko zgodnie z językiem greckim. Jestto błąd tak elementarny, że nie umiemy sobie wyjaśnić, jak może go popełnić poważny tłómacz. Oto parę przykładów:

Particip. attributivum ἐών w zwrotach: ἐνθαδ' ἄτιμος ἐών (I, 171) i μοῦνος ἐών (IV, 387) nie potrzebuje być wcale tłómaczone; a więc przekład pierwszego: *będąc tu zapoznanym* („zapoznać“ użyte fałszywie, a w tém miejscu za słabe) a drugiego: *będąc sam jeden*, powinien brzmieć: tu zapoznany (właściwie: nieuszanowany) i krótko: *sam*—bez słowa: *jeden* nawet. Zamiast: *jego zaś pozostawiła rozżalonego* (I, 429) lepiéj po polsku będzie „pozostawiła w żalu;“ zamiast *jego tam pozostawił nad tém zamyślonego*, lepiéj „w zamyśleniu“— zam. *już ich bowiem żyjących nie przyjął z powrotem po wojnie* (V, 157), lepiéj „żywych“ lub nawet „przy życiu“ i t. p.

Najbardziéj razi używanie imiesłowów polskich jako przydawki (a więc ze zgodą rodzaju, liczby i przypadku) tam, gdzieby ich użyć należało przysłówkowo a więc w nieodmiennéj formie na—*ąc;* tu bowiem stanowcza zachodzi różnica między językiem greckim a polskim. U p. Popiela jednak czytamy: *Ona mająca... potęgę* (V, 593); *gdy się do siebie zbliżyli naprzeciw siebie pędzący* (V, 630); *pospieszył... grozę niosący Danajom* (V, 682) *dowidzi* (?!)... *patrzący* (V, 771); Ares *mierzył .. pragnący tamtego życia pozbawić* (V, 852). *Hektor się uśmiechnął na chłopca patrzący* (VI, 404); *w Argos będącą przędzę trzymała* (VI, 456); siedziały szeregi *oszczepami sterczące* (VII, 62) i t. p. w ks. VII, 209. 443. VIII, 565. 565. XI, 232. 574. 713. 767. 835. XII, 213. XIII, 487. 601. 617... w ogóle 40 razy.

Nie wspominając już o użyciu czasów, o szyku wyrazów, zwłaszcza partykuł, zwracamy się do innéj części gramatyki—*do deklinacyi i konjugacyi*. I tu bowiem spotykamy u p. Popiela błędy, z których najważniejsze przytaczamy.

Z deklinacyi rzeczowników zwracają uwagę niezwykłością form przypadkowych: 2 przyp. *jawora* (II, 307); *zgiełka* (V, 445); *hełma* (VII, 12); *stosa* (XXIV, 787); 3 przyp. *strumieniu* (XXI, 291) ale *bogowi* (I, 127, XXIII, 863, 882); *ku domu* (I, 170, XXIV, 471); *ku pociechy* (!!) (IX, 186); 5 przyp. *synie* (V, 277); 7 przyp. obok ludowego *doma* (XVI, 190) nieforemne *w domie* (III, 322). W l. mn. spotykamy formy: *sojusznikowie* (XI, 564), *cieślowie* (XIII, 390), *rożna* (II, 426. VII, 317. IX, 213) zam. *rożny* od 1 przyp. l. poj. *ten rożen;* podobnie błędnie l. mn. *mięśnia* (XVI, 314), ale *pęty* (zam. pęta XIII, 36) a nawet l. mn. *dziecka* (!) (XVIII, 514), *z boginiów* (XVIII, 430 i t. p.

Aby łaskawych czytelników nie znużyć litanią błędów, i tak

już obficie cytowanych, zaznaczamy jeszcze, że w odmianie imion własnych miesza p. Popiel często odmianę żeńską z męską, pisząc np. 4 przyp. *Eneję* (!) (V, 435, 512), 5 przyp. *Enejo* (XX, 332) a w zaimkach nijaką z męską np. *tém* czasem (XI, 521, 524); i wspominamy, że odmiana liczebników przedstawia się u p. Popiela nader ciekawie (*obuch* XII, 344. XXIII, 526; *obum* V, 156. 207. VIII, 402; *obiemi* (!) V, 416, *dwunastum* XVIII, 336. XXIII, 22) a jeszcze ciekawiéj użycie liczebników zbiorowych (*braci siedmioro* VI, 421, *miast siedmioro*, IX, 291, *kól dziesięcioro* VI, 33, *synów obojga* XI, 329, *braćmi obojgiem* XVI, 326, *czworo miednic* XXIV, 233, *córek sześcioro* XXIV, 604 i t. d.

W konjugacyi napotykamy imiesłowy nieużywane: *chciawszy* (I, 412), *widziawszy* (V, 510), *przystawszy* (zam. przystanąwszy XII; 60) formy błędne: *szedła* (VI, 252), *szedłam* (XXIV, 766). *szedli* (XIV, 48), ale *uszłaś* (XI, 451); *zdybam* (II, 258); *bieżył* (XIII, 245), *zadźwięczył* (XIII, 441) i niestety coraz częściéj w dziennikach warszawskich używane formy: *stroniemy* (IV, 351), *wróciemy* (IX, 619), *musiemy* (IV, 14, V, 477...), *siedziemy* (V, 383), *widziemy* (IX, 229, i t. p. przedrzeźniające język polski...

Nakoniec parę słów o *ortografii*. Pomijamy znowu błędy takie, które *mogą* pochodzić tylko z niedbałéj korekty, a więc znaczki pod samogłoskami dla oznaczenia nosówki (*e*, *ą*) lub kréski nad samogłoskami (é, ó) chociaż i tego brakować nie powinno w dykcyi starannéj — ale jakżeż sobie wytłómaczyć takie błędy, jak: *cybula* (XI, 630); *ligajże* (XX, 389) *miętki* (XVII, 49) *łytkę* (XI, 583, 584, 662, 810, 829, 844); *druchowi* (VII, 159) *puchar* (VII, 480, IX, 670) *szlubu* (I, 65, 93) i inne tym podobne?

Musielibyśmy napisać całą gramatykę zboczeń językowych p. Popiela, gdybyśmy chcieli przytoczyć wszystkie miejsca. Na to ani pora, ani miejsce—a ostatecznie byłaby to rzecz bez korzyści. Sądzę, że potrafiłem przekonać czytelników, jak dalece dykcya pana Popiela stylistycznie a nawet ortograficznie zaniedbana.

Na szczęście sprawa ta przedstawia się znacznie lepiéj u p. Szmurły i dlatego nie wiele możemy mu wytknąć. Oprócz takich niepoprawnych zwrotów jak spieszy *po* mieście (VI, 515); *do* nich się znowu podnosi (I, 68) *w takie słowa* się modlił (I, 43); *po* leżach... Achiwów dary wydzierać (I, 230); przy okrętach *mu* zastępy *były tępione* (XIII, 676); ale nikt *nie odparł zagłady* (VI, 16); *poległym tym* (6 przyp.!) Parys był srodze oburzon na duchu (XIII, 660); *ilekroć* (!) Achiwi... *do szczętu spustoszą* (I, 164)—zaznaczamy niewłaściwe łączenie bezokolicznika z czasownikami *przekładam*, (trzymać, I, 113), *cieszę się* (wywalczyć I, 158) *przysyłam* (przywieść I, 442) losy *rządziły* (*polegnąć* (!!) XIX, 417) *dał* rozkazy (oręż przypisać i zaprządz XXIII, 130) błaga (przybyć XXIII, 209); następnie gramatycznie błędne zastępowanie zaimka względnego: który, którego, któremu, któréj... przez *co go* (I, 79, XXIV, 234) *co jéj* (XXI,

400), *co je* (XVIII, 514) i używanie spójnika czasowego: *jak skoro* (I, 168, 173; 299, VI, 349), 412 i zawsze zresztą) zamiast: *gdy* lub samego *skoro*.

W ogólności możemy orzec, że dykcya p. Popiela jak w przekładzie poetyckim jest za prozaiczna, więcéj niekiedy niż pospolita a do tego przepełniona błędami; dykcya p. Szmurły nierównie wyższa i czystsza, chociaż przeważnie rozwlekła a w miejscach patetycznych retoryczna.

. . . . . .

Pozostawałoby jeszcze zastanowić się nad pytaniem, w jakim stosunku co do wierności i zgodności z oryginałem zostają obydwa przekłady, przez nas rozbierane, skoro wyrzekając się niejako wyższego charakteru, oba postawiły sobie za cel główny *dosłowność*. Aby na to pytanie odpowiedzieć, musielibyśmy częstokroć zejść do szczegółowéj egzegezy i interpretacyi tekstu greckiego, zestawiać oryginał i oba przekłady, i jeżeli nie długością téj rozprawki, to pewnie subtelnością filologicznych dociekań znużyć naprawdę łaskawych czytelników. W przekonaniu tedy, że ten ustęp należy raczéj do recenzyi w fachowém piśmie umieszczonéj, a nie do pisma peryodycznego przeznaczonego dla szerszéj publiczności, pozwalamy sobie tylko ogólnie zaznaczyć, że co do wierności, oba przekłady stoją prawie na równi, bo gdzie uniknęły Scylli, tam pewnie wpadły w Charybdę. Ze względu jednak na niepoprawną dykcyą p. Popiela, być może, że często poczytaliśmy to za brak wierności, co było tylko wyrażone niewłaściwie lub mniéj dokładnie.

Więc ani jeden ani drugi przekład nie wypełnił braku w naszéj literaturze istniejącego? W istocie nie; i to nietylko wyrzec możemy o tych rozbieranych właśnie przekładach, ale śmiemy twierdzić to również o próbach współcześnie ogłaszanych częściowo bądź to znowu w formie heksametru, bądź z chęcią naśladowania Siemieńskiego—w formie wiersza 13-zgłoskowego. Przekłady pp. Popiela i Szmurły mają przecież swoję wartość: dokonane z wielkim nakładem pracy i w zamiarze najlepszym są przestrogą dla tych, którzyby się jeszcze podobną drogą puścić mieli ochotę, a stanowią materyał częściowo obrobiony dla przyszłego tłómacza Iliady. Nasi tłómacze patrzyli na swe zadanie głównie ze stanowiska filologicznego, a chociaż mu nie sprostali, zawsze stali się przynajmniéj „szczeblem do sławy grodu.“ Kiedy filologowie wyjaśnią nawet trudniejsze zagadnienia ze stosunku języka greckiego do naszego, rozwiną i utrwalą zasady przekładu a opierając się na tych rezultatach zdobytych zabierze się do przekładu mąż, którego „język giętki powie wszystko, co pomyśli głowa“ i który przeżyje jeszcze raz chwilę powstania utworu poetyckiego, wtedy — ale tylko wtedy — z rąk *poety* otrzymamy prawdziwy przekład Iliady...

Bóg daj to jak najrychléj!...

O FABRYCE

FAJANSU I PORCELANY W KORCU.

NAPISAŁ

Leonard Lepszy.

W uroczéj dolinie z prawego brzegu rzeczki Kurczyka w pośród skał granitowych a umajonéj drzew zielenią — rozsiadło się dawne gniazdo książąt Koreckich, wywodzących swój ród od ks. Dymitra Buławy syna Olgierda. Za Zygmuntów książęta Koreccy wznieśli na przybrzeżnéj skale obronny zamek, który przy końcu zeszłego wieku przebudowano. Późniéj przeszedł Korzec we władanie Leszczyńskich a wreszcie Czartoryskich, z których ostatni, Józef X. Czartoryski z Klewania na Korcu, stolnik litewski — stworzył z niego ognisko ruchu przemysłowego na Wołyniu.

O księciu wiemy, iż się wychował zagranicą, przejęty duchem postępu, ożywiony najlepszemi chęciami dla rodzinnego kraju. Wróciwszy do dóbr swoich, rozwinął zadziwiającą czynność na polu przemysłu krajowego, w prowadzeniu ładu w gospodarstwie rolném i rozszerzaniu instytucyi filantropijnych w swych majętnościach. Człowiek skromny i cichy, więcéj mówił czynami aniżeli słowy, chociaż i w życiu politycznem brał niejaki udział, ale w niém nie zajął wybitnego stanowiska. „W r. 1764 mianowany po królu Stanisławie Auguście stolnikiem litewskim, wyjechał tegoż roku w poselstwie do państw włoskich a mianowicie do Rzymu, gdzie z wielką okazałością był podejmowany [1]). Klucznikiem woje-

---

[1]) Korzon T. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stan. Aug., III, 124, Expensa generalna skarbu koronnego od 1 lipca 1764 do 30 września 1766, sub per resultata Senatusconsiliorum posłowi Czartoryskiemu Józefowi stoln. lit. do Rzymu 23999 złp.

wództwa wołyńskiego został r. 1772, później widzimy go posłem wołyńskim na sejmie czteroletnim a wyznaczony zaraz na poselstwo do Berlina w końcu 1788 r. [1]), bawił w tymże mieście do r. 1790. Gdy w miesiącu lipcu tegoż roku wyznaczono „deputacyą do ułożenia projektu o fabrykach," między wybranymi czytamy i nazwisko księcia. [2]).

Najważniejszym może faktem i najdonioślejszym dla przemysłu wśród przedsiębiorstw księcia, było założenie fabryki fajansów pod Korcem na przedmieściu Józefinie. Mamy przed sobą kontrakt, między dyrektorem fabryki Franciszkiem Mezerem a kompanią, reprezentowaną przez ks. Józefa Czartoryskiego, który w dosłownem brzmieniu przytaczamy:

„Kontrakt między przyszłą kompanią przez J. O. Xięcia Imci Czartoryskiego stolnika W-o X-a L-o, reprezentowaną z jednéj a Im panem Franciszkiem Mezerem, dyrektorem fabryki farfurowéj koreckiéj, z drugiéj strony wniżey opisane punkta.

1-mo J. pan Mezer, jako wiadomy wszystkich operacyi w téj fabryce praktykowanych, będzie miał zupełną dyrekcyą tejże fabryki i zwierzchność nad wszystkiemi rzemieślnikami w niéj znajdującemi się. 2-o. Więc nie tylko przestrzegać powinien, aby wszyscy rzemieślnicy zadosyć czynili powinności swoiey, y iak naylepiey wyrobiony towar z rąk swoich wydawali, lecz jeszcze co do wyboru gliny, kamienia, piasku, kompozycyi, z których glazura (się) składa, pozłoty, ieżeli iey będzie potrzeba, iako u preparacyi farb, sam przez się wyż rzeczone artykuły wygotować powinien będzie. 3-o. Za pracę zaś J. pana Franciszka Mezera tak iako y za wyż rzeczoną robotę przyszła kampania przez wyż rzeczonego J. O. Xięcia Imci Czartoryskiego stolnika W-o X. Lit-o przyrzeka płacić regularnie J. panu Mezerowi co miesiąc czerwonych złotych dziesięć N. 10 ℔ [3]) a to od czasu wyjazdu jego z Warszawy. 4-to. Prócz tego obowiązuie się taż kompania dać panu Mezerowi pomieszkanie, tamże opał i światło, lub złoty na tydzień zimą y latem na to światło. 5-to. Kontrakt ten robi się na lat sześć, przez które obligowane będą obydwie strony, dotrzymać wyż rzeczone obowiązki, po tych zaś lat sześciu, wolność będą mieli obydwie strony czyli renowować ten kontrakt, czyli też się rozejść. 6-to. In quantumby zaś, Boże broń, okazała się aż do dwóch lub trzech lat strata na téj fabryce y niemożność uczynienia ją pożyteczną, natenczas przy rozwiązaniu kompanii, obligowaną będzie taż kompania dać panu Mezerowi na powrót jego do Warszawy czerwonych złotych trzydzieści dico N. 30 ℔. A tenże pan Mezer żadney iuż pre-

[1]) Korzon, III, 269, J. O. X. Czartoryskiemu posłowi w Berlinie 22000 złp.

[2]) Korzon, II, 437.

[3]) ℔ znak używany na oznaczenie dukata.

tensyi do tey kompanii o kontynuacyą pensyi swoiey aż do wyż rzeczonego terminu czynić nie ma.

Józef Xiąże Czartoryski stolnik lit.
W Warszawie 17° Novembra anno 1783 [1]).
Franciszek de Mezer.

Kontrakt mówi już o egzystującéj fabryce;—widocznie tedy zanim książe zdecydował się założyć fabrykę na większą skalę — wysłał najprzód Franciszka Mezera zapewno z kilku robotnikami warszawskimi, zapożyczonymi może z Belwederskiéj fabryki fajansów, założonéj jeszcze przed rokiem 1774 przez krzątającego się około przedsiębiorstw przemysłowych, króla. Prawdopodobnie więc fabryka w Korcu — była to tymczasowa stacya doświadczalna, — którą, gdy okazała pomyślne rezultaty, rozwinięto w wielką fabrykę, opierając kapitał zakładowy na akcyach od 100 do 10,000 złotych. (W chwili rozwoju przynosiły akcye po 100%).

W kontrakcie nie ma żadnéj wzmianki o porcelanie, widocznie nie przypuszczano jeszcze wówczas, czy fabryka korecka zdoła produkować ten rodzaj wyrobu.

Jak się dowiadujemy z „Ramot starego Detiuka o Wołyniu“ uposażył książę świetnie nowozbudowaną na przedmieściu Józefinie, [2]) rękodzielnię.

W prawém skrzydle ogromnego gmachu, [3]) było mieszkanie dyrektora. obszerne, wygodne i ozdobne, i laboratoryum; na lewém skrzydle był magazyn wyrobów; srodek na dole zajmowały galerye robocze, na górze sale malarni, które mieściły wzory porcelany zagranicznéj, wreszcie z tyłu dziedziniec ogromny z licznemi fabrycznemi zabudowaniami.

Na czele fabryki stanął polak, Franciszek Mezer, przybierając do swego boku brata Michała, obaj znakomici nauką i doświadczeniem. Mezerowie składali wzorową rodzinę z wyższém światowém ogładzeniem. Mieli piękną bibliotekę i prenumerowali kilka gazet ówczesnych. Dom ich na wyższą skalę prowadzony, ugaszczał znakomite w kraju osoby z zarządu polskiego i rosyjskiego.

Liczba warsztatów dochodziła 86 [4]), a siedzących za toczy-

---

[1]) Oryginał kontraktu jakoteż dwa listy w odpisach następnie przytoczone, są własnością p. St. Bandrowskiego—były one na ostatniéj wystawie starożytności w Krakowie, a szczególniéjszéj uprzejmości p. Z. hr. Cieszkowskiego zawdzięczamy ich kopije.

[2]) Korzon, II, 239.

[3]) Andrzejewski, str. 22.

[4]) Korzon, II, 23 G.

dłami było w r. 1793, (tj. w czasie największego rozkwitu fabryki) do 1000 [1]). Największa część robotników była z Warszawy; ale byli i Saksończycy, przy których wielu Rusinów tutejszych szczęśliwie się przyuczało i kształciło [2]).

„W malarni zatrudnionych było 73 prcowników, pod przewodnictwem Sobińskiego, który pobierał 15 czerw. zł. miesięcznie, nadto miał dom z opałem, światłem i stróżem. Odznaczali się pięknem rysowaniem Grzegorz Chomicki, Antoni Gajewski [3]) i Bluman. Kosztowniejsze obstalunki malował Sobiński i osobne za to wynadgrodzenie pobierał.“ Sobiński, urodzony zdaje się w Dubnie, gdzie przemieszkiwał ojciec jego, porucznik ostrowskiego regimentu. Przed przybyciem do Korca służył lat kilka w biurze komisyi cywilno-wojskowéj w Warszawie, ztąd na rekomendacyą Peszki, przyjaciela i przewodnika jego w malarstwie, wezwał go książę Józef Czartoryski na dyrektora malarni, [4]) i tutaj przebywał nieprzerwanie aż do chwili spalenia się jéj, w którym czasie przeniósł się na dwór wojewody sieradzkiego, Michała Walewskiego w Tuczynie, dla udzielania nauki malowania miniatur dzieciom wojewody.

Materyał do wyrobów z fajansu znajdowano na miejscu; warstwy glinki między granitowymi skałami, powstałe przez zwietrzenie skał [5]) wybornie musiały się nadawać do wyrobów kamiennych, fajansowych. Od r. 1790 [6]) do wyrobów porcelanowych brano glinkę z Dąbrowicy, oddalonéj o mil kilka od Korca, krzemień z Krzemieńca a kredę najlepszą z Jampola [7]). „Mie-

---

[1]) Andrzejewski, str. 22.

[2]) „Czas“ z r. 1869, Nr. 25.

[3]) Malarz Antoni Gajewski zdaje się być tym samym, o którym A. Grabowski (Skarbniczka, 45) a za nim Rastawiecki (Słownik malarzów polskich, III, 209), wspominają i wątpią o jego istnieniu. W roku 1788 przebywał w Korcu wybitny malarz warsz. Józef Pitschman, wezwany tamże przez księcia stolnika; jednak nie wiadomo, czy go z fabryką wiązały jakiekolwiek artystyczne stosunki.

[4]) Andrzejewski, 17, 20 i 70.

[5]) Eichwald Edward „Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien,“ Wilno, 1830, str. 5 i 9-ta. Sposób wypalania porcelany, jaki był używany w Korcu podał Ignacy Jakowicki w swém dziele: „Obserwacye geognostyczne w guberniach zachodnich i północnych“, Wilno, 1831, jak również Julian Kołaczkowski w nowym podręczniku, ogłoszonym już po napisaniu naszéj rozprawki (Wiadomości, tyczące się przemysłu i sztuki w dawnéj Polsce; Kraków, 1888, str. 488 — 492).

[6]) Rok ten był dotąd zawsze błędnie podawany przez wszystkich, którzy pisali o porcelanie.—List Stanisł. Aug. niżej przytoczony, usuwa wszelką wątpliwość w tym względzie.

[7]) Dziennik wileński z r. 1830, T. 5, podaje L. Wierzbicki.

sięcznie wychodziło z fabryki do 20,000 sztuk; wprawdzie była ona zdolną do większéj produkcyi, lecz brakło jéj odbytu, chociaż składy urządzone były w Berdyczowie i Warszawie. Wyroby jéj miały być doskonałe, ledwie nie wyrównywające zagranicznym, jak świadczą Magier i Jezierski.

Komisya skarbowa w Warszawie sprzyjała rozwojowi fabryki i „gdy Mezer uskarżał się na brak odbytu, z powodu konkurencyi fabryk austryackich, komisya zmniejszyła cło wychodowe od fajansów do trzeciéj części i zwolniła transporty wywozowe od rewizyi na komorach; nadto obiecała takie same ulgi na porcelanie, skoro fabryka porcelanowa wydoskonaloną będzie [1])." Być może, iż na usposobienie komisyi wiele wpływał Jacek Jezierski, kasztelan łukowski, gdy w sejmie r. 1790 mówił z przechwałką w obronie fabryki fajansu: „Mały zdaje się objekt fajansu angielskiego, przecież za niego nie milion pieniędzy za granicę wychodzi. Jest fabryka w Korcu, J. O. X. Czartoryskiego stoln. lit., druga u mnie (w Grębenicach), doskonalszego fajansu niż angielski; byłoby ich więcéj i tyle ile kraj potrzebuje, gdyby rząd temu nie szkodził, bo chociaż wypadło prawo, aby kraj zagranicznego nie używał, komisye skarbowe zagranicznym wchodzić dozwalają, na cóż prawo pisać, jeżeli go nie exekwować. [2])."

„Jedyny objaw rzeczywistéj troski o przemysł wychodził od Stanisława Augusta i osób z nim zbliżonych: od jego brata Michała, Andrzeja Zamojskiego i tego nielicznego grona, które się podpisało na akcie spółki Manufaktur wełnianych." Nie zrażał się Stanisław August niepowodzeniami, sam nie szczędząc nakładów, innych zaś wspierając słowem i czynem — a zasłużonych nagradzając.

Z początkiem r. 1790, gdy wreszcie Mezer wynalazł odpowiedni sposób przyrządzania porcelany z glinki koreckiéj, donosi o tém królowi, który go za to obdarował listem i pierścieniem z cyfrą królewską:

J. panu Mezerowi, dyrektorowi fabryki Koreckiéj w Korcu.

Roku 1790 dnia 9 maja.

„Mości panie Dyrektorze fabryki Koreckiey. Odbierając w liście W. pana de Mai dowód już szczęśliwie doprowadzonego starania, że porcelanę krajową miéć możemy, nietylko dziękuję za to W. panu, ale y na znak wdzięczności moiey łączę tu pierścień z cyfrą króla, szczególniejszą panowania swego na wzroście rękodzieł krajowych chlubę zakładającego.

Co wyraziwszy bozkiéj W. pana polecam opiece.

Stanisław August król.

---

[1]) Korzon, II, 239, 269, 145.

[2]) Korzon, II, 266.

Król nie poprzestał na tym podarunku, ale wspierając i zachęcając nie przepomniał obdarzyć Mezera również indygnatem polskim [1]).

Nie obojętnym na postęp fabryki koreckiéj był i brat królewski, „zimny i treściwy prymas," jak go nazywa Kalinka—„nie tyle czynami, ile radami, wpływem i udziałem służył sprawie przemysłu [2]).

Na odpisie listu, który mamy przed sobą, nie ma roku, jest tylko 14 Junij w Warszawie a pisze w nim prymas, co następuje:

„Odebrałem wczoraj list W. pana w początkach maja datowany z dwoma pięknemi filiżankami; dochowam pilnie do obiecanego powrotu królewskiego w przyszłym miesiącu: tę, którą mnie obliguiesz W. pan prezentować od niego; drugą według wyrażonego w liście życzenia z wdzięcznością dla siebie zatrzymuię znam Iego talent y serce. Moie się kraje, że jedno y drugie dla Polski stracone, w którey nie umiem dziś przemyślać żadnych dla iego osoby y fabryki awantażów. Talent znaiduie pod nowym panowaniem zaletę, fabryka niechybne wsparcie. Ile gdy oczy obrócisz na Stambuł, y dogadzaiąc tamteyszemu gustowi wnieść potrafisz konkurencyą z fabryką wiedeńską wielce ztamtąd zyskuyącą. Takowy widok przy ułatwianych nowym rządzie spławach wodnych, także gubernatorów zachęcić potrafi do silnieyszey pomocy. Okoliczności różne nie pozwalaią mi dzisiay do skutku przyprowadzić projekt żądanego dawniey serwisu zaczym nie zostaie mi, tylko z serca życzyć pomyślności y pisać się W. pana przyiacielem."

Prymas.

Z listu dowiadujemy się, że króla nie ma w Warszawie; ale obiecuje się powrócić w następnym miesiącu, zatém nie ulega wątpliwości, iż list pisany r. 1793 w chwili, gdy się odbywał smutnéj pamięci sejm grodzieński, na który „nie przybył żaden z koronnych biskupów" [3]). Maluje on również stan duszy brata królewskiego, który choć „i w senacie i w izbie rycerskiéj nie miał równego sobie hartem, odwagą i niezłomną w swym systemie wytrwałością, [4]) pod brzemieniem nieszczęść spadłych na ojczyznę, z głębokim smutkiem pisze, iż serce jego się kraje, gdyż nie może poświęcić swych usług krajowi. Jednak mimo zgryzot żywo zajmuje go los fabryki koreckiéj, wypowiada uznanie zasłudze, trafnie radzi, by szukać zbytu na wschodzie, zastosowawszy się do wymagań tam-

---

[1]) I. hr. Dunin Borkowski, „Spis nazwisk szlachty polskiej," Mezer ind. 1790 (Con. f. 218)

[2]) Korzon, II, 242.

[3]) Szujski „Dzieje Polski," IV, 686.

[4]) X. Walcryan Kalinka, „Sejm czteroletni," I, 1, 75.

tejszych, stawiając za przykład fabrykę wiedeńską. Domyślać się należy, iż Mezer musiał obmyśléć nowy, oryginalny kształt filiżanek i pierwsze dwie przesłał dla dworu polskiego.

Sława porcelany koreckiéj zaczęła się rozchodzić poza granice Polski: „Generał-gubernator Tutułmin obstalował był kaftior na 12 osób z portretami cesarzowéj i stosownemi do tego ozdobami za 1000 rs. Piękność tego wyrobu przeszła oczekiwanie. Zadowolniony generał umówioną sumę wypłacił, Sobińskiemu za trafne podobieństwo i gładkość pendzla w medalach 100 czerwonych złotych ofiarował, a Mezer w krótkim czasie otrzymał w upominku piękną tabakierę złotą z portretem carowéj, bogato oprawnym [1]). Gdy książę po r. 1792 wyjechał na mieszkanie do Drezna, zaniedbał nieco sprawy podniesionego przezeń przemysłu, bo z daleka tylko na piękne dzieło swoje spoglądał.

„Franciszek Mezer utracił żonę a choć w powtórne wszedł związki z panną Honoratą Golczówną, Korzec jednak stał mu się nie miłym i o opuszczeniu tego miasta szczerze myślał" [2]).

„Dawni akcyonaryusze powychodzili, nowych bardzo niewiele przybywało, nie zachęceni od księcia, innym spekulacyom się oddawali i fabryka przed niewielu laty tak sławna, traciła swoją wziętość, chyliła się do upadku; a wszystko się na ten upadek sprzysięgło: w r. 1795 Franciszek Mezer wezwany do Zamojskich, przeniósł się do Tomaszowa, ich majętnosci w Galicyi i tam nową fabrykę utworzył."

Michał Mezer zastąpił w zarządzie słabego zdrowia brata, ale tylko z trudnością ogromowi pracy mógł podołać. W nocy z 1 na 2 stycznia r. 1797 okropny pożar zniszczył piękną budowę, ogromne zapasy materyałów, piec do wypalania porcelany a drugi fajansu i dwa magazyny gotowéj porcelany i fajansu. Zgorzała malarnia z całym zasobem najpiękniejszych wzorów saskich, francuzkich i chińskich, warsztaty, formy i narzędzia. Ten smutny wypadek dobił fabrykę, bo rezolucya od księcia na odbudowanie nie prędko przyszła i jeszcze znalazła trudności w egzekucyi. Zniechęcony obojętnością księcia Mezer, uwolnił się z Korca, przeniósł do Baranówki, gdzie r. 1803 na własne imię i własnym kosztem założył fabrykę do dziś dnia istniejącą [3]).

Odtąd, zdaje się, fabryka wegetowała tylko i brak nam wszelkich o niéj wiadomości. Pan Ludwik Wierzbicki w części infor-

---

[1]) Andrzejowski, str. 25.

[2]) Andrzejowski, str. 25 i 70.

[3]) Datę założenia fabryki w Baranówce podał mi teraźniejszy dyrektor fabryki fajansu w Baranówce, p. Józef Mezer, wnuk Franciszka Mezera.

macyjnéj do katalogu wystawy archeologicznéj, powiada, że fabrykę korecką odbudowano w r. 1800.

17 marca 1810 r. umiera w Warszawie książę Józef Czartoryski, a Korzec przechodzi na jego córki, Potocką i Jabłonowską [1]). Z zamiarem podniesienia fabryki na podstawie spółki akcyjnéj, chciał wziąć Korzec książę Eustachy Sanguszko w posagu żony, ale spadkobiercy, wyznaczeni przez stolnika litewskiego zgodzić się na to nie chcieli, lecz sami zabrali się do podniesienia fabryki, choć z niewielkim skutkiem. Sprowadzili bowiem na dyrektora francuza chemika Mérault ze Sèvres, ale ogromne koszta sprowadzania z daleka potrzebnéj gliny, (kopalnia korecka ze zmianą fabrykantów zrujnowana, wyczerpała się prędko) utrudniały postęp. Podziękowano więc około r. 1815 Meraultowi a Korzec został tylko przy wyro-bach dość nizkiego fajansu, całoroczny zaś odbyt nie dochodził 8000 rs. [2]).

Porcelana korecka jest najczęściéj gruba, zwłaszcza początkowe wyroby, nieprzezroczysta, nieulegająca zepsuciu, twarda, krzesi bowiem ognia, pozłota z odcieniem czerwonawym, trwała. Malatury na niéj odbijają ten słodkawy, troskliwy, miniaturowy sposób traktowania, jaki cechuje epokę Stanisława Augusta. Przeważają w nich motywa z świata roślinnego, wcześniejsze częstokroć stylizowane, późniéjsze prawie bez wyjątku naturalistyczne; bardzo często wypełniają je pejzaże, bądź zaczerpnięte z niw ojczystych, bądź też czerpane ze wzorów francuzkich, a nieraz pełne wdzięku i uroku. Ulubionym kolorem, używanym przez fabrykę korecką, był niebieski ze swymi odcieniami, a najbardziéj lubianą ornamentacyą, to rzadko rozsiane niebieskie kwiatuszki na białéj powierzchni przedmiotu.

Pod względem kształtu, trzymano się początkowo niewolniczo wzorów zagranicznych, lecz wnet zaczęto wprowadzać w życie pomysły artystów krajowych. Pod względem rozmaitości wyrabianych tu naczyń i przedmiotów zbytkowych, to dzięki wyposażeniu fabryki przez księcia stolnika litewskiego, w dostatek narzędzi, wzorów i biegłych ludzi, nie ustępował Korzec zagranicznym.

Ponieważ zadaniem mojém było tylko dorzucić nieco światła do wyjaśnienia dziejów fabryki, aby znając jéj historyą łatwiéj można szeregować jéj wyroby, przeto na zakończenie wypada mi podać kilka objaśnień co do używanego znaku fabrycznego

Znak fabryczny koreckiéj porcelany jest sam napis „Korzec" lub oko Opatrzności. Znaki te są do r. 1797 złote; od roku zaś 1800: niebieskie oko bez podpisu, po r. 1815, po odprawieniu dyrektora francuza, służyło za markę: oko czerwone z podpisem, po

[1]) Andrzejewski.

[2]) T. I. Stecki „Wołyń," I, 32.

tym roku aż do końca, to jest do r. 1831 napis w języku rosyjskim często z dodaniem roku. W ten sposób według kolorów oznacza p. J. Kołaczkowski [1]) znaki porcelany koreckiéj, nie podając jednak źródła, z którego tę wiadomość czerpie; z tego też powodu nie możemy z zupełnym spokojem przyjmować jego twierdzenia.

Zdaniem naszém najwcześniejszy znak jest sam napis złoty: „Korzec," następnie dodano oko opatrzności z promieniami, które jednak niebawem opuszczono, jako potrzebujące więcéj czasu do wyrysowania. Lecz nie postanowiono widocznie stałéj reguły, gdyż i przy kolorowych znakach występuje: to napis, to znów oko z osobna, albo połączone oba znaki. Do wyjaśnienia znaku prowadzić mogłoby odnalezienie faktycznego dokumentu, lub zbieranie znaków i ciągłe ich klasyfikowanie, zwłaszcza znaków, przy których wypisany rok wyrobu. Podjęliśmy to zadanie z tą otuchą, że ludzie dobréj woli starania nasze poprzeć zechcą.

Kraków, 16 listopada 1887.

---

[1]) „Wiadomość o fabrykach i rękodziołach w dawnéj Polsce" str. 55.

KRWAWA SIELANKA.

(OBRAZ POWIEŚCIOWY Z DZIEJÓW SERBSKICH).

PRZEZ

M. Szymałę.

I.

Piękną jest okolica, zawarta pomiędzy rzekami Morawą i Driną; piękność to wspaniała, dziko potężna, pomimo niewielkiéj kraju przestrzeni. Skała piętrzy się tu pod niebo i zapada w przepaści, szumi rwąca fala potoków górskich, szumią dęby, buki, jesiony, morwy, jawory, „szumią jodły na gór szczycie,“ gór wyglądających zaledwie gdzie niegdzie nagim wierzchołkiem z potężnych lasów gęstwiny. To też kraina ta zwie się Szumadyą na cześć szumiącéj wiecznie nad nią pieśni przyrody. To serce staréj Serbii.

Wieńczac, Sabor, Sturac, pojedyńcze szczyty gór Rudnickich wznoszą tu czoła prawie na dwa tysiące stóp po nad poziom. Dziksze jeszcze są i bardziéj ponure szczyty Kopaonickie, poszarpane przed wiekami rzymskich górników przemysłem, pełne szczętów po starożytnych wodociągach i murach, obrośniętych gęstwiną odwiecznéj zieleni. Jest to labirynt kryjówek, szczelin i jaskiń, przepaścisty i niedostępny niewtajemniczonemu: to ostateczne schronisko nieszczęsnéj „rai“ serbskiéj przez ciąg długich wieków jarzma tureckiego.

Ilekroć Turczyn dostawał ataku choroby ludów dzikich lub zdziczałych, zwanéj „żądzą krwi,“ tutaj uciekał Serb, unosząc w sercu znicz narodowy. Najspokojniejszy „kneź,“ „kmet“ lub „sielak“ tu hartowany ogniem rozpaczy, stawał się wojnikiem — hajdukiem, rycerzem, walczącym za wiarę i ziemię, spadającym

jak orzeł z tych skał niespodzianie na tureckie stokroć potężniejsze zastępy. Góry te były dla Serbii tém, czém góry Kantabryjskie były dla Hiszpanii: kolebką przyszłości.

Bezdenne wąwozy, głębokie, rozkosznie kwitnące doliny, kręte, bystre rzeczki, poprzerywane przepaściami, a wśród nich czerwone dachy monasterów, dworców i siedzib wiejskich, tonących w przepychu dziko rosnącéj morwy, całych lasów śliwowych, grusz i jabłoni, i bogatych winnic, składają się na tak uroczéj a fantastycznéj rozmaitości krajobraz, że niepodobnaby wymarzyć właściwszego na tło dla miejscowego bohatera, ożywiającego te szczyty.

Hajduk, to posąg, ulany ze spiżu jaskrawych sprzeczności, stopionych wiekami okrutnéj niewoli, dźwiganéj wśród bezustannych krwawych protestów, z modlitwą własną, korną a gorącą na ustach i z pieśnią o carze Duszanie, o minionéj wielkości Serbii.

Już to pieśń brzmi bezustannie w szumie, unoszącym się po nad Szumadyą; brzmi jako jeden ton w chórze... Oprócz bowiem „świraczy," grajków z profesyi, są tam gęślarze ludowi a przytem jest każdy prawie serb pieśniarzem z urodzenia, takim jak słowik lub skowronek.

Pieśń nie ustaje tam, a jeżeli cichnie koło jakiego domostwa, jakiéj „kutii," lub wioski, to pewno mieszka tam nie serb właściwy, lecz mniéj poetyczny i śpiewny Wołoch lub Rumun.

Wołoch czy Rumun, wedle nowszych badań ma być potomkiem zromanizowanych Daków i Getów; zżyty z Serbem od dawna, przy wspólności religijnego wyznania mało różni się od Serba ubiorem i obyczajem; najwybitniejszéj różnicy podobno dopatrzéćby można w niepospolitéj krasie dziewcząt rumuńskich, odznaczającéj je pomiędzy słynnemi przecież z wdzięków Serbkami, i w mniéj surowym obyczaju kobiet zamężnych rumuńskich.

Wiadomo, że najdogodniejszą chwilą do obserwowania wdzięków wiejskich piękności, jest chwila wodobrania, od biblijnych idylli zacząwszy, aż po dziś dzień, ludowe zaloty u studni się też rozpoczynają zazwyczaj; a jeżeli gdzie, to w Serbii, w Szumadyi zrozumieć można najjawniéj tego przyczynę, gdyż grupa dziewcząt u studni zgromadzonych, do niéj i od niéj dążących z dzbanami o starożytnych kształtach, jest tu tak uroczo piękną, że ani pędzel, ani dłuto, ani słowo nie są w stanie wypowiedzieć jéj wdzięku, zwłaszcza jeżeli są w niéj Rumunki. Wysmukłe, polotne kształty posągowo uwydatnia długa płócienna klassycznéj prostoty suknia, szerokim paskiem ujęta w kibici, ciemne lub czarne oczy o długiéj rzęsie i pysznéj brwi promienieją blaskiem dyamentów; rysy są urzeczywistnieniem tych właśnie linii, które jak są dziś u nas tak i u Greków niegdyś były ideałem piękności, wcale nie często istniejącym w żywéj postaci, i dla tego właśnie utrwalanym z zamiłowaniem w posągach; kwiaty i mnóstwo srebr-

nych i złotych monet w kruczych warkoczach, na rękach i szyi, dopełniają cudnie malowniczego stroju, a wdzięk uroczy, wrodzony o pozach i ruchach, przed któremi sztuka musi czoła uchylać, otacza dziewczynę aureolą czarodziejskiego uroku i piękna.

Takich to dziewcząt gromadka dążyła pewnego gorącego popołudnia pojedyńczo z różnych stron rozkosznéj wioski Wyszewcy, w okolicy Kragujewca, do studni, rysującéj się zdaleka na tle bujnych zarośli młodej orzeszyny.

Jednocześnie, do téjże orzeszyny biegł, kryjąc się za parkany i krzaki, młody Serb, trochę zbyt wykwintnie jak na dzień powszedni przybrany, co łącznie z pośpiechem i ukrywaniem się, zdradzało podbójcze jakieś chłopaka względem dziewcząt zamiary. W stroju jego, przy zwykłych szerokich, fałdzistych szarawarach, białéj, do kolan na nich koszuli, czerwonym przepasanéj pasem, uderzał przy fezie czerwonym, olbrzymi ciężki jedwabny, na plecy spadający kutas i pstry „jelek“ z pysznego jedwabiu, rodzaj kaftanika czy kamizelki, a nadto bogata oprawa noża, wyglądającego umyślnie cokolwiek ze skórzanéj pochwy. Chłopak włożył na siebie, co miał najświetniejszego i, wpadłszy szczęśliwie niewidziany w gęstwinę, skakał gorejącemi oczami od jednéj do drugiéj z dziewcząt, nadchodzących z piosnkami na malinowych ustach i amforami na głowach, skakał tak, dopóki na jednéj z najpóźniéj przybyłych nie zawisł jak przykuty.

W miarę jak dziewczęta się zbliżały, piosenki ich cichły chwilowo, a zastępował je szczebiot z trochą pustoty, towarzyszący napełnianiu dzbanów. „Liepotice“ to były te serbki, piękności takie, że patrząc na nie, nie wiedziałeś, na którą patrzéć wprzódy? Ale ukryty chłopak wiedział, bo oczu z téj jednéj swojéj nie spuszczał, a może oczy to same odéjść mu od niéj nie chciały. I miały słuszność. Dziewczyna była pięknością pomiędzy pięknemi, a milczące jéj usteczka, i odznaczający ją nawet wśród uroczych towarzyszek wdzięk ruchów, zdradzały, że Wołoszką była. Zdawało się, jakby ona sama bezwiednie lubowała się własnemi ruchami, co wywoływało pewną ich powolność; prawie téż ostatnia „liepotica“ ta przybyła do studni, a potém, dzban postawiwszy na wysokim głazie, wsparła klasyczną rączkę na dzbanie; wznosząc przeto ramię cokolwiek, śliczną główką lekko pochyliła na to ramię, i czarném okiem tonąc — pomiędzy szczytami odległych gór, czekała... aż pierwéj przybyłe ustąpią.

Zdawała się nie słyszéć piosnek i śmiechów, nie widziéć pustot, a jéj powaga nie zwracała wzajem uwagi towarzyszek, snadź do niéj przywykłych. Aż nareszcie jedna z nich rzuciła w zadumaną pęk polnych kwiatów, zebranych po drodze do studni, dodając figlarny dziewczęcy okrzyk, odpowiadający w zupełności pospolitemu wśród słowiańskich dziewcząt:

— Budzę cię!.. — Napastnica mierzyła celnie i trafiła pro-

sto w piersi: deszcz kwiatów obsypał zadumaną, która jednak, mocnemi uzbrojona nerwami, nie zadrżała:

— W jakim?... — spytała zwykłém pytaniem, zwolna spuszczając tęskne czarne oczy ze szczytów gór na napastnicę; poddawała się swawolnéj zaczepce, łaskawie, niby królowa, uprzejmie pozwalająca wciągnąć się w pustotę poddanek. Ale teraz napastnica nie odpowiedziała sama jak należało, bo wszystkie jéj towarzyszki spostrzegłszy napaść i zasłyszawszy uczynione „z urzędu“ wedle reguł gry, pytanie, krzyknęły w odpowiedzi jak na komendę, chórem:

— W czarnym... oczywiście!—i tejże chwili same, spostrzegając tę jednomyślność, zaczęły śmiać się całą perlistego śmiechu kaskadą:

— Ach, jakże się zgadzamy!

— Jakaż w tém musi być prawda!

— Doro! o Doro, więc u ciebie nie ma innéj myśli—tylko Karadżiordżi, czarny Jerzy twój?

— Ależ jego ojciec nie chce ciebie na synowę! Dziwak Piotr!

— Wszak twój ojciec posyłał do Piotra i Piotr nie chciał?

— Nie chciał ciebie, najpiękniejszéj, najbogatszéj z całéj okolicy, i Czarny Jerzy nic na to, i ty jeszcze o nim myślisz?

— Doro, to wstyd! ty wstyd nam wszystkim robisz!

Młody chłopak, ukryty w orzeszynie tuż za piękną Dorą, trząsł się z oburzenia pod tym gradem dziewczęcych w pół seryo ożywionych wymówek. Dora płonęła, wodząc po towarzyszkach czarnemi ognistemi oczyma z niewypowiedzianą dumą:

— Jak mam o nim nie myśléć — rzekła nareszcie pewnym i dźwięcznym jakby młodzieńczym głosem, — wszak wiecie, że tu mieszkał i że bawiłam się z nim „w kole nieraz igrając,“ dopóki nie wyprowadził się z rodzicami do Topoli. Gdziekolwiek teraz spojrzę, widzę go!

— Ależ jego ojciec nie chce cię na synową!

— Wiecie przecież dlaczego: ażeby mu Wołoszka całego domu nie zwołoszyła, jak to wy wszyscy serbowie mawiacie w przysłowiu:

„Gde Vlahinia dodje, svu kucâ povlaši.“ — odparła dumnie.

— Ależ Jerzy! sam Jerzy nic na to? on nie dba o ciebie chyba!

— A wy, co chcecie, aby czynił? Karadżiordżi nie jest momkiem, prostym chłopakiem takim, jak każdy z waszych, którzy dbają o pstry „jelek,“ o świeży fez jedwabny i o piękne wasze oczy tylko. Karadżiordżi dba o Serbią! Karadżiordżi tu jeszcze w Wyszewcy malcem będąc myślał i marzył tylko o carze Duszanie i kralewiczu Marku, aż teraz dorósł, i wymarzył i sam się stał jednym i drugim!

— Ho ho ho! i... jeszcze nie; poczekaj! jeszcze on nie car ani królewicz! — śmiały się dziewczęta.

— Ale już bohater! Serbia już brzmi w pieśni jego imieniem, choć on mniéj lat niż wielkich czynów liczy! Jego kochać, to nie wstyd, Karadżiordżię kochać, to cześć!

Trudno wyrazić, jaka potęga przekonania brzmiała w tych wyrazach, z królewską wygłoszonych dumą. Swawolnice same nawet zamilkły na chwilę, ale zaraz, jakby na potwierdzenie prawdy, że nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie swéj, rozpoczęły figlarną napaść na nowo:

— Ależ on brzydki! jakże go kochać można!

— I ma szkaradne zwyczaje!

— To prawda, gdzie napotka Turczyna zabija go! — potwierdziła Dora.

— I... nie w tém rzecz; on jest gniewliwy, mruk, pół dnia nieraz siedzi milczący jak głaz! Ni on na brata, ni na męża!

— Tylko paznogcie sobie ogryza, a jak do niego przemówić, odwróci się i daléj paznogcie gryzie!

Na ten ostatni nizki zarzut rozkochana piękność nie raczyła odpowiedzieć, tylko oczy zwróciła napowrót na górskie szczyty, jakby skończyła sprzeczkę, przez którą przerwano jéj zadumę.

— I... to wszystko nic nie znaczy— mówiła tymczasem jedna z dziewcząt; — ale to gorsze, że on raz w złości własnéj matce ul z pszczołami na głowę włożył!

— Oh!.. I!.. zgroza! — zakrzyknęły inne. — Słyszysz Doro?

— I mój ojciec powiada — ciągnęła daléj dziewczyna — że nigdyby Jerzemu córki nie dał, bo jakim kto jest synem, takim i mężem będzie, a i wielkim wojnikiem, wielkim jak car Duszan nie będzie i pieśń ze czcią nie powtórzy przez wieki jego imienia, bo na to trzeba mieć duszę wielką prawdziwie, nie dbającą o ziemskie małości.

— A wy, Milico z Milanem ojcem, co możecie wiedzieć o tém, jaką Karadżiordżi ma duszę? spytała Dora dziwnie sciszonym głosem, przystąpiwszy do mówiącéj tak niespodzianie, że ta aż się bezwiednie cofnęła. — A otóż wiedzcie, — dodała Wołoszka nagle głos podnosząc, — wiedzcie, że i mój ojciec tak samo jak wy, jak stary Milan o Jerzym trzyma, a teraz słuchajcie i niebo i ziemia niech słyszą, co ja wam powiem, ja, która Jerzego duszę znam: oto, czego car Duszan dokazać nie mógł, tego Karadżiordżi dokaże, a co się złego za cara Duszana stało, to się przez Karadżiordżię odstanie. Karadżiordżi większym będzie niż car Duszan, tak mi Boże dopomóż! I podniosła Wołoszka w szaloném uniesieniu ramiona ku niebu, wzywając je naświadka dzikiéj za duszę ukochanego przysięgi.

Stało się jak makiem zasiał przez chwilę, dziewczęta skamieniały pod wrażeniem, z którego nie umiały sobie zdać sprawy,

aż Milica, wpatrzona w Dorę, szepnęła z pewnym odcieniem zabobonnego przerażenia:

— Patrzcie... jéj same oczy obracają się w stronę tamtych gór... gdzie — młoda Milica nie zdążyła wypowiedzieć swéj myśli, gdy towarzyszki już ją zrozumiały i, skamieniałe przed chwilą pod działaniem potężnéj siły jakiejś, teraz wybuchnęły nagle pustym śmiechem, jakby na skutek dziwnéj reakcyi:

— Do Topoli oczko bieży.

Bo w Topoli mieszka Jerzy! — zaśpiewała któraś rzucając się nagle na szyję Dory, pocałowała ją pogrążoną jeszcze w rodzaju ekstazy, wywołanej uniesieniem, i chwyciwszy swój dzban z wodą skoczyła od studni w swoją drogę do chaty, gdy tymczasem inna z dziewcząt, podchwytując w lot myśl i nutę poddaną, zaśpiewała:

— Nie leć serce do Topoli

Bo Wuk na to nie pozwoli!—i ukłoniwszy się Dorze z figlarną powagą, ujęła swój dzban i także odbiegła. Było to razem hasłem i przykładem dla drugich: wszystkie dziewczyny wybuchnęły chórem w śmiech i śpiew, i kłaniając się uroczyście a ironicznie Dorze, rozbiegły się, unosząc dzbany i śpiewając zaimprowizowaną tak nagle i daléj improwizującą się w pół bezwiednie piosenkę:

Nie dość machać jataganem
Żeby zrównać się z Duszanem;
Nie o każdym pieśń to powie
Że dorównał Duszanowi.

Ej ty Dorko, ty bogata,
Nie zawiązuj sobie świata,
Marny momek ten z Topoli
Niech cię serce oń nie boli;

Choć w Turczyna z puszki puka,
Nie wart Jerzy nie wart Wuka!

Dora Wołoszka pozostała sama u studni, płonąca gniewem bezsilnym, piękniejsza niż kiedykolwiek, z zaciśniętemi ustami, ciskając z czarnych jak piekło ócz, piorunujące spojrzenie na wszystkie strony na znikające w oddali swawolnice.

— Doro! jak ty możesz znieść, aby tak naśmiewano się z ciebie! krzyknął poza nią głos drgający gniewem.

— Wuk! słyszałeś?.. — syknęła, obracając się do wybiegającego z orzeszyny chłopaka. — Ty pytaj jak ja ciebie znieść mogę! to wszystko przez ciebie cierpieć muszę! — wybuchnęła nagle, bo całe jéj oburzenie zwróciło się niespodzianie na niewinną nastręczającą się nieoględnie ofiarę. Wuk załamał ręce, zmartwiał prawie, w bolesném zdziwieniu.

— Przezemnie? przezemnie, — powtórzył. — O! ja „siromaszny“ nieszczęśliwiec! a jabym tobie nieba chciał przychylić! Gdyby te *diewojki* o ostrych językach były takiemi jak ja momkami, nie pozwoliłbym im pewno naśmiewać się, ale cóż z diewojkami poradzę?... Ha, już wiem co, pójdę do ich ojców, do ich braci i z niemi się rozgadam,... niech zabronią swoim diewojkom szydzić z ciebie!

I wychwytując ostry nóż z pochwy, Wuk już biegł na owo rozgadanie się.

— Stój! ani się waż!—krzyknęła, chwytając go za ramię i spojrzeniem osadzając niejako w miejscu. — Tegoby jeszcze potrzeba, aby drwiono ze mnie! Cóż to! czy ty mój brat, żebyś ujmował się za mną! Wszak słyszysz, że i tak tobą wykalają mi oczy!

— O, *Boga mi!* dla czegóż nie chcesz mię mieć za brata?...— jęknął żałośnie, a łzy zabłysły w tym jęku.

Cały gniew dziewczęcy znikł nagle na te słowa.

— Wszak wiesz, że chciałam serdecznie — rzekła pieszczotliwie, kładąc mu rękę na ramieniu — wszak nawet na rok próby przystałam: któż ci winien, że nie masz serca do Karadżiordżi i nie możesz się doń nawrócić?

— Nie mogę! — jęknął Wuk boleśnie, spoglądając w niebo, jakby brał je na świadka najlepszych swoich chęci.

— To widzisz, nie miéjże do mnie żalu — powiedziała Dora. Mówili oboje o tym świętym i miłym a właściwym Serbom zwyczaju zawierania *posiestrzymstwa* i *pobratymstwa* pomiędzy młodzieżą obu płci. Jakby wzruszona jego boleścią Dora dodała:

— I... co tam, zapomnij o tém, co gwarzyły te *tupogławice* a siostrę z czasem znajdziesz sobie inną; ty taki dobry! — Skinął ręką i westchnął:

— No, to wybierzże ty sobie choć innego brata, żeby było komu cię bronić i kochać! — rzekł smutno, nalegając.

— Nie, to na nic,—odparła stanowczo—zastanowiłam się, że nie powinnam, nie mogę obierać sobie brata, bo brat nie mógłby być nigdy pierwszym i najbliższym duszy mojéj, jak być powinno.

Wuk patrzył na dziewczynę wytężonym wzrokiem, płomienie przelatywały mu po twarzy:

— Za co ty tak kochasz tego Jerzego? — wybuchnął.

Dziewczyna ścisnęła ramionami, wznosząc oczy ku niebu jakby chciała wskazać Wukowi, gdzie należy zwrócić się z podobném pytaniem. On mówił daléj:

— A pamiętaj przecież, że ojciec twój coraz bardziéj chorzeje, i tak, Boże broń na niego nieszczęścia, nie miałabyś nikogo *własnego* na świecie...

Wuk nie dokończył, dziewczyna jak przebudzona ojca wspomnieniem, pochwyciła zapomnianą na głazie amforę, żywo

nabrała wody i giętka a lekka jak kwiat wiosenny, posunęła ku chacie, szepcząc:

— Ach,... ojciec!... gorzéj mu dzisiaj,... a ja tu zabawiłam się tak długo!...

Dora spieszyła, bieżąc wśród domostw, stojących jak zwyczaj bokiem do drogi, tonących w sadach bogatych, najczęściéj śliwowych, z których żniwo daje wyborną śliwowicę miejscową, to też miniaturowe gorzelnie wyglądały z za każdéj chaty prawie. Dobiegając do własnéj, Dora wstrzęsła się, bo usłyszała płacz głośny; wbiegła w sam czas, aby upaść na kolana przy konającym ojcu, otoczonym liczną rodziną, leżącym na własnych wojłokach i bogtych kobiercach, których znaczna ilość wisząca na ścianach świadczyła o zamożności domu. Ogromne skrzynie, stojące w kątach izby bez podłogi, zawierały odzież bogatą, lampa płonęła przed obrazem patrona rodziny, kilka trójnogów stało w kącie, wietrzyk wpadał swobodnie przez okienka, z których chwilowo usunięto pęcherz zastępujący tu do dnia dzisiejszego szkło zbyt rzadkie w Serbii. Ksiądz czytał już modlitwy.

Dawno już słabował stary Jowan, i wszystkie okoliczne lekarki, tak zwane „białe kobiety“ wysilały się na utrzymanie gasnącego życia. Tajemnicze zażegnywania, przechodzenie po chorym, leżącym na wznak pomiędzy solą na ziemi, zioła przecudowne w sierpniu niemylnie zbierane, trzy jabłka św. Trójcy trójką tak wyrosłe i dojrzałe, błonka z jajka, obwiązywana naokoło palca, lak w winie, pijawki, i krwi puszczanie, jedném słowem: wszystkie leki zwykłe serbskiego ludu, były tu już użyte, i wszystkie na próżno. Starzec czuł sam uciekające życie i dla tego tém goręcéj zapragnął postanowić najmłodszą córkę, aby miała kogoś „własnego;“ bo pomimo najprzykładniejszego rodzinnego życia, bracia i siostry nawet rodzeni nie tyle uważają się za wzajem „własnych“ jak małżeństwa i pobratymstwa lub posiestrzymstwa. Stary Jowan zatém, wedle powszechnego zwyczaju serbskich ojców, znając wzajemną skłonność Jerzego i Dory, zagaił odpowiednie układy ze starym Piotrem. Ale Piotr, mimo dawnéj sąsiedzkiéj przyjaźni, odmówił Wołoszki za synowę, aby mu domu nie zwołoszyła, a odmówił tak stanowczo, że nawet nie chciał widzieć nieznanéj sobie diewojki, może z obawy, aby nie uledz urokowi, jakim na okolice słynęła piękna i bogata Jowanówna. Rok próby, zwykle poprzedzający braterskie święte związki, wypadł także niekorzystnie pomiędzy Dorą i Wukiem, młodym parobczakiem, należącym do Jowanowéj *zadrugi*. I oto teraz Dora, wśród licznéj rodziny pozostawała bez męża i bez ślubnego brata, sierotą. Stary Jowan patrzał smutnym wzrokiem na nią i na Wuka, klęczącego przy niéj, a potém, nie mogąc już mówić, ujął rękę córki i włożył ją w ręce Wuka.

— Przysięgam! — załkał parobczak, dla którego Jowan był

niby prawdziwym ojcem, jak to jest obowiązkiem gospodarza, będącego głową związkowéj rodziny, zwanéj *zadrugą*

I wszyscy obecni zrozumieli dobrze teraz, o co chodziło umierającemu i co zaprzysięgał Wuk. Ksiądz chwilę jeszcze czytał modlitwy przy serdecznym płaczu obecnych, aż przestał... Potém przyszły płaczki, najęte bardziéj wedle wołoskiego niż serbskiego zwyczaju, i przez całą dobę płaczem i jękiem i rozgłośnemi skargami brzmiała Jowanowa zagroda w śliwowym sadzie. Krewni ze krwi i cała zadruga, i sąsiedzi i najdalsi nawet znajomi z sioła żegnali szczeremi łzami odchodzącego za światy sprawiedliwego ducha. Jedna tylko Dora, acz córka rodzona, przeciw zasadom przyzwoitości miejscowéj nie znalazła nie tylko łzy, ale nawet ani rozgłośnego jęku i skargi na rozstanie. Skurczona u stóp ojca wyglądała jak kwiat mrozem lub upałem zwarzony i milczała, oczu od przymkniętych jego oczu nie odrywając.

Tymczasem dawano zmarłemu laskę dla wygody w przejściu Jordanu, i garstkę pieniędzy dla św. Piotra, stróżującego furty niebieskiéj. Strzeżono też pilnie, aby ptak jaki nie wpadł, o co nie trudno przy głównéj izbie, nie nakrytéj dachem, wedle zwyczaju, dla swobodnego ujścia dymu z nizkiego w pośrodku ogniska. Bo chociaż uczciwy człowiek taki jak Jowan nigdy nie zostaje upiorem, to przecież, jeżeli przez niedbalstwo krewnych ptak nad zwłokami przeleci,... tedy,... i najzacniejszego człowieka nieszczęście spotkać może.

Nareszcie złożono zwłoki na cmentarzu, podobnym do gęstego sadu w pośrodku wioski na wzgórzu.

Suta stypa zakończyła smutne obrzędy, mając powtórzyć się po dwóch tygodniach, po sześciu miesiącach, po roku, i po pięciu latach. Półmisek ryżu, placek, wino, rakiję, postawiono na grobie.

Ale jeszcze żałość i boleść i smutna wrzawa nie uspokoiły się w cichém zazwyczaj domostwie, jeszcze najstarszy syn, obrany „starjeszyną“ w miejscu ojca, nie obył się z nowemi obowiązkami jako ojciec i głowa zadrugi, gdy, spostrzeżono, że Dory pomiędzy swojemi nie było.

Na razie nikt się nie zdziwił.

— Pewno diewojka na świeżym grobie łzy leje, bo jéj się wprzódy w sercu zapiekły...—powiedziała któraś z bratowych: inni westchnęli i nikt nie ważył się Dorce żalu przerywać. Ale gdy noc nadeszła a Dorka nie wracała, poszedł najstarszy brat sam po nią; lecz diewojki na mogile nie znalazł. Zaczęto szukać, a gdy szukanie przeciągało się, uderzono znowu w płacz, przeczuwając nieszczęście nowe. Cała zadruga, bracia, a szczególniéj siostry i bratowe jęli wyrzucać sobie wzajem udręczanie Dorki wyśmiewaniem jéj miłości dla Karadžiordži. Wprawdzie czyniono to w najlepszych zamiarach, aby upartéj dziewczynie niedorzeczne

uczucie z głowy wybić a potém piękną i bogatą „diewojkę liepoticę“ świetnie za mąż wydać, sto razy świetniéj niż za Koradżiordżię, który prócz sławy dzielnego „wojnika“ nic więcéj nie miał za sobą. Miano też doń urazę, bo jakkolwiek rodzice to stanowią zazwyczaj o małżeństwie dzieci, przecież zdarza się i dzieciom choć ubocznie na rodziców wolę wpłynąć; a otóż Jerzy musiał chyba niezbyt gorąco wstawiać się do ojca za Dorą. Oburzało to rodzinę. Widziano nikczemność w tém opuszczeniu towarzyszki dziecinnych zabaw przez ponurego momka. Jedna Dora na przekór wszystkim widziała wzniosłość w tém co oni nikczemnością zwali:

— Tak, zapewne—mówiła—inny pospolity „momek głupak“ narobiłby hałasu i borykałby się o diewojkę z własnym ojcem, ale Karadżiordżi nie ma na to czasu, bo woli borykać się z Turczynem. Diewojka nie ucieknie!

Tak odpowiadała Dorka na dokuczania, które, mimo najlepszych celów, doprowadzały ją do płaczu. A któż wie do czego doprowadzić ją mogły teraz, gdy ojca, jedynego jéj obrońcy, zabrakło? tego „otca,“ który najmłodszą swoję kochał tak bardzo, że nie wahał się przez słabość dla niéj posyłać o układy małżeńskie do starego Piotra, choć Czarnego Jerzego nie lubił.

Płacząc i wyrzucając sobie po niewczasie łzy Dorki, rodzina przeszukiwała długo okolicę i gorliwie a ze drżeniem badała przepaści i urwiska, aż trzeba było nareszcie opłakać drugą tę stratę i z czasem do niéj przywyknąć.

Jeden Wuk nie mógł przywyknąć; ludzie mówili, że zrozpaczona diewojka musiała znaleść kres cierpień w nurtach jednéj z bystrych rzeczułek, a one ciało jéj uniosły daleko; Wuk sobie przypisywał winę:

— Ojciec mnie ją powierzył, ja acz nie „pobro“ jéj, bo mię bratem mieć nie chciała, powinienem był nad nią czuwać, moja wina!—powiadał, i przykrzył sobie życie okropnie, jakby zbrodnię miał na sumieniu. Aż nastała znaczniejsza na turczyna ruchawka; momek za momkiem znikał z wioski, dążąc w góry, gdzie gromadziły się czety; natenczas znikł i Wuk.

II.

Było to około roku 1788. Piorunna burza huczała nad Serbską ziemią. Przemoc turecka, rozdrażniona, iż naród, miany przez nią za nieżywy, zadrgał jeszcze pod duszącą go ręką, mściła się teraz okrutnie za tę niespodziankę, zaciskając jeszcze okropniéj zakrwawione szpony na gardle Serbii. Ruchawkę przytłumiono, kto do niéj wybitniéj należał, chronił się teraz, gdzie mógł, w góry na hajduka znowu, lub za granicę, za Sawę, do Austryi,

„do Szwaby," jak mówią Serbowie. Pomsta turecka ścigała zbiegów, mordowała, kogo dosięgła.

Takich to zbiegów mała gromadka postępowała podczas burzliwéj i ciemnéj nocy lesistą i wzgórzystą krainą od wioski Topoli ku granicy, zanim jeszcze wkroczyły do Serbii oczekiwane ciągle pułki austryackie.

Na czele szedł młody, wysoki, chudy a szeroki w ramionach chłopak w pospolitém wieśniaczém płóciennem ubraniu, w guni czyli krótkim płaszczu, zarzuconym na pstrą kamizelę; fałdziste szarawary sięgały mu do kostek, nizka czerwona fezka nakrywała głowę, u rzemiennego pasa z przodu jeżyły się pistolety, wisiał mosiężny kij do nabijania, nóż, krzesiwo i skórzana ładownica. Był to Jerzy Piotrowicz z przydomkiem Kara, Czarny, ponieważ wyjątkowo między serbami miał płeć ciemną i czarne włosy, i gęsty, mimo młodosci, czarny zarost. Zwano go więc Karadżiordżi, Czarny Jerzy, które to przezwisko rozgłośnie brzmiało już w Serbii, postrachem napełniając turczyna, bo chłopak, ledwo dorosłszy, zajął wybitne stanowisko w narodowej przeciw ciemiężcom ruchawce. Wczesna ta i zasłużona sława dawała Jerzemu pewną przewagę we własnéj rodzinie i całéj zadrudze, a nawet nad własnym ojcem, co jest u serbów rzeczą niesłychaną. Sędziwy Piotr uczuwał naturalne poszanowanie dla chłopca, który tak dzielnie walczył w serbskiém—pierwszém po setkach lat—powstaniu, i zresztą, ojciec Piotr czuł to samo, co i kraj cały: młody Jerzy wiele już dokazał, a większe jeszcze pokładano w nim nadzieje. Teraz uchodząc za granicę spełniał on ogólne życzenie i obowiązek niejako, a przytém pewien rodzaj tatarsko-tureckiego manewru, ustępował, aby we właściwym czasie silniéj i pewniéj uderzyć. Szedł też z dumą w oku i całéj postawie, z ręką na pistolecie, bystrém spojrzeniem śledząc niespodzianki przydrożne. Tuż za nim postępowała gromada bydła, stanowiąca cały wieśniaczy majątek Piotra, a prowadził je głosem i biczem Wuk, młody parobczak od niedawna członek Piotrowéj zadrugi. Na spokojnym leniwym stępaku jechał za bydłem podobnie jak syn odziany stary Piotr, zsiadając z konia ilekroć wymagały tego dzikie przesmyki, i znowu dosiadając człapaka, gdy sił starym nogom zabrakło. Oglądał się przytem często za siebie, przystawał, krwawemi zalewając się łzami, jęcząc za tém, co pozostawiał. Młodego zapał i nadzieja unosiły; starego przytrzymywało przywyknienie do pamiątek młodości.

Na małym i żwawym siedząc koniku, młody chłopiec nie wiele różniący się od tamtych odzieniem, obiegał często całą podróżną gromadkę, jakby jéj porządku pilnował, pomagając wszystkim potrosze. Niepospolita piękność jego, o ile ujrzeć się dawała, jak zjawisko za każdą błyskawicą, liczne świecidełka, sprzączki i kółka u pasa i ogromna biała czubara; rodzaj czapki baraniéj mi-

mo lata, zdradzały jego narodowość: był to Dorek Wołoch, sierota. Pomimo obcéj w gruncie narodowości należał on także od niedawna do rodziny Piotra, téj rodziny czysto serbskiego charakteru, która się zowie zadrugą i tworzy się na zasadzie wspólności pracy i zysków. Stary Piotr nie z urzędu swego gospodarskiego, ale serdecznie pokochał młodziutkiego sierotę, bo do Wołochów nic nie miał przecież, tylko wołoszek się lękał, aby mu, wedle przysłowia aż nadto usprawiedliwionego, domu całego nie zwołoszyły. Sierota odnalazł zatém ojca i rodzinę. To też gdy niebywałym wypadkiem, z woli despotycznego syna, stary Piotr, płacząc rzewnie rozstawał się z zadrugą „do lepszych czasów," aby mniejszéj gromadce łatwiéj było przemknąć się przez tureckie straże i granicę, Dorek prosił za siebie i za Wuka, aby ich gospodarz zabrał z sobą. Stary miał słabość do chłopczyny, po namyśle tedy poszedł jeszcze raz do syna żądać, aby go pozostawił w domu, albo też zabrał Wuka i Dorka, który mu wsparciem jest i opieką w starości. Było to już ostatniego dnia, w którym miano wyruszyć za Sawę, i młody Karadżiordżi, wydawszy ostatnie rozkazy, siedział milczący w kącie i dzikim zwyczajem swoim gryzł paznogcie, oczekując chwili ostatniéj. Stary ojciec przystąpił do niego:

— Dżiordżi — rzekł — jeszcze raz ci mówię: zastanów się! Pozwól mi pozostać z zadrugą moją na téj ziemi, gdziem zrodzon, bo oto sieroty płaczą i nie umieją rozstać się ze mną, ani ja z niemi. Ty co innego, na ciebie patrzą oczy narodu, powinieneś teraz uchodzić, aby było komu powracać, gdy Szwab da nareszcie obiecywane posiłki, tyś żyć powinien, jam umrzeć gotów byle na téj ziemi, do któréj przywarły kości moje!

Dżiordżi zatrząsł się; komu innemu nie byłby odpowiedział, ale ojcu odpowiedział przecież, choć lepiéj było tak nie odpowiadać:

— Nie! Wprzód życie odejmę tobie i sobie ojcze, niż pozwolę, aby turczyn przeklęty pastwił się nad krwią i kością twoją za to, iżem ja z niéj powstał. Musisz iść ze mną, a... kto z zadrugi rozstać się z tobą nie może, ani ty z nim, to... to go weź z sobą, jeżeli chcesz...

Ciekawie wyglądał despotyczny Czarny Jerzy, wymawiając ostatnie wyrazy, bo spuścił oczy i jąkał się, i gdyby nie czarniawy jego twarzy koloryt, widocznémby było, że bladł i czerwieniał na przemiany, w niewymownem zakłopotaniu. Bo też wcale co innego jest dopuszczać się jawnych uniesień, choćby bezprawi, gdy kto ma krewkość w temperamencie, a co innego oszukiwać podstępem i to jeszcze rodzonego ojca... Serb uczuwa wstyd w takim razie, i w ogóle niezdatny jest do téj zbyt subtelnéj dlań roboty, nawet gdy jéj pożąda. I tak właśnie z Jerzym być musiało, gdy niby niechętnie pozwalał zabrać Dorka ze sobą, bo

najwyraźniéj odetchnął swobodniéj, gdy stary Piotr rzekł skwapliwie:

— A więc niechże choć Dorek sierota i Wuk pastuch idą ze mną, aby byli podporą moją, gdy ty nie do mnie należysz!

— To niechże już i bydło idzie, kiedy idzie pastuch — mruknął Jerzy.—Będziemy wyglądać jak „trgowce“ na targ idący z bydłem, zasłonimy się niém w ostatnim razie, lub sprzedamy korzystnie, jeżeli uda się nam przedostać za granicę.

Tak tedy poszli razem we czterech, a ulubieniec wszystkich Dorek obiegał gromadkę na swym żwawym koniku, jakby pilnując porządku.

— Co to? chcecie zsiąść z konia ojcze Piotrze? zaraz, zaraz, czekajcie, wesprzyjcie się na mojém ramieniu! — mówił zjawiając się nagle u boku starca, w chwili, gdy ten usiłował stanąć na własnych nogach na wstępie do niebezpiecznego przesmyku w urwiskach.

— Niech cię Bóg błogosławi, synu, niech ci da wszystko dobre, niech spełni prożby twoje, — odpowiadał stary, korzystając chętnie z uprzejméj pomocy, a Dorek całował rękę, wspierającą się na jego młodocianém ramieniu.

— Nie mordujże się tak Wuk, ja popilnuję bydła z téj strony, a ty bacz już tylko na tamtę!—mówił Dorek po chwili do Wuka, gdy przebywszy wąwóz, bydełko rozpierzchać się chciało po nęcącém je pastwisku, a pastuch ostatnich sił dobywał, aby nad wychowańcami zapanować. Wuk nic nie odpowiadał, ale gdyby można wśród nocy widzieć wyraz jego oczu zwracanych na Dorka, łatwo byłoby dostrzedz w nich serdecznego ukochania bez granic.

Karadżiordżi tymczasem, głuchy i ślepy na wszystko, co turczynem nie było, szedł przodem, pewnym krokiem, niecofnionym jak los.

Dorek, wołoszyn, dziesięć razy przebiegał koło niego, pomagając tu i tam ze słowém drżącém na świeżych ustach, nie śmiąc Karadżiordżi zaczepić. Istnieje bo pewien rodzaj miłości niezaprzeczonéj w prawdziwości swojéj, a opartéj z jednéj strony na psiém, bezgranicznem i bezładném aż do nikczemności przywiązaniu, a z drugiéj na brutalnéj potrzebie ciągłego zadawalniania uczucia swéj przewagi.

Czarny Jerzy, pomimo zajęcia Turczynem, przypuszczalnie polującym z za każdego krzaka i każdéj skały na zbiegów, dostrzegał jednakże zalęknienie Dorka, a dobrze wiedział, że Dorek nie Turczyna lęka się wcale. I przyjemném to było Karadżiordżi; nie myślał też ośmielać łaskawém słówkiem tego zalęknionego. Ale Dorek miał przecież siłę charakteru nie lada, więc po kilku bezowocnych próbach odezwania się, choć język kołem stawał ze strachu, Dorek przemógł się, i przebiegając koło Jerzego szepnął:

— Karadżiordżi, pozwól nam chwili wytchnienia!

Jerzy milczał nie zwalniając kroku.

— Karadżiordżi, zwierzęta ustają z utrudzenia!

— Kłujcie nożami z tyłu; granica blizko; dojdą.

Dorek raz odważywszy się przemówić, czerpał w samym strachu odwagę, aby mówić daléj:

— Karadżiordżi, twój ojciec o mało nie wpadł w przepaść, zachwiawszy się ze znużenia!...

— Lepiéj mu spocząć na dnie przepaści niż w więzach Turczyna; spoczniemy za granicą.

Granica istotnie była już niedaleko, ale rozpacz starca zwiększała się za każdym zbliżającym go do niéj krokiem. On sam wczoraj nie mógł był jeszcze odgadnąć tego, co cierpieć będzie w téj chwili, teraz czuł, że dusza wydziera mu się z ciała, aby wracać napowrót. Dorek płonący wzruszeniem wspierał chwiejne kroki słabnącego, który szedł pieszo, bo na koniu już utrzymać się nie mógł, a idąc całował i łzami oblewał skały przydróżne. Wtém błysnęła Sawa, granica: i stary Piotr upadł na ziemię.

— Ziemio, moja rodzona, rozewrzyj się podemną! ratuj!

Dorek skoczył naprzód, żal wziął górę nad strachem:

— Karadżiodżi, stój! Ojciec twój konia z płaczu za serbską ziemią; im bliższa granica tém gorzéj, odpuść go!

Czarny Jerzy odpowiedział tylko błyskiem oczu i szedł daléj, ale ten błysk był taki, ze Dorek w tył odskoczył. A w tém ozwał się tuż za Jerzym głos błagający:

— Jerzy! synu mój, zlituj się! — Czarny Jerzy stanął drgający wzruszeniem, w piersi wrzało mu; chwila była stanowcza, bo granicy najpilniéj strzeżono, tylko patrzeć było gromady janczarów, a dreszcz wstrząsał wnętrzności ludzkie na myśl o męczarniach, jakie janczary zadawali ojcom w obec dzieci i synom w obec ojców, umyślnie tak dla spotęgowania wrażenia.

Piotr bezsilny, pokonany, błagający, jak nie widziała jeszcze Serbia ojca przed synem, stał i mówił łkając:

— Synu mój! ja rozstać się z ziemią moją nie mogę! Uderzmy w pokorę przed Turkiem a może przebaczona będzie przeszłość tobie; nie chodź do Niemiec, synu mój, zaklinam cię na groby pradziadów, na grób matki twojéj, pozostań!

Nie ma tak ciężkiego głazu na świecie, jak ciężką, była wzgarda, którą w spojrzeniu swojém rzucił Jerzy na Piotra, ojca swego... i szedł daléj. Natenczas przebrała się miara pokory starca:

— Idźże więc sam! ja pozostaję! — zawołał i zawrócił z drogi.

— Jak to! ja miałbym doczekać, że cię Turczyn powoli zamęczy! lepiéj ci tu od razu dokonać żywota!—jęknął Karadżiordżi, chwytając pistolet i skoczył jak zwierz zraniony...

— Stój! to ojciec! — krzyknął Dorek, rzucając się pomiędzy nich. Ale kulka szybszą jest od człowieka, strzał rozległ się

i starzec padł, jęcząc, żywy jeszcze, pomimo, że Karadżiordżi chybiać nie umiał; snadź Dorek wstrząsnął mu rękę.

Pierwszy promień wschodzącego słońca padł na twarz starca wykrzywioną konaniem.

— Dobij! — ryknął Karadżiordżi do nadbiegającego Wuka, wskazując mu Piotra, sam zakrył twarz obu dłońmi i ruszył pędem ku granicy, trzęsąc się cały i uginając, jakby silne góralskie nogi słomianemi się stały od razu.

Wuk i Dorek na kolanach przy Piotrze darli na sobie białe odzienie na przewiązki do rany. Wuk, dla pośpiechu nożem rozciąwszy starca odzienie, otarł krew żywo z piersi płynącą, obejrzał ranę wprawném okiem i machnął ręką:

— Dobij! — jęczał konający.

— Karadżiordzi nie chybia! — mruknął Wuk ze szczególnym odcieniem poszanowania dla wyższości... jakiéj bądź. Dwa strumienie grubych łez toczyły mu się po licu, bo i jemu ojcem już stał się Piotr, ojciec zadrugi. Dobył Wuk pistoletu z zapasa, troskliwie przyłożył do piersi mordującego się starca... ozwał się wystrzał i w ciągu trzech sekund wykrzywiona boleścią i zaczerwieniona twarz Piotra pobladła i uspokoiła się, jakby niewidzialna ręka zsunęła z niéj stygmat cierpienia, oczy złagodniały, rozsunęły się usta... Piękny stary Serb Piotr ostatniem przytomném spojrzeniem i dziękczynnym uśmiechem pożegnał Dorka i Wuka.

Bydło rozpierzchało się, zwolna szukając paszy dokoła.

Wuk, nieruchomy nad zwłokami schylony, szeptał wyrazy obowiązkowéj a serdecznéj modlitwy, Dorek z płótnem w ręku klęczał obok, zmartwiały. Nagle zerwał się jęcząc:

— Bezbronnego zabił! więc on nie ma wielkiéj duszy! — i z rozpaczą w oczach, z zaciśniętemi pięściami, w których jeszcze płótno bielało, skoczył za Jerzym uchodzącym.

— Daj pokój!.. Ger-bi-ja!.. — krzyknął za nim Wuk, ze znaczącym naciskiem na wyrazie, który miał tłómaczyć wszystko.

Czarny Jerzy dążył ku granicy, kierując się instynktem jak dziki zwierz, czoło miał schylone, oczy jeszcze dłońmi zakryte; nie wiedział, że krwawy ślad zdradzał jego pochód, bo kamienie raniły mu nogi.

— Karadżiordżi! odchodzę! — zabrzmiało mu nagle nad uchem, głosem rozpaczy. — Nie będziesz wielkim jak car Duszan! Jerzy odsłonił oczy krwią nabiegłe:

— *Teraz!..* — jęknął wyciągając ręce — teraz właśnie *Ty* bądź ze mną! musisz być!

Dorek stał przed nim, zadyszany, płonący, wzburzony, płomienie gniewu tryskały mu z czarnych oczu, purpurowe usta drżały, bo gniew ten zionął rozpaczą, był cudnie pięknym.

— Doro! — mruknął Jerzy, mówił z trudnością, jedną ręką

chciał ująć ramię Dory, drugą wskazywał granicę, dopowiadając tym gestem myśli swoje. Dziewczyna cofnęła się:

— Zabiłeś bezbronnego starca!... nie masz wielkiéj duszy!— jęknęła rozpacznie załamując ręce, z których teraz dopiero wypadło płótno na przewiązkę do rany rozdarte.

Dora płakała jakby na pogrzebie ukochanego.

On drżał, słowa jéj nie dziwiły go, zdawał się je rozumiéć, a jednocześnie jedną tylko myślą zajęty, oglądał się, wypatrując janczarów i chcąc ją chwycić za ramię wskazywał granicę:

— Chodź! no chodź! powtarzał. Dora, płacząc odsunęła się znowu. Wtedy gniewem błysnęły małe jego krwią zaszłe oczy, i zatapiając je w oczach dziewczyny jęknął:

— *Serbia!*...—Tłómaczył jéj tym jednym wyrazem wszystko, tak jak Wuk przed chwilą.

— Nie! — jęknęła, łamiąc ręce rozpacznie jakby nad grobem. — Czyści tylko i święci czynią cuda,.. nie ożywisz konającéj matki, ty... ojcobójca!

Karadżiordżi zachwiał się, chwycił oburącz za głowę jakby w nią grom uderzył i uciekł chyżo jak zając ku granicy.

Gdy dopadł najbliższéj wsi, ludzie obstąpili go, sądząc, że rozum stracił, lub gwałtownéj potrzebuje pomocy; on rzekł:

— Pochowajcie mi ojca, który leży za wsią, tam gdzie go zabiłem... zabierzcie sobie moje bydło, mój dobytek, wyprawcie sobie stypę pogrzebową. I uciekł daléj.

W pół klęcząc w pół siedząc na ziemi wśród jarów skalistych, Dora płakała bezsilnie, znękana, gdy Wuk przystąpił do niéj, mówiąc krótko:

— Doro, siostro pójdź!

Podniosła głowę i spojrzała na niego prawie błędnym wzrokiem...

— Ja mu powiedziałam głośno, że nic zrobi nic, że nie będzie wielkim... a nuż wymówiłam w złą godzinę? wyszeptała, drżąc przerażona tém, co uczyniła.

Zła godzina powszechną i wielką ma wiarę u ludu. Dziewczyna,w uniesieniu „źle wymówiwszy," teraz szalała znowu z żalu, gdy pierwsze uniesienie minęło, a serce zaczynało oddziaływać na korzyść ukochanego, tłómacząc go tém, czém i on sam i Wuk go tłómaczyli, gdy mówili:

— Serbi-ja!..

Dora płakała jakby serce chciała wypłakać.

— Może to nie była „zła godzina," nic się przecież jeszsze nie stało,—rzekł Wuk, usiłując ją pocieszyć. Dziewczyna zerwała się nagle, chwytając nasuniętą myśl, jak tonący chwyta dłoń zbawczą; wrodzona jéj energia odżyła:

— Prawda! może to nie była „zła godzina" – powtórzyła,

roztwierając szeroko oczy zapłakane i odgarniając włosy od nich przemokłe. Jednocześnie przyszły jéj na myśl ostatnie słowa Jerzego i poczucie winy własnéj. „Teraz właśnie *Ty* bądź ze mną! musisz być,“ powiedział Jerzy.

— Gdzie idziesz?!. — spytał Wuk przerażony, widząc ją kierującą się w stronę Sawy.

— I... przecież teraz właśnie muszę przy nim być!—odparła, spoglądając na pytającego, zdziwiona pytaniem, dowodzącém, że Wuk nie rozumiał tego, co ona uznawała swym obowiązkiem „Teraz właśnie.“

— E... — mruknął, patrząc na nią z pod oka — a nuż on prędzéjby zatęsknił i wrócił tu, jakbyś ty tutaj została?..

Dziewczyna stanęła jak wryta, spojrzała w oczy Wukowi i zamyśliła się...

Tymczasem z Jerzym działo się coś, z czego on sam nie umiał zdać sobie sprawy. Zaledwo dostawszy się za granicę i uczuwszy bezpiecznym, poznał, że coś go ciągnie gwałtem na powrót. Ani mu na myśl nie przyszło, aby to *coś*--miało być tém samém przywiązaniem do ziemi, które on u własnego ojca „ślepém“ nazywał, bo przecież Karadżiordżi doskonale wiedział, że nie był to czas do powrotu właściwy, że zginie jeżeli powróci, i to zginie, mniejsza że w mękach, ale w dodatku zginie marnie bez żadnéj dla Serbii korzyści. Powiedział to sobie i powtórzył sto razy, a mimo to nie mógł odejść prawie od brzegu Sawy, patrząc na brzeg jéj przeciwległy jakby tam było zbawienie. Coś go ciągnęło wyraźnie, a on w głowę zachodził, myśląc, coby to było?... aż nagle zrozumiał.

A właśnie siedział w téj chwili na głazie na wybrzeżu i gryzł paznogcie jak zwykle, opodal od gromady zbiegów takich jak on, którzy tu gromadzili się koło niego z każdym dniem liczniéj...

— Karadżiordżi siedzi i paznogcie gryzie, coś wymyśli, — szeptano właśnie, patrząc nań zdaleka... gdy w tém on wstał, obejrzał broń i... skierował się prosto za Sawę, tam zkąd przybył wcale niedawno.

— Coś wymyślił! wracamy!

— Živio Serbija! — krzyknięto ochoczo, otaczając go jak wodza.

Karadżiordżi spojrzał na towarzyszy jakby po raz pierwszy ich spostrzegał:

— Zostać! — krzyknął — przyjdziecie jak będzie czas!

— A ty? — pytali zawiedzeni.

— Ja, co innego... mnie dusza ciągnie tam, gdzie pokutować będzie... Nie wiecież?..—mruknął głuchym jękiem,.. i poszedł sam. To, co go ciągnęło napowrót, wytłómaczył sobie na zasadzie znanéj wiary ludowéj, że dusza wielkiego zbrodniarza musi pokuto-

wać na miejscu popełnionéj zbrodni, a przeczuwając to, zawczasu ciągnie tam ciało swe jeszcze za życia.

W taki to sposób lud wyjaśnia sobie ten fakt stwierdzony, że morderca zwykł istotnie wracać na miejsce dokonanego czynu, aby jego widownię i ofiarę swą oglądać. To też dokładnie zrozumiano słowa Jerzego w tém znaczeniu. Towarzysze jego cofnęli się, odkrywając głowy. Karadżiordżi, otoczony krwawą grozą, niby piekielną aureolą ojcobójstwa, popełnionego w patryotycznem uniesieniu, mimo czci zwykłéj u Serbów dla rodziców, zamiast upaść, przeciwnie podniósł się w powadze swéj o całą wielkość strasznéj zbrodni.

Przesąd poczynał go otaczać jak częstokroć wielkich otacza. Jerzy sam, pierwszy uznawał w sobie tajemniczéj siły działanie. Szedł prosto, nie kryjąc się teraz wcale. Przyszedłszy tam, gdzie go „dusza ciągnęła," ukląkł przy mogile. Było to w nocy, a gdy druga noc zapadła Jerzy klęczał wciąż nieruchomy. Ludzie ze wsi poblizkiéj patrzący na niego z daleka, osądzili, że to ciało samo tylko klęczy stężałe, a dusza już rozpoczęła pokutę.

Północ nadchodziła. Cisza panowała nad światem; nawet szum wieczny, śpiewający pieśń swoję ponad Szumadyą, śpiewał ciszéj, jakby ją do snu kołysał. Nagle, ponad klęczącém ciałem Jerzego zabrzmiał okrzyk, powtórzony stugębném echem gór i lasów.

— Karadżiordżi!...

Klęczący od dwudziestu czterech godzin, zerwał się teraz na równe nogi. Zaprawdę nie łatwo byłoby wytłómaczyć, co stało się z nim w téj chwili. Ani wątpił, że otoczonym jest przez Turków i w obec wroga pierzchło od razu wszystko, co go czyniło słabym i konającym prawie. Karadżiordżi był znowu teraz silnym, dzikim, był mścicielem, był sobą. Wprawném i doświadczoném okiem rzucił na okół, zaklął „w majkę," widząc się otoczonym tłumem ludzkich cieni, i chwytając długie noże w obie ręce, puścił się na przebój, tak dzielnie ścieląc sobie wrogów pod stopy, że jak huragan po dębach przeleciał na zewnątrz opasującego go koła, i już miał w jarach zniknąć swobodny wśród górskich i leśnych przepaści, gdy wtém zagrzmiał drugi okrzyk spotęgowany zapałem uwielbienia.

— Živio! Karadżiordżi!

— Przebił się przez całą czetę!

— Co ty! Turczynem nas mniemał?

— Oto harambasza, wódz jakiego nam potrzeba, nam wojownikom, pozbawionym harambaszy naszego, głowy naszéj!

Jerzy przy pierwszém „živio" stanął jak wrosły w ziemię, i zanim przebrzmiały okrzyki zrozumiał omyłkę swoję: był otoczony nie przez Turczyna, lecz przez wybór bitnych Serbów, przez hajduków.

— Czyja wy czeta? — huknął z tą potężną głosu wibracyą, która ujarzmia podkomendnych.

— Milana! tego, co go Turczyn przeklęty zdradą podchwycił i zamordował.

— Milana?... a czemuż wy tacy obdarci? I nawet małych *puszek* (pistoletów) nie macie? Czy zabrakło bogatych *halin* (szat) i małych *puszek* u Turczyna? Milan dzielny był czetowódzca!

— Był, ale dawno go już nie ma. *Siromaszni* my nieszczęśliwi bez niego. Ty nam czetowódzcą bądź!

— Dobrze! Jutro mieć będziecie haliny i puszki. Živio Serbia!

— Živio! huknęli i ruszono w drogę w głąb Szumadyi, znikając od razu na skinienie wodza, to jest rozsypując się w pewien właściwy sposób, aby pojedynczo łatwiéj korzystać z wszelkich przypadkowości lesistéj i górzystéj krainy dla ukrycia się w pochodzie; kierując się za wodzem, który sam jeden tylko szedł widocznie niby samotny, spokojny podróżny. Pochód taki wywołany ostrożnością, był zarazem zasadzką gotową na wszelki przypadek. Postępowano tak czas jakiś, aż gdy Jerzy wziął się na prawo, kilku z bandy znalazło się przy nim jakby z ziemi wyrośli niespodzianie, pytając:

— To nie do Czerwonego brodu idziesz?

— Na co wam Czerwony bród.

— Nam, na nic; wola twoja i rozum w tém twój; tylko że diewojka mówiła... że tam masz iść?

— Jaka diewojka?

— Ta, która nas do ciebie przysłała: czarnooka, czarnobrewa *liepotica*, piękność, jakich mało po skałach chodzi, jakby „w kole igrała“ jakby tańczyła, Wołoszka musi być oczywiście. Ej, ej. I!.. tyżbyś nie znał jéj, harambaszo? Hajduk tak mówiąc uśmiechał się dowcipnie, przymrużał jedno oko, mrugając drugiem figlarnie na Jerzego, przypominał mu i przypomniał:

— A!.. — krzyknął Czarny Jerzy... Dora Wołoszka stanęła mu w oczach jak żywa:

— Co mówiła diewojka ta? — zapytał skwapliwie.

— Mówiła, że cię znajdziemy u mogiły przy wsi najbliższéj, że będziesz naszym harambaszą, że poprowadzisz nas na zwycięztwo na bogatego Turczyna, który ma przechodzić przez Czerwony bród.

— Gdzie jest diewojka ta?

— Nie wiemy: przyszła i poszła jak wiatr, gdyśmy leżeli wśród skał *siromaszni* bez Milana naszego. Czarownica może?

Jerzy zawrócił nagle na Czerwony bród.

W godzinę późniéj turecki konwój zapasów przebywał dość

trudne przejście wśród skał, zwane Czerwonym brodem, gdy czeta hajducka z okrzykiem:

— *Udri go!* — spadła nań jakby cała gromada orłów ze szczytów skał. Napad urządzony był tak zręcznie, że żywa dusza nie uszła w świat z wiadomością, gdzie się konwój podział. Hajducy na miejscu zaraz przyodzieli się w bogate, zdarte z Turków odzienie, pozostawiając tylko gromadę własnych łachmanów, niby pomnik dla pobitego wroga. A potem huczny okrzyk na cześć dzielnego wodza odbijał się raz po raz o bory i skały, przy obfitéj na świeżych zdobyczach uczcie. On sam jeden pozostał w chłopskiem jak był odzieniu, jadł i pił jak wygłodzone zwierzę, a potém siadł niby przyklejony do skalistego szczytu i badając oczyma okolicę milczał i gryzł paznogcie.

— Jak raz taki—jak o nim powiadają,—gwarzyła rozochocona banda, układając się na spoczynek po żwawym marszu i korzystnéj robocie.

— Gdzie uderzy, tam zwycięży a słowa u niego nie dopytasz.

— Była bieda, bo była, a teraz oto mamy i haliny i puszki i *nowce!* (pieniądze, dukaty).

— Živio Karadžiordži.

— Ale gdziesz jego diewojka liepotica?

Diewojki nie było, a nie tylko hajducy, lecz i sam Jerzy spodziewał się, że ją tu ujrzy.

Gryząc paznogcie i planując dalsze ruchy swéj czety, Jerzy dopatrywał Wołoszki w każdym cieniu, pląsającym wśród drzew po skałach, choć właściwie przecież o niéj nie myślał, ona sama stawała mu tylko na oczach. To go rozgniewało. Zaklął na czém świat stoi i nazwał sam siebie głupakiem i tupogławicą. Bo w istocie: czyliż to czas, by zawracać sobie głowę jedną liepoticą, gdy Szwab idzie Turczyna gnębić... trzeba myśléć o tém, żeby Szwabowi pomagać. Cóż, kiedy czarne oczy Wołoszki świeciły się na wszystkie strony w zapadającym mroku i nie chciały ustąpić, a świeciły, paląc się gniewem tak właśnie jak w chwili rozstania.

Klnąc wołoszce w „majkę i w otca“ i sam siebie podejrzywając teraz, że to ona prócz innych przyczyn pociągała go z za granicy, Jerzy sięgnął po czutrę, przyłożył ją do ust i jął z niéj ciągnąć nektar zapomnienia a potém legł na skale i gunię zarzucił na głowę i oczy. Ale i to nie pomogło; ciągle widział „igrające się koło,“ jak to, pociągnąwszy „winca,“ on sam je niekiedy prowadził, wywijając białą chustką, a przed nim wśród innych przesuwała się Dora wołoszka, najpiękniejsza wśród pięknych, tylko że teraz nie spuszczała ślicznych oczu

z wabną skromnością, przeciwnie, teraz patrzyła wprost na niego, paląc go gniewném spojrzeniem, przyśpiewując do taktu dzikiéj muzyce:

— Ojcobójca... — Póty śpiewała tak, aż zbrakło Jerzemu cierpliwości, rzucił chustkę, chwycił nóż i pchnął nim w tę marę, bo wiedział, że to mara.

— Zgiń, przepadnij!—wrzasnął i obudził się ze snu ciężkiego o pierwszych brzaskach jutrzenki, jak gdyby w zimnym pocie skąpany.

— Pokażę ci co ja potrafię! — dodał już na jawie, odpowiadając na owo przy rozstaniu rzucone z gniewem i łzami „Nie masz wielkiéj duszy.“

— Zobaczysz, co potrafię, choć nie mam wielkiéj duszy; bo nie mam; cóż na to poradzić; tylko jak turczyna widzę, to mię dłonie łechcą i muszę go bić. Zobaczysz.

Milczący zawsze do tego stopnia, że z téj racyi podejrzywano go o większą daleko mądrość niż było, teraz mówił sam do siebie w niejasném przypuszczeniu, że Dora jest blizko i słyszy. Przekonany był, że go kochała, pojmował, że żądną była jego wyniesienia się, aby zostać żoną „wielkiego;“ ale zrozumieć nie mógł, czemu nie przybywała teraz, gdy przeszkód pomiędzy nimi nie było? Bo wszakże gniew jéj płomienny musiał zgasnąć, kiedy czuwała nad ukochanym klęczącym u mogiły.

Mówił tedy głośno, ale na próżno. Zaklął znowu i zbudził czetę, gotując się ruszać w drogę:

— Zobaczymy czy nie wróci!... — obiecywał sobie, planując nowe zwycięztwa. Niezadługo zabrzmiała cała Szumadya odgłosem jego czynów, czeta jego błyszczała od złota i drogich kamieni. Szwab, wysyłając swe wojska na pomoc Serbii, pytał naprzód: czy jest tam Karadżiordżi na ich drodze, aby mieć z niego przewodnika, radę i pomoc. Turczyn nałożył ogromną cenę na głowę Karadżiordżi, po sto razy sądząc, że go ma w ręku, a on zawsze potrafił się wyśliznąć i jeszcze turczyna pobić, o czém tysiączne brzmiały po kraju powieści. Przyszło do tego, iż turczyn uwierzył, że zwycięztwo zrosło się z Karadżiordżim i pierzchał na widok bohatera, chociaż wysoka nagroda nęciła i gniew dusił—zwłaszcza chciwych bitnych i okrutnych janczarów, że oni słynni z waleczności nie mogli dać rady temu prostemu „chłopu“ p e s e w e n k o w i niewiernemu.

Aż nareszcie odkryto przyczynę tego dziwu, oto Karadżiordżi miał do czynienia z siłą nieczystą, pomagała mu czarownica po prostu, przelatując na ożogu nad górami i lasami setki mil, aby mu donieść o ruchach tureckich oddziałów, o najskryciéj wysłanych zapasach i dostawach amunicyi, broni i żywności. To też Karadżiordżi zawsze w sam czas zachodził im drogę

i załatwiał się z niemi tak, że tureckie władze nie słyszały o nim więcéj. Oczywiście mógł to czynić tylko z pomocą czarów, co ocalało dumę turecką. Zresztą czarownicę ową widział z pewnością ten i ów—zarówno turcy jak serbowie; jedni uznawali ją piekielnie piękną, inni zapewniali, że ogniem tryskającym z czarnych oczu zapala proch turecki, choćby najlepiéj strzeżony a Serbowie dodawali, że po skałach chodzi jakby „w kole igrała“. Janczar pewien strzelił nawet do niéj, ale przemieniła się w chmurę.

(*d. n.*).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Biblioteka „Wisły,“ tom I. Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy, jego zwyczaje, sposób życia, obrzędy, podania, gusła, zabobony, pieśni, zabawy, przysłowia, zagadki i właściwości mowy. Zebrał i napisał Michał Fedorowski. Tom I. (Z zapom. kasy im. Mianowskiego) Warszawa, 1888.

Materyały etnograficzne zbierane w różnych stronach i okolicach dawnéj Polski przez amatorów i etnografów mieściły się dotąd zwyczajnie w „Zbiorze wiadomości do antropologii krajowéj,“ wydawanym przez Akademią umiejętności w Krakowie. Z natury rzeczy wynika, że w tego rodzaju publikacyi musiały one zajmować miejsce dalsze i ograniczone, a ztąd zbieracze czekać musieli i po parę lat, zanim miejsce w nowo drukowanym tomie pozwoliło na umieszczenie ich zbiorów. Obecnie znaczną część tego zadania przejęło na siebie wydawnictwo „Kwartalnika geograficzno-etnograficznego p. t. „Wisła,“ istniejącego już rok trzeci, które rozszerzywszy bardzo umiejętnie i szczęśliwie swe ramy od I rocznika, postanowiło z nadsyłanych materyałów utworzyć osobną Bibliotekę „Wisły.“

Pierwszy tom, bardzo wdzięczny i formą typograficzną i treścią, mamy przed sobą. Jest on zarazem I tomem przytoczonego w nagłówku zbioru p. Fedorowskiego i zawiera w 3 częściach: I. Wiadomości topograficzno-etnograficzne; II. Obrzędy i zwyczaje doroczne i III. Dumy i pieśni.

W cz. I (str. 1—26) daje autor ogólny pogląd na okolicę, z któréj materyał zebrał, poczém opisuje chatę ze sprzętami i naczyniami, ubiór, zatrudnienia i pożywienie mieszkańców téj okolicy, równie wiejskich jak i małomiejskich, kończąc ten ustęp charakterystyką moralną ludu.

Część II (str. 29—173) przedstawia obrzędy rodzinne jak chrzciny, wesele i pogrzeb, i zwyczaje doroczne, począwszy od „godów“ (Święta Boż. Nar.) do „prządek“ adwentowych, z wszystkiemi piosnkami i oracyami im właściwemi.

Nakoniec cz. III (str. 177—224) obejmuje najpierw dumy

i pieśni, zostające w związku z weselnemi, odnoszące się w ogólności do stosunków miłosnych, sieroctwa, dziecio- i mężobójstwa, wojny, kołyski, pijatyki, oraczki i pasterstwa; poczém idą kolędy, dniówki a zamyka krakowiak: „Albośwa to jacy tacy...“

Melodye do pieśni mają być umieszczone na końcu tomu II. Do tego sprawozdania pozwalamy sobie dodać parę uwag krytycznych. A najpierw co do układu, to w ogólności podobny on do przyjętego przez O. Kolberga. Ale czy układ taki, dobry dla opisu całéj prowincyi lub dzielnicy b. Rzeczypospolitéj, wystarcza dla monografii okręgu co najwyżéj 4-milowego - wątpić należy. Im zakres badania szczuplejszy, tém badanie powinno być gruntowniejsze, a w ślad zatém wyzyskanie wszystkiego, co tylko życie ludu cechuje. U p. Fedorowskiego część 1 p. t. „Wiadomości topograficzno-etnograficzne“ wypadła najsłabiéj, z powodu bardzo pobieżnego tylko rzutu oka na to, co dokładnego opisu wymaga. Topografia okolicy pod względem oro- i hydrograficznym naszkicowana kilku wyrazami (str. 2) a ubarwiona romantycznemi zachwytami (str. 3—4). Ani podania obszaru, jaki sobie p. F. dla poszukiwań obrał, ani nawet przytoczenia wsi, z których zbierał materyały nie znajdujemy zupełnie, tém mniéj można mówić o nazwach gór, pól, lasów, jezior, łąk i t. p. o charakterystyce roślinności, drzew owocowych, ziół hodowanych i kwiatów i t. p. Szkoda również, że brak opisowi choćby w drobnych rozmiarach i tylko topograficznéj mapki.

Charakter ludu zewnętrzny daje poznać p. F. w ten sposób, że rozpoczynając od opisu chaty, sprzętów i naczyń (str. 5—12), przechodzi do ubioru (str. 12—17), zatrudnień (17—21) i nakoniec pożywienia (21—23). Porządek ten zostawia wiele do życzenia, a i wiadomości w nim zawarte zwłaszcza co do pożywienia zaledwo wychodzą poza ogólniki nic wiele mówiące.

Najlepszą część pracy p. F. stanowią obrzędy a zwłaszcza opis wesela (str. 33—131) i zdaje się, jakoby do téj części inne tylko późniéj dla zaokrąglenia monografii dorobione zostały.

Dum i pieśni podano nie wiele, chyba że dalszy ich ciąg nastąpi w II-im tomie. Równie w nich, jak i we wszystkich utworach ludu t. j. oracyach i obrzędowych piosnkach, nie zachował p. F. konsekwentnego oznaczenia dźwięków mowy, a często popadł w tak rażące błędy, że ich u badacza właściwości, ludowych wcale się nie spodziewaliśmy. Szczególniéj uderza to w oznaczeniu á (a pochylonego), które w okolicy téj, jako małopolskiéj w podobnych jak gdzieindziéj razach występuje i pod te same podpada prawa. Pan F. jakby nie mógł wyróżnić jego właściwości a nie chciał oznaczać utartym w dyalektologii znakiem (á), pisze raz a (a czyste); drugi raz *o*, wprawiając dyalektologa w rozpacz co do istnienia á i jego praw. Oto np. pisze: wi*a*nek str. 38 i wi*o*necka 44.; cwartemu 82 i cwortego 50; zadny 117 i zodnych 67, zodnéj 75, zodna 99, zal 44, zol 216; wybladła 32, chociaż rym: wypadł *o*—wyraźnie wymaga á; podobnie

majer*a*nie (44) *a* rym: zag*o*nie; podob*a*m (61) do rymu: do d*o*m; mij*a*ł (61) *a* rym: karatij*o*ł i t. p. Najzupełniéj błędnie pisze p. F. *o* (â?) p*o*nie 53 (panie!); p*o*nem 41, 42; p*o*nowie 48, 49, 85 obok p*a*nowie 69, daléj: poni (pani) 41, 42 47, 54, 81, p*o*nna 47, 48, 54, 81, 82... ale p*a*nno 181; ponienkę 66, p*o*ństwo 70; a nawet m*o*tka 61, obok m*a*tka 180 bo wszędzie tu występuje w gwarach a (a czyste). Podobnie nie oznacza p. F. é (e pochylonego) w wyrazach r*z*ek 53, up*ie*c 66 a nie objaśnia, że na str. 183 wyraz „z y w n i e (płakała)“ nie ma związku z ż y w, ż y w y; ale jest zmienione r z é w n i e, r z y w n i e a nakoniec z y w n i e (?).

Pomijamy inne szczegóły, ale tego pominąć jeszcze nie możemy, że p. F. nie uwzględnił zupełnie „kieleckiego“ Kolberga i ani żadnego zwyczaju ani pieśni z tym zbiorem nie porównał, chociaż się tam dosyć rzeczy znajduje i z pod Siewierza i z pod Pilicy. Miałżeby o tém nie wiedzieć?

W ogólności zbiorek ten ma liczne niedostatki ze stanowiska naukowego; po literacku rzecz biorąc napisany żywo i miejscami barwnie powinien liczyć na powodzenie, którego mu życzymy.

Roman Zawiliński.

Lewis H. Morgan. „Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.“ Przekład A. B. (Objaśnienie i uzupełnienie Marksa-Engelsa). Warszawa, nakładem redakcyi „Prawdy,“ 1887 r. w 8-ce, str. 625.

Zdanie Terencyusza „Homo sum, humani nil a me alienum esse puto,“ nie przestanie nigdy świadczyć o tém, że koleje i zjawiska życia ludzkiego pozostaną zawsze przedmiotem, do którego umysł ludzki najchętniéj i najwytrwaléj zwracać się będzie. Wiek XIX, torujący wbrew wszelkim prądom przeciwnym drogę cywilizacyi chrześciańskiéj nawet wśród apatycznych ludów, jak gdyby dla zoryentowania ludzkości co do kierunku i celów jéj postępu, rzuca niekiedy przez usta wybitniejszych myślicieli ogólne poglądy na rozwój dziejowy ludzkości, na prawa tym rozwojem rządzące, tudzież na odległe bardzo cele, kryjące się w nieodgadnionych tajemnicach przyszłości. Poglądy te na świat i życie są jednak bardzo rozmaite. O dojście do prawdy kusimy się wszyscy, a wszystkim poczęści grozi los Ikara, który ośmielił się wznieść aż do słońca, aby ze wstydem paść ofiarą swéj nieposkromionéj żądzy wiedzy, jak my ulegamy ograniczoności władz naszych zmysłowych i umysłowych, gdy pomimo ogromnych wysiłków naszéj naukowéj energii, przekonujemy się, że wiedza nasza jest jeszcze bardzo ograniczoną.

Wiek XIX może się poszczycić nie jedném dziełem, no-

szącém tytuł „historyi cywilizacyi.“ Badacze wszystkich narodów pragną z bogatego materyału dziejowego wydobyć ogólne prawa i zasady, bądące wskazówkami i przewodnikami ludzkości, nadającemi ogólny charakter biegowi spraw ludzkich. Historya cywilizacyi, będąca w ścisłym związku z historyografią, zamierza zbadać wewnętrzny, przyczynowy związek zjawisk historycznych, doprowadzających człowieka do stanu oświecenia, umoralnienia i potęgi, do przewagi nad światem materyalnym, pragnie zbadać zjawiska, wytwarzające postęp w rozwoju sił i władz przyrodzonych człowiekowi.

Zanim można przeprowadzić jakąkolwiek dyskusyą o rozwoju lub postępie ludzkości, należy się przedewszystkiém porozumieć co do znaczenia wyrazów postęp i rozwój. W pojęciach tych kryje się przedewszystkiém idea celowości, bez któréj nie miałyby te idee najmniejszego znaczenia. Kwestyą tę pojmuje doskonale szkoła pozytywistów współczesnych, używająca stale i świadomie zamiast wyrazu postęp lub rozwój, wyrazu e w o l u c y a. Wyraz e w o l u c y a oznacza wyłącznie przemianę i wyradzanie się jednych zjawisk z drugich, bez jakiegokolwiek z góry oznaczonego celu, a poprostu tylko prawem wzajemnéj zależności i konieczności. Ta ewolucya, ta przemiana i to wyłanianie się zjawisk, stwierdza i zaznacza, że tak powiemy, prosty i oczywisty fakt różnorodności zjawisk, a tém samém teorya ta zgodną jest z zasadą czystego pozytywizmu, uznającego tylko fakty dotykalne i ich kolejność, a zaprzeczającego możności poznania przyczynowego ich związku. W pojęciu zaś p o s t ę p u i r o z w o j u koniecznie stawiamy sobie przedewszystkiém na oku cel téj czynności: może więc istnieć „postęp“ tylko „do czegoś“ lub „względem czegoś,“ a nie może być postępu bez celu, gdyż w takim razie nie może być mowy o postępie, a zatém o jakiémś zbliżaniu się do czegoś, o jakimś pochodzie „naprzód.“ Postęp znaczy ruch ku czemuś, dążenie do urzeczywistnienia jakiegoś ideału, w braku którego wolnoby mi było użyć równie dobrze zamiast wyrazu „postęp,“ wyrazu „cofanie się“ bez istotnéj zmiany pojęcia.

To samo trzeba powiedzieć i o rozwoju.

Téj zasadniczéj analizy wskazanych co tylko pojęć unikają zazwyczaj wszyscy zaprzeczający celowości w rozwoju zjawisk wszechświata, a szermujący w lekceważeniu poważnéj argumentacyi szumnemi wyrazami „rozwój“ i „postęp.“ i t. p., z których sprawy żadnéj sobie nie zdają. Nauka, wymagająca jak największéj ścisłości, jasno i wyraźnie określić powinna znaczenie każdego terminu i frazeologią czcą zadowolić się nie może. Dlatego też pozytywizm, a właściwiéj mówiąc „ewolucyonizm,“ będący dalszym stopniem pozytywizmu, zdając sobie sprawę ze znaczenia dwóch powyżéj zaznaczonych pojęć, usunął je ze swego słownika i zastąpił nowowynalezionym „ewolucya,“ dla uwydatnienia kolejności i przemiany zjawisk, jedynie dostępnych badaniu człowieka.

Otóż historya rozwoju lub postępu ludzkości powinna zdać so-

bie sprawę z ideałów, ku którym dąży ludzkość, z celów jéj istnienia:

Czas przeszły równie od nas, jak przyszły daleki;
Ten tylko pojmie przeszłe, kto zgadł przyszłe wieki.

A. Mickiewicz.

Jeśli prawda jest, iż teraźniejszość rozumiemy wówczas dopiéro, gdy poznamy przeszłość, jeśli przeszłość wyjaśnia się nam przez wytłómaczenie związku jéj dziejowego z teraźniejszością, to oczywiście nie jesteśmy w stanie pojąć dziejów ludzkości i zdać sobie sprawy z wartości zjawisk historycznych bez wyrobienia sobie pewnych ideałów, ku którym ludzkość zdaniem naszém dążyć powinna, bo dopiéro te ideały nasze staną się kryteryum sądu o oddalaniu się lub zbliżaniu ludzkości ku jéj wytycznym celom, o jéj postępie lub cofaniu się w toku wypadków dziejowych.

Dlatego téż historya postępu lub cywilizacyi zawiera zazwyczaj ogólny filozoficzny pogląd autora na prawidła rozwoju ludzkości, z uwzględnieniem pewnych tylko wytycznych jéj punktów, pewnych wybitniejszych wypadków, z pominięciem szeregów osobnych zjawisk częstokroć natury bardzo doniosłéj. Zdarza się i to, że autor zgóry zakreśli sobie pewien kierunek, który stara się przeprowadzić nawet wbrew faktom oczywistym, które nagina do swoich osobistych zapatrywań, byle tylko wykazać racyonalność teoryi własnéj. Do takich prób tworzenia historyi rozwoju cywilizacyizacyjnego na własną, zgóry obmyślaną metodę, bez liczenia się z faktami i naturalnym biegiem rzeczy, należą między innemi „Dzieje rozwoju umysłowego“ Drapera.

Draper dzieli okresy rozwoju ludzkości na pięć epok: 1) wiek łatwowierności; 2) wiek badania; 3) wiek wiary; 4) wiek rozsądku i 5) wiek zgrzybiałości. Ludzkość, zdaniem jego, zawsze przez te fazy rozwoju bezwarunkowo przechodzić musi, dlatego, że tak sobie kolejność zjawisk ludzkich usystematyzował Draper. Bez bliższego tego podziału rozbioru, o którym zresztą krytyka europejska wypowiedziała już swoje przeciwne słowo, zaznaczymy, iż stan faktyczny historyi ludzkości wykazuje najoczywiściéj, iż wiara i rozum są nieodłącznymi towarzyszami rozwoju ludzkich wydarzeń, iż nie było epoki, w któréjby zupełnie upadły czynniki wiary, lub w któréjby zupełnie wiara była wyłącznem tłem i jedyną podstawą myśli ludzkiéj; daléj przejawia się zawsze rownież i rozum, a wiara bynajmniéj go nie wyklucza ani mu nie przeszkadza.

Pytamy się przytém, czy istniała kiedykolwiek w dziejach ludzkości epoka d o j r z a ł o ś c i bezwzględnéj, aby można okres cały chrzcić tém mianem? W każdym razie, „Dzieje rozwoju umysłowego“ Drapera mają wartość wielką ze względu na rozległy pogląd autora, obejmującego jednym śmiałym rzutem całe epoki zjawisk społecznych, bo Draper pojmuje jasno wyraz rozwój;

mówi bowiem na końcu dzieła o przyszłości Europy — zatém o ideałach, o celach ludzkości.

W „Społeczeństwie pierwotném“ wytwarza Lewis H. Morgan również sztuczny szemat, który narzuca ludzkości i do którego według zapatrywania swego pragnie nagiąć zjawiska rozwoju życia historycznego. Przedewszystkiém zaznaczyć jednak musimy niezgodność tytułu z treścią pracy. Omyliłby się bardzo, ktoby sądził, iż w rozpatrywaném przez nas dziele Morgana odnajdzie badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Po wstępie (do str. 48), określającym pogląd autora na rozwój i czynniki postępu ludzkiego, spotykamy (od str. 49 do str. 607) przegląd licznych faktów, zebranych przez autora podczas długoletniego pobytu jego u Irokezów i innych plemion amerykańskich. Autor wylicza nieskończoną ilość nazw tych plemion, określa miejscowości przez nie zajmowane, opisuje obrządki a prócz tego wywody różne o kształtowaniu się rodów w Grecyi i w Rzymie, o zakresie władzy greckiego „basileusa“ lub rzymskiego „rex'a,“ o walce plebejuszów z arystokracyą rzymską i—na tém koniec. Historyi „postępu“ ani śladu. Studyum Morgana posiada niewątpliwie i wyłącznie tylko wartość etnologiczną, wartość cennie i skrzętnie zebranych materyałów z życia dzikich plemion amerykańskich, podanych w formie suchéj i nużącéj; ale historyi tych plemion wcale nie widzimy. W téj nieskończonéj mnogości nazw, obliczeń, drobnych faktów, nadzwyczaj mało się między sobą różniących, autor często się powtarza, tak że czytelnik gubi się wśród tych szczegółów. Nie wątpię, że wysoką wartość posiada dla nauki praca dobrowolnego misyonarza wśród dzikich plemion, śledzącego z niezmordowaną cierpliwością najdrobniejsze objawy ich życia plemiennego, gdyż z takiéj pracy powstaje bogaty materyał etnologiczny, który następnie zużytkowany przez historyka, dopiero może dać jakikolwiek obraz historyi cywilizacyi. Twierdzenia autora co do sposobu życia dzikich plemion możnaby sprawdzić tylko przez misyonarzy, przebywających śród tych samych plemion. Żaden zaś uczony europejski, nie oddający się specyalnie badaniu u źródeł samych warunków bytu dzikich plemion amerykańskich, faktów podanych przez autora sprawdzić nie zdoła, a przecież i oko Morgana mogło go niekiedy omylić a nawet zawieść. Rodzi się ztąd jeszcze i to niezadowolnienie, że autor materyału tego nie zużytkował dokładnie, a trudno przewidzieć, jakiéj jeszcze modyfikacyi ulegną twierdzenia autora w obec faktów, odkrytych przez innych współczesnych etnologów, zwiedzających dzikie hordy Ameryki i Australii. Że autor nie przypisuje bezwzględnéj prawdy własnym nawet faktycznym opisom, wyznaje to sam z całą szczerością; gdy mówi, iż nie posiadając wszystkich narzeczy dzikich plemion, częstokroć porozumiewać się musiał za pośrednictwem tłómaczów, na których nieudolność się skarży. Na

str. 188 czytamy: „u Pequotów, Narragansettów pochodzenie było w linii żeńskiéj, jak dowiedziałem się od jednéj Narragansettki, którą spotkałem w Kansasie“ — oto i cała podstawa danego twierdzenia—słowa Narragansettki, z którą zapewne także trudno było rozmówić się autorowi. Z tego wynika, że dane, które autor czerpał u źródła, mogły być częstokroć mylne w obec nieodpowiednich środków badania; ale dla czegóż z góry przesądzać o rzeczy niewiadoméj, — dajmy na to, iż autor jaknajdokładniéj zbadał, że nazwa przywódcy u Irokezów („Ho-yar-na-go' war“ znaczy „doradca ludu,“ lub, że „bractwo Wilka“ u Irokezów dzieliło się na pięć rodów, których nazwiska autor najakuratniéj podaje (Niedźwiedź, Orzeł, Delfin, Rekin i Alka) — i to nie raz, na kilkudziesięciu stronicach? Jakież wnioski wyciągnie ztąd nie specyalista w zakresie etnologii, kiedy autor, sam żadnych z nazwisk wniosków nie wyprowadza? Ten bogaty materyał entnologiczny, zebrany na przeszło 560 stronicach dla wykształconego nawet czytelnika pozostaje tylko materyałem niesłychanie nużącym.

Sprawozdanie z dzieła Morgana, według tego, cośmy wyżéj wskazali, nie może rejestrować miliona faktów (w rodzaju nazw plemion lub ilości muszel w pasie Irokezkiego wodza), gdyż nieżyliśmy śród Irokezów. Przytaczać tych faktów dla obznajmienia czytelnika z treścią dzieła równie niepodobna, gdyż powstałoby w ten sposób „dzieło“ zbyt obszerne.

Ze względu atoli na oryginalność poglądów Morgana, wyrażonych we wstępie (str. 1—48), poddamy rozbiorowi te jego poglądy, które, jak to oświadcza pokrewny mu duchem Marks-Engels „zdarły szatę wielkości (?) z różnych powag naukowych Europy,“ tak dalece, aż nawet „usiłowano go zabić milczeniem“ (str. 608). Istotnie nie wiele mówią o dziele Morgana, krytyka europejska, szanując w Morganie pracowitego etnologa badacza, milczała o jego dziwacznych poglądach historyozoficznych.

W przekładzie polskim dołączono też do dzieła Morgana „objaśnienia i dopełnienia Marksa Engelsa“ (str. 608 — 625), które mają wytłomaczyć odużonemu nadmierną mnogością faktów czytelnikowi, jakie z tego wszystkiego wnioski wyprowadza Marks-Engels, gdyż oczywiście z nazw plemion, miejsca ich zamieszkania, ilości członków w rodzie irokezkim — czytelnik żadnych wniosków wyprowadzić nie zdoła. Wstęp jest rzeczą odrębną, etnologiczne opisy plemion rzeczą odrębną, a zakończenie znowu czémś inném; o kolejach zaś ludzkiego postępu pod względem faktycznym — nie ma wzmianki — o historyi — również, z wyjątkiem ustępu o Meksyku i o radach greckich i rzymskich.

Świat grecki i rzymski — to najdokładniéj wyjaśniona epoka rozwoju ludzkiego przez systematyczne badania historyków. W zasadzie Morgan jest zdania, iż główne urządzenia ludzkości rozwinęły się z kilku pierwotnych zarodów myśli i że przebieg i sposób ich roz-

woju był oznaczony z góry (predetermined) i zacieśniony w szczupłych granicach różnorodności, wskutek wrodzonéj logiki umysłu ludzkiego i koniecznego ograniczenia władz jego (str. 17). Na str. 290 czytamy: „Tak więc zwolna, lecz stale instytucye ludzkie przechodziły z form niższych w wyższe, skutkiem rozwoju logicznego czynności umysłowych, działających w jednostajnych i naprzód oznaczonych granicach."

Z powyższych zdań możemy wyprowadzić wniosek, iż autor jest deterministą, uznaje niezłomną konieczność przyczynową w zjawiskach świata ludzkiego, a tém samem neguje wolną wolę i niezależną działalność człowieka, jak to zresztą z całego dzieła wynika.

Ustaliwszy ten pogląd Morgana na zjawisko świata ludzkiego, przechodzimy do jego szematycznego podziału epok rozwoju ludzkiego.

Morgan uczy (str. 1), że niezaprzeczoném jest, iż jakaś część rodu ludzkiego żyła w stanie dzikim, inna—w barbarzyńskim, a jeszcze inna w ucywilizowanym, daléj, że również jest pewném, iż te trzy odrębne rodzaje istnienia łączą się z sobą w naturalném i koniecznem następstwie zjawisk postępu. Co więcéj, dowodzi on, że takie następstwo historyczne było prawdziwém dla całego rodzaju ludzkiego, dla rozwoju każdéj z poszczególnych jego gałęzi, czego dowodzić się zdają warunki, od których wszelki postęp zależy, gdyż znamy dotychczas przebieg rozwoju wielu szczepów rodu ludzkiego po przez dwa lub więcéj owych stanów." W jaki sposób pojmuje autor czynniki postępu, świadczą jego słowa: następujące po sobie kolejno sposoby żywienia są najlepszym dowodem ważnego objawu wznoszenia się ludzkości od najniższych szczebli uspołecznienia. Przewaga ludzi na ziemi zależała od nabytych w tym kierunku wiadomości... Jest również prawdopodobném, że niewielkie epoki ludzkiego postępu odpowiadały mniéj więcéj (?) bezpośrednio (?) rozszerzeniu źródeł żywności (str. 18).

Co autor pojmuje przez „rozszerzenie źródeł żywności" i jak to rozumieć, iż „wielkie epoki ludzkiego postępu odpowiadały" owemu rozszerzeniu źródeł żywności? Czy w epoce stanu najdzikszego ludów brakło źródeł żywności? czy obecnie dlatego mamy epokę cywilizacyjną, iż posiadamy wiele źródeł żywności, a hotentoci są w stanie dzikości dla tego, iż mają mniéj źródeł żywności? Czy zatem idzie, iż zmieniwszy pożywienie hotentotów wprowadzimy ich w stan cywilizacyi?

Paradoksalność poglądów autora jest uderzającą, a w dodatku autor bynajmniéj nie troszczy się o żadne dowody: — tak jest,— wierz, lub nie wierz! Podobny sposób traktowania tak poważnéj kwestyi, jak podziału rozwoju ludzkiego na epoki, nie zasługuje na miano naukowego.

Autor dzieli rózwój ludzkości na trzy okresy, a mianowicie:

dzikości, barbarzyństwa, cywilizacyi. Przedewszystkiém zapytać musimy, o jakiéj to ludzkości mowa? Czy obecna spółczesna ludzkość c a ł a znajduje się w stanie cywilizacyi, czy na téj kuli ziemskiéj u wszystkich ludów istnieje jeden i ten sam stopień oświaty? Wszakże autor chce ze współczesnego stanu dzikich Irokezów wyciągnąć wnioski ostatnie społeczeństwa pierwotnego, — więc sam już uznaje, iż cała ludzkość obecnie zamieszkująca naszę planetę w stanie cywilizacyi się nie znajduje, że obok narodów tak wysoko cywilizowanych, jak anglicy i francuzi, istnieją na ziemi ludy hotentotów. buszmanów, ostyaków i tym podobne, których pod względem oświaty i uspołecznienia z ludami Europy zachodniéj równać nie można. Jeśli więc jego historya rozwoju ludzkości ma koniecznie mieścić w sobie te trzy okresy, jakkolwiek ludzkość cała nigdy ich nie przechodziła, to rzecz oczywista, iż autor nie uwzględnia istotnego stanu rzeczy, lekceważy fakty nauki współczesnéj, wymagającéj stosowania się do rzeczywistości i opierania teoryi abstrakcyjnych na faktycznym podkładzie, który w dziejach ludzkości stanowią wydarzenia rzeczywiste, rozwój przyczynowy zjawisk świata istniejącego z całém bogactwem objawów życiowych. Każdy z tych okresów dzieli autor na trzy podokresy: n i ż s z y, ś r e d n i w y ż s z y. „Niższy stan dzikości (str. 8) zaczyna się wraz z dzieciństwem ludzkiego rodzaju, a kończy się z chwilą wprowadzenia rybołóstwa, umiejętności użycia ognia.“ Średni stan dzikości zaczyna się od wprowadzenia pokarmów rybnych i od umiejętności użycia ognia, kończy się zaś z wynalezieniem łuku i strzał. W tém miejscu autor zaznacza, iż „z pomiędzy dziś istniejących jeszcze plemion, w tym średnim stanie dzikości pozostawali australczycy, większa część polinezyjczykow, wtedy, gdy ich odkryto. Jak to pogodzić z owym autora pochodem ludzkości od „dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi?“ „Wyższy stan dzikości rozpoczyna się z wynalezieniem łuku i strzał, a kończy się z wynalezieniem sztuki garncarskiéj.“ Niższy stan barbarzyństwa zaczął się z wyrobami garncarskimi“ — gdzie się zaś kończy, tego się nie dowiadujemy; ale za to autor nas objaśnia, iż „średni stan barbarzyństwa rozpoczyna się z oswojeniem zwierząt na wschodniéj półkuli, a na zachodniéj od uprawy kukurydzy i roślin przez nawodnienie, oraz użycia cegły i kamienia w budownictwie. Wyższy stan barbarzyństwa zaczął się z obrabianiem (?) żelaza, skończył się zaś z wynaleziem alfabetu fonetycznego i z użyciem pisma w utworach piśmienniczych. Stan cywilizacyi zaczyna się z użyciem alfabetu fonetycznego i z powstaniem zabytków piśmienniczych, a dzieli się na starożytny i nowożytny. Oto klassyfikacya epok postępu ludzkości podług Morgana. Czy znachodzimy w tym szemacie wszystkie c z y n n i k i, które autor przyjął za podstawę podziału rozwoju cywilizacyi, które uważa za główne motory postępu? *J. K. Dworzaczek.* (*Dok. nast.*)

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na polityczną sytuacyą chwili. — Zaniedbanie polityki międzynarodowéj obok przewagi spraw wewnętrznych.— Charakterystyczne znamiona najnowszéj polityki wewnętrznéj.—Najnowsze ideały reprezentacyi narodowéj. — Polityka Niemiec na wybrzeżach wschodnio-afrykańskich. — Wniosek Windthorsta w sprawie ukrócenie handlu niewolnikami. — Bankructwo francuzkiego Towarzystwa budowy Kanału panamskiego: znaczenie polityczne téj kwestyi.—Ekonomiczne błędy izb francuzkich.—Korzystne operacye finansowe rządu rossyjskiego.—Kłopoty rządów parlamentarnych z rosnącym niepomiernie budżetem wydatków wojskowych na całym obszarze państw europejskich. — Kłopoty t. zw. „ligi pokoju.“ — Rumunia.— Król Milan i oktrojowana przez niego liberalna konstytucya serbska. Zwycięztwo radykalistów. — Głosy senatora Challemel-Lacour i b. ministra Ferre'go, ostrzegające republikanów francuzkich o grożącém Rzeczypospolitéj niebezpieczeństwie przez radykalizm i cezaryzm. —Działalność niemieckiéj komisyi kolonizacyjnéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusach zachodnich.—Nagrodzenie utworu dramatycznego p. Karczewskiego (Jasieńczyk) p. tyt. „Lena“ z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa, dn. 30 listop. 1888. — Dwie ofiary mające na celu poparcie literatury polskiej (15,000 rubli: Michał Wołodyjowski — Henr. Sienkiewiczowi) — i badań leksykalnych języka polskiego (rs. 16,000, złożone na ten cel w Banku państwa). — Zjazd kołoześński uczniów „Kursów prawnych.“—Projekt O. Tondini do Quaronghi przyjęcia południka jerozolimskiego za południk pierwszy. — Z ekonomiki: Kwestya kredytu dla właścicieli nieruchomości w Warszawie na pokrycie kosztów kanalizacyi. — Rozporządzenie Dyrekcyi głównéj Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiém co do terminu wprowadzenia w wykonanie nowéj ustawy Towarzystwa kred. ziemsk. — Reorganizacya wzajemnych ubezpieczeń nieruchomości w rz. gubernialnych w Król. Polsk. — Projekt ministra co do budowy dróg żelaznych dojazdowych.—Otwarcie warsztatów ślusarstwa i stolarstwa w szkole miejskiéj imienia Michała Konarskiego.

Ożywione przez cały niemal rok 1888-my współzawodnictwo interesów polityki międzynarodowéj uspokoiło się widocznie w mie-

siącach zimowych, a w ślad za pokojowém tchnieniem państw i sfer rządowych, zwróciła się i uwaga opinii publicznéj w daleko wyższym stopniu na wewnętrzne sprawy krajowe, dopominające się przez organa reprezentacyi narodowéj troskliwszego uwzględnienia. Przewodnią ideą i niesłabnącą żywotną energią polityki międzynarodowéj, zagranicznéj w naszej epoce zdają się być dążności upaństwowiania (sit venia verbo!) wszelkich organów życia społecznego i narodowego. Dla téj idei upaństwowiania nietylko dróg żelaznych, własności ziemskiéj, przemysłu, handlu, trudów i wygody robotnika, ruchu kapitału, spraw kościoła, szkoły, zakładów dobroczynnych; ale nawet i narodów samych—ma rzekomo pracować owa potęga ducha, którą wielu za postęp uważa, nie bacząc na to, że ona do wszechwładnego absolutyzmu prowadzi. Ztąd pochodzi, że państwo nowożytne, uzbrajane z każdym dniem coraz szerszemi atrybucyami, z obawy przed groźbą reakcyi tylu pokrzywdzonych i podeptanych praw przyrodzonych, historycznych, międzynarodowych, plemiennych i prywatnych—na ołtarzu militaryzmu składa wszystkie swoje najżywotniejsze siły fizyczne, intelektualne i ekonomiczne, aby, mimo głoszonego ze wszech stron pokoju, mogło być zawsze gotowe nietylko do obrony wszechwładzy, z taką wspaniałomyślnością przez ludy w ręce jego złożonéj; ale i do rozboju tych sąsiadów, którzy opóźnili swoje uzbrojenie, albo zdają się być osamotnieni! Czy stan taki długo potrwać może? Sądzimy że nie, ale w żadnym razie terminu jego panowania określić nie podobna. Przewaga idei owéj brutalnéj przemocy jest tak potężna, że potrafiła nawet wykrzywić pojęcia reprezentacyi narodowéj, powołanéj przecie głównie do tego, aby na gruncie praw obowiązujących miarkować i łagodzić współzawodnictwo idei monarchicznéj z ideą praw i swobód narodowych. Jeżeli tradycye nowożytnego postępu liczyły jeszcze niedawno do swojéj chwały legalną obronę praw oraz interesów społecznych przeciw swywolnym zamachom organów rządowych, to dzisiejsze usiłowania reprezentacyi sejmowéj przedstawiają widok zupełnie odwrotny, któremu jednak długiéj trwałości przepowiadaćbyśmy nie śmieli. Dzieje się to głównie—może nawet wyłącznie pod straszną groźbą przerażającego zbrojnego pokoju czyli stałéj gotowości wojennéj. Sytuacyi téj, ciążącéj nad całą Europą po ostatnich tryumfach Niemiec,—nie potrafią zmienić najwymowniejsze usta retorów francuzkich, angielskich, rzymskich, wiedeńskich, berlińskich i i., nie potrafią jéj zmienić nawet w chwili, gdy cały świat rozbrzmiewa wzniosłym hymnem kościelnym: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobréj woli!“ Ile winy za wytworzenie takiego stanu rzeczy spada na rządy, a ile na narody, na to pytanie nie potrafiłby zadawalniająco odpowiedzieć nawet Salisbury, który przed dwoma miesiącami z takiém ukontentowaniem sławił swoję Anglią za to, że w niéj posiadają i rząd i naród zupełnie identyczne cele i pragnienia pokojowe.

Zapowiadana w zeszłym miesiącu przez Niemcy w zgodzie z Anglią blokada wybrzeży wschodnich Afryki w celu humanitarnéj idei poskromienia barbarzyńskiego handlu niewolnikami, weszła w wykonanie i może się już poszczycić kilku dziełami swéj misyi. Przy tém wszystkiém miejscowa ludność afrykańska, doświadczywszy krzyżackiéj arogancyi niemieckiéj przy słabym sułtanie zanzibarskim, widzi w niemcach tylko najezdników i niezaprzestaje morderczéj walki z napastnikami, chociaż artylerya okrętów niemieckich pali nadbrzeżne miasta i osady afrykańskie. Szeroka idea blokady, strojącéj się w barwy „krucyaty“ przeciwko handlowi niewolnikami, może łatwo utonąć w niezgłębionéj niemieckiéj pożądliwości nowych zdobyczy, ponieważ rząd niemiecki obmyśla już sposoby zorganizowania wyprawy wojennéj na wschodnie brzegi Afryki. Ks. Bismarck wolałby jednak, aby przedsiębiorczość prywatna mogła tymczasem ująć w swoje ręce sprawy materyalne niemieckiéj kampanii wschodnio-afrykańskiéj, dopóki, przy pomocy reprezentacyi narodowéj (np. wniosek Windthorsta), społeczeństwo niemieckie nie nabierze tego przeświadczenia, że w celach tak doniosłych, jak tępienie handlu niewolnikami, nie można skąpić funduszów na wytworzenie armii kolonialnéj, na utrzymanie osobnego korpusu lub czegoś podobnego do krzyżaków średniowiecznych, którzyby na wschodnich wybrzeżach afrykańskich zdołali ufundować nowe państwo niemieckie. Hr. Herbert Bismarck skorzystał nadzwyczaj zręcznie z wystąpienia Windthorsta i sztandar katolickiego przedsięwzięcia starał się wytrącić z rąk kardynała Lavigerie i stolicy apostolskiéj—podnosząc go sam w imieniu państwa—i to podnosząc go poparty powszechną niemal aklamacyą reprezentantów narodu.

Gdy Niemcy z taką przezornością unikają awantury tonkińskiéj lub massawskiéj, spadły na Francyą nowe kłopoty—dotychczas wprawdzie ekonomicznéj jeszcze natury, ale w obec drażliwych bardzo na tym punkcie umysłów francuzkich, nieobojętne dla obecnego rządu republikańskiego: mówimy o groźbie kolosalnego krachu wśród mniejszych kapitalistów francuzkich wskutek upadku kompanii, budującéj pod przewodnictwem Lessepsa kanał panamski. Sprawa ta zajmuje w wysokim stopniu umysły francuzkie; ale nie grozi przynajmniéj w téj chwili żadném zawikłaniem międzynarodowém, skoro gabinet Floqueta odmówił zbankrutowanéj kompanii poparcia rządowego, bo w obec hasła amerykańskiego: „Ameryka dla amerykanów!“ zatarg z Zjednoczonymi Stanami Ameryki Północnéj byłby gotowy! Za niemałą szkodę Rzpltéj francuzkiéj uważać jednak trzeba, że izba poselska—nie pomna szkodliwych dla gospodarstwa krajowego skutków zerwanych traktatów handlowych z Włochami, uległa wpływowi protekcyonistów i odrzuciła korzystny traktat handlowy z Grecyą.

Rosya zajmowała się w dalszym ciągu przeważnie sprawami

ekonomicznemi i finansowemi, których korzystne uregulowanie wyraźnie leży przedewszystkiém na sercu teraźniejszéj administracyi skarbu cesarstwa. Pomyślny nadzwyczaj rezultat ostatniéj pożyczki 500 milionów franków, pokrytéj pięć razy zapisami w samym Paryżu, dowiódł faktycznie Niemcom, że finanse cesarstwa mogą wyemancypować się z łatwością z pod ucisku giełdy berlińskiéj. Nie mniéj korzystne w społeczeństwie rosyjskiém zrobiła wrażenie wiadomość o projekcie nowéj konwersyi 5% konsolidów z lat 1871, 1872 i 1873, mającéj być przeprowadzoną przez to samo konsorcyum bankierskie, które załatwiło tak pomyślnie ostatnią pożyczkę na 500 milionów franków.

Reszta państw europejskich zajęta była kłopotami parlamentarnemi, a głównie obroną nadmiernych wymagań budżetowych a właściwie jednego tylko jego działu wojskowego, już to na wzmocnienie i ulepszenie środków uzbrojenia już to na zwiększenie zaciągów do szeregu. Parlament niemiecki nie zdążył się jeszcze rozpatrzeć w przedstawioném sobie projekcie prawa o zabezpieczeniu losu robotników przez państwo; gdy groziły mu zapowiedzi, nowych kredytów na udoskonalenie marynarki, na pomnożenie artyleryi, jakoby mniéj licznéj od francuzkiéj, a wreszcie i na wyprawę zanzibarską. Była to jednak groźba przedwczesna. Sejmy austryacki i węgierski przyjęły ostatecznie nową ustawę wojskową, która wymaga nie tylko nowych ofiar pieniężnych, ale nadto znacznie powiększa powinności osobistéj służby wojskowéj, ścieśniając nawet dotychczasowe prawa młodzieży akademickiéj. Francuzki minister wojny p. Freycinet zażądał od izb kredytu nowych 600 milionów franków dla wydziału wojny, które go téż uchwaliły, szukając środka na przywrócenie równowagi zrujnowanego w ten sposób gospodarstwa państwowego w zwiększonym podatku dochodowym lub, co gorsza dla biednych, w zaprowadzeniu ceł od zboża zagranicznego. Sejm włoski uchwalił 145 milionów fr. nowych wydatków nadzwyczajnych i szuka źródła w nowych podatkach z wyssanego już i tak kraju. Gabinet Salisbury'ego zapowiedział angielskiéj Izbie niższéj potrzebę zwiększonego kredytu na cele wojskowe, szczególniéj na wzmocnienie marynarki. Zostające pod opieką sztandaru międzynarodowéj neutralności spokojne państwa takie, jak Belgia i Szwajcarya, uważały za obowiązek swojéj przezorności nie szczędzić kosztów na zabezpieczenie sobie większéj obrony własnéj: izby belgijskie uchwaliły kilkadziesiąt milionów franków na obwarowanie swego pogranicza lądowego, otwartego dotąd dla Prus, Szwajcarya zaś zajęła się przekształceniem milicyi swojéj. Przezorność ta doradziła nawet ubogiéj Bułgaryi, aby rząd ks. Koburskiego wystąpił w zgromadzeniu narodowém z projektem reorganizacyi wojska, pomnażając szeregi piechoty do 120,000 ludzi, artyleryą do 288 dział, jazdę do 3,000 koni, nie licząc 50,000 ludzi milicyi.

Poważne to zaprawdę siły, strzegące pokoju europejskiego tak ze wszystkich stron zabezpieczonego i przez „ligę pokojową“ trzech państw sprzymierzonych tak troskliwie strzeżonego. Lecz samo już widmo téj straży budzi pewien niepokój w narodach najwięcéj w téj sprawie interesowanych. Echo polemiki (pod wielu względami nawet nieprzyzwoitéj) między prasą wiedeńską a berlińską w sprawie przy-mierza Austryi z Niemcami, odezwało się nawet w sejmie przy obradach nad nowelą wojskową, gdy posłowie różnych krajów, uchwalając fundusze przez gabinet żądane, warowali równocześnie, aby cesarz austryacki nie był uważany za namiestnika cesarza Wilhelma II-go. Opozycya przeciwko trójprzymierzu objawia się i we Włoszech, gdzie na zebraniach coraz liczniejszych potępiają politykę zagraniczną Crispi'go. Państwa wreszcie mniejsze, o których dawniéj głoszono, że zamierzają przystąpić do trójprzymierza, bynajmniéj się w tym kierunku nie kwapią.

W stosunkach wewnętrznych państw półwyspu bałkańskiego wystąpiły poruszenia, które dotychczasowy wpływ Austro-Węgier niepomiernie osłabić tam mogą. W Rumunii musiał ustąpić gabinet Bratiano, skłaniający się ku trójprzymierzu. Następca jego Carp, zachowując sobie swobodną rękę, pragnie wprawdzie prowadzić politykę zagraniczną w kierunku dawno wytkniętym, bez poddawania jéj pod złowróżbne skutki swywolnych nieraz większości parlamentarnych; ale większość teraźniejsza Izby rumuńskiéj stanowczo jest przeciwna trójprzymierzu.

W Serbii odważył się król Milan na krok w dziejach rządów monarchicznych bardzo ryzykowny. Dla zatarcia w narodzie przykrego bądź co bądź wrażenia rozwodu z królową Natalią, osiadłą obecnie w Krymie, wystąpił z ponętnym projektem przekształcenia konstytucyi serbskiéj w duchu ograniczenia praw korony a rozszerzenia praw politycznych narodu serbskiego. Projekt téj konstytucyi królewskiéj, przejrzany i usystematyzowany przez osobną Radę, złożoną z najwyższych dostojników duchownych i świeckich oraz licznego zastępu przewódców wszystkich stronnictw pod prezydencyą samego króla, zgodnie przyjęty przez wszystkich obradujących, czeka tylko uchwały wielkiéj skupczyny, aby mógł wejść w życie. Królowi chodzi o to, aby konstytucya ta mogła być ryczałtem bez dyskussyi przyjęta; tymczasem rozpisane wybory zapewniły niepospolitą większość stronnictwu radykalnemu, wrogo usposobionemu względem Austro-Węgier za okupacyą Bośnii i Hercegowiny, niweczącą jego marzenia o wielkiéj Serbii króla Duszana, obejmującéj Serbią dzisiejszą, Bośnią, Hercegowinę, Czarnogórze, Albanią a nawet część Macedonii i Bułgaryi. Król Milan oraz obecny gabinet Christicza, nie spodziewając się żadnéj powolności od przemożnego stronnictwa, prowadzonego przez Ristricza, unieważnili wybory, jako dokonane pod groźbami i gwałtami, obrażającemi prawo i rozpisali

nowe. Tymczasem i przy tych ostatnich wyborach stronnictwo radykalne pozyskało ogromną większość, gdyż na 628-iu wszystkich posłów wielkiéj skupczyny, wybrano 504-ch radykalistów, 98-iu liberalnych stronników gabinetu, a ledwo dwudziestu kilku umiarkowanych postępowców dawniejszego stronnictwa Novakovica. Przedsięwzięte próby doprowadzenia do jakiejkolwiek tranzakcyi między temi prądami stronniczemi mogą się na razie jeszcze udać, ale praktycznego skutku spodziewać się ztąd nie można. Wypadnie tedy królowi Milanowi albo stanąć pod chorogwią Ristica, podniesioną przeciw Austryi, albo wykonać zamach stanu, rozpędzić wielką skupczynę i rządzić na podstawie konstytucyi dzisiejszéj, jak to doradza królowi prasa austryacka.

Nie mniejsze niebezpieczeństwo grozi spokojnemu rozwojowi życia konstytucyjnego Rptéj francuzkiéj, podkopywanéj coraz gwałtownéj przez radykalizm i pokrewny mu w politycznem samolubstwie cezaryzm, przy pomocy swywolących anarchistów. Z głosem ostrzegającym wystąpił w senacie podczas obrad nad budżetem umiarkowany republikanin senator Challemel-Lacour, b. ambasador Rptéj w Londynie oraz Ferry b. minister na zgromadzeniu republikańskiém w hotelu „Continental“. Wystąpienie p. Challemel-Lacour przypomniało świetne tradycye trybuny francuzkiéj równie podniosłą i wielce polityczną treścią jak i wykwintną formą krasomówczą. P. Ch.-Lacour, przerażony niebezpieczeństwy grożącemi Francyi, wystąpił z wezwaniem do zachowawców i monarchistów wszelkich odcieni, aby odłożywszy na bok wszelkie stronnicze spory na spokojniejsze czasy, połączyli się z umiarkowanymi republikanami wszelkich odcieni dla wyratowania ojczyzny ze szponów radykalizmu, bulanżyzmu i krańcowych anarchistów. Mówca, oświadczywszy przedewszystkiém, że w téj chwili nie chodzi mu o budżet, ale o przyszłość saméj Francyi, doprowadzonéj przez stronnicze rządy na brzeg przepaści, nie oszczędzał ani zachowawców, knujących przewrot monarchiczny, ani republikanów umiarkowanych, gnuśniejących w bezczynności, ani gabinetu Floquet'a ani też czerwonych wichrzycieli życia publicznego. Słowa Challemela-Lacour wywołały tak żywy zapał, że z wyjątkiem szczupłéj garstki radykalistów, cały senat powstał z krzeseł, winszując mówcy takiego wystąpienia, a p. Say uczynił wniosek, aby mowę tę osobno wydrukować i rozlepić po urzędach gminnych całéj Francyi, od czego jednak przez wzgląd na urzędujące ministeryum niebawem odstąpił. P. Floquet, odpowiadając na tę cenzurę, bronił tak niezręcznie rządu, że cały senat w zadziwienie wprawił. Zapowiadając wreszcie wniesienie projektu przywrócenia wyborów okręgami zamiast zgubnych dzisiejszych departamentalnych (właśnie przed paru laty przez radykalistów przeprowadzonych) czynił do pewnego stopnia akt skruchy i obietnicę poprawy. Zdobył się jeszcze w końcu na energiczną deklaracyą, że w razie zuchwalszych pokuszeń bulanżystów zażąda uchwalenia praw wyjątkowych dla poskromienia wichrzycieli.

Niebawem wypowiedział b. minister Ferry także wielką mowę na zgromadzeniu republikańskiém o niebezpieczném położeniu Rptéj, która, jak donoszą dzienniki, miała w ogóle dobre sprawić wrażenie we Francyi, chociaż różniła się wielce w poglądach od mowy senatora. Challemel-Lacour wytyka otwarcie rządowi błędy popełnione w ostatnich latach, zwalając główną odpowiedzialność za groźny stan dzisiejszy na radykałów, wzywa rząd, aby powrócił do polityki zdrowego rozumu; Ferry zaś chwalił działalność rządu a błędy widział tylko po stronie wielkiéj masy ludności. Naucza tedy, że republikanie nie powinni się zgadzać na żadne plany rewizyi konstytucyi republikańskiéj; ponieważ istniejąca obecnie jest dobrą, nie powinni myśleć o odłączeniu kościoła od państwa w obec obowiązującego konkordatu z Rzymem, nie powinni się zgadzać na autonomią gminną ani na podatek od dochodów i wzywa radykalistów do zawarcia przymierza z umiarkowanymi republikanami, którzy potrafią ocalić Rzpltą. Pomijając to, że przymierze takie jest w danych warunkach niemożliwe i patrząc na to, jak chwilowy zapał patryotyzmu republikańskiego nader szybko przeszumiał, jak gdyby się przeląkł kandydatury Boulangera, ubiegającego się o mandat poselski w Paryżu w miejsce zmarłego deputowanego, widzimy, że Rzpltéj żadna choćby najświetniejsza retoryka trwale wesprzeć nie potrafi, ponieważ republikańska forma rządu nie jest odpowiednią dla państwa tak wielkiego i tak scentralizowanego jak Francya. Może ona przez czas niejaki panować jako teoretyczna doktryna, pozbawiona wszelkiego wpływu w polityce międzynarodowéj, a rozprzęgająca wewnętrzne siły państwowe; ale trwałą, niewzruszoną modłą państwa nie będzie, jeśli Francya nie ma się rozpaść na niezależne rządy komun po wielkich miastach i na dawniejsze prowincye z rządami autonomicznemi. Albo Cezar albo monarcha okaże się ostatecznie jedynym zbawcą téj Francyi, któréj brak Europie dzisiejszéj tak mocno czuć się daje!

Od tych kwestyi ogólnego interesu przejdziemy do smutniejszéj kroniki wypadków bliżéj nas obchodzących, mianowicie do działalności germanizacyjnéj komisyi kolonizacyjnéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich.

Niemiecka Komisya kolonizacyjna w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich obiecuje złożyć sejmowi sprawozdanie z całorocznéj swéj działalności, które ma wykazywać pożądany postęp giermanizacyi kraju polskiego albo raczéj postęp tępienia narodowości naszéj. Polskie pisma poznańskie a więcéj jeszcze korespondenci z Wielkopolski do gazet warszawskich i galicyjskich zasłaniają sobie oczy na istotny stan rzeczy i z tego faktu, że dotychczas Komisya nie potrafiła rozkolonizować wszystkich zakupionych „dóbr rycerskich“ lekkim umysłem wnioskują, że dzieło wrogów narodu naszego nie robi postępów. Optymizm taki źle służy sprawie narodowéj, bo uspakaja do pewnego stopnia umysły tam, gdzie obrażone sumienie

obywatelskie w słusznych wyrzutach oburzenia milknąć nie powinno. Komisya, prowadząc robotę swoję nadzwyczaj oględnie, przezornie i ekonomicznie, nie mogła w tak krótkim czasie tyle ziemi rozparcelować i ekonomicznie pomierzyć i prawnie uporządkować a cóż dopiero rozprzedać; ale hydra germańskiéj furyi na ziemi polskiéj rozszerza coraz bardziéj swoje szpony, wypychając nawet polską ludność roboczą z najbliższego swego sąsiedztwa, nie mówiąc już o szkole i kościele. Nie brak przykładów („Słowo“ Nr. 282), że przy zmianie stosunków służebnych w chwili Nowego roku, Niemcy służby polskiéj się systematycznie pozbywają. Nie chcąc z rodziną umierać z głodu wynoszą się tedy przymuszeni Polacy za chlebem w okolice niemieckie, gdzie młodszym generacyom grozi niechybna zagłada pod względem uczuć, zwyczajów i obyczajów narodowych. Na takie fakta nie można oczu zamykać—i łudzić się kłopotami Komisyi kolonizacyjnéj. Już ona sobie poradzi w obec naszéj narodowości— i choćby do Wirtembergii po świeżych „kulturtraegerów“ sięgnąć potrafi, jak donosi korespondent poznański do „Gazety Warszawskiéj“ (Nr. 341, z dn. 28 grudnia 1888-o r.). „W ostatnim czasie zwrócono (komisya kolonizacyjna) uwagę na chłopów wirtemberskich i nie szczędzono zachęty ani w prasie, ani ze strony miejscowych organów administracyjnych, aby zwabić inteligentnych i zamożnych rolników wirtemberskich do majątków nabytych przez komisyą. W dniu 17-m grudnia odbyło się w mieście Bietigheimie (w wirtemberskim powiecie nadnekarskim) w sprawie kolonizacyi W. Ks. Poznańskiego zebranie, złożone z 25-u osób, które zamierzają w Księztwie nabyć posiadłość ziemską. Zebranie zagaił i cel jego wyjaśnił właściciel kolonii w Ks. Poznańskiém Essich, poczém zabrał głos dr. Ramm z Hemmingenu, oświadczając, że minister Varnbüler, który od początku roku bieżącego zajmował się gorliwie kwestyą kolonizacyi i w sprawie téj prowadził bardzo rozległą korespondencyą z naczelnym prezesem, hr. Zedlitz'em, z powodu choroby nie mógł przybyć na posiedzenie, i że zlecił jemu, aby w imieniu ministra przedstawił zebranym, mającym chęć wzięcia udziału w kolonizacyi, rezultat wspomnianych wyżéj usiłowań. Wywody ministra mówią najprzód o prawnych stosunkach osadników, mianowicie o dziedziczeniu i o przepisach, dotyczących ograniczenia wolności rozporządzania gruntem, a następnie zajmują się szczegółowo sprawą budynków, najkorzystniejszego czasu przeniesienia się, transportu inwentarza i ewentualnych ułatwień ze strony rządu, daléj kwestyą prowizorycznego pomieszczenia i wyżywienia przybywających, wykończenia pomieszkań i zabudowań gospodarskich, kwestyą rodzaju bydła, napojów i sprawą szkolną. Po wyczerpującém załatwieniu tych punktów, przechodzą wywody ministra do propozycyi co do najprędszego i najskuteczniejszego sposobu, jaki powinna kolonizacya obrać celem zapuszczenia korzeni w Księztwie, propozycyi, które znalazły ogólne uznanie w zebraniu, i które stanowią istotną

treść właściwych uchwał, powziętych przez zebranych. Referat ministra kończy się temi słowami: „Gdy już nadmieniłem wam wszystko, co godne uwagi, nie radzę, ani też nie odradzam, lecz powtarzam tylko: „Każdy jest sprawcą, własnego szczęścia.“ Następnie mówił p. Essich o całym szeregu przepisów, dotyczących kolonizacyi, i uczynił wniosek, aby spróbować, czyby komisya kolonizacyjna nie zrobiła ulg w sprawie budowy gospodarstw, wysokości renty, ustąpienia kolonisty po upływie 3 lat, w sprawie utrzymania szkoły i t. d. Daléj postanowiono wystosować do tych wszystkich, którzy już na wiosnę roku 1889 pragną się osiedlić, wezwanie, aby w najbliższym czasie wzięli udział w podróży do Poznania pod przewodnictwem Essich'a. Poczém puszczono w kurs listę, która wykazała, że z obecnych 19 było gotowych osiedlić się na wiosnę; osoby te mają majątku od 110—125,000 marek do rozporządzenia i zakupiłyby około 525 morgów pruskich obszaru.

Wynagrodzenie utworu dramatycznego p. Karczewskiego „Lena” z zapisu ś. p. Kurjerowa.—Zmarły w Warszawie w r. 1883-cim Józef Kurjerów, testamentem prywatnie pod datą dn. 22-go marca r. 1874-go sporządzonym i w zachowaniu u notaryusza przy sądzie okręgowym warszawskim, Aleksandra Jałowickiego, będącym, między innemi zapisami na cele publiczne przeznaczył procent od sumy rs. 3,000 za dwa lata, w kwocie rs. 300, na wynagrodzenie najlepszego utworu dramatycznego polskiego, według uznania komitetu, wskazanego przez testatora. W skutek tego, egzekutor testamentu, p. Karol Hube, upoważniony odezwą kuratora okręgu naukowego warszawskiego, w wykonaniu ostatniéj woli Kurjerowa, wezwał na obrady w przedmiocie wspomnianego legatu wybranych przez zapisodawcę członków komitetu, a mianowicie: redaktora „Biblioteki warszawskiéj“, Józefa Plebańskiego, redaktora „Gazety warszawskiéj“, Józefa Keniga, i pełniącego zastępczo obowiązki reżysera dramatu i komedyi, Bolesława Ładnowskiego, którzy korzystając z nadanego sobie w testamencie prawa przybrania do komitetu „dwóch literatów lub krytyków w Warszawie zamieszkałych”, zaprosili ze swéj strony pp. Juljana Adolfa Święcickiego i Władysława Bogusławskiego.

Skompletowany w ten sposób komitet znalazł się w obec zadania dosyć trudnego, ponieważ brzmienie testamentu dość ogólne, podlegać może różnym tłómaczeniom; należało więc przedewszystkiém ograniczyć sferę działania i stanąć na gruncie, o ile można praktycznym. W tym celu wyłączony został odrazu system konkursu, do którego w ostatnich czasach uciekano się bez pożądanych skutków, i który zresztą w tym razie nie miałby odpowiednich bodźców materyalnych. Postanowiono tedy wybierać z gotowego już materyału. Przy takim wyborze nastręczała się przedewszystkiém konieczność określenia czasu i miejsca. Mając wzgląd na miejscowe okoliczności, przyjęto okres pięcioletni, t. j. od daty śmierci Kurjerowa (1883) do

chwili obecnéj i scenę warszawską, jako najpoważniejsze dla twórczości polskiego pisarza dramatycznego pole popisu. Stawiając sobie ograniczenie: żeby sztuka była już graną, komitet nie wyłączył bynajmniéj w zasadzie utworów, które przeszedłszy szczęśliwie pierwszą próbę druku, dla jakichbądź powodów nie ukazały się na scenie warszaw.; ponieważ do takiego zamknięcia się w granicach praktyki teatralnéj zmusiła w téj tylko chwili Komitet najprzód jakość zgromadzonego w ciągu pięciolecia materyału, a nadto skłoniła go chęć wprowadzenia do sądu o wartości dzieła, ważnego bądź co bądź czynnika—zdania publiczności. Takiéj metody sądzenia, członkowie komitetu nie uważali jednak bynajmniéj za prejudykat na przyszłość i nie mieli zamiaru krępować przez to działalności swoich następców, wskazały ją tylko dzisiejszym sędziom, jako najlepszą, warunki danéj chwili, które za lat pięć zmienić się mogą na korzyść utworów drukowanych a nie granych.

Z dostarczonego sobie materyału w ilości przeszło ośmdziesięciu sztuk granych na naszych teatrach, wybrano po wymianie zdań nad każdą, trzy: dramat, komedyą i farsę, z różnych względów mogące współubiegać się o nagrodę. Wszystkie trzy miały za sobą oprócz niezaprzeczonéj wartości wewnętrznéj—powodzenie, które komitet uważał za moment nader ważny przy wydawaniu zdania, ponieważ konkurujące utwory obok wybitniejszéj ciekawości chwili, w niektórych razach przeważnie owéj wartości zawdzięczały swoje powodzenie; nie było tu więc żadnego ustępstwa przemijającym gustom publiczności, lecz rachowanie się z jéj sądem w tym razie zdrowym i słusznym. Badanie jednak kierunku tego powodzenia doprowadziło do stanowczego wyróżnienia jednego z trzech współubiegających się utworów. Komedya podziałała na publiczność zręcznem postawieniem popularnego tematu; farsa zjednała ją prawdziwym talentem, szczerym krynicznym humorem, z pod którego wyzierała nawet poważniejsza dążność społeczna: ale dramat przykuł do siebie widzów poezyą. Była to dla sędziów okoliczność rozstrzygająca. Zważywszy zatém:

że dramat ów wystawiony w najnieprzyjaźniejszych dla siebie warunkach, najprzód w ogródku, który złą grą mógł najlepiéj usposobioną publiczność odstręczyć, następnie w Letnim teatrze, niedogodnym dla dzieł tego rodzaju, wreszcie na Wielkiéj scenie, gdzie sztuki salonowe nikną,— utrzymał się dotąd na repertuarze i ciągle widzów ściąga;

że w tak niekorzystnych okolicznościach żywotność jego jedynie rzetelnéj wartości może być przypisaną;

że źródłem téj wartości jest niewątpliwie poezya, a talent autora polega na umiejętności przemawiania jéj językiem do widzów, opornych zwykle na działanie poezyi;

że mając do wyboru zręczność, humor i poezyą, godzi się wynagrodzić tak rzadko wynagradzaną poezyą, tém bardziéj, jeżeli zdo-

być potrafiła publiczność, która aż nadto często hołduje zręczności, a za humorem goni aż nadto skwapliwie;

komitet przyznał nagrodę z zapisu Józefa Kurjerowa w kwocie rs. 300-tu czteroaktowemu dramatowi Marjana Jasieczyka (Karczewskiego) p. t. „Lena".

Dnia 4 grudnia odbyło się w kole prywatném zebranie koleżeńskie wychowańców t. zw. „Kursów prawnych," które zasługuje na sympatyczną wymiankę kronikarza „Bibl. Warsz." nie tylko z tego powodu, że profesorowie téj poważnéj instytucyi naukowéj byli pierwszymi i najgorliwszymi współpracownikami powstałéj w r. 1840 „Bibl. Warsz."; ale i dla tego, że „Kursa prawne" wykształciły znaczną liczbę mężów, którzy na różnych stanowiskach magistratury w kraju pożyteczną i przezorną służbą obywatelską potrafili nie tylko oświetlić, ale i ogrzać ówczesną niwę życia społecznego. Generacya dzisiejsza z trudnością pojąć zdoła zasługę, którą wśród ówczesnych stosunków (1840—1845) instytucya ta względem kraju położyła, chociaż należałoby jéj znać i czcić pamięć mężów, co z niemałém poświęceniem krajowi służyli. „Kursa prawne," powołane do życia blizko przed 50-ciu laty, a więc w chwili, gdy w kraju nie było żadnego wyższego zakładu naukowego, istniały zaledwie lat pięć, a chociaż na katedrach ich nie grzmiały potężne geniusze—według dzisiejszéj miary mędrców,—to nauczyciele ich potrafili w swojéj skromnéj ówczesnéj nauce i w swojém namaszczeniu obywatelskiém tyle zaczerpnąć siły duchowéj, że wykształcili nie małą liczbę wielce uzdolnionych prawników, którzy, uzupełniwszy gruntowną pracę swoje studya, zajęli pierwszorzędne stanowiska w sądownictwie, na linii obrończéj i w wielu innych magistraturach służby publicznéj. Kursa prawne otwarte w Warszawie, w pałacu Kazimierowskim w 1840 r., były uzupełnieniem wykształcenia gimnazyalnego, a zadaniem ich było przygotowanie młodzieży do służby rządowéj w ogóle, a sądownictwa w szczególności. Nominacya na obrońcę, adwokata, rejenta zależną była od uzyskania świadectwa z ukończenia kursów prawnych. Wykłady miały na celu praktyczne obznajmienie słuchaczów z prawami obowiązującemi, nie wdając się w filozoficzny rozbiór prawa. Do przedmiotów wykładowych należały: Zbiór praw ruskich (w języku rosyjskim), historya prawa rzymskiego (w języku rosyjskim lub łacińskim), dawne prawo polskie, prawo i procedura cywilna, prawo i procedura karna, hypoteka i notaryat, literatura starożytna, rzymska i rosyjska, (w języku rosyjskim), historya, statystyka Rosyi (w języku rosyjskim), prawo handlowe i inne. Dyrektorem kursów był Leopold Sumiński, filolog b. Uniwers. Warsz., członek Rady wychowania. Pomiędzy profesorami, wykładającymi na kursach prawnych, spotykamy dr. Jana Szwajnica, Wacł. Aleks. Maciejowskiego, Walentego Dutkiewicza, Franc. Maciejowskiego, Ksawerego Józefowicza,

Jana Zaleskiego (prawo handlowe), Antoniego Woelke, Piotra Aleksiejewa (liter. rosyjską), Mikołaja Pawliszczewa (hist. ros. i statystyka), Andrzeja Minkel (Swod zakonow) [1]). Wszystkiew spomnienia owéj epoki odżyły na nowo w umysłach i sercach zebranych kolegów, dziś już poważnych wiekiem i zajmowanemi stanowiskami mężów. Zebranie zaszczycił swoją obecnością J. E. Arcybiskup warszawski ks. Popiel, który również na kursa prawne uczęszczał. Ogólna liczba zebranych wyniosła czterdzieści kilka osób.

Zaszczytna wzmianka należy się w Kronice niniejszéj dwom pięknym uczynkom mecenasowskim, świadczącym nie tylko o wielkiém zamiłowaniu literatury i języka ojczystego, ale i o gotowości do ofiar tam, gdzie chodzi o dobro publiczne i troskliwe pielęgnowanie naszéj indywidualności umysłowéj. Nieznany obywatel—schroniwszy się pod marsowe skrzydła Michała Wołodyjowskiego, przesłał w pierwszych dniach miesiąca grudnia Henrykowi Sienkiewiczowi, autorowi rozgłośnych powieści historycznych rubli sr. 15,000 z kartką: „Henrykowi Sienkiewiczowi.—Michał Wołodyjowski ze Zbaraża do Częstochowy“, bez żadnego bliższego określenia celu i pobudek tego daru. Za granicą zdarzają się często tego rodzaju remuneracye prac znakomitszych; ale w naszym biednym kraju jest to krok niezwykły, świadczący dobrze o intencyach obywatelskich światłego mecenasa, który nie wchodząc w potrzeby interesowanéj osoby, zrobił tak poważną ofiarę zapewne w chęci zabezpieczenia utalentowanemu pisarzowi jak największéj swobody do tworzenia jak najwięcéj dzieł takich, któreby jak najpóźniejszym pokoleniom przedstawiały w żywych obrazach ukochaną przeszłość naszę. P. Sienkiewicz, jakkolwiek nie bogaty, ale zarabiający tyle, co potrzebuje, złożył tymczasowo tę sumę do depozytu, w oczekiwaniu, że może tajemniczy dobroczyńca bliżéj intencyą swoję określić zechce; gdyby jednak po trzech latach żadna deklaracya nie nastąpiła, to rozporządzi tą sumą 15,000 rubli według swego uznania.

Dnia 20-go grudnia złożył równie nieznany obywatel w Banku państwa 16,000 rubli jako fundusz żelazny, od którego procent ma być obracany na opracowanie i wydrukowanie „Słownika języka polskiego.“ Osobny komitet ma zająć się tą pracą zaraz z początkiem roku 1889-go. Nie znamy bliżéj warunków téj szlachetnéj darowizny ani intencyi wspaniałomyślnego mecenasa, którego swobodę pragnęlibyśmy pod każdym względem uszanować; ale nadmienić musimy, że objawione już w pismach codziennych głosy w téj sprawie nie rachują się z naukowym stanowiskiem dzisiejszéj leksyko-

[1]) Zob. bliższe szczegóły u Aleks. Kraushara „Siedmiolecie szkoły głównéj Warsz. Krak. 1883 str. 76—86.“

grafii i nie zaznaczają istotnych prawideł oraz potrzeb Słownika języka żyjącego. Informacye „Wieku“ (nr. 286 z dn. 24 grudnia 1888 r.) opiewają: „Po Nowym Roku rozpoczyna się mozolna praca wydawnictwa „Słownika równoległego języka polskiego i ośmiu innych,“ na zasadach lingwistyki porównawczéj. Całe dzieło składać się będzie z 30-tu tomów i będzie spółrzędnie prowadzone w języku polskim i ośmiu innych językach.“

Z naukowego punktu widzenia, czy to filologii, czy lingwistyki, nie podobna sobie wyobrazić „Słownika równoległego języka polskiego i ośmiu innych,“ ani też nie można sobie utworzyć jasno zdeterminowanego pojęcia dzieła „prowadzonego spółrzędnie w języku polskim i ośmiu innych językach.“ Dzieło tak monstrualne (zapewne w 8-iu rubrykach szematyzowane podług bieżącego N-ru alfabetu polskiego jak gdyby było przeznaczone np. dla użytku kupieckiego lub komiwojażerskiego) byłoby bez żadnéj naukowéj i praktycznéj korzyści, bo nawet dla polyglotty bezużyteczne, jako zbyt chaotyczne, jak się o tém każdy może przekonać, skoro sam bliżéj przedmiot ten rozważyć zechce. Takiéj też intencyi szan. mecenas zapewne nie miał i mieć nie mógł.

Informacye „Słowa“ (Nr. 286 i 287 z dn. 22-o i 24 o grudnia 1888-o roku), daleko już szczegółowsze, opiewają, że ma to być „Słownik“ mowy naszéj na zasadach językoznawstwa porównawczego. „Fundacya wchodzi w życie z początkiem zbliżającego się roku. Ściślejszy komitet redakcyjny czuwać będzie nad prowadzeniem dzieła, a do współpracownictwa zaproszone zostanie szerokie grono specyalistów i znawców, przy współudziale najpierwszych powag naukowych w kraju i zagranicą. Pierwowzorem dla téj pracy będzie Słownik Lindego (nie zaś późniejsze tego rodzaju w naszéj literaturze a niezupełne publikacye) — odpowiednio do dzisiejszych wymagań nauki — na podstawach językoznawstwa porównawczego, z najszerszém uwzględnieniem gwar ludowych, sanskrytu i wszystkich języków pokrewnych, nietylko w kierunku wyjaśnienia źródłosłowów, ale i z tłomaczeniem wyrazu w każdym z tych języków. Pierwszy kierunek zastosowany zostanie tylko do wyrazów przyswojonych z obcéj mowy, jak francuzkiéj, niemieckiéj i t. p. (Pocóż tedy sanskryt? który tylko do wyjaśnienia pierwiastków języka, (radix) potrzebnym być może, gdyż źródłosłowu już w dalszym rozwoju historycznym szukać trzeba: grecki, łaciński i t. d.). Że mitologia, geografia, terminologia naukowa i techniczna i t. d. znajdą najrozleglejsze uwzględnienie, samo się przez się rozumie. Pomnikowa ta praca musi być — ze względu na koszta — dziełem lat wielu. Dlatego też zapewne zacny inicyator i mecenas przeznacza dla niéj nie jednorazowy fundusz, lecz odsetki od kapitału żelaznego. Czas jednak dla tak ciężkiéj i kosztownéj pracy skróci się i przyspieszy poparciem ludzi dobréj a rozumnéj woli.“ Relacya ta rzuca nieco więcéj światła na samo dzieło;

ale przesądza, jak nam się zdaje, zbyt pospiesznie metodologiczne usystematyzowanie tak poważnéj roboty. Słownik Lindego był dziełem znakomitém na początku bieżącego stulecia (1807), tak, że równego mu w owym czasie wskazać nie umiemy. Nawet obszerny traktat wstępny o zasadach etymologii toruje już drogę późniejszym badaniom lingwistycznym; ale od tego czasu badania lingwistyczne, studya gramatyki porównawczéj, leksykografii z uwzględnieniem pierwiastków (radices), źródłosłowu (etymologii) odmian, składni, akcentu, synonimiki — ogromne zrobiły postępy, z których dziś nie korzystać byłoby wielkim grzechem. Ile na gruncie Lindego zdziałać można było, pokazało 2-ie wydanie „Słownika," uskutecznione przez zakład Im. Ossolińskich we Lwowie. Akademia Um. w Krakowie zajmuje się już od lat kilkunastu zbieraniem materyału do nowéj redakcyi „Słownika," a młodzi uczeni, korzystający ze stypendyum B. Lindego — dorzucają zapewne także swoje przyczynki do wspólnéj skarbnicy języka naszego. Prof. J. Blat robił wyciągi z dziełka: „Reguły gramatyczne" z r. 1544-o dla Słownika Staropolskiego. Usiłowania p. Wł. Łebińskiego co do nazwisk geograficznych (Bibl. Warsz. 1886. T. I. str. 154 — 156) równie jak i jego „Materyały do Słownika łacińsko-polskiego średniowiecznéj łaciny i starożytności polskich" (Poznań 1885) wykazują dużo materyału nowego, nie mówiąc o szacownych przyczynkach przy studyach Luc. Malinowskiego, Wład. Nehringa, Ant. Kryńskiego i i. Prof. J. Rostafiński gromadził i gromadzi materyał leksykograficzny na polu botaniki, gdzie także krzątą się i Erazm Majewski, pracujący oprócz botaniki także jeszcze nad nomenklaturą polską z zoologii. W ostatnich czasach podjęli opracowanie specyalnych słowników swoich nauk chemicy, lekarze, badacze nauk przyrodzonych, prawnicy i t. d. i t. d. Czy w obec tego podobna myśléć o słowniku Lindego, jako o głównym wzorze lub jako o jedynym przewodniku mającéj się rozpocząć pracy? W literaturach obcych mamy daleko lepszy wzór pod względem etymologicznym i historycznym w słowniku języka niemieckiego Grimma i Sandersa, angielskiego J. A. H. Murray'a a pod względem rzeczowym i syntaktycznym w słowniku języka francuzkiego Littrégo. Ważną pomocą będą tu dzieła leksykograficzne Fr. Miklosicha, słownik języka ruskiego Akad. Petersb.—Przykładów, powoływanych przez Lindego z dzieł pisarzów wzorowych i rozmaitych zabytków literatury, jest w wielu razach za wiele, a w wielu znowu razach za mało; bo niezawsze pilnowano wyboru takich zdań, któreby, zestawione obok siebie, malowały dokładnie jak najdelikatniejsze odcienia kryjących się w danym wyrazie pojęć. Obfitéj nadzwyczaj duchowéj treści synonimów inaczéj jednak przyswoić sobie nie podobna; i przy coraz szerszéj poniewierce języka będzie to rzeczą coraz trudniejszą, niemożliwą, tak że niebawem młodsze generacye nawet téj potrzeby czuć już nie będą. Z tego widzimy, że zadanie komitetu, mającego się zająć redakcyą takiego słownika, nie jest tak łatwe

jakby się redaktorowi „Słownika równoległego języka polskiego i ośmiu innych“ zdawać mogło. Sądzimy wreszcie, że wydawnictwo to powinno postępować po następujących szczeblach: 1-sze wypracowanie dokładnego planu wydawnictwa z uwzględnieniem dzisiejszego stanowiska nauki leksykografii; 2-re gromadzenie materyału jak najobfitszego oraz szeregowanie go alfabetyczne; 3-ie redakcya każdego wyrazu taka, abyśmy przy każdem słowie mieli niejako monografią jego etymologii w porównaniu z językami najbliższego pokrewieństwa, monografią jego form gramatycznych, wreszcie znaczenie syntaktyczne, synonimiczne — proza i poezya, język literacki, mowa ludowa etc. Jest to zadanie dla ludzi wielu i dla lat wielu, które usilna praca i dobra wola wprawdzie nieco skrócić może; ale, bez narażenia dzieła na zarzut powierzchownéj i mechanicznéj roboty, wydawnictwa tego rodzaju przyspieszyć bardzo nie podobna.

Kwestya „u j e d n o s t a j n i e n i a p i s o w n i p o l s k i é j,“ poruszana i rozbierana szczegółowo w „Bibliotece Warszawskiéj“ od r. 1880, [1]) a sformułowana we wnioskach prof. A. A. Kryńskiego [2]) wcelu przedstawienia jéj Akademii Um. w Krakowie do dalszego postąpienia i decyzyi, pozostała i na dal na łasce swywoli nauczycielskiéj i literackiéj, ponieważ Akademia, zasięgnąwszy opinii swoich członków-lingwistów, filologów i gramatyków nie powzięła stanowczej decyzyi co do projektu p. A. Kryńskiego; ale poprzestała na radzie, aby stosować się do pisowni, zachowywanéj w jéj wydawnictwach. Wskazówka ta nie załatwia jednak sprawy, bo nie usuwa nastręczających się wątpliwości, gdyż i w wydawnictwach Akademii panuje rażąca nieraz rozmaitość, któréj bez postanowionych zasad uniknąć nie podobna przy tak znacznéj liczbie autorów, przy kilku sekretarzach i osobnych redaktorach wydziałów, komissyi etc. Redakcya tygodnika petersburskiego „Kraj,“ nie rozpatrzywszy dokładnie stanu kwestyi w danéj chwili, i nie zwracając uwagi na takie samo bezskuteczne wystąpienie poznańskiego towarzystwa Przyjaciół Nauk w r. 1870 [3]) wystąpiła w początku września 1888-o (Nr. 35 z dn. 7-o września) z projektem zwołania do Warszawy „Zjazdu filologów-polonistów,“ któryby ostatecznie postanowił—nie chodzi o to, czy najlepszą, byle jednę pisownią, obowiązującą, wszystkich nauczających, piszących i drukujących“. Projekt „Kraju,“ zapominając o powszechnym u nas braku karności, przybierającym

[1]) Zob. Bibl. Warsz. 1880 r. T. 4-y str. 321. 1882, T. 2-i str. 502 — 604.

[2]) Drukowanych w Bibl. Warsz. w mies. sierpniu 1882-o r. T. 3-ci str. 169—208.

[3]) Zob. Wiec ortograficzny. Odezwa Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego i „Tydzień Drezdeński.“ Poznań, 1870.

w Rplitéj literackiéj szersze jeszcze niekiedy rozmiary, aniżeli w epoce panowania „*liberum Veto*“ — projekt, mówię „Kraju“ nie znalazł téż potrzebnego poparcia, ale sprawił przynajmniéj to, że kwestya ta coraz naglejsza dla społeczeństwa polskiego na nowo teoretycznie podjętą została. Z pomiędzy odpowiedzi, które na wzmiankowany projekt nadesłane zostały, ogłosił „Kraj“ w N-rze 50-ym z dn. 21-o grudnia 1888-o r. dwa listy otwarte, zasługujące na wzmiankę w „Kronice“ bieżącej. Z pierwszego, podpisanego przez pp. Ant. Kryńskiego i Jana Karłowicza, dowiadujemy się, że w obec trudności urządzenia zjazdu, Red. „Prac filologicznych“ powzięła myśl porozumienia się listownego w kwestyach spornych pisowni i praktycznego ich rozwiązania. Grono lingwistów w Warszawie, po szczegółowem rozpatrzeniu tych pytań, przyszło już do pewnych wniosków, które zamierza przesłać do zaopiniowania filologom polskim warszawskim i pozamiejscowym, a uzyskawszy ich zgodę, ułoży ostateczny projekt pisowni i przedstawi go Akademii, z prośbą o ostateczne zatwierdzenie, jako prawideł ogół obowiązujących. Mając na celu przedewszystkiém p r a k t y c z n o ś ć, dążąc do jednostajności zamiast różnorodności, wypadło tu nieraz odstąpić od słusznych wymagań teoretycznych, nie uwzględniono nawet pewnych drobnych znamion fonetycznych języka; nie brano wcale pod obrady owéj nieszczęsnéj j o t y na początku i wśrodku wyrazów, która dotychczas (i dla czł. Akademii) była głównym kamieniem obrazy. Zamierzony projekt pisowni zawierać będzie treściwe uzasadnienie każdego wniosku ortograficznego, nadto słowniczek wyrazów, przedstawiających wątpliwości ortograficzne, abecadłowo ułożonych. Autorowie listu sądzą tedy, że „przy dobréj woli ogółu dadzą się wyrównać i usunąć wszystkie niejednostajności w naszéj pisowni, których znowu nie jest tak wiele, jak to niekiedy gołosłownie się mówi.“

Powołując się na usiłowania przedsiębrane w tym samym celu przez Red. Bibl., o czém na początku niniejszéj wiadomości wzmiankowaliśmy, życzymy Redakcyi „Prac filologicznych“ spełnienia wyrażonéj z taką otuchą nadziei w interesie szkoły i literatury naszéj; nie możemy jednak opędzić się obawie, żeby prace jéj nie były daremne. Najwszechstronniejsza korespondencya listowa, pomijając niedogodność przewłóczenia sprawy, może łatwo pominąć kilku najzagorzalszych nowatorów filografów, którzy, uciekłszy raz na Pragę, do izby sejmowéj nie wrócą, choćby pod pretekstem, że prawo przy świecach sejmować zabrania; owszem staną się apostołami opozycyi na podstawie téj zasady, że „język nasz jest mową żyjącego narodu — nie może się od razu na niczyje skrystalizować skinienie. Żaden kongres lingwistów czy profanów — nie ujmie go w żelazne ramy.“ (P. An. G. Bem w 2-im liście otwartym w tymże N-rze Kraju). Z korespondencyi listowéj, przecinającéj możność wszechstronnéj dyskussyi i traktującéj sprawę publiczną tak en famille — dobrego skutku spodziewać się nie śmiemy; a z drugiéj strony nie widzimy,

żeby sz. autorów zamiarem było roztrząsać wszystkie wątpliwe szczegóły ortograficzne za pośrednictwem prasy. Oprócz tego nie spodziewamy się, żeby Akademia Um. w Krakowie poprzedni swój werdykt zmieniła, boć po wielu naradach oświadczyła już raz stanowczo, że po zaszczyt dydaktury w sprawie téj nie sięga; ale nie odrzucając projektu ujednostajnienia pisowni, pozostawia każdemu swobodę używania téj pisowni, według któréj sama wydawnictwa swoje drukuje. Sprawa pisowni pozostanie tedy nadal w tym stanie anarchii (żeby choć możliwie umiarkowanéj!), do jakiego ją doprowadzili filografowie i glossofile, przeceniający wartość naukową pisowni, gdy ona była, jest i zapewne będzie rzeczą przeważnie konwencyonalną, kwestyą wzajemnego porozumienia umowy i powszechnéj zgody, przygotowanéj i ustalonéj przez jednostajną naukę szkolną. Najwięcéj kąkolu rośnie na téj niwie, na któréj każdy świeży siewca swoje plewy sieje w zarozumieniu, że tylko w jego woreczku znajduje się wyborowa pszenica. Że pisownia jest przeważnie kwestyą konwencyonalną, istoty języka nadwerężyć nie zdolną, tego dowodzą nam np. anglicy i francuzi, gdy z taką cierpliwością znoszą swoją prawdziwie barbarzyńską pisownią, pisownią, w któréj grafika tyranizuje fonetykę, bez żadnéj jednak szkody dla „żywotności“ literatury, bo tam samowolne przepisy niepowołanych ortografów nie gwałcą prawideł etymologii i nie utrudniają dokładnego zrozumienia gramatycznego życia języka w jego indywidualności narodowéj: tam nie rządzi pisownią ucho lub oko, jak u naszych filografów i glossofilów; ale dobrze zrozumiana tradycya, praktyką szkolną ustalona. Pragniemy też szczerze, żeby przezorne i naukowe, szlachetne usiłowania Red. „Prac filologicznych“ zdołały tę anarchią usunąć;—aby potomne wieki—jak się to dzieje na niwie historyozoficznéj — nie mogły legalizować poniewierki naszego języka i naszéj literatury przez zarzut niepohamowanéj „anarchii“ ortograficznéj.

Drugi list w téj sprawie, podpisany przez p. Ant. Gust. Bema, zasłużonego nauczyciela, autora gramatyki polskiéj i wielostronnego krytyka, stawia nas w niemałym kłopocie, ponieważ wnioski sz. autora nie są dosyć stanowcze. P. Bem, odesławszy znane „Rozprawy i wnioski deputacyi Warsz. Tow. Przyjaciół Nauk“ „do archiwum wspomnień dziejowych,“ twierdzi, że tylko „gromadka uprawiaczów językoznawstwa“ idzie bezpieczna za gwiazdą nauki po raz obranym torze; ale ogół, nie widząc wśród danych warunków żadnych nakazów, błądzi po manowcach. Ośmielamy się przeciwko temu utrzymywać, że historya edukacyi naszéj z lat ostatnich przekonać może każdego o tém, że właśnie wielu z pomiędzy owych „uprawiaczów językoznawstwa“ wydeptało te manowce, po których reporterzy się ścigają, a młodsze generacye w wskazane tropy jak by za postępem dążą. Daléj przyjmuje p. Bem z radością projekt „Kraju,“ jako środek mogący spowodować względne uje-

dnostajnienie naszéj pisowni; ale przewidując szerokie rozprawy o całéj lingwistyce, radzi ostateczne rozstrzygnięcie spornych pytań („pluralitate votorum") powierzyć osobnéj komissyi. Nie łudzi się jednak nadzieją, żeby odrazu cel mógł być osiągnięty; ale uważałby to już za wielkie zwycięstwo zdrowego rozsądku nad osobistemi upodobaniami, gdyby na początek choć większość czasopism jeden poprawny system ortograficzny przyjęła i t. d. P. Bem nie zadawalnia się tak jak „Kraj" jakimkolwiek systemem byle jednostajnym, ale żąda układu umiejętnego, bo nie chce, „abyśmy zapomnieli to, czegośmy się w ciągu dwudziestu kilku lat nauczyli." Oświadcza też stanowczo: „wolę dzisiejszy zamęt, niż dawniejszą ciszę..." Po uwadze o języku naszym, jako o mowie żyjącego narodu, którąśmy już wyżéj przytoczyli, wyraża wreszcie p. B. przekonanie, „że jeden zjazd sprawy jeszcze nie załatwi," „ale będzie pierwszą próbą uświadomienia ogółu w zakresie... sfery ojczystego językoznawstwa." Sądzimy, że taki zjazd lingwistów poza kołem specyalistów, pozostałby dla każdego ogółu — a więc i dla naszego ciekawym tylko widowiskiem, że nie potrafiłby się wznieść na zbyt wysokie stanowisko szkoły lingwistyki. Zjazdy poruszyły już bowiem wiele kwestyi; ale nie rozstrzygnęły ani jednéj! — Tymczasem jednak p. Bem radzi dążyć do urzeczywistnienia projektu zjazdu.

W uwagach, któreśmy wyżéj wypowiedzieli, ujawnia się różnica naszego poglądu od poglądu p. Bema, mianowicie co do owych „żelaznych ram," których my w ortografii bynajmniej nie widzimy. Gdzieżbyśmy bowiem mogli znaleźć takiego mechanika, któryby dla ducha języka, któryby dla tego, co to niemieccy lingwiści „die innere Sprachform" nazywają — potrafił żelazne ramy ukuć? Pisownia niemiecka np. obfitsza jest daleko od naszéj w jak najrozmaitsze dziwactwa. Spierają się tam żarliwie — bo nawet w paru czasopismach, poświęconych wyłącznie badaniu kwestyi ortograficznych,— o litery rzymskie i t. zw. gotyckie, — o litery małe i duże przy pisaniu rzeczowników — o *h* jako znaku długości — o *th* czy *t*, o podwajaniu samogłosek i t. p. aż przyszło do tego, że władza edukacyjna, przy pomocy gabinetowego imperatywu ks. Bismarcka, ustanowiła jedyną poprawną pisownią rządową, któréj się szkoły trzymać muszą.—Mimo to nie zdławiły te „żelazne ramy" swobody potężnego umysłowego ruchu literatury niemieckiéj. Pozostawiono swobodę uczonym lingwistom dla ich celów naukowych; naród zaś cały kazano uczyć „pisowni rządowej," bo dotychczasowa historya przekonywa, że rzecz tak konwencyonalnéj natury, rzecz umowy, jaką jest każda pisownia, nie nadwereży majestatu mowy ani nie przyniesie szkody literaturze, nie ukrzywdzi nauki. Nie należałoby się tedy u nas obawiać szkodliwych skutków choćby dyktatorskiego, byle prawidłowego, a ogólne posłuszeństwo znajdującego przepisu. Odtrąciwszy zatem tę przenośnię o żelaznych ramach, sądzimy, że i p. Bem zamiarom redakcyi „Prac filologicznych" przyklasnąć raczy!

Od r. 1883 starają się astronomowie bardzo energicznie o przyjęcie jednego międzynarodowego południka za punkt rachuby geograficznéj. Samolubstwo narodowe nie ustępowało dotąd i na tém polu. Jedni zaczynali od Ferro, drudzy od Grenowich, inni od Paryża; z czasem dopominanoby się obliczenia na berliński, petersburski a zapewne i peszteński południk. Uczony włoch, barnabita, O. Tondini Quarenghi, zaproponował przyjęcie betleemskiego południka za pierwszy południk. Skoro bowiem świat cywilizowany przyjął w swe rachuby erę chrześciańską, to przyjęcie południka betleemskiego byłoby tylko logicznem następstwem powyższej zgody z erą chrześciańską. Gdy jednak betleemska długość geograficzna nie była obliczoną, przeto uczony zakonnik zaprojektował południk jerozolimski i przedstawił swe zapatrywanie akademii umiejętności w Bolonii i paryzkiemu towarzystwu geograficznemu. Bolońska Akademia umiejętności skłania się ku temu, rząd ottomański, idąc za zdaniem dyrektora obserwatoryum w Konstantynopolu, zgadza się, angielska „British Association for the advancement of science", obraduje nad sprawą—tak że jest niejaka nadzieja, że południk ten przyjętym zostanie i Jerozolima będzie punktem wyjścia dla godziny kosmopolitycznéj.

W chwili, gdy przesuwamy przed okiem czytelnika najciekawsze dociekania astronomów zejdźmy ze szranek wszechświatowych, by przyjrzeć się w szczuplejszym zakresie sprawom wewnętrznym i pojęciom wyrastającym na rodzinnym gruncie, posłuży nam to bowiem częściowo do porównawczego zestawienia poglądów ekonomicznych u nas i gdzieindziej.

Przyjazną ku temu sposobnością będzie agitacya, wrzenie i szerokie sfery ogarniająca dyskusya nad sprawą k a n a l i z a c y i Warszawy. Genezy powstania tego wielkiego dzieła rozbierać nie będziemy, streścimy się natomiast w jego cząstce, w sprawie łączenia domów z kanałami, sprawie, która teraz najbardziéj porusza umysły i w pocieszných barwach maluje naszę dojrzałość społeczno-ekonomiczną.

Rzecz zahacza się o koszta połączeń domów z kanałami, na które właściciele nieruchomości, skutkiem ogólnego zastoju interesów, nie posiadają odpowiednich funduszów. Rzecz to zwykła w obecnych czasach, a o tyle mniéj dotkliwa, że kredyt hypoteczny miasta stoi dość silnie i na brak zaufania kapitałów narzekać nie może. W takiéj więc chwili, ze względu na to, że kanalizacya jest w pełnym biegu, że jako sprawa wielkiéj doniosłości dla hygieny miasta, nie może być powstrzymywaną lub unicestwianą coby nastąpić musiało, gdyby większość domów z połączenia z kanałami nie korzystała, należało w logicznym rzeczy porządku obmyśléć formę kredytu dla właścicieli, możliwego i umiarkowanego.

Dopókąd sprawa kanalizacyi znajdowała się w pierwszéj fazie

swego przebiegu, to jest, gdy po ukończeniu wodociągów, ciężar opłaty za nową wodę spadł bezpośrednio na lokatorów, wszystko układało się jak najlepiéj, a kontrybuenci podatku za wodę bez szemrania, lecz z uznaniem dobrodziejstw znakomitéj melioracyi, podatek ten na siebie przyjęli. Gdy jednak przyszło drugą połowę ciężarów kanalizacyjnych rozkładać na właścicieli domów, zerwała się burza, starająca się przez usta opozycyi, podminować nietylko całość robót do téj pory wykonanych, ale i pożytek melioracyi. Podrażniony interes własny gotów był pogrzebać do téj pory wydane miliony, wyrzec się kanalizacyi i doszło do tego, że i inicyatora i kierowników przedsiębiorstwa pomawiano o złą wolę, brak znajomości rzeczy i t. p. Widząc jednak, że koszta kanalizacyi muszą być rozłożone na miasto resp. na właścicieli domów, że magistrat uciec się będzie musiał nawet do przymusu, by urzeczywistnić plan dla dobra mieszkańców postanowiony, zaczęto się godzić z koniecznością całkowitéj kanalizacyi i sprawa wynalezienia kredytu na pokrycie kosztów łączenia domów z kanałami weszła na porządek dzienny.

Chociaż rzecz wymagała głębszego zastanowienia, rozumnego stawiania projektów do urzeczywistnienia możliwych, nasi ekonomiści nie trudzili się zbytecznie w pomysłach i od razu, mając już przykład gotowy, sięgnięto po źródło kredytu, które dla wielu zdawało się łatwém do wyzyskania a oszczędzającém kłopotów w wyszukaniu innéj formy pożyczki. Mianowicie postawiono wniosek, by na pokrycie kosztów skanalizowania domów użyto funduszu rozerwowego Towarzystwa Kredytowego miejskiego. Gdyby wniosek ten nie był podpisany przez licznych stowarzyszonych, przejśćby można nad nim do porządku dziennego, nie robiąc sobie wiele z jakichś jednostkowych niedorzeczności; ale mamy tu do czynienia z projektem, podpisanym przez kilkudziesięciu stowarzyszonych, ludzi poczuwających się do prawa decydowania o sprawach publicznych, będących t. zw. inteligencyą miasta i widocznie przekonanych, że myśl przez nich podjęta nie jest absurdem. Powstał zatem projekt nietylko niemożliwy w wykonaniu, bo naruszający zasadnicze ustawy Towarzystwa, lecz nadewszystko przekonywujący do jakiego stopnia elementarna świadomość praw bezpieczeństwa kapitałów jest nam obcą. Naruszyć rezerwę kredytu, reprezentowanego w papierach publicznych, to to samo co obniżyć ich kurs, osłabić zaufanie, które sobie listy zastawne wyrobiły. Krótkowidzący finansiści nie pomyśleli o tém na chwilę, bo wreszcie jak to wyżéj zaznaczono, przykład w tym kierunku był już dany. Wszak niejednokrotnie już, gdy chodziło o sprawy użyteczności publicznéj, potrzebujące poparcia kapitałów, robiono zamachy na fundusz rezerwowy Tow. Kr. Ziemskiego i przeciętni rolnicy dziwili się wielce, czemu nie wolno biedy ich i potrzeb pokryć funduszem, według nich „martwo leżącym?“ Tak to nieznajomość zasadniczych praw ekonomii, kompromituje naszę dojrzałość społeczną i obałamuca umysły, które zamiast poważnie

i roztropnie szukać wyjścia z trudnego położenia, czepiają się najniedorzeczniejszych pomysłów.

Na szczęście losy nie pozwoliły niefortunnemu projektowi ujrzéć światło dzienne w formie wniosku poddanego uznaniu zebrania ogólnego, które w dniu 20 z. m. i r. obradowało właśnie nad pożyczką specyalnie kanalizacyjną dla właścicieli domów m. Warszawy. Władze Tow. Kr. miejskiego z takim pożytkiem, energią i ogólném uznaniem pracujące dla instytucyi, widząc ciężkie położenie stowarzyszonych, same wystąpiły z wnioskiem przyniesienia im pomocy dodatkową pożyczką na cele kanalizacyjne. Pożyczka ta ma sięgać wysokości $^1/_{10}$ pożyczki już poprzednio na nieruchomość przyznanéj, nie krępować w niczém praw stowarzyszonego do uzyskania nowéj pożyczki głównéj i być wypłacaną dopiero po złożeniu dowodów z robót ukończonych. Do wniosku tego, w formie poprawki, wniósł jeden ze stowarzyszonych, p. Mierosławski projekt, by kanalizowanie posesyi w Warszawie było nie obowiązkowém, lecz dobrowolném, a w razach przymusu zarządzonego z konieczności przez magistrat miasta, ażeby skanalizowanie polegało na wpuszczaniu ścieków do kanału za pomocą przykanalików i wpustu podwórzowego. Projekt ten motywowany nieco przesadnemi uwagami: o możliwéj ruinie właścicieli, zmuszonych do wydatkowania na urządzenie kanalizacyi znacznych sum, wykazujący że przymus zmniejszy o 14 mil. wartość obciążonych pożyczką Towarzystwa nieruchomości, przyjęty został przez zebranie ogólne z nadmienieniem, że poddany uprzednio specyalnemu badaniu i opracowaniu przez odpowiednią delegacyą, wraz z wnioskiem Towarzystwa przedstawiony zostanie do uznania władz.

Zdaje się więc, że sprawa tak niesłusznie przedstawiona, jako grożąca ruiną właścicielom, zgodnie z wymaganiami zdrowia publicznego zostanie rozstrzygniętą, usuwając fatalne warunki hygieniczne, czyniące z Warszawy jedno z najniezdrowszych miast w świecie. Nazwanie bezmiernym ciężarem sumy 3,000 rubli, które przeciętnie każda posesya będzie musiała włożyć w koszta kanalizacyi, zdaje nam się być przesadzoném, ponieważ uzyskawszy pożyczkę amortyzacyjną, właściciele płacić od niéj będą co najwyżéj 260 rs. rocznie, natomiast część tych opłat zwrócą lokatorowie, płacący za wodę, a właściciele kamienic zwolnieni zostaną od kosztów dotychczasowéj dezynfekcyi mieszkań, a nadewszystko wzorowa czystość i porządek uczynią z brudnych i wstrętnych domów warszawskich siedziby przyjemne i zdrowe. Po za tém nie sądzimy, by interes osobisty do tego stopnia miał owładnąć właścicielami, żeby zapomnieć mogli o obowiązkach moralnych, nakazujących ponosić pewne ofiary na rzecz ogółu.

Dyrekcya Główna Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiém w początkach mies. grudnia rozesłała do Dyrekcyi Szczegółowych nową ustawę Towarzystwa, przyczém objaśniła, w jaki

sposób ustawa wspomniana ma być wprowadzona w wykonanie. Nim będzie uchwalona przez połączone naczelne władze Towarzystwa szczegółowa instrukcya, to w razie wątpliwości co do stosowania nowéj ustawy, Dyrekcya Główna zaleca stosowanie się do dawniejszych instrukcyj. Za termin wprowadzenia ustawy nowéj ma się uważać dzień 1 (13) listopada 1888 r. W myśl dotychczasowych przepisów i na podstawie aktów przystąpienia, zeznanych według przepisów dotychczasowych, mogą być rozpoznawane i decydowane te tylko pożyczki czy to z taksy, czy z szacunku normalnego, czy nakoniec z konwersyi, dla których akta przystąpienia sporządzone były przed dniem 1 (13) listopada r. b. i przed tą datą w Dyrekcyi je złożono. Dawne przepisy można stosować do segregacyi i zwolnień również o tyle, o ile podania w tym względzie przed dniem 1 (13) listopada w Dyrekcyi złożono. Decyzye co do wszelkich przystąpień, zdziałanych na podstawie aktów przystąpienia po dniu 1 (13) listopada, lub po téj dacie w Dyrekcyi złożonych, muszą być wydawane na podstawie nowéj ustawy, a akta przystąpienia winny być koniecznie sporządzone według nowego wzoru, który Dyrekcya Główna Dyrekcyom Szczegółowym jednocześnie zakomunikowała. Nakoniec Dyrekcya Główna uprzedza, że ponieważ według nowéj ustawy nie będą udzielane pożyczki z szacunku normalnego, a pożyczki z taksy nie mogą być udzielane w sumach mniejszych niż 500 rub., zatém należy w tym względzie udzielać właściwe objaśnienia osobom interesowanym, aby ich na straty i zawody nie narażać.

Narady w przedmiocie reorganizacyi systematu wzajemnych ubezpieczeń w Królestwie Polskiém doprowadziły do wniosku, iż należy powrócić do zasad, wskazanych przepisami z r. 1844. Mają być przytém powiększone pensye i skład osobisty urzędników wydziałów ubezpieczeń w rządach gubernialnych i zarządach powiatowych. Z czasem ubezpieczenie ma objąć dział gradobić. Ostateczne opracowanie projektu jest kwestyą kilku tygodni.

Według projektu ministeryalnego, budowa dróg żelaznych „bocznych“ czyli tak zwanych „dojazdowych“ przez osoby prywatne ma być w znacznéj mierze ułatwioną. Prawo wydawania koncessyj służyć ma ministrowi komunikacyj, a pozwolenie odbycia studyów techniczno-mierniczych udzielać będą gubernatorowie. Koleje boczne korzystać mają z przywileju obowiązkowego wykupu, oraz z prawa układania relsów po bokach dróg szosowych i gruntowych. Oprócz tego mają być uwolnione od wydatków na utrzymanie dozoru policyjno-żandarmskiego, oraz od podatku na bilety pasażerskie.

W trzyklasowéj szkole rzemieślniczéj imienia Konarskiego odbyło się dnia 23 grudnia 1888 r. w obecności inspektora szkół m. Warszawy otwarcie warsztatów rzemieślniczych. Na początek urzą-

dzono tylko warsztaty stolarski i ślusarski na 80 uczniów i zaopatrzono je w niezbędne narzędzia do roboty ręcznéj, bez maszyn. Pracą w warsztatach zajmować się będą uczniowie przez 4—5 godzin, resztę czasu zaś poświęcą nauce przedmiotów ogólnych, fachowych i nauce rysunku. Szkoła ma tylko trzy klasy, kurs jednak dzieli się na 6 lat; wychowańcy po przejściu tego kursu powinni być do tego stopnia uzdolnieni, że po odbyciu praktyki w warsztatach przemysłowych lub fabryce dla nabrania potrzebnéj wprawy, staną się zupełnie wykwalifikowanymi rzemieślnikami. Opłata roczna w szkole wynosi 10 rs., a $^1/_5$ uczniów może korzystać z nauki bezpłatnie. Tymczasowo szkoła mieści się w domu wynajętym, nie zupełnie odpowiednim celowi, lecz z wiosną nadchodzącego roku rozpoczętą zostanie budowa własnego gmachu szkolnego, którego plany złożone już zostały do zatwierdzenia właściwéj władzy.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Zasłużoną wielostronnie firma księgarska pp. G. Gebethnera i Rob. Wolffa w Warszawie rozpoczęła nowe wydawnictwo pedagogiczne, mające na celu dostarczenie ogółowi treściwych, popularnych podręczników we wszelkich gałęziach wiedzy ludzkiej, napisanych w ten sposób, aby pragnący nauki mógł się zupełnie obejść bez nauczyciela. Użyteczności podobnego wydawnictwa dla społeczeństwa polskiego, szeroko dowodzić zapewne nie potrzeba, a ogromną trudność wywiązania się z tak zaszczytnego zadania pedagogicznego i obywatelskiego wydawcy sami jasno widzą, gdy przy pierwszym zaraz Zeszycie zapewniają, że „Podręczniki będą opracowane przez najpierwsze nasze siły pedagogiczne i naukowe". Rękojmia taka obiecuje powodzenie jak najszersze temu pożytecznemu przedsięwzięciu, bo opracowanie dobrego podręcznika, mającego się obejść bez pomocy nauczyciela, jest daleko trudniejsze aniżeli napisanie obszernego dzieła. W tym razie zachodzi tu jeszcze ta okoliczność, że podręczniki tego rodzaju przy zbytniem nieraz rozdrabnianiu, muszą zapobiegać szkodliwym skutkom powierzchowności, co towarzyszyć zwykło wszelkiemu samouctwu. Pierwszy Zeszyt, który dotychczas mamy pod ręką, dobrze zaleca całe wydawnictwo i — mimo swojéj aforystyczności w ogólnym układzie—pozwala się dobrze oryentować na wymierzonéj do karczunku niwie. P. A. Dygasiński dostarczył na początek traktat p. tyt. „Jak siebie uczyć i jak uczyć innych", gdzie w poprawnym a ożywionym wykładzie objaśnia podstawę i bliższe warunki kształcenia się bez pomocy nauczyciela. Rozumie się samo przez się, że ten kurs samouctwa, że tak powiemy, nie może rozpoczynać najelementarniejszéj nauki czytania i pisania; ale, po przebyciu tych pierwszych śliskich lodów, może z wielkim pożytkiem najprzód towarzyszyć nauce szkolnéj,— a daléj, według okoliczności, powinien ją albo udokładniać albo też zupełnie zastąpić. Z tego wyniknie znów najpierwsze prawidło dla autorów: przestrzegać jak najtroskliwiéj czystości mowy i poprawności stylu, przy jednostajnéj pisowni, z czém łączy się drugi warunek, aby podręczniki tego rodzaju nie kusi-

ły się o propagowanie doktryn, przez dydaktykę jeszcze powszechnie do planu szkolnego nie wprowadzonych i przez pedagogią nie wypróbowanych. Nie tylko jednostajna pisownia, dobra polszczyzna; ale i jednostajna metoda, przy odpowiednio ustosunkowanych rozmiarach każdego podręcznika do ogólnego planu, jest warunkiem, o którym wydawnictwo nie zapomni. — Praca p. Dygasińskiego stanowi wstęp całego wydawnictwa i zamknie się w 10-iu zeszytach, które ukazywać się będą w odstępach tygodniowych. Potém wyjdą w ten sam zeszytowy sposób: Gramatyka polska, Stylistyka, Literatura, Historya powszechna i Literatura powszechna, Historya cywilizacyi, Sztuki, Estetyka, Językoznawstwo, Przyrodoznawstwo, Matematyka i t. d.— Cena Zeszytu (str. 24) wynosi w Warszawie kop. 10, na prowincyi kop. 12.

„Prace filologiczne" wydawane p. J. Baudouina de Courtenay' J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego—z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Mianowskiego. T. II, zesz. III-ci (Warsz. 1888) str. 599—881 zawiera rozprawy następujące: Ant. Kalina: 1) Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiej (c. d.); 2) Ant. Kryński: „Glossy w dziele Baltazara Opecia z r. 1522 p. n. „Żywot Pana Jezu Krysta; 3) L. Malinowski: *a*) „Dyalektyczne wtórne przedłużenie—on na an w języku polskim; *b*) Przyrostki pochodne—nisty,—cik; 4) A. A. Kryński: „Przyrostki pochodne—eństwo,—armia; 5) Słowiańskie ch—indoeur. *k*. Daléj idą rozbiory ważniejszych dzieł polskich i obcych z dziedziny językoznawstwa, napisane przez J. Bystronia, A. A. Kryńskiego;— potém dwa studya, poświęcone rozbiorowi działalności naukowéj zmarłych 2-óch młodych lingwistów: ś. p. Jana Hanusza, p. A. A. Kryńskiego i ś. p. Mikołaja Kruszewskiego przez Baudouina.

Z zapomogi kasy im. Mianowskiego wyszedł I-szy tom historyi czeskiéj p. tyt. „Rys dziejów czeskich" skreślił według źródeł Justyn Feliks Gajsler, T. I, Warsz. 1888, str. 281. Z mapą Czech w XV-ém stuleciu. Książka p. G. nie świadczy, żeby autor rachował się z zasadami i metodą krytyki badań historycznych, bo nawet w rzeczach elementarnych spotykamy tu wielkie zaniedbanie. Przytém nadmieniamy, że zarząd kasy im. Mianowskiego posunął wyrozumiałość dla „Rysu dziejów czeskich" do niezwykłych granic, bo książka ta nastręcza na każdéj karcie wiele zarzutów nie tylko pod względem naukowym, ale i stylistycznym, literackim. P. G. umie np. tak pisać: „Stosując się do powszechnego w podręcznikach dziejowych (?) zwyczaju, uważaliśmy (!) za stosowne uczynić o Czechach krótką wzmiankę geograficzną, którąby nie obarczając pamięci czytelnika, w ogólnych i przybliżonych nieco (?) zarysach, wytworzyć mogła przelotny na kraj pobratymczy widok." (Początek wstępu).

W tłómaczeniu dr. Jana Banzemera wyszedł I-szy zeszyt 3-go tomu dzieła prof. ekonomii w uniwersytecie lipskim, Wilhelma Roschera, którego pierwsze dwa tomy, obejmujące: „Zasady ekonomii narodowéj“ i „Naukę ekonomii rolnictwa i płodów ubocznych“ —już dawniéj wydane zostały. P. Banzemer, znany pisarz na polu nauk ekonomicznych, dokonał téj pracy zgodnie z postanowieniem pierwszgo zjazdu prawników i ekonomistów polskich w Krakowie, z ostatniego 4-go wydania niemieckiego, pod tyt.: „Nauka ekonomii, handlu i przemysłu dla poświęcających się téj nauce i trudniących się stosowaniem jéj do spraw życia społecznego.“ (Cena 5 rs. lub w zeszytach: przy I-szym 2 ruble, przy odbiorze 4-ech następnych po 1 rublu; wreszcie szósty i ostatni dostarczony będzie prenumeratorom bezpłatnie).

Nakładem księgarni T. Paprockiego ukazał się przekład niemieckiego dziełka d-ra Maurycego Meyera p. t.: „Główne kierunki najnowszéj ekonomii politycznéj, na podstawie historycznéj, krytycznie przedstawione.“ (Warszawa, 1889) Autor podzielił rzecz tę na trzy główne ustępy: „Adam Smith i szkoła wolnego handlu“— „Socyalizm właściwy, czyli krańcowy‘ i nakoniec „Szkoła historyczno-etyczna.“ Wykład jest w ogóle przystępny. Jako treściwy podręcznik, nie przeładowany zbytecznemi szczegółami, a jednak dający dokładny obraz rozwoju téj nauki, dziełko Meyera zasługiwało na przekład, którego dokonali pp. Feliks Jeziorański i Józef Piasecki. Żałujemy tylko, że sz. tłómacze nie dołożyli więcéj staranności pod względem czystości języka i poprawności stylu, bo to obniża w wysokim stopniu pożytek dobrego dzieła. Czytamy na samym początku: „Odkąd istnieje nauka ekonomii politycznéj, zaledwie (?) znaleźć można przeciąg czasu, w którymby w Niemczech wrzała tak gwałtowna walka zasad oraz interesów, jak w chwili teraźniejszéj, jakkolwiek zbywa (zapewne: brakuje) w niéj jeszcze nazbyt dotkliwie na dobroczynném ukształtowaniu się stosunków społecznych.“ (W Niemczech mamy przecie bardzo wyraźne ukształtowanie stosunków społecznych, a sporów teoretycznych w literaturze nie można uważać za niedostatek organizacyi stosunków społecznych). „Nie tylko nadzwyczajne przygnębienie poziomu gospodarstwa wszechświatowego, spowodowanego przez kryzys bezprzykładną“—czytamy daléj—i opuszczamy ręce w obec coraz nowszego sfinska. Takie tłómaczenia nie zbogacą literatury naszéj, ale odstręczą tylko czytelników i zrażą nakładzców!

W Poznaniu wyszło jako odbitka z „Kuryera Poznańskiego“ studyum p. J. K. Maćkowskiego p. tyt. „Moralność ludności polskiéj w zaborze pruskim w świetle statystyki.“ Pozn. 1889, str. 19. P. Maćk. wykazuje nieracyonalność wniosków uogólniających wielkie cyfry bez uwzględnienia różnicy szczegółów i przeprowadza

w sposób zwycięzki argumentacyą, dowodzącą, że moralność ludności polskiéj w danych warunkach jest wyższa od moralności ludności niemieckiéj.

Nakładem ks. Sanguszki wyszedł 2-gi tom ważnego nader dla badań przyszłości naszéj dzieła p. t. „Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków w Sławucie“ przez Z. L. Radzimińskiego i B. Gorczaka. Z 6 tabl. litogr. pieczęci. 1284—1506. Lwów, 1888, str. XIV przedmowy, (objaśniającéj osnowę wydawnictwa i odpowiadającéj na uwagi, wywołane w prasie przez t. 1-szy), XV—XXXVI Spisu rzeczy, oraz dokumentów str. 1—303 tudzież indeksów osób i miejscowości od 307—377.

Rozporządzenie Papieża, wskutek którego historycy mogą od kilku lat korzystać z niedostępnego dawniéj dla nikogo Archiwum watykańskiego, było faktem pierwszorzędnéj wagi nie tylko z tego powodu, że stało się przykładem dla wielu rządów, otwierających także archiwa swoje dla badań historycznych na polu dziejów nowszych; ale, że wydało już bogate owoce w znakomitych publikacyach, ogłoszonych drukiem a zawierających nieopracowane skarby w autentycznych dokumentach i rękopisach jaknajcenniejszych. Wśród tych publikacyi, które nauka zawdzięcza Leonowi XIII-mu, zasługują według relacyi korespondenta rzymskiego, „Wieku“ (Nr. 286-y z dn. 24 grudnia 1888-o r.) na pilniejszą uwagę:

1) „Regestum Clementis Papae V.“ Rzym 1885—1888. T-ów 7-em dotychczas. Dzieło to zawiera blizko 11,000 oryginalnych dokumentów, które dotyczą wyłącznie czasów Avignonu od r. 1305—1314 i otwierają przed okiem historyka całkiem nieznane i rozległe wiadomości o owych niepewnych, zagadkowych, a w wielu punktach całkiem niewyjaśnionych wypadkach. Układ tego wydawnictwa jest dziełem członków zgromadzenia Benedyktynów, którzy wywiązali się z mozolnego zadania z całą ścisłością naukową. Nazwiska tych sumiennych pracowników, należących do zakonu na Monte Cassino, są: historyk don Luigi Tosti; znany komentator Dantego, Palmieri; francuz. Caplet; niemiec, Friess; wreszcie dwaj morawianie: Sarkandar i Stastny.

2) Obecnie znajduje się pod prasą: „Regestum Leonis Papae X“ (1517—1521), rozpoczęte przed czterema laty przez archiwistę, kardynała Hergenröthera. Dotąd ukazało się sześć tomów, zawierających przeszło 13 tysięcy dokumentów.

3) „Chronicon Siculum“. Publikacya ta, podjęta z inicyatywy „Towarzystwa historyków ojczystych“ w Neapolu, ustępuje wprawdzie poprzednim co do rozmiarów i doniosłości, nie mniéj wszakże jako pełna kronika dziejów Joanny I Andegaweńskiéj i Karola Durazzo, ma ważne znaczenie z tego względu, że jest jedynym współczesnym dokumentem z owéj ciemnéj epoki.

4) „Regesta Honorii Papae III“, wydane po raz pierwszy przez ks. Pietro Pressutti. Dzieło to obejmuje bardzo ważną epokę (1216—1227), ale sposób uporządkowania dokumentów i komentarze wydawcy nie dorównywają publikacyi wymienionéj na czele niniejszéj wiadomości.

Oprócz tego korzystają z Archiwum watykańskiego „Monumenta Vaticana Hungariae“, ukazujące się w Peszcie pod kierunkiem Msgr. Fraknoy, daléj wydawnictwa zakreślone na wielką skalę, prowadzone za sprawą Instytutu Historycznego w Wiedniu, Akademii Umiejętności w Krakowie, oraz z inicyatywy rządów w Petersburgu, Londynie, Berlinie i in.

W lipsku wyszedł 9-ty tom „Historyi powszechnéj“ Leopolda Rankego —w 2 ch częściach, zawierający oprócz tekstu dokładny regestr do wszystkich 9-iu tomów „Historyi powsz.“ L. Ranke'go. Tom ten zasługuje z tego powodu na uwagę jak najszerszą, że prócz zamknięcia historyi wieków średnich w 1 części, obejmuje w części 2-éj treściwy pogląd L. Ranke'go na rozwój historyczny dziejów najnowszych, pogląd zawarty w 19 odczytach, które Ranke miał w r. 1854 dla króla bawarskiego, Maksymiliana II-go podczas swego pobytu wakacyjnego w willi monarszéj w Berhtesgaden (od 25-o września do 13-o paźdz. 1854-o). W obszernéj przedmowie (str. XXVI) wydawca prof. Dove zebrał z notatek Rankego poglądy jego na istotę naukowego zadania historyi, o czém niehistorycy i historyozofowie, poczynając od Hegla, tyle mrzonek porozsiewali. W 1-éj prelekcyi mianéj w Berchtesgaden zastanawia się Ranke nad kwestyami zasadniczemi, rozbierając takie zagadnienia: a) Jak należy rozumieć w historyi znaczenie pojęcia „postęp“? b) Jakie znaczenie mają w historyi tak zwane „idee przewodniczące“? Dzieło L. Ranke'go zawiera tyle aktualnego interesu, że zasługuje na rozbiór jak najszczegółowszy, zwłaszcza, że obok wartości naukowéj, rzuca dużo światła na główne prądy najnowszéj polityki prusko-niemieckiéj.

„Trzy legendy z dawnych lat,“ według obcych podań opowiedziane przez Adama Pługa, illustrowane przez E. M. Andriollego. Wydane przez Paprockiego i S-kę w Warszawie 1888 r. Adam Pług, wziąwszy myśl z Anderson'a, Dickens'a i Goppe'go, napisał wierszem trzy śliczne, głęboką myślą chrześciańską przemknione legendy: „Matka,“ „Siostra Aniela“ i „Niezabudka,“ odtwarzające w widzeniu artystycznem: miłość macierzyńską, poddającą się woli bożéj — upadek i pokutę, uwieńczoną zgładzeniem winy—nareszcie moc miłosierdzia, kruszącą najtwardsze natury. Fantastyczność jest tutaj tylko przejrzystą powłoką, a płynny wiersz Pługa jest powszechnie znany. Andriolli, którego ołówek znakomicie odtwarza sceny niezwykłe historyczne i fantastyczne, ozdobił prace Pługa kilku rysunkami, pysznie wykonanemi przez Gorazdowskiego i Brend'Amour'a. Dzieło bie-

głego pióra i ołówka, w części drukowane niegdyś w „Kłosach,“ w części przedtém nieznane i umyślnie do tego wydania illustrowane, ukazało się obecnie w ozdobnéj książce, którą polecamy jak najgoręcéj czytelnikom polskim.

„Niwa“ pod głównym kierownictwem literackim d-ra Ant. Donimirskiego, przeobraża się od Nowego Roku z formatu książkowego na wydawnictwo w formacie arkuszowym w terminach jednak jak dawniéj dwutygodniowych, na które się wydział prassy jedynie zgodził. Wydany w połowie grudnia N-r próbny tego odświeżonego wydawnictwa, korzystnie się przedstawił przez sporą wiązkę artykułów z zakresu spraw bieżących i nie wątpimy, że na poparcie jak najszerszych kół zasługiwać potrafi.

P. t. R u c h ukazał się w handlu kalendarz encyklopedyczny, wydany staraniem „Przeglądu tygodniowego“ — a zastępujący równocześnie grudniowy miesięczny dodatek tego pisma. Kalendarz odznacza się wśród innych przez to, że pomijając zupełnie treść literacką (na co się zgadzamy), ogranicza się do informacyi pod względem danych statystycznych w rozmaitych kierunkach — i wylicza pokaźny nader szereg osób pracujących na polu piśmiennictwa krajowego. Wartość tego rodzaju wiadomości zależy nie tylko od tego, aby były zupełne; ale i od tego, aby były dokładne, pewne, o co Red. zapewne jak najsilniej się starała.

Nekrologia.

W dn. 28-go listopada 1888 r. zmarł w Krakowie ś. p. **Karol Rogawski**, znany archeolog. Ś. p. Karol urodził się 1819 r. Był on kilkakrotnie obierany posłem do sejmu we Lwowie, a w r. 1863 do rady państwa w Wiedniu. Usunąwszy się w r. 1871-ym od czynności politycznych osiadł w majątku swym Ołpinach w Galicyi i oddał się pracy nad ludem oraz bogaceniu swych pięknych zbiorów z dziedziny archeologii i sztuki. Ogłosił w dawniejszych latach rozprawy „O wykopaliskach leżajskich“ (Kraków 1856), „Wiadomość o rozkopaniu mogiły w Siedliszowicach“ (Warszawa 1860), „O zabytkach miasta Biecza i in.“ Bogate swoje zbiory z dziedziny archeologii i sztuki zapisał Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Cześć pamięci szlachetnego obywatela kraju!

Dnia 1 grudnia 1888 r. umarł w Warszawie **Jan Kassyanowicz**, profesor szkół rządowych i prywatnych. Jan Kassyanowicz urodził się w dniu 14-ym maja 1850 roku. Po ukończeniu II-go gimnazyum w Warszawie, wstąpił do Szkoły głównéj w 1868 roku na wydział przyrodniczy, który ukończył ze stopniem kandydata w 1873. W 1873 r. uzyskał stopień magistra zoologii i w tymże roku zaliczony został w poczet członków polskiego Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika we Lwowie. Jako nauczyciel nauk przyrodniczych wykładał swój przedmiot w szkołach prywatnych, a przez dwa lata ($188^2/_3$ i $188^3/_4$) i w warszawskiéj szkole realnéj. Ś. p. Jan w wykładach swoich zawsze umiał godzić dogmata wiary z wynikami najnowszych badań przyrodniczych. Przymiot to w kierowniku młodzieży niezmiernie ważny, zwłaszcza w obec miłości i poważania, jakiemi ś. p. Kassyanowicza otaczali jego uczniowie. Łagodny w obejściu, nie tracił nigdy słodkiego humoru, chociaż nosząc w piersi zadatek nieuleczalnéj choroby, jako przyrodnik wiedział, iż dni jego są policzone. Po kilkodniowéj chorobie rozstał się z tym światem, pozostawiając szczery żal w sercach swoich uczniów i wszystkich tych, którzy mieli sposobność poznać go jako wybornego kierownika młodzieży i zacnego człowieka. Cześć jego pamięci!

W dniu 4-ym grudnia 1888-o r. umarł w Warszawie ś. p. **Józef Brzowski**, inspektor Instytutu Muzycznego od czasu jego za-

łożenia. Brzowski urodził się w Warszawie 1805 roku i wcześnie dał się poznać z licznych kompozycyj muzycznych. Oprócz całego szeregu różnych śpiewów i tańców, napisał trzy wielkie opery: „Requiem," „Regent Flandryi" i „Hr. Weseliński," do słów L. A. Dmuszewskiego, przedstawioną po pierwszy raz 1833 r. Ostatnia ta opera komiczna była grana w Warszawie w roku 1833. W piśmiennictwie imię Brzowskiego jest znane z opisu podróży artystycznéj po Europie (z r. 1837), drukowanéj w „Bibliotece Warszawskiéj" 1850 r. T. IV-y pod tyt. „Ustęp z wrażeń podróży artystycznéj (str. 249—276). Jest to opis pobytu w Paryżu, zawierający ciekawe wspomnienie o Chopinie w owéj chwili. W roku 1886 świat muzyczny warszawski uczcił stosownym obchodem 25 lat pracy Brzowskiego na stanowisku inspektora Instytutu Muzycznego. Cześć jego pamięci!

† Dnia 25-o grudnia 1888-o r. zmarł w Warszawie ś. p. **Teofil Nowosielski**, użyteczny pracownik na polu literatury pedagogicznéj, przeżywszy lat 76. Ś. p. Teofil urodził się w Radomsku w r. 1812. Nauki szkolne pobierał w Kaliszu, a jako młodzieniec 23-letni osiadł w Warszawie w r. 1835. Tu zbliżył się do Jachowicza, i poza pracą biurową w b. komisyi skarbu całém sercem oddał się literaturze pedagogicznéj. Gdy za inicyatywą ś. p. Teofila Janikowskiego Towarzystwo Dobroczynności postanowiło założyć ochrony dla ubogich dzieci w Warszawie, Jachowicz wskazał Nowosielskiego, jako najlepszego kandydata na kierownika pierwszéj wzorowéj ochrony. Ponieważ Nowosielski władał biegle językami nowożytnemi, polecono mu najpierw zwiedzić ochrony za granicą. W tym celu odbył Nowosielski w r. 1838 podróż i zwiedził istniejące wówczas w Niemczech ochrony. W Dreźnie poznał się z Fröblem, a w Pradze Czeskiéj zwrócił uwagę na metodę prowadzenia ochron przez Svobodę, którą uznał za najlepszą. Po powrocie do kraju przełożył z czeskiego przewodnik o prowadzeniu ochron, napisany przez Svobodę. W r. 1839 otworzono pierwszą wzorową ochronę w gmachu Warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, któréj N. był pierwszym kierownikiem. Gdy przygotował nauczycieli, którzy mogli go zastąpić, usunął się z tego stanowiska i powrócił do pracy biurowéj. Nie opuścił jednak nigdy myśli kształcenia i umoralniania młodzieży, pracując przez całe życie aż do schyłku dni swoich dla dzieci na polu literackiém. Nowosielski napisał mnóztwo książek i książeczek, które czyto oryginalne czy tłomaczone z francuzkiego i angielskiego zawsze miały formę staranną, a myśl uczciwą. Nie możemy wyliczać tutaj licznych prac jego wyłącznie w tym kierunku prozą i wierszem, powiemy tylko, iż straciliśmy jednego z najstarszych i najużyteczniejszych na tém polu pisarzy, który zasłużył sobie na miłość młodzieży, a szacunek i dobre imię u wszystkich. Cześć jego pamięci!

ZARPOSZENIE DO PRZEDPŁATY.

NA ROK

1889.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpoczyna z rokiem 1889-ym czterdziesty ósmy rok swojéj działalności naukowo-literackiéj, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10-arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiéj“ o utrzymanie peryodyczności naukowéj w literaturze polskiéj; rozbiór spraw bieżących, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszéj cywilizacyi i oświaty narodowéj we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknéj, zajmujących nietylko fantazyą, ale i umysł — to są ideały, które Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“ od lat 48-iu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowéj w jéj przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmacnianie ogniw tradycyi narodowéj przy świetle postępu, nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę równie i na interesa materyalne w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym poniekąd węzłem z osobami poważniéj poglądającymi na literaturę ojczystą, otwierając przez to inteligencyi krajowéj pole do pracy umysłowéj i nastręczając jéj sposobność szerzenia światła naukowego, jakie z postępem powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Bibioteka Warszawska,“ nietylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystéj coraz nowych zapaśników.

Pisma peryodyczne, trzymając pośrednie miejsce między literaturą książkową a dziennikarską, stanowią dzisiaj coraz bardziéj potrzebne organa zasad i dążności, przekonań i teoryi, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych przekonań we wszystkich kierunkach

życia ludzkiego. Zadanie to pragniemy spełniać w następujących działach:

I. Z dziedziny **filozofii**: rozbiór nietylko systemów ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.
II. W zakresie **historyi i geografii**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.
III. Z nauki **statystyki**, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.
IV. **Nauki przyrodzone** w ich rozwoju i praktycznem zastosowaniu.
V. **Pedagogia i filologia** wraz z **lingwistyką**, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.
VI. **Literatura i sztuki piękne**: poezya i proza (powieść, dramat, poemata).
VII. Korespondencye w szczegółowych kwestyach naukowych.
VIII. Sprawozdania i **krytyki** z piśmiennictwa polskiego i obcego.
IX. Kronika z kraju i z zagranicy.
X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych artystycznych i ekonomicznych.
XI. Wiadomości bibliograficzne.
XII. Nekrologia.
XIII. Ogłoszenia.

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumerata „Biblioteki Warszawskiéj“ na rok 1889-y wynosi:
W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs.	10	kop. —
Półrocznie . . .	„	5	„ —

w Warszawie zaś:

Rocznie	„	9	„ —
Półrocznie . . .	„	4	„ 50
Kwartalnie . . .	„	2	„ 25

Upraszamy o prenumeratę wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, Nowy - Świat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiéj akuratną ekspedycyą pisma. Równocześnie prosimy o **wczesne** nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiéj“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające	1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz	rs.	5
„ „	1/2 stronicy „ „	„	3
„ „	1/4 „ „ „	„	2

Redakcya.

ENCYKLOPEDYA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcyą J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4. Wyszedł z druku Zeszyt 5-ty tomu IV-go.

Skład główny i ekspedycya „Encyklopedyi Wychowawczéj" znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

Przegląd katolicki.

Nr. 52-gi z dn. 27-go grudnia 1888-go r. zawiera artykuły następujące: Humanitarność—nowoczesne pogaństwo (dok.).—Żywot Leona XIII. Zakończenie kulturkampfu. Leon XIII i Włochy. List do Kardynała Rampolli, nowego sekretarza stanu. Zakończenie.— ***Notatki z prassy peryodycznéj.*** Kwestya wyradzania się naszego i pożywienia ludu. — Przykład dobry. — Praca na chléb i oświata. — P. K. R. Żywicki. — List ze wsi. — Gazeta Świąteczna.—Kuryerkowe zapisy.— ***Kronika kościelna krajowa.*** Dary złożone JEks. Arcybiskupowi Warszawskiemu z powodu dwudziestopięciolecia Jego biskupstwa. — Śp. Maryanna Gołębiewska. — Zabytek z Płocka w Dreźnie. — Z wielkich Łuk. — Ofiara dla kościoła w Elizabetgradzie. — ***Kronika kościelna zagraniczna.*** Prusy. Dawny klasztor Cystersów w Oliwie. — Włochy 1. Ustawa gwarancyjna nie ma znaczenia. — 2. Szkoły włoskie na Wschodzie. — ***Bibliografja.*** Nowy upominek dla parafian, przez ks. A. Pleszczyńskiego. — Odpowiedzi Redakcyi. — Treść pism peryodycznych. — Ogłoszenia.

KRAJ.

Treść N-ru 50-go „Kraju" z d. 21-go grudnia. Artykuł wstępny: W obronie pisma. Listy otwarte: o ujednostajnieniu pisowni: Adama Ant. Kryńskiego, Jana Karłowicza i A. G. Bema. Artykuły i korespondencye: Kazimierz Grocholski, p. Notę. Ogólne zgromadzenie Słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności w Petersburgu. Felieton. List do czytelnika,

p. wz. Poszukuje się właściciela, p. ik. Dobrowolni cenzorowie, uderzenie w stół, odkrycie niepolityczne, p. gh. Z albumu galicyanina, p. Kabe. Z teki humorystycznéj. Kuryer prawny. Kuryer kościelny. Kuryer szkolny. Rozmaitości, Ekonomista. Z chwili obecnéj, p. W. Ż. Gorzelnictwo i cukrownictwo w r. 1887, p. J. Law. Tydzień giełdowy, p. Ad. Mł. Z rynków towarowych p. In. Doniesienia. Ogłoszenia.

Przegląd literacki. Niewolnictwo i rozruchy zanzibarskie, p. S. S. Rogozińskiego. Miłość, wiersz St. Rossowskiego. Ta trzecia. (Z pamiętnika malarza), p. Henryka Sienkiewicza (d. c.). Kilka słów o szczepieniach ochronnych, p. d-ra Maryana Jakowskiego. Nowoczesny romans psychologiczny we Francyi, p. Agicolę (dok.). Kula u nogi. Jeske Choiński T. „Z kulą u nogi," p. L. Straszewicza. Kronika literacka i artystyczna. Nowe książki otrzymane w redakcyi „Kraju." Treść pism. Bibliografia tygodniowa.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

KOLĘDA POZNAŃSKA.

PRZEZ

Autorkę „*Opowiadań.*“

Gospodarzu! nie mów bracie,
Że w twéj chacie nic nie macie,
Że cię zmorzy głód!
Choć chybiły w polu plony,
Choć grad przeszedł przez zagony,
Choć dobytek padł w jesieni,
Choć się ruń twa nie zieleni,
Nie czczy był twój trud!...
Spojrzyj jeno! a u góry,
Anioł zatknął między chmury,
Jasną gwiazdkę tam.
Bóg się rodzi, moc truchleje,
Wskrześże w duszy swéj nadzieję!
A w twéj chacie, smutny bracie,
Wiarę macie, Miłość macie,
Ja kolędę dam.
Héj, opłatek! héj, kolęda!
To rodzinna nasza grzęda!...
Kto na niéj chce siać?
Gwiazdka świeci tam, u góry,
Na zagonie człek kultury,
Precz za skibą—skibę porze...
Porze serca... Ty wiesz, Boże,
Pług ten rwie nać mać...
Słowiańszczyzny to źrenica!
W oku Słowian łza zaświeca.
Oj, coś jest w téj łzie!
Ona gorzka, jadowita,
Gwiazdka długo coś w niéj czyta....
Krzyżackiego człowiek pługa,
Patrzy,—gwiazdka dziwnie mruga,—
Niepokoi się.

Matko Boska, Częstochowska!
Duszę tłucze ciężka troska,
Serce bólem drga. —
I Matula z Jasnéj Góry
Skinie palcem—a wnet w chmury,
Ot, skowronek leci, leci,
Na swych piórkach, skargę dzieci
Wypisaną ma.

W dziobku jakaś cierń koląca,
Z grudką ziemi, którą strąca
Ten krzyżacki pług.
Ptaszę wsuwa się w obłoki,
Przefrunęło strop wysoki,
A tam skrzydła mu ustały,
Gdzie z dyamentów tron wspaniały,
I na tronie Bóg.
U stóp tronu ptaszę dzwoni:
„Cierń z poznańskiéj niosę skroni,
„Na mych piórkach wieść
„I tę grudkę z Polan ziemi,
„Pod pługami krzyżackiemi,
„To Matula z Częstochowy,
„Przed majestat Twój tronowy,
„Kazała mi nieść.“

*

I zaskrzypi śnieg pod nogą:
Ah! drogą.
Od granicy idziesz smutna,
Niebogo!
Ona z dzieckiem,—to tułacze,
Więc płacze!
Kiedyż, bo was ach! z nad Warty,
Zobaczę?
Oj, niosę ja do Słowiany,
Serc rany.
Człek na wilię z własnéj ziemi
Wygnany.
Oj, ty dziecię bez matuli,
Oj, luli!
A Słowianin na opłatek
Przytuli,
Cicho, synku! już ognisko,
Już blisko,
Pod słowiańską hen, tam strzechą,
Pod nizką.

* *

Rozesłali pod obrusem już siano,
A kołacze wypieczone stawiano.
W żłobie leży, któż pobieży z kolędą?
Skrzeczy sroka,—pewnie goście przybędą.
Zakrakała czarna wrona na sośnie,
Pierwsza gwiazdka na niebiesiech już rośnie,
Rośnie, rośnie, w cudnym blasku przyświeca,
Héj, czyja to, héj za Wartą granica?

* * *

Gwiazdka świecić będzie,
Dzisiaj Bóg się rodzi,
A my po kolędzie
Idziem starzy, młodzi,
Bóg się rodzi, moc truchleje,
Ty z nad Warty, miéj nadzieję!
A Słowianin sław być musi!...
Wielkopolskę któż tam prusi?...

* * * *

— Puk! puk!—Kto tam?—Ja, z daleka...
Marzną łzy... sztywna powieka... —
— Szczęście! w porę gość przybywa,
Jakaś smutna, nieszczęśliwa!
Chodź! zasiędziesz z nami społem,
Do wigilii, tu, za stołem.
Spożyjemy Boże dary,
Jak raz, będzie nas do pary.
Wpierw opłatek się przełamie,
W Imię Ojca, Syna znamię.
A!... tyś z dzieckiem? pewnie wdowa?
Niech się dziecię zdrowo chowa! —
— Tak, jam wdowa, to sierota!
Zamknęli nam nasze wrota,
Zakupili, wygonili,
A bez dachu my w téj chwili.
Ponoć Matka z Jasnéj Góry,
Skowronka wysłała w chmury,
Boleściwie zaskarżyła,
Że skrzywdziła nas ich siła.
Lecz poseł ptasi nie wraca, —
A tam rośnie siły praca. —
— Sieroteńki, wy, niebogie,
Są słowiańskie dachy mnogie,
W Lechii, w Czechii i na Rusi,
Gdzie nie sięga rygor prusi.

Zanim dach swój odzyskacie,
Odpocznijcie w bratniéj chacie!
Z tą dzieciną... zwyczaj stary...
Jedenaście... Szukać pary!

* * *
* * *

Za wodami, za lasami,
Borykają się Słowianie z Prusakami.
Wyszedł ojciec, wyszła matka...
Czyż wygonią wszystkie dusze do ostatka?
Boli, boli! w téj niedoli,—
Wielkopolan z pod kultury, kto wyzwoli?
Wzięto ziemię, wzięto życie,
Wielkopolan i Szlązaków nie zniemczycie!

*
* * *
* * *

— Puk! puk! puk! — A kto tam?—
— Ptaszyna,
Z niebiosów kolęda:
Nowina!
Otwórzcie na rożcież
Okienko!
Przyjmijcie ptaszynę
Maleńką!
Ptak obcy wlazł w gniazdo
I siedzi,
Muszą go odganiać
Sąsiedzi.
Wlazł kurek na murek
I pieje;
Niech się nikt z kolędy
Nie śmieje!

* * * *
* * *

— Pochwalony!— Wróciłeś? jak się masz ptaszyno!
Otóż jest i dwunasty! tyś para z dzieciną!
Dwanaścioro do wilii przy stole zasiędzie.
I cóż tam słychać w niebie o naszéj kolędzie?
Mądre ptaszę,
Z roli nasze,
Skrzydełkiem zatrzęsie,
Coś zakwili,
A po chwili,
Zadzwoni w tym sensie:

— Trudy, prace nie marnieją,
Użyzniają rolę,
A kto rozstał się z nadzieją,
Popadnie w niedolę;
Kto opuścił wątpiąc, ręce,
I jeno wciąż szlocha,
Tego żale są dziecięce,
Ten słabością kocha.
Pocóż te rozpacze w słowie?
Smieszności to słudzy...
Wielkopolan niech się dowie,
Kto brat a kto cudzy?
A ten mu brat, czyje łono
Braterstwem zadrgało,
A ten mu brat, kto z obroną
Wystąpi zań śmiało.
A ten mu brat, kto pamięta,
Że gwałt powstrzymały:
Wielkopolan ziemia święta,
I z naszych ciał wały!
A ten mu brat, kto zawoła:
„Nie! brat mój nie zginie!“
Ten brat, kto szkód nie chce zgoła,
W słowiańskiéj dziedzinie.
A ten mu brat, kto sam padnie
W braterskie uściski,
A ten mu brat, kto nie zdradnie
Liczy z spójni zyski.
A ten mu brat, kto go pyta:
„Bracie, co cię boli?“
A ten mu brat, w kim przeczyta
Współczucie niedoli.
A ten mu brat, kto ma wstręty
Do szczucia na braci,
Ten brat, kto rdzeń Słowian święty
W sobie nie zatraci.
Ten brat, który da otuchę,
Kto braciom zawierzy,
Brat, kto ucho ma nie głuche,
I piersi rycerzy.

Pocóż te rozpacze w słowie?
Śmieszności to słudzy.
Wielkopolan niech się dowie,
Kto brat a kto cudzy!
Jak się dowie... zobaczycie!...
Zhardzieje, choć w biedzie.

Kto dlań bratem,—da mu życie,
Ten się nie zawiedzie!
Rozmówcież się wszyscy razem,
Od brzegu do brzegu!
I tak za wszech serc rozkazem,
Stańcie do szeregu!
Wszak słowańskie liczne plemię,
Jak gwiazdy na niebie;
A ten nie brat, który brzemię
Odrzuci od siebie!
Niech brat będzie raz poznany!...
Hejże! co u kata!
Czyliż pomiędzy Słowiany,
Nie odnajdzie brata?...
Hańba temu, który braci,
Nie odczuje bólu!
Ten w rodzinie bractwo traci,
Jest kiścią kąkolu,
Hańba temu, kto się cieszy,
Z poniżenia brata!
Ten w braterstwo Słowian rzeszy
Nigdy nie zeswata.
Hańba temu, kto wydyma
Pierś swą zimną pychą!
Rycerskości ten już niéma,
A ma duszę lichą.
Hańba temu, który w próżni
Szuka czegoś! Nie rozróżni,
Co chwała, co wstyd.
Ten krótkowidz, ten niezdara,
Ten nie człowiek, ten jest mara,
Ten do cudzych, nie z Słowiany,
Niechaj będzie zaliczany!
Bo to Niemiec! Żyd!

* * * * * * * *

Lulajże, Jezuniu, lulajże, lulaj!
A ty go, Matuniu, w płaczu utulaj!
— Zkąd wziąłeś, skowronku, dziwne piosenki?
— Dał mi je, dał mi je, Jezus maleńki. —
— Zkądże wiesz, jak trzeba, a jak nie trzeba? —
— W czas mrozu, frunąłem w górę, do nieba. —
W kolędzie, niech będzie ta ziemi grudka!
Z nad Warty, z nad Warty, drobna, malutka;

Skowronek ją nosił, aż na sąd Boży...
A kogo Bóg stworzy, tego nie zmorzy.
W kolendzie, niech będzie serce plemienne!
A wtedy, ot, kłosy na niwie plenne.
W kolędzie, niech będzie, „niemcy zuchwałe!“—

Zagrajcież multanki Bogu na chwałę!
Lulajże Jezuniu, lulajże, lulaj!
A ty go, Matuniu, w płaczu utulaj!

KILKA SZCZEGÓŁÓW
do życiorysu Szymona Starowolskiego.

PRZEZ

Józefa Szujborowskiego.

Szymon Starowolski był u nas, jak wiadomo, pierwszym, który zbierał szczegóły do życiorysów pisarzów polskich, i przez to dał podstawę do historyi literatury, na jaką dopiero wiek XIX-ty się zdobył. Dzieło jego „Hecatontas sive centum Poloniae scriptorum elogia et vitae“ ukazało się po raz pierwszy w r. 1625 i mimo zapowiedzianą na tytule setkę, podaje w drugiem wydaniu (1627) wiadomość o 230 pisarzach polskich. Zebranie choćby szczupłych szczegółów do życiorysów stu pisarzów, wymagało w owe czasy niemałych zabiegów.

Już sama myśl utworzenia jakiejkolwiek całości z życiorysów ludzi zasłużonych na polu pracy naukowéj, stanowi nie małą zasługę Starowolskiego. Przed nim nikt nie troszczył się o to, zkąd się wziął, gdzie żył i spoczął po trudach człowiek, którego prace były objawem umysłowego życia narodu.

Zdawałoby się, że po wskazaniu téj drogi przez Starowolskiego, szczegóły życia każdego wybitniejszego pisarza z następnych pokoleń będą starannie zapisywane i podawane potomności. Nie znalazł jednakże Starowolski naśladowców w najbliższym czasie, a o szczegółach życia jego samego prawie zapomniano, jak to przede mną zauważył niegdyś Janocki. Już w lat kilka po jego śmierci nie wiedziano dokładnie, kiedy umarł. Pruszcz nadmienia w „Fortecy Duchownéj,“ wydanéj w r. 1662, że Starowolski zostawił 58 dzieł, a umarł w r. 1658. Snadź nie przeczytał Pruszcz całego tytułu mowy wypowiedzianéj na pogrzebie Starowolskiego przez reformata Franciszka Wolskiego, a widząc rok wydania téj mowy 1658 sądził, że był on zarówno rokiem śmierci Starowolskiego. W tytule téj mowy, ogłoszonéj pod napisem „Supplement funeralnego apparatu“

powiedziano, że pogrzebiony był Starowolski 6 kwietnia 1656. Tak więc Pruszcz pierwszy dopuścił się pomyłki w wyrażeniu roku śmierci współczesnego sobie Starowolskiego. A ponieważ nie masz błędu, któryby prędzéj czy późniéj nie zaprowadził kogo na bezdroża, więc mylne świadectwo Pruszcza uwiodło sumiennego Janockiego, że mylny także podał rok śmierci w „Nachrichten von varen polnischen Büchern I, str. 59, co sprostował niebawem Andrzej Załuski, jak przekonywają „Acta Litteraria regni Poloniae" z r. 1756 str. 99 i 100.

Drugim z współczesnych, który wspomina śmierć Starowolskiego, był Kochowski: w Klimakterach wyraża się bardzo ogólnie pod r. 1659, że około tego czasu rozstał się z tym światem Szymon Starowolski. Takie ogólne wyrażenie powinno było ostrzedz nowego wydawcę Herbarza Niesieckiego, że na nim nie można opierać poprawki Niesieckiego podającego prawdziwy rok śmierci 1656. Uczynił to jednakże Bobrowicz zamieszczając przypisek na stronie 502 tomu 8-go, w którym powiada, że Starowolski umarł nie w r. 1656, jak chce Niesiecki, ale w r. 1659, jak podaje Kochowski w Klimakterach. Prawda na ten raz pozostaje po stronie Niesieckiego, bo jest tenże w zgodzie z mówcą pogrzebowym, który ten sam jedynie prawdziwy rok podał. Na szczęście nikt z późniejszych nie poszedł ani za wskazówką Pruszcza, ani za poprawką Bobrowicza.

Gorsza sprawa z herbem Starowolskiego, bo tutaj Niesieckiego obronić nie mogę; czyniąc jednakże co mogę, będę się starał pomyłkę Niesieckiego zwalić na barki powagi, która go uwiodła.

Za życia Szymona Starowolskiego dwie rodziny były Starowolskich, z których jedna liczyła się do herbu Łodzi, druga do herbu Leliwy. Niesiecki miał do wyboru dwa herby do pomieszczenia pod nimi pana Szymona: poszedł w wyborze za świadectwem Szymonowi współczesném i zaliczył go niesłusznie do herbu Łodzi. Świadectwo to znajduje się w mowie Jana Cynerskiego, profesora akademii krakowskiéj, wydanéj w r. 1635 p. t.: „Prussia Serenissimi ac Potentissimi Vladislai IV recuperata." Mowę tę przypisał Cynerski Szymonowi Starowolskiemu; przypisanie poprzedzone jest drzeworytem umieszczonym na odwrotnéj stronie karty tytułowéj, a wyobrażającym herb Łodzia. Pod drzeworytem czytam sześciowiersz Piotra Białobrzeskiego na tenże herb, co dowodzi, że przemiana herbu nie poszła z pomyłki drzeworytnika.

Było w zwyczaju kłaść przed przypisaniem herb téj osoby, do któréj przypisanie było skierowane. Oczywiście więc Cynerski zaliczył Starowolskiego do herbu Łodzi, i nie można się dziwić, że Niesiecki poszedł za tą wskazówką. Z okoliczności wspomnianych przez Cynerskiego w przypisaniu wnosić musiał Niesiecki, że Cynerski miał pewną zażyłość ze Starowolskim, a przynajmniéj musiał go dobrze znać, bo wspomina dobrodziejstwa przez niego sobie wyświadczone. Cynerski widocznie nie troszczył się nigdy o herb swe-

go dobroczyńcy, a kiedy powziął myśl przyozdobienia przypisania herbem jego, Starowolski był już daleko od Krakowa, bo zapewne niezwłocznie po wysłuchaniu mowy Cynerskiego na akcie uniwersyteckim udał się w podróż za granicę z powierzonym swéj pieczy Aleksandrem Koniecpolskim, synem Stanisława, kasztelana krakowskiego. Mowę o Prusach odzyskanych miał Cynerski w obecności Starowolskiego 12 października 1635, a kiedy 19 października układał przypisanie, Starowolski już był wyjechał za granicę i nie można go było o herb zapytać. Wszystko to okazuje się z wspomnianego przypisania. Tak więc na domysł kazał pomieścić drzeworyt z Łodzią, którym się rzeczywiście jedna rodzina Starowolskich pieczętowała, i popełnił pomyłkę, która dla Niesieckiego, nie mogącego jéj sprawdzić stała się powagą. Wina pomyłki Niesieckiego spada przeto na Cynerskiego, jako osobistego znajomego pana Szymona. Ten sam Cynerski zapewne zwiódł także Załuskiego, twierdzącego w „Acta Litteraria regni Poloniae" r. 1756, str. 99, że Starowolski poszedł z słynnego rodu Łodziów.

Pytanie tutaj zachodzi, jakim sposobem dowieść pomyłki Cynerskiemu i komu służy prawo zadać mu kłam? Łatwo się domyśleć, że najlepszym świadkiem przeciw Cynerskiemu byłby Starowolski sam, gdybyśmy na nim zeznanie wymódz mogli. Na szczęście wpadło mi w ręce takie zeznanie i dało powód do napisania téj rozprawki. Zeznanie to znajduję w pokwitowaniu napisaném ręką Szymona Starowolskiego, które w dosłownem odpisie tak brzmi:

„Ja X. Simon Starowolski Cantor Tarnowski zeznawam tym pisaniem moim, iż odebrałem od Jego M. P. Jana Laskowskiego dzierżawce Tarnowskiego iurgieltu mnie należącego z łaski J. M. Pana y Dobrodzieia moiego Jaśnie Wielmożnego Jego M. P. Jana Zamoyskiego starosty kałuskiego i rzeczyckiego złotych polskich sześćset, a to za rok przeszły tysiąc sześćsetny czterdziesty i czwarty: na co tę moię recognicyią ręką moią własną napisaną daię. Idem qui supra X. Simon Starowolski Cant. Tarn. m. p."

Obok nazwiska wyciśnięta jest pieczątka z herbem Leliwą, i to pieczątka nie pożyczana, co niekiedy bywało, ale własna księdza Szymona, bo obok herbu widzimy litery S. S. C. T. które widocznie czytać należy: Simon Starowolski Cantor Tarnowski, jak brzmi i podpis jego. Pieczątkę tę kazał widocznie robić sam Starowolski, kiedy został kantorem tarnowskim, a kazał robić z herbem Leliwą, zastrzegając się wyraźnie, że herb Łodzia, położony niegdyś przez Cynerskiego przed przypisaniem mowy „Prussia recuperata" nie jest jego herbem. W każdym razie jeden z nich się pomylił, a nie można przypuścić, żeby się pomylił Starowolski; przyznaję, że wydarzały mu się dość często pomyłki, ale na ten raz pomyłka pewno nie po jego stronie.

Wynaleziony świeżo i ogłoszony tutaj autograf Starowolskiego, jeszcze pod jednym względem zasługuje na uwagę.

W mowie mianéj przy pogrzebie Starowolskiego, odbytym w Krakowie 6 kwietnia 1656, wynurza reformat Franciszek Wolski żale, że polacy nie bardzo są hojni na zdolnych ludzi, że męża takiego jak Starowolski, ledwie przy życiu zachowali, a nie spanoszyli. Zarzut to z dwóch miar niezasłużony: bo naprzód nie na wieleby się zdało obsypywać dostatkami człowieka, który tego nie pragnął, o którym tenże Wolski w téj saméj mowie (D verso) opowiada, że kiedy podczas jubileuszu dostał od kogoś sto złotych do ręki w kościele katedralnym, nim doszedł do ulicy Grodzkiéj, tyle rozdał, że zaledwie mu się co zostało. Powtóre dowiadujemy się z autografu, że Starowolski miał wyznaczoną roczną płacę złotych ówczesnych sześćset przez jednego tylko Jana Zamoyskiego wnuka hetmana, którego między protektorami Starowolskiego tenże Wolski wcale nie wymienia. Zapewne i od wymienionych przez Wolskiego łaskawców z próżnemi rękami nie wychodził, bo pobudzały ich do hojności świadczone niegdyś przez Starowolskiego usługi, oraz względy na naukowe jego prace. Zarzutu uczynionego przez pogrzebowego mówcę zapewneby sam Starowolski nie powtórzył, jako niezgodnego z prawdą, i tak mało licującego ze skromnością, jaką odznaczał się Starowolski, gdyż powiada o nim Wolski, że „tak dostatkami gardzić umiał, że nigdy szkatuły swojéj niepotrzebnemi nie śpiżował prowentami.“ Przymówka ks. Wolskiego jest pozbawiona podstawy, i niepotrzebnie ubliża tak współczesnym, którzy umieli cenić zasłużonego pisarza, jak i Starowolskiemu samemu, gdyż ten o panoszeniu się nigdy nie marzył. Biskup Łętowski nie byłby może powtórzył [1]) zarzutu mówcy, gdyby był znał nasz autograf, i gdyby nie był zamknął oczu na sprzeczności, w których się uwikłał mówca pogrzebowy.

Uważałem za potrzebne dotknąć tych kilku szczegółów, aby ułatwić pracę młodszym badaczom, którzyby powinni zająć się Starowolskim w tym kierunku, w jakim niegdyś Tyszyński rozpoczął badanie o nim w „Bibliotece Warszawskiéj“ na rok 1871 w tomie III i IV. Pozostaje tu jeszcze dużo do zrobienia, bo ani życia pisarza nie znamy dostatecznie, ani pism jego nie możemy się doliczyć, zwłaszcza że są poczęści bezimiennie wydane. Sam Starowolski wspomina, że wydał ich 58. Tyszyński zarzuciwszy Bentkowskiemu, że podany przez niego w tomie I str. 4—13 spis, obejmujący dzieł 47, jest niezupełny, nadmienia, że wszystkich dzieł Starowolskiego jest 64, jeśli wliczymy w ten poczet dzieło niedrukowane: „Dyaryusz oblężenia Krakowa,“ oraz trzy dzieła wzmiankowane w innych jego pismach. Tymczasem w spisie Tyszyńskiego podanym na str. 66 i 67 tomu III „Biblioteki Warszawskiéj“ z r. 1871 naliczyliśmy wszystkiego dzieł 58 i znaleźliśmy, że Tyszyński pomi-

[1]) Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich tom IV, str. 83.

nął w spisie trzy dzieła wymienione już przez Bentkowskiego, a mianowicie: 1) „Institutiones rei militares;“ 2) „Reformacya obyczajów polskich;“ 3) Breviarium juris pontificii.“ Opuszczenie to da się wytłómaczyć pośpiechem lub przeoczeniem ze strony składającego druk, bo dwa z opuszczonych dzieł rozbiera Tyszyński w dalszym ciągu swéj pracy, czém najlepiéj dowodzi, że były mu znane.

Bentkowskiemu nie można się dziwić, że nie wszystkie prace Starowolskiego wymienił, bo niektóre wydawane były bezimiennie, a za czasów Bentkowskiego jeszcze nie wiedziano czyjego były pióra. Możnaby mu tylko zrobić zarzut, że wydanie „Reformacyi obyczajów,“ przygotowane w r. 1692 przez biskupa Witwickiego, nazwał najlepszém, choć ono jest w rzeczy saméj najgorszém, gdyż dopuszczono się dowolnych zmian tekstu, jak o tém przekona się każdy, kto je porówna z wydaniami piérwotnemi, przygotowanemi przez samego Starowolskiego.

Tak w spisie Bentkowskiego, jak w wyliczeniu Tyszyńskiego nie zamieszczone dziełko, wydane bez wyrażenia autora, miejsca i roku pod tytułem: „Robak sumienia złego człowieka niebogoboynego y o zbawienie swoje niedbałego,“ w 4-ce, str. 77 i 2 rejestru. Że jest to praca Starowolskiego, przekonywa porównanie z „Reformacyą obyczajów:“ długie ustępy z „Robaka sumienia“ powtórzone są dosłownie w „Reformacyi,“ a nie można przypuszczać, żeby tak pracowity pisarz, jak Starowolski, przepisywał całe ustępy z pracy cudzéj. Było to zwyczajem Starowolskiego, że poprzednie swoje pisma opracowywał powtórnie i rozszerzał. Podobnie postąpił i z „Robakiem sumienia,“ i dlatego wątpliwości być nie może, że i to pismo wyszło z pod jego pióra.

Znacząca bardzo różnica między „Robakiem sumienia“ a „Reformacyą obyczajów“ przedstawia się oku w sposobie opracowania. W Robaku, wydanym zapewne znacznie wcześniéj, ledwie na kilku miejscach dopatrzy łaciny; w „Reformacyi obyczajów“ przeciwnie mnóstwo jest miejsc podanych w łacińskim języku. Widać ztąd, że Starowolski nagiął się pod koniec życia do upowszechniającego się zwyczaju, i w powtórném opracowaniu daje miarę postępu, jaki uczyniło zepsucie smaku od czasu wydania Robaka do pojawienia się Reformacyi obyczajów.

NERWOWOŚĆ I WYCHOWANIE.

przez

Wł. Dr. Chodechiego.

Die Nervosität und Erziehung von dr. C. Pelmann. Berlin 1888.

Skarga na upadek siły nerwowéj, na rozwielmożniające się choroby umysłowe, na mnożące się samobójstwa brzmi głosem bardzo doniosłym w dzisiejszéj literaturze peryodycznéj. Najcelniejsi badacze, jak Krafft-Ebing, Beard, Möbius poświęcają swe pióro temu przedmiotowi.

Przez nerwowość, „rozdrażnienie nerwowe," rozumiemy wrażliwość chorobliwą systemu nerwowego. Jest to bowiem stan, w którym system nerwowy pod wpływem całego szeregu szkodliwych okoliczności utracił dawną sile i równowagę. Wrażenia zewnętrzne, które dawniéj przechodziły bez śladu, zostawiają po sobie ślady i reakcye, nieodpowiadające sile danego bodźca. Oddziaływanie na bodźce zewnętrzne jest zbyt silném, zużywa bowiem za wiele siły nerwowéj, która też w końcu zupełnie się wyczerpuje.

Pierwszorzędni uczeni dawno już dowodzili, że istnieje stosunek przyczyny i skutku między chorobami umysłowemi a wzrostem kultury. Wszyscy podróżnicy bowiem jednogłośnie świadczą, że u ludów natury chorób umysłowych nie spotykali, a jeżeli się zdarzył jeden jaki wypadek, to bardzo rzadko. Uczą nas tego i dzieje niewolników Ameryki Północnéj. Z szerzącém się światłem cywilizacyi zaczynają i tutaj choroby nerwowe i umysłowe zabierać liczne swoje ofiary a rozdrażnienie nerwowe przybiera we wszystkich warstwach ludności Ameryki prawie zastraszające rozmiary.

Rozdrażnienie nerwowe rozwija się zwykle powoli i to pod wpływem dłużéj działających szkodliwych czynników, wyjątkowo tylko powstaje nerwowość pod wpływem jednego silnego wstrząśnienia psychicznego.

Do takich czynników, działających gwałtowniéj, należą: wypadki na drogach żelaznych, trzęsienie ziemi, strata osoby ukochanéj. Zwiększona bojaźliwość, niczem nieumotywowane napady strachu stanowią charakterystyczną cechę nerwowości. Niedarmo mówimy o nerwach stalowych, gdy chcemy oznaczyć osobę, która nie zna, co to bojaźń, lub posiada tyle władzy nad sobą, że tego nieuniknionego wstrząśnienia wewnętrznego nie zdradzi na zewnątrz. Ściśle rzeczy biorąc, wnioskować ztąd tylko możemy, że ta odwaga nie jest dowodem „stalowych nerwów;" lecz tylko nieznajomością groźnego niebezpieczeństwa.

Dla tego też dla człowieka niewykształconego i nieprzywykłego do logicznego myślenia ani do swobody fantazyi, łatwiéj jest zachować zimną krew w niebezpieczeństwie, aniżeli dla człowieka myślącego, świadomego całéj grozy położenia. Znany pisarz francuski A. Daudet w powieści swéj „Tartarin z Tarasconu" maluje plastycznym pędzlem swego bohatera, lekceważącego grozę niebezpieczeństwa z prostéj tylko nieświadomości. Bohater gaskoński szydzi sobie z grożącego mu niebezpieczeństwa, gdy się pnie na szczyty gór szwajcarskich, ponieważ inny gaskończyk wpoił w niego przekonanie, że niezmierzone przepaście, strome lodowce są tylko spekulacyą szwajcarów, obdzierających podróżnych; lecz w rzeczywistości ścieżki alpejskie nie są wcale niebezpieczne.

Nikt nie zaprzeczy, że najgłówniejszą skargą naszych czasów jest brak siły nerwowéj i mięśniowéj. Fakt ten objaśnia nam i tłómaczy zarazem inne niefortunne zjawisko społeczne, mianowicie to, że ludzie dzisiejszych czasów gonią jak najchciwiéj za jak najsilniejszemi wrażeniami, że dla spokojnych uczuć, nie wstrząsających silnie naszym organizmem, nie posiadamy dzisiaj żadnego zmysłu, że ich prawie niepojmujemy. Ciągłe zwiększanie się miast wielkich, gdzie ludzie żyją szybko, sprawia, że społeczeństwo dzisiejsze, pochłaniane przez tysiące różnorodnych wrażeń, przez ich szum i hałas, zużywa swoję siłę nerwową w daleko wyższym stopniu, aniżeli dawniéj wśród wielkiéj—szerokiéj spokojności. Siła nerwowa bowiem podobnie jak i każda inna siła, jeżeli nie dozna wzmocnienia przez długi i orzeźwiający sen, przez spokój i usunięcie się na pewien czas od wszelkich wzruszeń, musi się w końcu zupełnie wyczerpać.

Nauka współczesna a mianowicie chemia, pracująca w usługach terapii, nie ustaje w swoich codziennych poszukiwaniach i badaniach w celu wynalezienia coraz to nowych a coraz to skuteczniejszych środków nasennych. Bo też większość ludności mianowicie wykształceńszéj cierpi dzisiaj na bezsenność. System nerwowy zmęczony za dnia i podrażniony nadmiernie mści się podczas nocy; wrażenia dziennie grają jeszcze na delikatnéj tkaninie komórek nerwowych mózgu, który nie odzyskuje spokoju, nie przychodzi do równowagi, co jest przyczyną bezsenności. Przez małą odporność na wrażenia zewnętrzne, przez łatwe im uleganie, człowiek nerwowy staje się zupełnie zależnym od świata.

Łatwo pojąć, że siła i moc charakteru giną przy tém zupełnie, a osoba nerwowa staje się czystą igraszką wrażeń zewnętrznych; raz wesoła aż do upojenia, to znów grobowo smutna, ze łzami w oczach, bez istotnéj przyczyny. W tym braku panowania nad samym sobą, w tym braku siły wewnętrznéj leży zarodek zupełnéj utraty charakteru a więc i pierwszy krok do zboczenia umysłowego. W najzupełniejszym związku z nerwowością znajduje się fakt ciągłego zwiększania się chorób umysłowych, fakt szerzących się samobójstw i to między młodzieżą szkolną a nawet i dziećmi. Kiedy uczeń gimnazyalny odbiera sobie życie, ponieważ nie umiał rozwiązać naznaczonego mu zadania lub dla tego, że został w szkole ukarany, to są zjawiska, które wiele dają do myślenia i uprawniają do wniosku, że i młodzież szkolna cierpi pod brzemieniem nerwowości, przechodzącéj w zboczenie umysłowe.

Ta chorobliwa drażliwość systemu nerwowego ustępuje powoli miejsca zupełnemu stępieniu, wymagającemu dla orzeźwienia się i podniety środków pobudzających. Najpotężniejszym z nich i najprędzéj działającym jest alkohol; niewątpliwie więc rozstrój nerwowy prowadzi do pijaństwa. Oprócz alkoholu w tym samym celu służą morfina, królowa narkotyków, i niedawno odkryta kokaina. To polowanie za silnemi wrażeniami spotykamy i na polu twórczości ludzkiéj; bo chorobliwy gust nerwowego społeczeństwa odbija się w belletrystyce i szukach pięknych. Czytać dzisiaj dzieła Walterskotta byłoby nudném a w oczach większości nawet śmiesznémi Powieść zakończona zwykłém małżeństwem nie zadowoli dzisiaj nikogo, bo tego rodzaju zakończenie nie zagra nikomu na nerwach; dzisiaj trzeba strzałów, prochu i huku wiele, by być czytanym przez masy. Szafują też temi efektami najcelniejsi powieściopisarze aż do zbytku, aż do skażenia artystycznego smaku. Od czasu, kiedy Flaubert wprowadził w swéj „M-me Bovary“ histeryczkę do literatury, nerwowi i chorzy umysłowo stają się coraz częściéj bohatérami romansów i nowelek, im bardziéj pieprznych, choćby zabrudzonych, tym lepszych! Znany romans Juliusza Clarétie, „Memoires d'un interne,“ rozgrywa się w klinice dla chorób nerwowych prof. Charcota w Paryżu, a inni naturalistyczni powieściopisarze obierają sobie sprośne miejsca za teatr działania swoich bohatérów. Te same tchnienia popłacają w znacznéj części i w naszéj belletrystyce! Wśród tych aspiracyi rozgrymaszonego naturalizmu, nie pozostała w tyle i scena teatralna. Zacząwszy od nieśmiałych i wstydliwych początków „Damy kameliowéj“ Dumasa, dochodzimy do dziwnych produkcyi fantazyi Ybsen'a a melodye Haydna, pieszczące ucho, muszą ustąpić ogłuszającéj i hałaśliwéj muzyce przyszłości. Ale faktem jest, że artyści podają nam to, czego pragniemy; chociaż zaprzeczyć nie można, że pokarm duchowy, przyrządzany w takim tyglu, zdrowym być nie może i zdrowym też bynajmniéj nie jest. Są to bez wątpienia chorobliwe utwory patologiczne przedrażnionego mózgu, a cho-

ciażby ten mózg był nawet i genialnym, to okoliczność ta istoty saméj rzeczy nie zmieni. Szkodliwe wpływy zewnętrzne dotykają szczególnie indywidua usposobione dziedzicznie do chorób nerwowych. Po rodzicach dziedziczymy bowiem nietylko ich dobro i mienie, ale także i skarby umysłu, właściwości cielesne i ułomności fizyczne!

Prawo dziedziczności trafnie pojął Goethe, mówiąc o sobie:

Mam od ojca swą postawę,
Stateczność działania,
Od mateczki mam wesołość
I chęć do bajania... [1]).

(Al. K.)

To nieubłagane prawo dziedziczności występuje najwyraźniéj w chorobach nerwowych i umysłowych. Często możemy obserwować, że ta sama forma chorobowa przechodzi z rodziców na dzieci. Znanym i wielokrotnie stwierdzonym faktem jest zatracenie całych rodzin przez samobójstwo, a nie ma psychiatry, któremuby się nie zdarzyło leczyć syna lub córki na tę samą formę choroby umysłowéj, którą dawniéj obserwował u ich rodziców. Choroby nerwowe rodziców wywołują u potomstwa bardzo często wrodzoną słabość i wrażliwość systemu nerwowego—a więc zmniejszają odporność organizmu na szkodliwe wpływy życia, które na zdrowy i silny organizm nie wywierają głębszego skutku. Nie ma nic szkodliwszego dla zdrowia fizycznego i duchowego dzieci, jak nadużywanie przez rodziców środków pobudzających a w pierwszéj linii alkoholu. Potomkowie pijaków okazują bardzo często wyraźną skłonność do pijaństwa i przynoszą z sobą na świat zarodek wszelkich chorób nerwowych i umysłowych. Jest to fakt doniosłego znaczenia naukowego i praktycznego.

Jakby temu zaradzić? Przez dobre wychowanie, odpowiada pedagogia. Wychowanie powinno poprawić to, co człowiek złego przyniósł z sobą na świat. Jest to niewątpliwie bardzo trudne zadanie, ale przy trafnym wyborze środków nie przekraczające sił człowieka rozumnego i wytrwałego—a przytém zaszczytne i równające się najpiękniejszym ideałom oświaty i cywilizacyi.

Współczesna nauka szkolna, lekceważąca prawa rozwoju organizmu, nie zaspakajając potrzeb pokoleń dzisiejszych, obraża równocześnie na każdym kroku podstawowe zasady hygieny. Większość lekarzów i badaczów hygieny szkolnéj zgadza się na to, że dzieci zaczynają naukę książkową zawcześnie, że pracują za wiele i że nakoniec uczą się przy niekorzystnych warunkach hygienicznych.

---

[1]) „Vom Vater hab' ich die Statur,
Des Lebens ernstes Führen;
Vom Mütterchen die Frohnatur
Und Lust zu fabuliren."

Co do punktu piérwszego winni są bardzo często sami rodzice, którzy chcąc się jaknajprędzéj pozbyć figlarnych dzieci z domu, posyłają je w tym wieku do szkoły, w którym one potrzebują najwięcéj świeżego powietrza i ruchu. Tymczasem długie przebywanie w zamkniętéj przestrzeni i to pod rygorem porządku oraz surowego oka nauczyciela, wywiera zgubny wpływ na organizm dziecięcia. Wiemy dobrze, iż ustrój dziecięcy do należytego rozwoju potrzebuje przedewszystkiém światła, ruchu i powietrza, a nierozwinięte jeszcze organy i mózg dziecięcia nie są w stanie pracować długo i to pracować bez przerwy. Szkoła z jéj r y g o r e m narusza zasadnicze prawa rozwoju młodocianego organizmu, i dla tego równie hygiena jak i pedagogia godzą się na to, że nauka szkolna później zaczynać się winna. Oprócz tego dzieci uczą się także za wiele!

Istota wychowania nie polega bynajmniéj na zdobyciu jaknajszerszéj wiedzy; ale na harmonijném rozwinięciu wszystkich władz umysłowych za pomocą najodpowiedniejszych środków; co zaś do obszaru potrzebnéj dla szkoły wiedzy, to wystarczy zupełnie, gdy szkoła wiedzę, nabytą przez starszą generacyą, przeniesie na pokolenia młodsze. Im zaś obszerniejszą będzie ta wiedza, tém trudniejszą i zawilszą staje się téż i sprawa wychowania, aż nakoniec ciężar dla dziecinnego mózgu okaże się za wielkim. Pod wpływem przeciążenia umysłów młodzieży przedmiotami wykładowemi w szkole, rozwój cielesny młodego pokolenia zaniedbano rzekomo na korzyść rozwoju duchowego. Wszyscy zajmujący się pracą umysłową orzekli, iż bez nadmiernego znużenia nie można pracować dłużéj nad ośm godzin dziennie, a od dzieci, których mózg nie jest jeszcze zupełnie rozwinięty, żądamy jeszcze o jednę trzecią więcéj. Szkodliwe skutki takiego przeciążenia nie każą długo na siebie czekać: dzieci chudną, stają się nerwowemi, cierpią na dotkliwe bóle głowy i dolegliwości żołądkowe. Wprawdzie podczas wakacyi przychodzą biedne istoty nieco do siebie; ale z rozpoczęciem szkoły wszystko wraca znowu do dawnego stanu. Aby choć w części zapobiedz złemu, wprowadzono do planu szkolnego ćwiczenia gimnastyczne. Ale cóż to może znaczyć? 50 — 60 godzin pracy umysłowéj w tygodniu, nie można nagrodzić przez dwie godziny ćwiczeń fizycznych! Wprowadzenie gimnastyki może wprawdzie uspokoić nieopatrznych rodziców i pedagogów, ale przez to nie osiągamy równowagi między wychowaniem fizyczném i umysłowém. W ten bowiem sposób znaczna część siły żywotnéj, która powinna być zachowaną na późniejszą walkę życiową ginie bezpowrotnie, nie dosięga nawet należytego rozwoju, a wiele słabszych organizmów upada i marnieje z tytułem inwalidów na całe życie. Wytrawny hygienista dr. Finkelnburg na zgromadzeniu związku niemieckiego dla hygieny publicznéj opisał choroby, wywoływane wyłącznie przez szkodliwy wpływ szkoły.

Najczęstsze z tych chorób u młodszych dzieci są: skrzywienia kręgosłupa, następnie choroby organów oddechowych a u tych, którzy się przygotowują do egzaminu, zaburzenia w funkcyach systemu nerwowego; niedokrwistość zaś i krótkowidztwo trapią nieszczęśliwych uczniów przez cały czas nauki szkolnéj.

Skrzywienie kręgosłupa jest wynikiem niewłaściwego ułożenia, jakie dzieci zajmują w szkole i to w tym peryodzie ich życia, kiedy kości są słabe i łamliwe. Zboczenie kolumny pacierzowéj nie przedstawia wprawdzie niebezpieczeństwa dla życia, jest jednak wysoce niemiłem a zwłaszcza szpecącém, co tém więcéj należy brać na uwagę, gdyż występuje przeważnie u dziewczynek. Powstaje ono zwykle między 6 a 14 rokiem życia, a Rochard w swych cennych pracach („Revue des deux mondes") twierdzi, iż obserwował je u 30% uczniów.

Również powszechném zjawiskiem u uczniów są uporczywe bóle głowy; są one wynikiem przekrwienia mózgowego w skutek przeciążenia pracą tego organu. Wiemy dzisiaj dobrze o tym fizyologicznym fakcie, że czynność każdego organu połączoną jest z żywszym dopływem krwi arteryalnéj, co powoduje znowu szybszy rozrost jego.

Dla zdrowia konieczną jest równowaga w rozwoju pojedynczych organów naszego ustroju, a gdy ten stosunek zachowanym nie będzie, to jeden organ będzie się rozwijał ze szkodą drugiego. Jeżeli więc obarczymy mózg nadmierną pracą, to w takim razie rozwój ciała musi cierpieć, gdyż pierwszy w tych stosunkach otrzymuje za wiele krwi, a drugi za mało, tak iż nam grozi niebezpieczeństwo stania się społeczeństwem z dużemi głowami a niestety z cienkiemi i zwyrodniałemi mięśniami! Krótkowzroczność stała się zjawiskiem tak częstém, że obecnie nawet nie zwracają na nią uwagi. Jeżeli jednak zważymy, że krótkowidz do wielu zajęć wcale nie jest zdolnym, a nadto że to upośledzenie, jak i każde inne, przenosi się z generacyi na generacyą, wtenczas zjawisku temu pilniejszą poświęcimy uwagę.

Tutaj to występuje hygiena i umiejętność lekarska jako wypróbowana doradczyni. Wynalezienie środków zaradczych nie jest tutaj zbyt trudném, ograniczenie liczby godzin szkolnych, powiększenie czasu poświęconego ćwiczeniom cielesnym, oto niewątpliwéj skuteczności lekarstwo. Złota reguła Kant'a oznacza na dobę 8 godzin pracy, 8 odpoczynku i 8 snu. Ośm godzin snu jest dla młodzieży nieco za mało; na ten cel wypada poświęcić przynajmniéj 9 godzin; a cały czas pracy szkolnéj wraz z uczeniem się w domu powinien wynosić stosownie do wieku 5—9 godzin. Uwzględnienie czasu pracy domowéj jest momentem niepospolitéj doniosłości, zdaje się bowiem, że przeciążanie uczniów pracą wywoływane głównie bywa przez naznaczanie zbyt wielkiéj liczby zadań do domu, przez co godziny snu i odpoczynku muszą uledz zmniejszeniu. Nauczyciel wkłada do pewnego stopnia na ucznia zobowiązanie nauczenia się w domu tych wszystkich przedmiotów, na których wyuczenie w szkole nie było czasu i w ten to sposób przeciąża go pracą.

Jeżeli pod względem zmniejszenia liczby przedmiotów nauczania nie ma wielkiéj różnicy przekonań, to spór się zaostrza, kiedy chodzi o rozwiązanie pytania, które przedmioty mają być wykreślone z planu lekcyi. Jak łatwo bowiem pojąć, żaden z nauczycieli nie chce poświęcić własnego przedmiotu, nie chce uznać go za mniéj ważny, a każdy z nich uważa przedmiot przez siebie wykładany jako podstawę umysłowego wykształcenia ucznia.

Również i paryzka „Académie de médécine“ w kwestyi nauczania szkolnego oświadczyła się w tym sensie, żądając dla uczniów powiększenia czasu na sen, odpoczynek i ćwiczenia gimnastyczne.

To samo, tylko w wyższym jeszcze stopniu da się powiedzieć o wychowaniu dziewczyn. Pragnęlibyśmy w téj chwili zwrócić uwagę na tę okoliczność, że zdrowie kobiet jest kwestyą najważniejszą dla przyszłości społeczeństwa tak, że każdy błąd w wychowaniu kobiety pociąga za sobą bardzo doniosłe a smutne następstwa. Cóż jest bowiem ważniejszego dla pomyślności i prawidłowego rozwoju narodu, jak zdrowe i normalnie rozwinięte dzieci. Gdy się jednak przypatrzymy bliżéj dzisiejszemu wychowaniu kobiet, to przychodzimy do przekonania, że się wszystko robi, by to zdrowie w zupełności osłabić, by na każdym kroku stwarzać niedokrwistość i nieodłączną od niéj nerwowość.

Jakkolwiek w biegu lat stanowisko kobiety zmieniło się wielce w społeczeństwie, polem jednak najwłaściwszém jéj działania pozostała rodzina tak że i dzisiaj mają jeszcze swoje wielkie znaczenie słowa Moliere'a:

„W poczciwych obyczajach chowaj swoje dziatki,
Prowadź swe gospodarstwo, miéj oko na sługi,
Z oszczędnością domowe zarządzaj wydatki;
To kurs twéj filozofii — jasny i niedługi.“ [1]). (*J. A. Ś.*).

Nie uważamy bynajmniéj za ograniczenie kobiety, gdy ją skazujemy na pole działania tylko w rodzinie. Po za obrębem rodziny kobieta nie powinna szukać szczęścia; lecz aby godnie spełniać to zadanie, kobieta potrzebuje wykształcenia gruntownego, połączonego z praktycznemi wiadomościami z dziedziny gospodarstwa domowego i wychowania dzieci, przedewszystkiem jednak potrzebuje zdrowia, by dzieci rodzić i wychowywać. Nie uważamy dzisiaj wykształcenia kobiet za skończone, jeżeli nie były lat parę w pensyonacie, a przecież wychowania macierzyńskiego nic zastąpić nie może. Szkoła i rodzina stanowią najlepsze połączenie i dopełniają się wzajem. Nauczanie może być wspólném, wychowanie zaś

[1]) „Former aux bonnes moeurs l'ésprit des ses enfans,
Faire aller son ménage, avoir l'oeil sur ses gens,
Et régler sa dépense avec économie,
Doit être son étude et sa philosophie.“

musi być indywidualném. Geografią i historyą można wykładać na raz 50 dzieciom; zasady jednak cnoty i życia wpajają się w duszę tylko przy najbliższém obcowaniu z matką w atmosferze koła rodzinnego, a taka nauka pozostaje na życie całe. Miał racyą J. J. Rousseau twierdząc, iż czułéj troskliwości matki nic zastąpić nie może. A zresztą przy wychowaniu dziewczyn inne widoki należy mieć na uwadze. Nauka dla kobiety nie ma w późniejszém życiu tego znaczenia, co dla mężczyzny, i dla tego nie ma najmniejszéj przyczyny, poświęcać dla wiedzy, nie mającéj żadnego zastosowania przez całe życie, zdrowie. Widzimy jednak iż dzieje się wprost przeciwnie. Dzisiaj każda kobieta musi się uczyć tyle, jak gdyby jéj powołaniem miał być zawód profesora akademii uniwersalnéj. Heine szydzi sobie z dzisiejszych kobiet, gdy mówi:

Mumie stare i wypchane,
Faraonów rody,
Cienie dawnych Merowingów
Wszelkich peruk mody...

Warkoczowych władzców pagód,
Jakich mają Chiny,
Wszystkich się na pamięć uczą
Przemądre dziewczyny... [1]).

(*Al. K.*).

A przecież od czasów Heinego dzieje się jeszcze gorzéj.

Dzisiaj nawet w rodzinach bardzo zamożnych przechodzą kobiety egzamin nauczycielski; przy hyperprodukcyi jednak nauczycielek znaleźć miejsce jest marzeniem nie do urzeczywistnienia, a zrujnowanie zdrowia jest prawie pewném. Powołany już przez nas Rochard przytacza, że w dniu 1 stycznia 1888 r. 12,471 młodych dziewczyn czekało na miejsca nauczycielek. Z tych 4174, a więc trzecia część przypadała na sam Paryż; tymczasem miejsc do zajęcia było tylko 6, z których 25 bywa z góry przeznaczanych dla wychowanek „école normale.“ Dla tych więc 4174 pozostało zaledwie 35 miejsc. Rochard sądzi, że stosunek na prowincyi jest jeszcze niekorzystniej-

---

[1]) Alte Mumien, ausgestopfte
Pharaonen von Aegypten,
Merovinger Schattenkönige,
Ungepuderte Perrücken;
Auch die Zopfmonarchen China's,
Porzellan-Pagodenkaiser,
Alle lernen sie auswendig —
Kluge Mädchen!

szym. I u nas o miejsce nauczycielki rządowéj jest coraz trudniéj, a miejsca prywatne stanowią zródło udręczenia a nieraz i poniżenia dla biednych istot, zmuszonych na tém polu szukać kawałka chleba.

Spotykamy się u dziewczynek z temi samemi formami chorobnemi, które dokładniéj opisaliśmy, mówiąc o wychowaniu chłopców, tylko że tutaj system nerwowy cierpi daleko wcześniéj i w wyższym stopniu. Z wysoce zajmujących szczegółów, które Alfons de Candolle podaje dla Szwajcaryi, zaznaczamy te, które dowodzą, że znaczna liczba dziewcząt, poświęcających się zawodowi nauczycielskiemu, uległa chorobie umysłowéj i musiała być umieszczoną w szpitalach dla obłąkanych. Hrabia Shaftesbury zaznacza, w swojém sprawozdaniu dla angielskiego parlamentu, że między 183 osobami poświęcającemi się zawodowi nauczycielskiemu, które w roku 1882 były umieszczone w szpitalach angielskich dla obłąkanych, znajdowało się 145 kobiet i tylko 38 mężczyzn. Najdoświadczeńsi psychjatrzy zaznaczają że wyzdrowienie nauczycielek z choroby umysłowéj jest faktem bardzo rzadkim, gdyż postać zboczenia umysłowego, jakiemu uległy te nieszczęśliwe istoty jest ciężką i po większéj części nieuleczalną.

Droga pracy dla kobiet jest tak wązką, że w zasadzie nic się powiedzieć nie da przeciwko kształceniu się dziewcząt w muzyce, w celu późniejszego dawania lekcyi. Ale tutaj dzieją się właśnie liczne nadużycia, gdyż dziewczynki nie okazujące najmniejszego talentu do muzyki, bywają właśnie przymuszane do téj nauki a rodzice ostatni grosz wyciągają na drogiego i będącego w modzie nauczyciela. Rezultaty jednak tego forsownego nauczania są nader skromne, gdyż owocem kilkoletnich zabiegów i pracy bywa nauczenie się walczyka lub jakiéj modnéj salonowéj sztuczki, a ile straconego czasu pieniędzy i zdrowia! Nadto większość kobiet po zawarciu małżeństwa, gdy pierwsze dziecię zacznie kwilić w kolébce, zapomina nazawsze o fortepianie.

Za to znaczna część kobiet, wstąpiwszy w związki małżeńskie, nie ma najmniejszego pojęcia o obowiązkach i ważnych zadaniach żony i matki. Przy obszernych wiadomościach z literatury, historyi, matematyki, prowadzenie gospodarstwa domowego jest dla nich zagadką nie do rozwiązania, bo rodzice robią ze swych córek lalki a nie przyszłe żony i matki. Słusznie wyraził się w téj mierze znany filozof niemiecki Edward von Hartmann, że kobieta powinna dobrze rozumieć, że jéj celem życia nie jest używanie, ale wierne wypełnienie obowiązków swego powołania, a więc dostarczenie ojczyznie dzielnych i dobrze wychowanych obywateli, którzyby w walce o byt narodów zdolni byli wywalczyć krajowi swemu pierwszeństwo. Nie potrzebujemy zaiste kobiet-lekarzy, kobiet-adwokatów, bo ich mamy poddostatkiem, ale potrzebujemy dobrych żon i matek, dzielnych obywatelek kraju, bo tych nam brak istotny. Sprowadzając nauczanie kobiet i mężczyzn do jednego stopnia, zapominamy o ważnéj róż-

nicy w umysłowych zdolnościach i posłannictwie życiowém płci męzkiéj i żeńskiéj. Pod wpływem niewłaściwego nauczania i w ogóle całego kierunku wychowania, cierpi zdrowie społeczeństwa a przyszła generacya jeszcze więcéj cierpieć musi.

Wychowanie domowe przedstawia znaczne trudności w tych przypadkach, w których spotykamy dzieci z dziedzicznem usposobieniem do chorób nerwowych i umysłowych. Wymaga ono w tych razach szczególnéj troskliwości, taktu i równowagi pod względem łagodności i surowości, co jednak u nas rzadko spotykamy. Wspomnienia z czasów młodości pozostają w duszy przez całe życie; dziecko przy tém odczuwa żywo wyrządzoną mu niesprawiedliwość, a gdy pochwała i kara zależéć będą więcéj od humoru i usposobienia rodziców, aniżeli od stopnia przewinienia, to szkodliwy wpływ takiego postępowania na cały duchowy rozwój dziecka nie każe długo na siebie czekać.

Spotykamy prócz tego inne jeszcze niewłaściwości hygieniczne w wychowaniu dzieci. Znakomity lekarz wiedeński prof. Nothnagel na „Kongresie medycyny" wewnętrznéj który się odbywał tego roku w kwietniu w Wiesbadenie, mówił szczegółowo o szkodzie, którą ponosi organizm dziecięcy przez wczesne podawanie mu napojów alkoholicznych. „Nie jest wyjątkiem, że dwu- lub trzyletnie dzieci dostają przy obiedzie piwo lub wino, bez żadnéj potrzeby, niby „dla wzmocnienia." Środki podniecające nie są właściwemi dla dzieci i sprowadzają w następstwie wygórowaną drażliwość nerwową i w ogóle osłabienie systemu nerwowego.

Ze stanowiska hygieny i racyonalnego wychowania potępić musimy stanowczo prowadzenie dzieci we wczesnym okresie ich życia na bale, wieczorki i t. d.: bo tak zwane „bale dziecinne" działają szkodliwie na młodociane umysły, rodzą próżność i kokieteryą i są ciężkiém zboczeniem smaku, za co wina spada jedynie na rodziców i wychowawców.

Zwracaliśmy już uwagę na ważność małżeństwa w życiu kobiety; nadmienić tu jednak musimy, że nawet i dla tych, które szczęśliwie przybiły do tego portu, nie jest wszystko złotem, co się świeci. Rozczarowanie nastąpi tém prędzéj i będzie działać tém szkodliwiéj, im z większemi illuzyami i nieuzasadnionemi wymaganiami młoda kobieta zawiera związek małżeński. Często ośmiela się ona na ten ważny krok już w tym wieku a nawet w takim stanie zdrowia, w którym małżeństwo stanowczo nie jest dozwoloném i które nie pozwalają na zadosyćuczynienie wszystkim obowiązkom żony, matki i gospodyni. Ze słabowitego, skrofulicznego dziecięcia wyrosła blada, niedokrwista dziewica, którą przygotowują do stanu małżeńskiego za pomocą różnych środków wzmacniających, jako to pigułek żelaznych, kuracyi kąpielowych i t. p. Z pierwszém dziecięciem „ten puch marny" utraca ostatek siły i stan nerwowego osłabienia staje się wy-

raźnym. Znakomity psychjatra prof. Krafft-Ebing słusznie zwraca uwagę na tę okoliczność, jak mało obecnie młodych matek jest w stanie zadość uczynić najpierwszym obowiązkom macierzyńskim, i dla tego to gazety są przepełnione reklamami rozmaitych surrogatów mleka kobiecego a potrzeba mamek staje się coraz większą.

W stanie panieńskim leżą inne niebezpieczeństwa i szkodliwości dla kobiety, jak w kawalerstwie dla mężczyzny. Rozwiązanie pytania, co ma czynić kobieta niezamężna, jak urządzić swój dom i życie, przedstawia wielkie trudności. Drogi pracy dla kobiet są jeszcze zamknięte a zaofiarowanie pracy kobiecéj nie zostaje bynajmniéj w prostym stosunku do zażądań.

Przeciwko emancypacyi kobiet podniosły się w ostatnich czasach poważne głosy pierwszorzędnych uczonych, do których zaliczamy także i profesora uniwersytetu berlińskiego, Waldeyera. Emancypacya kobiety prowadzi ją na to pole działania, które z powodu jéj przyrodzonych właściwości cielesnych i duchowych musi być dla niéj zamkniętém. Najżarliwsi zwolennicy emancypacyi kobiet zaprzeczyć temu nie mogą, że duchowe i fizyczne usposobienie obojga płci gruntownie się różni; dzieli je całe niebo różnic, których człowiek niestety zmienić nie jest wstanie. Dla tego też wszelkie deklamacye o równouprawnieniu kobiety i mężczyzny trafia na przeszkody naturalne, bo to ułudne równouprawnienie płci wykluczoném zostało z dziedziny reform społecznych przez różnicę ich przyrodzonego przeznaczenia w świecie. Polepszenie stanowiska kobiety w społeczeństwie a nawet zupełne zrównożenie z mężczyzną już i dla tego nie da się urzeczywistnić, że mozolna rola kobiety w sprawie rozmnażania się rodu ludzkiego, a mianowicie ciąża i połóg kładą tamę jéj dalszemu postępowi w regularnéj pracy, bo przeszkadzają stanowczo przez czas dłuższy spełnianiu obowiązków obranego powołania. Już maleńkie dziewczynki chwytają za lalkę i bawią się w mamę, kiedy chłopczyk bawi się bacikiem, szablą i gra w żołnierzy. A w ten sam sposób koło idei i działalności kobiety i mężczyzny jest przez całe życie u obojga różne, kobieta jest tam w swoim żywiole, jest tam największą, gdzie mężczyzna najmniejszym t. j. w zakresie gospodarstwa domowego. Jeżeli nie zwracając na to uwagi, udaje się na drogę, któréj natura jéj odmówiła, to wychodzi z granic przeznaczenia swego i zatraca charakter prawdziwéj kobiecości. Nie będziemy utrzymywali, aby nie było kobiet zdolnych zwyciężyć w walce z mężczyzną i to na polu uważanem dotychczas za dostępne tylko dla mężczyzn. Kobiety jednak tego zakresu nie odznaczają się prawdziwą kobiecością i nie wywierają żadnego uroku na świat męzki. Wiele kobiet, porwanych prądami emancypacyjnemi a zwyciężonych w „walce o byt,“ toczą się ciągle po pochyłości w przepaść, stają się nakoniec uczestnikami

w owych mętnych dążeniach, które dzisiaj tak często spotykamy w nihiliźmie i wzburzeniach anarchicznych.

Zatrzymać energią systemu nerwowego i nie paść ofiarą nerwowości przy dzisiejszych warunkach bytu, nie jest zaiste tak łatwą rzeczą. Ludziom zamożniejszym możemy udzielić rady, by się wystrzegali wszelkiego nadużycia w pracy i w używaniu rozkoszy, by wiedli życie pod każdym względem systematyczne, unikając nadmiernego zmęczenia równie ducha jak i ciała.

Ponieważ podczas snu system nerwowy odzyskaje siłę i równowagę, regularność więc nocnego spoczynku jest rzeczą świętą. Pożywna a nie drażniąca dyeta, wiele ruchu i świeżego powietrza, są ważnymi czynnikami siły i energii systemu nerwowego. Pierwszą część dnia należy poświęcić pracy, drugą—odpoczynkowi i we wszystkich działaniach zachować należyte umiarkowanie.

Ponieważ odziedziczyć nerwowość jest rzeczą bardzo łatwą, dla tego należy przy zawieraniu małżeństwa unikać związku z rodziną nerwową. Na tak ważny krok, jak małżeństwo, należy się decydować, gdy się jest w posiadaniu kwitnącego zdrowia, a doradzać małżeństwo jako środek lecznicy dziewczętom blednicowym, nerwowym—lub wreszcie mężczyznom przeżytym moralnie i fizycznie, jest zbrodnią, popełnianą na ludzkości. Tutaj lekarze powinni używać całéj swéj powagi, by zapobiedz czynowi, pociągającemu za sobą najfatalniejsze następstwa.

Ogół mężczyzn użala się na wychowanie kobiet, na ich zamiłowanie zbytku, na nadmierne wymagania i powołuje te okoliczności jako przyczynę coraz bardziéj zwiększającéj się bezżenności. Ale radę na to posiadamy we własnych rękach, traktujmy tylko tę kwestyą poważnie. Gdybyśmy wybór naszych małżonek ograniczali do kobiet skromnie i praktycznie wychowanych, a innym kazali „siać rutkę,“ rzecz sama uległaby gruntownéj reformie. Matki przyszłyby wkrótce do przekonania, że drogą zbytku i przesadnych wymagań nie znajdą męża dla córki i w ten sposób byłyby zmuszone powrócić do dawnéj prostoty i skromności wymagań.

Mówiliśmy już o tém wyżéj bardzo obszernie, iż nauczanie szkolne wymaga gruntownéj i prędkiéj reformy. Musimy się tylko zastrzedz przeciw jednemu przypuszczeniu, jako pozornie wynikającemu z naszych rozumowań.

Zwykle, kiedy mówią o zmianie nauczania szkolnego, stawiają jako wzór metodę angielską i zalecają jéj naśladowanie. Ci jednak, którzy wygłaszają takie życzenia, zbudowaliby się mało, gdyby się one spełniły. Zwolennicy angielskiéj metody wychowania mają o tyle racyą, że w wychowaniu młodzieży angielskiéj wykształcenie fizyczne ważniejszą gra rolę, aniżeli u nas, ponieważ tam znacznie więcéj czasu poświęcają na ćwiczenia gimnastyczne i starają się jak

najusilniéj o dostarczenie młodzieży światła i świeżego powietrza. Co się jednak dotycze właściwego nauczania, to jest ono w Anglii z małemi wyjątkemi tak źle usystematyzowane i niedostateczne, że wcale nie zasługuje na naśladowanie.

O czysto lekarskiém t. j. apteczném leczeniu nerwowości, rozszerzać się tutaj długo nie będziemy. Nadmienimy tylko, że nauka lekarska i na tém polu poczyniła znakomite postępy i zbogaciła arsenał farmakologiczny nowemi a niezmiernie cennemi środkami. Newralgje, bóle, konwulsye, dawniéj nieuleczalne, ustępują obecnie antypirynie, antyfebrynie, theinie, preparatom bromu, arszenikowi; w elektryczności a szczególniéj w świeżo używanych kąpielach elektrycznych, w hydroterapii i massażu posiadamy potężną broń przeciwko dolegliwościom nerwowym. O jednéj jednak ważnéj okoliczności nie radzilibyśmy zapominać cierpiącym a mianowicie o téj, że nerwowość jest stanem chronicznym, cierpieniem długotrwałem, niejako rezultatem ostatecznym usposobienia, wychowania i trybu życia. Jednym z najpierwszych warunków pomyślnego skutku kuracyi jest czas i cierpliwość ze strony lekarza i chorego, bo zapisanie recepty gra w całéj metodzie leczenia nerwowości rolę podrzędną.

Zmiana radykalna systemu życia, czasowe usunięcie się od interesów, gwałtownych wrażeń i oddalenie się z domu są w cięższych wypadkach niezbędnymi. Dla tego to powstaje nieprzeliczona liczba kąpieli i miejscowości klimatycznych, które często bez żadnéj racyi bytu rodzą się jak grzyby po deszczu.

Powietrze morskie i leśne są niezaprzeczenie potężnymi czynnikami leczniczymi; jednemu jednak służy powietrze leśne, a drugiemu—morskie, i tutaj więc trzeba koniecznie indywidualizować. To tylko zastrzegamy, że każda podróż powinna stanowić dla nerwowego o d p o c z y n e k, a nie zmęczenie.

Miejscowości lecznicze z tańcami, balami, reunionami i częstymi koncertami są dla nerwowych zarówno szkodliwe, jak nadmierny ruch, pięcie się na góry. Każda miejscowość lecznicza powinna dawać choremu zupełny spokój duszy i ciała, w innym razie nie jest nic wartą. A i tak w najlepszym razie, przy zastosowaniu najodpowiedniejszych środków, nie możemy spodziewać się w przeciągu 3—4 tygodni wyleczenia z długotrwałych cierpień i zupełnego zabezpieczenia od choroby na przyszłość. Zwykle pacyenci żądają wyleczenia w krótkim czasie, a to jest niemożliwém. Zniecierpliwieni chorzy, nie chcąc poświęcić czasu na gruntowną i systematyczną kuracyą, oddają się w ręce rozmaitego rodzaju szarlatanów, jako to: magnetyzerom i homeopatom. Ostatnia kuracya jest przynajmniéj nieszkodliwą, przy magnetyzmie zaś głównym czynnikiem jest w i a r a i przekonanie w skuteczność danéj metody. Przeciwko wegetaryanizmowi musimy przy téj sposobności podnieść poważne zarzuty, ponieważ pożywienie nie zawierające białka i tłuszczu w obfitości, sta-

nowczo okazuje się szkodliwém dla osób nerwowych. W celu zapobieżenia nadmiernemu szerzeniu się chorób nerwowych i umysłowych, prof. Krafft-Ebing żąda, ażeby państwo przestrzegało następujących zasad:

Walka przeciwko pijaństwu, nieopodatkowanie przedmiotów niezbędnych do życia, hygiena mieszkań, szkół i fabryk, oznaczenie godzin pracy i unormowanie zapłaty robotnikom.

Oto są zadania nieskończenie ważne, oczekujące atoli jeszcze ostatecznego rozwiązania.

O DOMACH PODRZUTKÓW *).

PRZEZ

Dr. Antoniego Okolskiego.

Co się tyczy śmiertelności podrzutków w porównaniu z innemi dziećmi w epoce nieco późniejszéj, statystyczne dane pokazują nam, że jest ona największą w pierwszych dwóch latach życia.

W Austryi na 1000 dzieci prawych lub nieprawych umierało [1]):

	prawych	nieprawych
w wieku od urodzenia do 1 miesiąca	259,99	248,26
„ 1 miesiąca do 1 roku	391,47	456,42
„ 1 roku do 2 lat	165,70	135,64
„ 2 do 5 lat	179,84	119,68

W Prusach na 1000 urodzonych dzieci, przed ukończeniem pierwszego roku życia umierało średnio [2]):

Rok	Prawych dzieci	Nieprawych dzieci	Przewyż. śmiertelności dzieci nieprawych
1876	230,88	393,57	162,69
1877	218,11	371,00	152,89
1878	221,05	380,83	159,78
1879	220,76	381,26	160,50
1880	232,40	395,63	163,23
1881	220,82	386,12	165,30
1882	229,17	388,44	159,27
Srednio...	224,74	385,26	160,52

*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

[1]) Oesterreichische Statistik. XIII Band., IV Heft, str. X.

[2]) A. Fircks. Die Zeit der Geburten und die Sterblichkeit der Kinder während des ersten Lebensjahres. Zeitschrift des k. preussichen Statistischen Berreaus, 1885, str. 100.

Prócz tego należy zauważyć, iż niezależnie od średniéj śmiertelności w całém państwie, w niektórych okręgach lub prowincyach śmiertelność ta dosięgała daleko wyższych cyfr. Tak np. największa śmiertelność między dziećmi prawemi była w Landshucie (okręg lignicki) gdzie umierało 444,7 na 1000 i w Hirszbergu (tenże okręg) gdzie umierało 407,0 na 1000. Między nieprawemi dziećmi największa śmiertelność była w Kolonii (okręgu) z 694,8 i w Akwizgranie z 591,1 na 1000 [1]).

W wielkim domu podrzutków w Bordeaux umierało [2]):

w wieku	na 1000 podrzutk.	na 1000 in. dzieci
od 0—1 roku	517	232
1—2 lat	122	96
2—5 „	69	88
5—10 lat	21	30
od 0—10 lat	729	446

Ztąd widać, iż największa śmiertelność podrzutków panuje do ukończenia drugiego roku życia. Na rezultat zaś ten składało się bardzo wiele najrozmaitszych okoliczności. Jedną z najważniejszych był brak dostatecznéj ilości mamek, w skutek czego jedna mamka musiała karmić dwoje, troje, a nawet więcéj dzieci. Ztąd pochodziło niedostateczne odżywianie, któremu słabsze organizmy ulegały.

Tak. np. w Moskiewskim domu podrzuktów brakowało mamek średnio w 1885 r. po 147,5, a w 1886 r. po 301,4 [3]). Do jakiego stopnia brak mamek wpływa na większą lub mniejszą śmiertelność podrzutków można się przekonać z następującéj tablicy wziętéj z Petersburskiego domu podrzutków, z któréj widać, iż im więcéj mamek karmi po dwoje dzieci, tém większa panuje między niemi śmiertelność [4]).

miesiące	maximum mamek karmiących po 2 dzieci	ilość zmarłych dzieci w zakładzie
w Styczniu	417	390
„ Lutym	228	246
„ Marcu	63	155
„ Kwietniu	212	140
„ Maju	174	136
„ Czerwcu	159	91

[1]) Fircks, tamże str. 135.
[2]) Oettingen, l. c. 666.
[3]) Otczet po Impier. Mosk. Wot. domu l. c. str. 14.
[4]) Izwleczenie iz otczeta, l. c. 15.

„ Lipcu	339	120
„ Sierpniu	341	187
„ Wrześniu	48	99
„ Październiku	—	90
„ Listopadzie	2	94
„ Grudniu	1	142

W skutek tego braku mamek trzeba było w wielu domach podrzutków udawać się do sztucznego karmienia niemowląt, które wszędzie okazało się zabijającém [1]). Brakowi zaś mamek niepodobna zaradzić, gdyż o posiadanie ich współubiegają się z domami podrzutków wyższe klasy społeczne, będące w stanie lepiéj je wynagrodzić. Że konkurencya ta jest ogromna, można się przekonać choćby ztąd, że w samym Paryżu potrzeba corocznie przeszło 26,000 mamek [2]). Z drugiéj strony w letnich miesiącach daje się czuć zupełny brak mamek z powodu zajęć polnych po wsiach. Braku tego domy podrzutków usunąć nie są w stanie, ale w skutek tego nie mogą téż zniżyć śmiertelności dzieci do cyfr normalnych.

Za jednę z ważniejszych przyczyn większéj śmiertelności podrzutków, należy téż uważać brak koniecznych wygód, który przy większéj ilości dzieci jest prawie nieuniknionym. Tak np. w moskiewskim domu podrzutków przy ogromném nagromadzeniu się dzieci latem, pomimo wszelkich usiłowań administracyi, brakowało dla nich pieluch, a pralnia zaledwie mogła nadążyć z praniem bielizny, która nie mogła należycie wysychać. Ztąd wynikały przeziębienia dzieci, pociągające za sobą poważniejsze choroby, nieraz kończące się śmiercią. W samym miesiącu sierpniu kiedy bywało po 1200 dzieci dziennie, umarło z tego powodu 274 [3]). W tymże zakładzie pomieszczenie z dostateczną ilością świeżego powietrza było obliczone na 620 niemowląt, licząc już mamkę z dzieckiem za jednę osobę [4]). Tymczasem średnio bywało po 995 dzieci czyli o 375 więcéj, jak należało, nie licząc jeszcze 752 mamek.

W każdym razie nie można pozostawić bezuwzględnienia faktu widocznego z cyfr, odnoszących się do Austryi, iż w następnych latach stosunek śmiertelności podrzutków w porównaniu z innemi dziećmi, zwraca się niekiedy na korzyść pierwszych, że począwszy od trzeciego roku życia umiera ich mniéj aniżeli dzieci prawych. Dziwny ten napozór fakt możnaby objaśnić najprzód tem, iż w pier-

[1]) Z sztucznie karmionych 916 niemowląt w Reims, w peryodzie od 1825—1835 r. umarło do 1 roku życia 586. W paryzkim domu podrzutków w 1772 r. zmarło z tejże przyczyny 2,650 na 7,776. Hügel, l. c. 456.

[2]) Oettingen, l. c. 656.

[3]) Otezet, l. c. 10.

[4]) Otezet, l. c. 28.

wszych dwóch latach wszystkie podrzutki ze słabszym organizmem, nie mogąc się oprzeć wrogo działającym okolicznościom, pomarły, pozostały zaś tylko silniejsze, wytrzymalsze. Następnie znów tem, iż pewien procent dzieci prawych był od samego urodzenia sztucznie podtrzymywany pieczołowitemi staraniami, które jednak później nie zdołały zapobiedz ich śmierci.

Z tego cośmy wyżéj powiedzieli należy wyprowadzić dwa wnioski. Pierwszy polega na tém, iż jakkolwiek ulepszenia administracyjne mogą zmniejszyć do pewnego stopnia śmiertelność podrzutków w zakładach, nie są jednak w stanie doprowadzić tego do tego stopnia, ażeby śmiertelność ich nie była większa od śmiertelności dzieci, pozostających zewnątrz zakładu. Wypływa to ztąd iż większa śmiertelność podrzutków pochodzi po większéj części z przyczyn, których domy podrzutków albo usunąć nie mogą, albo których intensywność nawet powiększają. Nie są one w stanie zapobiedz np. brakowi mamek, który będzie coraz dotkliwszy wskutek coraz większéj konkurencyi wyższych, zamożniejszych klas społeczeństwa, potrzebujących coraz więcéj mamek, z powodu niezdolności lub niechęci kobiet do nich należących do karmienia dzieci własną piersią.

Drugi wniosek jaki należy wyprowadzić polega na tém, że zasada, na którą powoływali się stronnicy domów podrzutków w ich obronie jest fałszywą. Twierdzili oni bowiem że domy podrzutków ocalają życie biednym, opuszczonym istotom, rzeczywistość zaś pokazuje, że życie ich w zakładach jest narażone na daleko większe niebezpieczeństwa. Przytoczone przez nas statystyczne dane wykazują dowodnie, że dla dzieci tych przyjęcie do zakładu powiększa tylko szanse śmierci. Jest to téż w wysokim stopniu tragicznem przeciwieństwem, jak się wyraża Oettingen, [1]) że zakłady dobroczynne, których celem miało być zachowanie życia podrzutków, faktycznie przykładają się do skrócenia go. W takim jednak stanie rzeczy widocznem jest, iż dla dzieci tych byłoby korzystniejszém, gdyby wcale do domu podrzutków nie były przyjęte, żeby domów tych wcale nie było.

VII.

Przypatrzmy się jeszcze domom podrzutków ze stanowiska społecznego, ułóżmy, że się tak wyrażę, ich bilans, zastanówmy się nad tém, czy społeczeństwo odnosi z nich zyski lub straty i jakie mianowicie? Z powyższego przedstawienia, zdaje się, winnibyśmy dojść do przekonania, że zyski te są nader wątpliwéj natury, a nawet po prostu, że o nich mówić nie można. Jak tu bowiem mówić o korzy-

[1]) Oettingen l. c. 665.

ściach instytucyi, które pod względem filantropijnym, moralnym i ekonomicznym, okazały że nie mogą doprowadzić do zamierzonego celu, urzeczywistnić swego zadania, które, zapatrując się nawet na nie ze stanowiska interesów tych, dla których były przeznaczone, dowiodły swojéj szkodliwości.

Zastanawiając się jednak nad zyskami i stratami, wypływającemi dla społeczeństwa z istnienia domów podrzutków, nie można pominąć milczeniem dwóch kwestyi, które z powodu swéj ważności zasługują na szczególniejsze uwzględnienie.

Pierwsza zasadza się na tém, że społeczeństwo w skutek większéj śmiertelności podrzutków w zakładach ponosi ogromne straty ekonomiczne. Dla wyjaśnienia tego wszakże wypada nam sięgnąć trochę głębiéj, aż do wartości ekonomicznéj całego narodu i pojedynczéj jednostki.

Nie ulega wątpliwości, iż tak pojedyncza jednostka jak i cały naród przedstawiają pewną wartość ekonomiczną, która może być w przybliżeniu na pieniądze obliczoną. Wartość jednostki da się oznaczyć sumą kosztów łożonych na jéj wychowanie i wykształcenie do czasu, kiedy z istoty nieprodukcyjnéj stała się produkcyjną. Wappaeus, idąc w tém za Englem, przyjmował, że koszta te wynoszą w państwach ucywilizowanych przecięciowo 40 talarów na każdą jednostkę corocznie [1]). Biorąc to za podstawę, dojdziemy do wniosku, że wartość ludzkiego materyału w państwie, narodu jest ogromna, i że przewyższa wszelkie inne ekonomiczne bogactwa. Według Engla naprzykład cała nieruchoma własność w Saksonii stanowiła tylko $^1/_4$ część wartości w ten sposób obliczonéj ludności tego kraju, wartość zaś własności ruchomej stanowiła zaledwie $^1/_{10}$ część tejże wartości. Widocznem jest także, że każda przedwczesna śmierć jednostki stanowi czystą stratę dla społeczeństwa, które traci napróżno koszta na jéj wychowanie, nie otrzymując w zamian za to w jéj produkcyjnéj pracy wynagrodzenia. Z tego też powodu każdą instytucyą, przyczyniającą się do powiększenia śmiertelności, należy uważać za szkodliwą z ekonomicznego stanowiska, każde zaś staranie o zachowanie życia jednostek za najlepiéj opłacające się pod tym względem. Zapatrując się z tego stanowiska na domy podrzutków, nie można w nich widzieć instytucyi pożytecznych ekonomicznie dla społeczeństwa, gdyż, jak przedstawiliśmy wyżéj, powiększają one zwykłą śmiertelność dzieci. Przewyżka ta obliczona na pieniądze wykazuje czystą ekonomiczną stratę, jaką społeczeństwo ponosi w skutek istnienia tych zakładów.

Tytułem przykładu można przytoczyć następujące obliczenie. W 1857 r. było w domach podrzutków w Europie 461,326 wychowańców. Gdyby dzieci te pozostawały zewnątrz zakładów umarłoby

[1]) Wappaeus. Allg. Bevölkerungs statistik, T. II, str. 77.

ich około 115,000, ponieważ jednak śmiertelność w domach podrzutków była o 30 % większą od zwykłéj, przeto umarło ich o 34,500 więcéj.

Przyjmując koszta ich utrzymania podług Engla i Wappaeusa, okaże się, iż w tymże roku społeczeństwo, z powodu większéj śmiertelności w domach podrzutków, poniosło straty 6,900,000 talarów [1]). Mniéj więcéj taką stratę ponosi corocznie z tego samego powodu.

W zamian za te straty i za koszta utrzymania podrzutków, co zyskuje społeczeństwo, pytamy? I to stanowi drugą kwestyą, na którą winniśmy odpowiedzieć.

Obrońcy domów podrzutków przytaczali w ich obronie i to, że zakłady te zastępują opuszczonym dzieciom rodzinę, któréj były pozbawione, że w ten sposób dzieci, które inaczéj zginęłyby nieochybnie, otrzymują wychowanie nie tylko fizyczne, ale moralne i umysłowe, społeczeństwo zaś zyskuje w nich dobrych i porządnych obywateli. I ta zasada wszakże przy bliższém zastanowieniu nie wytrzymuje krytyki.

Nie widzimy potrzeby zatrzymywać się dłużéj nad wychowaniem fizycznem, gdyż zakłady, w których śmiertelność dochodzi niekiedy przerażających rozmiarów, i w których przy zachowaniu nawet najlepszych warunków, umiera daleko więcéj dzieci, jak zewnątrz nich, oczywiście nie mogą nawet rościć pretensyi do tego, aby je uważano za odpowiadające swemu celowi pod tym względem. Wpływ jednak domów podrzutków na swoich wychowańców pod względem moralnym wymaga bliższego zastanowienia się.

Pod tym względem niepodobna, zdaje się, twierdzić, ażeby wpływ ten był korzystny, a tém bardziéj, żeby mógł zastąpić podrzutkom brakującą rodzinę. I dziwić się nawet temu nie można. W najlepiéj bowiem urządzonych, wzorowych zakładach nie można w wychowańcach obudzić tych uczuć przywiązania wzajemnego, solidarności, wdzięczności, które wyrabia tylko rodzina i które niejednokotnie w dalszém życiu są dla członków rodziny punktem opory, otuchą i nadzieją. W najlepszych zakładach musi panować chłód urzędowy i brak ciepła i uczucia rodzinnego. Przełożeni, w razie nawet kiedy wychowaniec na to zasługuje, nie mogą mu okazać należytéj względności lub sympatyi, bojąc się zarzutu stronności. Wychowaniec uważany jest za numer, tak jak więzień w więzieniu i nic więcéj. Wszędzie wychowanie dzieci znajduje się w ręku ludzi płatnych, których często ani stopień wykształcenia, ani nawet moralności nie przedstawia dostatecznéj rękojmi, że wywrą zbawienny wpływ na moralne wyrobienie ich charakteru. Tymczasem tego moralnego wyrobienia tém bardziéj potrzebują podrzutki, że wchodząc następnie w świat, znajdują się w nim w daleko gorszém od innych dzieci po-

---

[1]) Hügel, l. c. 545.

łożeniu, bez rodziny, krewnych, przyjaciół, stosunków, spotykani wszędzie z obojętnością, niechęcią, niekiedy nawet z pogardą. Ten brak moralnego wyrobienia, wraz z następném osamotnieniem w społeczeństwie, działa tak zgubnie na charakter podrzutków, że, wchodząc w świat, są pozbawieni dla niego uczuć serdeczniejszych, tkliwszych, że są przejęci zawiścią dla ludzi lepiéj uposażonych lub szczęśliwszych, że karmią dla społeczeństwa głuchą, tajoną niechęć, które oczekuje tylko przyjaznéj pory, żeby wybuchnąć z całą siłą. Jedném słowem położenie podrzutków wychowywanych w zakładach jest takie, że wytwarza w nich skłonność do przestępstwa, które przejawia się przy zdarzonéj, pierwszéj lepszéj sposobności.

To też statystyka karna wykazuje, że wielka część podrzutków, w następstwie staje się przestępcami, ludźmi nieporządnego życia, napełniającemi tylko więzienia, domy poprawy lub nierządu, z których społeczeństwo żadnego moralnego pożytku nie odnosi. Co więcéj statystyka wykazuje, że czy to skutkiem dziedziczności, czy innych przyczyn, skłonność do złego przenosi się z pokolenia na pokolenie, podrzutki zaś i dzieci naturalne stanowią w społeczeństwie osobną klasę, która po części sama się reprodukuje.

Tak np. według Marbeau na 100 więźniów we Francyi przypada 15 opuszczonych przez rodziców. Z tego powodu wyżéj wymieniony autor mówi, że dla podrzutków „szansa występku jest sześć razy większą jak dla innych dzieci. Na czworo dzieci opuszczonych troje umiera przed dojściem do 12 roku życia, a czwarte zdaje się być skazaném na występek.” Corne wykazywał, iż na 8,006 młodych przestępców w 1864 r. przypadało 60% dzieci nieprawych albo opuszczonych przez rodziców, a 38% takich, których rodzicami byli włóczęgi lub nierządnice [1]). W rozmaitych zakładach karnych we Francyi podrzutki i dzieci nieprawe stanowią przeszło 9%, jakkolwiek, jeżeliby wziąć na uwagę stosunek dzieci naturalnych do prawych, procent ten winien być daleko mniejszy [2]). Na dowód, że skłonność do złego jest u dzieci tego rodzaju prawie dziedziczną, Hügel przytacza fakt, że z liczby 129,629 podrzutków we Francyi, 36,000 podrzuca corocznie swoje potomstwo. W instytucie położniczym w Brukselli wielka część zrodzonych w nim z nieprawych związków dziewcząt powraca znów do niego dla odbycia połogu, pozostając także w nieprawych związkach [3]). A faktów podobnych możnaby przytoczyć i więcéj.

Widzimy ztąd, że domy podrzutków nie wywierają zbawiennego wpływu pod względem moralnym na swoich wychowańców, że nie wyrabiają w nich charakteru, tak niezbędnego w życiu do kierowa-

[1]) Oettingen, l. c. 335.
[2]) Oettingen, l. c. 336.
[3]) Hügel, l. c. 546.

nia wśród zmiennych jego kolei. Widzimy też jaką korzyść osiąga ztąd społeczeństwo. Kosztem milionów wyrzuconych na utrzymanie domów podrzutków, społeczeństwu udaje się ocalić życie daleko mniejszéj ilości dzieci, aniżeli ta jakaby się utrzymała, gdyby je pozostawić na los szczęścia. Prócz tego i z téj liczby ocalonych nie otrzymuje żadnéj moralnéj korzyści. Owszem szkoda moralna jest widoczna, w ten bowiem sposób podtrzymuje się kosztem społeczeństwa klassa ludzi, zapełniających w następstwie domy nierządu i więzienia, klasa, grożąca mu bardzo poważném niebezpieczeństwém. Taki bilans przedstawiają domy podrzutków dla społeczeństwa.

VIII.

Zbierając to wszystko, cośmy wyżéj w ocenie domów podrzutków powiedzieli, winnibyśmy, tak się nam zdaje, dojść do przekonania, iż zakłady te nie odpowiedziały nadziejom pokładanym w nich przez ich założycieli, że nie dopięły żadnego z celów, dla których były utworzone, że nie zaspokoiły wcale gwałtownéj potrzeby zabezpieczenia życia i losu dzieci opuszczonych.

W samej rzeczy zakłady te nie były w stanie, jak widzieliśmy wyżej, zapobiedz ani dzieciobójstwom lub innym pokrewnym im przestępstwom, ani zmniejszyć liczby podrzuceń. Co więcéj, nie przyniosły one nawet wielkiej korzyści samym podrzutkom, gdyż powiększyły tylko szanse ich śmiertelności. Społeczeństwo w zamian za koszta, któremi się obciążyło na ich utrzymanie, zyskało tylko klassę ludzi, zagrażającą mu poważném niebezpieczeństwem. Jedném słowém z bardziej szczegółowego rozbioru tych instytucyi okazało się, że niedogodności i zgubne następstwa, wypływające z ich istnienia, o wiele przewyższają ich mniemane korzyści.

Przekonanie to wyrobiło się w nowszych czasach, kiedy nauka przestała zapatrywać się na domy podrzutków wyłącznie ze stanowiska uczuciowego, że się tak wyrazimy, sentymentalnego, lecz zaczęła badać je wszechstronnie, zwracając uwagę na następstwa, do jakich doszły, i opierając się pod tym względem na rozmaitych danych, dostarczonych przez statystykę.

Z tego powodu słusznie, zdaniem naszém, wyraża się o zakładach tych Hügel, mówiąc: [1]) „Jeżeli przystąpimy z dzisiejszém doświadczeniem do ocenienia konieczności zakładania domów podrzutków, otwarcie wyznać musimy, że nie opierają się one na przekonaniach, z doświadczenia płynących, ale na zapatrywaniach, nie zasługujących na uznanie, gdyż korzyści ich nie przeważają szkód. Tylko niedostateczna znajomość gospodarstwa państwowego; tylko pozornie pomyślne rezultaty tych instytucyi i brak doświadczenia;

[1]) Hügel, l. c. 396.

tylko brak danych statystycznych o dzieciobójstwach, podrzuceniach, śmiertelności i demoralizacyi podrzutków, jak również ogromnych kosztów ztąd wynikających; tylko nieświadomość krzyczących nadużyć, których się z niemi dopuszczono, skłonność do nowości i fałszywie zrozumiana miłość bliźniego powołały do życia te zakłady, tudzież przyczyniły się do ich rozpowszechnienia i utrzymania."

W takim stanie rzeczy, zapyta się czytelnik, czyż należy zamknąć te zakłady a przynajmniéj nie dopuścić otwierania nowych? czy nie lepiéj pozostawić dzieci opuszczone na los szczęścia, bez żadnych o nich starań ze strony społeczeństwa i państwa?

Na pierwsze z powyższych pytań możnaby, zdaniem naszém, odpowiedzieć twierdząco. Na poparcie tego możnaby przytoczyć, że w wielu krajach, w których istnieje tak zwany systemat protestancki, domów podrzutków nie ma, a pomimo to w krajach tych nie dają się czuć żadne zgubne z tego powodu następstwa. W innych znów krajach, w których do ostatnich czasów domy podrzutków zakładano, albo zupełnie je zniesiono, albo starano się ograniczyć ich liczbę. Tak np. w Anglii istniejącemu w XVIII wieku w Londynie jedynemu państwowemu zakładowi podrzutków już w 1771 r. odjęto zasiłek ze skarbu, z powodu uznania go za szkodliwy i nieodpowiadający celowi. W Niemczech zniesiono domy podrzutków w Moguncyi, Trewirze, Koblencyi, Hamburgu, Gdańsku i t. d., w Szwajcaryi w Genewie. Tak samo we Francyi i Włoszech ograniczono ich ilość i starano się utrudnić przyjęcie dzieci. W Austryi zniesiono już większą połowę domów podrzutków, a te które pozostały, jak słyszeliśmy ze sfer oficyalnych, mają uledz temu samemu losowi, z wyjątkiem domu podrzutków w Wiedniu i Pradze. W Rossyi ukaz z 1828 r. niedozwolił otwierania podobnych zakładów w guberniach, w których ich do tego czasu nie było, tudzież ustanowił pewne ograniczenia w przyjmowaniu dzieci, pozwalając pomieszczać w nich tylko takie, które były podrzucone w miejscach publicznych.

W tym też duchu należy, zdaniem naszém, odpowiedzieć na pytanie, któreśmy postawili na czele naszéj pracy co do potrzeby zakładania domów podrzutków w ogóle, w szczególności zaś co do potrzeby założenia drugiego domu podrzutków u nas, w Warszawie lub w innem miejscu. Potrzeba tego wcale nie istnieje, nowy zaś dom podrzutków obciążałby tylko nowemi wydatkami społeczeństwo, nie przynosząc mu w zamian za to żadnéj korzyści.

Inaczéj się ma z drugiem pytaniem, na które odpowiedź trafia do samego jądra rzeczy. Widocznem jest, że zostawić podrzutków i w ogóle dzieci opuszczone na los szczęścia byłoby nie ludzkiem i niemożliwém. Nie ludzkiem, bo by się sprzeciwiało wszelkim uczuciom chrześciańskiego miłosierdzia, miłości bliźniego, solidarności między ludźmi, wszelkim szlachetniejszym, idealniejszym porywom i popędom, które bądź wrodzone są człowiekowi, bądź wyrobiły się w nim przez wiekową kulturę, wszelkim filozoficznym poglądom na

ludzkość i jéj zadanie. Rozstrzygnięcie w ten sposób tego pytania sprzeciwiałoby się obowiązkom i interesom państwa, które obowiązane jest zabezpieczyć takie warunki swego bytu, aby przy nich każdy pojedyńczy członek społeczeństwa mógł istnieć, rozwijać się i osiągnąć swój cel na ziemi. Sprzeciwiałoby się to także jego interesom, które wymagają, aby śmiertelność się zmniejszała, aby ludność wzrastała, aby ludność ta była moralna i nie podlegała skłonnościom do występku. Sprzeciwiałoby się to interesom społeczeństwa, które ma prawo wymagać, aby każde nowonarodzone dziecię, doszedłszy do wieku dojrzałego, zwróciło mu swoją pracą koszta wyłożone na jego wychowanie, i w ten sposób przyłożyło swoję cegiełkę do rozwoju i postępu przyszłych pokoleń. Takie rozstrzygnięcie tego pytania byłoby okrucieństwem godném dzikich ludów środkowéj Afryki lub Australii, o które, sądzimy, nikt nas nie posądzi. Myśl taka jest od nas daleko; będąc jednak, jak widać ze wszystkiego, cośmy wyżéj powiedzieli, stanowczymi przeciwnikami domów podrzutków, nie sądzimy, żeby zniesienie tych zakładów było zgubném lub naruszało wyżéj wymienione interesy, ażeby zagrażało interesom samych dzieci, jeżeliby tylko były przedsięwzięte odpowiednie środki w celu przyniesienia im pomocy. Cała rzecz, cała kwestya pod tym względem polega, zdaniem naszém, na wynalezieniu odpowiednich środków, które zabezpieczałyby przedewszystkiém interesy samych podrzutków, i w dobrém zastosowaniu ich w praktyce. Tym sposobem, nie ulega wątpliwości wszelkie inne interesy lub prawa byłyby zabezpieczone. Nie sądzimy też, aby wynalezienie tych środków przedstawiało niezwalczone trudności, albo żeby zastosowanie ich okazało się niemożliwém.

Jakież więc są te środki, które mogłyby być użyte z większą dla samych dzieci korzyścią jak dotyczasowe domy podrzutków? Zwracając się do krajów, w których zakładów takich niema, widzimy, iż tam w celu zabezpieczenia losu dzieci naturalnych używane są rozmaite środki, które w miarę ich ważności można ugrupować w pewnym porządku. Najprzód obowiązek utrzymywania ich włożony jest na osoby, które ze związku krwi winny być do tego zobowiązane. Do nich należą matka i ojciec dziecięcia, następnie rodzice matki, a w końcu rodzice ojca. Jeżeli osoby te są niewiadome lub nie można ich było wyśledzić, obowiązek utrzymywania dziecięcia pada na gminę, do któréj ono z prawa należy, lub okręgi dobroczynności publicznéj (Armenverbände), o ile takowe istnieją. Gminy w takim razie oddają takie dzieci pewnym osobom na wychowanie (Kostpartei) za co płacą oznaczone wynagrodzenie. Jeżeli środki gmin lub okręgów są niewystarczające, koszt utrzymania dziecięcia pada na instytucye lub zakłady dobroczynne (Stiftungen, Corporationen), o ile te na mocy swoich statutów są do tego obowiązane. Dopiero wtedy, kiedy wszystkie te środki okazały się być niewystarczającemi, staranie o dzieciach takich jest obowiązkiem pań-

stwa, które jednak może mu zadosyć uczynić albo przez oddanie ich na wychowanie, albo przez pomieszczenie ich w zakładach dla nich przeznaczonych. Ztąd widzimy, iż zakłady specyalne zajmują ostatnie miejsce w rzędzie środków używanych w tych krajach dla zabezpieczenia losu dzieci naturalnych.

Do ocenienia względnéj wartości tych środków, porządku, w jakim winny być używane, dojdziemy najłatwiéj badając jaka jest sfera, wśród któréj dziecię najlepiéj się rozwija, która najpewniéj zabezpiecza jego fizyczny rozwój, wykształcenie moralne i umysłowe, jego prawa. Sferą tą bezwątpienia nie może być nic innego tylko rodzina i życie rodzinne. Rodzina jest naturalnym gruntem, z którego dziecię, jako młoda latorośl z ziemi, czerpie soki swego istnienia, fizyczne i moralne. Im rodzina ta będzie lepsza, tém lepszy, szlachetniejszy, zdrowszy wpływ wywrze na dziecię, tém pomyślniejsze zapewni mu warunki fizycznego rozwoju, tém dobroczynniéj wpłynie na jego rozwój umysłowy i moralny. Dziecię pozbawione tych starań i pieczy, jakie może znaleść tylko w rodzinie, więdnie, usycha i ginie, tak jak roślina pozbawiona słońca i wilgoci, wyrwana z naturalnych warunków swego istnienia i przesadzona na grunt bezpłodny i jałowy, gdzie musi uledz pod wpływem nieprzyjaznych okoliczności. Takim gruntem jałowym i bezpłodnym dla dzieci są domy podrzutków, w których większa ich część ginie, reszta zaś pozbawiona gruntownych zasad moralnych, nie ma dostatecznego przygotowania do ciężkiéj nieraz walki życia. Ztąd więc możemy już widzieć, że jeżeli prawodawcy i społeczeństwu leży rzeczywiście na sercu los dzieci opuszczonych, w takim razie winni są starać się o zabezpieczenie im warunków życia rodzinnego, bez którego one pomyślnie rozwijać się nie mogą.

Zwracając znów uwagę na życie rodzinne, niewątpliwie téż dojdziemy do przekonania, że najpierwszą, najgłówniejszą rolę grają w niém względem dzieci, zwłaszcza w początkowych latach ich życia, starania matki. Tylko matka może dać dziecięciu te starania, tę opiekę, jakich potrzebuje jego wiek młodociany. Tylko matka może je otoczyć tą miłością i poświęceniem, jakich wymaga jego wątły jeszcze i słaby organizm.

Ztąd wyprowadzić należy wniosek, że prawodawca, mając na celu zabezpieczenie losu dzieci opuszczonych, winien przedewszystkiem mieć na uwadze wyżéj przytoczone okoliczności i w skutek tego starać się o skłonienie matek do pełnienia tych obowiązków, do których sama natura je powołała. Dopiero wtedy, kiedy starania te okażą się bezowocnemi, prawodawca może się zwrócić do innych środków, które jednak nie będą nigdy tak skuteczne, jak rodzina i życie rodzinne, które nigdy ich w zupełności nie zastąpią.

W jaki sposób prawodawca może dążyć do osiągnięcia powyższego celu?

Widocznem jest, iż nie może tu być mowy o równomiernem

włożeniu obowiązku utrzymywania dziecięcia na obojo rodziców, gdy po większéj części matka tylko dziecięcia naturalnego jest wiadoma, ojciec zaś jest nieznany. Matkę wskazuje akt urodzenia. Z tego powodu prawodawca winien przedewszystkiém uwzględnić matkę i zobowiązać ją do utrzymywania dziecięcia, a nawet przedsiewziąć pewne środki w celu zmuszenia jéj do wykonania tego obowiązku. Kwestya ta wszakże mniéj przedstawia trudności, gdy kobieta jest zamożna lub przynajmniéj posiada środki dostateczne do utrzymania dziecięcia. W tym wypadku winna być wprost i bezwarunkowo zobowiązana do tego, tak jak matka dziecięcia prawego. Dziecię zaś naturalne winno posiadać względem niéj wszystkie prawa dziecięcia naturalnego uznanego.

Co jednak robić gdy matka, jak się częściéj zdarza jest niezamożna?

Na to pytanie, zdaniem naszém nie ma i nie może być innéj odpowiedzi, jak pociągnięcie ojca do przykładania się do ciężarów utrzymania dziecięcia. Ponieważ zaś ojciec zwykle nie jest wskazany w akcie urodzenia, przeto pociągnięcie to może mieć miejsce przez nadanie tak matce jak i dziecięciu prawa dochodzenia ojcostwa naturalnego. Cokolwiekby mówili przeciwnicy tego, według nas, nie może być pod tym względem dwóch zdań, gdyż ten, kto dał życie dziecięciu, przez to samo zaciągnął względem niego obowiązek utrzymywania go. Obowiązek ten jest tak święty, iż od wykonania go nie jest w stanie uwolnić żadne prawo, a tém bardziéj żadne przesądy ludzkie.

Nie będziemy tutaj wdawać się w bliższe udowodnienie tego, poprzestając na powołaniu się na to, cośmy w tym przedmiocie w innem miejscu powiedzieli [1]). Dodamy tylko, iż w krajach, w których dochodzenie ojcostwa jest dozwolone, nie widać żadnych złych z tego powodu skutków, i że w najnowszém prawodawstwie daje się spostrzegać dążenie do coraz szerszego zastosowania tego prawa, do wprowadzenia go tam nawet, gdzie dotychczas było nieznane. Nie widzimy też żadnéj zasady do obciążania społeczeństwa, to jest wszystkich opodatkowanych, kosztami utrzymania w domach podrzutków dzieci, których ojcowie są zamożni. Że tak się często zdarza, zdaniem naszém nie ulega żadnéj wątpliwości. Tak np. do wiedeńskiego domu podrzutków można oddać dziecię zrodzone w zakładzie za opłatą jednorazową 150 guld. tudzież 20 guld. na korzyść miasta. W skutek tego pozostaje ono przez lat 10 na utrzymaniu zakładu, poczém obowiązek ten przechodzi na miasto Wiedeń [2]). Tymczasem za dziecię, oddane na wychowanie, zakład płaci 72 guld. w pierwszym roku, 60 guld. w drugim, a po 48 od 3—10 roku oprócz niektórych nadzwyczajnych naddatków [3]). Tym sposobem

[1]) Kwestya kobieca w świetle najnowszego prawodawstwa. „Biblioteka Warszawska," 1888—grudzień, str. 362.

[2]) Friedinger. Denkschrift, l. c. str. 20.

[3]) Raudnitz. Die Findelpflege, 73.

skoro utrzymanie dziecięcia przez ten czas kosztuje przynajmniej 516 guld., zakład czyli społeczeństwo dopłaca przynajmniéj 346 guld. Zdaje się zaś rzeczą pewną, iż podobne dzieci mają ojców zamożnych, kiedy są w stanie podobną sumę odrazu za nie wypłacić. Dzieci nie zrodzone w zakładzie mogą być przyjęte za jednorazową opłatą 500 guldenów [1]).

Powiedzieliśmy wyżéj, iż od obowiązku utrzymywania dziecięcia naturalnego nie mogą uwolnić ojca jego żadne przesądy ludzkie. Ponieważ wyrażenie to mogłoby być mylnie tłómaczone, uważamy za potrzebne dodać kilka słów wyjaśnienia co pod niem rozumiemy.

Za jeden z najsilniejszych dowodów przytaczanych przeciwko prawu dochodzenia ojcostwa naturalnego przeciwnicy jego przywodzą, że w ten sposób podkopuje się życie rodzinne, spokój i cześć rodziny, że prawo to może wywrzeć zły wpływ na moralność społeczną. Że mniemanie to jednak jest mylném, że jest niczém inném jak przesądem, trudnym do wykorzenienia, dla nas nie ulega żadnéj wątpliwości. Nas zawsze przykro, boleśnie nawet uderzała nierówność położenia i niesprawiedliwość, z jaką dzieci naturalne należące do różnych klas społecznych były i są traktowane. Dziecię naturalne, mogące wywieść swój ród od kogoś, należącego do wyższych klas społecznych, potomek jakiejś osoby panującéj, magnata, bogacza z pewnością będzie używać świetnego stanowiska w społeczeństwie, będzie iść przez świat hardo, z głową podniesioną, spoglądając z góry na innych, na których nawet nie ciąży tak zwana plama urodzenia. Każdy wie, iż w historyi pełno jest wypadków, że dzieci takie używały tytułów książęcych, hrabiowskich, że się stały naczelnikami historycznych rodów, że opływały w dostatki i znaczenie, a także i o tém że i obecnie nic jest inaczéj. Ich nieprawe pochodzenie raz było uznane urzędowo, innym razem było tajemnicą, o któréj wszyscy wiedzieli. Pomimo to, nikt im nie robił z tego powodu zarzutu, nikt nie podniósł głosu, wołając, że przez to moralność społeczna upada i ginie.

Dla czegóż więc dzieci naturalne średnich i niższych klas społecznych mają być w gorszém położeniu? dla czegóż one mają być pozbawione prawa domagać się od swoich ojców nawet nędznych środków utrzymania, wtedy, kiedy inne dzieci, nie prosząc o to, dostają świetne uposażenie? Za przesąd więc uważamy twierdzenie, że możność wskazania ojca naturalnego, nadana jednym dzieciom, wpłynie demoralizująco na społeczeństwo, kiedy toż społeczeństwo samo obecnie wskazuje wielu ojców naturalnych i wcale się tém nie gorszy.

Skoro jednak okazało się, iż ojca naturalnego nie można było odszukać, albo że odszukany nie jest w możności dostarczyć środków utrzymania dziecięciu, matka zaś nie jest w stanie sama zadaniu temu podołać, widocznem jest, że społeczeństwo winno jéj przyjść z pomocą. Idzie tylko o to, w jaki sposób ma to nastąpić? Na py-

[1]) Friedinger, l. c. 21.

tanie to odpowiedziało najprzód prawodawstwo francuzkie, wprowadzając tak zwany secours aux filles — mères, nad którym wypada nam obszerniéj się zastanowić [1]).

Pierwsza myśl udzielania zasiłku dziewczętom-matkom w celu zapobieżenia podrzuceniom i opuszczeniom wyszła od konwencyi w 1793 r. Prawo przez nią wydane brzmiało: „Toute fille, qui pendant dix ans, soutiendra avec le seul fruit de son travail son enfant illégitime, aura droit à la recompense publique“ [2]). Niepodobna zaprzeczyć wysoce filantropijnéj myśli, która kierowała pod tym względem prawodawcą. Rzeczywiście dziesięć lat pokuty, ogołoceń, prywacyi, trudów i starań, poświęcenia, może być uważane za dostateczne odpokutowanie za błąd chwilowy, po którym może nastąpić nagroda. Prawo to jednak, jak wiele innych konwencyi, nie weszło w wykonanie.

Udzielanie bezpośrednio zasiłku matce nieprawego dziecięcia na jego wychowanie, było zalecone w 1837 r. w raporcie ministra spraw wewnętrznych do króla w ten sposób:

„Bezwątpienia rozpusta przyczynia się do zapełnienia domów podrzutków; nie ulega jednak kwestyi, że i nędza także jest jedną z najczęstszych przyczyn opuszczania dzieci. Jeżeliby matka miała za co wyżywić swe dziecię, jeżeliby w chwili urodzenia nie była pozbawiona często najpotrzebniejszych rzeczy, z trudnością zdecydowałaby się opuścić je. Jeżeliby kobieta, prawdziwie biedna, miała nadzieję otrzymać jakiś zasiłek, któryby pozwolił jéj wychowywać przez jakiś czas dziecię, z pewnością zachowałaby je i nie rozłączyłaby się z niem. Idzie więc o to, aby obecny systemat udzielania pomocy dzieciom w domach podrzutków, zastąpić dobrym systematem zasiłku udzielanego matce, o to ażeby zapłacić matce dziecięcia to, co teraz płaci się obcéj mamce. [3]).

Pomimo to środek ten był wtedy stosowany tylko w dwóch departamentach, mianowicie Izery i niższéj Loary. Od 1840—1853 r. wprowadzono go w 60 departamentach, a w 1860 r. było tylko 6 departamentów, w których go jeszcze nie stosowano. Powolne wprowadzenie go w użycie miało miejsce jednocześnie ze zniesieniem kół przy domach podrzutków i zaprowadzaniem systematu przyjmowania à bureau ouvert.

Powolnie też wzrastała i liczba matek, którym w ten sposób pomagano. W 1849 r. było ich jednak 8,072.

---

[1]) Zasiłek ten niektórzy chcieli nazywać zasiłkiem dla nowonarodzonych dzieci (secours aux enfants nouveau—nés, Lallemand zaś twierdzi, iż właściwém jego nazwiskiém winno być secours pour prevenir les abandons, które najlepiéj wyraża jego naturę i racyę bytu. Lallemand, La question des enfants abandonnés et delaissés au XIX siécle, 1885, str. 61.

[2]) Legouvé. Histoire morale de femmes, str. 264.

[1]) Lallemand l. c. str. 60.

Pewna niechęć w społeczeństwie, jaką natrafiło zastosowanie tego środka z początku, spowodowała ministra spraw wewnętrznych do wydania cyrkularza z 27 maja 1856 r. w którym powiedziano:

„Pomiędzy środkami, których administracya może używać z największém powodzeniem w celu zapobieżenia dobrowolnym opuszczeniom dzieci, na pierwszém miejscu należy umieścić zasiłek, przeznaczony dla zachowania dziecięciu jego matki. Moralny w swoim celu, skuteczny w rezultatach, źródło oszczędności dla departamentów, których ciężary zmniejsza, czyniąc rzadszemi podrzucenia, podstawa pomyślności dla dziecięcia któremu zapewnia przywiązanie i starania, których nic nie jest w stanie zastąpić, środek ten spotkał jednak przeciwników [1])." W taki sposób zapatrywały się wówczas na ten środek sfery urzędowe.

W 1859 roku 14,614 matek otrzymywało ten zasiłek, a liczba ich coraz bardziéj się powiększała, inspektorowie zaś generalni w raporcie swoim wyrażali się o tém w następny sposób:

„Z jakiegokolwiek punktu zapatrywanoby się na ten środek, należy przyjść do przekonania, że odpowiedział w zupełności oczekiwaniom wyższéj władzy. Stanowi on do pewnego stopnia wynagrodzenie dla matki, zapewnia niezmierne bezpieczeństwo dla dziecięcia i nie powiększając ciężarów publicznych wywiera wpływ zbawienny na położenie nieszczęśliwych opuszczonych dzieci, nieznających swéj matki. Wszystko to wykazało śledztwo, które usunie godne poszanowania skrupuły, utwierdzi przekonania takie jak nasze i posłuży, spodziewamy się tego, do utrwalenia instytucyi, którą można postawić w rzędzie najznaczniejszych zdobyczy nowszéj administracyi. [2])

Prawo z 5 maja 1869 r. uświęciło ten środek w drodze prawodawczéj, a cyrkularz z 3 sierpnia tegoż roku polecił go jeszcze raz uwadze władz, rozrządzających funduszami dobroczynności publicznéj.

Wskutek tego wszystkiego liczba matek, otrzymujących taki zasiłek, coraz bardziéj się powiększała, a w zamian za to zmniejszała się ilość dzieci pomieszczanych w zakładach. W ciągu siedmiu lat ilość dzieci wychowanych przez domy podrzutków zmniejszyła się z 8,02 do 6,81 w stosunku do ludności i z 2,35 do 1,57 w stosunku do urodzeń. Przeciwnie zasiłki matkom podniosły się z 2,03 do 7,74 na 10,000 mieszkańców i z 0,80 do 1,05 na 100 urodzeń [3]).

O fluktuacyach tych dwóch faktów i wzajemnéj zależności jednego od drugiego możemy się przekonać z następującéj tablicy, wykazującéj zmniejszanie się ilości dzieci przyjmowanych do zakładów i powiększania liczby matek, otrzymujących zasiłek.

---

[1]) Lallemand l. c. 61.
[2]) Lallemand l. c. 62.
[3]) Block. Statistique de la France. T. I. str. 315.

rok	było dzieci w domach podrzutków	ilość matek otrzymujących zasiłek
w 1879	70,843	43,337
w 1880	70,300	43,066
w 1881	69,321	44,971
w 1882	71,160	47,464
w 1883	60,467	47,780

Stosownie do tego powiększała się też i ogólna cyfra wydatków na zasiłki w ten sposób, że: [1]).

w 1879 r.	wydano	3,835,626	fran.
„ 1880 „	„	4,216,041	„
„ 1881 „	„	4,423,539	„
„ 1882 „	„	4,721,970	„
„ 1883 „	„	4,928,561	„

Zasiłek ten bywa zwykle udzielany w ciągu pierwszych tylko trzech lat życia dziecięcia, wielkość zaś jego bywa rozmaita, w miarę środków departamentu. Zwykle w pierwszym roku wynosi on od 8—10 franków miesięcznie, w drugim 8, a w trzecim 6 franków. [2]).

Patrząc na tak małe cyfry podziwiać należy siłę uczuć macierzyńskich w kobiecie, kiedy tak nieznaczny zasiłek o tyle je wzmocnił, że w walce toczącéj się w jéj sercu od chwili przyjścia na świat dziecięcia między chęcią zatrzymania go przy sobie i pragnieniem uwolnienia się od tego ciężaru przez oddanie go do domu podrzutków, doprowadził do zwycięztwa pierwszéj nad ostatniem, do zwycięztwa szlachetniejszych uczuć nad egoizmem.

Zasiłek ten bywa udzielany na mocy decyzyi prefekta, na skutek przedstawienia mera właściwéj gminy. Może być w każdéj chwili cofnięty, jeżeli położenie materyalne kobiety poprawiło się lub jeżeli weszła na złą drogę. Dziecię takie winno być przyznane przez matkę; jeżeliby zaś matka wyszła za mąż, któryby przyznał dziecię, może być wypłacony jednorazowy zasiłek w kwocie 60 fr. W tym jednak wypadku ustaje wypłata miesięczna. Wreszcie zauważyć należy, że z pomocy téj mogą korzystać nawet matki dzieci prawych, jeżeli nie mają dostatecznych środków utrzymania.

Prócz dobroczynności publicznéj udzielaniem takiéj pomocy zajmuje się też i dobroczynność prywatna, która w tym celu utworzyła Sociétés de charité maternelle.

Początek tych towarzystw sięga 1788 r., zadaniem zaś ich jest udzielanie zasiłków niezamożnym kobietom przy połogu. Były one urządzone przez dekrety z 15 maja 1810 r., 25 lipca 1811 r., ordo-

[1]) Annuaire statistique de la France 1886 str. 210.

[2]) Block. Dictionnaire de l'administration française. 1877 str. 867. Według Lallemand zasiłek ten wynosi od 5—18 fr. najwięcéj zaś w Paryżu, bo dochodzi do 20 fr. miesięcznie. Lallemand. La question des enfants str. 196.

nansę z 21 października 1814 i dekret z 1853 r. Od 1814 r. otrzymywały nawet pewną summę ze skarbu państwa, zasiłek ten wszakże był cofnięty przez prawo budżetowe z 29 grudnia 1853 r. Tym sposobem w 1868 r. 78 towarzystw podało pomoc 17,645 rodzinom kosztem 662,474 fr. z własnych funduszów, oprócz 140,000 fr. z zasiłku rządowego. [1]).

I przeciw środkowi temu przytaczano wiele zarzutów. Ponieważ zaś uważamy go za jeden z najważniejszych w rzędzie tych, których można używać przeciwko opuszczeniom i podrzuceniom dzieci, przeto uważamy za konieczne bliżéj się nad nim zastanowić, dla przekonania się o ile zarzuty są uzasadnione lub nie.

Zobaczmy najprzód jaki wpływ środek ten wywiera na śmiertelność dzieci, to jest okoliczność, na którą najbardziéj może pod tym względem należy zwracać uwagę.

Statystyka pokazuje, że rzeczywiście śmiertelność dzieci, pozostających wskutek tego zasiłku przy matce, jest mniejsza od śmiertelności dzieci, przyjętych do zakładów. W Paryżu stosunek ten ma się jak 11 albo co najwyżéj 20 do 25%. W Portugalii, gdzie środek ten również w ostatnich czasach zaczęto stosować, śmiertelność między jednemi i drugiemi dziećmi przedstawiała się w takim stosunku. [2]).

w okręgu	% śmiertelności dzieci w zakładach	% śmiertelności dzieci otrzymujących zasiłek
Vianno do Castello.	11,3	5,1
Vizeu.	11,0	4,9
Angra de Heroismo.	21,3	2,1
Guarda.	15,4	9,1
Santarem.	13,6	(?)
Aveiro.	7,3	(?)
Hosta.	36,3	19,1
Lisboa (bez stolicy).	19,7	5,4
Porto.	9,3	11,4
Portaalegre.	23,8	(?)
Braganca.	10,2	5,2
Evora.	32,38	15,76

[1]) Block. Statistique de la France T. I. 329.

[2]) Raudnitz l. c. str. 55 i 56.

W Petersburskim domu podrzutków umarło w 1884 r. do jednego roku życia 40,9% dzieci, tymczasem z dzieci pozostawionych matkom umarło tylko 12,78% [1]).

Dane te wykazują, zdaniem naszém, stanowczo, że pozostawienie dzieci przy matkach wywiera dobroczynny wpływ na ich organizm pod względem fizycznym, że zmniejsza ich śmiertelność. Pomimo to niektórzy, jak np. Lallemand, [2]) watpią o tém, twierdząc, że statystyczne dane co do tego nie mają takiéj dokładności, na którą możnaby się z pewnością spuścić. Nie sądzimy wszakże, ażeby zarzut ten był słuszny, gdyż wszystkie dane są zbierane z jednakową troskliwością i sumiennością, dane zaś te wszędzie pokazują że śmiertelność dzieci w zakładach jest daleko większa, od śmiertelności dzieci pozostawionych przy matkach. Nie ma więc zasady twierdzić, aby tylko dane, odnoszące się do ostatniego rodzaju dzieci, były niedokładne lub fałszywe, albo że nie można wyciągnąć z nich żadnych pewnych wniosków. Zresztą inaczéj nawet być nie może; bo cokolwiekby o tém mówiono, prawie nigdy płatne starania najętéj mamki nie są w stanie zastąpić opieki matki, tak jak karmienia piersią matczyną nie może zastąpić karmienie sztuczne lub piersią obcéj kobiety.

Mówiono daléj, że środek ten nie przyczynia się do umoralnienia i podniesienia kobiet upadłych, i powoływano się pod tym względem na to, że niektóre z kobiet, otrzymujących zasiłek, popadają po raz drugi i trzeci w to samo położenie, co przecież nie może być uważane za dowód ich poprawy. W saméj rzeczy niepodobna zaprzeczyć, że zdarzają się podobne wypadki. Tak np. w departamencie Gers w 1884 r. było 222 kobiet, otrzymujących zasiłek przy pierwszém dziecku, 19 przy drugiem, 4 przy trzeciem i 2 przy czwartém. [3]).

Pod tym względem jednak zgodziéby się należało ze zdaniem inspektora dobroczynności publicznéj, który w raporcie swoim, donosząc o powyższych faktach, jednocześnie z tém wyraża zdanie, że nie można uważać ich za dowód bezsilności tego środka, ale raczéj za dowód energii instynktu macierzyńskiego, który przetrwał nawet wtedy, kiedy wszystkie inne zatonęły w rozbiciu się życia. Kobiety te, powiada on, nie chciały rozłączyć się z swemi dziećmi, chociaż proponowano im pomieszczenie ich w domu podrzutków. Zresztą fakt ten, zdaniem naszém, niczego nie dowodzi, gdyż widzieliśmy, że były kobiety, które po sześcioro i więcéj dzieci oddawały do domów podrzutków. Nie ulega téż wątpliwości, że pozostawienie dziecięcia przy matce umoralnia ją, gdyż często prowadzi do małżeństwa z ojcem tegoż i przyznania go w następstwie za prawe. Na potwierdzenie tego faktu nie potrzeba się nawet odwoływać nawet do Francyi,

[1]) Izwleczenie iz otczeta. str. 20 i 28.
[2]) Lallemand l. c. 192.
[3]) Lallemand l. c. 195.

ale do spostrzeżeń czerpanych z naszego kraju, w którym fakty takie zwłaszcza po wsiach, wcale nie są rzadkością. Nie można też twierdzić, ażeby zasiłek pieniężny, udzielany matce, działał demoralizująco na kobiety, żeby go można uważać za premium, nagrodę za niemoralność, cóż bowiem może działać bardziéj demoralizująco jak domy podrzutków, które gotowe są w każdym razie do przyjęcia i ukrycia na zawsze dowodu błędu i upadku kobiety? Jakąż kobietę należy wyżéj postawić pod względem moralnym, czy tę, która, otrzymując zasiłek, własną pracą i poświęceniem, często wśród braku najpotrzebniejszych rzeczy, stara się o utrzymanie i wychowanie swego dziecka, czy téż tę, która odrazu pozbywa się tego ciężaru, oddając je do domu podrzutków? Zdaje się, że co do tego dwóch zdań być nie może.

Twierdzono następnie, że środek ten nie zmniejszy ciężarów społeczeństwa, gdyż od czasu stosowania go w szerszych rozmiarach każda kobieta, mająca dziecię naturalne, zgłasza się po zasiłek; wskutek tego zaś wydatki na to ciągle się powiększają [1]). Pod tym względem jednak prosta rachuba przekonywa, że zasiłek udzielany matce jest mniéj kosztowny od utrzymania dziecięcia w zakładzie. We Francyi zasiłek ten udzielany jest co najwyżéj przez trzy lata, często zaś kończy się i wcześniéj. Według Davenne'a [2]) wynosił on w pierwszym roku 87 fr. 12 cent., w drugim 76 fr. 56 cent. a w trzecim 69 fr. 24 cent. czyli ogółem 239 fr. 92 cent. Tymczasem utrzymanie dziecięcia przyjętego do zakładu, przez lat 12,w ciągu, których zostawało od niego w zależności, kosztowało co najmniéj 1403 fr. 30 cent. W innych krajach jak np. w Portugalii zasiłek ten jest jeszcze mniejszy. Ztąd widać, iż pierwszy środek jest bardziéj ekonomiczny; że używając go w ogóle możnaby albo zaprowadzić znaczne oszczędności w budżecie dobroczynności publicznéj, albo téż przyjść z pomocą znaczniejszéj ilości dzieci. Rozumie się, że powyższe cyfry nie mogą być ściśle brane, raz z powodu, że tak jedne jak i drugie do dnia dzisiejszego uległy znacznym zmianom, w ogóle zaś podwyższeniu, a drugi raz z powodu, że koszta te nie we wszystkich departamentach są jednakowe. Istota jednak rzeczy pozostała ta sama, to jest że zasiłek mniéj kosztuje społeczeństwo od utrzymania dziecięcia w domu podrzutków.

Mówiono daléj, że zasiłek ten nie wywiera dobroczynnego wpływu na przyszłość dziecka, gdyż pozostawienie go przy matce upadłéj moralnie nie może nie odbić się zgubnie na jego charakterze. Wskutek tego wychowanie go w domu podrzutków przedstawia się korzystniejszém. Zdaniem naszém i ten zarzut nie wytrzymuje krytyki, najprzód dla tego, że pozostawienie dziecka przy matce, znaczy pozostawienie go w téj sferze społecznéj, wśród któréj się urodziło,

[1]) Lallemand l. c. 198.

[2]) Davenne. De l'organisation et du régime des secours publics en France. 1865. T. II. str. 137.

i żyć będzie i później. Dziecię takie nie wyrwane, że się tak wyrazimy, z właściwéj mu sfery, nie będzie się czuć tak obcém i odosobnionem w społeczeństwie, jak to ma miejsce z dziećmi pomieszczonemi w domach podrzutków, nie będzie dla niego tak wrogo usposobione. Następnie należy pamiętać, że i dom podrzutków nie wychowywa sam dzieci, ale często oddaje je na wychowanie osobom prywatnym. Nie ulega kwestyi, że i te osoby, pomimo wszelkich ostrożności w wyborze i nadzorze nie są wolne od zarzutów i mogą wywrzeć zgubny wpływ na moralny charakter swoich wychowańców. Wychowanie więc dzieci w ten sposób nie ma przewagi nad wychowaniem przez matkę. Daléj należy zauważyć, iż bez względu na klassę społeczną do jakiejby należały, dzieci, pozostawione matkom, nie są pozbawione środków wykształcenia umysłowego w kraju takim jak Francya, gdzie jest zaprowadzone obowiązkowe i darmo uczęszczanie do szkoły.

W każdym razie przyznajemy, że z tego punktu widzenia rzeczy możnaby zrobić zarzut temu zasiłkowi, ale pod tym względem, że trwa za krótko i że jest za mały, że przez to nie przynosi wielkiéj ulgi i pomocy matce w wychowaniu dziecięcia. Ta jednak okoliczność dowodzi tylko, jak już powiedzieliśmy wyżéj, do jakiego stopnia silny jest instykt macierzyński nawet u kobiet upadłych, skoro tak skromny zasiłek potrafi je wstrzymać od oddania dziecka do domu podrzutków, chociaż przez to uwolniłyby się od razu od wszelkich kłopotów, chociaż wiedzą, że przez pozostawienie dziecięcia przy sobie narażą się na większą jeszcze jak przedtem pracę, niedostatek, poświęcenie.

To samo można powiedzieć o ostatnim zarzucie jaki czyniono temu sposobowi przychodzenia z pomocą, dzieciom i ich matkom, który polega na tém, że nie przynosi on żadnéj korzyści społeczeństwu. Nam się zdaje przeciwnie, głównie z dwóch powodów. Najprzód dla tego, że dzieci pozostawionych matkom umiera mniéj jak dzieci w zakładach. Każde więc ocalone od śmierci dziecię stanowi wygraną dla społeczeństwa. Następnie dla tego, że dzieci takie znajdując się w społeczeństwie w takich samych warunkach, co i inne dzieci naturalne, mniejszém grożą mu niebezpieczeństwem od dzieci wychowywanych w zakładach, które, pomimo wszelkich starań łożonych na ich wychowanie, zawsze będą niechętnie, a nawet wrogo dla niego usposobione.

Z tych wszystkich powodów sądzimy, zdaje się nie bezzasadnie, że zasiłek, udzielany matce dziecięcia na jego utrzymanie., pod każdym względem ma przewagę nad wychowywaniem w domach podrzutków. Słusznie téż twierdzi Block, gruntowny znawca administracyi francuzkiéj, że urządzenie to, jak doświadczenie dowiodło, doprowadziło do pomyślnych rezultatów, tak pod względem umoralnienia rodziców, jak i pod względem zmniejszenia śmiertelności dzieci i liczby podrzuceń [1]).

[1]) Block. Dictionnaire de l'adm. 1877. str. 867, l'institution des se-

Słusznie też postępują, zdaniem naszem tam, gdzie środek ten wprowadzają w użycie, jak np. w Portugalii. W kraju tym zasiłek matkom udzielany bywa, stosownie do prowincyi, w rozmaitéj wielkości i przez różny przeciąg czasu, chociaż w ogóle w nader skromnych rozmiarach. Tak np.: w okręgu Vianno de Castello dawany jest przez rok w ilości 1,000 reisów, wyjątkowo przez drugi rok w ilości 800 r. [1]). W okręgu Vizeu 800 reisów przez 18 miesięcy, w Guarda, Santarem, Aveiro 1,200 reisów przez 18 miesięcy; w Horta zasiłek udzielany jest przez 3 lata, po 10 milreisów [2]) w pierwszych dwóch latach, a 8 milreisów w ostatnim roku. W Evorze w pierwszym roku 2 milreisów, w drugim i trzecim po 1,600 reisów. W Lizbonie w pierwszym i drugim roku 2 milreisy, w trzecim roku 1,6 milreisów i t. d. [3]). Podobnież i w Petersburskim domu podrzutków na mocy przepisów z 24 kwietnia 1882 r. zaczęto stosować ten środek. Podług tych przepisów, matkom oddającym swe dziecię do tego zakładu może być dozwolone zatrzymać je u siebie przez trzy lata na wychowaniu. W tym wypadku dostają one zasiłek w ilości 30 kop. dziennie w ciągu pierwszego roku, 20 kop. w ciągu drugiego i 10 kop. w ciągu trzeciego roku. Z 1883 r. powstało takich matek 124, a w 1884 r. zasiłek ten był udzielony 267 matkom [4]).

Jakkolwiek z tego wszystkiego widać, że środek ten uważać należy za jeden z najskuteczniejszych przeciwko podrzuceniom i opuszczeniom, prawodawca wszakże w celu nadania mu większéj siły energii, winien przedsięwziąć pewne inne środki względem tych przestępstw. Do ich rzędu zaliczyć należy zabezpieczenie większéj represyi karnéj. Wprawdzie i prawodawstwa obecnie obowiązujące stanowią kary, nawet dość surowe za podrzucenie i opuszczenie dziecięcia, nie można jednak powiedzieć, ażeby kary te dosięgały swego celu. Przyczyna tego leży, może być w tém, że przestępstwa te nie są dosyć ściśle dochodzone w praktyce. W praktyce dzieje się najczęściéj tak, że dziecię jest podrzucone, że go policya zabiera i umieszcza w domu podrzutków, że następnego dnia w dziennikach znajdujemy wiadomość o tym fakcie. Fakt ten jednak nie pociąga za sobą żadnych innych następstw, żadnego na seryo dochodzenia. Nie można się zaś zasłaniać pod tym względem niemożliwością, jeżeli bowiem możliwem jest ustanowić przepisy względem meldowa-

cours tomporaires aux enfants nouveau — nés, a produit, l'experience le prouve, d'heureux résultattant au point de vue de la moralisation des parents, que sous le double rapport de la diminution des abandons et de la diminution de la mortalité des enfants.

[1]) 4,500 reisów równa się 1 funtowi szterlingowi.

[2]) Jeden milreis równa się 1,000 reisom.

[3]) Raudnitz l. c. str. 53.

[4]) Izwleczenie iz otczeta. str. 28.

nia, na skutek których można wiedzieć o każdéj zmianie w ruchu przyjezdnych i wyjeżdżających, to jak wytłumaczyć fakt zupełnéj nieświadomości co do zniknięcia z pewnego domu bez śladu dziecka, które się w nim urodziło, w nim jakiś czas żyło i którego istnienie było wiadome wielu osobom. Sądzimy, iż zadanie wyśledzenia takiego faktu nie przewyższa sił policyi, obowiązanéj do prowadzenia nadzoru nad ruchem ludności. Nie należy zdaniem naszém do niemożliwości ustanowienie takiego nadzoru nad dziećmi naturalnemi, ażeby było wiadomem co się z niemi stało. Proste zawiadomienie policyi o fakcie urodzenia dziecięcia naturalnego przez urzędnika, utrzymującego akta stanu cywilnego lub akuszerkę, w wielu wypadkach byłoby dostatecznem.

Dopiero wtedy, kiedy wszystkie powyższe środki, mające na celu zapewnić dziecięciu wychowanie w rodzinie, pod opieką matki okazały się bezskutecznemi, prawodawca nie tylko może, ale winien przedsięwziąć inne środki dla zabezpieczenia jego życia i losu. Wtedy też może obowiązek ten włożyc na społeczeństwo.

Pod tym względem najprzód powołaną być winna gmina miejsca zamieszkania matki lub urodzenia dziecięcia, jeżeli zamieszkanie matki nie było wiadome. Gmina obowiązkowi temu może zadosyć uczynić, wydzielając z funduszów swych, przeznaczonych na dobroczynność publiczną, wynagrodzenie dla osób, któreby wzięły na wychowanie dziecię. Jeżeli fundusze gminy okazały się niedostatecznemi, mogą jéj przyjść z pomocą większe okręgi administracyjne, tak jak w każdym innym wypadku, kiedy idzie o cele publiczne, a środki gminy nie wystarczają. I osoby prywatne, a nawet zakłady i towarzystwa dobroczynne mogą się przyczynić do osiągnięcia tego celu. Wreszcie kiedy i te środki byłyby niedostatecznemi, państwo winno się tém zająć, i z swoich funduszów dostarczyć środków na chowanie dzieci, do ktorych utrzymania żadna z powyżéj wymienionych osób lub instytucyi nie może być zobowiązana, które jednak nie mogą pozostać się bez żadnéj opieki. Zadaniu temu państwo może odpowiedzieć, bądź starając się o wychowanie takich dzieci przez osoby prywatne za wynagrodzeniem, bądź tworząc osobne zakłady dla sierot i dzieci opuszczonych.

Nie będziemy się tutaj wdawać w rozbiór wszystkich tych środków, gdyż przez to rozszerzylibyśmy nad zamiar naszę pracę i tak może za obszerną. Z resztą byłoby to poczęści zbytecznem, gdyż środki te winny być stosowane w praktyce według zasad i przepisów przyjętych dla dobroczynności publicznéj w ogóle. Zaznaczyć tylko wypada, że działalność państwa, zwłaszcza za pomocą specyalnych zakładów dla sierot, winna zająć, jak się z powyższego okazuje, ostatnie miejsce w rzędzie środków, które mogą być używane dla zabezpieczenia życia i losu dzieci podrzuconych lub opuszczonych w ogóle.

W taki sposób, należy, zdaniem naszém, zapatrywać się na domy podrzutków. Może być, że nie jeden z zapatrywaniem tém nie zgodzi się, zarzucając mu bądź jednostronność, bądź przesadę. Przeciwko zarzutowi temu bronić się nie będziemy, gdyż wypowiedzieliśmy w kwestyi téj zdanie, płynące z głębokiego przekonania, do którego doszliśmy w skutek gruntowniejszego badania téj kwestyi z rozmaitych punktów widzenia rzeczy. W obec coraz częstszych nawoływań prasy zmusiło nas poczucie obowiązku obywatelskiego do wypowiedzenia naszego zdania, jako głosu ostrzegającego. Sądzimy jednak, że i możliwy nasz przeciwnik zmuszony będzie przyznać, że w kwestyi domów podrzutków są różne zdania, że przeciwko zakładom tym można przytoczyć bardzo poważne zarzuty, że wskutek tego kwestyą tę należy uważać za otwartą, i że nie można bezwarunkowo nawoływać do otwarcia drugiego domu podrzutków u nas, dopóki kwestya pożyteczności ich lub szkodliwości nie zostanie stanowczo rozstrzygniętą.

„ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO“

MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.

STUDYUM Z LITERATURY XVI-GO WIEKU. [1])

NAPISAŁ

Walery Gostomski.

Określiwszy w ten sposób, czém jest prawdziwe szlachectwo, zwraca się Rej do stosunków prywatnego życia i naucza, jak poczciwy człowiek winien sobie wśród nich postępować. Szczegółowo zastanawia się nad grzechami, którym podległa jest natura ludzka, przy czém ma na względzie szczególniéj grzechy szlachty polskiéj jako to: łakomstwo, pychę, zazdrość, gniew.

Cały ten ustęp obfituje w charakterystyczne obrazki, które nam pozwalają wejrzeć w głąb obyczajowości i domowego życia szlachty XVI-go wieku. Nie można oczekiwać od satyry Reja subtelnego rysunku i wytwornych form artystycznych. Charaktery życia ówczesnego przedstawiają się u Reja rubasznie, niekiedy nawet trywialnie: ale przytém tyle tutaj plastyki, taki niezrównany, polski humor, taka żywość i dosadność dykcyi, iż podobne zalety nadają temu obrazowi wysoką wartość.

Życie szlachty XVI-go wieku nie mogło się odznaczać nader wytwornymi formami. Kultura estetyczna rozpowszechniona była wprawdzie w ówczesnéj Polsce, ale tylko w wyższych warstwach towarzyskich, w tych, które odtwarza Górnicki w swoim Dworzaninie; reszta zaś ogółu szlachty, którą Rej ma głównie na widoku, jakkolwiek posiadała dosyć wyrobioną kulturę etyczną, we względzie jednak estetycznych form stała dosyć nizko. Formy estetyczne są pewnym zbytkownym wytworem cywilizacyi, panują też dopiero w społeczeństwie dojrzałém i wyrobioném. Wtedy przyoblekają wszelkie objawy ży-

[1]) Ciąg dalszy.—Zob. na miesiąc styczeń 1889 r.

cia równie dodatnie jako też ujemne i sprawiają, iż strony ujemne przedstawiają nam się w sposób nie rażący; gdy zaś w społeczeństwie, które nie doszło jeszcze do wyższego rozwoju kultury estetycznéj, zboczenia moralne i obyczajowe występują w całéj swéj naturalnéj brzydocie bez żadnych sztucznych obsłonek.

W społeczeństwie szlachecko-polskiém XVI-go wieku ujemne objawy życia występowały w całéj swéj rubasznéj i trywialnéj nagości. Tak je też przedstawia autor „Żywota.“

Najobszerniéj rozwodzi się Rej nad grzechem łakomstwa;— podobnie jak Kochanowski w „Satyrze“ na pierwszém miejscu wyrzuca współczesnéj szlachcie tę wadę, widząc w niéj przyczynę upadku ducha rycerskiego i uczuć obywatelskich. Z téj zgody dwóch naczelnych pisarzy możemy wnosić, iż wada ta była wówczas bardzo rozpowszechniona. I rzeczywiście wiemy zkądinąd, iż szczególnie pomyślne warunki ekonomicznego rozwoju w Polsce XVI w. jako to: długotrwały pokój, rozwój handlu, szerzenie się kolonizacyi polskiéj na bogatych ziemiach wschodnich i t. p. sprawiły, iż szlachta ówczesna z nadzwyczajną gorliwością rzuciła się do gromadzenia bogactw, co, przy skupieniu ich wyłącznie w rękach téj jednéj tylko warstwy narodu i przy nieumiejętném a często szkodliwém ich użyciu, musiało źle oddziaływać na ogólną pomyślność kraju. Ogromne majętności rozwijały egoizm w stanie szlachecheckim, w obec zaś braku przemysłu miejscowego nie przyczyniały się one do pobudzenia żywszéj działalności i pracy, stanowiącéj jedyne źródło pomyślności ekonomicznéj, lecz służyły jedynie do podtrzymania zbytków i próżniactwa, które paczyły moralny charakter narodu i powoli gotowały mu upadek. Równie Rej jak i Kochanowski wskazują też zamiłowanie w zbytkach jako główne źródło niepomiernéj chciwości. Rej nawet krótko bardzo zatrzymuje się nad moralną brzydotą samego grzechu łakomstwa, zwraca się głównie do panujących wówczas zbytkownych nałogów i zwyczajów, gdzie uwydatnia całą swoję satyryczną werwę.

Kolejno wylicza zbytki panujące w strojach, pojazdach, potrawach i napojach. Z niezrównanym humorem wyszydza panujące ówczesne mody. Widzimy tedy, iż kaprysy mody nie są tylko plagą naszych czasów, bo i w XVI-ym wieku nie mniéj jak dzisiaj tyranizowały one ludzi.

Oto krótki przykład pełnéj werwy dykcyi Reja w tym ustępie: „A by dziesięć krojów na każdy tydzień wymyślił, tedy każdy chwalą. Będzie jedna (mowa o sukni) z długim kołnierzem aż do pasa, to powiadają, iż tak czyście, chłop ozdobny, od wiatru się zasłoni kiedy trzeba, i kijem we grzbiet nie tak barzo puknie. Będzie zasię druga, co kołnierza nie będzie u niéj i na palcu, a przed się też tak czyście, wolno mi się obejrzeć kędy chcę i jako chcę, a przed się może kołnierz w szyję nie kąsa.

Będzie druga z długiemi rękawy, a czasem i ze trzemi, też tak powiedają czyście, chłop znaczny na koniu kiedy, rękawy około niego trzpialają. Będzie druga co jedno rękawiki do łokcia, a też tak przed się czyście, wolniejszym tak i snadnie mi na koń wsieść..." (str. 208). „Ja wierzę by kto pozłociwszy rogi na łeb włożył, wtedy nie wiem, by nie powiedali, iż to tak czyście, bo wszystko czyście, by się jedno co dziś pojawiło, czegochmy wczora nie widzieli." [1]) (str. 209).

Daléj przesuwają się przed oczyma naszemi obrazy biesiad ówczesnych. Widzimy tu, jaki przepych panował w zastawie stołowéj. „Patrzcie na potrząski rozliczne, patrz na pozłotki, na farby, na malowania dziwne, a snadź by je mógł nie zwać potrawami, ale obrazki jakiemi malowanemi. Ano na jednéj misie baran pozłocisty, na drugiéj lew, na drugiéj kur, na trzeciéj jaka pani ubrana. Więc dęby z żołędźmi, więc z różami pozłocistemi, więc z rozmaitemi kwiatki zewsząd osadzonemi" i t. d. (str. 211).

Tak wyglądała zastawa w domu możnych panów. Ale i mniéj zamożna szlachta nie chciała pozostać w tyle. Rej wyszydza starą polską wadę, która i dziś podobno z niemniejszą siłą panuje: mianowicie chęć wyrównania możniejszym. Równość obywatelska, która w życiu publicznem nigdy naprawdę nie była urzeczywistniona, wyrażała się głównie we współzawodnictwie w zbytkowaniu, ztąd tak powszechne zawsze w Polsce życie nad stan. Można pani w odwiedzinach u skromnego ziemianina ujrzała obrus z listwami na stole i rzekła: „Już nie wiemy co mamy przed wami wymyśleć, już muszę dać perłowe listwy do obrusa uczynić. A ziemianka stojąc powiedziała: Więc my też chociaj drobniejszemi perełkami, miłościwa pani, ale przed się w tenże wzór co i etc." (str. 214).

Niepomierne pijaństwo nieraz towarzyszyło biesiadom ówcze-

---

[1]) Przytoczę tu dla porównania ustęp o modach z pamiętników Paska: „...To taki zwyczaj u nas w Polsce, że choć kto suknią na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potém ta moda ma wielką komplacencią u ludzi, póki nie przejdzie do prostych ludzi. Co ja już pamiętam odmiennéj coraz mody w sukniach, w czapkach, w kitach, szablach i rzędzikach, w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gustach w stąpaniu i witaniu, o Boże Ś. nie spisałby tego na dziesięciu skórach wołowych, co jest największa płochość narodu naszego i wielkie ztąd pochodzi zubożenie. Mógłbym tego ornamentu mieć na cały wiek i dzieciomby się dostało, kupiwszy raz u cudzoziemców,— aż za rok albo i prędzéj, nie moda, nie tak zażywają, to psuj, to przerabiaj, albo na tandetę daj i inszy sprawuj; bo musiałbyś się w tém chyba między domowemi ścianami prezentować, inaczéj między ludzi wyjechawszy, to zaraz jako wróble na sowę dziw, zaraz palcem pokazują, zaraz mówią, że ten strój potop pamięta. O domach i ich wymysłach nic nie mówię, bobym tę wszystkę księgę tą zapisał materią."

(Reszty rękopismu Jana Chr. Paska, wydanie Lachowicza — Wilno 1854, str. 55).

snym. Rej dosadnie przedstawia jego smutne skutki. „Nieborak on dzbanarz leda gdzie we błocie się powali, tamże i uśnie, suknią pomaże, czapkę straci, ostrogi mu odbiorą, z mieszka wszystko wydłubią, a on nieborak mniema by w łaźni był a iżby go balwierz golił, ano mu psi gębę liżą. Obudziwszy się więc to oskuba, sukmanę ubłoconą za rękaw za sobą wlecze, nogi mu chodzą po kolędzie, a przed się na drugiego woła: O panie, zamieszkałeś czystéj biesiady, tociechmy tu byli weseli, ba i panowieć się podobno popili, bo ich nie widać. Aleć wesół, ano we łbie i w mieszku nic nie masz, szczka, zatacza się, łeb się najeżył, a snadź daleko weselszy bywają wilcy w lesie i lepszych krotochwil używają, niż ten szlachetny naród, a to uczciwe Boże stworzenie, który się już wda w ten wszeteczny a prawie bydlęcy nałóg i zwyczaj“ (str. 221).

Daléj dowodzi autor, jaką to szkodę przynoszą zdrowiu obżarstwo i pijaństwo:—różne choroby się ztąd mnożą; upadek sił fizycznych i moralnych nieuniknioném ich jest następstwem. Owa miła i wdzięczna duszyczka, „któréj myśl zawżdy jako płomień ku górze ciągnie“ obumiera, siedząc niby w więzieniu w ciele pijanicy. „A wszakoż i poczciwy więzień tedy się wżdy stara to przez listy, to przez posły, jakoby wżdy swe rzeczy stanowił, a powinności swéj dosyć czynił. Także też ten nędzny a smętny więzień ta dusza święta, chocia bardzo zbolała w tém plugawém więzieniu swojém, przed się się stara, a przed się jako może przestrzega tego plugawego a sprosnego gospodarza swego“ (str. 227).

Owe zbytki sprawiają, iż ludzie nie chcą przestawać na małem i zamiast używać spokojnego żywota narażają się na trudy, cierpienia i niebezpieczeństwa, aby tylko powiększyć swoje mienie. Rej ze spokojem filozoficznym patrzy na te nieustanne zabiegi ludzkie i pojąć ich nie może. Spoglądając na życie z wyłącznego stanowiska horacyuszowskiego rolnika, nie odróżnia pracy i działalności, wynikającéj z warunków ekonomicznego rozwoju, ale wszelkie zabiegi o powiększenie mienia piętnuje mianem łakomstwa i widzi w nich tylko chęć niepomiernego użycia i niedorzeczeczne zamiłowanie przepychu. Obrazowo wystawia kruchość i znikomość dóbr ziemskich. „Widzimy, mówi, iż ty trudne nabycia nasze są jako proch a marne śmiecie na drodze leżące, które leda wicher porwać i unieść może“ (str. 242). Naturalną jest rzeczą, iż nie mógł on pojmować ekonomicznego znaczenia zabiegliwości ludzkiéj. Życie ówczesne nie dostarczało mu wzorów w tym kierunku.

W końcu obszernego rozdziału o łakomstwie i zbytkach powraca autor do téj zasadniczéj myśli swych poglądów, iż cnota i rozum powinny hamować wszelkie zapędy ludzkie, bo wszelkie dobra ziemskie o tyle warte o ile cnotą są ozdobione;—w przeciwnym razie „tedy to wszystko jest jako malowana łódź a pięknie przyprawiona a dziurawa, albo koń pięknie ubrany a zły, nikczemny“ (str. 246). Przyrównywa cnotę do słońca: Podobnie jak słońce zaciem-

niają często chmury, także też cnota zaćmioną bywa zabawami świata tego; lecz, jako światło słoneczne rozprasza chmury, podobnie i cnota rozprasza owe błędy i słabości ludzkie i oświeca człowiekowi jego ziemską pielgrzymkę.

W dalszym postępie swych spostrzeżeń czyni Rej trafną uwagę, iż grzechy jedne z drugimi się łączą, jedne z drugich wynikają. „Za zbytki idzie łakomsto, za łakomstwem a za bogactwem pycha, za pychą wzgardzenie i zwada, więc ubóstwo, toż zasię znowu spomógłszy się zbytki, a za zbytki znowu łakomstwo. A tak się to koło zdawna na świecie ustawicznie toczyć musi“ (str. 248). Zwraca się daléj do pychy, choć właściwie mówił już o niéj w rozdziale o naturze szlachectwa. Takich powtarzań pełno w „Żywocie“; nie przynoszą one jednak wielkiéj ujmy dziełu, gdyż choć te same powtarzają się myśli, ale zawsze w nowych kształtach, w nowych a dosadnych i żywych przenośniach i porównaniach, zyskuje więc na tém artystyczna strona utworu. Poprzednio rozważał Rej pychę, jako wynikającą z uprzywilejowanego stanowiska szlachty, teraz traktuje ją jako ogólną przywarę natury ludzkiéj w związku z innemi grzechami. Przeciwstawia wielkości i potędze Boga nędzę i niedoskonałość ludzką i z właściwą sobie rubaszną energią i dobitnością tak przemawia do dumnych pyszałków: „A czemże się ty nędzna mucho nadymać chcesz? a dla czegóż tę plugawą gębę podnosisz na wzgardzenie i na lekkość bliźniego twego? który byś z nim siadł na wagę daleko zacniejszy jest a niśli ty u pana swego... A cóż ci potém nędzniku, iż siedzisz jako malowana opona za kęsem kamienia wykowanego, albo za jaką wykowaną ścianą, albo za jaką upstrzoną kobierczyną, nadąwszy nos swój? albo podniósłszy gębę swoję, ano choć ci kęs w oczy pochlebują a odszedłszy wszyscy się śmieją, wszyscy o tobie szepcą, wszyscy tobą choć nie w oczy gardzą, a ty nie dbasz kiloby kilo wąsatych chłopów przed tobą stało, a iżciby czterej ręcznik dzierżyli, a ty abyś jedno chrapał, spluwał, na stronę poglądał, z postawą mówił a ludzie abyć się jedno dziwowali, a ośmiawszy, aby cię szli szacować z onych sprosnych postaw i obyczajów twoich“ (str. 250, 251).

Pycha jest także wynikiem zbytniego zamiłowania w dobrach światowych, ztąd powraca Rej znowu do rozważanej już poprzednio nieużyteczności wszelkich zabiegów ludzkich i przeciwstawia temu zamąconemu życiu szczęśliwość pierwotnéj patryarchalno-sielankowéj epoki. Uprzedza tu Rej w pewnéj mierze genewskiego filozofa, widząc przyczynę wszelkich ułomności ludzkich w odstępstwie od pierwotnego życia na łonie przyrody. Rousseau doszedł do tego poglądu drogą abstrakcyjnego myślenia, pod wpływem sentymentalnego kultu dla ogółu natury, u Reja wynika on ze świeżości i prostoty naturalnych uczuć: sam on jest prawdziwém dzieckiem natury, jakby zabytkiem owego złotego wieku pierwotnéj doskonałości i harmonii przyrodzonéj.

Z pychy i wzgardzenia bliźnich wynikają zwady i gniewy. Téj ułomności ludzkiéj poświęca Rej obszerny ustęp. Przy krewkiéj naturze szlacheckiéj zwady i kłótnie były, jak wiadomo, zawsze bardzo rozpowszechnione w Polsce, dla tego ze szczególną troskliwością wykazuje nasz moralista szkodliwe skutki gniewu. Najprzód przedstawia, że gniew poniża człowieka, odbiera mu jasność myśli, czyni podobnym dzikiemu zwierzęciu; następnie podaje sposoby, za pomocą których można w sobie gniew poskramiać. Zasadniczą myślą wszelkich jego wywodów jest uznanie moralnéj siły człowieka jako potęgi, trzymającéj na wodzy jego namiętności: „Albowiem to prawy pan, mówi, kto się sam zwycięży a nie da sobie rozkazować żadnym afektom albo postronnym zmysłom ciała swego" (str. 299). Zawsze więc wyrobiony charakter moralny stawia jako najwyższy przymiot człowieka. Trzymając się jednak gruntu rzeczywistości nie wznosi się Rej na idealne wyżyny chrześciańskich zasad pokory, przebaczenia;—owszem, uważa, „że poczciwy człowiek, może się pomiernie a rozmyślnie krzywdy swéj pomścić," tylko nie należy się w tém powodować zaślepieniem gniewu.

Widzimy, iż skala moralnego sądu Reja niezbyt wysoka, jego etyczny ideał ulega zaćmieniu przez pospolitą praktykę życia. Ale taki sąd wynikał z ogólnego stanowiska naszego moralisty.

Niezatrzymuję się dłużéj nad rozdziałami traktującymi o namiętności gniewu, osnowa ich przeważnie teoretyczno-moralna, mało zaś obrazów i rysów charakterystycznych epoki, o które mi głównie chodzi. Obszerny rozbiór poglądów Reja na naturę gniewu i sposoby opanowania go znaleźć można w rozprawie p. Romana Plenkiewicza p. t. Etyka Mikołaja Reja. [1]). Zwrócę tylko uwagę na nader malownicze określenie zamętu życia, który nas otacza a który jak wszystko przemija i ginie „Albowiem tu do czasu siedzimy jako w jakim dymie, parskając i gniewamy się na dym; a tego nie baczymy, iż i z dymu wynijść musimy i dym bardzo przeminąć może. (str. 302).

Gdy już poczciwy człowiek pozbędzie się wszelkich wad i ułomności, które mu zamącają życie, powinien rozważyć, jaka droga prowadzi do osiągnięcia trwałego i prawdziwego szczęścia. Życie pełne jest przygód, trosk i zawodów; — na każdym kroku podlegli jesteśmy zmiennym kolejom losu. Jakże więc wśród tego zamętu winien sobie postępować człowiek poczciwy? Dwie są główne gwiazdy, wedle Reja, które mu oświecają drogę życia i zabezpieczają od ciosów fortuny; prawda i stałość. Prawda powinna zawsze jaśnieć w jego postępkach „bo gdzie prawda zawije gniazdo swoje już tam wszystkie cnoty nielza jedno się przy niéj osadzić muszą."

Co jest prawdą? zadaje sobie pytanie Rej. Nie przenika atoli do filozoficznéj głębi tego pytania. Przez prawdę rozumie on po-

[1]) „Kłosy" z r. 1880.

prostu szczerość w słowach i czynach ludzkich. Szczerość uważa za kardynalny przymiot poczciwego człowieka, bez niej wszystkie cnoty tracą na swéj wartości. Fałsz i obłuda wzbudzają w nim zawsze wstręt największy. „Albowiem już nie może być szkodliwsza rzecz, jako gdy kto nadobnymi, farbowanymi słówki a oną anielską postawką pokrywa prawdę świętą, a fałsza, onego nieszlachetnika chce prawdą uczynić. Jeszcze to snać szkodliwszy niźli on pies, co się idąc do ciebie łasi a marda ogonem, a gdy się nie obaczysz alić on za nogę cap.“ (str. 306).

Człowiek obdarzony taką organizacyą psychiczną jak Rej, musiał być wolny od wszelkiéj obłudy. Szczerość jest stałą cechą Reja w życiu i pismach, słusznie też mówi o nim Kraszewski: „Reja nie potrzebujesz się dopytywać długo, otwarty a szczery szlachcic, jeszcze dziś po trzystu latach, stoi przed tobą jakim był,—jak mnie widzisz, tak mnie pisz. [1]).

Atoli jeśli sam pełen jest szczerości nie idzie zatem, aby wszystkim naiwnie wierzył. Doświadczenie i bystry rozum wskazują mu, iż na świecie pełno jest fałszu i obłudy; dla tego każe poczciwemu człowiekowi pilnie rozróżniać prawdę od fałszu, upatrować co pod pokrywką wre, jak się wyraża. Przy téj sposobności prześlicznie i dobitnie określa szczerą a prawdziwą mowę: „A tak nie tyć słówka mają być baczone albo uważane, które rozlicznemi przysmaczki albo onemi krasomównościami bywają zafarbowane, ale ony co idą z ust jako piorun trzaskał, a iż znać w nich wierną szczerość, a iż w nich żadnéj obłudności nie masz.“ (str. 312).

Drugim przymiotem nieodzownym do poczciwego a spokojnego żywota jest stałość w obec wszelkich kolei losu. Tutaj Rej głosi teoryą stoickiego spokoju, w myśl tych słów Horacego:

Aequam memento rebus in arduis,
Servare mentem, non secus in bonis

Tylko stoicyzm Reja różny jest od owéj kamiennéj obojętności na zewnętrzne wpływy, którą w sobie sztucznie usiłowali wyrobić starożytni mędrcy. Stoicyzm Reja wynika raczéj z wrodzonéj pogody umysłowéj i trzeźwego optymizmu, cechującego każdą żywotnie silną i zdrową organizacyą fizyczno-psychiczną. Zresztą na poparcie swego poglądu dodaje nasz autor tę nie nową, ale zawsze prawdziwą uwagę, iż niedorzeczną jest rzeczą troszczyć się i frasować nad tém, co nie może się zmienić. „Albowiem ta zaziębła myśl, co się to rozumem a stałością nie sprawuje, a chociaż jeszcze nic na nic nie przypadnie, a już się i podobieństwa przyszłego lęka, powiedz mi jeśli kiedy bezpieczna a wesoła być może? A kto dobréj myśli nie używa a jako ma być na nieszczęśniejszy na świecie? a snaćby już zarazem mało nie lepiej w jaką kapicę albo w kartuzy wleźć, a nakoniec albo się obiesić a razem odcierpieć, niźli tak nędznego a zakwa-

[1]) Dziś i lat temu trzysta.— Wilno 1863 str. 32.

śniałego żywota, długo używać.“ (str. 323). Przeto stateczna myśl zawżdy powinna być wesoła. Człowiek statecznego serca „tedy zawżdy wesół, tedy zawżdy z przespieczną myślą sobie stoi jako ono mocne drzewo, które się wiatru żadnego nie boi.“ (str. 326).

Określiwszy główne obowiązki człowieka względem społeczeństwa i względem siebie, zwraca się Rej do pozostałych warunków, umożliwiających osiągnięcie spokoju, szczęścia i moralnéj doskonałości żywota. Przedewszystkiém rozważa stosunki z innymi ludźmi w życiu prywatném, czyli stosunki towarzyskie, które w Polsce zawsze tak ważną grały rolę. Widzieliśmy powyżéj w pierwszéj części jak doniosłe znaczenie przypisuje Rej w wykształceniu młodzieńca towarzystwu, które go otacza. Tutaj, mówiąc o pełnym rozwoju życia ludzkiego, nie pojmuje go inaczéj jak tylko w przyjaznych stosunkach towarzyskich. Jednak, znając dokładnie ludzi wie on jak trudno jest o prawdziwego przyjaciela na świecie; dlatego zaleca ostrożność w stosunkach z ludźmi. Charakteryzuje różne rodzaje nieszczeréj przyjaźni; tylko cnotliwy, wolny od wszelkiego fałszu człowiek może być przyjacielem i takiego nad wszystko cenić trzeba.

Ustęp o przyjaźni przypomina odpowiedni rozdział u Montaigne'a. I francuzki autor nadzwyczaj wysoko stawia stosunek przyjacielski: w pojęciu jednak jego natury różni się bardzo od Reja. Nasz moralista pojmuje przyjaźń bardzo zwyczajnie i po prostu widzi w niéj osłodę i podporę życia, węzeł sympatyczny, łączący naturalną skłonnością serca wszystkich dobrych i poczciwych ludzi; — Montaigne zaś egzaltuje się w swych poglądach; zawsze zapatrzony w głąb swéj własnéj duszy, stawia jako wzór swój osobisty przyjacielski stosunek, podnosi go na jakieś niedościgłe idealne wyżyny, twierdzi, iż taka przyjaźń jest czemś wyjątkowém, dostępném tylko dla umysłów wyższych, dla serc wybranych.

Możemy tu znowu zaznaczyć charakterystyczną różnicę między obydwoma pisarzami. U Montaigne'a potężnie rozwinięte życie wewnętrzne, głęboki subjektywizm, przetwarzający na swój ład cały świat otaczający;—w Reju przewaga życia zewnętrznego, nadzwyczajna zdolność objektywnego odtwarzania naturalnych uczuć i skłonności serca ludzkiego; — pierwszy jest głęboki, niekiedy porywający siłą swéj myśli, ale często też dziwaczny i paradoksalny, drugi czasem powierzchowny i zbyt prostacko naiwny, ale zawsze jasny, trzeźwy i konsekwentny.

Stosunki z ludźmi polegają na wzajemnéj wymianie usług i uczynności jednych względem drugich; przeto w dalszém rozwinięciu swoich poglądów, zastanawia się Rej nad różnymi rodzajami dobrodziejstw i usług, jakie sobie ludzie nawzajem świadczą. Żąda od poczciwego człowieka, aby był dobry i uczynny dla wszystkich, lecz zarazem, aby z rozwagą i rozumnie świadczył dobrodziejstwa, bo często nieopatrzne dobrodziejstwo zamiast pożytku szkodę przynieść może. Ustęp ten mniéj ciekawy, bo podobnie jak w rozdziale

o gniewie mało tu charakterystycznych rysów z życia, więcéj zajmuje się autor klasyfikacyą czynów ludzkich, wyprowadzaniem z nich pewnych maksym moralnych, które objaśnia za pomocą przykładów z Pisma świętego i dziejów starożytnych. A już to w ogóle owe przykłady, którymi Rej tak hojnie szafuje należą do najsłabszych stron „Żywota;“ szczególniej fakty z dziejów starożytnych, czerpane widocznie z jakichś popularnych zbiorów, bardzo podejrzanéj wiarogodności. Zresztą, jak utrzymuje p. Plenkiewicz, rozdziały o dobrodziejstwach nie są zupełnie oryginalne i posiłkuje się tu nasz autor Seneką, choć go po swojemu przerabia.

Trzy następne rozdziały, zamykające wtóre księgi „Żywota,“ należą do najoryginalniejszych i najlepszych w całém dziele. Rej naucza tu, jakie ma być usposobienie i jaki tryb życia poczciwego człowieka w zakresie jego domowych stosunków.

Przedewszystkiém należy zawsze zachować wesołą i pogodną myśl, rządzić się umiarkowaniem we wszystkich pragnieniach i czynach, unikać wszelkich niepomiernych rozkoszy i uciech, które odbierają spokój myśli i narażają nas na różne straty. Kto spokojnego żywota używa, jest jakoby po cichéj powierzchni morza płynął; kto nieopatrznie rzuca się w szalony wir niepomiernego użycia jest jako marynarz wśród burzy, rzucony na wolę fal i wichrów.

W takim niespokojnym, marnym uciechom oddanym żywocie człowiek szczęścia nie znajdzie, a czas darmo traci; cała wartość życia leży w dobrych uczynkach i w sławie, która po nich pozostaje. W ogóle Rej w wielu miejscach kładzie silny nacisk na dobrą sławę. Jest to rys bardzo naturalny, wynikający z ówczesnych stosunków polskich: w obec tak rozwiniętego życia publicznego oczywistą jest rzeczą, iż opinia publiczna ważną musiała odgrywać rolę; przy zupełnym prawie braku władzy wykonawczéj była ona często jedyną regulatorką moralności publicznéj. Z téj dbałości o dobrą sławę i opinią ludzką wynika daléj rada, aby człowiek poczciwy nie zamykał się w sobie, lecz świecił swymi czynami i życiem jawnym był przykładem dla ogółu: „Albowiem myśl wspaniała człowieka poczciwego nie ma nigdy być ponura, ale się zawżdy świecić jako świeca na wysokiem miejscu postawiona.“ (str. 285).

Powraca tu Rej do téj samój zasady, którą już poprzednio wygłosił, zalecając myśl pogodną a nie frasobliwą, jako konieczny przymiot poczciwego żywota. Nasz moralista, surowo gromiąc nieopatrzne a bezmyślne uciechy, daleki jest jednak od zalecania ascetyzmu i posępnéj moralizatorskiéj surowości; pragnie on, aby ludzie nie tylko byli dobrzy i moralni, ale także szczęśliwi.

Jak człowiek może być szczęśliwym i używać pomiernie a poczciwie rozkoszy tego świata, to nam autor wystawia w następującym prześlicznym obrazie zajęć rolnych i życia domowego szlachcica-ziemianina.

Widzieliśmy wyżéj z jakim idylicznym wdziękiem przedsta-

wił Rej pożycie małżeńskie i rodzinne: tutaj mamy daléj rozwinięty obraz sielskiego życia w zakresie zajęć i przyjemności, cechujących życie szlachcica polskiego na wsi w różnych porach roku.

Owa sielanka szlachecka Reja to nie obłoczna idylla arkadyjska, ani też ogólnikowy obraz horacyuszowskiego rolnika; w niéj życie ziemianina polskiego skreślone w całéj rzeczywistości i prawdzie; mnóstwo drobnych szczegółów wprowadza nas, że tak powiem, w sam środek tego życia, pozwala nam być nieomal naocznymi jego świadkami. Obraz cichéj wioski z nieporównaną plastyką rozwija się tu przed oczyma czytelnika. Kolejno zmieniające się pory roku wskazują coraz to nowe jéj powaby. Oto najprzód wiosna budzi ze snu przyrodę, niosąc rolnikowi nadzieję bogatych plonów. Gorące lato urzeczywistnia te nadzieje: natura w bujnym rozkwicie: wszędzie wre ruch i życie, w polu i gumnach; zabiegliwy gospodarz zbiera owoce swych starań i pracy; wszędzie obfitość i dostatek „Używaj, miła duszo, woła nasz autor, masz wszystkiego dobrego dosyć, a wszakoć z bojaźnią bożą a z wiernem dziękowaniem jemu“ (403). Z kolei poważna jesień roztacza swe panowanie; z nią zaczynają się nowe prace koło roli i nowe rozkosze. Z zamiłowaniem opisuje Rej przyjemności polowania, w którém, jak wiemy od Trzycieskiego, sam bardzo się lubował: „A no rozliczne głosy jako ftelniczki z puzony krzyczą, ano myśliwiec trąbi, wrzeszczy dojeżdżając za niemi. Wypadnie zajączek azaz go nie rozkosz poszczwać, za nim sobie pobiegać a jeszcze lepsza do łęku go przywiązać i do domu przynieść, ano choć i dobra myśl roście, ano się krew dobra mnoży, ano żołądek przechowywa, ano wszystko zdrowo, wszystko miło.“ (str. 406). Wreszcie nastaje zima; w przyrodzie życie zamiera, ale poczciwy gospodarz i teraz ma swoje uciechy. A więc rozumie się znowu myślistwo w kniei, z chartami, rybołóstwo, którem nasz autor także rad się zajmował i t. p. Obłowiwszy się na polowaniu, powraca nasz gospodarz do domu „ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie miasto karasków pływają. Po obiedzie się do gumienka przechodzić, dopatrzyć się jeśli dobrze wymłacają, jeśli kłos wytrzęsają, jeśli słomę dobrze układają, plewki, zgoninki chędogo pochowają... Nuż nachodziwszy się po swem pobożnem gospodarstwie, już też sobie w ciepłéj izbie usiędziesz, albo sam albo z przyjacielem. A jeślić jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już jako błazenkowie kuglują, żonka z panienkami szyje, też się z tobą rozmawia, albo też co powieda, pieczenia się wieprzowa dopieka, cietrzew w rosołku, a kapłon tłusty z kluskami dowiera, więc rzepka, więc inne potrawki. A czegoż ci więcej trzeba? a czegóż ci nie dostawa ku poczciwemu wychowaniu twemu? byś jedno sam chciał, a sam tego i użyć i nabyć umiał, tedyć Pan Bóg wszystkiego dał.“ (str. 410, 413).

Szczególny urok nadaje tym opisom niezmiernie żywe poczucie

natury, jakie tu na każdym kroku autor okazuje. Ale uczucie to różne jest zupełnie od tego z którém my zwykliśmy zwracać się do niéj· brak w niém zupełnie żywiołów refleksyi i kontemplacyjnego zachwytu nad jéj pięknościami.

Rej jest dzieckiem natury, żyje pełném jéj życiem, pod bezpośrednim wpływem jéj sił; wskutek tego odtwarza on ją w swych obrazach z całą naiwną prostotą i prawdą bez przymieszki żywiołów sentymentalnéj tęsknoty i zachwytu dla niéj. Ten ostatni nastrój uczuciowy powstaje dopiéro wtedy, gdy wytworzone przez cywilizacyą sztuczne warunki bytu, oraz silnie rozwinięte wewnętrzne życie duszy odosobniają człowieka od przyrody, stawiają go niejako na zewnątrz niéj: wtedy dopiero uczuwa on dla jéj przejawów, jako dla czegoś oddalonego od siebie, a jednak sobie pokrewnego, ten silny, pełen uroku i zachwytu pociąg, który charakteryzuje nasze nowoczesne uczucia w obec natury [1]). Tylko wyjątkowo bogate organizacye poetyckie, jak Goethego i Mickiewicza, pozostając w warunkach nowoczesnego cywilizacyjnego życia, zdołały w sobie wzbudzić ten naiwny, pierwotny sposób odczuwania przyrodzonych objawów. Schillerowi np. już to się nigdy nie udawało: posiada on nadzwyczaj żywe uczucie dla natury, ale nosi ono zawsze na sobie piętno sentymentalnego zachwytu; Mickiewicz połączył w Panu Tadeuszu obydwa sposoby odczuwania natury: czasem jest on prosty i naiwny podobnie jak śpiewak Iliady, czasem pełen niewysławionéj tęsknoty i rzewności, jak Goethe, z genialną intencyą artysty przejął się zupełnie duchem Homera i w swym Hermanie i Dorocie utworzył jedyne w nowoczesnéj poezyi dzieło w stylu czysto naiwnéj epiki.

Autor „Żywota," nie posiadał ani potężnéj artystycznéj wyobraźni, ani téj siły myśli i uczucia, co owi wielcy twórcy, skutkiem tego obrazy jego nie odznaczają się rozległością swéj treści, ani też estetycznem wykończeniem formy; — całą jego zasługą jest prosty, bezpośredni sposób odczuwania natury, wolny od wszelkich żywiołów refleksyi, oraz żywa i czynna wyobraźnia, dzięki któréj mógł swoje wrażenia zawrzeć w kształtach jasnych, plastycznych i doskonałych. Z tego punktu widzenia możemy zrozumieć dla czego sielanka Reja wydaje nam się tak prawdziwą i naturalną, podczas gdy opisy tego rodzaju u wielu innych poetów uderzają przesadą i nienaturalnością. Rzecz bardzo prosta:—ci ostatni, tworząc swe obrazy sielskie pod wpływem sentymentalnego zachwytu dla natury, mimowoli idealizują je i podnoszą na wyżynę swych uczuć.—Rej podchwytuje, że tak powiem,

---

[1]) Pogląd na ten dwojaki stosunek do natury, właściwy odmiennym organizacyom psychicznym, rozwinięty jest obszernie w rozprawie Schillera p. t. „Ueber naive und sentimentalische Dichtung."

na gorącym uczynku dodatnie i piękne objawy naturalne i przenosi je żywcem do swoich obrazków, wolne od wszelkiego zabarwienia syntementalizmem i refleksyą. Dlatego, pomimo że wszystkie jego obrazki tchną jakąś szczególną atmosferą niezmąconego szczęścia i spokoju, nie widzimy w tém żadnéj przesady; wszystko tu wydaje nam się naturalne i możliwe. Zapewne, że możliwe, ale już nie dla nas. Czujemy zarazem, że my nie moglibyśmy używać téj pełni szczęścia; namby ono nie wystarczało,—wyższe aspiracye duchowego życia nie mogłyby zawrzeć się w ciasném kole sielskich zajęć i rozkoszy, jak je tu Rej nakreślił. A więc jest to względna tylko pełnia szczęścia, uwarunkowana ograniczonością duchowego rozwoju. Trudno zaiste pożądać takiego szczęścia, ale trudno też czasem nie pozazdrościć tym, którzy mogą na niém poprzestać.

Pozostaje mi jeszcze zaznaczyć jeden rys, charakteryzujący Reja w tym opisie wiejskiego życia, mianowicie jego wrodzoną dobroć serca i humanitarne uczucia. Jakkolwiek stoi on na stanowisku szlacheckiéj wyłączności, okazuje jednak wiele współczucia dla ludu wiejskiego, wielokrotnie zaleca, aby go nie krzywdzić, aby nie ściągać na siebie jego złorzeczeń i nieuchronnéj pomsty bożéj z czeladzią i podwładnymi każe postępować łagodnie, z wyrozumiałością. „Azaż nie lepiéj, mówi, czeladkę nadobnie rozprawić; każdemu czego ma być pilen z powinności swéj poruczyć, łaskawie go nauczyć czemuby sam sprostać do końca nie umiał, tedy każdy z onej łaskawej postawy pańskiej i z onéj niepogromnéj nauki jego z większą ochotą i pilnością będzie się starał, aby się owemu panu na wszem przysłużyć niżliby mu nade łbem maczugą machał.“ Jednak zaraz poniżéj dodaje: „A wszakoż jeślibyś je też nalazł śpiące jako apostoły w ogródcu, tedy też nie wadzi ich maczużką przybudzić, aby na nie pokusy nie przychodziły.“ Widzimy jak tu Rej zawsze trzyma się gruntu rzeczywistości i we wszystkich swych radach ma przedewszystkiém na względzie zwykłą praktykę życia; przytém zawsze jest zwolennikiem téj zasady, aby wszędzie i we wszystkiém, nawet w dobroci zachować właściwą miarę.

W ostatnim wreszcie rozdziale drugiéj części streszcza autor swoje poglądy na życie poczciwego człowieka w średnich jego latach. Zaleca przedewszystkiém, aby się wystrzegać gnuśności i próżnowania, każe czynny brać udział w życiu publicznem, nie zaniedbywać umysłowego kształcenia; „bo czytanie rozumnych książek rzecz człowiekowi poczciwemu potrzebna. Ale zawsze w czytaniu nie tyle zwraca uwagi na rozszerzenie wiedzy, ile na moralną i praktyczną korzyść. Dla tego nie radzi czytać zbyt mądrych i trudnych książek „bo mało tobie, mówi, po Owidyuszu i Horacyuszu, bo na cię trudny i fabułami zabawiony, ale sobie to czytaj, coby nadobnych cnót a poczciwego żywota uczyło“ (str. 416). Wprawdzie mówi w innem miejscu, iż to rozkosz widzieć przyrodzenie każdego zwierzątka, każdego ptaszka i ziółka, ale i w téj wiedzy ma głównie na

względzie praktyczną korzyść „bo ztąd i gospodarstwa można się wiele nauczyć i w przygodzie wżdy sobie czasem pomódz i między ludzi przyszedłszy nie siedzieć jako darmobit [1]), gdzie się wżdy będzie umiał ku temu i ku owemu przymówić“ (str. 415). O wiedzy, jako potędze rozwijającéj wewnętrze światy, jako myśli, podnoszącéj człowieka do wyższéj duchowéj egzystencyi, nasz autor, bardzo niejasne i mętne ma pojęcie.

W zakończeniu rozdziału raz jeszcze zaleca Rej spokój i umiarkowanie we wszystkiém, a także wesołość i pogodę myśli. Nic lepszego jeno radość i pociecha, ale téj pociechy nie trzeba szukać w hucznym i zamąconym żywocie, lecz w spokojnych a pomiernych pracach i zabawach. (*Dok. nast.*).

---

[1]) Darmobit, nieokrzesany, którego darmo bito (Linde).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość doroczna w Akademii nauk społecznych: mowa J. Simona o historyku Henri Martin. Dzieła uwieńczone w Akademii francuzkiéj: „Europa i rewolucya francuzka“ przez Alberta Sorel. — „Liga w epoce Henryka III“ p. Beliguet. — „W Meksyku 1862 r.“ p. księcia Jerzego Bibesco. — Francya prowincyonalna p. Milleta. — Paradoks równości p. Lafitte. — Pielgrzymka do kraju Ewangeliny przez księdza Casgrin, Kanadyjczyka.—Przekłady, studya literackie, pedagogia, podróże, poezye.—Medal honorowy przysądzony królowej rumuńskiéj (Carmen Sylva). Powieści Ferdynanda Fabre. — Przyjęcie w Akademii dr. Haussonville, na miejsce prof. Caro.—Dzieło archeologiczne prof. Charvel. „Enseignement del'art decoratif.—Królowa szwedzka Dezyderya przez bar. Hochschild.—Sprawozdanie z odczytu p. Dembińskiego: Udział polaków w Koncylium trydenckiem oraz sprawa kościoła narodowego w Polsce.

Przy końcu roku powtarzały się zwykłym trybem akademickie uroczystości. Wszystkie wydziały Instytutu francuzkiego odbywały doroczne zebrania, rozdawały medale i nagrody, ogłaszały tenata konkursowe. Paszkwil Alfonsa Daudet, rzucony przeciw dostojnemu ciału naukowemu, nie zobojętnił publiczności na sprawy akademickie, przeciwnie, większe niż kiedykolwiek tłumy oblegały pałac Mazaryniego, ilekroć rozwarły się jego podwoje. Paryżanie chcieli widocznie zamanifestować wszpółczucie dla spotwarzonych, którzy zamknąwszy się w pełném godności milczeniu, idą stale obraną drogą.

Rozpoczynamy sprawozdanie nasze od uroczystości w wydziale nauk społecznych, (Academie des études morales et politiques). Prezydował na niéj p. Greard, rektor uniwersytetu sorbońskiego. Rozdano trzydzieści nagród, wynoszących 64,000 franków, za prace wykonane w ciągu roku, w wydziale prawnym, ekonomicznym, pedagogicznym i t. d. Pomiędzy nagrodami jest jeden fundacyi słynnego ekonomisty Ludwika Wołowskie-

go (3000 fr.). Najznaczniejsze premium wynoszące 10,000 otrzymał w tym roku Fustel de Coulanges, profesor historyi prawa w Sorbonie.

Prezydent zalecił na przyszły konkurs: zbadanie pessymizmu, nurtującego dziś w społeczeństwie francuzkiém: początki téj choroby odnosi do starożytnych czasów, przytaczamy słowa p. Greard, pełne głębokiego znaczenia.

„Słynny tragik grecki wyrzekł parę tysięcy lat temu: „najlepiéj byłoby dla człowieka, gdyby wcale się nie urodził, a skoro przyszedł na świat, by umarł w młodych leciech.“ Echo téj skargi przebiegło wieki, znalazło oddźwięk w duszy nie jednego poety, goniącego za niedościgłym ideałem, lub w niejednem sercu, przepełnioném goryczą po doznanych w życiu zawodach. Nigdy jednak tego smutnego uczucia, zrodzonego z nędzy ludzkiéj, nie usiłowano zamienić w filozoficzną doktrynę. Leopardi dopiero jął wygłaszać w pieśni, że człowiek ulega potrójnéj ułudzie, kiedy szuka szczęścia bądź w tém życiu, bądź w przyszłém, bądź w zbiorowém i postępowém życiu ludzkości. Schoppenhauer znów usiłuje dowieść logicznie, że człowiek musi być nieszczęśliwym. To samo stawia Hartmann jako niezbity pewnik.

„My francuzi, dodaje p. Greard, możemy lepiéj niż inni, ocenić logiczny błąd tego systematu i niebezpieczeństwa, na które nas wystawia, burząc sumienia nasze.

„Z pessymizmu zrodził się w Rossyi n i h i l i z m, w Niemczech p r ą d s o c y a l i s t y c z n y, u nas pessymizm wydał tylko literaturę próżniaków, niekiedy zaprawną talentem, ale bez znaczenia i powagi.

„To choroba wcale nie francuzka! mętne i niezdrowe teorye, jakiemi się karmi, budzą wstręt w naszym umyśle, odważnym i lekkim z natury swojéj, rozmiłowanym w świetle i spragnionym działalności.

„Przeciw téj rozpaczliwéj gloryfikacyi nicestwa, podniesionéj do wysokości dogmatu filozoficznego i społecznego, najpewniejszym środkiem będzie zawsze poczucie obowiązku, spełnianie go z odwagą i spokojem. Zasadniczym zaś błędem doktrynerów pessymizmu, jest właśnie to, że chcą zbudować metafizykę poza obrębem moralności.“

Po prezydencie podjął głos Juliusz Simon, najpopularniejszy z mówców dzisiejszych, tém silniéj zajął słuchaczów, że mówił o najsympatyczniejszym historyku francuzkim téj epoki — zmarłym kilka lat temu Henri Martin. Ścisła przyjaźń, zawiązana w młodym wieku, wzmocniona jednością przekonań i dążeń politycznych, łączyła obu mężów stanu; to téż Henri Martin nie znalazł biografa, któryby z taką miłością spojrzał w jego serce i z taką potęgą talentu ożywił jego postać, jak to uczynił Simon. Nie podobna nam wstrzymać się

od przytoczenia w treści téj mowy: dwie pobudki ciągną nas do tego słowa Simona, zasługują na rozgłos, a imię sławionego przezeń historyka zasługuje na pamięć nie saméj tylko Francyi.

Simon ukazuje przyjaciela od lat najmłodszych: „Henri Martin, mówi on, urodził się w roku 1810 w fabrycznem mieście Saint-Quentin, gdzie ojciec pełnił urząd sędziego. Oboje rodzice głęboko byli religijni. Mieszkał z nimi brat matki, dawny notaryusz, posiadał bibliotekę bogatą w historyczne dzieła. Młody uczeń w chwilach wolnych od nauk, czytywał z upodobaniem te książki; rad z takiego popędu, stary wuj, postanowił wykierować go na notaryusza.

W szkole przyjaźnił się młodzian z Feliksem Davin, starszym o lat parę. Codzień po skończonych kursach w kollegium, dwaj przyjaciele przechadzali się razem, rozprawiali o krwawym odwecie na nieprzyjacielu, o dalszych losach Francyi i o przyszłości własnéj. Davin miał do zwalczenia zwykłe w życiu trudności: twardsze zapory przewidywał na drodze swojéj Martin: stawiała je rodzina. On pragnął być poetą, rodzice tymczasem i wuj, chcieli widzieć go bądź co bądź notaryuszem. W opiniach politycznych tenże sam rozłom, on niecierpiał burbonów, stary sędzia i stary prawnik radzi byli z nowego porządku rzeczy, nie cierpieli obaj liberałów.

Davin i Martin wzięli się do pisania romansu, każdy na swoję rękę. Odczytywali sobie napisane świeżo rozdziały; jeden nad drugim unosił się z zapałem. Po długich naradach i walkach, postanowili wreszcie uczynić krok stanowczy. Uciekli razem z Saint Quentin. Jednego poranku znaleźli się na bruku paryskim z romansem w kieszeni, pełni najpiękniejszych ułud. Henri Martin nie wspominał nigdy ojcu o swych zamiarach literackich: miał on wolę silną, lecz serce bojaźliwe. Nieśmiałość tę zachował i w dalszém życiu: wachał się zwykle zaczém coś postanowił, staczał naprzód walkę sam z sobą, gdy ją wygrał, szedł naprzód, z żelazną wytrwałością łamał wszelkie zapory.

Obaj przyjaciele rzucili się do pracy literackiéj. Celem ich było zdobyć na samprzód kęs chleba, a odpędziwszy głód piórem, pracować następnie dla sławy. Początek ciężki zawsze dla ubogiego młodziana! Henri Martin niezgrabny z natury, gwałtowny, nieobeznany ze światem, na tém cięższe narażony był próby. Ale gdy raz obrał sobie zawód, przyjął też i wszelkie następstwa. Odwiedzał słynnych ludzi i głośnych wydawców, nie zrażał się pogardliwém obejściem, — odparty wracał do ataku. Dziś, rozpatrując utwory jego lat młodzieńczych, widzimy że pracował wiele, z zadziwiającym pośpiechem, lecz wcale nie zaświecił. Ani w romansach, ani w scenach historycznych, ani w teatralnych sztukach ani w poezyi, nie ściągnął na siebie uwagi. Davin stał jeszcze niżéj; z niesłychaném wysileniem zarabiali jednak na życie.

Henri Martin nie został całkiem opuszczony, ojciec przyrzekł dawać mu sto franków na miesiąc pod warunkiem, że będzie pracował w biurze notaryusza. Biedny marzyciel poddał się pod ten wyrok, lecz patron rozstał się w krótce z niedbałym dependentem.

Ojciec odmówił zasiłku. Jedynym ratunkiem dwóch przyjaciół, był romans Wolfthurm wspólnie przez nich napisany. Znaleźli wydawcę i dopomógł im do tego Pawet Lacroix (bibliofil Jakób), z którym Henri Martin zawiązał przyjazny stosunek. Paryż tymczasem kipi gorączkowo, wszystko zapowiada rychły przewrot. Na wieść o tém przerażony ojciec powołuje gwałtownie syna.

Rad nie rad, młodzian pospiesza do Saint-Quentin; ale niestety, powrót ten zmącił do reszty harmonią. Rewolucya lipcowa wybuchnęła w Paryżu, ojciec patrzy na nią ze zgrozą, syn z najwyższém uwielbieniem. Rozłączyli się znowu. Odtąd młodzian mógł tylko liczyć na własne siły.

Wyszedł nareszcie z druku Wolfthurm wraz z małym zbiorkiem szkolnych wierszy. Henri ukrył imię swoje pod anagramem Irnek. W obec rewolucyjnego zamętu, powieść przeszła niespostrzeżona. Wcale to nie zraża młodych autorów, powstało w tym czasie mnóstwo drobnych pisemek, duszą ich był Paweł Lacroix, pod jego tarczą Henri Martin zapełniał kolumny Artysty, Merkurego, Gastronoma, Sylwetki, Złodzieja it. p. Tworzył z pośpiechem, rzucał się na rozmaite przedmioty, ale w żadnym nie zajął pierwszorzędnego stanowiska. Wydawał powiastki w Albumie mody, i w innych zbiorowych publikacyach, wystąpił nakoniec w teatrze z dramatem „Abaye aux Bois.“ Na powodzeniu téj sztuki zawiesił najdroższe nadzieje swoje, przemyśliwał bowiem o małżeństwie. Ale niestety, dramat upadł po drugiém przedstawieniu. Ciężka ta próba dodaje bodźca młodemu autorowi. Obok prac dziennikarskich zaprzęga się do historycznéj powieści, wydaje „Starą Francyą“ i „Tankreda z Rohanu;“ nie były to dzieła wielkiéj wagi, zapowiadały jednak więcéj niż poprzednie utwory.

W roku 1833 wszystko się zmienia. Rok ten w życiu młodego autora zupełny stanowi przełom. Pojmuje żonę, wchodzi w stosunki z Janem Reynaud, rozpoczyna Historyą Francyi.

Jan Reynaud zwolennik głośnéj podówczas szkoły Saint-Simona, w filozoficznem dziele swojém, pod tytułem „Niebo i Ziemia,“ wziął za cel pogodzić rozum z wiarą. Trzy główne idee panowały w jego doktrynie: jedność Boga, nieśmiertelność duszy i wpływ Druidów na formacyą geniuszu narodowego. Doktryna ta głęboko utkwiła w umyśle Henri Martin, na niéj oparł swoję historyą. Zaczął ją pisać w roku 1833, życie jego rozpoczyna się od téj doby. Jan Reynaud wielkie pokładał w nim nadzieje. „Ty będziesz historykiem naszym.“ wyrzekł do niego w nakazujący sposób. Te słowa silnie oddźwięky w duszy młodéj. Szło tu głównie o spopularyzowanie hi-

storyi, o rozszerzenie światła pomiędzy ludem, powołanym do nowych przeznaczeń.

Henri Martin zabrał się do pracy wspólnie z Pawłem Lacroix. Wydawca Mame, spostrzegłszy o ile dzieła Augustyna Thierry, Guizota i Sismondego przeistoczyły do gruntu pojęcia o historyi Francyi, pragnął uczynić dostępnemi dla ogółu ostatnie wyniki tych badań. W tym celu wszedł w układ z Pawłem Lacroix, polecił mu wybrać ze słynnych historyków najcelniejsze ustępy, i ułożyć z nich popularną całość. Publikacya ta miała obejmować pięćdziesiąt tomików. Co dwa tygodnie miał się ukazać nowy tomik po bardzo nizkiéj cenie.

Powołany do współpracownictwa Henri Martin, napisał wstęp obszerny, ale uczuł od razu, że tak wielki przedmiot, wymagał czegoś więcéj nad dorywczą improwizacyą. Tekst książki zapełnił Lacroix. Pierwszy tom wyszedł niezwłocznie pod tytułem Historya Francyi, od czasów najdawniejszych do 1830 roku. Skończyło się na tym jedynym tomie. Henri Martin zrzekł się układu, nakreślił własny plan, sam bez kollaboracyi rozpoczął wielką pracę.

Plan dzieła nadzwyczaj jasny i prosty. W następnych wydaniach udoskonalił go autor; lecz nie zmienił w zasadzie. Życie Francyi rozwija się tu od początku do końca, w łatwy, potoczysty sposób, jakby życie człowieka. To co jest dziś Francyą, było w początkach siedzibą różnoplemiennych ludów. Monarchia utworzyła się na małéj przestrzeni z władzą ograniczoną. Wzrastała pomału skutkiem sprzymierzeń i podbojów; pomału, lecz stale pokonywała wewnętrzny opór, zacierała różnice między dawnemi a nowemi prowincyami, aż do dnia, kiedy zamknięta w naturalnych granicach prądami rzek i łańcuchami gór, przeistoczywszy powagą władzy królewskiéj, jednością prawodawstwa i administracyi, w żywe i silnie uorganizowane ciało, to co było w początku zbiorem luźnych gromad, a późniéj konfederacyą, zajęła miejsce w pośród wielkich ludów i właściwym sobie geniuszem połączyła harmonijnie wszystkie cywilizacye, które ją wykarmiły. Henri Martin idzie trop w trop za tą formacyą przez długie pasmo wieków, cierpi nad tém wszystkiém, co ją opóźnia, zaznacza z chlubą wszystko, co ją przyśpiesza i umacnia, sądzi wypadki przy tém świetle, odnajduje w ideach nowożytnych ślady skłonności i wiary praojców, pokazuje Francyą w każdém zdarzeniu szlachetną, wspaniałomyślną, nie odłączającą nigdy sprawy własnéj od sprawy uciśnionych, słowem: od sprawy Bożéj. Zatrzymał pracę swoję na roku 1789.

Dzieło jego w piętnastu tomach wyszło z druku u Mame'a w przeciągu lat trzech 1833—1836, pod tytułem: „Historya Francyi, według Guizota—Augustyna Thierry i Barant'a. Tom jeden wychodził co dwa miesiące; rzecz jasna, że autor nie miał czasu na własne poszukiwania; zbierał tylko materyały nagromadzone przez wielkich historyków, przedstawiał je po swojemu, stylem pięknym,

lecz nie wycisnął na pracy historycznéj samoistnego piętna, nie cytował notat i nie dawał objaśnień. Dzieło jednak, ożywione gorącém tchnieniem, podobało się publiczności; nie było innéj całkowitéj historyi, a Sismondi odpowiadał tylko uczonym, Goizot wykładał filozofią dziejów, Michelet był głównie poetą historycznym, Henri Martin przedstawił historyą w jéj całości.

Pierwsze wydanie pozyskało pochwały uczonych i wywołało poklask publiczności, a przecież nie zadowoliło samego autora. Czuł ile zbyteczny pośpiech zaszkodził jego pracy. Kreśląc ostatnie kartki 15-go tomu przemyślał już o rozpoczęciu na nowo wielkiego dzieła.

Jakoż rozpoczął je niezwłocznie. W tém nowém, poprawném wydaniu, Henri Martin okazał się dopiéro prawdziwym mistrzem. Poznał wtedy wielkie zadanie historyka, obmyślił własną metodę, zastosował styl do przedmiotu. Nieskrępowany żadnym terminem, miał przed sobą jedyny cel: pracować bez spoczynku i wówczas dopiero ogłosić pracę swoję, gdy będzie sumiennie przekonanym o jéj wartości. W ciągu lat trzech nakreślił szkic dzieła, poświęcił mu lat siedmnaście niezmordowanéj pracy. Od czasu do czasu wydał jakąś broszurę albo książkę, ale te luźne utwory były tylko rozwinięciem wypadku lub doktryny, zawartéj w jego dziele historycznem.

Ta nowa Historya Francyi, wychodziła u Turn'a od r. 1837 do 1854; obejmuje dziewiętnaście tomów. Dziełem tém Henri Martin wypłacił dług narodowi swemu; dał mu obraz jego życia historycznego.

Zasłużony historyk znalazł ogólne powodzenie równie w prasie jak i w świecie naukowym i w Instytucie. Naród przejęty wdzięcznością za oddaną mu posługę, ocenił odwagę wytrwałego pracownika, i niezaprzeczony talent, zdobyty siłą woli. Tomy X i XI-ty, w których objęta historya wojen religijnych, wymagających wielkiéj bezstronności, głębokiéj erudycyi, zjednały autorowi w r. 1844 od Akademii napisów, wielką nagrodę Gobert. W r. 1855 Akademia przysądziła drugą nagrodę Gobert za tomy XIV, XV i XVI, obejmujące historyą Ludwika XIV-go. Ta nagroda powtarzała się przez lat pięć do roku 1856. W ówczas to po śmierci Augustyna Thierry, któremu dotąd przeznaczano pierwszą nagrodę,—Henri Martin otrzymał ją z rąk akademii. Nakoniec w roku 1869, Instytut ofiarował mu dwuletnie premium, wynoszące 20,000 franków.

Henri Martin gorącym był republikaninem. Jeśli opinie polityczne z jednéj strony czyniły go popularnym i jednały mu poklaski ludu, z drugiéj strony narażały go na ostre zarzuty krytyków. Rozmiłowany w Druidach, uległy zbytecznie teoryom Jana Reynaud, przyszedł do wniosku, że Francya więcéj zawdzięcza starożytnym bretonom niż rzymianom, a nawet niż wpływom chrześcijańskim.

Był on w błędzie przypisując Druidom stałe i głębokie dok-

tryny. Jakkolwiek posunął rzecz do przesady, podniósł jednak nową i prawdziwą ideę i wykazał pierwszy, że w łonie ludności wieśniaczéj przetrwał żywioł galski, że go nie zdusiły podboje rzymskie ani najazdy Franków. Rzym nie zacierał indywidualizmu w pokonanych plemionach, nie assymilował ich, posługiwał się tylko niemi, trzymając je pod mocą. Galia pozostała galską pod panowaniem rzymian. Zrozumiał to Henri Martin i wykazał w niemylny sposób.

Błędne idee co do religi Druidów, ściągnęły ostrą krytykę na pierwsze tomy dzieła. Henri Martin nie odpowiadał krytykom. Uczynił lepiéj: w następném wydaniu wziął pod uwagę czynione mu zarzuty. Uznał błąd własny w przecenieniu filozofii Druidów. Rozpoczął na nowo poszukiwania. Zwiedził sam pomniki megalityczne, zebrał na miejscu podania i legendy, i z tych pracowitych badań odniósł podwójny pożytek. Wydał ciekawy tom studyów celtyckich i przerobił pierwsze tomy historyi, które w trzecim wydaniu straciły charakter urojony, słusznie im zarzucany. Był to przedewszystkiém człowiek sumienny, szukał usilnie prawdy, a gdy ją odkrył przyznawał się chętnie do błędu. Zacięty w dyskusyi, stał uporczywie przy swojém, ale skoro go przekonano, że się myli, składał broń bez oporu.

Obok stałéj pracy nad przerabianiem i dopełnianiem historyi, Henri Martin wydał kilka dzieł rozmaitéj treści, zasługujących na uwagę: z tych wspomnimy życiorys Daniela Manin'a, słynnego prezydenta Rzeczypospolitéj weneckiéj, z którym ścisła łączyła go przyjaźń. Wielką ma wagę dzieło jego p. t. „Francya, i jéj geniusz i przeznaczenie.“ Poprobował sił i w dramacie: ożywił w nim bohaterską postać ostatniego zapaśnika Galii, Wercyngetoryxa, w walce z zwycięzkim Rzymem. Dramat ten nie mógł utrzymać się na scenie. Henri Martin był niezaprzeczenie poetą, ale nie umiał pisać wierszy; sztuka wydobywania efektów dramatycznych nie dość mu była znaną, chociaż dramat Wercyngetoryx, tryskający zapałem, obejmuje prawdziwie piękne ustępy.

Dotknięty boleśnie śmiercią jednego z dwóch synów, Henri Martin puścił się w daleką podróż. Zwiedził Anglią, Irlandyą, kraje skandynawskie, Włochy, Portugalią, Grecyą i Alger. W wędrówce téj zawiązywał stosunki z uczonymi, zwiedzał z nimi pomniki; umiał patrzeć i słuchać. Późniéj zamierzał zwiedzić Egipt i Azyą Mniejszą, ale brakło mu na to czasu. Grecya zachwyciła go, lecz nie wyrzekł się dla niéj ulubionych swych ideałów. Z Aten pisał do przyjaciela: „Nie lękaj się, abym przepomniał Druidów moich w obec Jowisza Olimpijskiego, lub Ateńskiéj Pallady. Jam nieodrodnym Celtem: radbym tylko sprowadzić z Hellady promyk słońca, jak praojcowie moi sprowadzili winne szczepy z Lacyum!“

Historya Francyi wyszła z druku po raz trzeci w poprawném i pracowicie przerobioném ostatecznem wydaniu. Wówczas to Hen-

ri Martin wrócił do pierwszéj myśli, powziętéj w dwudziestym trzecim roku życia, postanowił napisać historyą popularną dla ludu i dołączyć do niéj illustracye, aby tém lepiéj wrazić w umysł czytelnika pamięć wielkich ludzi i ważnych chwil dziejowych. Historyą tę dociągnął do ostatnich czasów; ożywił ją gorącą miłością kraju. Podnosi z chlubą odrodzenie narodu w roku 1789. Potępia gwałty 1793. W czasach dzisiejszych opłakuje domowe zwady, zwłaszcza w obec nieprzyjaciela, napomina jak ojciec, ostrzega przeciw niebezpiecznym mrzonkom kosmopolityzmu. Kreśli żywy obraz téj Francyi doświadczonéj tylu próbami: „Ukochajcie ją, mówi, to Francya nasza, pracowita, oszczędna, rozmiłowana w uciechach, ale bardziéj jeszcze w honorze narodowym, zapaśniczka prawa, przodowniczka idei, łatwa do obłędu, ale wytrwała w walce, wierna mimo pozornéj zmienności, kochająca mimo gniewnych uniesień, gotowa zawsze dźwignąć się po upadku, i kiedy świat mieni ją straconą, schwycić berło myśli i zabłysną jak dawniéj."

Obraz ten skreślony z miłością, poruszył głęboko serca ziomków, szczerze téż ukochali historyka. Henri Martin należy do najpopularniejszych postaci we Francyi. Dowodem na to pomnik, wzniesiony mu świeżo w rodzinném mieście Saint Quentin.

Do sześćdziesiątego roku życia historyk pogrzebany w pracy, stronił od świata urzędowego. Szczery republikanin, stał w opozycyi, równie za monarchii lipcowéj, jak za cesarstwa. Po klęskach Francyi dopiero, powołany na reprezentanta narodu, czynnie rozpoczął zawód polityczny. W miarę sypiących się zaszczytów rosła jego działalność. W roku 1871 Akademia nauk społecznych wezwała go na członka. Późniéj zajął miejsce Thiersa w Akademii francuzkiéj. Mianowany członkiem senatu i merem w okręgu Passy, pełnił gorliwie rozliczne obowiązki. Obok tego prowadził daléj historyą popularną Francyi. Śmierć zaskoczyła go wśród tych prac w r. 1884. Paryż uczcił pamięć historyka, nazywając jego imieniem piękną dzielnicę miasta, przyległą do lasku bulońskiego.

Juliusz Simon zakończył mowę, przypominając jednę z najbolesniejszych chwil w życiu przyjaciela. „Byliśmy w Bordeaux, rzekł, w roku 1871. Dowiedziałem się o rezultacie układów Thiersa z Bismarckiem. Mało nas obchodziła strata pięciu miliardów! czém pieniądze w obec takiéj klęski? Prawdziwym ciosem, najstraszliwszym dla nas była utrata dwóch prowincyi. Ów traktat podpisać musieli reprezentanci ludu, którzy sami jedni władali podówczas Francyą. Po rozprawach nastąpiły wota. Podczas gdy wotowano, chcąc wyprawić jakąś depeszę, przeszedłem za kurtynę, dzielącą biuro od sceny, rzecz bowiem działa się w sali teatralnéj. Patrzę: Henri Martin siedzi, otoczony grupą reprezentantów, blady, na pół omdlały, pot kroplami ścieka mu z czoła.

— Co to jest—zawołałem.

— On wotować nie może, poszepnął ktoś, wydzierają mu życie.

Przystąpiłem ku niemu. Czułem, że każdy z nas musi spełnić ofiarę.

— Czyż ty sam jeden między nami kochasz Francyą? zapytałem, azaliż wszyscy nie jesteśmy na krzyżu? Czyż historyk Wercyngetoryksa nie powinien pierwszy położyć nazwiska swojego? Ale w głębi duszy myślałem, że jeśli kto miał prawo stawić opór, to chyba on! Nie dowiedział się nigdy z jaką miłością, z jakim żalem spoglądałem nań, gdy z ust moich sypały się gorzkie wymówki.

Później pamiętam wyrzekł do mnie—„Ty to, twardemi słowy, oddałeś mi największą posługę!“

W końcu roku zeszłego, Akademia francuzka na uroczystém zebraniu, ogłosiła przez usta sekretarza sprawozdanie z dzieł uwieńczonych konkursową nagrodą. Liczba tych dzieł wielka, a pieczęć wyciśnięta na nich przez pierwsze ciało naukowe, daje niezaprzeczoną rękojmią ich wartości. Kronika nasza pominąć nie może tych cennych zabytków, któremi wzbogaciła się literatura francuska.

Przed dwoma laty Akademia ogłosiła jako przedmiot do konkursu, studyum nad literackiemi utworami Balzaka. Było to zadosyćuczynienie opinii publicznéj, wiadomo bowiem jak ostro wyrzucano Akademii, że słynny powieściopisarz nie znalazł miejsca w jéj gronie.

Z pomiędzy licznych dzieł, nadesłanych na konkurs, Akademia nagrodziła pracę Augustyna Cabut, kwotą 4,000 franków, pogląd autora samoistny, sąd wytrawny, pełen umiarkowania, wyrażony w wytwornéj formie.

Jako przedmiot do przyszłego konkursu, Akademia zaleciła ocenienie powieści Peraulta, pisarza siedmnastego wieku. Słynny ten autor, w czasach kiedy starożytny klasycyzm panował wyłącznie w literaturze, zwrócił uwagę na skarby, przechowane w tradycyi ludowéj, zebrał z żywych podań powiastki i legendy, skreślił je równie wierszem jak prozą, zachowując właściwy im wdzięk naiwnéj prostoty.

Na wstępie Perault przebiega poetyczną bajkę, stworzoną fantazyą starożytnych. „Inne powiastki, mówi on, praojcowie nasi wymyślali dla zabawy swych synów. Opowieść ich daleka od wytwornéj formy Greków i Rzymian, ale za to mieli na uwadze, aby ich utwory zamykały w sobie myśl zdrową i nauczającą, zawsze tu cnota wynagrodzona, występek ukarany.“

Sekretarz Akademii, ogłaszając konkurs podniósł ten ustęp z przedmowy: „Cnota nagrodzona! występek ukarany! powtarza za Peraultem,“ tę zasługę mało ważą autorowie obecni, ale Akademia ma odwagę przyklasnąć jéj dziś jeszcze! Zdaniem jéj, pora to właściwa, nie do wznawiania dawnych walk starożytnych z nowożytnymi, ale do rozpatrzenia tych ludowych powieści, nad któremi cały świat

pracował. Perault sam chlubi się, że nad kolebką syna spisywał to, co zasłyszał z ust mamki.

Konkurs na powieści Peraulta, osądzony będzie w roku 1890.

Sekretarz Akademii, p. Doucet, przebiega potém nagrodzone prace historyczne. W ciągu dwóch lat ostatnich, rzekł on, Akademia przyznała wielką nagrodę Gobert p. Albertowi Sorel, za dwa pierwsze tomy ważnéj publikacyi pod tytułem: „Europa i rewolucya francuzka.“ Piękne to dzieło, jakkolwiek niedokończone jeszcze, zajmuje pierwsze miejsce wpośród nowych prac historycznych, zaleca się szerokim poglądem, sumiennem zbadaniem rzeczy, trafném ocenieniem sytuacyi i charakterów. W myśl donatora Akademia po raz trzeci przyznaje nagrodę Gobert 10,000 franków panu Sorel za dzieło jego pierwszorzędnéj wartości.

Drugą nagrodą Gobert uwieńczono piękny tom, pod tytułem: „Wyprawa Karola VIII do Włoch.“ Autor téj pracy Franciszek Delaborde w nowém świetle pokazuje ten ważny fakt historyczny. Bada pilnie stosunki rządu francuzkiego z rządami różnych części włoskiego półwyspu, wydobywa nieprzerwaną nić tradycyi politycznych i tym sposobem usprawiedliwia wyprawę Karola, odbierając jéj charakter anarchiczny, jaki jéj mylnie przyznawano. Postać króla jasno rysuje się na przyćmionem tle piętnastego wieku.

Nagrodę Therouanne, Akademia rozdzieliła pomiędzy trzech laureatów: jeden z nich p. Beliguet podjął ważny ustęp z historyi Paryża, p. t. „Liga“ w epoce Henryka III-go; drugi, Labordie, wypracował studyum o Józefie Monnier; trzeci, Feliks Faure, opisał zgromadzenie w Vizelle i Romans w r. 1788.

Paweł Beliguet, maluje żywo odmęt wojny domowéj, w jaki wpadł, zbiegły z Krakowa, Henryk Walezyusz; snać nie przewidywał we Francyi klęsk stokroć cięższych nad wstrętne mu polskie pacta conventa.

Prace pp. Faure i Labordie ściśle łączą się z sobą. Faure dał poznać owe dorywcze zgromadzenia w Delfinacie, które przed stu laty zakreśliły pierwszy program rewolucyi; Labordie ze swéj strony ukazuje w Józefie Monnier, jednego z najgorliwszych propagatorów wolności, aż do chwili, kiedy wielki ten obywatel cofnął się przerażony wobec wzbierającéj burzy rewolucyjnéj, odważnie stawił czoło gwałtom i zjednał sobie cześć powszechną. Piękny to życiorys, nakreślony z zapałem. Autor kocha wolność, lecz patrzy ze wstrętem na bezprawia popełniane w jéj imię.

Z wielkiéj liczby dzieł, nadesłanych na konkurs Bordin, Akademia wybrała trzy najważniejsze. Pierwszą otrzymał Rumuńczyk książę Jerzy Bibesco, syn ostatniego hospodara, wychowany we Francyi. Należał on do wyprawy meksykańskiéj, opisał jéj historyą podtytułem: „W Meksyku r. 1862.“

„Kocham Francyą, mówi autor, kocham ją z głębi serca. Ona przytuliła mnie dzieckiem, wychowała w młodzieńczych latach, po-

wołała mnie jak syna pod sztandary swoje, a naznaczając mi miejsce wśród szermierzy, pozwoliła mi zostać człowiekiem. Za to wszystko ukochałem Francyą!"

Druga część nagrody przypadła panu Millet, pełnomocnikowi francuzkiemu w Serbii, za dzieło pod tytułem „Francya prowincyonalna." Autor zaczyna od komunału, powtarza z góry za drugimi, że Paryż jest mózgiem Francyi, a potém odwraca się od książek, woli badać żywych ludzi i puszcza się w drogę, jeździ od miasta do miasta, zatrzymuje się tu i owdzie, rozpytuje wysokich i małych urzędników, zamożnych i ubogich mieszczan, zwiedza po drodze zamki panów, zagląda do chaty kmiecéj, do warsztatu rzemieślnika, do karczmy, wszędzie rozgląda się baczném okiem, wszystko widzi, wszystko wié, wszystko daje poznać i przychodzi w końcu do konkluzyi, że jeśliby Francya straciła przypadkiem głowę, zdrowy zmysł prowincyi ocali ją i przywróci zachwianą równowagę. Książka to zajmująca i oryginalna; obraz życia społecznego, żywém skreślony piórem, rysy miejscowe trafnie uwydatnione.

Trzeci laureat Stephen Liegeard obrał za przedmiot słoneczną Prowancyą. Urodzony nad brzegiem morza Śródziemnego, ukochał gorąco te lazurowe wybrzeża zdeptane stopami Trubadurów; pod tytułem „Côtes d'Azur," kreśli poetyczny ich obraz, a zarazem bada historyczną przeszłość swéj macierzystéj ziemi.

Więcéj jeszcze utworów literackich nadesłano na konkurs fundacyi Marcelina Guerin. Z tych Akademia wybrała pięć najcelniejszych. Oto nazwiska i prace laureatów.

Henryk Lemonier, doktor prawa, napisał studyum historyczne „O stanowisku wyzwoleńców w trzech pierwszych wiekach cesarstwa rzymskiego." Wyjaśnia w jaki sposób odbywało się wyzwolenie, jakie prawa zdobywał dawny niewolnik. Nie trzymając się wyłącznie w obrębie prawa, autor bada rozwój rzymskiego społeczeństwa w epoce jego najwyższéj potęgi.

Pod tytułem „Paradoks równości," Paweł Lafitte nakreślił „Traktat filozofii społecznéj," tém ważniejszy, że odpowiada na pytania tak gorąco zajmujące dzisiaj umysły. Autor nie przeczy, że w skutek wielkiego nadużycia przywilejów i monopolów, idea równości stała się pożytecznym bodźcem do przeciwważenia złemu; ale dziś byłoby wielkiém niebezpieczeństwem brać ją za jedyną podstawę organizacyi społecznéj.

W szkole, równość instrukcyi, w warsztatach równość płacy, w koszarach, równość służby, oto główne artykuły postawione na programie utopistów. Lafitte rozbiera szczegółowo każdą z tych złowrogich utopii; pokazuje w końcu, że jeśli ideał sprawiedliwości demokratycznéj nie pozwala uznawać innych różnic prócz tych, jakie daje zasługa w różnym stopniu i różnych formach, na tém ogranicza się równość prawdziwa, zarówno pożyteczna dla jednostek jak dla narodów.

Inny laureat p. Jacquet w dziele p. t.: „Życie literackie w jednem z miast prowincyonalnych“ za czasów Ludwika XIV, wykazuje całym szeregiem dowodów, do jakiego zacofania umysłowego doprowadził prowincyą systemat centralizacyjny, w epoce monarchy zwanego Roi Soleil.

Za cel badań swoich obrał autor miasto Dijon, które Wolter podnosił nad inne pod względem intelektualnym. W tém zachwalonem mieście nie wiedziano nic o Pascalu, wspominano zaledwie Montaign'a i Kartezyusza. Nikt tu nie zajmował się Kornelem; spory akademickie o Cydzie nie znalazły tu najmniejszego oddźwięku. Rasyn nie znany jako twórca „Fedry“ i „Atalii,“ ale jedynie jako biograf Króla Słońca.

O Bossuecie nawet, zrodzonym w Dijon, głuche zaledwie krążyły wieści; zwano go mężem zacnym i uczonym.

Te dowody zacofania wydobył autor z archiwów miejscowych. Jeśli taki stan umysłowy przedstawiała słynna niegdyś stolica Burgundyi, jakiż to gruby pomrok ogarniał dwieście lat temu Francyą, podczas gdy Paryż przyświecał słońcem Europie.

Ksiądz Casgrin, kanadyjczyk, otrzymał czwartą nagrodę. Wiadomo jak serdeczna miłość łączy Kanadę z Francyą, dawną metropolią; tém uczuciem wiedziony ksiądz Casgrin, napisał zajmujący tom pod tytułem: „Pielgrzymka do kraju Ewangeliny.“ Ewangelina to tytuł pięknego poematu Longfellow'a [1]), utworzonego przed laty trzydziestu. Dramatyczny wątek rozwija się w Akadyi, téj nowéj Szkocyi, którą Francya traktatem utrechckim lekkomyślnie ustąpiła Anglikom. Jakkolwiek zapewniono akadyjczykom wolne wyznanie religii katolickiéj, anglo-amerykanie jako silniejsi zaciężyli nad nimi; wypędzili ich z kraju, zagrabili im własność. Powstały prześladowania religijne, trwały około lat trzydziestu i zakończyły się zupełném wytępieniem ludności akadyjskiéj.

W pielgrzymce swojéj do tego kraju, ksiądz Casgrin napotyka co krok wspomnienia tych gwałtów, znoszonych po bohatérsku.

Piątą nagrodę otrzymał uczony belgijczyk, hr. Spoelberch de Lovenjaul, autor czterotomowego dzieła p. t.: „Historya literackich prac Teofila Gautier i Balzaka.“ Żarliwy zbieracz autobiografów i różnego rodzaju pamiątek, posiada on w Brukselli prawdziwe skarby bibliograficzne; listy, notaty, niewydane autografy i t. p. Z tych nagromadzonych materyałów, utworzył zajmujące dzieło o dwóch koryfeuszach współczesnéj literatury, pełne nieznanych szczegółów i nowych spostrzeżeń krytycznych.

Nagrodę fundacyi Langlois za najlepsze tłómaczenia, rozdzieliła Akademia na dwie części. Jednę otrzymał p. Jose Maria He-

---

[1]) Przekład tego poematu pięknie dokonany przez p. Feliksa Jezierskiego drukowany był w „Bibliotece Warszawskiéj.“

redia, Hiszpan osiadły w Paryżu, władający wybornie językiem francuzkim. Przełożył on „Powieść starego wiarusa, kapitana Diaz de Castillo,“ który z Fernandem Cortez zdobywał Meksyk i zostawił ciekawy opis téj wyprawy.

Drugą połowę nagrody Akademia przysądziła profesorowi Bonet-Maury, tłómaczowi dzieła pod tytułem: „Cesarz Akbar. Ustęp z historyi indyjskiéj w XVI wieku“ przez W. A. de Noer.

Pod tym pseudonimem ukrywa się ostatni z książąt Augustenburskich, niegdyś władzca Holsztynu, dziś wygnaniec osiadły we Francyi. Jeśli osobistość autora budzi współczucie, książka jego niemniéj zajmująca. Szczególnym zbiegiem, Indye muzułmańskie miały w XVI wieku trzech cnotliwych Marków Aureliuszów, których postać jasno odbija w historyi muzułmanizmu na tle powszechnéj demoralizacyi.

Jak zwykle tak i w tym roku, na konkurs Monthion nadesłano mnóstwo książek najrozmaitszéj treści, w dziale podróży, poezyi, powieściopisarstwa, pedagogii i nauk ścisłych. Z tych Akademia wybrała piętnaście, przytaczamy cały ich szereg.

„Studyum literackie nad autorem dramatycznym „Nivelle de la Chanssée“ przez p. Lanson. Nivelle nie był wielkim dramaturgiem, żadna z jego sztuk nie utrzymała się na repertuarze; ale utworzył pomiędzy tragedyą a komedyą, rodzaj pośredni, zwany „Comedie larmoyante“ (komedyą łzawą), czyli dramatem z życia powszedniego. Rodzaj ten, wysoko rozwinięty przez koryfeuszów sztuki, zapanował dzisiaj w teatrze. Studyum pana Lanson, pełne oryginalnego poglądu, pokazuje ruch literacki w ośmnastym wieku, autor zna teatr, pojmuje ważne jego zadanie, kreśli uwagi pełne doniosłości.

Do innéj całkiem kategoryi należy uwieńczona praca pułkownika de Votry: „Teorya wielkiéj wojny“ według dzieła generała Klauzewitz. Po skończonéj wojnie prusko-francuzkiéj, pułkownik Votry, przebywając w Wiedniu przy ambasadzie, zbadał i dał poznać Francyi najznakomitsze dzieło strategiczne, jakie się w tych czasach pojawiło: z ośmiu wielkich tomów, wybrał najcelniejsze ustępy, rozjaśnił je w sposób dostępny dla Francuzów, i ogłosił w trzech tomach. Krytyka kampanii 1814 roku, uważana powszechnie za arcydzieło.

Z działu pedagogicznego, bardzo bogatego w tym roku, wymieniamy nagrodzone książki, przeznaczone dla młodzieży i dziatek. „Doświadczenie Dziadunia,“ przez Elie Berthet. „Kapitan,“ przez panią Paskalinę de Nanteuil. „Odważna“ (Vaillante) p. Jakóba Vimont. „Zadanie Piotrusia,“ przez panią Bigot. „Serca proste“ p. Calmon. „Serca bohaterskie“ p. Gustawa Derenne. „Przygody chłopczyka z czasów przedhistorycznych we Francyi“ p. Ernesta d'Hervilly. „Miara metryczna“ p. W. de Fouville.

Dwa ostatnie dziełka zalecają się oryginalnością. Nauka pozytywna przedstawiona tu w żywy i zajmujący sposób.

Dodajmy nakoniec praktyczne dzieło pani Samson, dopełniające wychowania panien, pełne zdrowych rad i pożytecznych wskazówek, pod tytułem: „Życie kobiety światowéj.“

Z wydziału podróży — dwie prace pozyskały nagrodę: „Wyspy Hawai“ i „Pięćdziesiąt tysięcy mil na Oceanie spokojnym.“

Z pomiędzy licznie nadesłanych powieści, sąd konkursowy uwieńczył zbiór oryginalnych i pełnych wdzięku nowelek Gabryela Mare p. t. „Laudette“ i piękną powieść z życia wiejskiego ludu, przez Jana Barauy, p. t. „Obłąkana z Virmont.“

Nagroda fundacyi Desperouses za pracę lingwistyczną, inne w tym roku otrzymała przeznaczenie. Akademia ogłosiła konkurs poetyczny. Pięćdziesięciu sześciu poetów wystąpiło do współzawodnictwa: trzech z nich odniosło tryumf. Komendant Borelli za poemat „Rana,“ ożywiony tchnieniem rycerskim. Fryderyk Plessis, autor rzewnego poemaciku „Kaganiec gliniany,“ i Emil Peyrefort za zbiorek ślicznych pieśni p. t.: „Wizye.“

Mówiliśmy już o wielkiéj fundacyi pani Botte, przynoszącéj 6,000 fr. procentu, i o walkach jéj z Akademią. Donatorka miała na myśli podnieść stanowisko kobiety, a tém samém przyspieszyć chwilę jéj wyzwolenia. Akademia nie przyjęła warunku, wolała raczéj zrzec się donacyi, niż wprowadzić nowe idee, burzące ład społeczny. Skończyło się na ustępstwie pani Botte. Oddała summę do rozporządzenia Akademii, ta zaś, aby zadowolić donatorkę, przeznacza procent na premia dla samych literatek.

Wśród uwieńczonych widzimy jednę szczególniéj uprzywilejowaną. Nie dość, że na czole jéj błyszczy królewska korona, z czoła tego uderza niemniéj aureola sławy i zasługi. Mówimy tu o królowéj Rumunii, znanéj w literaturze pod pseudonimem „Carmen Silva.“ „Myśli królowéj,“ przełożone na język francuzki, pełne uczuć wzniosłych, żywo i poetycznie wyrażonych, zjednały autorce medal honorowy.

Drugie premium 2,500 fr. otrzymała pani Anais Segalas, ośmdziesięcioletnia poetka, za nowy zbiór poetycznych utworów; trzecie przypadło pani Baune, autorce dzieła p. t.: „Wizerunki niewieście.“

Zmarły przed kilku laty Akademik Vitet, uczynił ważną fundacyą z ogólném określeniem, „Na pożytek literatury,“ Akademia udzieliła z niéj część utalentowanemu libreciście Gallet, większą zaś połowę (5,000 fr.) ofiarowała Ferdynandowi Fabre, autorowi znakomitych powieści. Wręczając premium, sekretarz Akademii zastosował do laureata słowa, któremi fundator nagrody trzydzieści lat temu, powitał Juliusza Landeau, wstępującego do Akademii.

„Z pośród tłumu romansopisarzów, rzekł Vitet, kilku zdołało ujść zarazy powszechnéj, zachowało godność własną, nakazują poszanowanie. Pan idziesz na ich czele, utrzymujesz ich przykładem

swoim; używasz talentu, by strzedz nawę społeczną od rozbicia, nie na to, aby popychać ją na skały.“

Słowa te zastosował mówca do laureata, podnosząc zarazem jego literacką zasługę i osobisty charakter.

Po dwóch powyższych, odbyła się trzecia jeszcze uroczystość akademicka, przyjęcie hr. Haussonville, w miejsce zmarłego profesora Caro. Wielbiciele świetnego koryfeusza filozofii spirytualistycznéj, tłumnie zapełnili salę w pałacu Mazaryniego, przekonani, że następca rozwinie cały dar wymowy, aby godnie uczcić profesora, który wymową czarował cały Paryż.

Trudne było zadanie nowego akademika. W mowie jego nie brakło ani błyszczących słów, ani wytwornie obmyślanéj formy, brakło tylko owego żaru, co porywa serca i zapala wyobraźnię słuchaczów. Szczery zwolennik idealizmu p. Haussonville, podnosi filozoficzne teorye poprzednika, jego wytrawny sąd krytyczny i niezrównany dar słowa, rozbiera długi szereg jego prac, zacząwszy od słynnego dzieła o Bogu („Idée de Dieu“) do surowéj krytyki, wymierzonéj przeciw szkole pessymistycznéj Leopardego, Schopenhauera i Hartmanna. Nie wspomniał tylko o książce wydanéj zaraz po ciężkich klęskach Francyi w r. 1871. Pod tytułem „Les Deux Allemagnes,“ pokazał profesor Caro, czém są rzeczywiste niemcy, a mianowicie Prusy, wobec idylliczno-patryarchalnego społeczeństwa, jakie pani de Stael stawiała na wzór francuzom, w początkach tego wieku. „Ktoby chciał zebrać, mówi Caro, wszystkie te niewczesne pochwały, utworzyłby z nich obraz jakiejś przedpotopowéj Germanii, odkrytéj przez nowego Cuvier'a.“

Mimo uznania geniuszu pisarki, Caro z żalem i goryczą wspomina tę apoteozę wrogiego narodu, skreśloną w czasach krwawych zapasów Niemiec z Francyą. Otóż pani de Stael była rodzoną prababką hr. de Haussonville, przedmiotem jego uwielbienia i chluby. Ukrył on urazę pod osłoną jedwabnych słówek, lecz zachował ją niewątpliwie w głębi serca i to właśnie rzucało chłód na pochwały sypane poprzednikowi.

Odpowiedź pana Bertrand mniéj jeszcze zadowoliła słuchaczów. Zwyczaj wymaga, że akademik, który pełnił obowiązki kanclerza, podczas zgonu zmarłego członka, wprowadza następcę w progi akademii i podnosi literackie obu zasługi. Dziwnym trafem, kiedy umarł Caro, przewodnik szkoły idealistycznéj, kanclerzem Akademii był Józef Bertrand, znakomity matematyk, ale zimny pozytywista, zagrzebany wyłącznie w cyfrach.

Mowa p. Bertrand była raczéj cierpką krytyką, niż przemówieniem akademickiém. Zarzuca on hr. Haussonville, że w dziele o pani Necker, ukazując słynny salon praprababki, w złém świetle pomieścił encyklopedystę d'Alembert'a, że w krytycznéj rozprawie o li-

teraturze współczesnéj, wyświetla cynizm Merimé'go i bezbożność Sainte Beuv'a.

Surowiej jeszcze osądził p. Bertrand profesora Caro. Zdaniem jego biegły retor sypał kwiaty wymowy, lecz niczego nie dowiódł!

Taki sąd o zasłużonym profesorze przykry był licznym jego wielbicielom, ale ich bynajmniéj nie zdziwił. W oczach znanego pozytywisty, Caro nie mógł być czém inném jak błyszczącym frazeologiem.

Mieliśmy sposobność rozpatrzeć szczegółowo przepyszne publikacye archeologiczne świeżo ogłoszone pod znaną firmą Morel. Uderzyło nas między innemi wielkie dzieło p. t. Enseignement de l'art décoratif, wypracowane przez profesora Charvet, ozdobione kliszami w liczbie 1226.

Autor, trzymając się chronologicznego porządku, pokazuje rozwój sztuki, idący w parze u wszystkich ludów, z religią, cywilizacyą, obyczajami i ewolucyą polityczną. Każdemu ludowi poświęcona osobna księga, obejmuje cztery rozdziały: w pierwszym skreślony rzut oka na historyą, drugi przedstawia typy architektury, rzeźby i malarstwa, trzeci charakterystykę stylu i czwarty prawa estetyczne.

Zaczyna autor rzecz od Egiptu, téj kolebki cywilizacyi, ukazuje w reprodukcyach piramidy, sarkofagi, mumie, symboliczne napisy, bożyszcza, ceramiki, słowem ostatnie nabytki archeologiczne wydobyte z ziemi staraniem dwóch słynnych egiptologów tego wieku: Marjette Beja i Maspero.

Po egipskiéj autor ukazuje sztukę w Assyryi. Kraj to łowiecki, ludność w bezustannéj walce z dzikim zwierzem, ztąd téż zamiast ozdób, naśladowanych ze świata roślinnego, występują zwierzęta, niekiedy potworne i fantastyczne.

Persya ma charakter spokojniejszy, liście i kwiaty przeważają w ozdobach, tu powstały owe palmy, cechujące wszędzie gust wschodni. Wykopaliska świeżo dokonane przez małżonków Dieulofoy, rzuciły wielkie światło na starożytną sztukę perską.

Następuje Grecya. Autor daje poznać historyczny rozwój sztuki w tém uprzywilejowaném społeczeństwie. Szereg reprodukcyi ukazuje nasamprzód epokę pelazgijską, owe mury Cyklopów, ułożone z olbrzymich płyt kamiennych; daléj Myceny ze sławną bramą Lwów, zwaliska Akropolu, ceramiki, czasze, medale i t. p.

Niesłychana tu rozmaitość. Geniusz grecki wszystko bierze od drugich, to od Egipcyan, to od Persów, ale wszystko przerabia na własną modłę, doprowadza piękno plastyczne do najwyższego ideału, szuka coraz to nowéj formy. Cechą jego wdzięk, spokój, majestatyczność.

Przechodzimy pod niebo Italii. Zabytki starożytnych Etrusków pierwszym były wzorem dla Rzymu; ale od podboju dopiero Grecyi rozpoczyna się tu prawdziwy rozwój sztuki, dochodzi zenitu

za Augusta Cezara. Zwycięzki Rzym wyciska własne piętno zarówno na architekturze jak na rzeźbie. Szalony zbytek i przepych w ozdobach, zastępują dawną prostotę. Mniéj tu ideału; główny charakter stanowi siła i prawda. Na bramach tryumfalnych widzimy wyryte całe dzieje współczesne.

Z upadkiem Rzymu sztuka przeradza się zupełnie, zakipiało w niéj nowe życie pod potężném tchnieniem chrześcianizmu. Architektura zapanowała nad innemi działami sztuki, wyrastają z ziemi przybytki Boże. Pierwszy popęd daje Bizancyum. Bazylika St. Zofii staje się wzorem dla świata chrześciańskiego. Ale przeniesiony na zachód styl byzantyński przeistacza się zwolna, zrodzony z niego styl romański, nową odbywa ewolucyą, podnosi łuki coraz wyżéj, wiecznie strzela pod obłoki, radby dosięgnął niebios.

Reprodukcye pokazują nam frontony pysznych katedr, rzeźbione drzwi, konfesyonały, kraty żelazne, złote relikwiarze i pastorały.

W innym dziale znajdujemy godła rycerskie, oręże, zbroje i kolczugi, w innym znów ruiny zamczysk, sprzęty domowe i t. d., odmienne w różnych krajach, według miejscowych potrzeb i fantazyi.

W epoce średniowiecznéj ciekawy dział poświęcony sztuce arabskiéj, na szerokiéj przestrzeni, od najdalszych krańców wschodu do Pirenejów. Piękne reprodukcye dają nam poznać pałace maurytańskie, wspaniałe meczety i alkazary. W tych pomnikach widzimy żywy obraz obyczajów muzułmańskich.

Druga połowa dzieła poświęcona czasom nowożytnym. Pokazuje autor Włochy jako główne ognisko sztuki za czasów Medyceuszów, za papieży Juliusza II, Leona X, i Klemensa VII. Liczne ryciny przedstawiają przybytki z epoki odrodzenia, począwszy od kościoła S-o Piotra w Rzymie, genialne rzeźby Michała Anioła, obrazy Rafaela i t. d. Promień z tego ogniska ogarnia Francyą za Walezyuszów, Anglią za Tudorów.

W wieku siedmnastym sztuka chyli się do upadku. Ognisko jéj tli we Francyi, ztąd przyświeca Europie, ale wszystko dziwnie się zmienia. Styl XVI-o wieku, pełen prostoty i harmonii, staje się pompatycznym za Ludwika XIV-o, idyllicznym za jego następcy. W XVIII wieku sztuka wraca do starożytnych wzorów, zimny konwencyonalizm zapanował we wszystkich jéj gałęziach.

Na tém zakończył autor dzieło swoje. Zapewne w dalszym ciągu pokaże zwrot romantyczny, który pchnął sztukę na nowe tory w pierwszéj połowie bieżącego stulecia.

Zasługuje również na uwagę, inne czterotomowe dzieło archeologiczne, wydane także przez firmę Morel, p. t. „Dictionaire d'ameublement et de décoration.“ 2,500 drzeworytów pomieszczonych wśród tekstu i 256 tablic chromolitograficznych zdobi tę pomnikową publikacyą.

Dyplomata szwedzki baron Hochschild, były poseł we Florencyi i w Londynie, wydał zarazem w Sztokholmie i w Paryżu, życio-

rys królowéj szwedzkiéj Dezyderyi, małżonki Karola Jana, protoplasty panujących Bernadottów. W małéj książeczce autor nagromadził wiele ciekawych faktów, bo też życie królowéj Dezyderyi niezwykłym biegło trybem. Córka przemysłowca, fabrykanta jedwabnych tkanin, Dezyderya Clary, została królową Szwecyi i Norwegii, matką i babką królów.

Przyszła na świat w Marsylii w r. 1781, zbliżały się wtedy czasy burzliwych wstrząśnień. Z różnych przygód, jakie utkwiły w jéj dziecięcéj pamięci, jedna na szczególną zasługuje uwagę.

„Dnia jednego, opowiadała królowa, wchodzi w progi nasze jakiś żołnierz, opatrzony w bilet kwaterunkowy, mój ojciec zamiłowany nadewszystko w spokojności domowéj, wyprawił go grzecznie z listem do pułkownika, prosił, aby mu przysłano oficera, żołnierze bowiem dopuszczają się niekiedy brewcryi. Ów odprawiony żołnierz, był to furier Bernadotte, który miał zostać mężem moim, a następnie królem Szwecyi.

Oddano małą Dezyderyę do klasztoru. Krótko tam przebywała; klasztory zostały jak wiadomo zniesione. Po śmierci ojca w r. 1794, chowała się z siostrami przy matce. Najstarszy z rodziny brat był już natenczas ożeniony. Otóż ten brat wpadł w jakieś podejrzenie, władze miejscowe wtrąciły go do więzienia, przerażona bratowa biegnie co żywo do reprezentanta ludu, Albitte, błaga o łaskę dla męża, zabrała z sobą małą Dezyderyę. Dziewczynka zostawiona na chwilę w przedpokoju, zasnęła twardo. Budzi się, drży ze strachu, widząc dokoła obce twarze. Bratowa otrzymawszy uwolnienie zapomniała zupełnie o niéj. W tém ktoś nieznajomy wychodzi z pokoju Albitta, pyta ją na kogo czeka i odprowadza ją do domu. Wdzięczna panienka zapytuje go o nazwisko, aby mogła powtórzyć je rodzicom.

Nazywam się Józef Bonaparte odrzekł nieznajomy. Tak się zawiązała znajomość rodziny Clary z Bonapartymi.

Józef przedstawił się pani Clary, przyjęty uprzejmie powtarzał często odwiedziny. Wkrótce Dezyderya została jego narzeczoną. Napoleon był wtedy oficerem artyleryi. Wprowadzony do domu przez Józefa, upodobał sobie Julię, starszą siostrę Dezyderyi.

„Znajomość z nim, mówiła królowa, poplątała całkiem nasze plany na przyszłość. Dnia jednego rzekł do nas: w dobranem małżeństwie trzeba koniecznie, aby jedna strona ustępowała drugiéj. Ty Józefie masz charakter niezdecydowany, toż samo uważam w Dezyderyi; ja tymczasem i Julia, wiemy oboje czego chcemy. Właściwiéj będzie, gdy ty poślubisz Julią, co do Dezyderyi, dodał, biorąc mnie za rękę, niech będzie moją żoną. Tym sposobem zostałam narzeczoną Napoleona.

Widocznie młodziuchnéj Dezyderyi przypadł do myśli taki układ. Pisze w liście, że nie mogłaby żyć bez narzeczonego.

Józef zaślubił Julią, ale Napoleon, oddaliwszy się z Marsylii

do Paryża, poznał tam panią de Beauharnais, słowo dane czternastoletniéj dzieweczce nie miało u niego znaczenia. Tym sposobem Dezyderya nie została ani królową Neapolu i Hiszpanii, ani cesarzową francuzów, miała otrzymać za to mniéj świetną, ale trwalszą koronę.

Panienka przebaczyła Napoleonowi, obwiniała go tylko, że się nie zna na wartości kobiet. Stosunek jéj z Józefiną był zawsze przymuszony, do końca życia wyrażała się o niéj z przekąsem.

Pięknéj i bogatéj panience nie zbywało na zalotnikach. Starał się naprzód o jéj rękę jenerał Duphot, następnie Junot, późniejszy ks. d'Abrantès; ten ostatni oświadczył się o jéj rękę, lecz niezręcznie wziął się do rzeczy. Swatem jego był piękny i świetny generał Marmont. „Gdyby przemawiał sam od siebie, mówiła królowa, byłabym może nie odmówiła."

Nakoniec w r. 1798 oświadczył się Bernadotte i został przyjęty, mimo różnicy wieku. Zajmował on już wysokie stanowisko: był jenerałem dywizyi i ministrem wojny.

„Przyrzekłam mu rękę, mówiła królowa, gdyż zapewniano mnie, że to dzielny człowiek, że potrafi stawić czoło Napoleonowi."

Dowiedziawszy się o tym zamiarze Bonaparte, pisał z Egiptu: „Życzę szczęścia Dezyderyi, jeśli pójdzie za Bernadotta. Zasługuje na to zupełnie."

Po ślubie pani Bernadotte zamieszkała w Paryżu, spotykała Napoleona, ale dawne stosunki poszły całkiem w niepamięć; widziała w nim jedynie szwagra siostry swojéj Julii, którą kochała całém sercem. Jenerał zmuszony oddalać się nieraz na długo, pisywał do żony zajmujące listy, pełne ojcowskiéj troskliwości. Udziela jéj rad, skłania ją, aby wzięła nauczyciela tańca i muzyki, tłómaczy się jednak, że nie chce uważać jéj za dziecko.

Bernadotte został marszałkiem, otrzymał tytuł księcia Ponte Corvo. Wkrótce potém powołano go na następcę tronu szwedzkiego. Księżna nie wiedziała, gdzie leży kraj w którym miała zostać królową; sądziła, że to jakieś tytularne królestwo, w rodzaju księztwa Ponte-Corvo.

Wyjechał naprzód sam książę do Szwecyi, księżna pośpieszyła za nim, ale tytuł Królewskiéj Mości bardzo był ciężkim dla niéj. Zgodnie też z wolą małżonka powróciła do Paryża, gdzie pod nazwiskiem hrabiny Gotland, mieszkała w pałacu swoim, przyjmowała dawnych przyjaciół i liczne rodziny szwedzkie, odwiedzające Paryż.

Przebywała tu lat trzynaście, od roku 1810 do 1823. Baron Hochschild nie wyjaśnia powodu tak długiego oddalenia. Kiedy w roku 1822 spotkała się w Akwizgranie z synem, księciem Oskarem, zamiast małéj dzieciny, ujrzała dorodnego młodzieńca. Nieco późniéj, podróżując po Szwajcaryi, dowiedziała się o zaręczynach księcia z córką Eugeniusza Beauharnais. Nakoniec w roku 1823 postanowiła opuścić Paryż. Popłynęła do Szwecyi z przyszłą sy-

nową swoją, z którą miała przeżyć długie lata w najściślejszéj jedności.

Otoczona rodziną i pięciorgiem wnucząt, królowa tęskniła przecież do Paryża. Pragnęła tam jeszcze powrócić, ale król nie pozwolił już na to. Bez oporu uległa woli małżonka. Życie jéj upływało spokojnie. Po śmierci Karola Jana, syn Oskar otoczył matkę najtroskliwszém staraniem, mieszkała na przemian w zamku Rosenberg i Drothingholm, dwóch pięknych królewskich rezydencyach.

Długa choroba a potém śmierć króla Oskara najboleśniéj dotnęła serce matki. Umarła w r. 1861, wkrótce po wstąpieniu na tron wnuka jéj, Karola XV.

Rycina z portretu Gerarda, pomieszczona na czele tomu, pokazuje w królowéj ładną kobietę, nizką, lecz pełną wdzięku. Autor wysławia jéj dobroć, miłosierdzie i rozum, połączony z wielką prostotą.

Udział Polaków w kongresie trydenckim. Sprawozdanie z odczytu doktora Dembińskiego w Towarzystwie historyczno-literackiém w Paryżu.

Przed laty pięciu p. Bronisław Dembiński, ubiegając się o stopień doktora w uniwersytecie wrocławskim, napisał w niemieckim języku rozprawę historyczną p. t. „Die Beschickung des Tridentinums durch Polen, und die Frage von Nationalconcil." Po zdaniu egzaminów habilitował się na docenta w Krakowie, gdzie wykładał historyą Włoch w epoce odrodzenia. Badając archiwa w muzeum książąt Czartoryskich, znalazł tu oryginalne dokumenta, nie wydane dotąd, a będące w ścisłym związku z soborem trydenckim, jak listy Comendoniego i biskupa Uchańskiego do Hozyusza.

Młody historyk postanowił rozszerzyć ramy poprzedniéj pracy i wydać ją w języku polskim. Krakowska Akademia Umiejętności ułatwiła mu tę rzecz, poruczając mu zbadanie w Rzymie archiwów watykańskich.

Dr. Dembiński wywiązał się z otrzymanego polecenia: przejrzał sto z górą woluminów, obejmujących akta trydenckie, wypisał z nich wszystko, co się odnosiło do udziału Polaków w soborze. Obecnie przebywa czasowo w Paryżu, zbiera po bibliotekach i archiwach materyały do badań swoich.

Na dwóch ostatnich posiedzeniach Towarzystwa historyczno-literackiego, nasz uczony zajął żywo słuchaczów, przedstawiając im pracę o Soborze trydenckim, ze szczególnym poglądem na dzieje nasze w epoce dwóch ostatnich Jagiellonów. Przytaczamy w treści tę rozprawę.

W Polsce potrzeba soboru nie była tak żywą jak w Niemczech, gdzie rewolucya religijna rozpasała się tak gwałtownie; ale i w Polsce wypadało zająć się tą sprawą. Król Zygmunt I-szy, zwany fortis-

simus Christi atleta, miał najlepszą wolę, obawiał się rozdarcia religijnego, przemawiał też za soborem powszechnym.

Po raz pierwszy w roku 1536, przybył do Polski legat papieski, dla porozumienia się w tym względzie, ale sobór poszedł w odwłokę. W kilka lat potém 1542. przybywa nowy legat. Polska oświadcza się i tym razem z gotowością do udziału w sprawie tak obchodzącéj świat chrześciański. Sobór powszechny uważany był za konieczność niezbędną, za jedyny środek przywrócenia jedności kościła; na przeszkodzie stały mu ciągłe wojny: to konflikt papiestwa z cesarstwem, to zatargi Francyi z dynastyą rakuzką.

Po kilkoletnich zwłokach, rozpoczyna się wreszcie sobór w Trydencie w r. 1545. Nie było na nim polskich prałatów. Prelegent wykazuje powody ich nieobecności. Nie żył już arcybiskup Gamrat, który przyrzekł był stanąć osobiście w Trydencie, nastąpił po nim arcybiskup Dzierzgowski: ten nie odznaczał się ani wyższą zdolnością, ani wybitnym charakterem. W ogólności stan kościoła polskiego wiele w tych czasach zostawiał do życzenia, zarówno pod względem oświaty jak i gorliwości religijnéj. Episkopat zwłaszcza okazywał się obojętnym. Były zresztą i materyalne przeszkody z powodu zbyt rozległych przestrzeni, jakie zajmowały dyecezye i stanu dróg ówczesnych, co utrudniało ich wizytacyą.

Sobór długo miał potrwać, nic zatém nie nagliło. Zwłoka ta jednak wywołała silną protestacyą przeciw wyższéj duchownéj władzy, ze strony dwóch obozów w r. 1546: jednę ze strony kapituły krakowskiéj, drugą ze strony innowierców.

Kapituła krakowska domaga się usilnie u biskupa Samuela Maciejowskiego o wysłanie na sobór reprezentanta dyecezyi krakowskiéj. Złożona z ludzi pełnych żaru i energii, kapituła ta, sumiennie bada sytuacyą, surowo krytykuje episkopat i szczerze pragnie odrodzenia. Z obozu protestantów tymczasem odzywa się głos Frycza Modrzewskiego. W roku 1546 napisał on energiczną rozprawę o konieczności wyprawienia posłów do Trydentu.

Obudził się wreszcie episkopat. Zwołano synod do Łęczycy w roku 1547; tu postanowiono zająć się wyborem posłów na sobór. Zygmunt I-szy już przed synodem wyznaczył od siebie dwóch, lecz ci nigdy nie byli wymienieni.

Tymczasem w skutek nieporozumienia pomiędzy papieżem a cesarzem, sobór przeniesiony został z Trydentu do Bolonii w r. 1547. Wywołało to w Polsce niechęć i ogólne niezadowolenie. Z Synodu łęczyckiego Hozyusz pisze do Ojca św. (od króla i episkopatu), wyrażając żal głęboki z powodu owego przeniesienia soboru do Bolonii. Król dotkliwie odczuł to nowe zawikłanie, utrudniające zgodę świata chrześciańskiego.

Wkrótce potém umarł Zygmunt I-szy. Już nie żył, kiedy przybył z Bolonii opat Martinengo, wysłany przez papieża z naleganiem o przybycie posłów. Zygmunt August odwołuje się do sej-

mu; biskupi odpowiadają w wymijający sposób, nie okazują widocznie gotowości do wysłania reprezentantów na sobór.

Wówczas to w Polsce objawia się gwałtowny ruch w umysłach; protestantyzm występuje jakoby rwący potok. Prelegent kreśli charakterystykę owego ruchu religijnego w kraju naszym. Sprawa religijna łączy się tu ściśle ze sprawą polityczną. Izba poselska występuje jako jednolita potęga. Program szlachty obejmował sto artykułów, ogarniających wszystkie strony życia narodowego. W społeczeństwie polskiém widoczne zaszły zmiany: nowy prąd religijny przeniknął całą szlachtę. W Izbie odzywa się przeważnie głos protestancki.

Sobór tymczasem drugą rozpoczął fazę. Jeszcze w r. 1550, przeznaczono w poselstwie Hozyusza, wtedy biskupa chełmińskiego, jednakże po dwóch ubiegłych latach, wybór ten już nie odpowiadał większości sejmowéj. Wybrano zatém w r. 1552, biskupów Drohojowskiego i Uchańskiego, a z panów świeckich Tenczyńskiego, Modrzewski miał pełnić obowiązki sekretarza.

Już wybierali się w drogę, kiedy sobór został zawieszony. Zwłoka ta poruszyła umysły w Polsce: usiłowano załagodzić spory i antagonizmy. Mówiono o tém na sejmie w Piotrkowie w r. 1555: Izba domagała się wtedy stanowczo zniesienia juryzdykcyi duchownéj: nie było tu mowy o kościele narodowym, chodziło tylko o uspokojenie umysłów przez chwilowe ustępstwa.

Wówczas to zamierzono wyprawić poselstwo do Rzymu, aby przedłożyć stan rzeczy istniejący w Polsce, zatwierdzić uznanie ustępstw, a nakoniec wyjednać pozwolenie na zebranie soboru narodowego, ale dopiero w razie, gdyby sobór trydencki nie przyszedł do skutku. Miał się udać do Ojca św. kasztelan Stanisław Maciejowski brat biskupa. Nie szło tu bynajmniéj o wystąpienie wbrew Rzymowi, ale o wyjednanie ustępstw, działanie z aprobacyą stolicy apostolskiéj.

Ponieważ w Polsce tak wiele rozprawiano o soborze a sejm zatwierdził ustępstwa różnowiercom, ztąd wnoszono za granicą, że protestantyzm zapanował w polskiém społeczeństwie. Kalwin i Melanchton, jak również protestanci angielscy i francuzcy, żywo się tém zajęli. Przeceniano ważność ustępstw uczynionych na sejmie.

Protestanci polscy tymczasem przygotowywali sobór narodowy; widoki ich spełzły na niczém, Rzym bowiem nie uznał tego soboru, a król działać nie chciał bez upoważnienia Ojca świętego. Zresztą w obec nadziei, że sobór powszechny przyjdzie niebawem do skutku, myśl soboru narodowego na dalszy plan ustępowała.

W owym czasie Pius IV, z całém wysileniem zabrał się do zwołania na nowo soboru. Szło tu o pośpiech, szczególniéj ze względu na Francyą, rozerwaną przewrotem religijnym a spragnioną prędkiego załatwienia sprawy, aby ocalić jedność państwa.

Po długich naradach, zredagowano nareszcie 29 listopada 1560

roku bullę, zwołującą na sobór. Ta bulla z umysłu niedokładnie określona, pozostawiała wątpliwość, czy sobór ma być nowym (indictio), czy też ciągiem dawnego soboru (continuatio). Brak stanowczego określenia nikogo nie zadawalał. Cesarz domagał się nowego soboru. Francya pragnęła go zarówno. Hiszpania przeciwnie żądała, aby nowozwołany był dalszym ciągiem soboru trydenckiego. Ztąd powstały niezadowolenia i nowe pertraktacye. Wszystko to trwało dwa lata, sobór zebrał się dopiero pod koniec 1561 roku.

Polska nie zabrała stanowczego głosu w sprawie redakcyi bulli, chociaż ogólnikowo oświadczała się zawsze za „wolnym" powszechnym soborem. W Polsce też sprawa soboru nie miała takiéj doniosłości jak w Niemczech i Francyi, gdzie z powodu różnicy wyznań groziła wojna domowa. Nagłe sprawy polityczne a miejscowe, zajmowały żywo umysł narodu. Przygotowywały się wielkie sejmy egzekucyjne. Wzgląd na sprawy inflanckie i ztąd wynikający konflikt z północą, a co więcéj myśl króla skierowana przeważnie do unii, wszystko to w téj chwili gwałtownie zajmowało umysły w kraju. Czuł Zygmunt August pioruny, wzbierające, w chmurze, gotowe uderzyć od północy.

Mimo to na synodzie w Piotrkowie r. 1561, zajęto się sprawą soboru. Wyznaczono kilku opatów na posłów do Trydentu, lecz nie ma o nich dokładnéj wiadomości. Późniéj mianowani zostali Uchański, biskup kujawski i Wolski, kasztelan brzeski. Ci posłowie mieli dopiero po sejmie udać się na sobór, że jednak sejm się zwlóczył, a król przebywał na Litwie, chodziło więc o to, aby przed sejmem wyprawić kogo do Trydentu. Uchański jechać już nie mógł, gdyż został w ówczas arcybiskupem. Mianowano zatém Herburta, biskupa przemyskiego. Przed Herburtem, jako tymczasowy poseł pospieszył tam Faleński, opat sulejowki.

Nastąpiła trzecia faza soboru trydenckiego, w któréj już posłowie polscy czynny przyjęli udział. Pan Dembowski, przejrzawszy pilnie dokumenta watykańskie, zaznacza tę działalność.

Hozyusz biskup warmiński, od lat kilku przebywał w Rzymie, a następnie w Wiedniu, w charakterze nuncyusza papieskiego. Ztamtąd przybył do Trydentu, jako kardynał, jeden z pięciu legatów papieskich.

Stanął Herburt w Trydencie w październiku r. 1562, jako poseł państwa polskiego. Przyjmowano go z wielką okazałością, należną reprezentantowi potężnego narodu. W imieniu króla przemawiał na pierwszém posiedzeniu; uroczystą otrzymał odpowiedź.

Herburt przybył na sobór w chwili wielkiego naprężenia. Zajmowano się pytaniem czy władza biskupia opiera się na prawie Boskiém (juris divini), czy też na prawie pozytywném. W téj sprawie Herburt dwie wygłosił mowy: pierwszą dnia 16 listopada, drugą 15 grudnia 1562 roku. W pierwszéj wyraził się ogólnikowo; w drugiéj, aby położyć raz koniec nieporozumieniom, wyrzekł, iż godność biskupia opiera się na prawie Boskiém.

W czerwcu 1563 roku przemawiał znów biskup przemyski na kongregacyi za reformą kościoła, za zniesieniem nadużyć a nadewszystko za tém, aby ludziom chciwym zaszczytów a niekwalifikującym się nie otwierać drogi do godności kapłańskiéj. Na témże samém posiedzeniu przemawiał za ustanowieniem w Polsce biskupów sufraganów, aby mogli objazd dyecezyi z większym prowadzić skutkiem.

Biskup Herburt wielką zjednał sobie wziętość zarówno na soborze jak i w Rzymie; głos jego bardzo był poważany. Ś-ty Karol Boromeusz mówi o nim w zaszczytny sposób; sam papież Pius IV, wspomina go w liście z uznaniem. Rad był też biskup ze swego pobytu na soborze; w końcu jednak zaczęły się kłopoty. Skarży się Herburt na brak funduszów, pisze iż zadłużony, że zbywa mu na potrzebnych rzeczach, ubolewa, że biskupi go opuścili. W tym liście jedynym, jaki pozostał, zaznacza, że jest posłem wysłanym przez króla, (me huc a Regia Majestate missum esse). Pod koniec soboru Herburt zachorował; skłopotany nie odezwał się już wcale. Wkrótce też zakończył się i sobór.

Podnosi wreszcie prelegent kwestyą przyjęcia soboru w Polsce. Opierając się na listach Comendoniego i Uchańskiego, wyprowadza ten wniosek, że Comendoni w liście do św. Boromeusza [1]) i w liście do Hozyusza z dnia 10 stycznia 1565 roku [2]), przecenił fakt przyjęcia uchwał soboru przez króla na sejmie w Parczowie. O téj przesadzie świadczy list Uchańskiego do Hozyusza z 10 sierpnia 1564 roku [3]). Comendoni wręczył królowi księgę, król ją podjął, ale fakt ten nie miał jeszcze doniosłego znaczenia sankcyi przez Polskę całą.

Nie było nigdy w Polsce formalnego aktu przyjęcia uchwał zatwierdzonych na soborze, a i duchowieństwo zajęło tu odporne stanowisko w dwóch kwestyach, to jest, co do rezydencyi biskupów i co do posiadania dwóch beneficium.

Po wielu dopiero latach w roku 1577, duchowieństwo polskie przyjęło uchwały soboru, z wyraźném jednak zastrzeżniem, że żąda komisyi w dwóch punktach powyżéj wymienionych.

Na zakończenie p. Dembiński mówił o tendencyach do soboru narodowego. Określił dwuznaczną osobistość arcybiskupa Uchańskiego, który nigdy wyraźnie i jasno nie wystąpił, lecz ukrywał swe polityczne plany, przenikane i paraliżowane przez Comendoniego i Hozyusza. Mówił nakoniec o reakcyi katolickiéj w Polsce, o budzącéj się opozycyi katolickiéj w izbie poselskiéj; skreślił charakterystykę całego ruchu religijnego, który nie naraził Polski na tak krwawe wstrząśnienia, jakim uległa Francya i państwo niemieckie.

---

[1]) Listy wydane przez Malinowskiego w Wilnie.
[2]) Oryginał tego listu zachowany w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie.
[3]) Oryginał w temże muzeum.

PRZEGLĄD MIESZKAŃCÓW

Rosyi Europejskiéj i Królestwa Polskiego

podług narodowości.

PRZEZ

Witolda Zakęskiego.

Sbornik świedienij po Rossij za 1884—1885 god. Centralnawo Statisticzeskawo Komiteta Ministerstwa wnutrennych dieł. St. Peterg. 1887.

Statystyka, przedstawiająca zaludnienie danego kraju, podług narodowości, spotyka się na samym wstępie z ogromnemi trudnościami, ponieważ przy szeregowaniu przyjętéj klasyfikacyi, nastręcza się wątpliwe nader pytanie co do charakterystycznych cech i znamion, które nauki polityczne przyjmują jako cechy decydujące przy oznaczaniu narodowości każdéj osoby albo rodziny? Jedni uważają pochodzenie etnograficzne jako decydujące o charakterze narodowości, drudzy zwracają pilniejszą uwagę na język, którego dotąd osobniki w życiu powszedniém używają, inni wreszcie, kładą większy nacisk na wyznanie religijne i t. d. Tymczasem widzimy często, że pojedyncze rodziny, osiadłe w kraju lub miejscowości zamieszkałéj przez inną narodowość, po pewnym czasie zatracają swoje cechy pierwotne i asymilują się z ludnością miejscową. Reprezentanci tych rodzin tracą w następnych pokoleniach dawną odrębność plemienną i uważają siebie za osoby téj saméj narodowości co otaczająca ich ludność miejscowa. Na potwierdzenie powyższego faktu możemy przytoczyć, że często napotykają się imiona cudzoziemskie, niemieckie, francuzkie, angielskie, tatarskie i inne wśród ludności rosyjskiéj albo polskiéj, ale osoby, noszące te nazwiska są w rzeczywistości i podług własnego uznania i rozumienia innych rosyanami, polakami. Widzimy następnie, że osoby wyznania mojżeszowego, skoro tylko przyjęły którekolwiek wyznanie chrześciańskie, nie zaliczają się już więcéj do żydów, ale do narodowości, do któréj należy ludność miejscowa, chociażby była zupełnie innego typu etnograficznego.

Drugą cechą narodowości ma być język, używany w rodzinie. Tymczasem wiele rodzin zamożnych, mianowicie arystokratycznych, używa w obejściu codziennem języka francuskiego lub angielskiego, nie porzucając bynajmniéj swéj narodości, nie przyjmując przez to narodowości francuskiéj lub angielskiéj. Przy ścisłém zastosowaniu powyższéj zasady, małych dzieci, nie mówiących jeszcze żadnym językiem, nie możnaby zaliczać do żadnéj narodowości.

Nakoniec: jeżeli pozostawimy każdéj osobie zupełną swobodę w oznaczaniu narodowości, do któréj chce być zaliczoną, wystawiamy ją na pokusę obrania, ze względów oportunistycznych, narodowości panującéj albo uprzywilejowanéj; i dajemy administracyi miejscowéj możność, przy pomocy nacisku urzędowego, grupować ludność podług swych celów specyalnych i zaliczać pojedyńcze osoby do narodowości, do któréj bynajmniéj należeć nie pragną i nie roszczą sobie prawa. Niepodobna zatém ustrzedz się pewnéj dowolności przy oznaczaniu narodowości danych mieszkańców, szczególniéj jeżeli członkowie jednéj korzystają z pewnych praw i przywilejów, kiedy jednocześnie członkowie drugiéj są pod pewnemi względami upośledzeni [1]).

Dla oznaczenia narodowości mieszkańców 50 gubernii Rosyi Eu-

---

[1]) Pogląd nasz na dokładne określenie istoty pojęcia narodowości, jak się ono ostatecznie w prawie publicznem urobiło i skrystalizowało, wypowiedzieliśmy w „Bibliotece Warszawskiej“ z r. 1886-go w zesz. na mies. maj, str. 282—285. W pojęciu narodowości mieści się istotna treść historyi danéj ludności, zamieszkałéj w pewnych naturalnych lub w trakcie dziejów ustalonych granicach terytoryalnych, przy czém pierwotne pochodzenie plemienne nie jest momentem rozstrzygającym. Narodowość, jako pojęcie polityczne jest dziełem, wytworzonem przez dzieje, które wspólnie przechodziły rozmaite gromady ludności, zamieszkałe w pewnych terytoralnych granicach; jest wynikiem i rezultatem historycznego rozwoju ludów; jest wyrazem zewnętrznym téj społeczności, której siły żywotne i potęgę polityczną składają, obok wskazanych momentów antropologicznych i etnograficznych, wspólne losy dziejowe, pamięć wspólnego szczęścia i nieszczęścia, nadziei i trwogi, wspólnego wesela i cierpień wspólnych. Twórcą narodowości jest zatem czas, pierwiastkami zaś składowemi i pomocniczemi, z których *wyrabia się* pod wpływem dziejów potężny organizm narodowości są: jedność języka, religii, pochodzenia, przyrodzonych własności kraju pod względem topograficznym, klimatycznym i geograficznym. Rozwój organiczny tych elementarnych potęg narodowości wpływa stanowczo na utworzenie się państwa. Państwo, dążąc do jaknajszerszéj władzy, wyzyskuje nader skwapliwie każdy z tych momentów narodowościowych, używa ich często jednostronnie do celów, które nawet samemu majestatowi narodowości szkodzą przez to, że osłabiają indywidualną energią owych pierwiastków elementarnych w ich samodzielnym żywocie. Wtedy następuje reakcya tych potęg elementarnych, broniących praw swoich przeciw zbytnim aspiracyom wszechwładzy państwowéj, bo wszechwładza państwa, gwałcąc prawa owych idei zasadniczych, nie zdoła nigdy zniweczyć prawa majestatu narodowości. *Red.*

pejskiéj i 10 gubernii Kr. Polskiego, posłużyć może materyał urzędowy, zebrany przez władze wojskowe przy poborach wojskowych. Ponieważ cała ludność Cesarstwa podlega w równéj mierze poborowi wojskowemu, niezależnie od posiadanéj narodowości, przeto z podziału pobranych do wojska podług narodowości, można oznaczyć sumy ogólne, którym odpowiadają ilości pobrane.

Władza wojskowa przyjmuje jako zasadę do podziału 32 kategoryi narodowości, zaliczając do jednéj wielko- i małorosyan i białorusinów. Prócz tego trzy kategorye narodowości: osetów, gruzinów i czerkiesów nie znalazły reprezentantów w Rosyi Europejskiéj i Kr. Polskiém tylko na Kaukazie i na Syberyi.

Przy zaliczaniu pojedyńczych poborowych do kategoryi odpowiednich narodowości, przyjęła władza wojskowa za zasadę pochodzenie ich etnograficzne i tym sposobem tłómaczy się fakt, że ani jednego pobranego do wojska z gub. Wileńskiéj i Grodzieńskiéj nie zaliczono do polaków. Poborowi z gub. Wileńskiéj zaliczeni zostali przeważnie do litwinów, z gub. Grodzińskiéj do białorusinów. Podług materyału, zebranego przy poborze do wojska, nie byłoby zatém zupełnie polaków w dwóch powyższych guberniach.

Podług cyfr podanych w urzędowém wydawnictwie, którego tytuł wypisaliśmy w nagłówku niniejszéj wiadomości, obliczono ludność 50 gubernii Rosyi Europejskiéj w r. 1885-ym na 81,725,185; ludność zaś 10 gubernii Kr. Polskiego na 7,960,304

Razem 89,685,489

Z powyższéj sumy ogólnéj ludności wzięto do wojska w 1885 r. 218,685 poborowych. Ostatnia liczba została urzędownie rozdzieloną podług przyjętych przez ministeryum wojny kategoryi narodowości i na podstawie tego podziału obliczyliśmy liczebność każdéj z tych kategoryi.

Pobór wojskowy z Rossyi Europ. i z Kr. Polskiego w 1885 r.	Wzięto do wojska	Ludność ogólna w 1885 r.	%
1. Wielko-i Małorosyan i Białorus. .	160,100	65,658,746	73,21
2. Polaków.	17,203	7,058,248	7,87
3. Żydów.	9,940	4,080,690	4,55
4. Litwinów i Żmudzinów.	5,798	2,376,665	2,65
5. Tatarów.	4,440	1,820,615	2,03
6. Niemców.	3,534	1,452,905	1,62
7. Łotyszów.	3,417	1,399,094	1,56
8. Baszkirów.	3,017	1,237,660	1,38
9. Estończyków (Czuchnów).	2,600	1,067,257	1,19
10. Mołdawianów.	2,347	959,635	1,07
11. Mordwy.	1,703	699,547	0,78
12. Czuwaszów.	1,529	627,798	0,70
13. Wotyaków.	841	340,805	0,38
14. Czeremisów.	704	286,994	0,32
15. Bulgarów.	406	161,434	0,18
16. Korelów.	309	125,560	0,14
17. Zyryanów.	282	116,591	0,13
18. Greków.	155	62,780	0,07
19. Ormian.	87	35,874	0,04
20. Mieszczeryaków.	82	26,905	0,03
21. Permiaków.	68	26,905	0,03
22. Tepcyarów.	38	17,937	0,02
23. Cyganów.	34	17,937	0,02
24. Czudów.	20	8,969	0,01
25. Czechów.	12	8,969	0,01
26. Besermyanów.	12	8,969	0,01
27. Wogułów.	5	—	0,
28. Lapończyków.	1	—	0,
29. Francuzów.	1	—	0,
30. Osetów. } na Kaukazie		—	—
31. Gruzinów. } i na Sybe-		—	—
32. Czerkiesów. } ryi.		—	—
Razem	218,685	89,685,489	100

Z powyższego wykazu statystycznego widzimy, że najwięcéj, bo 73% sumy ogólnéj, przypada na Wielko-i Małorosyan i Białorusinów, których było zatem więcéj niż 65½ milionów. Żałować bardzo należy, że nie rozróżniono trzech powyższych szczepów, albo-

wiem różnice pomiędzy nimi są znaczne, nie podobna bowiem wielko-rosyanina wziąć za małorusa, albo białorusina nie odróżnić od jego sąsiada wielko-rosyanina.

Drugie miejsce pod względem liczebności zajmują polacy i pomimo, że nie wykazano żadnego polaka z gub. Wileńskiéj i Grodzieńskiéj, chociaż to uczyniono dla gub. Astrachańskiéj, Besarabskiéj, Ekaterynosławskiéj, Moskiewskiéj, Niżegorodzkiéj i in., wypada ich więcéj niż 7 milionów, można zatém przyjąć, że w całém Cesarstwie Rosyjskiém jest polaków koło 8 milionów. Dodając do powyższych 3 miliony dla Galicyi i prawie tyleż na Poznańskie i Prusy wschodnie i zachodnie, otrzymamy dla całéj ludności polskiéj koło 14 milionów.

Trzecie miejsce pod względem liczebności zajmują żydzi, których w Rosyi Europejskiéj i Kr. Polskiém wypada koło 4 milionów. Po żydach następują litwini i żmudzini, koło 2,4 milionów; daléj idą tatarzy (1,8 mil.). Niemców liczyłoby Cesarstwo półtora miliona, trochę mniéj łotyszów (1,4 mil.), baszkirów (1,2 mil.), estończyków czyli czuchnów (1 mil.) i mołdawian (1 mil.). Mniéj niż po milionie wypada na mordwinów (700,000), czuwaszów (600,000) wotyaków (340,000), czeremisów (300,000), bulgarów (200,000) korelów i zyryanów (po 100,000). Pozostałe narodowości liczą mniéj niż po sto tysięcy głów: greków (63,000), ormian (36,000), meszczeryaków i permiaków (po 27,000), cyganów i tepcyarów (po 18,000), nakoniec czudów, czechów i besermyaków byłoby po 9,000 głów. Bardzo małą jest liczebność wogułów i lapończyków.

Nakoniec w sprawozdaniu urzędowém zastanawia ilość nie umiejących ani czytać ani pisać z liczby pobranych do wojska. Na 196,025 wziętych do wojska z 50 gubernii Rosyi Europejskiéj było bez elementarnego wykształcenia t. j. nie umiejących ani czytać ani pisać 140,754 czyli 71,80% sumy ogólnéj; z 22,660 zaś poborowych z 10 gubernii Kr. Polskiego było téj kategoryi 18,991 czyli 83,81%, t. j. daleko więcéj niż w Rosyi Europejskiéj. Tę znaczną różnicę tłómaczymy sobie w ten sposób, że zaliczono do nieumiejących ani czytać ani pisać, osoby nie umiejące czytać i pisać w języku urzędowym.

KRWAWA SIELANKA.

(OBRAZ POWIEŚCIOWY Z DZIEJÓW SERBSKICH).

PRZEZ

M. Szymałę.//

III.

Część kraju pomiędzy Morawą i Sawą, ta mianowicie, przez którą zygzakiem bieży kręto gościniec, wiodący ze Stambułu do Belgradu, jest trochę bardziéj odkrytą i mniéj z pozoru najeżoną niespodziankami, niż reszta Szumadyi. Dla tego téż i drogę główną poprowadzono tędy zapewne. Jednakże jest to pozór tylko. Wprawdzie górskie szczyty nie wiszą ci tu nad głową, skały i gęstwiny nie tamują kroku; zielone tylko wzgórza łagodne i doliny nie głębokie zaledwie gdzie niegdzie urozmaica las nie wielki; jest niby łąka, ale wśród téj uśmiechniętéj zieleni, po obu stronach drogi kryją się tu i owdzie najniespodzianiéj niewidzialne prawie, tak głębokie wyrwy, jary i przepaści, że w niektórych zwłaszcza miejscowościach tylko bardzo doświadczony przechodzień odważa się w razie koniecznym zejść z drogi i w poprzecznym do niéj kierunku przebywać okolicę, szczególniéj w południe. W nocy bowiem, bystre oko przytomnego górala łatwiéj się oryentuje tutaj, ale gdy w południe złoty potok słoneczny zaślepi przechodnia, wtedy nawet świadomy może się pomylić wśród téj pułapki jednostajnie uśmiechniętéj, a zdradliwie zmieniającej się po każdéj większej burzy.

Tak téż spokojną wyglądała pewnego dnia o świcie, jedna łączka taka, zwana przepaścistą łąką, istna nowa Scylla i Charybda rozciągająca się po obu stronach drogi, cicha, bezludna, umajona tylko

[1]) Dokończenie zob. zesz. na mies. styczeń 1889.

przepychem trawy i krzaków, uśpionych w rosie perlistéj, wśród których szarzały niewidocznie tu i owdzie małe, szare, stożkowate kamienie, naniesione może z gór ostatnią burzą. Stanąwszy na środku przerzynającéj łąkę drogi, niknącéj z jednéj strony za lasem a z drugiéj skręcającéj w bok pomiędzy dwoma skałami, nie widać było na całéj przestrzeni ani żywego ducha.

Cisza o świcie była tu taka, o jakiéj mówi przysłowie, że możnaby w niéj słyszéć jak trawa rośnie. Trawy nie było przecież tu słychać, ale za to stał się dziw jeszcze większy, bo w przekonaniu że nikt podsłuchać nie może, rozmawiały ze sobą szare owe stożkowate kamienie, a przynajmniéj głosy przyciszone z pod nich właśnie wychodziły.

— Jedzie! — powiało z pod kamieni w trawie i znowu ucichło, a wśród téj ciszy bardzo wprawne ucho mogło odróżnić niewyraźny szmer daleki.

— Evet, tak, ale nie on. — Szepnięto znowu po chwili nasłuchiwania.

— Tak, to tentent kilku koni, ale nie gromady téj obrzydliwéj. W zieleni ucichło, szmer zaś odległy wzmagał się i prędko zamienił się w zbliżający tentent; pierwszy promyk słońca wystrzelił z poza gór, i jakby na jego powitanie rozległ się w oddali dziki, przeraźliwy okrzyk wraz z potężną palbą z harapów. Kilku jeźdźców w pełnym biegu wypadło z za lasu, pędząc drogą.

— To czausz z orszakiem pędzi z rozkazami ze Stambułu — szepnięto na łące.

Poseł Tatar pędził istotnie, jak zwykle, to jest jak szalony; ale gdy dopadał już trzeciéj części przestrzeni drogi, zawartéj pomiędzy zamykającemi ją lasem i skałą, stała się rzecz wielce u takich Tatarów nie zwykła: koń zwinął się pod nim i poseł spadł!

— Ałłach!.. — szepnęła łąka — tak miało być!

Towarzysze posła w liczbie trzech, pozsiadali z koni i kręcili się przez chwilę koło niego gwałtownie, nagle podnieśli go i podążyli z nim, niosąc go z drogi w bok do błyszczącéj zdaleka małéj górskiéj strugi. Tu dobiegłszy, położyli go, i zapewne trzeźwili i wodą oblewali, bo po niejakim czasie czausz, chwiejąc się wstał przecież.

— Żyje!—szepnięto na łące z westchnieniem ulgi na rzecz rozkazów padyszacha, wiezionych zazwyczaj ustnie, w większéj części przynajmniéj, przez posła.

Tymczasem jeden z Tatarów skoczył po konie zostawione na drodze; wkrótce przywiódł je do strugi; towarzysze pomogli czauszowi dosiąść rumaka, sami dosiedli swoich i... zamiast wrócić na gościniec w kierunku prostym jak zeń przyszli, gdzie przejście było lepsze puścili się pod przekątnią na ukos przez środek łąki, zasianéj stożkowatemi kamieniami, kierując się na gościniec, ale jednocześnie omijając spory kawałek w celu skrócenia dalszéj drogi.

Z dzikim okrzykiem i nowym trzaskiem harapów, właściwymi

takim jedźcom, polecieli jak wicher przez tę niemożliwą przestrzeń i przebyli ją bez wypadku: jakim cudem? to potrafiliby chyba objaśnić ci, którzy, leżąc czy stojąc w jéj przepaściach i wyglądając z nich tylko szaremi kołpakami, poczuli kopyta końskie na tych kołpakach, zanim spostrzegli, co się dzieje.

Tatarzy już zniknęli pomiędzy skałami, gdzie uchodziła droga, gdy na przepaścistéj łące o tyle dopiero ochłonięto z podziwu, że ktoś, poprawiając kołpaka czy też głowy na karku probując, westchnął...

— Ze oni tu wszyscy nóg nie połamali... hm?..

— Muszą znać doskonale miejscowość — westchnął inny.

— E.. tak miało być! — rozsądził sprawę trzeci.

— Przelecieli tak chyżo, że nawet nas nie widzieli.

Gdy na łące tak rozmawiano, tymczasem czausz stał już daleko za lasem innym i skałą wraz z towarzyszami przed wysokim chudym serbem o szerokich ramionach, małych oczach i szramie na twarzy, który siędząc na złomie skały gryzł paznogcie.

— Boga mi! Wołoszka prawdę powiedziała — mówił czausz — zasadzka janczarska jest na przepaścistéj łące; il.. daliżby oni nam, gdyby wiedzieli, że z twoimi mają sprawę!.. Napakowało się tego we wszystkie dziury, że wejdziesz na dolinę i nic nie zobaczysz, bo im tylko końce kołpaków szarych trochę z trawy wyglądają: ale ja ścieżkę i tam wiem, więc my przelecieli im po łbach przez środek łąki po jednéj stronie drogi, tośmy ich dobrze widzieli; a i po drugiéj stronie musi być tak samo, bo też są kołpaki.

— Dobrze... w drogę — mruknął Karadżiordżi wstając, przestał ogryzać paznogcie a broń obmacał na sobie. Ubrany był teraz w szerokie granatowe, fałdziste szarawary, granatową kapotę, pas szeroki jedwabny, jaskrawy, i fez z wielkim kutasem. Kindżały, pistolety w pysznym doborze błyszczały mu za pasem i one też tylko zdradzały powagę téj osobistości, w skromne podróżne suknie odzianéj; bo Karadżiordżi obok głównego swego zajęcia tępienia Turczyna, nabył od paru lat jednę z najwięcéj poważanych w swym kraju godności t r g o w c a, tj. kupca. Zajęcie to nie przeszkadzało wcale tamtemu a napędzało mnóstwo n o w c ó w do trzosa.

Żywy jego towarw postaci trzody bezrogiéj otaczał go w téj chwili potężną gromadą, a poseł sułtański i jego eskorta, zrzuciwszy tatarskie odzienie, zajmowali właśnie z biczami w ręku właściwe sobie stanowiska pastuchów. Wraz z dwoma pozostałymi przy trzodzie, było tego wszystkiego ludzi sześciu. Tak rok rocznie Karadżiordżi pędził ogromną trzodę za Sawę do Szwabii, i wracał z plonem bogatym w trzosie. Dębowe lasy okoliczne czynią ten rodzaj handlu najzyskowniejszym, przeto wielce poważanym w Serbii. Koń szedł po części próżno, bo Jerzy wolał zawsze stać na własnych nogach, nawet w bitwie; choć nie był już m o m k i e m ani nawet m ł a d i c z e m.

Klaśnięto z biczy we właściwy pastuchom sposób i pokwikujący,

krząkający zastęp wyruszył w drogę, z której dopiero co przybyli pastuchy, udający posłów sułtańskich. Główny korpus zyskownych wychowańców tłoczył się środkiem gościńca, zajmując flankami szeroko łąki po obu stronach, o ile pastuchy pozwalali na to, stosując się do okoliczności przydrożnych. Gromada zatem rozciągała się zwężając, lub rozpościerała swobodnie, wedle możności i potrzeby.

Karadżiordżi stał przez dobre półgodziny na boku na wyniosłości, niby wódz na paradzie, czyniąc przegląd defilujących przed nim szyków. Gdy nareszcie wszystko ruszyło w możliwym z takowemi szykami porządku, Jerzy poszedł za niemi, zbliżając się do szczególniejszego rodzaju więźnia, który jechał ze związanemi w tył rękami na koniu, prowadzonym przez pastucha, w ariergardzie za korpusem. Więźniem tym była Dora, Wołoszka.

— I cóż! powróciły twoje szpiegi z przepaścistéj łąki? Czy skłamałam? Dla czegóż więc mię więzisz? Każ mię puścić! — mówiła tonem zażartego gniewu, ujrzawszy Jerzego. A on odpowiedział tak samo gniewnie a po swojemu mrukliwie:

— Puszczę, jak sam janczarom z głową ujdę. A jak mam jéj się pozbyć, to już ja zawsze wprzódy czas znajdę, żeby ci się odwdzięczyć.

— Za co? za to, że cię ostrzegłam, jak tyle razy wprzód?

— Dyabeł cię prosi o twoje ostrzeganie... ty mię w zasadzkę prowadzisz!

— Ja! ciebie!.. A wiele razy już wprowadziłam?..

— Bom się zawsze obronną ręką wydobył. Mnie twoje ostrzeganie potrzebne jak psu piąta noga.

— Ostrzegam przez litość, abyś miał więcéj czasu żałować za grzechy twoje.

— Ej pilnuj ty swoich! — ryknął groźno, ale tejże chwili zamieszanie jakieś zaszło w głębi szyków, więc skoczył chyżo i podążył naprzód pilnować towaru swego troskliwy trgowiec. Niezadługo przecież znowu był przy niéj:

— Nie bój się, wiem ja, że z Turkiem nie trzymasz — burknął.

— To czegóż wleczesz mię związaną jak zdrajcę? Puść!

— I!.. powiadasz ty tak, a nie tak myślisz. Po co by ty włóczyła się za mną tyle lat, gdybyś nie chciała, abym cię chwycił? Po cobyś uciekała, pokazawszy się, jak nie po to, aby być złapaną? Nie darmo ty i Wołoszka i diewojka, więc dwa razy chytra; tylko ja tupogławica nie domyślałem się długo, aż się domyśliłem; todym cię złapał... przez wdzięczność za ostrzeganie.

Związana zatrzęsła się, dzikie to szyderstwo podcięło ją jak biczem, gdyby nie była przywiązaną do konia, byłaby spadła, rzucając się ku szydercy, jakby mu oczy wydrzéć miała, szalony gniew zapłonął jéj szkarłatem na licach, a ogniem w czarnych oczach, sypiących wzgardy iskrami.

— Hu, hu, hu!—mruczał niby śmiejąc się urągliwie Jerzy, bo wiedział, czém mógł jéj dokuczyć, ale tymczasem, pożerał ją wzrokiem bo uniesienie potęgowało zawsze albo raczéj wykazywało w całym blasku dziką jéj piękność. Pojechał znowu naprzód, aby jéj się dać uspokoić tylko i wrócił za chwilę:

— Powiedz ty mi — rzekł zupełnie w odmienny sposób, jakby po przyjacielsku ufność jéj wyzywał — dla czego nie powróciłaś do mnie zaraz, gdy tylko pierwszy raz od szwaby do kraju wróciłem? Bylibyśmy się zaraz poślubili w święte małżeństwo, a chociaż wy Wołoszki złą macie zwykle sławę po ślubie, to już jabym cię sobie ustrzegł. A zawsze co człowiek żonaty to żonaty, ma się powagę, zakłada zadrugę, jest się starjeszyną. Cobym to ja był do téj pory świnek nachodował, co nowców za nię nazbijał!.. i!.. A tak co?.. Natłukłem Turczyna co niemiara, a dla tego nie braknie go, i już jabym dawno może—dawno o handlu i swoich sprawach własnych myślał, gdyby nie ty, co mi się zawsze w takiéj chwili nawiniesz, oczyma błyśniesz i pokażesz znowu Turczyna, niby temu zasypiającemu psu, zająca „Haź go ha!“... i ja, jak głupak, gnam za nim i tłukę, bo już taką mam słabość. Ale co z tego? o hycz! nic! I po co ty tak robisz? uparłaś się poślubić wielkiego tylko?, to czego jeszcze chcesz? alboż cała Serbia nie śpiewa w pieśni, żem wielki? alboż wszystek Turczyn nie drży przedemną?

— Tak... a więc sądzisz, że należy nam teraz poślubić się i hodować świnki?—spytała. Wpatrzył się w nią, bo coś dziwnego syczało w pytaniu tak prostém, a oto i w oczach jéj palił się taki tłumiony a gwałtowny ogień gniewu i wzgardy, że Jerzy aż poczerwieniał, ale jednocześnie zawisł oczyma na czarownicy i oderwać ich nie mógł od niéj, choć go złość zbierała szalona:

— I!...—wrzasnął, pięści zaciskając—strzeż się! bo gdyby nie twoje czary byłbym się już dawno z inną ożenił! Czego ty chcesz? wszak jestem wielkim!

Czego ona chciała? Dora czuła to wyraźnie, choć nie umiała mu tego powiedzieć, dobierając słów tak, ażeby i on to poczuł, a tymczasem gniew rozsadzał jéj piersi dla tego, że Jerzy nie czuł. Dziwna miłość dzika i bohaterska zarazem jak kraina, w któréj powstała, objawiała się z obu stron gniewem i wzgardą.

I teraz, zamiast odpowiedzi, rozkochana rzuciła w pytającego całym snopem ognistych strzał z kołczana płomiennych gniewem oczu i wskazując mu dłonią przepaścistą łąkę, na którą właśnie wjeżdżali, rzekła urągliwie, powtarzając jego własne wyrazy:

— Tam są janczary zbójce, haź go ha!...

I stało się, co stawało się zawsze w podobnych razach, Jerzy zapomniał o wszystkiém, co janczarem nie było. Miał on istotnie tę słabość, o któréj sam wspominał: nie mógł znieść Turka; prosty chłop, nie rozbirający nawet drobnego pisma, jak wiadomo, i podejrzywany o wielki rozum dla tego tylko, że milczał pospolicie jak

Sfinx, w obec wroga dopiero na polu walki stawał się bohaterem, najwaleczniejszym z żołnierzy, i pełnym pomysłów dowódzcą zarazem.

— Oto on!—zaszeleściła przepaścista łąka w chwili, gdy pierwszy pokwikujący czworonóg ukazał się z za lasu. Ogromna gromada żwawych, bo niezbyt opasłych jak zwykle w Serbii, świnek, otoczona jedynie w rzadkich odstępach przez pięciu pastuchów i tyluż psów, wchodziła raźno z charakterystycznem krząkaniem, z trudem powstrzymywana od rozsypania się po obu stronach gościńca, do czego wielką okazywała ochotę, a dążyła ku owym dwom skałom, zamykającym łąkę z przeciwnej strony, pomiędzy któremi gościniec przechodził. Za jedną z tych skał, niewidzialny dla nadchodzących powstał w téj chwili do połowy z ziemi, człowiek w długim ciemnym kaftanie, w wojłokowym kołpaku, opasany pasem skórzanym, uzbrojony w strzelbę, pistolety, jatagany. Powstał, szepcąc do powstającego także towarzysza:

— Widzisz tę plugawą gromadę obrzydliwych zwierząt? to jest majątek, to skarb, to dusza bogatego giaura perewenka; on odbieży ojca i matki i żony i dziatek, a téj duszy swojéj nie odbieży, zginie raczéj. Jak uchwycimy to stado obrzydliwości, to uchwycimy i Karadżiordżię: czy rozumiesz teraz, synu, dla czego ja zasadziłem się na to stado i perewenka Karadżiordżię złapię, a wy go dotąd złapać nie mogli, choć się sto razy zasadzali? Oto dla tego że wy nigdy nie szukali duszy jego tam, gdzie ona siedzi, a ona siedzi w świniach!

— No, teraz czas już!...

Dziki, przeciągły okrzyk rozległ się, a na to hasło, z po za wszystkich zaułków, szczelin i załomów na przepaścistéj łące powstał na raz tłum janczarów, w długich za kolana, ciemnych kaftanach, wojłokowych kołpakach, od stóp do głów uzbrojeni. Sto luf skierowało się w sześciu ludzi, górujących po nad gromadą zwierząt.

— A tesz, ognia! — rozległa się komenda. Sto luf zabłysło, zagrzmiał huk i zawrzał kwik przeraźliwy i batów pastuszych klaskanie.

— Oto on! Ałłach! Jak nie żywcem, to ubij! — krzyczał od skały dowódzca, z wyborem dzielnych rzucając się sam w tłum wijący się pod strzałami, wśród którego wysoki a chudy sterczał Karadżiordżi, z szeroką szramą przez twarz. Tak się to zaczęło. Ale co się daléj stało, tego janczary nie zrozumieli nigdy, poczuli tylko, że stado rozwścieczone zwraca się na nich, a jednocześnie serbskie živio! posłyszeli na okół za sobą. Zkąd wzięło się bohaterstwo trzody? czy z rozpaczy pod strzałami, czy też w skutek umiejętnego użycia biczów pastuszych? Trudno to wiedzieć. Tyle tylko jest pewném, że jakkolwiek trzoda, w któréj Karadżiordżi wedle Turka duszę miał, źle wyszła na janczarskiéj zasadzce, to przecież

janczary wyszli jeszcze gorzéj, bo sami w tę zasadzkę wpadli, a Karadżiordżi i duszy nie stracił i janczarów pobił.

Wśród kwiku czworonogów i przekleństw konających janczarów, huczne ż i v i o grzmiało na gościńcu, gdy zwycięzka czeta po trupach wrogów przedarła się do swego wodza, który tak świetnie dowiódł, że stawszy się poważnym t r g o w c e m nie zapomniał być hajdukiem, dzielnym harambaszą.

Zwycięztwo, acz w niewielkim zakresie, wielkiéj było doniosłości. Łupy jednakże po większéj części tylko doskonała broń stanowiła. Zabierano więc wesoło arsenały, jakie każdy janczar nosił na sobie, i posilano się spiesznie a skromnie, aby za nim wieść o nowéj sprawie Karadżiordżi rozebrzmi w kraju i w pieśni, zniknąć z okolicy i wyrosnąć niespodzianie tam, gdzie się najmniéj tego mógł Turczyn spodziewać

I Karadżiordżi wkrótce siedział tam, gdzieby się najmniéj bohatera wojnika można spodziewać, bo w chlewie siedział doglądając wygody nowéj a licznéj partyi wychowańców.

Wyprawiwszy ją na żołądź do lasu, następnie Jerzy siadł u węgła domu i ogryzał paznogcie. Tymczasem pastuchy jego, po raz setny gawędząc o sławnéj na cały kraj sprawie z janczarami, po raz setny także zadawali sobie pytanie, pozostające zawsze bez odpowiedzi:

— Gdzie się podziała czarownica Wołoszka?

— Niema, jak zawsze; przyszła i poszła jak wiatr.

— Nuż zabita?.. kałuża krwi była w miejscu gdzie Wołoszkę widziałem ostatnio.

— I... toby była kałuża smoły w takim razie.

— A przecież była związana! jakżeby odeszła?

O Wołoszce rozmawiano w domu i za domem, ale zawsze pocichu; jeden Karadżiordżi nie wspomniał jéj nigdy. A jednak kto wie o czém myślał, ogryzając paznogcie przy węgle domu, o Turczynie, o świnkach, czy o Dorze?.. bo ani drgnął, jakby się niespodzianki spodziewał, gdy usłyszał tuż przy sobie wymówione:

— Dżiordżi!

Zwrócił głowę na lewo: za węgłem siedziała na głazie Dora, tak jak Jerzy siedział u węgła. Nikt z domowych, zajętych na podwórzu nie mógł jéj tu widzieć, bo jak zawsze nikt nie śmiał się zbliżać tam, gdzie Jerzy siedząc ogryzał paznogcie. Jemu teraz odrazu rozżarzyły się gniewem czy radością małe oczy i szeroka szrama przez twarz zbielała przy zapłonionem nagle obliczu.

— E... jesteś znowu? myślałem, że cię dyabeł, poniósł już daleko, — rzekł z gniewném rozdrażnieniem, w którém jednak widoczną była nieskrywana radość. Wyglądało to, jakby radował się, że odnalazł uciekającego wroga, aby go zabić; ale nie zabijał. Nie ruszał się nawet, jak myśliwiec nie rusza się, aby nie spłoszyć zwierzyny, choć mówił z wzrastającym gniewem, ze złością tak do radości podobną, że niepodobna ich było odróżnić.

— No cóż! widzisz coś zrobiła? ożeniłem się! Jam nie pies, żebym żył i umarł nie mając własnéj zadrugi. To wszystko przez ciebie! A dla ciebie, to ja nie dosyć jeszcze wielki byłem wojnik? Czy nie mówiłem tobie: strzeż się? Kto ciebie rozpętał wtedy przy sprawie na przepaścistéj łące z janczarami, kiedym ja ciebie spętał? Chyba dyabeł ten, który cię opętał, abyś mię durzyła.

— Ten sam — odrzekła — a teraz ten sam przysyła ci przezemnie c h a b e r wiadomości, że straszne rzeczy nastąpić mają.

— I... głupi twój dyabeł; czy on myśli, że to pierwszy raz?

— Tak jak ma być teraz, to pierwszy raz. Turczyn postanowił uciąć Serbii głowę za jednym zamachem. I!.. musisz ty przecież o tém wiedzieć, o czém szumią lasy i rzeki, choć tajemnie miało być wykonane. Wszak i ty skazany i każdy kto znaczniejszy. Już ubici kneziowie co najwięksi, Ilij Birczanin, Raica z Zabrżda, Aleksa Nenadowicz i sam archimandryta Ruwim z monasteru Bogowacze; Stefan z Begalicy, Marek Czarapicz, Stawoj z Zeoka, Mateja z Kragujewca, Teofana z Oraszia, i chmara innych a reszta skazani. I!.. nie udawaj Karadżiordżi, gdzieżbyś ty nie wiedział o tém, gdy już w téj chwili kto może w góry ucieka.

— Chcesz, żebym i ja uciekł? a co będzie z mojemi świnkami.

— Chcę, żebyś szedł tam, gdzie wielu z tych, co uciekli, już z gór wracają. Toż każdy jest skazany, woli więc ubić Turczyna, nim Turczyn jego zamorduje w mękach. Jakób Nenadowicz, Łuka Łazarowicz, Piotr Dobryniak, Milenko, Janko Katicz, Waszo Czarapicz, Harambasza Gławacz i Weliko sam, wszyscy już miecze podnoszą i lud do nich zewsząd się garnie i zbroi, i radzą! Tylko słuchać jak cała Serbia spyta: A Karadżiordżi gdzie? I... Karadżiordżi! czyś oślepł i ogłuchł, czy chcesz udawać, że nie wiesz, co się tam dzieje.

— A ty, czy wiesz, co się zemną dzieje?— z głuchym gniewem mruknął Karadżiordżi, wszak to już szesnaście lat mija, jakem z wściekłości na Turczyna, własnemu ojcu życie wziął, a potém jął Szwaba nam pomagać i zbili my Turczyna a Szwaba z nim się pogodził i oddał mu nas na powrót, i było to samo co wprzódy. Co broń dźwignęło poszło znów w hajduki. Otóż porachuj, ile razy przez te szesnaście lat było to samo, to, co teraz ma być, i zawsze potém za każdy raz trzeba było uciekać za Sawę i w góry, a przecież my Turczyna zbili... My Turczyna zbili, a w końcu było z nami to samo, co wprzódy. To mi się sprzykrzyło. Jak Turczyna zobaczę, to już téż B o g a m i będę tłukł, choćbym nie chciał, bo taką mam słabość, ale nie gadaj ty mi o naradach, ani o tém, co będzie, bo ja tobie lepiéj to rozpowiem: będziemy Turczyna tłuc aż stłuczem, a potém tak się jakoś zrobi, że on pobity weźmie nas za łby i będzie je ściuał, męki wprzódy zadając, jak dotąd. Oto tak będzie.

Czarny Jerzy nie zwykł był mówić tak długo, trudno mu to było, więc mowa rwana i szarpana a gniewem wewnętrznym kipiąca, podobną była do głuchych burzy pomruków. Bacznie słuchając,

Dora, marszczyła czarne brwi ruchome jak małe żmije, z wytężenia, aby dobrze rozumieć, aż po ostatnich słowach podniosła się zwolna, blada, z gorejącemi płomieniem czarnemi oczyma, pochylona trochę ku niemu:

— Czy ja oszalałam?—syknęła, topiąc w jego oczach gorejące źrenice. Jakto? więc ty do gromady na naradę tam pod Szabac nie pojedziesz? Ty do Szwaby na targ z trzodą pójdziesz? ty?.. gdy wszyscy walczyć będą z Turczynem... choć on nie wszystkich uczynił ojcobójcami.

— Żmijo szczekająca, zamilknij raz! — wrzasnął Jerzy, który do ostatniego wyrazu siedział nieruchomy, zapatrzony, oślepiony blaskiem jéj gniewu, na ostatni wyraz dopiero tracąc rozum jak za każdém swéj zbrodni wspomnieniem, wychwycił pistolet z zapasa... Strzał padł, krwawa chmura zasłoniła wzrok ojcobójcy. Gdy chmura ta przeszła, Jerzy stał chwilę jeszcze nieruchomy w miejscu, a potém z pistoletem zapomnianym w ręce obszedł ciężkim krokiem dom i sad, bacznie po ziemi szukając. Ale Dory nigdzie nie było. Wtedy odetchnął, opatrzył broń na sobie, dosiadł konia i ruszył spiesznie, prosto pod Szabac, gdzie téż wkrótce zabrzmiał okrzyk powtórzony radośnie przez kraj cały:

— Živio! Karadžiordži, komendant Serbii! Głowa narodu!

— Dajcie wy mnie z tém pokój, ludzie,—wymawiał się Jerzy. Co ze mnie za wódz naczelny? Nie mój rozum na to. Ja tylko umiem wściekać się i z pistoletu w łby palić, albo nożem machać, jak Turczyna ujrzę i świnki umiem chodować, ale więcéj nic.

— A umiesz od ośmnastu lat wroga tłuc i z rąk mu się wymykać? A umiałeś niedawno janczarów świnkami twemi pobić?— odpowiedziała gromada.

— Živio Karadžiordži, wódz naczelny! Nie mamy dobréj broni, ale Karadžiordži u Turczyna ją znajdzie. Trzyma Turczyn warownie, ma armaty, będzie to wszystko nasze, tylko nas prowadź Karadžiordži!

Czarny Jerzy prowadził aż pieśń zaśpiewała:

Wiódł nas Karadžiordži na turka,
Wiódł nas prawie z próżnemi rękoma,
Dziś mamy już siedm warowni,
Dziś sto i pięćdziesiąt dział mamy.

Serbia cała płonęła zapałem, a w tém nastąpiły rokowania państw postronnych.

IV.

I znowu było wszystko (tak samo, jak wprzódy,) jak bywało po wiele już razy. Piorunna burza huczała nad Serbią krwią zalaną, wyrywając leśne olbrzymy, szumiące od wieków nad Szumadyą, ale mściwa ręka Turczyna straszniejsze od burzy czyniła spustoszenia.

Wszyscy, co serbskie serce mieli w piersi, wszystko, co broń dźwignąć mogło, ginęło w téj chwili w ostatniéj walce rozpacznéj.

A przecież w gruzach domostwa komendanta Serbii, w wiosce Topoli, ktoś był podczas téj czarnéj, burzliwéj nocy. Człowiek jakiś zajęty tam był skrycie w pustym domu Karadżiordżi, tak skrycie, że nawet światła bał się zapalić, korzystając tylko z błyskawic do swéj roboty.. Robota była to dziwna: człowiek ów z juków konia, na którym przyjechał, ze schówków własnego odzienia i z przeróżnych skrytek domu nosił coś pracowicie w poblizkie skały, i tam w głębi niedostępnéj rozpadliny zakopywał. Było to zmudne zajęcie, wejście do rozpadliny trudne, to téż pot kroplisty spływał człowiekowi temu z czoła i twarzy szeroką szramą przeciętéj. Przy tém był on mocno zaniepokojony i oglądał się bezustannie, a jednakże nie widział, że był istotnie podpatrywanym. Cień jakiś ścigał go tak cicho i zręcznie jakby był jego własnym nieledwie, zawisając nieraz nawet wśród wichrem miotanych gałęzi jakby w powietrzu, aby zblizka i niewidzialnie przyjrzeć się tajemniczéj robocie. Aż raz, w głębi już owéj skalnéj rozpadliny, udało się cieniowi stanąć tak blisko, że zbadał tajemnicę, a ta go zdziwiła tak bardzo, że aż krzyknął głosem do jęku podobnym:

— Ty pieniądze twe zakopujesz Karadżiordżi!.. Teraz!..

Jerzy zadrżał, chwycił nóż z za pasa i przeszył tego, kto go podpatrzył, przeszył wprzód nim poznał, że to była Dora Wołoszka.

— I!.. to ty!..—burknął gniewnie i żałośnie, gdy ją poznał.

— Trzeba co prędzéj opatrzéć ranę!—dodał, spiesznie dokończając poprzednią robotę, aby się zająć opatrunkiem. Odtrąciła rękę, gdy ją doń po to wyciągnął.

— Zakopujesz twoje pieniądze, zamiast walczyć w téj chwili na czele narodu, który ci byt swój powierzył!—jęknęła. — Co ty zamyślasz? Przecież chyba nie... nie uciekać znowu do Szwaby?.. bo lepiejby ci tysiąc razy zginąć wraz z ginącym narodem, ale jeszcze i on wszystek nie zginie, jeszcze nie wszystko stracone!

Jerzy potrząsł głową.

— Samendrya, Belgrad, Szabac, przepadły—mruknął.—Przegrana pod Negotynem, pod Deligradem, nad Driną... oho!..

— Cóż więc ty naprawdę chcesz uciekać?—krzyknęła.

— Chodźmy ztąd, chodźmy prędzéj — szepnął, oglądając się, trwożliwy o swą tajemnicę zakopaną.

— Czy ci nie powiedziałem przed laty, zanim mię naczelnym wodzem komendantem okrzyknęli, że tak będzie?—rzekł stając na skale, oddaliwszy się dostatecznie od swéj kryjówki. U nas tak zawsze; najprzód my zwyciężamy, a potem za łby nas biorą i ścinać je Turczynowi pozwalają. A to dla tego tak jest, że Serbia choć waleczna, za słaba jest wśród możnych sąsiadów. Turczynowi same-

mu my radę dajemy na razie, ale jak sąsiady zaczną z nim o nas rokowania, to on zyska na czasie a my wtedy giniemy, bo on potężny, to mu sił przybędzie, a my mali i siromaszni, to nam przez zwłokę musi sił zbraknąć. No, bywaj zdrowa, albo pójdź ze mną!

— Gdzie? więc istotnie uciekasz? uciekasz, gdy lud twój pada na polu chwały!—powiedziała, odstępując krokiem od niego i zatapiając w nim to potężne wyzywającéj wzgardy spojrzenie, jakiém niegdyś niby krzesiwem wydobywać umiała z téj krzemienistéj natury, iskry zapału. Liczyła na błyskawice i nie omyliła się; błyskawica oświetliła ją w téj stanowczéj chwili, ale i zdradziła zarazem: dwadzieścia cztery lat już minęło, odkąd Dora Wołoszka krzesać tak zaczęła, krzesiwo i krzemień miały czas poszczerbić się i zniszczeć, a błyskawica oświetliła ich braki. Jerzy wzruszył ramionami.

— Jak sobie chcesz,—rzekł, oglądając się—Boga mi, ani raz nie wiem, czego ty koło mnie od dwudziestu czterech lat krążyła, a zostać ze mną nigdy nie chciała!

— Nie wiesz czemu? — szepnęła przez zacinające jéj się zęby, —a to temu, żebyś uplątawszy się w zadrugę i w handel, nie porzucił ze wszystkiem oręża! ja ciebie chciałam mieć wielkim! ja przysięgłam niebu i ziemi, że wielkim będziesz!

— I!.. alboż ci jeszcze mało?.. czy nie zostałem komendantem Serbii!—powiedział z dumą.

— Ależ ja ciebie chcę mieć Wielkim... Wielkim, jak wielką jest miłość moja! — krzyknęła wyciągając ręce do jego szyi, jakby go chciała uścisnąć lub zdusić.

Jerzy zajęty czém innem, machnął ręką w odpowiedzi i zawrócił się w stronę Sawy.

— Ha!.. — jęknęła, spostrzegłszy kierunek i stając mu w drodze: uciekasz tą samą drogą, co przed 24-ma laty, potkniesz się o ojcową mogiłę, ojcobójco!..

Ale przygasło już i to zarzewie, którém próbowała rozniecić w Jerzym po dawnemu szał gniewu, aby odeń i serce zapłonęło pomstą. Czarny Jerzy, usuwając ją ze skalistéj wązkiéj ścieżki, chciał iść daléj. Pomyślała, że on nie dosłyszał strasznego wyrazu i powtórzyła go z krzykiem rozpaczy:

— Ojcobójco! czy już o pieniądze dbasz tylko!

Niedomówiła, bo Jerzy pchnął ją gwałtownie aż upadła, teraz dopiero wspomnieniem pieniędzy udało jéj się rozniecić gniew bohatera, pochłoniętego żądzą złota, właściwą żądzą starości. Bał się, aby Dora nie wygadała kryjówki, aby kto nie podsłuchał.

— Milcz!—szepnął cicho a strasznie.—Idź twoją drogą, jeżeli moją iść nie chcesz.

— Dżiordżi!.. wracaj tam, gdzie waleczni konają, — jęknęła klęcząca czepiając się nóg jego i błagała.—Dżiordżi, ukochany mój! Szesnastoletnią dziewojką uciekłam dla ciebie z ojcowskiego domu, bo kochałam w tobie największego w Serbii! Dwadzieścia cztery

lat krążę koło ciebie, pilnując, abyś był wielkim, Dżiordżi! wracaj w bój... ja kocham ciebie! Bądź Wielkim!

— Powrócę, jak tylko będzie po co wracać, wszak nieraz już tak bywało, powrócę,—zapewniał nie bez wzruszenia Karadżiordżi, i uwolniwszy się jednocześnie z jéj rąk osłabłych, skoczył w bok i znikł ciemnościach.

Pochyliła się niżéj ku ziemi i pozostała nieruchoma.

* * *

— Majka niegowa ot co! — mruknął o wschodzie słońca hajduk, potknąwszy się w pospiesznym z kilku towarzyszami na pole walki pochodzie. Mimo pośpiechu przystanął i spojrzał na martwe ciało, o które się potknął:

— Patrzcie! Boga mi! — krzyknął przerażony—to czarownica Wołoszka, ta, która zawsze koło Karadżiordżi krążyła, zapowiadając zwycięztwo... a przy niéj klęczy Wuk!

Hajducy otoczyli zwłoki i klęczącego, kiwając żałośnie głowami.

— Ranna!..

— I!.. rana mała, mogła Wołoszka żyć, tylko krew ją uszła.

— Zła przepowiednia, Boga mi!

— Źle z Karadżiordżią!

— Wuk! bracie chodź z nami! — rzekł jeden z hajduków, wstrząsając klęczącym. Wuk wstał.

— Zaraz, tylko zwłoki pochowam—odparł.

— Słusznie, pomożemy ci, będzie prędzej...

W chwil parę późniéj Wuk poszedł z towarzyszami.

Zła przepowiednia sprawdziła się: komendant Serbii nie ukazał się tam, gdzie naród jego ginął na polu chwały.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Czy się wyradzamy? Napisał Władysław Wścieklica, Warszawa 1888.

Broszura p. Wł. Wścieklicy zdobyła sobie bardzo prędko szeroki rozgłos w prasie dziennikarskiéj, bo kwestya wyradzania się jednéj lub drugiéj rasy budzi zawsze jak najżywszy interes w szerszych kołach publiczności; tym bardziéj w kwestyi tak blizko nas obchodzącéj, w któréj słyszymy głosy, poniewierające ze wszech stron społeczeństwem polskiém. Najmłodszy organ prasy peryodycznéj „Głos,“ opierając się na reporterskich tylko wiadomościach o rezultatach ostatniego poboru w Cesarstwie i Królestwie Polskiém, zaczął wróżyć śmierć naszemu plemieniu, z powodu jego rzekomej niższości i „niefortunnych właściwości antropologicznych.“ Organ „podporządkowywania“ wszystkiego, co wyższe niższemu, zaszedł nawet tak daleko, iż wyraźnie zaczął mówić o upadku inteligencyi i o wymieraniu życia w dzielnicach czysto polskich, nadmieniając, iż szczupła garstka osób, pracujących wytrwale na polu intelektualném, rekrutuje się zastępami wschodnich kresów etnograficznych, mieszających się z Małorusami. Sądzimy, że nie znajdzie się umysł wykształcony systematycznie, któryby, opierając się na luźnéj dziennikarskiéj wzmiance o większéj liczbie niezdatnych do wojska z powodu n i z k i e g o w z r o s t u, śmiał ztąd wyprowadzać wniosek sięgający tak daleko. Tymczasem nie było skrupułów w zamąceniu myślących samodzielnie umysłów. P. Wścieklica starał się tę kwestyą rozwiązać; ale na p o d s t a w i e t y c h s a m y c h c y f r p o b o r u w o j s k o w e g o, w czém, jako poważny statysta bardzo – a bardzo pobłądził, zmylony, zdaje się, lekkim głosem humorystyki kronikarskiéj. Szanowny nasz badacz spraw społecznych rozpatruje tedy najprzód cyfry poboru wojskowego w Galicyi, chociaż stosunki ekonomiczne i polityczne Królestwa Polskiego i Galicyi zupełnie się między sobą różnią.

Rekruci przy poborze do wojska ulegają oględzinom lekarskim pod trojakim względem: 1) co do wzrostu; 2) rozwoju klatki piersiowéj i 3) zdrowia i ułomści cielesnych. Nie ma tu stałéj, wszech-

stronnie wyrozumowanéj zasady, ale w rozmaitych państwach rozmaite pod tym względem spotykamy wymagania. W Austro-Węgrzech minimalnym wzrostem rekrutów jest 1 metr i 554 milim. Dla łatwiejszéj administracyi wojskowéj, całe państwo podzielone jest na 12 okręgów, z których każdy nosi nazwę swego głównego miasta. Pomiędzy rekrutami lat 1870—1882 najwięcéj okazało się niezdolnych do służby wojskowéj z powodu nizkiego wzrostu z okręgu miasta Krakowa. Ludność polska przedstawia zatém najmniejszy wzrost w Austro-Węgrzech, tak iż dostarcza rekrutów za nizkich 3—5 razy więcéj, aniżeli większość innych plemion, składających monarchią Austryacką. Faktowi temu nie można jednak przypisywać ogólniejszego znaczenia i uważać go za dowód zwyrodnienia rasy. W Królestwie Polskiém rekrutów nie dosięgających wzrostu wyższego, a mianowicie 1 metra i 556 milim. jest 110 na tysiąc, czyli przeszło 2 razy mniéj niż w okręgu krakowskim i blizko 2 razy mniéj niż we lwowskim, składającym się w znacznéj części z małorusinów.

Popisowi stają zwykle w Austryi dwa razy do rewizyi, a mianowicie: po raz pierwszy w 20 roku życia. Uwolnieni czasowo w tym terminie, podlegają badaniu jeszcze w 21 i 22 roku życia. Otóż z cyfr szczegółowych dla oddzielnnych klas wieku, pokazuje się znaczne zmniejszanie procentu rekrutów za nizkich w 22 roku życia w porównaniu z r. 20-ym. Z tego widać jasno, iż o p ó ź n i o n y rozwój fizyczny ludności galicyjskiéj powoduje znaczną liczbę rekrutów za nizkich w 20-tym r. życia. Ponieważ w Królestwie Polskiém pobór do wojska zaczyna się w 21 roku życia, tém więc wytłómaczyć możemy ogromną różnicę między temi pojęciami. W Król. Polskiém pobór zaczyna się o rok późniéj, i tutaj gubernia kielecka, sąsiadująca z Krakowskiém, daje największą liczbę rekrutów niezdatnych do służby wojskowéj z powodu nizkiego wzrostu. Pozwala to wnioskować, iż w ogóle krakowiacy odznaczają się najmniejszym wzrostem, lub największém jego opóźnieniem. Za ostatniém przypuszczeniem przemawiają badania znanych antropologów proff. Kopernickiego i Meyera, według których wzrost średni polaków galicyjskich między rokiem 20 a 25 życia (162,2 c.) jest mniejszy od wzrostu rusinów w tym samym wieku (164 cm.); pomiędzy zaś rokiem 25 a 30 wyrównywa się przeciętna wysokość u obu tych narodowości. Polacy więc w Krakowskiém opóźniają się w rozwoju fizycznym i dla tego to dostarczają w pierwszym roku poboru rekrutów za nizkich.

Również z powodu niedostatecznego rozwinięca klatki piersiowéj i innych ułomności najwięcéj rekrutów uwolniono z okręgu miasta Krakowa. I tutaj musimy znowu położyć nacisk na to, że stosunków tych nie możemy bynajmniéj kłaść na karb upośledzenia rasowego polaków w stosunku do innych narodowości. W Król. Polsk. uwolniono np. z tych przyczyn o 531 na tysiąc mniéj, aniżeli w najlepszym okręgu austryackim—miasta Tryestu. Dla dokładności nadto przypomnieć musimy, iż w Rosyi wymagania co do obję-

tości klatki piersiowéj są daleko większe niż w Austryi: u nas bowiem wymagają, aby objętość klatki piersiowéj równała się połowie wzrostu, w Austryi zaś wymagają tylko 76 cm. obwodu piersi bez względu na wzrost. I pod tym względem widać w ostatnich czasach w Austro-Węgrzech znakomitą poprawę.

Chcąc dokładnie wytłómaczyć poprawę co do wzrostu i budowy fizycznéj ludności, trzeba szukać objaśnienia nie w warunkach topograficznych i klimatycznych, bo te są stałe, ale w polepszeniu warunków ekonomicznych i w postępie oświaty. Niewątpliwie życie w dostatku, ruch swobodny na powietrzu wywierają wpływ pomyślny na wzrost i rozwój fizyczny ciała; niekorzystnie oddziaływa w tym kierunku nędza, brak świeżego powietrza i odpowiedniego pokarmu. Niewłaściwie t. j. zawcześnie mącznymi pokarmami żywione dzieci podpadają skrofułom i chorobie angielskiéj, upośledzającym w wysokim stopniu wzrost i rozwój klatki piersiowéj. Według słusznych twierdzeń statysty Haushofera, dobrobyt, lepsza odzież i mieszkanie a posilny pokarm nie tylko powiększają, ale i przyśpieszają wzrost człowieka. Ze statystyką jest w najzupełniejszéj zgodzie fizyologia i antropologia (Bertillon).

Słaba budowa fizyczna ludności polskiéj i rusińskiéj z pod berła austryackiego, ma za główną przyczynę ubóstwo miejscowe, spowodowane przez mały ruch na polu ekonomicznem, przez zaniedbanie przemysłu, przy gęstém zaludnieniu i szybkim jego wzroście. Słabości fizycznéj ludów, zamieszkujących monarchią Austro-Węgierską, dowodzą cyfry poboru wojskowego aż do bieżącego dziesięciolecia. Nie tylko bowiem że procent rekrutów niezdolnych do służby wojskowéj jest znacznie wyższy aniżeli we wszystkich innych państwach europejskich, ale od r. 1870—1880 wzrastał on corocznie z niesłychaną szybkością, kiedy w innych państwach procent ten z powodu powiększenia się dobrobytu i oświaty znacznie się zmniejszał.

Z początkiem jednakże bieżącego dziesięciolecia spotykamy się z faktami, które pozwalają wróżyć przyszłość pomyślniejszą dla ludów monarchii Austro-Węgierskiéj. Liczba rekrutów niezdatnych do służby wojskowéj, ciągle wzrastająca do r. 1880, zaczyna podlegać pewnym wahaniom, tak iż cyfra przeciętna rekrutów uwolnionych od służby z r. 1881 do 1885 wykazuje pewne polepszenie w stosunku do r. 1880.

Najsmutniéj jednak ze wszystkich okręgów przedstawia się krakowski, zamieszkały wyłącznie przez ludność polską. Że przyczyną tego zjawiska jest bieda ludu tamtejszego, a nie zwyrodnienie, dowodzi tego niezbicie fakt, iż okrąg ten przedstawia najmniejszy procent ludzi chorych i ułomnych. Przeciętnie w całém państwie było rekrutów niezdatnych do służby wojskowéj z powodu chorób chronicznych 359%, w okręgu zaś krakowskim tylko 306%, a więc znacznie mniéj. Fakt ten przekonywa nas stanowczo o tém, że lud krakowski nie jest trapiony żadnemi chronicznemi chorobami,

a tylko dla tego odznacza się nizkim wzrostem i słabą budową klatki piersiowéj, iż nie odżywia się należycie z powodu niedostatku. W rubrykach chorób chronicznych ludność Galicyi wschodniéj wykazuje stan znacznie gorszy, niż—ludność Galicyi zachodniéj. Okrąg lwowski dał najwyższą cyfrę uwolnionych z powodu skrofuł, chorób ocznych i chronicznych chorób skórnych,

Nie mamy żadnéj podstawy naukowéj do twierdzenia, żeby przyczyną wyradzania się ludu galicyjskiego było wyczerpanie sił, przeżycie się, skutkiem starości rassy, bo naród polski nie należy do najstarszych ludów Europy, a powtóre, że twierdzenie o różnicy w wieku tych ludów nie ma za sobą faktycznych danych. Badania lingwistów wykazały, że wszystkie ludy rasy indo-europeskiéj z jednego pnia biorą początek, krótsze zaś lub dłuższe życie historyczne mogło tylko wpływ wywierać na warstwy przodujące narodu, które w tém życiu brały udział wybitny, ale nigdy na lud. Na lud mogły tylko oddziaływać mniéj lub więcéj sprzyjające warunki bytu. Zastanawiając się zaś szczegółowo nad siłami fizycznemi i nad stanem ekonomicznym różnych dzielnic polskich, musimy przyjść do przekonania, iż lepszy stan ekonomiczny, lepsze warunki bytu idą równolegle z większém wykształceniem i z odpornością narodu. Galicya jest najbiedniejszą prowincyą Austryi i daje téż największy odsetek ludzi niezdatnych do służby wojskowej. Królestwo Polskie, będące na wyższym szczeblu rozwoju ekonomicznego i odznaczające się lepszém położeniem ludu rolnego, wykazuje téż pod tym względem stosunki znacznie lepsze.

W Król. Polskiém, jakkolwiek stosunki te przedstawiają się w korzystniejszém świetle, zawsze jednak w porównaniu z prowincyami Cesarstwa Rossyjskiego liczba rekrutów, uwolnionych z powodu nizkiego wzrostu i niedostatecznego rozwinięcia fizycznego, jest znacznie większą. Fakt ten, wyeksploatowany przez pobieżną zewnętrzną obserwacyą, stał się przyczyną pessymistycznych a za mało uzasadnionych twierdzeń o wyradzaniu się polskiéj rasy.

W dalszym postępie uwag naszych, musimy bliżéj zastanowić się nad kwestyą co do stanu rekrutów z pod berła rossyjskiego, po przyjęciu ich do służby. Jak wiadomo, nowozaciężni podlegają jeszcze przed wysłaniem ich do odpowiednich pułków, badaniu lekarskiemu na t. zw. punkcie „zbornym,“ a następnie po raz trzeci już na miejscu, gdzie mają służbę odbywać. Wielu nowobrańców uwalnia się też w ciągu pierwszego roku, jeżeli im zdrowie nie dopisuje. I tutaj znowu z powodu słabego zdrowia najwięcéj uwolniono polaków. Dla złagodzenia tego wrażenia musimy dodać, iż polaków posyłają zwykle w głąb Cesarstwa, gdzie znacznie ostrzejszy klimat, do którego nie są przyzwyczajeni, wystawia ich z większą łatwością na rozmaite cierpienia.

Podział nowozaciężnych według wzrostu również niekorzystnie świadczy o siłach fizycznych ludności polskiéj. Kiedy bowiem

w Rossyi europejskéj i azyatyckiéj największa liczba ludzi pod względem wzrostu dosięga 2 arsz. i 5 werszków do 2 arsz. i 6 werszków, to Król. Polskie zapełnia najliczniéj rubrykę 2 arsz. 4 wersz. do 2 arsz. 5 wersz. Wyjątek stanowią tylko gubernie, zamieszkałe w znacznéj części przez litwinów i rusinów. Gub. suwałkowska, siedlecka i lubelska.

W dalszym ciągu rozejrzymy się w cyfrach szczegółowych dla każdéj gubernii Król. Polskiego z osobna. Najmniejszą liczbę rekrutów niezdatnych do wojska dała gub. suwałkowska, największą gub. kaliska. Z tych cyfr możemy wnioskować, iż litwini odznaczają się silniejszą budową ciała i wyższym wzrostem niż polacy, gdyż rzeczywiście gub. suwałkowska wyróżnia się pod tym względem bardzo korzystnie wśród innych gubernii Królestwa. Porównawszy cyfry poboru wojskowego w gub. wileńskiéj i kowieńskiéj z guberniami Królestwa, widzimy, że w pierwszych uwolniono z powodu nizkiego wzrostu, o połowę mniéj aniżeli w Król. Polsk. Nadto tablica wzrostu nowoprzyjętych do wojska świadczy, iż ludność gub. litewskich nie ustępuje co do wzrostu gub. suwałkowskiéj.

Co do własności rasowych rusinów, niemców i żydów, to cyfry ogólne dla pojedynczych gubernii Król. Polskiego, nie upoważniają do żadnych wniosków, gdyż drugie miejsce w téj rubryce (liczba uwolnionych z powodu małego wzrostu, chorób chronicznych i niedostatecznego rozwinięcia fizycznego) zajmuje gub. płocka, zamieszkała przeważnie przez ludność rdzennie polską, a kaliska, obfitująca w niemców — ostatnie. Nie można więc na podstawie tych cyfr twierdzić o wyradzaniu się rassy polskiéj. Z rozpatrzenia innego szeregu cyfr okazuje się, iż rusini podobnie jak i inne plemiona, mieszkające daléj na wschód od nas, odznaczają się silniejszą budową ciała i mniejszą liczbą ludzi, dotkniętych chorobami chronicznemi. W gub. kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj procent rekrutów czasowo uwolnionych z powodu słabéj budowy ciała i chorób chronicznych jest znacznie mniejszy niż w najlepszych gub. polskich. Zasługuje znowu na uwagę fakt, iż rusini z gub. lubelskiéj przedstawiają największy procent rekrutów uwolnionych czasowo od służby wojskowéj, nawet większy niż polacy w najgorszych guberniach Królestwa.

Porównywając stan zdrowia polaków z niemcami i żydami w Królestwie, widzimy, iż zamieszkali w kraju naszym niemcy i żydzi nie cieszą się lepszém od nas zdrowiem. Według obliczeń d-ra Śnigirewa uwolniono od powinności wojskowéj w całém Król. Polskiém ogółem:

	stale	czasowo
Polaków . .	177‰	206‰
Niemców . .	187‰	214‰
Żydów . . .	297‰	295‰

Kiedy cyfry poboru wojskowego w państwie rossyjskiém zostały ogłoszone i pessymistycznie usposobieni dziennikarze zaczęli

stawiać smutne horoskopy dla naszéj rassy, z wielu stron podniosły się głosy, nawoływające do rozwagi a nawet twierdzące, że na podwyższenie procentu niezdatnych do służby wojskowéj wpłynęła znaczna liczba osiadłych w naszym kraju żydów, którzy należą do ras fizycznie słabych i umieją się różnemi sztuczkami nawet uszkodzeniami własnego ciała wykręcać od służby wojskowéj. Głosy te nie były pozbawione słuszności. Żydzi dają więcéj od polaków o 120 uwolnionych stale i o 89 nie przyjętych czasowo. Ponieważ żydzi stanowią $^1/_7$ ludności Królestwa, przeto podnoszą cyfrę niezdatnych do wojska stanowczo o 17, a niezdatnych czasowo o 13 na tysiąc. Ciekawe badania porównawcze d-ra Snigirewa wykazują daléj, że polacy w Królestwie są przeciętnie o 1 cm., żydzi zaś o $2^1/_2$ cm. niżsi od rusinów, litwinów i niemców. Te ostatnie trzy plemiona nie różnią się pomiędzy sobą pod względem wzrostu średniego. Co do budowy fizycznéj, to rusini i litwini z jednéj strony, a niemcy i polacy z drugiéj nie przedstawiają różnic wybitnych. Żydzi tylko stoją najniżéj co do dzielności fizycznéj i są w ogóle tak słabo zbudowani, że obwód piersi nie dosięga u nich średnio nawet połowy wzrostu, czyli téj wielkości, która uznaną została za minimum dla ludzi zdrowych.

Dla wyrobienia sobie dokładnego pojęcia o stanie sił i o zdrowiu ludu naszego, trzeba go porównać pod tym względem z ludnością innych krajów zachodnio-europejskich. Z tablic, ułożonych dla różnych ludów Europy, możemy wyprowadzić wniosek, że o ile mniejszy lub większy procent ludzi nizkich charakteryzuje wzrost danéj ludności, polacy są przeciętnie niżsi od bawarów, belgów, holendrów i francuzów, lecz wyżsi od prusaków, sasów i włochów. W ogóle ze wszystkich porównań wynika, że polacy, lubo są mniejszego wzrostu, nie należą jednak do ludów najniższych w Europie. Z wysokości wzrostu jednak bynajmniéj nie możemy wnioskować o stopniu odporności organizmu na wrogie wpływy i w ogóle o sprawności fizycznéj, gdyż dzielność fizyczna nie jest proporcyonalną do wzrostu, ale do silnéj budowy ciała. Owszem, badania antropometryczne wykazały, że ludzie wysocy są stosunkowo słabszéj budowy od nizkich jednéj i téj saméj rassy. Dla objaśnienia dodać należy, iż według badań antropologa francuzkiego Topinard'a, wzrost średni człowieka dojrzałego wynosi 1,65 m., lub bardzo mało mniéj. Ponieważ zaś wzrost średni polaków galicyjskich wynosi 1,648 m., a w Król. Polskiém może cokolwiek więcéj, przeto biorąc pod uwagą wiek dojrzały, możemy twierdzić, że należymy do ludów wzrostu średniego a i dojrzałość fizyczną osiągamy znacznie późniéj od innych ludów. Stosunkowego rozwinięcia klatki piersiowéj, na podstawie procentu rekrutów uwolnionych od służby wojskowéj, porównawczo badać nie możemy, gdyż co do tego punktu wymagania w różnych państwach, są bardzo różne. Dane zaś zagraniczne co do średniego obwodu piersi, posiadamy tylko z Austro-Węgier. Obwód piersi rekrutów wynosił (prof. Mejer) u popisowych czechów i madziarów 0,842 m.,

u niemców i słowaków 0,816 do 0,842, u rumunów i chorwatów 0,816 czyli ze wszystkich tych narodowości mniéj, niż u ludności Król. Polskiego. Ponieważ zaś wzrost wszystkich narodowości, osiadłych w Austro-Węgrzech jest wyższy od średniego wzrostu polaków Królest Polsk. przeto wynika ztąd, iż ludność monarchii habsburskiéj odznacza się wątlejszą budową od nas, przynajmniéj w wieku poboru wojskowego,

Co do chorób chronicznych, to w Król. Polskiém procent uwolnionych z tego powodu rekrutów jest bardzo nizki i jedni włosi tylko przewyższają nas zdrowiem. Zasługuje na uwagę fakt, że szwajcarowie, o których zwyrodnieniu nikt dotąd nie mówił, dają rekrutów niezdatnych do wojska z powodu czterech zaledwie chorób, a mianowicie: ocznych, woła, przepuklin brzusznych i płaskiéj stopy znacznie więcéj, aniżeli polacy z powodu wszystkich cierpień i ułomności w ogóle. I francuzi z powodu 11 chorób głównych uwalniających od wojska, wykazują uwolnionych więcéj, niż my wszystkich razem. Ten sam stosunek zachodzi także i w Austro-Węgrzech a i w Anglii nawet między ochotnikami spotykamy większą liczbę chorych, niż u naszych rekrutów, branych do wojska bez wszelkiego wyboru.

Z tych porównań przekonywamy się o ciekawym fakcie, iż narody zamożniejsze i bardziéj ucywilizowane od nas, mają daleko więcéj ludzi dotkniętych chorobami chronicznemi i ułomnościami fizycznemi niż my, u nas zaś jest ich więcéj niż w Rossyi, zwłaszcza Azyatyckiéj. Różnice zaś wzrostu mają jedynie swą przyczynę we właściwościach rassowych, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Przekonywa nas o tém najwymowniéj fakt, że narody tak zamożne jak francuzi i sasi ustępują co do wzrostu biednym, mrącym z głodu Irlandczykom, a jednocześnie i najbogatszemu narodowi w Europie, Anglikom. Inaczéj zupełnie przedstawiają się stosunki co do zdrowia ludności. Tutaj spostrzegamy w kierunku od wschodu na zachód stałe pogorszenie. Fakt ten tak powszechnie spostrzegany musi mieć jakąś ogólną przyczynę. Otóż w krajach oświeconych podtrzymują życie indywiduów słabych i niedostatecznie fizycznie rozwiniętych środkami hygienicznymi, lekarskimi i troskliwą opieką domową, gdy w krajach mniéj oświeconych indywidua tego rodzaju, pozostawione samym sobie, giną. Są to skutki tak nazwanego przez ultradarwinistę Haeckl'a „chowu medycznego," przeciwko któremu autor ten wymownie protestuje w swoich „Dziejach utworzenia przyrody." Za słusznością tego poglądu zdaje się przemawiać fakt, że im więcéj śmiertelność się zmniejsza, tém też liczba ludzi słabowitych się zwiększa. Sprawdza się to nawet w granicach państwa Rossyjskiego. Według znanego już ugrupowania gubernii, sporządzonego przez d ra Cykielna, spostrzegamy, że procent rekrutów uwolnionych z powodu chorób i niedostatecznego rozwinięcia fizycznego wzrasta w kierunku od wschodu i północy ku południowemu-zachodowi. Według

badań statystycznych prof. uniwersytetu petersburskiego Janson'a największy procent dzieci zmarłych w pierwszym roku życia przypada na Rossyą północną i wschodnią (za wyjątkiem gub. Archangielskiéj); ku zachodowi zaś a zwłaszcza południowi procent ten się zmniejsza."

Zmniejszanie się śmiertelności dzieci ma swą przyczynę zarówno w powiększaniu się oświaty, jak w gęstości zaludnienia i ostrości klimatu. Nie ulega wątpliwości, że tam, gdzie rodzice i opiekunowie—a nawet i wychowawcy o wychowaniu hygienicznem dzieci nie mają najmniejszego pojęcia, gdzie pomoc lekarską lekceważą, śmiertelność dzieci musi być znaczną. Ludność nie oświecona słucha obok tego szkodliwych rad znachora i babek, tak że organizacye słabsze ulegają wpływom klimatu ostrzejszego. Żyją zatém tylko jednostki mocniejsze, wytrzymujące skutki barbarzyństwa, ale zaludnienie kraju nie może wzrastać krokiem przyspieszonym. W Król. Polskiém cyfry śmiertelności niemowląt nie posiadamy; zdaje się jednak, że śmiertelność niemowląt jest w stosunku podobnym do Cesarstwa. Śmiertelność zaś ogólna w Król. Polskiém jest mniejszą niż w Cesarstwie rosyjskiém, tak np. w r. 1885 zmarło ogółem na 10,000 ludności w Cesarstwie 351, w Król. tylko 258. Większy procent ludzi słabowitych u nas wynagradza szybszy wzrost ludności, aniżeli w Rossyi europejskiéj i azyatyckiéj. Świadczy o tém wymownie cyfra poboru wojskowego, ktora od r. 1874 — 1883 ciągle wzrastała i to bardzo znacznie, bo z 52,385 do 78,398.

Gdybyśmy z tego wnioskować chcieli o szybkości rozradzania się w Król. Polskiém, to moglibyśmy z tego wnioskować, że rozradzamy się 3 razy prędzéj, aniżeli ludność w Rossyi europejskiéj, 2 razy prędzéj aniżeli w azyatyckiéj. Szybkość wzrostu zaludnienia w Azyi tłómaczy się po części ciągłém przyłączaniem nowych terytoryów, po części zaś dobrowolném i przymusowém osiedlaniem się nowéj ludności. Widzimy więc dokładnie, iż energia rozrodcza rassy polskiéj bynajmniéj nie upada, że się nie zmniejszamy w liczbie, ale powiększamy. Ogólna liczba popisowych podskoczyła w r. 1885 w Król. Polskiém do 84,387, a więc w stosunku do r. 1883 o 764%. (W roku 1888-ym liczba rekrutów wynosiła 78,398). Z porównania tych cyfr z cyframi poboru w Rossyi europejskiéj i azyatyckiéj, możemy wnosić, iż liczba młodzieży popisowéj wzrosła w kraju naszym w ostatnich latach o 5 razy więcéj niż w Rossyi europejskiéj.

W krajach więc oświeconych szybszy wzrost ludności wynagradza społeczeństwu straty, ponoszone na wzroście jednostek słabych i chorowitych. Z drugiéj strony nie ulega wątpliwości, iż indywidua te, łącząc się ze zdrowymi, przyczyniają się do osłabienia rassy. Można wprawdzie do pewnego stopnia złym wpływom dziedziczności zapobiedz przez wychowanie h y g i e n i c z n e, ale jest to możliwém tylko u ludzi oświeconych i zamożnych, gdyż wśród warstw ciemnych indywidua upośledzone dziedzicznie wychowują się na cherlaków lub giną.

Przytém wszystkiém należy wziąć także na uwagę fakt, iż w walce o byt narodów zwyciężają nie ludy z żelaznymi muskułami, ale wyżéj oświecone; w téj myśli zatem pracujmy nad podniesieniem oświaty i dobrobytu mass, nie bałamucąc się myślą o wyradzaniu, nie rozbijając się na osobne kółka i kółeczka, słoje i podsłoje „podporządkowujące“ jedne klassy drugim. Pytamy się w końcu: czy w ostatnich lat dziesiątkach stan zdrowia i sił fizycznych ludności Król. Polskiego podlegał widocznym zmianom i czy na lepsze lub na gorsze? Otóż cyfry wykazują pod tym względem wybitny zwrot ku lepszemu; liczba uwolnionych od wojska z powodu nizkiego wzrostu i ułomności fizycznych uległa stanowczemu zmniejszeniu.

Przytoczyliśmy w dokładném streszczeniu zawartość broszury P. Wścieklicy, którą czytamy z coraz pilniejszą uwagą. Czy jednak tak skrzętnie i kunsztownie zestawione przez niego cyfry pozwalają na wniosek choćby w części uzasadniony w kwestyi wyradzania się rassy naszéj lub którejkolwiek, na podstawie cyfr poboru wojskowego, o tém pozwalamy sobie wątpić. Zupełnie niewłaściwy, za wiele obiecujący tytuł nadał p. Wścieklica swéj broszurze, która mówi tylko: o stanie fizycznym ludności Król. Polskiego i Galicyi na podstawie cyfr poboru wojskowego, t. j. podczas paru lat wieku młodzieńczego.

Nie mówiąc już o tém, iż pojęcie *potęgi rassy* jest bardzo złożone, bardzo skomplikowane i że nie można w żaden sposób w społeczeństwie ucywilizowaném redukować go do stanu fizycznego; to i bez tego m e t o d a p. Wścieklicy nie pozwala nawet na stawianie ostatecznych wniosków co do siły życiowéj naszego narodu, czyli nie daje odpowiedzi nawet na pytanie, czy się wyradzamy f i z y c z n i e. Aby stwierdzić zwyrodnienie danéj rassy, należałoby zbadać jéj stan fizyczny w przeciągu paru generacyi i porównać go z obecnym, my zaś żadnych danych w tym względzie nie posiadamy. Licznych zaś twierdzeń o herkulesowych postaciach praojców naszych nie możemy brać za dowody, dane zaś porównawcze z lat kilku lub kilkunastu żadnéj pod tym względem nie przedstawiają wartości. Należy daléj wziąć pod uwagę, że statystyka poboru wojskowego bada stan fizyczny jednostek tylko w pewnéj epoce ich życia, która nie zawsze schodzi się z chwilą największego rozwoju organizmu. Wiadomo, że rozmaite jednostki osiągają dojrzałość fizyczną, w rozmaitym czasie, a czas trwania kształtowania się fizycznego przeciąga się nieraz do 25-go roku życia. Wiadomo również, że lekarze wojskowi w orzeczeniach swoich o zdolności rekrutów do pełnienia służby wojskowéj rządzą się często subjektywnymi poglądami, którym z tego względu absolutnego znaczenia przypisywać nie można. Zdarza się np. że dr. X uzna rekruta za niezdolnego do odbywania służby wojskowéj, któremu dr. A. wystawił świadectwo kandydata na bohatera. W ogóle sposób badania lekarzy wojskowych jest raz surowszy, więcéj wymagający, drugi raz względniejszy co do rozwoju

fizycznego nowobrańców, a to stosownie do zapotrzebowania mniejszéj lub większéj ilości rekrutów czyli stosownie do instrukcyi władzy wojskowéj w danéj chwili. Zauważyć daléj należy, iż statystyka poboru wojskowego obejmuje niewielką tylko liczbę osobników, nie pozwala więc w żaden sposób na wyprowadzenie wniosków ogólniejszéj natury, w tym razie dane statyczne mają na celu określenie stanu zdrowia tylko i jedynie jednostek poborowych bez bliższego określenia przyczyn, które ów stan wywołują.

Obok dzielności fizycznéj składają się na pojęcie potęgi rassy: zdolność przystosowania się do warunków zewnętrznych, wytrzymałość, energia rozrodcza, zdolności cywilizacyjne i moralność. Publicyści, wnioskujący o wyradzaniu się rassy z cyfr poboru wojskowego, zapominają o tym zasadniczym fakcie, że osobniki niezdolne do odbywania służby wojskowéj z powodu nizkiego wzrostu lub wąskiéj klatki piersiowéj, nie są już przez to niezdolne do odbywania służby obywatelskiéj w najszerszym zakresie. Społeczeństwu chodzić musi przedewszystkiém o to, by posiadało jak największą liczbę indywiduów zdolnych do pracy, a przeto nieudolność wojskowa pozwala jak najenergiczniéj pracować na innych polach życia społecznego. Rassa semicka przedstawia ogromny procent niezdatnych do pełnienia służby wojskowéj, a jednak przez swoję wytrzymałość w walce o byt, przez swoję energią rozrodczą i społeczną, przez wstrzemięźliwość, pilność i zabiegliwość, wreszcie i przez solidarność swoję należy do rass najsilniejszych. Dla tego téż wyznać musimy, że jeżeli nas „Głos“ wcale nie zasmucił, gdy figlarnie chciał nas zastraszyć pogróżką, iż się wyradzamy; to i p. Wścieklica nie przekonał nas swoją poważną dedukcyą, iż się „nie wyradzamy.“ Dla rostrzygnięcia téj kwestyi potrzeba faktów i badań innéj, różnorodniejszéj natury, aniżeli są cyfry i spostrzeżenia, któremi się posługiwał autor broszury. *C.*

Lewis H. Morgan: „Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.“ Przekład A. B. (Objaśnienie i uzupełnienie Marksa-Engelsa). Warszawa. Nakładem redakcyi „Prawdy,“ 1887 r. w 8-ce, str. 625 *).

W klassyfikacyi epok postępu cywilizacyi ludzkości pominął Morgan wiele najpotężniejszych dźwigni cywilizacyjnych, jako to: religią, moralność, czynniki rozwoju estetycznego, warunki rozwoju ekonomicznego, jak: praca, handel i wiele tym podobnych pierwszorzędnych środków rozwoju uobyczajenia ludzkiego.

Autor przypisuje stanowcze znaczenie czynnikom rozwoju

*) Dokończenie—patrz za m. Styczeń r. b.

materyalnego i wszechpotężnych ś r o d k ó w p o ż y w i e n i a, do nich tylko stosują się epoki rozwoju bez żadnych wywodów naukowych. Z całą pewnością oświadcza daléj Morgan, iż „takie odróżnianie okresów etnicznych daje możność badania danego społeczeństwa stosownie do stopnia jego względnego rozwoju i obrania go sobie za przedmiot samodzielnych studyów i dociekań. Na wyprowadzone ztąd wnioski nie wpływa (czy tak?), że rozmaite plemiona i narody tego samego ludu, a nawet należące do téj saméj rodziny językowéj, są w rozmaitych stanach uspołecznienia w tym samym czasie, gdyż dla nas stan uspołecznienia każdego z nich jest faktem m a t e r y a l n y m, czas zaś niemateryalnym.“ Autor, odnosząc początki okresu cywilizacyi do epoki historycznéj świata klassycznego, szczytném mianem cywilizacyi obejmuje epoki, znane dotychczas pod nazwą wieków starożytnych, średnich i nowożytnych. Zarówno tedy wiek najścia hord Attyli, jak i wiek XIX, wiek prześladowania i ucisku chrześciaństwa, jak i wiek rozkwitu śród ludów cywilizacyjnych zasad ewangelii, wiek najdzikszych okrucieństw z epoki upadku cezaryzmu w Rzymie, jak i wiek odrodzenia i reformacyi, Morgan z całą swobodą bujnéj wyobraźni nazywa okresem cywilizacyi bez żadnego wywodu naukowego. Cały ten wstęp nie ma najmniejszego związku z treścią dzieła, przedstawiającą materyał etnologiczny, zebrany wśród plemion dzikich Irokezów i t. p.

Do jakiego stopnia autor nie troszczy się o logiczny związek nawet z własnymi poglądami, dowodzi i to, że zająwszy stanowisko deterministyczne względem dziejów życia ludzkiego, wprowadza z zupełnym spokojem czynnik „przypadku,“ nie krępując się bynajmniéj zasadniczą różnicą tych dwóch poglądów: „konieczności“ (determinizm) i przypadkowości. Na str. 607 czytamy: „A jednak cywilizacyę trzeba uważać jako w y p a d e k o k o l i c z n o ś c i o w y.“ Powyżéj autor zaznaczył, iż wynalezienie łuku, strzał—rozpoczyna wyższy stan dzikości, zatem jest faktem pierwszorzędnéj doniosłości, ściśle związanym z szeregiem faktów poprzednich i następnych. Na str. 21 czytamy w uwadze: „Jako skojarzenie sił, łuk jest narzędziem tak złożonem że wynaleziono go prawdopodobnie p r z y p a d k o w o.“ Więc ów ł u k, stanowiący epokę w dziejach ludzkości, był zjawiskiem przypadkowém, — a gdyby nie było tego szczęśliwego przypadku wynalezienia owego łuku, — nie byłoby wyższego stanu dzikości, daléj niebywałoby barbarzyństwa, cywilizacyi i tak oto — rozwój ludzkości zależał od przypadku. A gdzież się podział determinizm autora?

W obec takich zasadniczych sprzeczności, niepodobna teoryi jego sprowadzić do jakichkolwiek stałych norm i prawideł rozwoju historycznego.

Uczony amerykanin nie poprzestaje na ogólnéj charakterystyce epok; ale zaznacza nawet przez pojedyńcze lata granice tych okresów. Przypuszczając, iż ludzkość istnieje już około 100,000

lat, Morgan utrzymuje, iż okres dzikości trwał 60,000 lat, okres barbarzyństwa 35,000 lat, a okres cywilizacyi 5000 lat.

Zapewne w celu objaśnienia swojego poglądu uczy nas autor (str. 30): „Sławnymi nabytkami cywilizacyi nowożytnéj są: telegraf elektryczny, gaz świetlny, przędzalnie, maszyny tkackie, machina parowa z zależnemi od niéj maszynami, jak: lokomotywa, drogi żelazne, statki parowe, daléj teleskop, odkrycie ważkości atmosfery i układu słonecznego, sztuka drukarska, szluzy kanałów, bussola i proch. Mnóstwo innych wynalazków, takich naprzykład, jak motory Ericssona, było następstwem któregoś z poprzednio wymienionych. Są to jednak wyjątki, jak: fotografie i rozliczne machiny, które byłoby zbytecznem spisywać. Wraz z tém wszystkiém o d r z u c i ć b y n a l e ż a ł o w naszym pochodzie nowożytne nauki, swobodę religijną i wspólne szkoły, przedstawicielstwo ludowładcze, monarchią konstytucyjną z parlamentaryzmem, królestwo feudalne, uprzywilejowane klasy nowożytne, międzynarodowe ustawy i wspólne prawa.

„Gdy barbarzyniec... wynalazł piece do topienia, otrzymał żelazo z rudy, wówczas walka o cywilizacyą w dziewięciu dziesiątych została wygrana“ (str. 45). „Ukazały się zaraz młoty metalowe i kowadła, siekiery i dłuta, pług z lemieszem żelaznym, miecz żelazny, słowem p o d s t a w y c y w i l i z a c y i, która, rzec można, spoczywa na tym metalu... Bylibyśmy bardzo radzi wiedzieć, któremu plemieniu i rodowi z a w d z i ę c z a m y t ę umiejętność (proces topienia rudy żelaznéj), a z nią cywilizacyą“ (str. 46). Powyższe ustępy objaśniają dostatecznie poglądy autora na istotę postępu i rozwoju ludzkości. W przekonaniu, że czytelnik zdaje sobie już teraz dokładnie sprawę z materyalistycznych tendencyi autora, ośmielamy się wskazać zasadnicze błędy jego teoryi. Cywilizacya nie stała się jeszcze po dziś dzień udziałem wszystkich kulę ziemską zamieszkujących ludów. Z Europy przy pomocy światła chrześciańskiego przekradła się cywilizacya do Ameryki, obecnie przedziera się przez Japonią na wschód do Azyi, za pośrednictwem zaś kolonizacyi przechodzi do Afryki i Australii. W każdym razie po dziś dzień spotykamy zasadnicze różnice w stopniu uspołecznienia i oświaty różnych ludów, zamieszkujących kulę ziemską; a różnice te wynikają z nieskończonéj ilości przyczyn, do których zaliczamy przedewszystkiem klimat, florę i faunę danéj miejscowości, warunki położenia geograficznego i politycznego, wyobrażenia religijne, wreszcie historyczny przebieg wypadków dziejowych, poprzedzających stan dzisiejszy danego społeczeństwa. Różnicę tę i jéj przyczyny wykazał z całą ścisłością głośny w swoim czasie determinista B u c k l e, wpadając w drugą ostateczność, nie uznając wcale, obok zewnętrznych warunków istnienia, żadnych przyczyn wewnętrznego rozwoju człowieka, psychicznéj jego działalności, wolnéj woli, nie uznając w ogóle czynników życia duchowego. W każdym razie nauka musiała uznać różnorodności w rozwoju ludów i plemion. Dla Morga-

na nie istnieją te zdobycze nowoczesnéj wiedzy. To téż nic dziwnego, iż innowacye Morgana nie znalazły żadnego zastosowania i uznania w świecie naukowym.

W ogóle niepodobna wskazać jednego nawet narodu, któryby przeszedł przez trzy okresy rozwoju, wskazane przez Morgana. Po okresach świetnego rozwoju, rozkwitu nauk, instytucyi społecznych i potęgi politycznéj, następowała częstokroć epoka zupełnego upadku, degeneracyi społecznéj, jak tego mamy przykład w historyi Grecyi i Rzymu. Najchętniéj wierzymy temu, iż cywilizacya jest nie tylko pożądanym; lecz i koniecznym stopniem rozwoju ludzkiego, iż z czasem stanie się ona udziałem wszystkich ludzi; — atoli orzeczenie z góry, iż ludzkość przechodzić musi wszystkie te stadya, nie zgadza się z istotą rzeczy.

Zdaniem Morgana, twórcami cywilizacyi były dwa szczepy rodzaju ludzkiego, aryjski i semicki (str. 41). A jakąż rolę odegrały inne szczepy rodzaju ludzkiego? Czy one nic przyczyniły się niczém do rozwoju pierwiastków cywilizacyi współczesnéj? Zamiast udowodnienia swoich twierdzeń, Morgan naciąga gwałtem wytwór fantazyi własnéj do odrębnych wydarzeń dziejowych. Zkąd naprzykład autor czerpie ten pogląd, iż główne nici postępu w okresie cywilizacyi stały się stopniowo wyłącznym udziałem ludów aryjskich? Więc ludy nie aryjskie (np. Semici, Chińczycy), nic wspólnego z cywilizacyą już nie mają?

Przyjąwszy za podstawę podziału epok postępu ludzkiego pewne, powyżéj przytoczone wynalazki i sposoby żywienia, z całą obojętnością na istotny stan rzeczy, uważa autor za dostateczne badanie stanu współczesnego różnych dzikich plemion, z których jedne nie używają pokarmu mięsnego, inne żelaza, inne łuku i strzał, inne nie znają uprawy roli, i następnie za pomocą analogii dowolnie twierdzi, iż stan współczesnych Irokezów odpowiada temu lub owemu okresowi barbarzyństwa, dzisiejszy stan Hotentotów temu lub owemu stanowi dzikości. Rozumując w ten sposób, odrzuca potrzebę badania przeszłości na podstawie spuścizny przez nią pozostawionéj, na podstawie pozostałéj tradycyi w ten lub ów sposób zachowanéj, nie radzi się źródeł historycznych, uważa za zupełnie wystarczający opis współczesnych dzikich plemion, który ma w zupełności zastąpić analizę przeszłości. Czytamy np. str. 508: „I Polinezya i Australia, jakeśmy gdzie indziéj nadmienili, są miejscowościami najodpowiedniejszemi do badań nad społeczeństwem dzikiem. Prawie całą teoryą życia dzikiego można wyprowadzić z ich instytucyi, zwyczajów i obyczajów, wynalazków i odkryć.

Przenoszenie dowolne współczesnego stanu rzeczy do przeszłości, bez żadnéj zasady naukowéj, jest zbyt paradoksalném, żeby się w nauce utrzymać mogło. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż nie ma na świecie dwóch rzeczy tak do siebie podobych, aby je identyfikować można z całą naukową ścisłością. Wielkości bezwzględnie równe znajdujemy tylko w abstrakcyi. Daléj podobne utożsamianie

stanu ludów, żyjących w epokach na lat tysiące od siebie odległych, ludów, podlegających różnym wpływom klimatycznym, odmiennym warunkom fizycznego i moralnego otoczenia, téj sfery, która rozwój ich modyfikuje, a śród któréj one żyją, jest niemożliwém. Nie wynika ztąd, abyśmy nie mogli wyprowadzać żadnych analogicznych wniosków z danych faktów etnologicznych, zaczerpniętych ze współczesnego bytu plemion dzikich, owszem, badania najwszechstronniejsze bytu tych plemion, ich pojęć społecznych, języka, wierzeń, obyczajów, może nam do pewnego stopnia rozjaśnić przeszłość, a w zestawieniu z danemi historycznemi wyjaśnić proces rozwoju ludzkości, prawo nim rządzące, związek organiczny wypadków dziejowych, wreszcie przebieg rozwoju instytucyi społecznych, lecz tylko do pewnego stopnia. Brać jedno za drugie nie podobna, fakt musi pozostać faktem, — kto chce zrozumieć przeszłość, ten przedewszystkiém ścisłemu rozbiorowi poddać winien wydarzenia i wypadki téj przeszłości—i dopiero na téj realnéj, kronikarskiéj, że tak powiem podstawie, budować swoje teorye. Bez téj pozytywnéj, faktycznéj podstawy wszelkie teorye historyozoficzne pozostaną marzeniem i mamidłem. W sposób niedościgły pojmuje Morgan łączność zjawisk historycznych. Czytamy np. str. 111: „rozdzielenie się ludu w przestrzeni sprowadza z czasem zmianę mowy, co z kolei wiedzie do rozdzielenia interesów i ostatecznéj niezależności.“ A zatém „zmiana mowy“ wywołuje „rozdzielenie (zapewne różnicę!) interesów“? Mybyśmy sądzili, iż właśnie rozdzielenie się ludów, odmienne warunki istnienia w obec zmiany ziemi, klimatu i całéj sfery otoczenia, wynikające właśnie ze zmiany miejsca zamieszkania, wpływają na zmianę języka i wywołują różnicę interesów i zrywają dawne wspólne węzły. Lecz zmiana mowy żeby miała sama przez się wywoływać różnorodność interesów, tego pojąć nie jesteśmy w stanie w obec braku wszelkiéj łączności logicznéj między pojedynczemi interesami historycznemi a sposobem mianowania tych interesów nową nazwą. Że znaczenie rodu, rodziny, prawa dziedziczenia bytu w rozwoju cywilizacyi jest faktem niesłychanie doniosłym, to nie ulega najmniejszéj wątpliwości, — i jeśli dla udowodnienia téj prawdy napisał Morgan swoje dzieło, to praca jego była w obec studyów daleko gruntowniejszych zupełnie zbyteczną.

Sz. autor upodobał sobie sposób przesądzania najzawilszych kwestyi za pomocą poglądów ogólnych. Czytamy między innemi: „zużytkować życie jeńca na usługę bogom, to życie, któremu odwieczne zwyczaje dzikich i barbarzyńców odbierały wszelką cenę, było szczytną myślą pierwszéj hierarchii w szeregu instytucyi.“

„W pojęciu naszém o rządzie królewskim wyobrażamy sobie króla, otoczonego przez klasy uprzywilejowane i utytułowane właścicieli i posiadaczy gruntów, rządzącego według własnéj woli i upodobania przez doktrynę i etykę, domagającego się prawa dziedzicznego dla władzy, ponieważ nie może powołać się na ze-

zwolenie rządzonych.“ I któż sobie w dzisiejszém społeczeństwie wyobraża w ten sposób rząd królewski? czy samowładny, czy konstytucyjny?

„Pierwiastek własności, mówi Morgan, co przewodził społeczeństwu w stopniu olbrzymim w ciągu względnie krótkiego okresu cywilizacyi, dał ludzkości d e s p o t y z m, imperyalizm, monarchią, klasy uprzywilejowane, a w końcu demokracyą reprezentacyjną. On też sprawił, że droga narodów cywilizowanych zamieniła się w usiłowania zdobycia własności“ (str. 375). I znowu zapytamy, jaki związek zachodzi między idcą własności, imperyalizmem i demokracyą reprezentacyjną? Jak można sprzęgać pojęcia tak zasadniczo różne bez wszelkiego logicznego wywodu?

Mówiąc o rodzinie, zaznacza autor, iż „przeznaczeniem jéj jest postęp jeszcze dalszy, póki r ó w n o ś ć płci nie zostanie uznaną i równostronność związku małżeńskiego całkowicie ustaloną (str. 428). „Mężczyzni we wszelkich okresach i położeniach społecznych przywłaszczali (?) sobie rzemiosło wojenne, co dążyło do nadwerężenia równowagi płci i spowodowało nadmiar kobiet“ (str. 504). „Ponieważ rodzina monogamiczna udoskonaliła się wielce od zaczęcia cywilizacyi i nader widocznie w czasach nowożytnych, możemy przynajmniéj przypuszczać, że zdolna jest do ulepszeń dalszych, póki równość płci nie zostanie osiągniętą“ (str. 536). Autor zdaje się tu myśleć o teoryi emancypacyi, gdy kwestya ta przesądzoną została, nawet przez angielskich sensualistów, którzy dowiedli, iż różnica pomiędzy kobietą a mężczyzną, i co za tém idzie różnica w ich działalności polega na różnorodnéj konstrukcyi c a ł e g o organizmu, a nie na różnorodności płciowéj. Mężczyzni przywłaszczyli sobie rzemiosło wojenne. Więc to nie naturalny bieg wypadków dał miecz w rękę mężczyźnie, a kądziel kobiecie, nie ustrój organiczny wymagał różnorodności zajęć obu płci, nie różnica sił fizycznych wpłynęła na wybór rodzaju pracy kobiety i mężczyzny, lecz p r z y w ł a s z c z e n i e?.

Na str. 516 Morgan wyjaśnia nam nowy motor cywilizacyi, o którym dotychczas nie wspominał. „Człowiek nie świadom małżeństwa, pisze on, i żyjąc prawdopodobnie w gromadzie, był nietylko dzikim, lecz posiadał umysł słabo rozwinięty i słabsze jeszcze poczucie moralne. Nadzieja wydźwignięcia się spoczywała w sile jego namiętności, gdyż, zdaje się, zawsze był odważnym, w posiadaniu rąk wolnych fizycznie i w zdolności doskonalenia rodzących się władz umysłowych i moralnych.“ Tak więc cywilizacyi zawdzięczamy oprócz żelaza, wiele namiętnościl udzkich; energii zaś sił moralnych autor nasz nie zna i nie chce jéj widocznie uznawać! Dzieło Morgana pozostanie bogatym zbiorem materyałów i danych etnologicznych, zbiorem który z korzyścią dla nauki zużytkowanym być może; ale treść jego nie odpowiada tytułowi, i czytelnik, pozostawiony bez odpowiedzi, zapytuje o fakta oraz idee, które przenikają histo-

ryą postępu ludzkiego? W obec braku systematyczności w ugrupowaniu nawet tego surowego materyału, krytycznie nie przedstawionego, trudno się w całém dziele oryentować, bo niewiadomo, czego właściwie chciał Morgan dowieść. Porównawszy naprzykład dzieło „Francya przed rewolucyą“ z pracą Morgana, ujrzymy wielką różnicę między temi studyami. Taine gromadzi masę szczegółów historycznych dla przedstawienia czytelnikowi możliwie dokładnego obrazu społeczeństwa francuzkiego; Morgan zaś przeciąża umysł czytelnika szczegółami, nie łączącemi się organicznie z sobą. Tłómacz, jak gdyby sam uznawał słabe strony dzieła Morgana, dołączył do niego komentarz—w ogólnych wywodach Marksa-Engelsa, które mają śród owego chaosu faktów, rozniecić światełko, mające oświecić grube ciemności.

Czytamy tedy w pracy Marksa-Engelsa (str. 608): „o przebiegu dziejów rozstrzyga produkcya i reprodukcya życia bezpośredniego“. Co to ma znaczyć? Engels objaśnia nas. Tu należy najprzód wybór środków do życia, pokarmów, odzieży, mieszkania i niezbędnych po temu narzędzi, następnie wytwarzanie samych ludzi—pielęgnowanie gatunku.“ Cóż tedy w tém wszystkiém ma być produkcyą a co reprodukcyą życia bezpośredniego? A jakie też to jest życie pośrednie, — jeśli istnieje jakieś życie bezpośrednie? Czy wogóle można żyć pośrednio? Co wreszcie znaczy cały ten kompleks wyrazów, pozbawiony wszelkiéj logicznéj łączności? Pozostawiając autorowi trudność łamania sobie głowy nad tym głęboko obmyślanym, głębiéj jeszcze wyrażonym frazesem, przechodzimy do dalszych jego wniosków.—Jakich Engels używa efektów, o tém przekonać nas może następujące jego zdanie (str. 610): „monogamiczna (rodzina), w odróżnieniu od wszystkich swych poprzedniczek, jest tworem stosunków społecznych i rozkwitła na podścielisku, urzeczywistnioném przez parzystą, mianowicie wiarogodności ojcowstwa. Stanowi ona rozwiązanie pytania, powstałego wśród jéj bezpośredniéj zwiastunki: kto powinien przewodzić, ojciec czy matka, i czyje prawo, mateczne, czy ojcowskie, ma służyć za podwalinę dziedziczenia mienia i nazwiska? Rozwój stosunków ekonomicznych udzielił odpowiedzi na korzyść mężczyzny, gdy obalenie prawa mateczne-go odbyło się w. zawisłości od wzrostu bogactw pozadomowych (trzody i stada). Przełom ten stanowi ogólno-dziejową klęskę płci żeńskiéj, bo mężczyzna z nastaniem monogamii wydziera zwierzchnictwo w domu z rąk kobiety, ujarzmia (?) ją i zamienia na niewolnicę (?) swych żądz i prostą maszynę (?) do płodzenia dzieci“. W przypisku na téj saméj stronicy czytamy: „Monogamia nie posiada nic wspólnego z poczuciem indywidualnego uczucia miłości. Powstaje ono dopiero wśród niéj, ale zgoła nie z miłości wzajemnéj małżonków. Przeciwnie, u wszystkich czynnych historycznie warstw społecznych (t. j. klas panujących) — więc zdaniem Engelsa klasy nie panujące nie są czynne historycznie! — małżeństwo pozostaje

zawsze (?) sprawą konwencyonalną, załatwianą przez rodziców. Pierwsze historyczne uczucie indywidualno-miłosne, rycerskie wieków średnich (więc w starożytności miłość indywidualna nie istniała!?) opiera się na cudzołóztwie — jest to miłość ku cudzéj żonie. I taką monagamia pozostała po dziś dzień, małżeństwo jest wciąż sprawą konwencyonalną, bardzo nie wiele mającą do czynienia z uczuciem miłości (?). r o d z i n a z a ś s p o c z y w a n a p o d e p t a n i u p r a w p ł c i j e d n é j p r z e z d r u g ą. Mężczyzna przyznaje sobie prawo rozpasania płciowego, ale na żonę włożył obowiązek dochowywania wierności."

W obec takiego naigrawania się z podstawy bytu społecznego—z rodziny, nie może być mowy o zdrowéj podstawie dobrobytu społecznego. Walka przeciw rodzinie i własności — tym dwom podwalinom bytu społecznego nie od dziś datuje swój początek, a już bardzo wiele jęków wydarła z piersi robotnika, i potokami krwi zabarwiła dzieje ludzkości! W obec niezrozumienia faktów historycznych, w obec lekceważenia rzeczywistości i realnych warunków rozwoju społecznego, nie ma pola do dyskusyi naukowéj.

Engels maluje nam barwny obraz stanu plemion, zorganizowanych w ustrój rodowy: „Bez żołnierzy i policyi, bez szlachty, królów i sędziów, bez procesów i więzień — wszystko przecież idzie torem prawidłowym" (str. 611). Czy mamy tedy wrócić do owych czasów, gdy człowiek nie znał ani praw, ani nauk, ani uspołecznienia — ani cywilizacyi? To też Engels przepowiada zupełny upadek ustroju państwowego (str. 619) i węzłów społecznych.

Na str. 624 czytamy: „Chrystyanizm napróżno woła, że on to swym wpływem wytępił niewolnictwo. Bynajmniéj, było ono skazaném na smierć, bo przestało się opłacać. Ale wymierając, pozostawiło w spadku przekleństwo: pogardę dla pracy."

Jakto, więc nawet i temu chcą zaprzeczyć, iż idea chrześcianizmu, wprowadzając między ludy miłość wzajemną i braterstwo, uznając człowieka równym w każdym stanie, wyrugowała dawną zasadę nienawiści plemiennéj (contra hostes aeterna auctoritas esto), że wpłynęła na zniesienie niewoli? Czyż doprawdy podobne frazesa, bez żadnych dowodów na wiatr rzucane, zasługują nawet na poważne traktowanie. Doprawdy, że Morgan wart lepszego komentatora!

To zakończenie Engelsa nie objaśnia w niczém dzieła Morgana jako pracy czysto etnologicznéj, ani też z poglądami jego ogólnemi, wyrażonemi we wstępie wcale nie licuje.

Przekład dzieła grzeszy niekiedy pod względem formalnym co do poprawności stylu i czystości języka polskiego. Tłómacz stara się z góry zrzucić z siebie odpowiedzialność za przekład, oświadczając, iż „staranność jego w przekładzie téj książki nie posuwała się do poprawiania stylu, który u Morgana ma na względzie tylko treść naukową i nie dba o ozdoby zewnętrze," lecz to nie może być

listem gleitnym dla błędów gramatycznych. Str. 114: „wątpliwość zmusza nas, na ile to jest możliwem“, str. 142 „widzieli pierwiastki federacyi, na ile ich wzrok zdolny był ją przeniknąć,“ str. 116. „Tych naturalnych centrów niewiele jest w północnéj Ameryce, bo tylko trzy. Pierwszą śród nich jest dolina Kolumbii... Drugim półwysep między jeziorami... Trzecia kraina jezior w Minnesota.“ Str. 134 „New York przed zajęciem Irokezów, zdaje się był częścią przestrzeni plemion Algonkin.“ Str. 207. „Wielka ilość innych plemion, tworząca mniéj więcéj około siedmnastu grup terytoryalnych i mówiąca (ilość?) tyluż językami szczepowymi, zajmowała resztę Meksyku.“ Należało powiedzieć „plemion... tworzących... i mówiących...“ Str. 279 „zarys treściwy wypadków istotowych (?), i str. 429 „nie wywołując żadnéj zmiany „istotowéj“ (?). Język polski nie posiada takiego wyrazu—„istotowy.“ Str. 373. Rząd taki... ze zgromadzeniem narodowém, uorganizowaném w klasy, co oparte były na własności. Str. 391 „małżeństwa takie były zakazanemi wówczas, podobnież jak małżeństwo pomiędzy bratem a siostrą są czasu obecnego.“ Opuszczenie w danym wypadku wyrazu „zakazane“ jest niemożliwém. Str. 423: „systemy te zawierają treściwą i stanowczą dowodność (?). Str. 443. „Śród plemion dzikich i barbarzyńców pokrewieństwo brata i siostry pojmuje się abstrakcyjnie.“ Str. 546 szeregować plemiona... *w nawarstwowania* (?) kolejne.“ Język polski nie posiada wyrazu „nawarstwowanie.“ Str. 550: „zwyczaj, który prowadził dzikiego postępowszego (?) do uznania...“ Język polski nie zna wyrazu „postępowszy.“ Przekład dzieła, mającego być zbogaceniem literatury naszéj, winien być ścisłym i dokładnym przy zachowaniu czystości języka. Przekład niniejszy zalet tych nie posiada. Ze smutkiem musimy skonstatować fakt, iż obecnie większość przekładów polskich lekceważy język rodzimy.

J. K. Dworzaczek.

„Die landwirthschaftliche Konkurenz Nordamerikas in Gegenwart und Zukunft. V. dr. prof. Sering.“ (Drugie wydanie. Lipsk, 1888).

W chwili, gdy cała Europa odczuwa następstwa konkurencyi transatlantyckiéj, nie będzie bez interesu poznanie najświeższych spostrzeżeń, które uczeni ekonomiści o przyszłości téj konwencyi zebrali. W tym celu pragniemy zwrócić uwagę czytelników na dzieło profesora ekonomii politycznéj w Bonn, dr. Sering'a, który wysłany przez „Landes-Oekonomie-Collegium“ do Ameryki, po powrocie ztamtąd ogłosił rezultat swéj wycieczki naukowéj.

Wiele jeszcze czasu upłynie, według Seringa, zanim uprawa pszenicy na obszernych przestrzeniach Ameryki Północnéj osiągnie

swoje ostateczne granice; uprawa bowiem tego ziarna prowadzi się zaledwie na połowie obszarów, na którychby z korzyścią mogła być praktykowaną Lecz rzeczą jest niewątpliwą, że wzmagająca się emigracya i kolonizacya powstrzymują stopniowo jéj siłę wywozową. W saméj rzeczy, pod wpływem nieustannego zwiększania się ludności w Europie i Stanach Północnéj Ameryki, emigracya rolników ku wschodowi (Far. West) bynajmniéj nie słabnie i obliczono, że w peryodzie pięćdziesięcioletnim, wszystkie obszary zdatne pod uprawę pszenicy, zostaną zajęte. Większość tych gruntów, których kolonizacya jest blizka, stanowią łąki i pastwiska, nie przedstawiające trudności w budowie dróg bitych i kolei żelaznych, zarówno jak w użyciu maszyn rolniczych, bez potrzeby uciekania się do robót niwelacyjnych. Raptowne zwiększenie się gruntów uprawnych w ciągu minionego siedmdziesięciolecia, i rozwój olbrzymi wywozu zboża, będący następstwem zwiększenia przestrzeni uprawnych, skoncentrowały się w granicach owych łąk i pastwisk, mając tam najświetniejsze widoki powodzenia.

Pomimo tych korzystnych warunków, do których dołączyć należy budowę licznych dróg żelaznych, dr. Sering twierdzi, że okoliczności nie układają się już tak przyjaźnie jak w ostatniem dziesięcioleciu. Grunta prywatne zarówno jak grunta należące do kompanii kolejowych, które pierwotnie nie miały żadnéj wartości lub sprzedawane były drogą licytacyi po cenach niżej wartości, znajdując się dziś w ręku prywatnych właścicieli, położóne przeważnie w okolicach łąk, podniosły znacznie się w cenie. Wielkich przestrzeni nie zajętych lub nie wyeksploatowanych dostatecznie, nie spotyka się prawie, chyba w okolicach, gdzie ostrość klimatu zastrasza kolonistów i gdzie niestałość temperatury osłabia w większéj części korzyści nizkiéj ceny ziemi oraz łatwości pracy. Są to okoliczności, z któremi rachować się należy i które w połączeniu z podrożeniem ziemi, bardzo przypuszczalnie wywrą wpływ osłabiający na siłę kolonizacyi i kulturę dalekiego Zachodu Ameryki.

W normalnych warunkach handlu, uprawa pszenicy w Stanach Zjednoczonych nie tak jest zyskowną, jakby nam się to zdawać mogło. Różnica między ceną sprzedażną a kosztami produkcyi maleje wciąż i kultura wyzyskująca, o któréj tyle słyszeliśmy, coraz więcéj traci racyą bytu, coraz bardziéj szczupleje. Nadprodukcya i przepełnienie rynków, na które się tak użalamy w Europie, nie są obce Ameryce Północnéj, zarówno jak obniżenie się cen i kryzys rolniczy, będący ich następstwem. Pod działaniem tych podwójnych przyczyn, obszar gruntów, poddawanych uprawie pszenicy, zmniejsza się znacznie w Stanach dawniéj skolonizowanych, a dzierżawcy rzucili się ku innym gałęziom produkcyi rolniczéj, mianowicie do uprawy kukurydzy i hodowli zwierząt. Z drugiéj strony, w miejscowościach jeszcze udoskonalających gospodarstwo, zauważono również zmniejszenie uprawy pszenicy, do tego stopnia, że biorąc

ogólnie, produkcya pszenicy straciła a nie zyskała od 1885 roku. W obec takiego rezultatu, dr. Sering nie powiada, by spadek cen miał wywołać znaczną redukcyą obsiewów, lecz uważa jako prawdopodobne zwolnienie dotychczas wciąż postępującéj naprzód produkcyi pszenicy w Stanach Zjednoczonych. Otóż w tém tkwi fakt, którego wpływ tém wybitniéj da się odczuć na rynku wszechświatowym, że konsumpcya chleba pszennego rozpowszechnia się coraz więcéj wśród cywilizowanych narodów starego a nawet nowego świata. Ludność Ameryki Północnéj, Ameryki Środkowéj i Indyi Zachodnich zwiększa się, każdorocznie w stosunku około 1,700,000 dusz, do czego doliczyć należy kontyngens emigrantów z Europy zachodniéj, środkowéj, z państwa rosyjskiego i innych krajów, dający przyrost roczny 1,800,000 dusz. W ogóle więc z krajów, z których jedne biorą z Ameryki wszystką pszenicę im potrzebną, inne część tylko; ludność a z nią konsumpcya zwiększają się corocznie o 3 i pół milionów dusz. Jeśli więc progresya ta istnieć daléj będzie, to produkcya artykułów pokarmowych wzrastać powinna w tym samym stosunku, by równowagę między popytem i podażą utrzymać.

Co się mówi o Ameryce, to samo stosować można do krajów produkujących, w których rolnictwo oddawna już kwitnie. Renta gruntowa, cena ziemi, systematy eksploatacyi wszędzie już zostały uregulowane na podstawie ceny przeciętnéj głównych artykułów pokarmowych, lecz wszędzie też, gwałtowne obniżenie się kursów spowodowało przesilenie, którego następstwem musiało być ograniczenie przestrzeni, poddanych uprawie pszenicy.

Z całego szeregu spostrzeżeń, dr. Sering przewiduje ogólne podniesienie się cen pszenicy na rynkach wszechświatowych w odstępie czasu, którego długość nie może być naprzód oznaczoną, zwłaszcza jeśli nowe ułatwienia komunikacyjne skrócą znacznie odległości między najoddaleńszemi krajami produkującymi i punktami konsumpcyi, do których dostęp jest utrudniony skutkiem drogości lub trudności środków transportowych. Są to w każdym razie ewentualności, których spełnienie nie może nastąpić nagle i jeśli się mamy z niemi rachować, równie należy mieć na względzie okoliczności, mogące wywołać zwyżkę ceny. Przesilenie, dotykające rolnictwo nie oszczędziło przemysłu i ograniczenie tranzakcyi zmniejszając ilość ładunków, zachwiało równowagę między rozporządzalnymi środkami transportowemi a ilością towaru przewozowego w tę i w tamtę stronę. Jest to jednak niedogodność przechodnia, która już pewnéj poprawy doznaje.

Biorąc pod uwagę te rozmaite okoliczności, znachodzimy, że prof. Sering należy do rzędu tych, którzy dowodzą, iż istniejący ucisk cen zboża nie ma charakteru trwałego, który mu tak łatwo przypisujemy i że uważać go należy za fenomen zupełnie wypadkowy i przechodni. Według niego, jest to przesilenie, wywołane przez raptowną kolonizacyą i przez nadanie wartości ziemiom, położonym w naj-

oddaleńszych stronach Ameryki i Indyi, jak również przez budowę i eksploatacyą środków komunikacyjnych, lądowych i wodnych. Lecz jeśli nie zaradzono jeszcze w zupełności złemu, można objawy dodatnie spostrzegać w tym fakcie, że zagospodarowywanie się nowych kolonistów na oddalonym zachodzie amerykańskim nie daje tych korzyści, co niegdyś, a koszta produkcyi znacznie się tamże podniosły. Następnie, przesilenie nie umiejscowiło się; dotknęło kolejno i równo wszystkie kraje produkujące zboże, wywołało zamięszanie w położeniu ekonomicznem rolnictwa wszystkich krajów, które część swych bogactw czerpią w eksporcie płodów gruntowych.

Sering nie twierdzi żeby, opierając się na tém, nie było innego punktu wyjścia dla rządów i narodów, jak obojętność i żeby nie było nic lepszego nad założenie rąk w oczekiwaniu lepszéj przyszłości. Konkluduje przeciwnie, że jeśli kiedykolwiek prawa protekcyjne były usprawiedliwione i odpowiadały konieczności położenia, to z pewnością dzisiaj ma to miejsce, gdy Europa, zagrożona ruiną własności ziemskiéj, do praw tych się odwołała. Jeśli na téj podstawie (jak to jest w istocie), uznamy, że istniejące przesilenie ma charakter zalewu przechodniego, musielibyśmy w bezczynności rządów uznać politykę krótkowidzącą, która, pozwalając wyniszczać najdzielniejszych swych obywateli, nie osięgnęłaby tym kosztem zamierzonego celu, to jest: taniego wyżywienia nierolniczych klas ludności.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Charakterystyka politycznéj sytuacyi chwili. — Gorszący widok znęcania się oficyalnéj prasy pruskiéj nad pamięcią Fryderyka III przez szczwanie przyjaciół i otoczenia zmarłego cesarza. — Tryumf Boulangera w Paryżu. — Stosunki międzynarodowe i wewnętrzne Austro-Węgier. — Doniosłe znaczenie gwałtownego zgonu arcyksięcia Rudolfa. — Blednące nadzieje pokojowe pod wpływem oświadczeń angielskiego generała Wolesley'a i króla włoskiego Humberta. — Kłopoty ks. Bismarcka na polu polityki kolonizacyjnéj wobec Ameryki i Anglii. — Warszawski dom dla sierot chłopców po robotnikach. — Obecny stan funduszu t. zw. „Użyteczności publicznéj". — Projekt zaprowadzenia po wsiach środków ochronnych przeciw pożarom. — Przedłużenie konkursu w Uniwersytecie warszawskim na tematy: „Krótki rys historyi wyparcia słowian lechickich przez Niemców z nad Elby, Odry, Warty i pobrzeża m. Bałtyckiego". Doroczne posiedzenie St. Petersburskiego Cos. Tow. geograficznego dn. 23 stycznia. — Kongres międzynarodowy nauk geograficznych, zwołany na miesiąc sierpień r. b. do Paryża podczas zamierzonéj wystawy powszechnéj. — Międzynarodowe stowarzyszenie profesorów prawa karnego w Brukseli. — Przywrócenie biskupom krakowskim tytułu książąt Siewierskich. — Odezwa komitetu II-ego zjazdu prawników i ekonomistów polskich, zapraszająca na kongres do Lwowa. — Prof. Morawski: „Przyczynek do dziejów humanizmu w Polsce." — Gdzie się urodził Adam Mickiewicz? — Z dziedziny ruchu naukowego: *a*) Posiedzenie wydziału filolog. Akad. Um. w Krakowie dn. 7-go grudnia 1888 r.; *b*) Wydz. historyczno-filozof. dn. 10-go grudnia (Ulanowski: „O konfederacyach polskich w. XIV i XV-go), *c*) Posiedzenie komisyi fizyograf. Akadem. Um. dn. 15-go grudnia 1888-go r. *d*) Posiedz. Tow. historycznego we Lwowie dn. 2 grudnia 1888-go r. (Dr. Margasz: „O stosunkach włościan na Rusi w XV-ym wieku); *e*) Posiedzenie Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu (Erzepki: „Wyjątki z poematu Wacł. Potockiego p. t. „Merkuryusz nowy"; August hr. Cieszkowski „O archiwum krzyżackiém w Wiedniu"; dr. Chłapowski: „Dokument do hist. miasta Poznania z archiwum w Landsbergu"). — Walne doroczne zebranie Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu dn. 11-go stycznia 1889 r. — Sprawa reorganizacyi szkół rolniczych na sejmie lwowskim. — Projektowane środki ratunkowe przeciw powszechnéj stagnacyi ekonomicznéj.

Po uroczystych chwilach noworocznych życzeń, po manifestacyjnych objawach zapewnień pokojowych, po radosnych wskutek te-

go oklaskach spekulantów giełdowych, nadspodziewanie szybko wróciło znowu wszystko do zeszłorocznego trybu dni powszednich, dni, których atmosfery nie przestawały zatruwać swary międzynarodowe oraz zjadliwa polemika organów stronnictw politycznych, wyzyskujących na swoję korzyść podniecaną między narodami europejskimi zawiść rasową. Jeżeli najmłodsze pokolenia nie skosztują jeszcze dobrodziejstw „dynastyi bismarckowskiéj," to znajdą przynajmniéj obfity materyał w prasie codziennéj do zsumowania wrogów „faterlandu;" będzie ich bowiem tyle, ile opryskliwość oraz bezgraniczna duma i ambicya ks. Bismarcka wytworzyła sobie wrogów osobistych, prywatnych. „Publikacye" i odkrycia płatnych organów urzędowych lub inspirowanych, czuwających nad bezpieczeństwem i dobrobytem narodu niemieckiego (sit venia verbo bo tu zawsze chodzi głównie o Major doma—nie Karolowingów wprawdzie, ale najmłodszéj dynastyi Hohenzollernów), zatrudniają tak dalece uwagę prasy politycznéj w Niemczech, że choćby z obowiązku kronikarskiego nie można ich pomijać w przeglądzie niniejszym, dla charakterystyki życia publicznego, które przybiera z każdym dniem fizyognomią tak potworną, że tylko pióro tacytowe mogłoby wiernie odmalować jéj momenta psychologiczne. Od śmierci Wilhelma I-go potworne stosunki zapanowały w kraju „myślicieli," w społeczeństwie niemieckiém, bądź co bądź wielostronnie ucywilizowaném. Obudzony przez drażliwość egoistyczną fanatyzm inkwizycyi protestanckiéj, budzi już dzisiaj w obojętnym czytelniku europejskim zdumienie i niesmak. Skandal w najordynarniejszym gatunku, szczwanie pełne zawiści i obrażonéj miłości własnéj, wrzask uprzywilejowanych patryotów niemieckich przeciw reszcie wolnomyślnych obywateli, stanowiły w miesiącu styczniu mniéj więcéj główne, znamienne cechy życia publicznego w Niemczech. Wśród ostentacyjnych manifestacyi pokojowych prowadzono oprócz tego walkę międzynarodową za pomocą broni tak zatrutéj egoizmem prywatnym, że osobistości szanujące swą godność, jednostki uczciwe pod względem moralnym i politycznym, zaczynają się coraz tłumniéj usuwać od życia politycznego. Tymczasem na całéj linii wre zażarta walka stronictw i jednostek, w któréj ginie zupełnie nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale i szacunek dla honoru przeciwnika. Wszechpotężny, ale dla tego właśnie zgubny wpływ i urok ks. Bismarcka, karność urzędnicza, któréj niełatwo odróżnić od służalczości, wrodzonéj od wieków plemieniowi germańskiemu w obliczu siły, ślepa wiara społeczeństwa pruskiego, wychowanego pod wpływem idei państwa krzyżackiego, we wszech potężną moc siły brutalnéj nawet w obec majestatu prawa, arogancya idei hegemonistycznych w Europie po tryumfach ostatniéj wojny niemiecko-francuzkiéj,—wytrącenie polityków reszty Europy z ich dotychczasowéj zwykłéj rutyny—wszystko to sprawiło, że pod hasłem jak najpotworniejszych idei „racyi stanu" a przy aplauzach bezmyślnych tłumów narodu „filozofów", dzieją się w Prusach rzeczy, które rzucają jak najposępniejsze światło na dzisiejszy stan umysłów w Niem-

czech. Czytelnicy „Bibl. Warsz.“ nie oczekują od pisma miesięcznego rekapitulacyi zdumiewających kolei procesu Geffkena, (zresztą osobistości, nie zalecającéj się wcale na reprezentanta tych ideałów politycznych, które jéj nieprzyjaciele Bismarcka podsuwają), czytelnicy Bibl., mówię, nie żądają też potępienia bezprawia, którego się dopuścił rząd pruski, ogłaszając prywatną korespondencyą między Roggenbachem a Geffkenem, — nie spodziewają się wreszcie sprawozdania z zaciekłych napadów prasy urzędowéj pruskiéj na posła angielskiego w Petersburgu, sir Morriera, z powodu rzekomego znoszenia się jego z oblężonym w Metz Bazain'em, bo są to wszystko głosy, znęcające się nad pamięcią nieszczęśliwego cesarza Fryderyka III-go.

Tryumf Boulangera na wyborach w Paryżu, jakkolwiek powszechnie spodziewany, przeraził w wysokim stopniu partyą rządzącą w téj chwili rzecząpospolitą, ponieważ stanowi on bardzo wymowny dokument przeświadczenia o tém, że obecny stan rzeczy we Francyi nie cieszy się zaufaniem i sympatyą narodu. Znaczenie atoli tego faktu jest raczéj historyczne aniżeli praktyczne, bo na razie nie zmienia wybór Boulangera w Paryżu prawnéj podstawy istniejącego porządku rzeczy; dopiero jaki nieroztropny krok rządzących w téj chwili doktrynerów radykalnych w Paryżu może stać się źródłem ewolucyi, któréj miana określić dzisiaj jeszcze niepodobna; są bowiem względy, które w równéj mierze każą się spodziewać cezaryzmu i monarchizmu—a jako stadyum przejściowego: dyktatury wojskowéj!

Stosunki międzynarodowe Austro-Węgier nie tracą swego spokojnego oblicza mimo podsuwanego monarchii rakuskiéj projektu zagarnięcia sandżaku nowobazarskiego; sprawy atoli wewnętrzne, załatwiane bardzo gładko w przedlitawii, roznamiętniają w wysokim stopniu umysły w Węgrzech, gdzie z powodu projektowanéj nowéj organizacyi urządzeń wojskowych przyszło w Peszcze do nader burzliwych manifestacyi ulicznych. W ostatniéj chwili dotknął Austro-Węgry cios nadzwyczaj bolesny: dnia 30 stycznia o godzinie 7-éj z rana położył nagle kres swemu życiu w zamku myśliwskim Meyerling pod Baden w pobliżu Wiednia wystrzałem z rewolweru następca tronu austryackiego, arcyksiążę Rudolf. Zmarły arcyksiążę, jedyny syn cesarza Franciszka-Józefa i cesarzowéj Elżbiety, z domu księżniczki bawarskiéj, urodził się dn. 21 sierpnia 1858 r.; liczył zatém w chwili zgonu zaledwie 30 lat wieku. Ożeniony z arcyksiężniczką Stefanią, córką króla Belgów, w r. 1881, pozostawił z tego małżeństwa jedyną córkę, arcyksiężniczkę Elżbietę, ur. w r. 1883. Pobudki psychologiczne samobójstwa u człowieka, obdarzonego wielu zaletami umysłu i serca, są jeszcze dziś zakryte przed okiem publiczności; ale wszystkie ludy monarchii austro-węgierskiéj opłakują szczerze zgon księcia, po którym się jak najlepszéj spodziewały przyszłości. Ze stanowiska idei międzynarodowych uważać trzeba fakt ten za nadzwyczaj nieszczędliwy i potępienia godny, ponieważ samo-

bójstwo jedynego spadkobiercy tronu tak rozległego państwa, obrażając zasady moralności i religii, skrzywdziło równocześnie jak najdotkliwéj ideę dynastyi, będącą w takiém państwie, jak Austro-Węgry, najsilniejszym puklerzem szczęśliwego rozwoju indywidualności tylu różnorodnych narodów—a przez to zaszkodziło także interesom politycznym monarchii.

Niepomiarkowane aspiracye zainaugrowanéj po wojnie francuskiéj hegemonii niemieckiéj wśród państw europejskich nie pozwalają téż utrzymywać się długo zaufaniu w trwałość pokoju, choćby najgłośniéj obwieszczanego. Jenerał angielski Wolesley oświadczył niedawno w Birminghamie, że dni wojny strasznéj bliskie, czemu opinia publiczna powszechnie wierzy; król Humbert przy otwarciu parlamentu włoskiego nie zawahał się położyć nacisku na niepewne, nawet nader groźne położenie stosunków międzynarodowych, tak, że uroczy blask noworocznych manifestacyi pokojowych zbladł prawie do niepoznania, — stał się legendą, która niby gwiazdka na horyzoncie tylko wśród ciemności nocnych świecić jest zdolna, a pierzcha bezpowrotnie z chwilą, gdy słońce prawdy promienie swe po całym rozrzuci niebie: „Allons vers la lumière; il n'y a que les sots et les voleurs qui aiment les ténèbres.“ (Ch. D. Hericault).

Ks. Bismarck nie ma szczęścia z swoją polityką kolonizacyjną. Zaledwo pozyskał od parlamentu 2,000,000 marek na poparcie interesów niemieckich w Afryce wschodniéj, gdy wchodzą mu w drogę Stany Zjednoczone Ameryki północnéj o wyspy Samoa na oceanie Wielkim, do czego i Anglia przyczepić się może. I na wyspach Samoa postępowali sobie niemcy gwałtownie i ze zwykłą arogancyą, przez co wywołali rozpaczliwą obronę ludności miejscowéj. Na mocy traktatu z r. 1887-go powinna bronić praw pogwałconych przez Niemcy prócz Ameryki także Anglia; ale lord Salisbury, związany z niemcami na wybrzeżu afrykańskiém wywija się z tego obowiązku, a ks. Bismarck dokłada wszelkich starań, aby uniknąć zaognienia się sporu ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki.

P. Leon Loewenstein, br. Lenval, były współwłaściciel firmy fabrycznéj Lilpop Rau i Loewenstein, straciwszy w r. 1883-im syna, Leona Mieczysława, który zmarł w Nicei, postanowił uczcić pamięć jego przez dobroczynną fundacyą. W téj myśli wzniósł w Nicei szpital dla dzieci, w Warszawie zaś, widząc nędzę sierot, pozostających po robotnikach fabrycznych, postanowił złagodzić ich los okrutny przez ufundowanie instytucyi pod nazwą: „Warszawski dom sierot dla chłopców po robotnikach fabrycznych.“ Przy ulicy Litewskiéj pod nr. 14 wzniesiono gmach jednopiętrowy, w którym mieści się ta dobroczynna instytucya, rozciągająca opiekę swoję tylko nad chłopcami, ponieważ dziewczęta znajdują już zarobek i opiekę w szwalniach. Ustawa téj instytucyi uzyskała pod koniec r. 1888 zatwierdzenie władz właściwych i może już w r. b. wejść w życie dla

tego szczegółowsza wiadomość o celach i zadaniu „Warszawskiego domu sierot“ zasługuje na uwagę naszéj kroniki.

Przeznaczeniem „Domu sierot“ jest (§ 1 ustawy): opieka i wychowanie zupełnych sierot płci męzkiéj po robotnikach wyznań chrześciańskich, zrodzonych w małżeństwie z ojca stanu roboczego, nie posiadających żadnych funduszów, ani też żadnych krewnych, mogących lub chcących zająć się ich wychowaniem.“ Kierunkiem domu sierot zajmuje się prezes, wice-prezes, oraz zarząd, odbywający miesięczne posiedzenia, na których decydowane będą sprawy instytucyi. Bezpośredni nadzór nad wychowańcami powierzony będzie dozorcy i ochmistrzyni, wybranym przez zarząd. Ochmistrzyni oprócz tego zawiaduje gospodarstwem domowém. Podług ustawy przyjmowane będą do instytucyi zupełne sieroty po robotnikach w wieku nie mniéj niż lat 6-u, a nie więcéj nad lat 10. W celu jednak ujednostajnienia wieku dzieci, co w wychowaniu znaczne zapewnia ułatwienie, zarząd postanowił przynajmniéj początkowo przyjmować jedynie sieroty pomiędzy rokiem 7-m a 8-m. Kandydat do domu sierot powinien wnieść do zarządu przez opiekuna lub najbliższego krewnego piśmienną prośbę o przyjęcie, z dołączeniem metryki, świadectwa śmierci rodziców, świadectwa właściciela lub rządcy domu o miejscu zamieszkania, wreszcie świadectwa właścicieli zakładów przemysłowych, fabryki lub warsztatów, w których ojciec pracował. Wychowanie sierot w instytucyi ograniczy się jedynie na wychowaniu domowém; wprawdzie ustawa zezwala na urządzenie szkoły w samym zakładzie, lecz z powodu szczupłych fuduszów i nieznacznéj w skutek tego liczby wychowańców, zarząd początkowo z tego pozwolenia korzystać nie może i posyłać będzie dzieci do szkół elementarnych lub professyjnych, co jednak nie wyklucza w przyszłości, gdy środki pieniężne się zwiększą, zaprowadzenia nauki w samym zakładzie. Celem domu sierot jest wychowanie dzieci, powierzonych jego opiece, na robotników lub rzemieślników, wykształconych umysłowo i zawodowo. Ztąd też każdy wychowaniec, otrzymawszy odpowiednie wykształcenie szkolne i doszedłszy do wieku prawem przepisanego, oddany będzie do rzemiosła lub fabryki, odpowiednio do jego zdolności umysłowych lub sił fizycznych. Wychowańcy w terminie i fabrykach pozostają i nadal pod dozorem zakładu, gdzie przepędzają niedziele i święta i gdzie ćwiczyć się mogą podług wskazówek i na materyale zakładu w rysunkach, modelowaniu, rachunkach i t. p. Wychowańcom odznaczającym się wyjątkowemi zdolnościami dostarczać nawet zamyśla zakład, pomocy do dalszego wydoskonalenia się zawodowego w kraju lub zagranicą, o ile na to pozwolą jego fundusze. Rzecz jasna, że instytucya ta filantropijna przy szczupłych stosunkowo środkach materyalnych będzie początkowo zmuszona ograniczyć działalność swoję do nieznacznych bardzo rozmiarów.

Fundusze dotychczasowe są: Leon br. Lenval ofiarował na kupno placu i budowę gmachu.	60,000	rub.
brat tegoż Seweryn.	30,000	„
Razem	90,000	„
Koszta budowy wyniosły.	50,000	„
Pozostałe	40,000	rub.

obrócono na kapitał zakładowy, od którego procent wraz z dochodami z ofiar dobroczynnych przeznacza zarząd na utrzymanie wychowańców.

Nie ulega jednak kwestyi, że społeczeństwo nasze, którego najpiękniejszą może zaletą jest niezwykły duch ofiarności, pospieszy z pomocą temu ze wszech miar poparcia godnemu przedsięwzięciu i nowy zakład w krótkim czasie błogie wyda owoce. Patrząc na tę dziatwę sierocą, rzuconą bez wszelkiéj opieki na pastwę strasznego losu, marniejącą moralnie i fizycznie, trudno znaleźć dość słów wdzięczności dla szlachetnego ofiarodawcy, który pierwszą położył cegiełkę pod ten gmach, gdzie wychować się mogą w przyszłości w miejsce wykolejonych i niebezpiecznych dla społeczeństwa osobistości, pożyteczni obywatele kraju.

W budżecie ministeryum spraw wewnętrznych na rok 1889 znajdujemy sprawozdanie o stanie funduszu Użyteczności publicznéj, zebranym z inicyatywy, objawionéj rządowi w r. 1853-ym przez Władze naczelne Tow. Kr. Z. w Król. Polskiém, zatwierdzonéj przez rząd w r. 1860-ym.

W warszawskim kantorze Banku Państwa część pomienionego kapitału, ulokowanego w listach likwidacyjnych z 12-u kuponami każdy, wynosiła:	1,277,650	rub. —	kop.
Gotówką z realizacyi kuponów płatnych w Banku Państwa w Petersburgu znajdowało się w następujących walorach:	6,009	„ 84	„
5% biletach 4 emissyi.	630,400	rub. —	kop.
5% biletach 5 emissyi.	611,500	„ —	„
5% pożyczce wschodniéj 1 emissyi małych.	18,800	„ —	„
1 emissyi większych.	183,300	„ —	„
2 emissyi.	197,000	„ —	„
3 emissyi.	294,400	„ —	„
5% rencie kolejowéj.	60,300	„ —	„
5% listach Banku Szlacheckiego Ziemsk.	133,400	„ —	„
Konsolidowanych obligacyach 6 emissyi. .	160,250	„ —	„
7 emissyi.	22,720	„ —	„
Razem.	3,545,729	rub. 84	kop.

Z powyższéj summy w ciągu najbliższego okresu czasu mają być uczynione następujące wydatki:

Stosownie do uchwały rady państwa z dnia 31 marca 1885 r., na budowę szpitala obłąkanych w Tworkach.	500,000	rub.	— kop.
Na zasadzie prawa z dnia 23-go kwietnia r. b., do rozporządzenia Banku Włościańskiego.	2,000,000	„	— „
Na grutowne odnowienie Teatru Wielkiego w Warszawie.	300,000	„	— „
Czyli ogółem wydatki wynoszą.	2,800,000	rub.	— kop.

Pozostałość w sumie 795,729 rub. 84 kop. nazwaną została szczególnym funduszem nietykalnym ministeryum spraw wewnętrznych, na opędzenie potrzeb ludności włościańskiéj w guberniach Królestwa Polskiego (osobyj nieprikosnowennyj fond ministerstwa wnutrennich dieł na udowletworenie nużd krestjanskaho naselenja gubernij Carstwa Polskaho) i włączony został do budżetu, jako paragraf 33, artykuł pierwszy, drugi i trzeci.

W roku bieżącym 1889, ministeryum nie ma zamiaru czynienia jakichkolwiek wydatków z tego źródła, w obec czego fundusz na potrzeby włościańskie powiększy się o 37,800 rub., czyli 5% od summy 797,730 rub. przy potrąceniu podatku kuponowego.

Do utworzonego tym sposobem kapitału dodać również należy 46,370 rubli, jako resztę pożyczki, danéj przez władze rządowe włościanom wsi Trzemcha pow. Iłżeckiego, gub. Radomskiej. Wskutek rozkazu Najwyższego z dnia 4 (16) stycznia 1872 r., pomienieni włościanie otrzymali sposobem pożyczki 56,360 rub., którą to sumę mają spłacać amortyzacyjnie, licząc po 4 prct. od kapitału i 1 prct. na umorzenie. Dotychczas spłacono około 10,000 rub. Po dodaniu należnéj jeszcze od Trzemszan sumy, fundusz włościański wyniesie 879,900 rubli.

Co się tyczy funduszu użyteczności publicznéj, nadmieniamy, że fundusz ten stosownie do prawa o rozciągnięciu działalności Banku Włościańskiego na Królestwo Polskie, restytuowany będzie przez odliczanie z zysków Banku corocznie kwoty, odpowiadając stosunkowi ogólnéj sumy pożyczek i sumy, wydanéj z owego fuduszu.

Projekt mających się zaprowadzić obowiązkowych środków ochronnych na wypadek pożaru po wsiach, przepisuje, aby w każdéj wsi lub osadzie, liczącéj więcéj nad 50 domów, znajdowała się sikawka i przyrządy ratunkowe w postaci bosaków, toporów i drabinek ruchomych. Sikawka i przyrządy ratunkowe mają być sprawione na koszt mieszkańców z funduszów gminnych, a zarząd gminy rozłoży poniesione koszta na raty obowiązkowe w danych terminach, przy wnoszeniu innych podatków gminnych. Zwierzchni nadzór nad sikawką i narzędziami ratunkowemi, oraz starania o ich konserwacyą wkłada się na sołtysów, którzy jednocześnie otrzymają instrukcyą

co do obznajmienia mieszkańców ze sposobami szybkiego ratunku na wypadek wybuchu pożaru.

Przedłużenie konkursu. Rada uniwersytetu warszawskiego zawiadamia, że dotąd nie nadesłano ani jednego, odpowiadającego warunkom konkursu dzieła, w celu pozyskania nagrody z zapisu Adama Chojnackiego. Temat, wyznaczony w roku 1886 przez fakultet historyczno-filologiczny uniwersytetu warszawskiego brzmi: „Krótki rys historyczny wyparcia lechickich słowian przez niemców z nad Elby, Odry, Wisły i pobrzeży morza Baltyckiego, ze szczegółowém wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska." Termin przedstawienia dzieł na pomieniony konkurs przedłużono do 30-go kwietnia 1889 r., a nagroda przyznana będzie w sumie rs. już nie 900 lecz 1350. Bliższe warunki są następujące: Dzieło powinno zawierać: 1) ogólny obraz rozmieszczenia lechickich słowian, t. j. bodryców, łutyków, pomorzanów i polaków w IX — XI stuleciach, z dodaniem historyczno-geograficznéj mapy; 2) krótki rys stopniowego zmniejszania się terytoryum lechickiego od zachodu w epokach średniowiecznéj i nowéj, z dodaniem map XV i XIX wieku; 3) dokładne wyjaśnienie przyczyn stopniowéj przewagi niemców nad słowianami lechickimi, ze szczegółowém zwróceniem uwagi na sprzyjające téj przewadze warunki: a) plemienne, zależące od osobliwości fizycznego i psychicznego typu jednych i drugich; b) kulturne, w szczególności zaś polityczne, społeczno-ekonomiczne i religijno-moralne. W tym ostatnim dziale należy w badaném zjawisku dokładniéj przedstawić rolę niemieckiéj kolonizacyi (w związku z napływem żydów), łacińsko-niemieckiéj szkoły i zachodniego kościoła. Jako warunek zasadniczy postawiono: wykład zrozumiały dla wszystkich, a zarazem zupełną objektywność i naukową ścisłość treści. Dzieło powinno być przedstawione w języku ruskim i przez poddanego ruskiego, bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie. Wydanie zaś nagrodzonéj pracy w języku ruskim lub polskim pozostawiono uznaniu autora.

St. Petersburskie Ces. Towarzystwo geograficzne, odbyło w d. 23 stycznia doroczne swoje posiedzenie uroczyste. Odczytane na posiedzeniu sprawozdanie jako najważniejszą w roku 1888 wyprawę wymienia podróż kapitana Grąbczewskiego przez Margelan i Pamir̨ę do Kundżutu. P. Grąbczewskiemu proponowano objęcie dowództwa wyprawy do Tybetu po M. Przewalskim; lecz ten propozycyi nie przyjął. Do Tybetu wyruszy pułkownik Piewcow.

Kongres międzynarodowy nauk geograficznych odbędzie się w Paryżu w miesiącu sierpniu z okazyi wystawy powszechnéj. Prezes paryskiego towarzystwa geograficznego, Ferdynand Lesseps, rozesłał już odpowiednie zaproszenia. Towarzystwa geograficzne

świata całego zostały wezwane do zaproponowania tematów do obrobienia, nadto przedstawić one mają dokładny opis najgłówniejszych badań w danych krajach, dokonanych w ciągu XIX-go stulecia. Opisy te będą drukowane.

W Brukselli zawiązało się „Międzynarodowe stowarzyszenie prawa karnego“ (Union internationale de droit pénal) z zamiarem popierania studyów naukowych, dążących do postępu w rozwoju téj gałęzi prawodawstwa powszechnego. Na czele stowarzyszenia stanęli: Ad. Prins, prof. prawa karnego w Brukselli; A. von Hamel, profesor prawa karnego w Amsterdamie i Franciszek Liszt, prof. prawa karnego i wydawca znakomitego czasopisma krym. w Marburgu. Ustawa stowarzyszenia zastrzegła następujące warunki należenia do tego uczonego grona: *a*) zaproszenie przez jednego z założycieli; *b*) podpisanie i zgodzenie się przystępującego na zasady, czyli tezy, postawione w programie stowarzyszenia i *c*) wnoszenie składki na opędzenie wydatków stowarzyszenia, a mianowicie wydawnictw i rozpraw na zebraniach, mających się odbywać w miarę potrzeby w różnych miejscowościach. Co do zaproszeń, te rozesłano do ludzi, którzy pracami swemi dali się już poznać na polu nauki prawa karnego. Z pomiędzy naszych prawników zaszczycono tém świadectwem prof. Krzymuskiego i Rosenblatta w Krakowie, prof. St. Budzińskiego w Warszawie oraz sędziego A. Moldenhawera. Programat stowarzyszenia ma na celu urzeczywistnienie najśmielszych żądań nowéj nauki prawa karnego. Stowarzyszenie międzynarodowe prawa karnego wychodzi z przeświadczenia, że przestępstwo i karę należy roztrząsać zarówno z punktu socyalnego, jak i prawnego. Stawia sobie tedy za zadanie przeprowadzenie téj zasady i jéj konsekwencyi zarówno w nauce prawa kryminalnego, jak i w prawodawstwach karnych, w myśl następujących idei: 1) Posłannictwem prawa karnego jest walka z przestępstwem, jako socyalném zjawiskiem. 2) Stąd też nauka prawa karnego i prawodawstwo kryminalne winny uwzględniać rezultaty badań nauk antropologicznych i socyalnych. 3) Kara jest jednym ze środków najskuteczniejszych, jakiemi państwo rozporządza w walce z przestępstwem. Nie jest jednak środkiem jedynym. Nie powinna ona przeto być odosobnioną od innych środków socyalnych, mianowicie zaś nie należy zapominać o środkach uprzedzających (prewencyjnych). 4) Różnica między przestępcami z wypadku (sporadycznymi) a przestępcami z nałogu jest istotną i niezbędną, równie w praktyce jak i w teoryi; winna téż być podstawą rozporządzeń prawa karnego. 5) Ponieważ sądownictwo i procedura (trybunały karne i administracyjne) dążą do tegoż samego celu i ponieważ skazanie ma wartość jedynie przez sposób jego wykonywania, rozdział przeto, uświęcony przez nasze nowoczesne prawo, pomiędzy organami karzącemi i penitencyjnemi, jest nieuzasadnionym i szkodliwym. 6) Ponieważ kara pozbawienia wolności zajmuje pierwsze

miejsce w naszym systemacie kar, stowarzyszenie więc szczególną poświęca uwagę temu wszystkiemu, co dotycze ulepszenia więzień i instytucyj, mających z niemi związek. 7) Co się tyczy jednak krótkotrwałego uwięzienia, to stowarzyszenie uważa, iż zamiana takiego więzienia na inne środki równoważne jest możebną i pożądaną. 8) Co się tyczy uwięzienia długotrwałego, stowarzyszenie jest zdania, iż zakres uwięzienia należy uczynić zależnym nie tylko wyłącznie od ważności materyalnéj i moralnéj przestępstwa spełnionego, ale nadto i od rezultatów osiągniętych przez uwięzienie. 9) Co się tyczy zbrodniarzy nałogowych i niepoprawnych, stowarzyszenie mniema, że niezależnie od ważności naruszenia (występku), a nawet skoro chodzi o powtórzenie drobnych wykroczeń, systemat karny przedewszystkiém winien postarać się o postawienie tych przestępców w stanie, w którymby jak najdłużéj nie mogli szkodzić społeczeństwu.

Inne warunki, jak sposób przyjmowania członków do stowarzyszenia, pierwotnego ukonstytuowania się jego zarządu, zbierania zgromadzeń i t. p. pomijamy, nadmienimy tylko jeszcze, że co do opłacania składek, to wysokość ich ustanowiono tymczasowo na 5 fr. (respoctive 4 marki rocznie) z zastrzeżeniem, że ogólne zebranie stowarzyszenia ma prawo wysokość tych składek na pewien czas lub na stałe, podwyższyć do sumy, jaką uzna za właściwą. Widzimy więc, że idee stowarzyszenia są poważne i postępowe; mieć téż należy nadzieję, że konserwatywne pierwiastki, które w skład jego wejdą, nie pozwolą mu zbłąkać się na bezdrożach niebezpiecznych materyalistycznych utopii, ale że z badań nad istotą przestępstwa pod względem społecznym i antropologicznym, nie gardząc i filozofią, nowe i pożyteczne dla skutecznéj obrony społeczeństwa wyprowadzą wnioski i odpowiednie środki ochronne.

Cesarz Austro-Węgier nadał biskupom krakowskim tytuł k s i ę c i a. Ks. Albin Dunajewski nie jest jednak pierwszym biskupem krakowskim, używającym tytułu tego, ma bowiem przed sobą na tronie katedry wawelskiéj cały szereg poprzedników, którzy nie tylko książętami Kościoła, ale także i książętami na Siewierzu się mianowali. Księstwo zaś ich, od nikogo niezależne i wśród obszernych ziem polskich jako państwo w państwie istniejące, składało się z miasta Siewierza nad Przemszą położonego, miasteczka Czeladzi i ośmiu wsi okolicznych: Gołuchowca, Łagiszy, Komornego, Wojkowic, Zandecka, Rzewnyschowa, Nowéj-Wsi i Strzeżowic. Księstewko Siewierskie było wprawdzie niewielkie, tak że majątki wielu panów polskich bywały daleko większe w swych rozmiarach, przewyższało jednak „państwo“ niejednego z ówczesnych książąt udzielnych niemieckich. Istniało zaś lat 347 jako udzielne księztwo Siewierskie.

Historya Siewierza podobnie jak wszystkich miast książęcych,

rozpoczyna się od wzmianki kronikarskiej o zamku siewierskim, zwanym Sevor, oddanym w r. 1163 przez Kazimierza II-go Sprawiedliwego w dożywocie niejakiemu Wichfrydowi, przybyłemu z Niemiec. Przeszłość zamku jest więc dawniejszą i sięga zapewne czasów wojen książąt i królów polskich z najeźdzcami niemieckimi, właśnie owe ziemie polskie najbardziéj pustoszącymi. Po śmierci owego Wichfryda, Kazimierz II-gi, jako lenny pan Sevora, nadał ten zamek wraz z miasteczkiem, pod murami jego osiadłém i z Bytomiem, synowi Mieczysława, księciu na Raciborzu, Kazimierzowi, którego do chrztu trzymał. Historya lat późniejszych wspomina często o krwawych bitwach, staczanych pod Siewierzem i w okolicy tegoż miasta. W r. 1337 Władysław, ks. na Bytomiu, sprzedał to miasto Kazimierzowi, księciu na Cieszynie. W ręku następców jego pozostawał Siewierz niedługo; kiedy bowiem kasa książęca, w skutek ustawicznych wojen bratnich o dziedzictwo, oraz w skutek wystawnego życia, na które dochody nie wystarczały, wypróżnioną została, a sposobu na jéj napełnienie wynaleść nie było można, następcy Kazimierza, księcia Cieszyńskiego, sprzedali to miasto i włości powyżéj przytoczone wraz z wszelkiemi prawami Zbigniewowi Oleśnickiemu, biskupowi krakowskiemu, za 6,000 grzywien szerokich groszy czeskich. Kontrakt sprzedaży podpisano w dniu 30 grudnia r. 1443. Odtąd dobra te należały bezustannie do biskupów krakowskich. Dopiero jednak biskup Jan Rzeszowski, począł podpisywać się zrazu na dokumentach: „Dominus et haeres ducatus et terrae severiensis.“ a następnie od r. 1484: „Dominus et princeps ducatus severiensis,“ Rok więc 1484 można uważać za rok utworzenia księztwa siewierskiego, od tego bowiem czasu każdy biskup krakowski przybiera już stale tytuł księcia na Siewierzu. Książęta siewierscy mieli prawo miecza, bicia monety i władzę udzielną nad szlachtą, w swém księztwie osiadłą i odbywali w swém imieniu sądy, bez apelacyi do króla; stanowili prawa, mianowali urzędników, nadawali przywileje, szlachectwo, słowem: rządzili udzielnie w księztwie, nie płacąc z niego nikomu żadnych podatków, ani danin. Kiedy Kazimierz II-gi, książę na Cieszynie, żałując utraty tych ziem, które pod mądremi, sprawiedliwemi rządami biskupiemi ciągle w ludność i zamożność wzrastały, zaczął rościć sobie różne nieuzasadnione prawa do księztwa Siewierskiego, król Zygmunt I-szy na prośbę biskupa, wdał się w spór ztąd powstały, wejrzał w dowody stron obydwóch i w r. 1518 wydał wyrok, iż książę Cieszyński nie ma „nullum ius ad ducatum severiensem.“ Mieszczanie siewierscy wzrastali w bogactwa, ale też biskupi dbali o ich dobro, biorąc ich zawsze w opiekę i starając się o powiększenie dochodów miejskich, unikali zaś starannie wszelkich zajść i sporów, któreby księztwo ich na najazdy lub inną jaką szkodę narazić mogły. Biskup Filip Padniewski zaprowadził w Siewierzu w r. 1567 targi, stanowiąc, ażeby od przejeżdżających kupców pobierano cło na pożytek miasta. Wpływem zaś swoim w radzie ko-

rony biskupi umieli wyrobić sobie przywilej, że ani oni sami jako książęta, ani poddani ich do ponoszenia żadnych ciężarów pociągani nie byli. Władysław IV w uniwersale do wojska w roku 1635 zakazuje wszelkich w księztwie „stanowisk, exakcyi i uciemiężliwości," wyrażając się temi słowy: „udzielne jest, od wszelkich podatków wolne i żadnym ciężarom nie ulegające Siewierskie księztwo." Zamek siewierski, stojący na kępie pośród obszernego stawu, podźwignął z upadku i przyozdobił biskup Piotr Tomicki, a biskup Franciszek Krasiński nakazał w roku 1574 opłacać obywatelom księztwa pewien podatek na opatrzenie i utrzymanie gmachu w dobrym stanie. Obcy najeźdzcy łupili nieraz Siewierz, a najokrutniejsze łupiestwo zapisała historya w r. 1655, gdy Szwedzi zmusili garstkę wojsk polskich do przysięgi na wierność królowi szwedzkiemu. W zamku siewierskim przebywali często biskupi krakowscy, ostatniego zaś z pośród nich gościły te mury ks. Kajetana Sołtyka. Z monet siewierskich znane są w numizmatyce dukaty stempla biskupa Kajetana Sołtyka i grosze srebrne z roku 1761. Na mocy konstytucyi z dnia 22 lipca roku 1790 księztwo siewierskie zostało zniesioném. Ostatnim zaś księciem siewierskim był biskup krakowski Felicyan Paweł Turski. (Gazeta Lwowska).

Komitet II-go zjazdu prawników i ekonomistów polskich obwieszcza wiadomość, którą, nie tykając stylu redakcyi urzędowéj, dla informcyi kół jak najszerszych ogłaszamy. „Na posiedzeniu komitetu z 26 listopada z. r. wybrano sekretarzami pp. prof. dr. Abrahama i prof. dr. Tilla. Czas zjazdu oznaczono na wrzesień i powzięto uchwałę co do czasu zgłoszenia i nadsyłania referatów. Na drugiem posiedzeniu z 17 grudnia uchwalono wystosować następującą odezwę, zapraszającą do udziału w zjeździe:

„Pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich, który się odbył we wrześniu 1887 r. w Krakowie, wynikami swemi przekonał nasz świat prawniczy, jak pożyteczne są takie zebrania, dające świadectwo żywotności nauki i pracy, dozwalające wglądnąć w stan i potrzeby naszéj działalności zawodowéj. Nie ulega wątpliwości, że każda praca, a więc i duchowa, zorganizowana i łącznemi prowadzona siłami, tém donioślejsze i pełniejsze wydać może owoce, a osobiste zbliżenie się i wzajemna wymiana myśli, jest jak najlepszą i najbardziéj ożywczą zachętą i stać się może silném ogniwem, bo opartém na poczuciu wspólności duchowéj, łączącém rozproszonych dotąd pracowników w trwały związek dla dobra nauki i pracy. W prawdzie zdawaćby się mogło, że w społeczeństwie naszém, rządzoném różnemi prawami, które odmienne wytwarzają stosunki, brakłoby może dla prawników różnych dzielnic punktów stycznych, lecz ów zjazd pierwszy przekonał najlepiéj, że tak nie jest. Nie tylko bowiem nie zabrakło tematów ogólniejszych, a mimo to praktycznych, które niezawiśle od tych odmiennych ustawodawstw, dały się zasadniczo

i z pożytkiem omawiać, lecz właśnie ta rozmaitość praw obowiązujących, przyczyniła się do wszechstronniejszego zbadania poruszonych pytań. Podejmując też uchwałę pierwszego zjazdu, zmierzającą do zachowania ciągłości tych zebrań, grono prawników tutejszych z inicyatywy Towarzystwa prawniczego, postanowiło w myśl owéj uchwały urządzić drugi zjazd we wrześniu 1889 roku we Lwowie. Komitet, któremu urzeczywistnienie téj myśli poruczono, przyjąwszy przekazane przez zjazd pierwszy temata do dyskusyi, a nie wątpiąc przytem, że nie zbierze się nadto znaczna ilość tematów, dotyczących spraw i pytań aktualnych i żywotnych ze wszystkich gałęzi nauk prawniczych i ekonomicznych, udaje się niniejszém do prawników i ekonomistów polskich z prośbą o czynne poparcie przez podjęcie się referatów i przyjęcie udziału w zjeździe. Termin do zgłaszania tematów na zjazd oznacza się do 15 lutego 1889 r., poczém ogłoszony zostanie termin do nadsyłania wygotowanych referatów tudzież szczegółowy program zjazdu. Biuro zjazdu znajduje się we Lwowie, ulica Jagiellońska l. 2.“

Na ostatniem posiedzeniu wiedeńskiéj akademii umiejętności przedstawiono rozprawę prof. Morawskiego z Krakowa p. t. „Przyczynek do dziejów humanizmu w Polsce.“

Na pytanie: gdzie się urodził Mickiewicz, ogłosił „Wiek“ 1889 roku 8 styczn. nr. 6, list, zasługujący na uwagę szerszéj publiczności, dla tego zamieszczamy go w Kronice miesięcznéj „Bibl. Warsz.“

„Gdy kwestya tak wielkiéj wagi, jaką jest wiadomość o miejscu urodzenia największego naszego poety, dotychczas w świecie literackim nie jest stanowczo rozstrzygniętą, gdy ś. p. Domeyko w „Tygodniku Illustrowanym“ z końca zaprzeszłego roku 1887 również téj kwestyi stanowczo nie rozwiązał, mówiąc tylko o prawdobodobieństwie, że nieśmiertelny wieszcz przyszedł na świat w Nowogródku, ja, powołując się na mój artykuł, wydrukowany w nr. 182 „Tygodnika Illustrowanego“ z r. 1886, z zasady: „audiatur et altera pars“, pragnę podać jeszcze kilka uwag w tym przedmiocie.

Zasadą wszelkiéj krytyki historycznéj jest zawsze opieranie się na źródłach autentycznych, czerpanych z pierwszéj ręki. Otóż, czy może być kwestyonowaną autentyczność takiego źródła, jakiém jest list Aleksandra Mickiewicza, pisany w r. 1860 do brata Franciszka, mieszkającego w W. ks. Poznańskiém, donoszący mu o żyjących jeszcze krewnych i o wspomnieniach młodości, opartych na opowiadaniu własnéj ich matki (Kor. Mick. Tom I str. 228 wyd. 1871 r.). Gdy więc Aleksander mówi o swém urodzeniu w domu Kamińskiego (dotychczas egzystującym) w Nowogródku, o urodzeniu Franciszka w domu Dobrowolskiéj, a Jerzego i Antoniego w domu Denejnowskim na Żydowskiéj ulicy, to znajduje wiarę u biografów teraźniejszych, a gdy w tymże liście mówi, że brat Adam przyszedł na świat

w Zaosiu 26 grudnia 1798 r., gdyż rodzice jego wezwani byli przez stryja do zarządu tego majątku i tam pojechali w grudniu tegoż roku, to nie znajduje wiary w tym względzie u teraźniejszych szperaczy historycznych!

Wszakże on mówi, że tę samą wiadomość potwierdził i stryj jego Felicyan. Takąż wiadomość zakomunikował Franciszek Mickiewicz uczonemu Antoniemu Małeckiemu. Lwowskie towarzystwo literackie imienia Mickiewicza, które przez swych pracowitych członków, ks. Siemieńskiego i p. Edwarda Pawłowicza, pilnie szuka prawdziwych wiadomości u źródła w nowogródzkich stronach, nie wątpi także o wiarogodności urodzenia wieszcza Adama w Zaosiu.

Czcigodny jeden obywatel Nowogródka, A. K., posiada list Mikołaja Mickiewicza do Bereśniewicza, także obywatela i właściciela Bereśni z 1808 r., w którym zawiadamia go p. Mikołaj o świeżo kupionym domu murowanym w Nowogródku, tym właśnie, który później należał do Bijołba, a po jego śmierci przeszedł na własność krewnego jego żony, Dąbrowskiego, do którego i teraz należy, i który, po pożarze 1882 r. podźwignął go z ruin, wymurowawszy dom i oficynę na nowo. Ztąd widać, że do 1808 r, rodzice Mickiewicza nie mieli własnego domu w Nowogródku, i że w tym domu, który nazywa się Mickiewiczowskim (na Kowalskiéj ulicy), ani Adam, ani żaden z jego braci na świat nie przyszedł.

Pan Chmielowski mówi w swém znakomitém studyum, że autor Wallenroda urodził się prawdopodobnie w Nowogródku, a w nowém także wydaniu dzieł poety, kwestyą urodzenia pozostawia nierozstrzygniętą. Jeden tylko z badaczów, p. Korotyński, twierdził stanowczo, że wieszcz się urodził w Nowogródku i opiera to twierdzenie na rachunkach familijnych Mikołaja Mickiewicza z tego roku, w którym jest wzmianka o najęciu mieszkania w Nowogródku. Ależ najęcie mieszkania nie obala wcale wiadomości Aleksandra Mickiewicza o wyjechaniu jego rodziców w grudniu tegoż roku do Zaosia.

P. Władysław Mickiewicz, który z gorliwością synowską zbiera wszystkie autentyczne wiadomości o swym nieśmiertelnym ojcu, w dziele „Adam Mickiewicz, sa vie et son oeuvre," mówi stanowczo, że ojciec jego urodził się w Zaosiu.

W 1861 r. z powodu przyjazdu w nowogródzkie strony tegoż p. Władysława Mick., który także odwiedził i Zaosie, gdy potrąconą była myśl o wystawieniu poecie pomnika w Nowogródku, to nie dla tego, żeby Nowogrodzianie nie wiedzieli o miejscu urodzenia Mickiewicza w Zaosiu, lecz że uważali Nowogródek za miejsce stosowniejsze na pomnik.

Gdyby fakt urodzenia się poety w Nowogródku był sprawdzony, toby każdy kamień tego domu był tak czczony, jak miejsce urodzenia Szekspira, Walter Scotta lub Bajrona. Czcigodny ś. p. Domeyko dał dowód wielkiéj sumienności, gdy wezwanym będąc przez p.

Korotyńskiego, nie chciał rozstrzygać téj kwestyi stanowczo, mówiąc tylko o prawdopodobieństwie urodzenia poety w Nowogródku, gdyż nic nie słyszał o tém z ust zmarłego przyjaciela, który nie lubił mówić o sobie, a późniéj, będąc 54 lat oddalonym od miejsc rodzinnych, nie brał téj sprawy tak żywo do serca.

Żyje jeszcze w Nowogródzkiem w Dołmatowszczyźnie p. Antoni Wierzbowski, kolega szkolny Adama Mic., ze szkół dominikańskich, ten również nie wątpi, że poeta urodził się w Zaosiu. O tém samém wiem także z ust nieboszczyka ojca mego, który był o 6 lat starszy od autora P. Tadeusza i od krewnego mego, który zagranicą dzielił los poety. W badaniach tego rodzaju przedewszystkiem idzie o wykrycie prawdy, a nie o narzucanie swego przekonania innym. Tą myślą powodowany, skreśliłem te słów kilka.

W. M. nowogródzianin.

Dnia 7 grudnia 1888 r. odbyło się w Krakowie posiedzenie zwyczajne Wydziału filologicznego, Akademii Umiejętności, na którém prof. Malinowski przedstawił rozprawę p. Wojc. Grzegorzewicza p. t.: „O języku ludowym w powiecie przemyskim, na podstawie materyałów zebranych przez Stanisława Chełchowskiego z Chojnowa“ i p. Fr. Biernata p. t.: „Formy deklinacyjne i konjugacyjne w polskich rotach przysiąg krakowskich (1399 — 1418).“ Obie te prace uchwalono ogłosić w wydawnictwach Wydziału.

W dalszym ciągu prof. Malinowski odczytał rozprawę swoję p. t.: „Rozbiór porównawczy polskich tekstów z w. XV., hymnu Salve Regina, z uwzględnieniem nieogłoszonego dotąd tekstu w rękopisie Biblioteki Ossolińskich Nr. 379 z datą 1438“ i podał wiadomość o użytych do oprawy kodeksu Nr. 379 Bibl. Ossolińskich, szczątkach cerkiewno-słowiańskiego ewangielistarza „aprakos.“ Był to kodeks pergaminowy in folio w dwie kolumny kirylicą, t. zw. „ustawem,“ najpóźniéj w w. XIV pisany. Odczytane urywki ewangelii św. Łukasza wskazują, iż był to zbiór ewangelii na niedziele całego roku, pisany na Rusi Czerwonéj, jak to z właściwości języka wnieść można.

Dnia 10 grudnia 1888-o r. odbyło się posiedzenie Wydziału hist. filozoficznego, na którém sekretarz dr. Smolka zdał sprawę z publikacyi Wydziału i czynności komisyi. Wyszedł mianowicie z druku tom XXIII „Rozpraw i Sprawozdań“ z posiedzeń Wydziału, w którym mieszczą się rozprawy: Bolesława Ulanowskiego „Mikołaj z Błonia, kanonista polski z pierwszéj połowy XV wieku.“—Tegoż „O pokucie publicznéj w Polsce;“ daléj Karola Potkańskiego „Zagrodowa szlachta i włodycze rycerstwo w województwie krakowskiém w XV i XVI wieku,“—Fryderyka Papée: „Najstarszy dokument Polski. Studyum dyplomatyczne o akcie Idziego dla klasztoru Benedyktynów w Tyńcu;“ Michała Bobrzyńskiego „Prawo propinacyi w dawnéj Pol-

sce."—Prof. Dr. B. Ulanowski przedstawił na témże posiedzeniu tymczasową wiadomość o „Konfederacyach polskich w XIV i XV wieku."

Literatura w tym przedmiocie jest dotychczas bardzo uboga, bo oprócz prac ogólnych, przedstawiających całość dziejów Polski, wymienić tylko można rozprawy prof. Szujskiego: „O Konfederacyi Maćka Borkowicza" i d-ra Prochaski: „O Konfederacyi Spytka Melsztyńskiego." („Przewodnik nauk. i liter.") Obszerne dzieło prof. d-ra Pawińskiego, poświęcone rządom sejmikowym, zajmuje się konfederacyami dopiero od bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta, a nie przedstawia genezy rozwoju konfederacyi od samego początku téj instytucyi autonomicznéj, kryjącéj w sobie źródło wszelkiéj anarchii. Dr. Ulanowski zaznaczył na wstępie, że związków miast wielkopolskich i szląskich z pierwszéj połowy XV wieku nie należy uważać za konfederacye, lecz za stowarzyszenia, wychodzące z inicyatywy panującego, mające na celu gorliwsze i skuteczniejsze wykonywanie jurysdykcyi karnéj nad przestępcami, którzy po dokonaniu zbrodni w jedném mieście, uciekali do drugiego miasta.

Pierwszą właściwą konfederacyą jest konfederacya Maćka Borkowicza, która zwrócona jest przeciw królowi, a zwłaszcza przeciwko władzy starościńskiéj. Skonfederowani obowiązują się do wspólnego powetowania strat temu z członków konfederacyi, któryby je poniósł z powodu przeprowadzonéj na nim egzekucyi.

Następne konfederacye z r. 1382 i 1383 mają na celu ujęcie społeczeństwa, pozbawionego monarchy, w pewną organizacyą. Nie są przytém pominięte i miasta, z którymi poszczególne ziemie odrębne zawierają konfederacye.

Z czasów Władysława Jagiełły znane są konfederacye piotrkowskie z r. 1406 i 1407, którym prelegent poświęcił poprzednio odrębną pracę, oraz konfederacya mająca bliski związek z edyktem wieluńskim z r. 1424, z tego samego prawdopodobnie pochodząca roku.

Pierwsza konfederacya piotrkowska jest wprost rewolucyjną, druga ma charakter bardziéj konserwatywny, trzecia niedatowana przychodzi do skutku pod egidą króla i Witolda. Zanotować przytém należy konfederacyą, zawiązaną w roku 1407 przez duchowieństwo krak. pod wodzą Piotra Wysza, przeciw szlachcie małopolskiéj, stawiającéj w sprawach dziesięcin zbyt wygórowane żądania.

Jagiełło starał się użyć środka konfederacyi do zapewnienia jednemu ze swoich synów panowania w Polsce. Układając się w tym celu z poszczególnymi ziemiami, otrzymywał w zamian za przywileje, szczodrze udzielane, obietnice, że szlachta pewnéj ziemi zaraz po jego śmierci zawiąże konfederacyą, w celu przeprowadzenia wyboru jednego z Jagiellonów.

Z panowania Warneńczyka uznane są dwie konfederacye, z r. 1438 i 1439. Pierwsza grupuje się koło opiekunów króla i około stronnictwa rządowego, druga dąży do zmiany istniejącego porządku,

wychodząc z zapatrywania, że dotychczas źle się działo, ponieważ communitates nie miały udziału w rządach.

Z téj samej mniéj więcéj epoki pochodzi niedatowana konfederacya, zawiązana przez 20 rodów czyli genealogii, którą ogłosił po raz pierwszy prof. Caro. Konfederacya ta zawiązaną została pomiędzy r. 1425 a 1440, a ma na celu usunięcie krwawéj zemsty i rozciągnięcie organizacyi istniejącéj w obrębie jednego rodu do 20, aktem konfederackim połączonych genealogii.

Z czasów Kazimierza Jagiellończyka znaną jest tylko konfederacya z r. 1464, mająca charakter partykularny, ale prelegent domyśla się, że konfederacyi było daleko więcéj; mianowicie przypuszcza, że wydanie przywilejów nieszawskich poprzedziły konfederacye, których pierwszym objawem było wydanie przywileju cerekwickiego oraz przedstawienie królowi petytów opockich. Ostatnią również partykularną i mniejszego znaczenia konfederacyą jest związek szlachty przemyskiéj (conspiratio) z r. 1525, skierowany przeciwko duchowieństwu tejże dyecezyi.

Z omówionych przez prelegenta konfederacyi nie wszystkie są jednolitéj natury. Odróżnić między nimi można trzy odrębne typy.

1. Właściwe konfederacye, zawiązane przeciwko władzy królewskiéj i popierające z góry ułożony program, który w istocie rzeczy stanowił wotum nieufności, objawione publicznie monarsze. Do nich należą konfederacye z r. 1352, 1406 i 1439, a po części, lubo w łagodniejszéj formie, także z roku 1407 tudzież konfederacya 20 genealogii.

2. Konfederacye, zawiązane w czasie bezkrólewia, jak w r. 1382 i 1383, gwarantujące porządek publiczny za pomocą przysięgi, która łączyła skonfederowanych.

3. Konfederacye, zawiązane u boku króla i to za jego inicyatywą.

Tylko pierwszy i drugi rodzaj odpowiada naszemu pojęciu o konfederacyi, jako o związku samodzielnym całego społeczeństwa lub jego części. W pierwszym przypadku będzie ten związek sprzeciwiał się istniejącemu porządkowi i będzie zaprzeczeniem nieograniczonéj władzy królewskiéj; w drugim zaś będzie się skonfederowane społeczeństwo uważać na czas pewien za władzę monarszą, niemającą w danéj chwili reprezentanta.

W trzecim przypadku mamy do czynienia z anomalią, szkodliwą dla władzy królewskiéj. Społeczeństwo, związane przysięgą poddańczą, stanowiło z natury rzeczy wielką konfederacyą skupioną koło monarchy pod hasłem bezwzględnéj dla niego uległości. Zbytecznem więc było ze strony króla wzmacnianie naturalnego tego stosunku przez konfederacye, zawiązywane w jakimś specyalnym celu, a co więcéj, było to niebezpiecznym precedensem, bo dawało społeczeństwu do myślenia, iż są pewne okoliczności, w których obowiązane ono jest stać solidarnie przy królu tylko wtedy, kiedy do tego osobno się zobowiąże i zobowiązanie swoje przysięgą wzmocni.

Konfederacye pierwszego rodzaju, zawiązywane za życia króla w celu przeprowadzenia pewnego programu a zorganizowane za pomocą przysięgi, której nie dotrzymanie ulegało ostrym karom, wymierzonym na odstępców przez samych skonfederowanych, były właściwie pierwszymi próbami wywalczenia sobie przez społeczeństwo pewnéj niezależności obok króla.

Dopiero przywileje nieszawskie przyznały sejmikom znaczenie prawne, w pewnym ściśle oznaczonym zakresie. Przed rokiem 1454 miały wszystkie zgromadzenia jeneralne i partykularne jedynie znaczenie faktyczne i mogły tylko przedstawiać królowi niewiążące go bynajmniéj petyta. Uchwały zgromadzenia nabierały mocy ustawowéj przez konfirmacyą królewską i nie były niczém innem, jak ustawami królewskimi.—Zgromadzenie nie mogło wywrzéć na króla prawnego nacisku, a faktyczna presya skierowana tylko była do tego, aby król ograniczył w pewnym kierunku sam siebie obietnicą, ujętą w formę przywileju.

W obec téj niemocy zgromadzeń dygnitarzy i szlachty z epoki przed przywilejami nieszawskimi, konfederacye wydawały się społeczeństwu najlepszym środkiem do energicznego występowania przeciwko królowi. Brak podstawy prawnéj zastępowano zobowiązaniem prawno-prywatném, wzmocnionem przysięgą i w ten sposób miały konfederacye pewne pozory silniejszéj organizacyi. Ale były to tylko pozory, bo prawo kanoniczne uważało wszelkie związki zwrócone przeciwko właściwemu zwierzchnikowi, za nieważne, a przysięgę związkowych za żadną. W praktyce jednak nie oglądała się szlachta na prawo kanoniczne, a konfederacye możemy uważać za jeden z najważniejszych czynników, które przyczyniły się do rozwoju parlamentaryzmu w Polsce, ponieważ dawały społeczeństwu możność solidarnego występowania w walce z królem, w któréj chodziło o zasadnicze przyznanie szlachcie udziału w rządach.

Prof. Lewicki w uzupełnieniu wiadomości, zawartych w komunikacie prof. Ulanowskiego, wspomniał o nieznanym akcie konfederacyi, zawiązanéj na Rusi Czerwonéj 11 października 1438 roku i odczytał ten akt w całości według tekstu, zachowanego w kopii w zbiorach ks. Czartoryskich. Prof. Ulanowski uznał ważne znaczenie tego aktu dla historyi konfederacyi Spytka z Melsztyna, stwierdza jednak, że nie można go uważać za akt konfederacyi we właściwém tego słowa znaczeniu; był to tylko związek, obowiązujący członków do wzajemnéj rękojmi. Przewodniczący prof. Zoll poruszył dyskusyą o znaczeniu przysięgi, służącéj do wzmocnienia wzajemnych przyrzeczeń skonfederowanych; w dyskusyi téj brali udział prof. ks. Gromnicki, dr. Brzeziński i prof. Ulanowski. Następnie przedstawił sekretarz rozprawę d-ra Stanisława Krzyżanowskiego p. t. „O początku Wołoszczyzny.“ Autor zastanawia się we wstępie nad położeniem ludności wołoskiéj w obrębie granic monarchii Arpadów, a mianowicie nad stanowiskiem kniaziów i wojewodów. Objawiając przypuszcze-

nie, że województwo Senesława w ziemi Zewryńskiéj było zawiązkiem późniejszego hospodarstwa wołoskiego, objaśnia znaczenie dyplomu Beli IV z r. 1247, który jest najcenniejszym źródłem do określenia stanowiska dawnych wojewodów wołoskich, w stosunku do ludności podwładnéj i do korony. Następnie analizuje tradycyą późniejszą o początku hospodarstwa wołoskiego, wyróżnia jej rysy zasadnicze od legendowych ubarwień i dochodzi do wniosku, że historyczny Lython jest identyczną postacią z bohaterem tradycyi Radulem, że osiedlenie się Lythona, przybysza „z za gór," w ziemi Senesława (około r. 1272), dało początek właściwemu hospodarstwu wołoskiemu. Utwierdzenie samoistności hospodarstwa, widoczne w walkach Bassaraba z Karolem Robertem, przypisuje autor rozluźnieniu monarchii węgierskiéj po wygaśnięciu Arpadów. Czy Bassarab, założyciel dynastyi wołoskiéj, był potomkiem Lythona, pozostaje kwestyą nierozwiązaną.

Komisya antropologiczna Akad Um. odbyła posiedzenie w dniu 14 grudnia, na którém sekretarz prof. dr. Kopernicki zawiadomił o nadesłanych materyałach etnograficznych, między innymi o udzielonéj przez p. H. Wodeckiego wiadomości o świecznikach żelaznych do świecenia łuczywem, używanych w Sokołowie pod Rzeszowem, tudzież o otrzymanych różnéj treści wiadomościach etnograficznych od p. B. Rogowskiego z okolic Drohobiczyna, od p. Stefana Ziemby ze wsi Bakoty w pow. uszyckim, od p. Zygm. Wierzchowskiego z powiatu tarnobrzeskiego i niskiego. Co do zarządzonego dawniéj zbierania spostrzeżeń, w przedmiocie charakterystyki życia płciowego u kobiet, dostarczył ich prof. Oettinger 112 ze szpitala izraelickiego w Krakowie, dr. J. Hryncewicz 431 ze szpitala żwinogrodzkiego na Ukrainie, dr. Adam Wurst 11 z Kałusza i okolicy. Komisya zanim przystąpić będzie mogła do zamierzonego opracowania, oczekuje podobnego materyału od innych jeszcze pp. lekarzy. Główny przedmiot stanowiło sprawozdanie z podróży, odbytéj przez prof. d-ra Kopernickiego w celu badań antropologiczno-etnograficznych, w górach ruskich wdłuż Karpat, od Popradu do Czeremosza. Pod tym względem można wyróżnić 5 grup etnicznych: Łemków, Połonińców, Bojków, Tucholców i Hucułów. Sprawozdawca, podawszy na poparcie tych wyróżnień wiadomości o mieszkaniach, bycie, ubiorach i mowie, objaśniwszy rzecz przedstawionymi obrazami stroju, fotografiami, własnymi szkicami i przykładami gwar ruskich, oświadczył, iż umiejętne opracowanie zebranych przez siebie wiadomeści, po uzupełnieniu ich wiadomościami z wielu innych miejsc, które mu przyrzeczono, będzie przedmiotem rozpraw osobnych. W różnych kwestyach powyższego sprawozdania zabierali głos pp.: Kolberg, Sadowski, Umiński i Ziemięcki.

Dnia 15 grudnia 1888-o r. odbyło się posiedzenie komisyi fizyograficznéj Akad. Um. na którém przewodniczący prof. dr. Karliński

przedstawił wydany niedawno XII tom sprawozdań komisyi, zwracając przytém uwagę na zmiany, zaprowadzone w dziale meteorologicznym tego tomu dla uniknięcia zbyt wielkich kosztów. Prof. M. Raciborski mówił o niektórych drzewach skamieniałych z okolic Krakowa. Na pniach drzew: Araucarites Schrolianus i A. Rollei wykazał, że są to pnie roślin szpilkowych a nie kordaitów. Z oznaczeń ich wynika, że wiek tych drzew, a więc i wiek piaskowca kwaczalskiego, w którym się one niewątpliwie na pierwszorzędném łożysku znajdują, jest dolno-dyjasowy, a nie dolno-tryjasowy, jak to przypuszcza dr. Tietze. Prócz tego przedstawił p. Raciborski okazy dwóch gatunków drzew szpilkowych z formacyi jurasowéj, budową do cedru zbliżonych, mianowicie Cedroxylon polonicum n. sp. i inny jeszcze gatunek zoolitów balińskich, bliżéj nieoznaczalny. Obszerniejsza praca p. Raciborskiego o tych drzewach pojawi się w „Sprawozdaniach komisyi."

Prof. dr. Zaręczny przedstawił wykonaną przez siebie z polecenia komisyi mapę geologiczną okręgu krakowskiego. Mapę tę wykonał dr. Zaręczny w dwojaki sposób; w szczegółowéj zaznaczył wszystko, co znalazł na powierzchni badanéj przestrzeni; w teoretycznéj zaś przedstawił budowę geologiczną okręgu krakowskiego w takiéj postaci, w jakiéjby się prawdopodobnie okazała, po zrzuceniu najmłodszych warstw aż po trzeciorzęd. Dr. Zaręczny wykazał, w czém się jego mapa różni od wydanéj niedawno mapy d-ra Tietzego; różnice te, do których doprowadziło badanie rzeczy na miejscu, stanowią niewątpliwie postęp w znajomości geologii okolic Krakowa. W obec pewnych przeszkód, na które wydanie mapy téj natrafia, zapytał dr. Zaręczny, w jaki sposób komisya z pracą jego postąpi? W sprawie téj zabrał głos prof. dr. Kreutz, uznając wielkie zalety przedstawionéj pracy tudzież potrzebę jak najrychlejszego jéj wydania. Następnie przemawiali: przewodniczący, prof. dr. Karliński, prof. dr. Kreutz, i sekretarz W. Kulczyński, częścią przedstawiając obecny stan wydawnictwa atlasu geologicznego Galicyi, częścią wykazując, że mimo szczupłych dochodów w roku przyszłym, komisya przystąpić powinna i może do wydania mapy d-ra Zaręcznego. W końcu oddał przewodniczący sprawę tę sekcyi geologicznéj do formalnego, ile można szybkiego załatwienia.

Towarzystwo historyczne we Lwowie odbyło posiedzenie dn. 22 grudnia 1888, na którém dr. Margasz odczytał pracę: „O stosunkach włościan na Rusi w XV wieku", opartą na aktach grodzkich i ziemskich lwowskich, sanockich i halickich. Powoławszy się we wstępie na prace d-ra Bobrzyńskiego, d-ra T. Pilata i ks. Lubomirskiego, przedstawił stan włościan ruskich jako bardzo smutny, jakkolwiek z wielu względów bardzo podobny do ustroju niemieckiego. Z dawnego ustroju ruskiego, zdaniem prelegenta, byli włościanie wolni, zorganizowani w t. z. sotnie a ordyńcy i kalanni włościanie przywią-

zani do gleby; za czasów polskich wszyscy zależeli od szlachty, klasztorów i starostw. Brak sił roboczych sprowadził kolonizacyą na prawie magdeburskiém, ruskiém, polskiém i wołoskiém. Resztę odczytu zajęła charakterystyka prawa magdeburskiego, emigracya chłopów i środki prawne w celu jéj powstrzymywania. W bardzo ożywionéj dyskusyi wyjaśniano zasady prawa ruskiego, polskiego i wołoskiego, jako téż nazw: ordyńcy i kalenni. Prawo magdeburskie było „singularis consolatio," a chociaż w XV wieku los chłopów był gorszy niż dawniejszy, mianowicie wskutek wykupienia sołtystw przez szlachtę, to na Rusi było chłopom jeszcze lżéj niż w Małopolsce i na Mazowszu.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego poznańskiego Tow. przyjaciół nauk odczytał p. Erzepki początek odznalezionéj przez siebie, dotychczas drukiem nieogłoszonéj, drugiéj części poematu W. Potockiego p. t. „Merkuryusz nowy." Ta część zawiera opis wyprawy chocimskiéj. Następnie hr. August Cieszkowski mówił o archiwum krzyżackiém w Wiedniu. Jakkolwiek zakon krzyżacki został 1800 roku zniesiony przez Napoleona I, pozostali członkowie zakonu nie uznali tego rozporządzenia i wyrobili sobie 1840 roku przyzwolenie cesarza austryackiego na przywrócenie zakonu. Na czele istniejącego jeszcze dzisiaj w Austryi zakonu krzyżackiego stoi jako wielki mistrz arcyksiążę Wilhelm. Dzisiejsi krzyżacy austryaccy mają w Wiedniu własny dom i kościół. Utrzymywane przez nich archiwum, t. zw. centralne, zawiera bardzo liczne dokumenta i jest po królewieckiém najbogatsze w źródła historyczne. Ponieważ królewieckie archiwum w oczach nieuprzedzonych historyków już przestało być wyłącznem źródłem dziejów krzyżackich, ważne jest archiwum wiedeńskie pod wielu względami, chociaż i jego dokumenta nie mogą uchodzić za niewzruszone. Hr. Cieszkowski odkrył w niém oryginał traktatu brzeskiego, którego dotychczas w poprawnéj edycyi nie wydano. Pod koniec przedstawił przewodniczący Towarzystwa wydziałowi dwa nowsze wydawnictwa zakonu krzyżackiego w Wiedniu, a mianowicie ważne, ale nadzwyczaj stronniczo napisane dzieło tłómacza zakonu Felixa Sallesa p. t.: „Annales de l'ordre teutonique ou de Sainte Marie de Jérusalem." (Paris et Vienne 1887) i katalog archiwum, sporządzony przez dzisiejszego w. komtura zakonu hr. Pettenegg p. t.: „Die Urkunden des deutschen Ordens, Centralarchivs zu Wien." (Praga i Lipsk 1887). Utrudnienia, stawiane przez zakon w wypożyczaniu dokumentów, nie pozwoliły hr. Cieszkowskiemu zrobić z źródeł archiwum takiego użytku, jak sobie życzył.

Pod koniec posiedzenia doniósł dr. Chłapowski wydziałowi o odkryciu w Landsbergu n. W. kilku ważnych dokumentów, dotyczących historyi miasta Poznania. Między innymi przesłano na je-

go ręcę kopią przywileju Zygmunta I, zapewniającego kupcom poznańskim wolną żeglugę na Warcie.

Walne zebranie poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, odbyło się dnia 11 stycznia r. b. pod przewodnictwem Augusta hr. Cieszkowskiego. Przewodniczący, zagajając posiedzenie, uwiadomił zebranie, że wszystkie wydziały Towarzystwa gorliwie starają się o to, aby swemi odczytami zainteresować członków, odwiedzających zebrania Towarzystwa i że właśnie dzisiejsze, ciężkie czasy winnyby nakłaniać członków do pilnego korzystania z przytułku wiedzy i pracy. Wobec objawionego przez hr. Cieszkowskiego zamiaru ustąpienia z godności prezesa Towarzystwa, zebranie wybrało na przewodniczącego p. Józefa Żychlińskiego i na sekretarza p. Rakowicza, poczem odczytano protokół ostatniego walnego zgromadzenia i sprawozdanie zarządu. Po wysłuchaniu tego sprawozdania (obfitującego w liczne niedomówienia i arcana miejscowe) i odczytu d-ra Erzepkiego, przystąpiono do wyboru nowego zarządu Towarzystwa i wybrano prezesem Augusta hr. Cieszkowskiego, który na usilne prośby obecnych, wybór przyjął, wiceprezesem p. Jażdżewskiego, sekretarzem hr. Engeströma, skarbnikiem d-ra W. Milewskiego, redaktorem d-ra W. Łebińskiego. Członkiem honorowym Towarzystwa, mianowano Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego.

Podczas obrad zamkniętego przed tygodniem Sejmu galicyjskiego we Lwowie, rozbierano kwestyą urządzenia odpowiedniejszego szkół rolniczych, która i dla szerszych kół nie jest bez doniosłego znaczenia. Poseł Langie na posiedz. 15-go stycznia w szczegółowo umotywowanem przemówieniu wykazywał potrzebę zakładania niższych szkół rolniczych dla synów włościan różnych okolic w kraju. Wychodząc z tego przeświadczenia domagał się, ażeby na najbliższéj sesyi sejmowéj Wydział krajowy przedstawił projekt prawa, dotyczącego ulepszeń w organizacyi krajowych szkoł rolniczych pod względem nadzoru, administracyi i sposobu nauczania. Poseł Langie dowodził, że wykłady teoretyczne w dzisiejszych szkołach rolniczych, jakkolwiek bardzo potrzebne, zabierają tak wiele czasu uczniowi i obciążają go taką ilością uczonych frazesów i niezrozumiałych formuł, że na naukę praktycznego gospodarstwa nie zostaje ani czasu, ani miejsca. Szkoły rolnicze chorują na uczoność. Wydział krajowy ciągle nawołuje szkoły niższe do trzymania się ściśle planu; tymczasem w naszych oczach niższe szkoły rolnicze ciągle przemieniają się na jakieś wyższe zakłady nauki teoretycznéj. Utrzymywał tedy w dalszym wywodzie sz. poseł, że gdyby tak nadal pozostało, to w najlepszéj wierze każdy kurator mógłby przemieniać szkoły, wedle swoich pojęć, na zakłady może lepsze, ale w każdym razie inne, aniżeli pierwotnie zamierzono. Izba postanowiła odesłać wniosek posła Langiego do zbadania w komisyi gospodarstwa krajowego.

Z kolei obradowano nad sprawozdaniem komisyi gospodarstwa

krajowego co do wniosku posła Mycielskiego w przedmiocie ustanowienia Wydziału rolniczego przy Uniwersytecie jagiellońskim w Krakowie, lub co najmniéj zaprowadzenia przy Wydziale filozoficznym tegoż uniwersytetu kilku katedr dla wyższych nauk rolniczych. Sprawa połączenia wyższych nauk rolnictwa ze studyami uniwersyteckiemi, niezaprzeczenie dla naszego przeważnie rolniczego kraju wielkiéj doniosłości, zwraca już oddawna na siebie uwagę nie tylko osób zajmujących się wykształceniem publicznem, ale zarówno i instytucyi, reprezentujących interesa rolnictwa. Władza edukacyjna w Prusach połączyła, o ile się to na razie przeprowadzić dało, dawniejsze akademie rolnicze z Uniwersytetami. W Galicyi wystąpił już przed kilkunastu laty dbały o dobro publiczne ś. p. Józef Szujski z takim wnioskiem; — idąc za nim umotywował to żądanie w r. 1884, w treściwéj rozprawie, umieszczonéj w Przeglądzie polskim, profesor Rostafiński. W r. 1887 była sprawa ta przedmiotem obrad ogólnego Zgromadzenia członków krakowskiego Towarzystwa gospodarskiego, które, uznając jéj ważność, wybrało, z członków komitetu i z grona profesorów wszechnicy komisyi celem ścisłego zbadania, o ileby wciągnięcie nauk rolniczych do studyów uniwersyteckich ze względu na stniejące w kraju stosunki było pożyteczném i możliwém. Odnośne sprawozdanie subkomitetu, wybranego z grona téj komisyi, skreśla całą rzecz w sposób tak wyczerpujący, iż komisya gospodarstwa krajowego przedłożyła je Sejmowi do wiadomości i ocenienia.

W obec treściwego fachowego wywodu, wykazującego nie tylko użyteczność, ale i całą organizacyą połączenia studyów agronomicznych z uniwersyteckiemi, uwzględniając przytem motywa, które hr. Mycielski w uzasadnieniu swego wniosku ze stanowiska ogólnego interesu kraju Sejmowi przedstawił—zgodziła się komisya gospodarstwa krajowego w zasadzie na wniosek hr. Mycielskiego.

Komisya gospodarstwa krajowego zwróciła uwagę na tę okoliczność, że posiadacze większych własności ziemskich mają równe jak wszystkie inne stany prawo do nabycia tych nauk, które dla ich zawodu są potrzebnemi. Uniwersytety kształcą wszechstronnie teologów, prawników, medyków i nauczycieli. Akademie techniczne dają sposobność wykształcenia się we wszystkich gałęziach techniki, po za tem zakładają się z niemałym kosztem specyalne szkoły dla przemysłowców i rękodzieł, napróżno jednak oglądamy się za instytucyami, któreby umożliwiły właścicielom ziemskim potrzebne dla ich zawodu wykształcenie. Naukowe zakłady agronomiczne, zwłaszcza w dotychczasowy sposób uorganizowane, nie zaspakajają bynajmniéj téj potrzeby. Tu nie chodzi jedynie o techniczne wykształcenie w rolnictwie i jego działach — tu chodzi o wykształcenie ludzi, na których ciążą obywatelskie obowiązki, którzy nie tylko ojczystéj ziemi chronić, ale przykładném gospodarstwem swym współbraciom przewodniczyć mają. Dać tym ludziom możliwość należytego wykształcenia, co jednak tylko połączenie z uniwersyteckiemi studyami

dać może, jest obowiązkiem państwa i kraju. Tak pojmują zapewne tę sprawę posłowie innych krajów, którzy się tego połączenia na posiedzeniu komisyi budżetowéj Rady państwa domagali. Wobec określonego powyżéj celu, o wydatkach dla państwa ztąd wynikających, mowy być nie może, a to tem mniéj, że według przedłożonego przez komitet preliminarza, wydatki bieżące tylkoby sumę zł. 19,800 wynosiły a nawet przy pewnych restrykcyach, według załączonego rachunku wnioskodawcy, do sumy 14,800 zł. zniżone byćby mogły. Zgadzając się w zasadzie z projektem przedstawionym, nie mogła jednak komisya gospodarstwa krajowego zgodzić się na alternatywę we wniosku hr. Mycielskiego wypowiedzianą, to jest: aby Sejm domagał się przynajmniéj zaprowadzenia kilku katedr dla wyższych nauk rolniczych przy wydziale filozoficznym z obowiązkiem odbywania kollokwiów lub egzaminów. Nauka bowiem uniwersytecka, jeżeli ma odnieść pożądany skutek, musi obejmować pewnym planem określoną całość—studya nie mogą się odbywać po dyletancku, a każdy, któremu wszechnica wyda poważne swe świadectwo odbytych nauk, musi przechodzić z równym postępem wszystkie tym planem wskazane stopnie i dać dowody swego uzdolnienia. Dla tego komisya gospodarstwa krajowego, zgadzając się z prospektem przez komitet w powyższém sprawozdaniu wyłuszczonym, uczyniła wniosek, aby Sejm wezwał c. k. rząd, aby przy uniwersytecie w Krakowie, względnie przy wydziale filozoficznym tego uniwersytetu, utworzył oddział rolniczy w myśl załączonego projektu subkomitetu krakowskiego Towarzystwa rolniczego.

Wbrew dowodzeniom, że nie ma tego złego do któregoby się natura ludzka przyzwyczaić nie mogła, pokazuje się, że obecne przesilenie ekonomiczne, tak ciążące dotkliwie nad wytwórczością wszechświatową, należy do rzędu klęsk, których usunięcie zajmuje w wysokim stopniu najpoważniejsze umysły. Zbadawszy naturę przesilenia, oceniwszy jego rozmiary, ekonomiści silą się obecnie na wyszukiwanie środków, mogących złe przeciąć i harmonią między podażą a popytem przywrócić. Projektowane reformy ujęte już w pewne systematy, zbyt są ciekawe byśmy o nich choć krótkiéj wzmianki na tém miejscu zrobić nie mieli.

Najpierwsze poszukiwania natury obecnego przesilenia, wskazywały na zmiany w systemach monetarnych, jako na główną przyczynę zachwiania się równowagi ekonomicznéj. Skutkiem przejścia niektórych krajów, jak Niemcy, Dania, Szwecya, Norwegia i Holandya do waluty złotéj, popyt złota a zatém wartość jego podniosła się znacznie, pociągając za sobą zniżkę ceny wszystkich towarów. Ilość złota, potrzebnego do zaspokojenia państw walutą tą się posługujących, nie odpowiada jego zapasom, znajdującym się w obiegu lub w ziemi, o ile świadomość ludzka o zapasach metalu w zie-

mi ma pojęcie. Podczas gdy na deprecyacyi srebra zyskały kraje, w których system waluty srebrnéj został utrzymany, jak np. Indye, większość krajów europejskich, wnoszących podatki i zobowiązania kredytowe w złocie, została przez tę nową reformę silnie dotkniętą. Zwolennicy bimetalizmu i waluty srebrnéj, domagają się tedy powrotu do podwójnéj waluty.

Wielce zbliżone są zapatrywania dwóch grup ekonomistów, którzy, nie wyszukując środków ratunku zewnątrz, w wewnętrznych reformach widzą sposób zapobieżenia dalszemu upadkowi ekonomicznemu. Pierwsza z nich utrzymuje, że w miejsce brania pod uwagę krajów obcych, należy zreformować produkcyą wewnętrzną, zastosować ją do potrzeb miejscowych. Tu przedewszystkiém należałoby ograniczyć nadprodukcyą przemysłową, co wpłynąć musi dodatnio na produkcyą rolniczą. W myśl tych poglądów spostrzegamy już, że np. liczne związki przemysłowe robotników (Gewerbvereine), oraz kartele przemysłowców, powstały w Niemczech w tym celu, by zniósłszy nadprodukcyą, zastosować ściśle wytwórczość do potrzeb miejscowéj konsumpcyi [1]). Druga z wyżéj wymienionych grup ekonomistów idzie nieco już daléj, wkracza w dziedzinę kwestyi socyalnych, i spodziewa się rozwiązania od reform wewnętrznych, bez potrzeby odwoływania się do międzynarodowych układów. Ekonomiści ci utrzymują, że produkcya nie jest za wysoka, ale konsumpcya za mała. Są to więc zwolennicy Rodbertusa, upatrującego przyczyny przesilenia w złym podziale dochodu narodowego. Szkoła ta wskazuje na niższe warstwy ludności, pozbawione możności zaspakajania częstokroć najniezbędniejszych potrzeb, żyjące w nędzy, zdane na łaskę i niełaskę wszechpotężnego kapitału. Nie należy więc szukać przyczyn przesilenia w zagranicznych stosunkach, ale polepszyć los warstw niższych, domagać się od państwa usunięcia wolnego współzawodnictwa, a wtedy produkcya znajdzie dostateczne ujście w potrzebach ludności miejscowéj, mającéj zapewnione wyższe środki utrzymania.

Nie tak radykalne są zapatrywania ekonomistów, wyprowadzających kwestyą na szersze pole stosunków międzynarodowych. Przyznając groźny charakter obecnego przesilenia, uważając go za wypływ nadprodukcyi, nie dążą jednak do jéj ograniczenia, lecz przedewszystkiém chcą jéj otworzyć nowe nieznane dotychczas drogi zbytu.

Pierwszy z tych systemów opiera się na otwieraniu zbytu produkcyi, za pomocą rozwiniętéj silnie polityki kolonizacyjnéj. Na czele owego ruchu stoją obecnie Niemcy, marzące o zdobyczach kolonialnych, jako o najwłaściwszém ujściu dla hyperprodukcyi, lecz patrząc na ich arogancyą i brutalność wątpimy, aby na téj drodze dojść mogły do rozstrzygnięcia kwestyi.

---

[1]) U nas według téj zasady powstał kartel cukrowników.

P. Bovet-Bolens („La fin de la crise" p. H. Bovet-Bolens. 1888), sądzi, że przesilenie nie jest następstwem hyperprodukcyi, lecz rozwielmożnionego protekcyonizmu, który od lat kilkunastu przyjęty został za system polityki ekonomicznéj większości państw całego świata. Udoskonalenie wynalazków, wprowadzenie maszyn, zastępujących pracę ręczną, wzmogły znacznie produkcyą, wzbogaciły państwa, lecz skutkiem podziału pracy, wzbogaciły je tylko w pewne specyalne wytwory. Mamy kraje, celujące doskonałością i bogactwem wyrobów przemysłowych, inne spotęgowały produkcyą rolniczą, ale każda z nich, odgrodziwszy się baryerą celną, nie korzysta z produktów państwa sąsiedniego. Ta walka ekonomiczna, ten system zawiści, rządzący polityką ekonomiczną narodów, jest najgłówniejszym powodem wszechświatowego kryzysu. Idea wolnego handlu, którą zachód Europy zaczął szerzyć ku pożytkowi ogólnemu, obaloną została przez potęgę, ze sprawami Europy niczém niezwiązaną, a jednak wywierającą potężny wpływ na układ ekonomiczny starego świata. Stany Zjednoczone Ameryki północnéj, po bratobójczéj wojnie, która zniszczyła ich finanse, postanowiły szukać ratunku w protekcyonizmie, chociaż uważały go za środek przejściowy. Naród młody i energiczny, ziemia dziewicza i żyzna, niezmierne skarby w łonie jéj nagromadzone, sprzyjały nadzwyczajnie wzmożeniu się miejscowéj wytwórczości, na każdém polu. Niebawem przemysł Stanów Zjednoczonych zakwitł, produkcya rolna wzrosła do olbrzymich rozmiarów, a stan ekonomiczny kraju i jego finanse na tym poziomie się znalazły, że wytwórczość, przewyższając zapotrzebowania wewnętrzne i tam już przesilenie nieznacznie wywołuje i bardziéj przewidujące umysły ku powrotowi do systemu wolnego handlu skłania.

Jednocześnie Europa, spostrzegłszy olbrzymie rezultaty, które Stanom Zjednoczonym dał protekcyonizm, nie zważając na różnice między Europą zachodnią a Ameryką, rzuciła się do naśladownictwa, wypowiedziała walkę wolnemu handlowi. Bovet gruntownie tłómaczy owe różnice; Stany Zjednoczone, równające się obszarem całéj Europie, stanowią jeden organizm ekonomiczny, na wewnątrz nie ścieśniony żadnemi ograniczeniami celnemi i wystarczający sobie najzupełniéj. Przeciwnie Europa, podzielona na różne państwa, za zasadę przyjęła walkę celną na wewnątrz, tamując swój handel i zamianę produktów. Dziś więc jesteśmy świadkami i ofiarami walki prohibicyjnéj, zainaugurowanéj przez Bismarcka, naśladowanéj przez Francyą i inne państwa europejskie, a w rezultacie doprowadzającéj do upadku i zastoju ogólnego.

W celu usunięcia konkurencyi amerykańskiéj i przywrócenia równowagi między wytwórczością a popytem Europy, radzą nowe szkoły ekonomistów środki następujące:

Jedni wypowiadają walkę Ameryce, chcą za pomocą koalicyi państw europejskich zmusić ją do przywrócenia dawnych stosunków,

równocześnie zaś sądzą, że jedynym punktem wyjścia dla Europy jest zniesienie ceł między państwami europejskiemi, oparcie się na wolnym handlu.

Oponenci atoli powyższych projektów, nie wierzący, ażeby takie zbiorowe wystąpienie dało się przeprowadzić, utrzymują, że skoro w szerszych rozmiarach sprawa uskutecznić się nie da, należy poprzestać na działaniu w mniejszym zakresie. W tym celu, ekonomiści, na których czele widzimy Kaufmanna i Castelara, radzą tworzenie się związków narodowych na podstawie etnograficznéj; moglibyśmy zatém mieć związki: słowiański, łaciński, germański, które w stosunkach wewnętrznych ustanowiwszy zupełną swobodę wymiany, zamieniałyby między sobą produkcyą swoję.

Przeciwko tym projektom występuje Bovet-Bolens, obierając za punkt wyjścia swoich praktycznych wywodów nie związki etnograficzne, lecz związki interesów. Słusznie dowodzi, że państwa spokrewnione z sobą lub sąsiadujące, częstokroć te same wytwarzają produkty, dla tego wspólności interesów już być tu nie może. Natomiast istnieją państwa, choć oddalone od siebie, lecz produkujące towary niejednakowe i dla tego między nimi wymiana może być prowadzona z korzyścią dla interesów obustronnych. Rozdział produkcyi może tu być w ten sposób urządzony, że państwa, tworzące związek konfederacyjny, we wszystkich kierunkach zaspakajać mogą swe potrzeby między sobą. Jako wzór takiéj konfederacyi stawia Bovet Anglią, Szwajcaryą, Holandyą, Hiszpanią i Portugalią, za których przykładem inne narody w związek wchodzić mogą.

Wreszcie wspomnijmy tu jeszcze o jednym poglądzie ekonomisty niemieckiego Wasserab'a, który w najświeższéj swéj pracy („Preise und Krisen"), o ile w konkluzyach ostatecznych nie dochodzi do rozwiązania, którebyśmy podzielać mogli, o tyle na naturę przesilenia zapatruje się bardzo poważnie. Wasserab twierdzi, że kryzys obecny nie jest objawem przechodnim; lecz uważa go za zastój stały, objawiający się przesileniem w zbycie i przesileniem pieniężném; pierwsze dotyka produkcyi, wymiany i podziału narodowego, drugie—zaznacza się podniesieniem wartości pieniędzy.

Wytwórczość zachwiała się skutkiem nagłego wzrostu produkcyi wielkiéj, któréj zadaniem jest wytwarzać jak najwięcéj, gdyż w ten sposób koszta produkcyi stają się mniejszemi. Nawet w obec istniejącego przesilenia, w obec spadku cen, wielka produkcya wytwórczości swéj nie zmniejsza, lecz podnosi ją wciąż, sądząc, że coraz większe obniżanie kosztów produkcyi zrównoważy do pewnego stopnia straty na cenach sprzedażnych.

Co się tyczy wymiany produkcyi, jéj obrotów, to olbrzymie udoskonalenia komunikacyjne, taniość frachtów i pośpiech przesyłki, powoduje eksport towarów z krajów bardzo nawet oddalonych, ale produkujących tanio. W ten sposób rolnicy europejscy znaleźli się pod naciskiem konkurencyi za-oceanowéj, która tak ciężkie wyrządza

im straty. Błędność podziału dochodów narodowych upatruje Wasserab, na wzór Rodbertusa, w słabéj konsumcyi ludności roboczéj, nisko płatnéj, źle się odżywiającéj. Określiwszy w ten sposób naturę i przyczyny przesilenia, Wasserab widzi ratunek w obaleniu monopolu kapitału, zabójczego dla drobnych przedsiębiorstw. Właściciele wielkich zakładów przemysłowych, wiedząc, że w ich ręku jest panowanie nad położeniem ekonomicznem, powściągnęli konkurencyą wzajemną a natomiast zawiązują między sobą kartele, czyli stworzyli monopol rujnujący drobnych przedsiębiorców, uciążliwy dla konsumentów. Radzi więc autor, żeby w obec potęg takiego monopolu, którego nie mogą obalić ani indywidualne ani zbiorowe prywatne przeciwdziałanie, państwo interweniowało w téj sprawie, tworząc obowiązkowe związki wytwórcze pod swojém kierownictwem. Rada ta i niemożliwa na razie i w niczém położenia nie zmieniająca. Kapitał jest dziś za wielką potęgą, by nawet państwo, poddające się niejednokrotnie jego wpływowi, mogło tak łatwo obalić wielkie a zmonopolizowane przedsiębiorstwa; następnie, z punktu widzenia interesów ogólnych, w miejsce monopolu prywatnego, mielibyśmy monopol państwowy i konsumenci z deszczu wpadliby pod rynnę...

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Do większych księgozbiorów w kraju naszym, zaliczyć można bibliotekę seminaryum w Sandomierzu. „Gazeta Radomska“ ogłasza o niéj wiadomości następujące: „Biblioteka mieści się w gmachu seminaryjskim, w jednéj wielkiéj sali w oficynie na piętrze i zajmuje 29 obszernych szaf. Cała biblioteką podzielona jest na 13 głównych działów, z których 6 obejmuje nauki kościelne, drugie sześć nauki świeckie; do ostatniego działu należą także dzieła encyklopedystyczne. Prócz tego jednę całą szafę zapełniają rękopisy, atlasy i karty geograficzne. Biblioteka składa się z księgozbiorów tych klasztorów, które w roku 1866 zamknięte zostały. Ocalając te skarby wiedzy od zatraty i zniszczenia, z polecenia komisyi rządowéj książki zwiezione zostały do biblioteki sandomierskiéj przez księdza Gackiego. Największy zbiór dzieł naukowych przedstawia nam katalog z biblioteki księży Pijarów z Radomia. Ogólna suma tytułów dochodzi do 2,500. Zaznaczyć też należy, że prawie wszystkie wydawnictwa peryodyczne, jakie posiada biblioteka seminaryjska, pochodzą z księgozbioru księży Pijarów. Niemniejszéj wartości, choć w mniejszéj cyfrze, jest księgozbiór, pochodzący z biblioteki reformackiéj w Sandomierzu. W spisie znajduje się 1,660 dzieł prawie wyłącznie treści religijnéj; książki wszystkie w skórę oprawne i dokładnie ponumerowane, podług litery porządkowéj. Spis książek po Bernardynach w Radomiu pozostałych, obejmuje 1655 tytułów. Nie wiadomo zkąd pochodzą antyfonarze wielkich rozmiarów, pisane na pergaminie w XVI wieku. Prócz tego przywiezione zostały księgozbiory księży Filipinów ze Studzianny, ks.ks. Franciszkanów ze Smardzewic, ks. ks. Reformatów z Solca, ks. ks. Bernardynów z Kazanowa, Opatowa i inne mniejsze zbiory, jak z Zawichosta, Rytwian i Łysèj Góry. Wszystkie zwiezione książki złożone zostały w jednem miejscu, trzeba je więc było ułożyć w jeden katalog i tego właśnie dokonali profesorowie seminaryum: ks. A. Knothe, ks. Kukliński, ks. Banaszkiewicz i ks. Piotrowicz. Cały zbiór przywiezionych książek spisany został i utworzył ogółem około dwunastu tysięcy tytułów dzieł, a piętnastu tysięcy tomów. Pomiędzy rękopismami najstarszy pochodzi z XV wieku. Nowsze utwory piś-

miennictwa w stosunku do dawnych w skromnéj występują liczbie, gdyż brak funduszów nie pozwala na zakup dzieł, drukowanych w ostatnich czasach.

Pamiętnik Towarzystwa literackiego im. Ad. Mickiewicza, pod redakcyą Romana Pilata, rocznik II. Lwów, nakł. Tow. Gubrynowicz i Schmidt, druk E. Winiarza 1888, w 8-ce, str. 382 i 1 nl. z portretem Mickiewicza: I. Rozprawy: „Estetyczno-krytyczne poglądy Ad. Mickiewicza," przez d-ra p. Chmielowskiego (str. 3—34); Dramat Mickiewicza „Konfederaci barscy," przez d-ra Ad. Bełcikowskiego (str. 35—65); „Nieznane szczegóły z nauki Andrzeja Towiańskiego, przez d-ra Wł. Nehringa str. (66—94); „Reminiscencye w Panu Tadeuszu z Homera, Wergiliusza i Tassa," przez W. A. Bruchnalskiego (str. 95—124). II. „Miscelanea." przez d-ra R. Pilata, Wł. Bełzę, d-ra Z. Hordyńskiego, d-ra A. M. Wernera, Fr. Konarskiego, hr. W. Baworowskiego, d-ra A. Zippera, A. Sienickiego, d-ra E. Ogonowskiego, d-ra Chr. Kessiakowa, Fr. Kreczka, Chr. Ładzica i Wł. Wszelaczyńskiego. III. „Korespondencye, wspomnienia, pamiątki," przez d-ra L. Finkla. Maryą z Mickiewiczów Gorecką, Wł. Bełzę, Witolda Marczewskiego i d-ra R. Pilata. IV. „Recenzye i sprawozdania," przez Wł. Bełzę, d-ra L. Kurtzmana, d-ra J. Kalenbacha, J. Amborskiego, d-ra A. Zippera, J. A. Święcickiego, W. A. Bruchnalskiego, H. Kopię, d-ra Z. Hordyńskiego, d-ra Wł. Spasowicza, d-ra L. Finkla, Al. Kraushara, E. Pawłowicza, Fr. Konarskiego, A. Sienickiego, d-ra R. Pilata, d-ra J. Tretiaka, M. i M. Mazanowskiego. V. „Bibliografia o Adamie Mickiewiczu za r. 1887," przez Maurycego Stankiewicza (str. 323—331). VI. „O wizerunkach Ad. Mickiewicza," przez Leopolda Méyeta (str. 332—368). VII. Kronika: „Obchody rocznicy zgonu Ad. Mickiewicza," przez H. Kopię. VIII. „Sprawodanie z czynności Tow." Spis członków.

Szkic historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od zawiązku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześciańskiéj, napisał Antoni Narkiewicz Jodko." Pod tym tytułem ukazało się pierwsze w naszém piśmiennictwie obszerniejsze dzieło, poświęcone sztuce narodów starożytnych oraz współczesnych nam ludów dalekiego Wschodu. Dzieło P. A. N. Jodko, obejmujące powszechne dzieje malarstwa od jego początków aż do naszych czasów, stanowi oddzielną całość. Autor stara się tu obznajmić czytelnika z rozmaitemi fazami artystycznego rozwoju ludzkości, od pierwszego zawiązku społeczeństw aż do dni naszych, z pominięciem tylko sztuki chrześciańskiéj, o któréj zamierza traktować w dalszych tomach swego dzieła. Dotknąwszy kultury człowieka przedhistorycznego, dzikich plemion, zaludniających dotychczas Oceanią, Afrykę i Amerykę, potężnych ludów wschodniéj

Azyi oraz starożytnych narodów, których dzieje gubią się w pomroce wieków, autor nie ogranicza się na saméj tylko sztuce, ale na podstawie najnowszych źródłowych badań znakomitych uczonych rozmaitych narodów, usiłuje przedstawić dokładny obraz historyi, cywilizacyi, religii, literatury i materyalnego rozwoju ludów, któremi się zajmuje. Dzieło składa się z trzech dużych tomów, ozdobione jest przeszło 600 ilustracyami najznakomitszych pomników, dzieł sztuki, narzędzi przemysłu artystycznego, a nadto opatrzone jest dokładnym skorowidzem, ułatwiającym poszukiwania. Tom I zawiera obraz człowieka przedhistorycznego, podział ludzkości na rasy, streszczenie zarodków kultury u rasy czarnéj, brunatnéj i czerwonéj, opisanie zaginionych cywilizacyi Meksyku i Peru, oraz dzieje, moralny i materyalny rozwój dwóch najpotężniejszych ludów rasy żółtéj, a mianowicie Chińczyków i Japończyków. Tom II-gi obejmuje historyą i kulturę narodów starożytnych pochodzenia chamickiego i semickiego: Egipcyan, Fenicyan i Kartagińczyków, Babilonu, Assyryi, Azyi Mniejszéj, Hebrajczyków i Arabów. Tom III, nakoniec, poświęcony ludom aryjskim, opisuje sztukę Medyi, Persyi, Indyi, Khmeru, Etruryi, Grecyi i Rzymu. W ten sposób stanowi to dzieło rodzaj dopełnienia historyi starożytnéj, gdyż oprócz wyczerpującego studyum o sztuce przedchrześciańskiéj, czytelnik znajdzie tu w streszczeniu wyniki najnowszych badań uczonych Zachodu w dziedzinie archeologii, etnografii i historyi.

Sztuka polska zaczęła się rozwijać ostatniemi czasy z niezaprzeczoną siłą i samodzielnością, a jednocześnie literatura nasza wzbogaca się codziennie dziełami treści artystycznéj i archeologicznéj, poświęconemi prawie wyłącznie pamiątkom narodowym. Szerszy wszakże ogół publiczności nie dosyć żywo zajmuje się i interesuje podobnemi pracami, gdyż brak mu do tego należytego przygotowania i specyalnego wykształcenia, które można tylko osiągnąć przez poznanie całego zakresu sztuki, jéj kolebki i jéj powolnego rozwijania się w biegu wieków. Temu to brakowi usiłuje zaradzić autor dzieła, o którém mówimy. Wydawnictwo, w formacie dużéj ósemki, na pięknym papierze, o wykwintnym druku, bogato illustrowane, starannością wykonania staje w rzędzie najpiękniejszych wydawnictw zagranicznych. Ze względu na ważność przedmiotu, pragnęlibyśmy nieco przejrzystszego planu w zestawieniu tak kolosalnego materyału, bo w tak szerokim wykładzie nieprzygotowany czytelnik nie łatwo całość objąć zdoła. Erudycyi nie można zaprzeczyć autorowi; ale wcale większéj przejrzystości pożądanym byłby wykład więcéj logiczny. Język i styl jest w ogólności poprawny i naturalny; dla tego uderzył nas zwrot taki jak: „w wykładzie... przytrzymywałem się programu“; „rozmiłowując się w tym przedmiocie“; „w ramach wulgaryzacyi“; „inteligencya zatrzymaną byłaby co chwila brakiem dostatecznych materyałów“; — „powiązanie (wiadomości) na tyle, ażeby szkic“; wiadomości... „zaczerpniętych w najpoważniejszych źró-

dłach“ (zam. u najpoważniejszych źródeł).— Cały czysty dochód ze swéj pracy przeznacza autor na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Ks. Stanisław Załęski wydał w Krakowie obszerne dzieło pod tyt.: „O masonii w Polsce od r. 1724—1822, na źródłach wyłącznie masońskich.“ Krak. 1889, str. IV+372., XXXIV z 8-ma ilustracyami. Książka ks. Załęskiego jest pierwszą pracą poważną o tym przedmiocie, pracą, opartą na źródłach autentycznych. Ks. Z. nie zamierzył polemizować i zwalczać masonii, ale cel książki jego jest wyłącznie historyczny; autor chciał nam „odsłonić jednę nieznaną dotąd kartę dziejów religijno-umysłowego życia w Polsce..., aby czytelnik przekonać się mógł, że i polska masonia, pomimo swego łagodnego charakteru była instytucyą na wskroś niechrześciańską, a tem samém szkołą niewiary, która znów musiała wytworzyć ducha niesforności politycznéj.“ Gazeta „Słowo“ z r. b. podała obszerne wyciągi z tego dzieła w swoim odcinku w n-rach 11, 12, 13, 14, 21, 22, 24, 27.

Nakładem kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego wyszło dzieło uczonego starożytnego lekarza Korneliusza Celsa „O lecznictwie ksiąg ośmioro“ w przekładzie prof. d-ra Łuczkiewicza. Przekład starożytnego lekarskiego klasyka ma wielkie znaczenie dla historyi medycyny, uzupełniającéj wykształcenie naukowe lekarza. Jak jurysprudencya nie może się obejść bez znajomości prawa rzymskiego, tak ukształcony naukowo medyk powinien poznać starożytny świat lekarski, by tém racyonalniéj i bez uprzedzenia mógł ocenić dzisiejszy postęp wiedzy lekarskiéj.

Tom VIII „Pamiętnika Fizyograficznego,“ zawiera następujące prace: Dział I. Meteorologia i hydrografia. Wypadki spostrzeżeń meteorologicznych, dokonanych w roku 1887 na stacyach meteorologicznych, urządzonych staraniem Sekcyi II oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.—Wykaz spostrzeżeń fenologicznych, nadesłanych do redakcyi „Wszechświata“ za rok 1887.—A. Pietkiewicz. Krzyżownice wiatrów w Warszawie. Dział II. Geologia z Chemią. J. Siemiradzki. Sprowozdanie z badań geologicznych, dokonanych w lecie 1887 roku w okolicach Kielc i Chęcin.—A. Michalski. Zarys geologiczny południ.-zachodniéj części gub. Piotrkowskiéj.—Tenże. Sprawozdanie przedwstępne z badań, dokonanych w południowéj części gub. Radomskiéj. —Tenże. Sprawozdanie z badań geologicznych, dokonanych przy budowie dróg żelaznych: Brzesko-Chełmskiéj i Siedlecko-Małkińskiéj.—Br. Znatowicz. Rozbiory chemiczne wody z rzeki Wisły, dokonane w ciągu roku 1888. Dział III. Botanika i zoologia: K. Łapczyński. Roślinność kilku miejscowości krajowych. — Fr. Błoński, K. Drymmer i A. Ejsmond. Sprawozdanie z wycieczki botanicz-

néj, odbytéj do puszczy Białowieskiéj w lecie 1887 roku.—Fr. Błoński. Materyały do flory skrytokwiatowéj krajowéj. Wątrobowce Królestwa Polskiego (Hepaticae Polonicae). — J. Paczoski. Spis roślin, zebranych w 1887 r. w powiecie Hrubieszowskim gub. Lubelskiéj. — M. Twardowska. Dodatek do spisu roślin znalezionych w okolicach Szemetowszczyzny na Litwie. Dodatek do przyczynku do flory Pińszczyzny. — A. Wrześniowski. O trzech Kiełżach podziemnych. — Wł. Taczanowski. Spis ptaków Królestwa Polskiego, obserwowanych w ciągu ostatnich lat piędziesięciu. — O. Bujwid. Wyniki bakteryologicznych badań wód m. Warszawy. — Fr. Błoński. Dodatek do spisu Wątrobowców Królestwa Polskiego. Dział IV. Antropologia. T. Dowgird. Pamiątki z czasów przedhistorycznych na Żmujdzi. Mełżyn-Kapas w folwarku Wizdergi. Opis robót, dokonanych na tém cmentarzysku w roku 1884 i 1885. Dział V. Miscellanea. Z. Gloger. Wyciągi z dziejów polskich Długosza, dotyczące fizyografii dawnéj Polski. Tom VIII zawiera str. XX, 684 i 27 tablic litografowanych oraz drzeworyty w tekscie. Prenumeratę na tom IX w ilości rs. 5 w Warszawie, a rs. 5 k. 50 z przesyłką, przyjmuje wydawnictwo Pamiętnika Fizyograficznego, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście, 66. Nabywcy t. VIII mają prawo kupować tomy z lat poprzednich po cenie prenumeracyjnéj.

Drukującego się nakładem Akademii Umiejętn. w Krakowie „Atlasu geologicznego Galicyi“ opracowanego przez dr. Rudolfa Zubera wyszedł w r. z. zeszyt 2-gi, zawierający 6 kart chromolitogr., wykonanych w zakładzie wojskowo-geograficznym w Wiedniu, 1888, fol. Skala 1:75,000. Znachodzimy tu tablice, przedstawiające okolice następujące: tabl. XII, 10 (Nadwórna); XII, 11, (Nikuliczyn); XII, 12 (Żabie); XIII, 11 (Kuty); XIII, 12 (Krzyworuda); XII, XIII, 13 (Popadia-Hryniawa). — Tekst objaśniający te tablice wyszedł równie w Wiedniu nakładem Wydz. krajowego oraz Akademii Um.—1888, str. 120 z V-ma tablicami.

„Wisły“ zeszyt 4-ty tomu II-go zawiera artykuły następujące: Ludzie i kwiaty nad Niemnem, p. E. Orzeszkową. — Nazwy geograficzne, p. d-ra Nadmorskiego. Jest to studyum poważne, ściśle naukowe, dobrym napisane językiem, świadczące o gruntownéj wiedzy autora na polu dzisiejszych badań geograficznych.—Szopka w Kornicy, p. M. Janczuka. O szlachcie drobnéj — p. T. Ruppertową. Polskie podania ludowe, spokrewnione z legendą o św. Grzegorzu—p. J. Bystronia. Polska „Schneewitchen“—p. tegoż. Nieco ze statystyki—p. Andrzeja S. (dok.). Prawne zwyczaje ludowe—p. W. Siarkowskiego. Dwie pieśni litewskie o Chodkiewiczu. Zdobycze naukowe etnografów amerykańskich, zwłaszcza Morgana — p. L. Krzywickiego. Podanie o Madeju—p. J. Karłowicza. Święta Bożego Narodzenia w Radłowie—p. Z. Glogera. Brzoza grzyżyńska —p. J. Karłowicza. Odrzwia i otoki okien—p. W. Gersona. Gó-

ral tatrzański p. tegoż. Poszukiwania. I. Zimny dziad. II. Nasz obszar etnograficzny. III. Mętowanie. IV. Chata V. Przysłowia. VI. *A* pochylone. VII. Dożywocie VIII. Pismo obrazowe. Bibliografia, krytyka i wiadomości bieżące.

Zeszyt 109 „Słownika Geograficznego“ który wyszedł z druku rozpoczyna X tom tego pożytecznego wydawnictwa, które stanowi nie wyczerpaną kopalnią geograficznych wiadomości, mianowicie na ogromnym obszarze ziem dawnéj Rzpltej polskiéj. W 1-szym zeszycie rozpoczętego co tylko tomu X-go czytamy między innemi monografie następujących miejscowości głośniejszych: Ruś, Ruszcza, Rutki, Rużyn, Rybnik, Rybno, Rychbach, Rychnowo, Rychwał, Rychwałd.

P. Stanisław Bełza, znany autor wielu dziełek prawniczych i podróżniczych, opisał obecnie p. t. „Odgłosy Szkocyi“ swoję podróż po téj części królestwa wielko-brytańskiego. (Kraków, Gebethner i S-ka, 1889). Książka, ozdobiona dziewięcioma bardzo udatnemi ilustracyami, czyta się nader zajmująco, autor bowiem ubarwił swoje opisy wieloma wspomnieniami historycznemi.

„Przewodnik naukowo-literacki,“ dodatek bezpłatny do „Gazety Lwowskiéj,“ w zeszycie za miesiąc styczeń zawiera następujące artykuły: 1. „Zatarg wołyński 1859 r.“ przez dr. Antoniego J. 2. „O obecném prawie wojny lądowéj,“ przez d-ra Gustawa Roszkowskiego. 3. „Dante, jako obrońca i twórca jednolitéj mowy ojczystéj,“ przez dr. Teofila Ziembę. 4. „Historya przychodów z ziemi,“ przez dr. Władysława Piłata. 5. „Nieborów i Puławy w pierwszych latach po ostatnim rozbiorze Polski,“ przez R. 6. „Jaśliska, miasteczko i klucz biskupów Przemyskich,“ przez dr. Antoniego Prochaskę. 7. „Spinoza, rozbiór krytyczny,“ przez dr. A. Raciborskiego. 8. „Kronika literacka.“

Lekceważenie czystości języka i poprawności stylu polskiego przez prasę codzienną, zatacza coraz większe koło swego karygodnego postępowania, bo sięga już do literatury książkowéj, nie tylko w przekładach z języków obcych; ale, co najgorsza, nawet i w podręcznikach szkolnych, edukacyjnych, które ten jad przelewają do umysłów uczącéj się młodzieży, tak, że ona późniéj nie może się już zdobyć na poczucie czystości mowy i poprawności stylu polskiego. W obec wzmagającéj się tak potwornéj anarchii w rozwoju indywidualności umysłowéj społeczeństwa polskiego, odzywają się coraz częstsze głosy, ostrzegające o trujących sokach tego chwastu najjadowitszego. Jedni, idąc za przykładem (nie wszędzie godnym naśladowania) Skobla, zwracają uwagę wyłącznie na pojedyńcze wyrazy; drudzy zaś, jak np. Walicki, sięgają nieco szerzéj, bo zwracają uwagę i na wadliwość budowy okresów, kon-

strukcyi i t. p. Mało jednak zwraca się dotychczas uwagi na lekceważenie Składni polskiéj, budowy okresów i składni szyku, który, jakkolwiek jest w naszym języku swobodny, gdy go nie wodzi na manowce wpływ języków obcych; to żaden pisarz nie powinien jednak o tém zapominać, że szyk wyrazów w zdaniu nie może obrażać zasad przyrodzonego, logicznego następstwa myśli polskiéj. Nie możemy w tém miejscu powtarzać szerszego naszego poglądu na tę kwestyą, którąśmy z powodu dziełka p. Aleks. Walickiego szczegółowo omówili (Zob. Bibl. Warsz. 1886, t. III-ci, str. 151—153); lecz dla ciągłości bibliograficznéj zwracamy uwagę na dwie prace, które się w ostatnim czasie w téj sprawie pojawiły. Józef Bliziński wydał broszurę p. t. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe.“ (Kraków, 1888, str. 79) w któréj zebrał wiązkę wyrażeń pochodzenia cudzoziemskiego, zanieczyszczających nasz język i ogłosił je w porządku abecadłowym z wskazaniem źródła lub samego winowajcy. Po hałaśliwéj w pierwszéj chwili szermierce polemicznéj potrąconych przez P. Bl. autorów warszawskich, ogłosił p. K. P., Członek—Redaktor Bibl. Warszawskiéj, spokojne sprawozdanie z broszury p. J. Bl. w osobnéj pracy (Kraków, 1888. Str. 19), która, uzupełniając spostrzeżenia p. Bl. prostuje jednostronne niekiedy poglądy autora. P. K. P. przyznając p. Blizińskiemu najzupełniejszą słuszność, gdy oburza się na takie dziwolągi jak: *agrawować*, *aparacya*, *aryerowanie*, *awityczny*, *demolować*, *dezawuować*, *eszafować*, *fruktyfikować*, *lukratywny*, *niuansować*, *preweniencya*, *szokować*, *arrogować*, *autorytatywnie*, *inwolwować*, *ekspansya*, *propensya*, *kasserola* i wiele innych, z ogólnéj liczby 150-u przez Blizińskiego w dziennikarstwie polskiém wyłowionych, wskazuje zarazem na przyczyny tego zanieczyszczenia naszego języka i widzi je szczególniéj w odmiennych procedurach administracyjnych i sądowych, wprowadzających cały zasób różnych technicznych wyrażeń — a więc, między innemi, w germanizmie i w kameralnéj łacinie, które zalały W. Ks. Poznańskie i Król. Galicyi wraz z W. Ks. Krakowskiém. Nie broniąc tych chwastów, domaga się jednak p. K. P. pewnéj pobłażliwości dla niektórych ucierających się wyrażeń, szczególniéj w polityce, które muszą pozostać nietylko w dziennikarstwie, ale i w poważnych specyalnych dziełach jak np. *nota*, *kongres*, *dyplomacya*, *ultimatum* i t. p. Podobnież uprawnia p. K. P. takie wyrazy techniczne, jak *fiasco*, *cors de balet* (byle tylko pisano *corps de balet*), wreszcie: *solo*, *tenor*, *primadonna*, *brawo*, których jedném określeniem zastąpić niepodobna. Najciekawszą jest końcowa część broszurki p. K. P., w któréj, nie broniąc wielu chwastów, wyjaśnia jednak autor właściwe znaczenie kilkunastu z tych obcych wyrażeń, które u nas zupełnie fałszywie są stosowane i których nawet Bliziński w broszurce swéj jasno nie pojął. Odnosi się to przedewszystkiém np. do angielskiego *high-life*, które u nas brane jest powszechnie za jedno z *arystokracyą*, gdy tymczasem, według objaśnień autora, oznacza: „nowożytne towarzystwo wielkoświatowe, międzynarodowe i złożone z przedstawicieli wszyst-

kich warstw społecznych, byle tylko byli bogaci i wydawali pieniądze na świetne życie zewnętrzne; oraz wszelkie znakomitości literackie, artystyczne, sportowe i t. d., które spotyka się na wyścigach, publicznych zabawach, u modnych wód i t. p." Równie niewłaściwie używane jest u nas wyrażenie: *blamować się*, o którém p. K. P. pisze: „Jest to jeden z najokropniejszych gallo-germanizmów, burszowskie wyrażenie, użyte w sposób gramatycznie wstrętny, bo po francuzku *blâmer* znaczy *ganić*, a *se blâmer*: *ganić siebie*, nigdy więc: *skompromitować się* lub *zasłużyć na czyjąś naganę*." Takich pożądanych wyjaśnień znajdujemy w broszurce p. K. P. kilkanaście, autor zaś kończy uwagą, że „należy się porozumieć i organ jaki poważny wytworzyć, aby za jego pośrednictwem pracować nad utrzymaniem czystości języka, bo gdy gdzie polskim językiem pisać wolno, to i *dobrze* nim pisać wolno."

Nowe pismo specyalne. Numer pierwszy zapowiadanego od dłuższego czasu miesięcznika p. t. „S p o r t" pod redakcyą p. Michała Romiszowskiego, przedstawia się niemal okazale. Redakcya, idąc za wzorem pism zagranicznych dobrze zrozumiała przeznaczenie takiego pisma, gdy w organie tym postanowiła zjednoczyć wszystkie gałęzie sportu. Program obejmuje: wyścigi i hodowlę koni w kraju i zagranicą, myślistwo, rybołóstwo, gimnastykę, wioślarstwo, cyklistykę, fechtunek i inne ćwiczenia ciała, oraz artykuły, dotyczące życia towarzyskiego i artystycznego, gier towarzyskich, wreszcie heraldyki i mody. Dla wszystkich tych dziedzin znalazło się miejsce w tym pierwszym numerze, w specyalnych artykułach, poświęconych: ogólnemu sprawozdaniu z tegorocznych wyścigów konnych, zamknięciu przystani Towarzystwa wioślarskiego, ruchowi w klubie cyklistów i t. p. Ciekawym jest artykuł wstępny dr. Teofila Belke p. t. „Znaczenie sportu." W artykule „Myślistwo" podaje p. J. B. sposób zastępowania kul loftkami zalewanemi woskiem, a w artykule p. t. „Uwagi hygienisty" rozbiera dr. Zejdowski znaczenie gimnastyki dla zdrowia cielesnego. Z ilustracyj znajdujemy tu portret wsławionego ogiera hr. Krasińskiego „Rulera" wraz z jego rodowodem; portret świetnego psa myśliwskiego „Baca," wreszcie ilustracye i portrety, odnoszące się do artykułu o Towarzystwie wioślarskiém. Nie zapomniano też o modach, zarówno damskich, jak i męzkich; podano treściwą „Kroniczkę towarzyską," sprawozdanie z tegorocznego „Strzelania do gołębi" (tir aux pigeons) na polach Mokotowskich, a nakoniec poświęcono trochę miejsca i sztuce kulinarnéj. Na literacką część numeru złożyły się: wierszyk Bożydara p. t. „Cheos" — dyalog Jasieńczyka „Niech ciocia wybiera" — wreszcie felieton W. Gomulickiego p. t. „Z krainy piękna malowanego." Pod względem wydawniczym „Sport" przewyższył nawet podobne czasopismo wiedeńskie. Nowy ten organ ukazywać się ma w połowie każdego miesiąca, w razie potrzeby z dodatkami okolicznościowemi.

Nekrologia.

† Dnia 5-go stycznia, zmarł w Gorycyi (Graz) **Konstanty Schmitt-Ciążyński**, znany zbieracz zabytków i antykwaryusz. Urodzony w r. 1815-ym w Warszawie, był synem lekarza przybyłego tu z Lotaryngii po upadku Napoleona, którego był wiernym sługą. Trzymany do chrztu przez W. Ks. Konstantego, którego imię nosił, wysłany był po skończeniu szkół tutejszych do Petersburga, gdzie zaczął zbierać kamee i osobliwości. Podczas długiego pobytu swojego za granicą kontynuował gromadzenie swych kosztowności, a zgromadziwszy, wiele nader cennych przedmiotów (gemm i kamei) sprzedał ten zbiór wspaniały do Muzeum narodowego w Krakowie za dożywotnią rentę, którą w ilości 3,600 złr. odbierał. Opis tych skarbów ogłosili drukiem Estrejcher i Grzegorzewski, prócz tego wzmiankę o nich znajdujemy w angielskim katalogu Zeidlitza.

† W pierwszych dniach stycznia umarł w Wilnie ś. p. **Julian Korabita-Laskowski**, literat i dziennikarz. Urodzony w Warszawie w r. 1826-ym, po ukończeniu szkół miejscowych, a potem kursów prawnych, poświęcił się ś. p. Julian rolnictwu. Od r. 1870-go przebywał w Warszawie, gdzie dał się poznać rodzinie hr. Przezdzieckich i otrzymał posadę w szpitalu wileńskim ich imienia. Za młodu pisał poezye, które wydawał pod pseudonimem „Bandurzysty Korabicza," a odbywając studya nad ludem białoruskim, wydał o nim kilka monografii. Podczas pobytu w Warszawie zasilał „Gazetę polską" artykułami ekonomicznemi, a w r. 1876-ym drukował kilka większych prac w pismach codziennych w kwestyach ziemiaństwa. Był stałym współpracownikiem „Gazety świątecznéj," a późniéj redagował „Echo łomżyńskie." Pod pseudonimém Marcina Mizery, wydał kilka książeczek popularnych dla naszego ludu w kwestyi fatalnéj emigracyi do Ameryki, przeciwko któréj wymownem słowem występował. Cześć jego pamięci!

† W pierwszéj połowie stycznia 1889 r. zmarł w Żytomierzu ś. p. **Mikołaj Sarnecki**, literat, współpracownik poważniejszych wydawnictw warszawskich. Urodzony w Równie 14-go grudnia 1832

r., po ukończeniu szkół w gimnazyum żytomierskiém, przeniósł się, jako plenipotent książąt Sanguszków do Zasławia. Zaprzyjaźniony z Kraszewskim, zasilał jego „Przegląd europ.“ oraz „Gazetę polską,“ co też otworzyło mu wrota do szerokiego współpracownictwa w „Tygodn. ilustr.“, „Przyjacielu dzieci.“ Od r. 1868, pozyskawszy posadę na kolei mieszkał przez czas niejaki w Warszawie, nie ustając w swoich pracach literackich. Z większych prac jego literackich wymieniamy: „Studyum o Szewczence“ i komedyą „Polowanie.“ Kolega i przyjaciel Sowińskiego, z którym, odbywał studya w uniwersytecie kijowskim, skreślił sprawozdanie z prac jego. Cześć jego pamięci!

† Dnia 23 stycznia 1889 r. zmarł w Santjago, w Ameryce południowéj, przybyły niedawno z ojczyzny sędziwy rektor uniwersytetu chilijskiego, **Ignacy Domeyko**. Zmarł tam, gdzie całe życie swoje pracował, w krainie Chilijskiéj, któréj rozwój i świetne dziś stanowisko w rzędzie państw cywilizowanych Ameryki, w wielkiéj części jego jest dziełem. Z nim ubył też z pomiędzy żyjących jeden z najserdeczniejszych druhów Adama Mickiewicza, świadek zdarzeń filomackiéj doby uniwersytetu wileńskiego i czynny towarzysz wszelkich téj epoki i późniejszych wypadków. Z nim zgasła też prawdziwa gwiazda w dziedzinie nauki przyrodniczéj, wzór pracowitości i miłości wiedzy, a zgasła z tém większém dla nas bólem i żałobą, iż rozsiewała blaski nauki polskiéj i imienia polskiego po całym świecie, świadcząc i na polu umiejętności ścisłéj o żywotności narodu, który go wydał. Działalność Domeyki oraz szczegółowe przygody życia niemniéj i szereg dzieł poważnych, któremi naukę wzbogacił podczas swojéj 88 letniéj pielgrzymki ziemskiéj, znają czytelnicy „Bibl. War.“ z obszernéj biografii, którąśmy drukowali w „Bibliotece Warsz.“ 1888, zesz. maj i czerwiec. Pracować nie przestał do chwil ostatnich. W najnowszych zeszytach „Kroniki rodzinnéj“ ogłosił urywki ze swego „Pamiętnika.“ Podróż, w którą się wybrał celem odwiedzenia syna, zajmującego stanowisko profesora w Sant Jago, miała być ostatnią, gdyż po niéj zamierzał osiąść stale w ojczystéj swojéj Litwie, przy córce i tu chciał „kości swe złożyć.“ Opatrzność zrządziła inaczéj. Zapadłszy w Valparaiso w chorobę, nie powstał więcéj z łoża boleści. Zmarł tam, gdzie życie całe przewalczył dla dobra bliźnich i chwały nauki. Cześć jego pamięci!

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.
Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumerata „Biblioteki Warszawskiéj“ na rok 1889-y wynosi W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs.	10	kop. —
Półrocznie . . .	„	5	„ —

w Warszawie zaś:

Rocznie	„	9	„ —
Półrocznie . . .	„	4	„ 50
Kwartalnie . . .	„	2	„ 25

Upraszamy o prenumeratę wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, Nowy - Świat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiéj akuratną ekspedycyą pisma. Równocześnie prosimy o **wczesne** nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziem, ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiéj“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające	1	całą stronicę	formatu Bibl. Warsz.	rs.	5
„ „	1/2	stronicy	„ „	„	3
„ „	1/4	„	„ „	„	2

Przegląd katolicki.

Z dn. 7-go lutego 1889-go r. Nr. 6 zawiera artykuły następujące: Myśli ludzkie o rzeczach Bożych. (Wiara i tajemnice religii).— Goethe w świetle najnowszych badań. Pierwszy minister. Niemiecki patryota. Dyrektor teatru. Uniwersalny uczony. (d. c.) — Trzy żywoty kapłanów. Śp. ks. Władysław Żukowski.— ***Notatki z prassy peryodycznéj.*** Żyd w wiosce. — Z wycieczki na Jasną Górę. — Szkodliwość pijaństwa i palenia tytoniu. — ***Kronika kościelna krajowa.*** Z powodu cudownego ocalenia życia Ich Cesarskich Mości.—Zmiany zaszłe w Archidyecezyi Warszawskiéj. — Z Kretyngi. Śp. ks. Jan Dargiewicz. — ***Kronika kościelna zagraniczna.*** Francya. Miłość chrześciańska.—Rzym. Encyklika „Exeunte

anno.“ — Włochy. 1. Głos liberała o potrzebie pogodzenia się z Papiestwem. — 2. Antyreligijne manifestacye. — ***Bibliografja.*** O majątku kościelnym i tegoż alienacyi w stosunku do Papieża przez dr. J. Brzezińskiego. — Pomoc cierpiącym, przez Wł. Tar. —

KRAJ.

„Kraj zawiera N-rze 3-im z d. 1-go lutego 1889 r. treść następującą: Artykuł wstępny: Nowy kodeks czarnogórski, p. Wł. Spasowicza. Artykuły i korespondencye: Plany bar. Hirsha, p. Agr. Prawosławie na kresach. Luźne kartki: (Felieton „Kraju“): Rozmyślania przed stosem. Zanik upodobań spirytystycznych w Warszawie. Panteon znakomitości w Warszawie. Wrażenia filistra na uczcie słowiańskiéj. Z teki humorystycznéj. Listy z zachodu: (od specyalnych korespondentów „Kraju“) p. Caro z New-Yorku p. Kaprala. z Tyłży p. Budrysa, z Berlina. Ziemie słowiańskie: (listy korespondentów „Kraju“ z Rusi halickiéj, z Pragi, Lublany, Zagrzebia, Belgradu, Sofii i t. d.). Z politycznego świata, p. L. S. Telegramy o zgonie arcyksięcia Rudolfa. Z tygodnia, (słowo wstępne). Wiadomości urzędowe. Kronika ruska (życie i publicystyka), p. Św. W przedmiocie ugody z Watykanem. Przegląd prasy (polskiéj, ruskiej i zagranicznéj). Wiadomości petersburskie. Krorika warszawska. Listy z prowincyi (od specyalnych korespondentów „Kraju.“ Rozmaitości. Kuryer prawny. Kuryer kościelny. Kuryer szkolny. Ekonomista. Z chwili obecnéj, p. W. Ż. Listy ekonomiczne:

Przegląd literacki. Kartka z przeszłości przedkongresowéj, p. Latarnika. Listy z zagranicy p. Tadeusza. Pamiętnik z czasów Komuny, z listów i notat przepisał Zyzma (d. c.). Dwa zbiory dokumentów. p. M. K—cwa. Wśród kolonistów. II p. Antoniego Marylskiego (dok.). Pamięć serca, bajka Kat. Mendesa (z francuzkiego). Notatka z dziedziny naukowéj. Książę Adam Czartoryski według Tatiszczewa, część druga. (d. c.). Za i przeciw, p. Maryana Zdziechowskiego. Kronika literacka i artystyczna.

ZŁUDZONA.

PRZEZ

A. O.

Ćma tatarów na kraj spada,
We wsi już płomienie;
Dzicz morduje dziecko, dziada,
Młodych w jasyr żenie.

I pojmali chłopię młode
W pętach do niewoli....
Oj! któż wróci mu swobodę!..
Oj, boli!.. oj, boli!

— Tatareńku, ja dam wiela
Na wykupno brata!
Ot, tu ojców karabela,
Z złotogłowiu szata,
I dwa cugi wronych koni,
Bydła cztery stada,
Czaprak, który srebrem dzwoni,
Sokół co z rąk jada.

— Nie, ja nie chcę!.. co mi po tém?
Łuków mych cięciwy,
Hartowanym zbrojne grotem,
Lamy moje — z Chiwy,
Klacze moje — po Medżyrze,
Z pereł me czapraki,
A sokoły na mord chyże,
Niby eblis jaki...

— Daj mi złoto-kos twych zwoje!
Turkus twego oka,
Zębów lśniące perły twoje,
Brew ciemną, jak mokka,
I te ust twoich korale,
I twe młode lata...
Daj to wszystko!.. a ocalę,
Uwolnię ci brata!..

Weź! — odrzecze
Wziął zuzulę...

Tam na koniec świata
Szedł z okupem i... w Stambule
Przedał mirzie brata...

FUNDACYA SKARBKOWSKA

W DROHOWYŻU.

Opisał

Stefan Godlewski.

Trzy godziny drogi koleją żelazną od Lwowa, leży nad Dniestrem w powiecie Żydaczowskim wieś Drohowyże, któréj nazwisko dotąd mało komu znane, zasłynie może kiedyś w całéj Europie. Z nazwiskiem tém bowiem łączy się instytucya filantropijna, która rozmiarami posiadanego majątku przewyższa może wszystkie inne tego rodzaju instytucye zagraniczne. Mowa tu o zakładzie dla sierot i ubogich, ufundowanym z zapisu ś. p. Stanisława hr. Skarbka.

Zwiedziwszy na początku roku zeszłego ów zakład, ze zdumieniem równocześnie dowiedziałem się, że oprócz dwu artykułów sprawozdawczych w „Kłosach“ (z r. 1880 i 1886), oraz krótkiego opisu fundacyi, zamieszczonego pod wyrazem „Drohowyże“ w słowniku geogaficznym, literatura nasza nie posiada dotąd żadnéj dokładniejszéj pracy o fundacyi skarbowskiéj. Tém się zapewne objaśnia, że owa instytucya, mająca wszelkie warunki po temu, aby dla kraju duże przynosić pożytki, instytucya, która gdyby istniała w Niemczech, Francyi lub Anglii, budziłaby tam powszechne zajęcie, u nas jest prawie nieznaną. Obojętność ta wydaje się tém naganniejszą, że instytucye tego rodzaju, łączące się w tak wysokim stopniu z interesem ogółu, wtenczas tylko prawidłowo funkcyonować mogą, jeżeli społeczeństwo całe, moralną niejako nad niemi sprawuje kontrolę, a za pośrednictwem swych członków, świadomych rzeczy, dopomaga czynnie tym, którzy z urzędu do kierowania istytucyą są powołani. Temi względami powodowany, powziąłem myśl zaznajomienia szerszego ogółu z fundacyą skarbkowską, przedstawiając szkic ogólny, któryby obejmował wiadomości o życiu fundatora, charakterystykę i dzieje fundacyi; wreszcie uwagi, które organizacya zakładu i dotychczasowa działalność zwierzchnich władz fundacyi nasuwają przy bliższém ich poznaniu.

Myśl tę zakomunikowałem obecnemu kuratorowi fundacyi, Henrykowi hr. Skarbkowi, który podzielając ją w zasadzie, raczył łaskawie dostarczyć mi potrzebnych materyałów i ułatwił spełnienie zadania. Wyrażając mu na tém miejscu serdeczną za to podziekę, mniemam, że najwłaściwszym hołdem, jaki złożyć można uświetniającéj jego imię instytucyi, będzie przedstawienie zarówno postaci fundatora jak i jego wiekopomnego dzieła w świetle dowodami popartéj prawdy. Dla tego równie daleki od wszelkiego panegiryzmu, jak od bezwzględnéj krytyki, o to najpiękniejsze prawdziwie pięknych rzeczy oświetlenie starać się w dalszym ciągu będę. Jeżeli zaś brak materyału lub nieścisłość informacyi pozostawią jakie cienie, to źródła tych cieniów w złéj woli nikt szukać nie będzie.

1. Fundator.

Stanisław hr. Skarbek urodził się w Obertynie d. 20 listopada 1780 roku, z ojca Jana i Teresy z Bielskich. Był wnukiem Rafała, starosty Słotwińskiego, a potomkiem starodawnéj rodziny Skarbków herbu Habdank, od XVI wieku na Czerwonéj Rusi osiadłéj.

Smutną była dziecięca dola Stanisława. Matka w tydzień po wydaniu go na świat umarła, a zaledwie czterech lat życia dosięgnął, utracił w roku 1784 ojca. Został sierotą. Zakosztował największego na ziemi nieszczęścia, aby później łagodzić niedolę tych, co jak on nie znali ni pieszczot matki, ni troskliwój ojcowskiéj opieki. Tak chciała Opatrzność...

Opiekę nad sierotą objęła ciotka Stanisława, Julianna z hr. Skarbków hr. Rzewuska, Michała Franciszka Rzewuskiego, marszałka koronnego małżonka, oraz mąż drugiéj ciotki Brygidy, Tadeusz Skrzetuski.

Marszałkowa zabrała Stanisława do siebie do Bursztyna i tam całem wychowaniem jego kierowała. Była to kobieta wyższego umysłu i silnego charakteru; sama zarządzała rozległym bardzo majątkiem i nadanemi jéj mężowi starostwami; miał więc Stanisław w dziecięcych latach wzory, które nie mogły pozostać bez wpływu na całą jego przyszłość.

W roku 1792 oddano Stanisława do szkół publicznych do Lwowa, które też w r. 1800 pomyślnie ukończył. Ale na wyższe studya uniwersyteckie czasu zabrakło, gdyż rozległe a ogromnemi długami obciążone dobra Rożniatowskie, które mu się w sukcesyi po dziadku Rafale dostały, potrzebowały jak najspieszniéj energicznego zarządu. Dostrzegłszy w Stanisławie niepospolite zdolności i energią, dające rękojmią należytego fortuną zarządu, opiekunowie usamowolnili go w roku 1801 jako 21-letniego młodzieńca, oddając mu administracyą całego jego majątku. Majątek ten już wówczas, jak powiedzieliśmy, rozległy bardzo, powiększył się wkrótce, gdyż w ro-

ku 1802 umarła marszałkowa Rzewuska i po niéj dostały się znów Stanisławowi dobra Brzozdowce.

Ś. p. Stanisław usprawiedliwił położone w nim przez opiekunów zaufanie. Nie tylko utrzymał odziedziczony majątek, nie tylko oczyścił z długów, dobra Rożniatowskie, ale już w roku 1813 nabył od rządu dobra Żydaczów, następnie w roku 1817 kupił z masy po Procie Potockim majątek Żabie ze Stupijką, wreszcie w roku 1820 nabył od rządu klucz Mikołajewski.

Tu następuje chwila, w któréj fortuna na czas jakiś odwraca się od ś. p. Stanisława. Przyczynia się do tego w części zawarty w tym czasie nieszczęśliwy związek małżeński z Zofią Grzymałą Jabłonowską, córką Józefa, starosty korsuńskiego i Maryi ze Świdzińskich, kasztelanki radomskiéj. Nieznalazłszy szczęścia w tym związku, Skarbek w parę lat zaledwie po ślubie rozwiódł się z żoną, która już w r. 1828 poślubiła Aleksandra hr. Fredrę. Koszta procesu rozwodowego, choroba, wyjazd na dłuższy czas za granicę, a jak niosą wieści i nadmierne podówczas osobiste wydatki, nadwerężyły znacznie fortunę Skarbka tak, że w roku 1822 zmuszony był sprzedać klucz Brzozdowski Józefowi Kalinowskiemu, a resztę posiadłości obdłużyć.

Ale kłopoty te nie długo trwają. Ze zdrowiem powraca Skarbkowi energia i rzutkość i odtąd całą duszę swoję wkłada znów w interesa i powiększanie fortuny. Buduje tartaki i młyny; puszcza w ruch fryszerki, stawia browary i gorzelnie, zadzierżawia prawo propinacyi w przyległych do Rożniatowa dobrach rządowych; wreszcie przedsiębierze i prowadzi na wielką skalę opas wołów, przyczem za specyalném pozwoleniem cesarza zakłada w Wiedniu własną jatkę z mięsem dostarczaném dla wojska. Energiczna ta gospodarka tak pomyślne daje rezultaty, że nie tylko odkupuje Skarbek w roku 1836 utracony klucz Brzozdowski, ale nadto dokupuje w latach następnych nowe dobra, mianowicie: Smocze i Klinice, Ostałowice, oraz klucz Opaski i pod koniec życia staje się panem ogromnéj fortuny, 33 wsi i 5 miast obejmującéj.

Tę to właśnie rozległą fortunę, wartości 3 milionów złotych reńskich przeszło reprezentującą, ś. p. Skarbek, aktem darowizny w dniu 1 sierpnia 1843 r. zeznanym, uzupełnionym aktami dodatkowemi z d. 20 lipca 1846 r., i potwierdzonym wraz z niemi testamentem z dn. 24 października 1848 r., na użytek publiczny w całości oddaje, tworząc fundacyą, o któréj niżéj będzie mowa. W trzy dni po sporządzeniu testamentu, d. 27 października 1848 roku ten najszczodrobliwszy ze znanych dotąd dobroczyńców ubogich i sierot kończy życie.

Ci, którzy początek t. zw. pracy organicznéj odnoszą u nas do siódmego lat dziesiątka bieżącego wieku, w życiu i działalności ś. p. Skarbka mają żywy dowód, że jeszcze na długo przed rokiem 1865 myśl ta przewodniczyła wielu wybitniejszym umysłom i stanowiła

dla nich społeczno-polityczny program. Rzecz niezawodna, że chrześciańskie wychowanie, jakie Skarbek odebrał, wzory z lat dziecinnych i wrażenia sierocéj doli przyczynić się mogły i musiały do tego, że taki a nie inny życiu swojemu nadał kierunek. Być może, że osobiste stosunki rodzinne zmarłego kryją również jakiś powód, dla którego ukochał jedynie cele publiczne z wyłączeniem bliższych związków krwi i serca. Są to jednak rzeczy, których możemy się tylko domyślać, ale badać nie mamy obowiązku ani prawa. Natomiast skończona forma, w jaką Skarbek myśl swoję ujmuje, przypuszczać każe, że w tém głęboko przemyślaném dziele, dobro publiczne mającém na celu, tkwił jasno sformułowany i należycie pojęty społeczno-polityczny program.

W gorącéj epoce, w któréj działał Skarbek, program ten nie miał wielu zwolenników. To téż nic dziwnego, że ów cesarsko-królewski podkomorzy a późniejszy sokolnik koronny, komandor orderu Św. Szczepana i tajny radzca Jego Cesarskiéj Mości, ów handlujący mięsem i wódką szlachcic, który z całą otwartością występował przeciwko powstaniu roku 1831, nie był popularnym i nie miał sympatyi pośród braci szlachty, przesądnéj jeszcze, a do entuzyastycznych porywów tak podówczas skłonnéj. Czy ów brak sympatyi miał jeszcze inne jakie, słuszniejsze powody, o tém nie wiemy i wiedzieć nie potrzebujemy. Dla nas, potomnych, dość jest przyjrzeć się bogatéj spuściznie, jaką ś. p. Skarbek dla kraju swego pozostawił, aby w charakterze sukcesorów wydać o nim sąd sprawiedliwy.

II. FUNDACYA.

A. Dokumenta zasadnicze.

Zanim poznamy dzieje fundacyi, zanim przyjrzymy się owocom, które już wydała, zanim obaczymy ją w życiu, do jakiego powołali ją wykonawcy woli fundatora, należy nam się z tą wolą przedewszystkiém zapoznać. Ponieważ zaś ś. p. Skarbek nadał téj woli, jak wspomnieliśmy, formę skończoną, ponieważ starał się wszystko przewidzieć i określić dokładnie, nie widzimy się przeto w prawie przedstawić jéj w dowolnych skróceniach i dla tego akt erekcyjny i uzupełniające go „Statuta“ przytaczamy poniżéj w całości.

1. Akt erekcyjny z d. 1 Sierpnia 1843 r.

„Ja niżéj podpisany Stanisław hrabia Skarbek c. k. rzeczywisty podkomorzy, syn Jana hrabi Skarbka i Teresy z Bielskich, wnuk Rafała hrabi Skarbka i Teresy z Boguszów, ożywiony chęcią, rozrządzenia majątkiem swoim, którym dowolnie władać mogę, a który częścią odziedziczyłem, częścią własném staraniem nabyłem

w ten sposób, aby wysokie cele rządów krajowych wspierać i współziomkom swoim po wieczne czasy być użytecznym, postanowiłem w dobrach moich Drohowyżu, w obwodzie Stryjskim, Instytut dla ubogich i sierot założyć i wybudowaniu, zaprowadzeniu i utrzymaniu tego zakładu mój majątek poświęcić, w skutek czego rozporządzam co następuje:

I. Wszystkie moje posiadłości, jakoto:

a) Państwo Rożniatów w obwodzie Stryjskim, składające się z wsiów: Rożniatów, Starawieś, Cieniawa, Demnia, Jasinówka, Janówka, Duby, Kniaziówka, Rożniata, Ochówka, Rypna, Lecówka i Dobrzany, które mi z działu po moim dziadzie roku 1793 przypadły, a od roku 1801 na moje imię lib. dom. 81 pag. 50 n. 11 haer. są intabulowane;

b) Państwo Brzozdowce w obwodzie Brzeżańskim, składające się z miasteczka Brzozdowce i wsiów: Kuty, Hranki, Turzanowice i Podhorce, ktore ze spuścizny ciotki mojéj Julianny hrabiny Rzewuskiéj, urodzonéj hrabianki Skarbkównéj od moich współspadkobierców roku 1803, jak świadczy lib. dom. 24 pag. 355 n. 70 haer. nabyłem, potém ś. p. Józefowi hrabi Kalinowskiemu roku 1822 sprzedałem, a roku 1836 jako lib dom. 294 pag. 230 n. 15 haer. odkupiłem;

c) Miasteczko Żydaczów w obwodzie Stryjskim, które mi z kontraktu kupna w roku 1813 z wysoką kamerą zawartego a lib. dom. 113 pag. 89 n. 2 haer. zaintabulowanego, po sprzedaniu wsi Poddniestrzan na własność pozostało;

d) Państwo Żabie i Stupijka w obwodzie Kołomyjskim, które z masy Prota Potockiego, według dekretu addykcyi lib. dom. 60 pag. 310 n. 24 haer. zaintabulowanego, sądownie nabyłem;

e) Państwo Drohowyże w obwodzie Stryjskim, składające się z miasteczka Mikołajewa i wsiów: Drohowyż czyli Drohowyże, Uście, Rozwadów, Nadytycze, Weryn, Wola, Demnia, Trościanіec, Stulsko i Złów, które od Wysokiéj c. k. kamery roku 1820 kupiłem i na mocy kontraktu kupna lib. dom. 275, pag. 80 n. 4 haer w księgach zapisanego tabularnie posiadam; nakoniec:

f) Teatr w mieście Lwowie przezemnie wybudowany, oznaczony numerem 367 i na moje imię w tabuli miejskiéj lib. dom. 108 pag. 1 n. 1 haer. zapisany, wraz ze wszystkiemi do niego należącemi zabudowaniami i całém urządzeniem —

Poświęcam niniejszém na utrzymanie mającego się w Drohowyżu założyć domu ubogich i sierot.

II. Dobra te mają na zawsze być na moje imię zapisane i tylko ich teraźniejsze przeznaczenie w stanie dłużnym wymienione, gdyż zastrzegam dla moich sukcesorów, podług porządku w następującym punkcie oznaczonego, prawo upomnienia się o majątek zakładowi poświęcony, jeżeliby ten zakład nie przyszedł do skutku, z bądź jakiéj przyczyny zniesionym został, albo gdyby Wysoki Rząd majątkowi temu inne chciał nadać przeznaczenie.

III. Ażeby krewnym moim zabezpieczyć dochód, odpowiadający dochodowi majątku odziedziczonego po przodkach, rozporządzam, aby kuratorya zakładu mego dziedziczną była. Zachowując sobie prawo odmiany, ustanawiam na teraz następujący kuratorów porządek:

a) Pierwszym kuratorem Zakładu po mojéj śmierci mianuję małżonka bratanicy mojéj, JO. księcia Karola Jabłonowskiego, c. k. Podkomorzego. Po śmierci tego:

b) JW. Fryderyka hr. Skarbka i tegoż męzkie potomstwo podług pierworodności. Po wygaśnięciu téj linii:

c) JW. Władysława hr. Skarbka, drugiego syna JW. Jana hr. Skarbka i tegoż męzkie potomstwo podług pierworodonności. Po wygaśnięciu téj linii:

d) JW. Mieczysława hr. Skarbka, trzeciego syna JW. Jana hr. Skarbka i tegoż męzkie potomstwo podług pierworodności. Po wygaśnięciu téj linii:

e) JW. Seweryna hr. Skarbka, najstarszego syna JW. Jana hr. Skarbka i tegoż męzkie potomstwo podług pierworodności. Po wygaśnięciu téj linii:

f) Ostatni męzki potomek familii i imienia Skarbków będzie mieć prawo wymienić familią i oznaczyć porządek, podług którego kuratorstwo Zakładu na osoby tejże familii przechodzić będzie miało.

Każdy kurator zakładu będzie rocznie pobierać z dochodów tego zakładu sześć tysięcy reńskich, mówię 6,000 złr. m. k. będzie mieć bezpłatne pomieszczenie w gmachu teatralnym i wolną łożę w teatrze przez ciąg przywileju teatralnego.

Podczas małoletności osoby, do kuratorstwa podług powyższego porządku powołanéj, sądownie nadany i zakład administrujący opiekun tegoż zakładu pobierać będzie połowę należącéj się kuratorowi pensyi.

Ogólne rozporządzenia prawne, wyłączające od administracyi własnego majątku, mają być także zastosowane do kuratora tego zakładu.

IV. Do zakładu mającego być wzniesionym w państwie Drohowyżu przyjęci być mają w miarę dostarczających środków czterysta ubogich chrześcian obojéj płci i sześćset chrześciańskich sierot, również płci obojéj, a podług osobnych zakładu tego dotyczących się statutów, pierwszym dane być ma mieszkanie, odzienie, pożywienie i stosowne do sił ich zatrudnienie; drugim utrzymanie, wychowanie na rzemieślników i usposobienie do pożytecznych domowych zatrudnień.

V. Jak długo żyć, a zarządem dóbr ufundowanego przezemnie zakładu trudnić się będę, chcę być wolnym od wszelkiéj kontroli co do użycia dochodów z majątku, poświęconego zakładowi,

gdyż te na wybudowanie gmachu zakładowego i na uwolnienie dóbr od długów na nich ciążących obrócić zamierzam; zaś:

VI. Po mojéj śmierci dobra zakładu mego mają być wydzierżawione przynajmniéj zawsze na lat sześć, przez publiczną licytacyą odbyć się mającą w czasie kontraktów w c. k. sądzie szlacheckim lwowskim, który postanawia się niniejszém jurysdykcyą sądową zakładu; również:

VII. Potrzeby mają być zaspakajane przedsiębiorstwem w drodze publicznéj, w kancelaryi zakładu corocznie odbyć się mającéj licytacyi. Ta licytacya ma być przedłożoną przez radę zarządu do potwierdzenia Wydziałowi stanowemu.

VIII. Zarząd zakładu i funduszów jemu poświęconych należeć będzie do każdoczesnego kuratora podług przepisanéj mu instrukcyi.

IX. Czynności kuratora mają być pod kontrolą Rady zarządu, która składać się ma z dwóch stanowych deputowanych, oznaczonych przez prezesa Wydziału stanowego i dwóch przez zgromadzony wydział miasta Lwowa wybranych członków tegoż Wydziału.

Z tych na lat sześć wybranych członków rady zarządu, mają dwóch co trzy lata wystąpić, a dwóch nowo-wybranych miejsce ich zająć:

W radzie zarządu ma prezydować każdoczesny kurator zakładu, a postanowienia większością głosów powzięte być mają.

X. Wydziałowi stanowemu galicyjskiemu powierzam kontrolę nad zarządem zakładu i czuwanie nad utrzymaniem tegoż podług statutów, wskutek tego:

Ma Wydział stanowy rachunki kuratora przeglądać, błędy w nich wytykać i ostatecznie załatwiać, kasę zakładu obliczać, sprawozdania rady zarządu ze swojemi uwagami Wysokiemu Rządowi krajowemu przedkładać i corocznie czynności zakładu do wiadomości publicznéj podawać;—daléj:

Wydział stanowy prawo mieć będzie zrobienia wniosku do Wysokiego Rządu krajowego o oddaleniu kuratora, któryby Zakładem nie podług instrukcyi zarządzał, i przedsiębrać tymczasowe urządzenia. Stanowcze jednak oddalenie kuratora Najwyższéj władzy rządowéj służyć ma; równie:

Wydziałowi stanowemu ma służyć prawo przedłożenia wysokiemu rządowi krajowemu zmiany regulaminów, instrukcyi i statutów, które zgodnie z radą zarządu dla stosunków czasu za potrzebne uzna, i starać się będzie o potwierdzenie tychże, bez naruszenia jednakże celu zakładu.

XI. Nadzór policyjny zakładu należeć będzie do wysokiego Rządu krajowego, który ma roztrząsać sprawozdania Wydziału stanowego i znosić rozporządzenia, któreby się celom zakładu i statutom sprzeciwiały.

XII [1]). Pod nadzorem rady zarządu i odpowiedzialnością kuratora zakładu zostawać będzie:

a) Dyrektor zakładu z roczną płacą tysiąca reńskich, mówię 1000 złr. m. k., który ma mieszkać w zabudowaniu zakładu i nim zawiadywać podług przepisanéj mu instrukcyi.

b) Rządzca ekonomiczny z pensyą ośmiuset reńskich, mówię 800 złr. m. k., który jurysdykcyą w zakładzie wykonywać i wszystkie rachunki zakładu prowadzić będzie.

c) Kasyer z pensyą sześciuset reńskich, mówię 600 złr. m. k., który kasę zakładu utrzymywać ma.

d) Przełożony magazynu z pensyą czterysta reńskich, mówię 400 złr. m. k., który dozierać będzie magazynu zakładowego.

e) Tym przydani mają być dwaj pisarze, każdy z roczną zapłatą trzystu reńskich, mówię 300 złr. m. k.

XIII. Wydział naukowy zakładu ma być powierzony:

a) Dwom nauczycielom pobierającym każdy z osobna czterysta reńskich, mówię 400 złr. m. k.

b) Dwom nauczycielkom z osobna po trzysta reńskich płatnym, mówię 300 złr. m. k.

c) Dyrektorowi prac rzemieślniczych, który wynagrodzony pięciuset reńskiemi, mówię 500 złr. wszystkiemi robotami zakładu kierować będzie.

d) Dwudziestu czterem majstrom różnych rzemiosł, z których każdy dom, ogród, ordynaryą i pensyę mieć będzie.

Każdemu z tych majstrów przy zakładzie umieszczonych wymierzone z funduszu zakładu wynagrodzenie nie powinno przewyższać sumy 500 złr. m. k., prócz tego:

XIV. Mają dla zakładu być przyjętemi:

a) Kucharz z roczną zapłatą dwiestu reńskich, mówię 200 złr. m. k.

b) Kucharka ze stu reńskiemi, mówię 100 złr. m. k.

c) Szafarz ze stu reńskiemi, mówię 100 złr. m. k.

d) Klucznica ze stu reńskiemi, mówię 100 złr. m. k.

XV. Zakład mieć będzie własnego lekarza z pensyą pięciuset reńskich, mówię 500 złr. m. k., chirurga z pensyą trzechset reńskich, mówię 300 złr. m. k., i adwokata, który interesa jego za roczną pensyą pięciuset reńskich prowadzić i miejsce syndyka zakładu zajmować będzie.

XVI. Wszyscy w poprzednich czteru punktach wymienieni urzędnicy i słudzy zakładu za propozycyą kuratora przez radę zarządu mianowani, przez Wydział stanowy potwierdzeni i tymże

---

[1]) §§ XII, XIII, XIV, i XV zostały później uchylone z mocy uchwały Rady administracyjnéj z dn. 17 marca 1875 r. Patrz niżéj.— Dzieje fundacyi. *Przyp. autora.*

sposobem oddaleni i przez innych zastąpieni, — płacę pobierać będą miesięcznie z funduszu zakładowego.

XVII. Ponieważ fundusz tego zakładu głównie z dóbr ziemskich się składa, których dochody wzrastającą ludnością i kulturą rosną, zaś stosunki pieniężne z czasem zmianie podlegają, dlatego powyższe pensye co 50 lat tak uregulować należy, ażeby każde sto reńskich o tyle podwyższone albo zniżone zostały, ile utrzymanie dwóch indywiduów w zakładzie rocznie wynosić będzie.

XVIII. Odzienie i pożywienie utrzymanych w zakładzie ubogich i sierot takie być ma, jakie w podobnych zakładach dawać się zwykły.

XIX. Ponieważ podług statutów przyjmowanie ubogich i sierot do zakładu tylko co pół roku odbywać się będzie, zatem zgłaszające się w innym czasie przyjęcia godne indywidua tymczasowo albo w Fryderykówce we Lwowie, albo w zamku Różniatowskim umieszczone, i te miejscowości do tymczasowego przyjęcia ubogich i sierot należycie urządzone być mają. Do miejsc opróżnionych w zakładzie Drohowyzkim mają ci pierwszeństwo, którzy tymczasowo w Fryderykówce albo w Różniatowie umieszczeni byli.

XX. Jak tylko zakład zupełnie swoje działanie podług oznaczeń statutów rozpocznie, wszelkie dochody funduszów jemu poświęconych ku jego utrzymaniu obrócone być mają.

Z oszczędzonych dochodów zakupywane być mają co pół roku galicyjsko stanowe listy zastawne i z tych ma być uformowany kapitał rezerwowy, któren jednakże sumy czterechroć stu tysięcy, mówię 400,000 złr. m. k. przewyższać nie powinien.

W miarę pomnażających się dochodów mają być powiększone wyposażenia występujących z zakładu sierot i kursa naukowe zakładu.

XXI. Ponieważ przedsiębiorstwa teatralne wszędzie straty przynoszą, a ja z dotychczasowego doświadczenia wszelki mam powód, aby i tutejsze przedsiębiorstwo teatralne po upływie służącego mi pięćdziesięcioletniego przywileju na rachunek zakładu więcéj prowadzoném nie było, należy je zaniechać, a zabudowanie pod N-rem 367 w mieście częściowo albo całkowicie jak najkorzystniéj wynająć.

Ażeby jednak istnienie polskiego teatru na czas, do którego mi przywilej służy, publiczności zabezpieczyć, mają być dawane miesięcznie najmniéj dziesięć polskich przedstawień w moim, zakładowi poświęconym teatrze pod warunkami:

a) ażeby realność stanowa Fryderykówka na własność mego zakładu przeszła.

b) ażeby przedsiębiorstwu polskiego teatru z funduszu domestykalnego stanów cztery tysiące reńskich, mówię 4000 złr. m. k. rocznie wypłacane były.

XXII. Zastrzegam sobie prawo zaciągnienia na moje, zakładowi poświęcone dobra pożyczki na wybudowanie i urządzenie zakładu, aż do ilości dwukroć sto tysięcy reńskich, mówię 200,000 złr.

m. k. i zostawienie w testamencie sługom moim dożywotne pensye, aż do rocznéj ilości dwu tysięcy pięciuset, mówię 2,500 złr. m. k.

W moc tego fundacyę tę w przytomności uproszonych do tego świadków własnoręcznie podpisałem i na wciągnięcie do tabuli krajowéj i miejskiéj z tém zastrzeżeniem zezwoliłem, że ten dokument dopiero po najwyższém zatwierdzeniu mnie i sukcesorów moich obowiązywać będzie:

Lwów 1 sierpnia 1843 roku.

(podpisano:) Stanisław hrabia Skarbek m. p. Jako świadek: Bonifacy Janiszewski m. p. Jako świadek: Paweł Rodakowski m. p.

2. Statuta.

I. Ogólne postanowienia.

§ 1. Zakład Drohowyski jest to dla prowincyi Galicyi przeznaczony instytut dobroczynności, zatem przystępny tylko galicyanom. Do tych należą nie tylko urodzeni w Galicyi, ale także każdy, kto w téj prowincyi ma swoją stałą siedzibę.

§ 2. Wszystkie stany wyznających religią chrześciańską galicyanów, mają równe prawo i mogą podług dalszych postanowień tych statutów być przyjęci do zakładu, tylko muszą wszyscy przyjęci do instytutu poddać się przepisom tego zakładu.

§ 3. Kto sądzi, że ma prawo być przyjętym do zakładu podług wyłożonych daléj zasad lub też umieścić w nim osierocone dziecię, powinien swoją prośbę z załączeniem potrzebnych dowodów albo pisemnie przedłożyć Dyrekcyi zakładu, albo też ustnie przedstawić w kancelaryi instytutu, poczem prośby te w radzie administracyjnéj przedłożone będą.

§ 4. By zakład ten mógł wywierać wpływ pożyteczny na wszystkie obwody Galicyi, będzie Dyrekcya co sześć miesięcy układać wykazy opróżnionych w zakładzie miejsc i doręczać wszystkim konsystorzom i władzom obwodowym, które znowu będą rozsyłać je do wszystkich parafij i dominiów.

§ 5. Kto dla odległości miejsca swego pobytu od zakładu nie może bezpośrednio udać się do niego z prośbą o przyjęcie, mają przedłożyć swojéj zwierzchności, która i tak jako władza pupilarna obowiązaną jest starać się o to, ażeby ubogie sieroty jéj powiatu umieszczone zostały w zakładzie.

§ 6. Wysoki rząd krajowy raczy zalecić wszystkim zwierzchnościom miejscowym, ażeby co pół roku układały podług formularzów, jakie będą im udzielone, umyślnie wykazy wszystkich zgłaszających się o przyjęcie do zakładu, ażeby sumiennie wypełniały rubryki tych formularzów i te wykazy z swemi uwagami i wnioskami przesyłały władzom obwodowym, a te znowu Dyrekcyi instytutu.

§ 7. Z tych wykazów ma rada administracyjna wybierać tych, co mogą być przyjęci do zakładu, i wybór swój oznajmić przynależnéj władzy miejscowéj. Przy wyborze należy zwracać uwagę na to, ażeby wszystkie części Galicyi miały o ile możności równy udział w zakładzie.

§ 8. Fundator liczy na ojcowską troskliwość rządu, jako też na uczucie dobroczynności władz miejscowych i wszystkich przyjaciół ludzkości, że przyjęci do zakładu ubodzy będą bezpłatnie odstawiani.

§ 9. Każdy przeznaczony do umieszczenia w zakładzie ma przynieść oprócz dekretu przyjęcia, także świadectwa, które służyły do wypełnienia rubryk wykazu, a tém samém do uzasadnienia jego przyjęcia.

§ 10. Jeżeliby się okazało z porównania świadectw z wykazem, że się nie zgadzają, natenczas ma być ten, który wybrany został na podstawie takiego wyboru, odesłany napowrót do przynależnéj władzy miejscowéj kosztem tejże.

§ 11. Przy układaniu tych wykazów, powinny władze miejscowe brać na uwagę rzeczywistą naglącą potrzebę kompetentów, by niedogadzać niedbałości rodziców, lub prawnie obowiązanych krewnych w utrzymaniu ubogich dzieci i nie uwłaczać uczuciu dobroczynności mieszkańców miejscowych.

II. Przyjęcie ubogich.

§ 12. Do rzędu ubogich, którzy mogą być przyjęci do zakładu, należą ci, co nie mają żadnych środków utrzymania i albo dla wieku, albo też dla ułomności swoich nie mogą wcale nic lub też w zwyczajnych stosunkach życia nawet tyle zarobić, by zarobić sobie potrzebne utrzymanie.

§ 13. Wiek, który już sam przez się nadaje prawo przyjęcia do zakładu, jest skończony rok sześćdziesiąty u mężczyzn, a skończony rok pięćdziesiąty piąty u kobiet.

§ 14. Ubodzy dotknięci ciężką słabością, lub też cierpieniem chroniczném, wymagającém nieustannéj pomocy lekarskiéj, nie będą przyjmowani do zakładu.

§ 15. Ubodzy przyjęci do zakładu z przemijającą słabością lub też dotknięci nią w zakładzie, będą leczeni w szpitalu instytutu. Ci zaś, którzyby popadli w ciężką lub też wspomnioną w powyższym § chroniczną słabość umieszczani będą w głównym szpitalu lwowskim podług istniejących przepisów kosztem instytutu Drohowyskiego.

§ 16. Przyjmowani do zakładu ubodzy muszą być o tyle zdolni do pracy, ażeby mogli być użyci przynajmniéj do najlżejszych zatrudnień, jako to: do skubania wełny, przędzenia, darcia pierza, robienia pończoch i t. p. lub też do usług w instytucie.

§ 17. Ubóstwo lub niezdolność do zarobku tego, który ma

być przyjęty, muszą być stwierdzone świadectwem władzy miejscowéj i przynależnego plebana.

§ 18. Wiek musi być udowodniony metryką, zaś w braku jéj może kompetent być wtedy tylko przyjęty, jeżeli rada administracyjna przekona się, że ubogi ten przekroczył widocznie wiek przepisany w § 13.

III. Przyjęcie sierot.

§ 19. Do rzędu sierot, które mogą być przyjęte do zakładu, należą przedewszystkiem ubogie ślubne lub nieślubne dzieci bez ojca i bez matki, a mianowicie chłopcy od zaczętych lat siedmiu do skończonych dziesięciu lat, a dziewczęta od zaczętych sześciu do skończonych ośmiu lat wieku.

§ 20. Przyjmowane do zakładu sieroty nie mogą posiadać żadnego majątku dostatecznego na swoje utrzymanie, ani też żadnych krewnych, którzy są z prawa obowiązani do utrzymania ich i mogą ich utrzymać.

§ 21. Dowody w tym względzie muszą być takie, jakie przepisane są dla ubogich w §§ 17 i 18.

§ 22. Chociaż ten zakład przeznaczony jest dla sierot w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, dozwolone będzie przecież w braku ich przyjmowanie do zakładu dzieci takich rodziców, o których przekonała się Rada administracyjna, że zupełnie nie są w stanie utrzymać swoich dzieci.

IV. Wychowanie sierot.

§ 23. Przyjęte do zakłady sieroty będą mieć tam utrzymanie, pobierać naukę religii, czytania, pisania i rachunków tudzież języka polskiego i niemieckiego i uczyć się rzemiosł odpowiednich swoim zdolnościom.

§ 24. Czytać i pisać uczyć będzie nauczyciel zakładu podług ułatwiającéj metody popularnéj, a rachunków w taki sposób, jaki jest przepisany dla szkół normalnych.

§ 25. Dla chłopców zakładu osiedleni będą obok zakładu majstrowie rozmaitych potrzebnych i pożytecznych rękodzielnictw i rzemiosł, którzy przydzielonych sobie od Dyrekcyi instytutu sierot uczyć będą swoich rękodzieł i rzemiosł.

§ 26. Do tej nauki przeznaczone będą, z uwzględnieniem wieku sierot jako też potrzebnego do inszéj nauki czasu godziny przed i po południowe, w których stosownie do rzemiosła, albo chłopcy posyłani do majstra uczyć się będą przy jego warsztacie, albo też majster, przychodząc do instytutu, uczyć ich będzie swego rzemiosła w przeznaczonym do tego oddziale.

§ 27. Potrzebne do rozmaitych rzemiosł narzędzia i materyał sprawiać będzie Dyrekcya Instytutu i wedle potrzeby udzielać naprzód majstrom.

§ 28. Administracya zakładu będzie się starać o to, ażeby chłopcy, po poprzednim egzaminie z rzemiosła, którego się uczyli, podług przepisów cechowych byli wyzwalani i jako czeladnicy mogli iść na wędrówkę, na co będą im udzielane stosowne zaliczki.

§ 29. Dla dziewcząt będą trzymane w Instytucie nauczycielki, które będą ich uczyły czytać, pisać, rachować, szyć, prząść, tkać i gotować, jako też rozmaitych robót ręcznych, i tym sposobem wykształcać je na kucharki, zręczne sługi i dobre gospodynie.

§ 30. Sieroty, któreby nie chciały się stosować do przepisów instytutu, ani też przysłużającemi zarządowi środkami karności domowéj nie mogły być utrzymane w porządku, mają być wykluczone z zakładu i odstawione do przynależnéj władzy miejscowéj.

§ 31. Sieroty wykształcone tak, że mogą same się utrzymać, mają być z odpowiedniem świadectwem swego uzdolnienia i swego zachowania odprawione z zakładu.

§ 32. Sieroty sprawujące się dobrze w ciągu pobytu swego w zakładzie, otrzymają przy wystąpieniu w miarę funduszów instytutu oprócz wyprawy odpowiedniej swemu uzdolnieniu, także zaliczkę pieniężną do rozpoczęcia własnego gospodarstwa.

V. Zarząd zakładu.

§ 33. Dokument fundacyi zawiera główne zasady, podług jakich ma być zarządzany zakład; prócz tych ułożone będą dla każdego oddziału instytutu osobne regulamina, ale dla każdego urzędnika zakładu instrukcye, które po zatwierdzeniu wysokiego rządu mają wejść w używanie.

Lwów 1 sierpnia 1843 roku (podpisano) Stanisław hrabia Skarbek m. p. Jako świadek: Cypryan hrabia na Liptawie i Orewie Komorowski Jego C. K. Apostolskiéj Mości rzeczywisty podkomorzy m. p. Jako świadek: Paweł Rodakowski m. p.

Czytelnik, który odczytał dwa powyżéj przytoczone dokumenty zasadnicze, przez samego fundatora skreślone, ma już dokładne wyobrażenie zarówno o rozmiarach fundacyi jak i o tém, co przez nią osiągnąć pragnął wspaniałomyślny darczyńca. Chciał on z jednéj strony przyjść z pomocą niedoli, tworząc przytułek dla ubogich starców i zakład wychowawczy dla sierot, a z drugiéj — pragnął dostarczyć krajowi uzdolnionych rzemieślników, aby tą drogą popierać przemysł rodzimy i podnosić ogólny dobrobyt. Ten cel podwójny mając na widoku, starał się wykonanie swéj woli w jak najdokładniejszy sposób zabezpieczyć. Sprawowanie zarządu majątkiem fundacyi i kontrola nad owym zarządem, porządek sukcedowania władzy kuratorskiéj, zwrot do rodziny fundacyjnego majątku,

na wypadek zmiany przez rząd jego przeznaczenia, wewnętrzna organizacya zakładu, porządek przyjmowania dzieci, wychowywania ich i odprawiania z zakładu, sposób utrzymania w zakładzie zarówno dzieci jak starców — wszystko sam określił z niezwykłą przezornością i głęboką znajomością rzeczy. A choć akt i statuta po naradzie z rzeczoznawcami zapewne sporządzał, niemniéj znać w nich człowieka niepospolitego umysłu i żelaznéj woli, który wiedział czego chce i dokąd dąży. Czytając tę jego moralną spuściznę, żałować tylko przychodzi, że śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu osobiście pokierować wprowadzeniem w życie tego, co stworzyć zamierzył.

B. Dzieje fundacyi.

§ 1. Peryod przygotowawczy (od r. 1848 do 1875).

Po sporządzeniu aktu erekcyjnego i uzupełniających ów akt statutów ś. p. Skarbek żył jeszcze lat pięć. Przez cały ten czas, w ciągu którego jak wiadomo dar swój nowemi dobrami powiększał, krzątał się około wprowadzenia w wykonanie swojego wielkiego dzieła. Pierwiastkowo czynił podobno starania, aby zakład mógł być umieszczony we Lwowie, a gdy te nie odniosły skutku, przystąpił w roku 1848 do budowy odpowiedniego gmachu w Drohowyżu. Snadź jednak nie sądzono mu było oglądać owoców swéj pracy, gdyż w tym właśnie roku śmierć go zaskoczyła. Umierając, nieprzewidywał zapewne, że urzeczywistnienie jego zamiarów w tak znaczną pójdzie odwłokę i że dopiero w trzydzieści lat po jego zgonie zakład Drohowyzki pierwsze przyniesie owoce.

Jeszcze w r. 1842 zbudował hr. Skarbek gmach teatralny we Lwowie Osobném pismem cesarskiém z dn. 28 października tegoż roku otrzymał przywilej na dawanie w tymże gmachu przedstawień scenicznych w języku polskim, pod tym jednakże warunkiem, że równocześnie dochodami z gmachu teatralnego poręczy utrzymanie we Lwowie sceny niemieckiéj. Otóż ten przywilej wedle objaśnień źródeł urzędowych — stał się przyczyną niepowetowanych strat dla fundacyi i długoletniéj zwłoki w urzeczywistnieniu jéj celów. Wskutek tego przywileju zaraz po śmierci hr. Skarbka, rząd objął administracyą fundacyi, a gdy dochody z gmachu teatralnego na pokrycie niedoborów sceny niemieckiéj nie wystarczały, interpretując dowolnie wspomniany warunek przywileju, ściągał brakujące sumy z dóbr ziemskich do fundacyi należących. Tym sposobem w ciągu peryodu od r. 1848 do 1872 teatr niemiecki we Lwowie pochłonął około 300,000 złr. z dochodów fundacyi, a jedyną pamiątką, która z administracyi rządowéj pozostała dla ubogich i sierot, jest jeden pawilon gmachu w Drohowyżu, ukończony w roku 1857.

Dopiero w 18 lat po śmierci Stanisława hr. Skarbka, mianowicie w roku 1866, zarząd pozostałéj po nim fortuny dostał się w rę-

ce pierwszego kuratora fundacyi, księcia Karola Jabłonowskiego, oraz pierwszéj rady administracyjnéj, do któréj weszli: z ramienia Wydziału krajowego: dr. Koźmian, Grocholski i Oktaw Pietruski, a ze strony rady miasta Lwowa: dr. Tomasz Rayski i dr. Tadeusz Starczewski.

Pierwszą czynnością tak zorganizowanego zarządu, były popierane przez sejm krajowy rokowania z rządem o zniesienie uciążliwego przywileju teatralnego, które dopiero w roku 1872 odniosły skutek. Obok tego podjęto dalszą budowę gmachu w Drohowyżu, a kurator pod dniem 9 stycznia 1867 r. przedłożył radzie zarządu i Wydziałowi krajowemu „myśli do zmian w fundacyi Stanisława hr. Skarbka i do urzeczywistnienia zakładu sierot i ubogich w Drohowyżu.“ Następnie wydelegowano komisyą do opracowania statutu organizacyjnego, którą składali ze strony zarządu: kurator książe Karol Jabłonowski, dr. Teobald Semilski i dr. Julian Czerkawski, a z ramienia wydziału krajowego: pp. Oktaw Pietruski, Władysław hr. Badeni i dr. Józef Wereszczyński.

Komisya organizacyjna podzielała w zasadzie zdanie ks. Jabłonowskiego, że myśli fundatora tak jak one się przedstawiają w aktach zasadniczych, w całości wprowadzić w życie niepodobna i dlatego postanowiła skorzystać z prawa nadanego Wydziałowi krajowemu w § X ust. 4 aktu erekcyjnego, w celu wprowadzenia w owych aktach niezbędnych jéj zdaniem zmian i uzupełnień.

Tak rozwiązawszy sobie ręce, komisya sądziła przedewszystkiem, że zakres, w jakim fundator chciał stworzyć zakład w Drohowyżu, jest liczebnie za obszerny w stosunku do dochodów, które z majątków fundacyi otrzymywać można. Dlatego postanowiła ów zakres na teraz zmniejszyć i otworzyć zakład tylko dla 400 sierot i 50 ubogich; liczby zaś 600 sierot i 400 ubogich, które oznaczył fundator, uważać za maksyma, do których w miarę powiększania się dochodów fundacyi dążyć należy.

Ograniczając do możliwego minimum oddział dla ubogich, komisya równocześnie uznała za właściwe nadać oddziałowi dla sierot charakter „wielkiéj wzorowéj szkoły rzemieślniczéj.“ Mniemała bowiem że tak zmieniając i interpretując akta zasadnicze, postąpi w myśl fundatora i uczyni zadość naglącym potrzebom kraju.

W ścisłym związku z temi zasadniczemi zmianami są inne zmiany i uzupełnienia w szczegółach.

Pod względem p r z y j m o w a n i a sierot do zakładu komisya trzymała się ściśle pierwiastkowego statutu, z tém jedynie uzupełnieniem, że obowiązkowy pobyt sieroty w zakładzie oznaczyła na lat siedm oraz że ustosunkowała liczbę przyjmowanych chłopców do dziewcząt, mianowcie postanowiła przyjmować 3-ch chłopców na 1-nę dziewczynę.

Co do wychowania zmiany są ważniejsze, zwłaszcza jeżeli pod tém mianem obejmiemy zarazem wykształcenie zawodowe. Ustanowiwszy termin obowiązkowego pobytu sieroty w zakładzie na lat siedm, komisya dzieli ów termin na dwie części. Przez pierwsze cztery lata sieroty pobierać mają naukę elementarną w zakresie przedmiotów, przepisanych dla szkoły pospolitéj, pośród których gimnastyka, śpiew i muzyka, a szczególniéj rysunki należycie mają być uwzględnione. Czas, który ma być poświęcony na naukę elementarną, oznacza się na 22 godzin tygodniowo dla dwóch klas niższych a na 26 godzin tygodniowo dla dwóch następnych. Obok tego dzieci pobierające naukę elementarną mają być używane do pomocy w warsztach. Następne trzy lata pobytu sieroty w zakładzie mają być poświęcone na wprawę w rzemiośle i uzupełnienie wykształcenia ogólnego.

W tym celu komisya postanawia przedewszystkiém urządzić w obrębie Zakładu 9 warsztatów, mianowicie: kowalstwa, ślusarstwa, blacharstwa, stolarstwa, bednarstwa, stelmastwa, siodlarstwa z rymarstwem i lakiernictwem, krawiectwa i szewctwa; z tych pierwsze siedm wyłącznie dla chłopców, a ostatnie dla chłopców i dziewcząt. Prócz tego, dla chłopców i dziewcząt mają być zaprowadzone koszykarstwo i introligatorstwo, nadto mają się uczyć ogrodnictwa i sadownictwa. Pracą w warsztatach kierują właściwi majstrowie; ogólne zaś kierownictwo nad niemi sprawuje naczelnik warsztatów.

Obok tego dla uzupełnienia wykształcenia sierot wprowadza komisya dla chłopców: całkowity kurs techniczny, a dla dziewcząt, wykłady specyalne. Kurs techniczny wedle określenia komisyi „jest to systematyczny szereg wykładów na przeciąg lat trzech z zakresu następujących przedmiotów:

1. Nauki przyrodnicze z szczególném uwzględnieniem płodów i prac natury, ważnych dla rolnictwa i przemysłu.

2. Nauka o materyałach i narzędziach i użyciu takowych w najważniejszych rzemiosłach, oparta na podstawie głównych praw fizyki i chemii.

3. Geografia z szczególném uwzględnieniem stosunków fizyograficznych i statystycznych kraju i monarchii.

4. Historya Polski i Austryi, tudzież najważniejsze wypadki z nowszéj historyi powszechnej, z uwzględnieniem najgłówniejszych zdarzeń w dziedzinie handlu i przemysłu.

5. Arytmetyka i rachunkowość kupiecka.

6. Geometrya wraz z rysunkami geometrycznemi i rysunkiem machin.

7. Rysunki z wolnéj ręki i modelowanie. Oprócz tego ma być w stosowny sposób uwzględniona nauka korespondencyi kupieckiéj i innych form stylu, używanych w stosunkach przemysłowych i handlowych, oparta na ćwiczeniach praktycznych tudzież lektura w języku polskim i niemieckim“ (art. 21 stat. org.).

Dla dziewcząt mają być w miarę potrzeby urządzone oddzielne wykłady z zakresu nauk przepisanych dla szkoły wydziałowéj, szczegółowo zaś podawane im będą wiadomości, tyczące się gospodarstwa domowego, folwarcznego i ogrodnictwa, tudzież hygieny (art. 22 stat. org.).

Na kurs techniczny przeznacza się 18 godzin tygodniowo; wykłady odbywają się w godzinach porannych (art. 23 stat. org.).

Widzimy tedy, że komisya wprowadza cały system szkolny, z planem, klasyfikacyą, rozkładami i mnóstwem wykładanych przedmiotów. Jeżeli teraz porównamy te innowacye z paragrafami statutu skreślonego przez hr. Skarbka (§ 23 i nast.), w których tenże poleca, aby dzieci uczyły się czytać, pisać, rachunków, języka niemieckiego i polskiego, tudzież aby chłopcy uczyli się rzemiosł od osiedlonych obok zakładu majstrów, a dziewczęta szyć, prząść i gotować, to będziemy mieli wyobrażenie, jak dalece „wielka wzorowa szkoła rzemieślnicza“ pomysłu komisyi odbiega od zakładu wychowawczego dla sierot, o jakim myślał fundator.

Naturalną konsekwencyą téj zmiany było, że kwestyą w y c h o w a n i a w ścisłém tego wyrazu znaczeniu Komisya mniéj się zajmowała. Naukę religii i moralności powierzyła dwom księżom obrządku rzymsko-katolickiego i grecko-unickiego, tak jak w każdéj szkole; ale szczegółowego programu wychowania religijno-moralnego opuszczonéj dziatwy, któryby obowiązywał wszystkich urzędników zakładu, ułożyć za właściwe nie uznała. Bezpośredni nadzór nad sierotami poza obrębem szkoły i warsztatów powierzyła tak zwanym dozorcom i dozorczyniom, których ma być tyle w zakładzie, aby na każde 50 sierot przypadał jeden dozorca resp. jedna dozorczyni. Prócz tego nad porządkiem domowym w salach, tudzież nad karnością i zachowaniem się sierot w czasie spoczynku lub przy pracy czuwać ma ochmistrz i ochmistrzyni. Kary są następujące: skarcenie, usunięcie od wspólnych ćwiczeń i rozrywek: zmiana lub uszczuplenie jadła, odosobnienie, w nadzwyczajnych wypadkach kara cielesna. Brutalne obchodzonie się jest surowo zabronione. Oto wszystko, co statut organizacyjny w téj mierze zawiera.

Pod względem o d p r a w i e n i a sierot Komisya trzyma się pierwiastkowego statutu; i tu wszakże—z uzupełnieniami i zmianami, wypływającemi ze zmian zasadniczych. Sieroty tak wykształcone, że mogą się same własną pracą utrzymać, odprawiają się z zakładu, przyczem stosownie do przyjętego terminu 7-mioletniego pobytu w zakładzie, komisya zastrzega, że chłopiec nie może być odprawiony przed skończeniem lat 15, a dziewczyna przed skończeniem lat 14. Instytut stara się o stosowne umieszczenie odprawianych sierot; wydaje im świadectwa o uzdolnieniu w rzemiosłach i zachowaniu się w czasie pozostawania w zakładzie; udziela w miarę możności zaliczek na odbycie wędrówek; wreszcie daje wyprawy i zaliczki na urządzenie własnego gospodarstwa.

Oddziałem dla ubogich komisya nie zajmowała się wcale, uważając go zamniéj ważny, a nawet poniekąd tolerując go tylko ze względu na wyraźną wolę fundatora. Zredukowawszy liczbę miejsc w tym oddziale do 50, ograniczyła się zresztą na wprowadzeniu do statutu organizacyjnego rozdziału: „O przyjmowaniu ubogich“ pierwiastkowego statutu z pominięciem jedynie dwóch ostatnich artykułów pomienionego rozdziału.

Radykalna zmiana charakteru oddziału dla sierot t. j. nadanie zakładowi cechy „wielkiéj wzorowéj szkoły rzemieślniczéj“ wywołała potrzebę zmian w ustanowionym przez hr. Skarbka personelu i etacie zakładu. Z tego to właśnie powodu zapewne artykuły XII—XV aktu fundacyjnego zostały uchylone, a zastąpił je artykuł 49 statutu organizacyjnego, którym komisya określiła jak następuje: „Etat funkcyonaryuszów i sług instytutu“

A. Dla zarządu ogólnego:

1.	Dyrektor	2,000 złr.
2.	Kasyer	600 „
3.	Magazynier	600 „
4.	Lekarz z pensyą do wysokości	1,000 „
5.	Pisarz I wikt i	200 „
6.	Pisarz II wikt i	150 „
7.	Odźwierny wikt i ubranie i	120 „
8.	Stróże wikt, ubranie i po	60 „

B. Dla oddziału nauki ogólnéj:

9.	Dwóch nauczycieli starszych 1-szy	700 złr.
	„ „ II-gi	600 „
10.	Ochmistrzyni i nauczycielka starsza wikt . .	400 „
11.	Druga nauczycielka starsza wikt i	300 „
12.	Dwóch kapelanów wikt i po	300 „
13.	Nauczyciel (lub nauczycielka) młodszy I wikt i	300 „
14.	Nauczyciel (lub nauczycielka) młod. II wikt i	240 „

C. Dla oddziału nauki rzemiosł technicznych:

15.	Naczelnik techniczny	1,000 „
16.	Nauczyciel rysunków	700 „
17.	Ogrodnik (nauczyciel ogrodnictwa) . . .	600 „
18.	9-ciu majstrów	5,400 „
19.	Krawcowa i szewcowa wikt i po	240 „

D. Dla nadzoru i gospodarstwa domowego:

20.	Ochmistrz wikt i	400 złr.
21.	Dozorcy wikt, ubranie i po	120 „
22.	Dozorczyni wikt i	100 „
23.	Klucznica wikt i	180 „
24.	Kucharka wikt i	180 „
25.	Praczka wikt i	180 „
26.	Ekonom	480 „

Nadto wspomniany artykuł statutu stanowi, że wszyscy powyżsi funkcyonaryusze będą mieli stosowne pomieszkanie i opał, że wymienieni pod liczbami 8, 9, 10, 12, 13, 14 i 15 pobierać będą po każdych pięciu latach nienagannéj i gorliwéj służby dodatki 10-procentowe, a majstrowie—tantyemę od wyrobionych przedmiotów, że wreszcie jeden z nauczycieli starszych pobierać będzie nadto 100 złr. dodatku za kierownictwo.

Na takich to zasadach opracowany został przez komisyą „statut organizacyjny zakładu sierot i ubogich w Drohowyżu," który pod dniem 16 kwietnia 1875 roku pozyskał zatwierdzenie c. k. Namiectnictwa i który służył za podstawę przy urządzeniu zakładu. Statut też ten i wydane w jego rozwinięciu regulamina obowiązują obecnie w Zakładzie.

Przyglądając się dziejom fundacyi z owego 27-letniego peryodu przygotowawczego, trudno się oprzeć przykremu wrażeniu. Mimowoli nasuwa się pytanie, jakim sposobem stać się mogło, ażeby milionowa fortuna na użytek publiczny i na cel z góry określony oddana, przez ćwierć wieku z górą leżała bezczynnie i żadnych nie przyniosła owoców. Urzędowe zródła fundacyi składają całą winę na tei atralny przywiléj i administracyą rządową. Być może, że się mylimy, ale to objaśnienie nie wydaje nam się dostatecznem. Ś. p. Stanisław hr. Skarbek wolę swoję wyraził formalnie; akta fundacyjne żadnym zarzutom prawnym nie podlegały. Jeżeli więc po jego zgonie rząd nieprawnie zawładnął majątkiem fundacyi, to kuratorowi nie wolno było patrzeć z założonemi rękami na bezprawie, ale należało, nie czekając na zaprowadzenie w kraju konstytucyjnych rządów, na drodze sądowéj praw swoich dochodzić. Gdy zaś nie ma śladu, aby jakiekolwiek kroki w tym kierunku były przedsiębrane przeto winę strat, które kraj poniósł z tytułu administracyi rządowéj w znacznéj części chyba kuratoryi ówczesnéj przypisać należy A daléj—czémże usprawiedliwić ową powolność działania już po zaprowadzeniu rządów konstytucyjnych i po objęciu zarządu fundacyi przez księcia Jabłonowskiego i radę zarządzającą? Wszakże od owéj chwili do dnia otwarcia zakładu upłynęło całych lat dziewięć na rozprawach, dyskusyach, rokowaniach i przeróżnych przygotowawczych czynnościach, a przez ten czas dochody z milionowéj fundacyi tonęły w jakiejś bezdennéj otchłani.

I znów—przywiléj teatralny i nieszczęsny teatr niemiecki. Ależ chyba niejeden taki teatr możnaby utrzymać, gdyby majątkiem fundacyi administrowano należycie! Przypuśćmy nawet, że ów teatr wedle objaśnień źródeł urzędowych, pochłonął 300,000 złr. że drugie tyle kosztowało wybudowanie gmachu w Drohowyżu; to, czyż suma 600,000 złr. wyobraża istotnie dochód, który przez lat 27 można było osiągnąć z fortuny, dochodzącéj wartości 3 milionów

złr.? Gdzież reszta dochodu, a nadewszystko gdzież szczegółowe i dowodami usprawiedliwione rachunki z lat 27-miu? Dopóki kraj nie ma szczegółowych w tym względzie wyjaśnień, dotąd ma zasadę przypuszczać, że obok przyczyn niezależnych, kryje się w téj sprawie co najmniéj świadome i samowolne niedbalstwo. Dopókąd nie będzie udowodnione, że w celu uchronienia kraju od tych strat dotkliwych nic zrobić nie było podobna, dotąd wina zmarnowania grosza publicznego ciążyć będzie zarówno na pamięci nieżyjącego pierwszego kuratora fundacyi jak i na wszystkich tych, którzy zgodnie z aktem fundacyjnym, do czuwania nad jéj całością w owym peryodzie byli powołani.

Ale—rzućmy tymczasem zasłonę na przeszłość, która się nie wróci i przyjrzyjmy się temu, co późniéj, gdy już lepsze nadeszły czasy, zrobiono w wykonaniu woli fundatora i o ile wolę tę uszanowano.

Widzieliśmy z dokumentów zasadniczych, że ś. p. Skarbek miał zarówno na celu stworzenie zakładu dla sierot jak i przytułku dla ubogich oraz że stosunek liczebny jednego do drugiego oznaczył na 3 : 2 (600 sierot i 400 ubogich). Wykonawcy jego woli uważali za właściwe zakładowi dla sierot zapewnić miejsce uprzywilejowane a przytułek dla ubogich ograniczyć do możliwego minimum: oznaczając stosunek liczebny pierwszego do drugiego na 8 i 1 (400 sierot i 50 ubogich). Być może, że zmiana taka w potrzebach chwili znajdowała usprawiedliwienie; czy jednak komisya i Wydział krajowy nie przekroczyły w tym razie służącego im prawa—to kwestya, gdy § X, aktu fundacyjnego wyraźnie zastrzega, że zmiany w statutach mogą być dokonywane jedynie bez „naruszenia celu zakładu.“

Widzieliśmy daléj, że w zakładzie dla sierot fundator miał na widoku współrzędnie dwa cele: filantropijno-wychowawczy i ekonomiczno-społeczny. Wykonawcy, tworząc „wielką wzorową szkołę rzemieślniczą,“ rozwinęli myśl fundatora głównie w tym ostatnim kierunku z zaniedbaniem pierwszego. Skarbek chciał wprawdzie dostarczyć krajowi praktycznie uzdolnionych rzemieślników, ale pragnął zarówno jak największéj liczbie sierot dać przytułek i wychowanie. Wykonawcy, rozszerzając zakres technicznego wykształcenia daleko poza plan, który sobie zakreślił fundator, powiększyli przez to samo koszta utrzymania zakładu, a co za tém idzie zmniejszyli liczbę sierot, które z dobrodziejstwa fundacyi korzystać mogą. I znów—być może „że podobna zmiana odpowiadała chwilowym potrzebom Galicyi, ale znów wątpliwość, ażali Wydział krajowy miał do jéj wprowadzenia prawo, ażali tak dowolnie interpretując myśli fundatora, nie postąpił wbrew jego woli i „nie naruszył celu zakładu?“

Skłonni jesteśmy dać na to pytanie odpowiedź twierdzącą. Mniemamy bowiem, że każdy zakład dla sierot winien mieć przedewszystkiém na celu wychowanie a dopiero późniéj wykształcenie.

Dziecko, które do lat 6—10 wychowywało się bez troskliwéj rodziców opieki, potrzebuje przedewszystkiém gorliwéj pracy nad rozwinięciem w niem umysłu i serca, nad wykorzeniem złych nałogów i skłonności, których, żyjąc w zupełném opuszczeniu, nabrać mogło. Każdy taki zakład jest do pewnego stopnia instytucyą poprawczą i nad umoralnieniem zaniedbywanych dzieci pracować powinien. Ani szkoła elementarna, ani warsztat, ani kurs techniczny sam przez się duszy nie rozwinie i charakteru nie stworzy. O tém zdawała się zapominać komisya organizacyjna, która, tworząc jakieś rzemieślnicze uniwersum, tam, gdzie Skarbek chciał mieć zwyczajne warsztaty dla sierot, zaniedbała w pewnéj mierze stronę wychowawczą.

Oto dzieje fundacyi, poprzedzające chwilę otwarcia Drohowyzkiego zakładu i uwagi, które one, piszącemu z natury rzeczy nasunąć się musiały. Do niektórych z tych uwag w następnym paragrafie powrócić nam jeszcze przyjdzie.

§ 2. *Fundacya w chwili bieżącéj (1875—1888).*

Dzień 24 października 1875 roku jest epoką w dziejach fundacyi Skarbkowskiéj; w tym dniu bowiem zakład w Drohowyżu uroczyście został otwarty; myśl szlachetnego ofiarodawcy, aczkolwiek nie zupełnie ściśle zachowana, nareszcie w czyn się zamieniła.

Szczegółowy opis uroczystości otwarcia podała Gazeta Lwowska a powtórzyła go za nią „Biblioteka Warszawska“ w zeszycie z miesiąca grudnia 1875 roku, tam więc po te szczegóły czytelnika odsyłając, przechodzimy do dalszéj historyi zakładu.

Dzieje fundacyi w ciągu ostatnich lat dwunastu—to mniéj lub więcéj dokładne wprowadzanie w życie myśli zawartych w statucie organizacyjnym z r. 1875. Mówimy mniéj lub więcéj dokładne; wiadomo nam bowiem, że w krótkiéj historyi zakładu były chwile takich zboczeń, które zdolne byłyby poruszyć w grobie zacnego ofiarodawcę, a których winy nie chcielibyśmy przypisywać w całości pierwiastkowym wykonawcom woli fundatora. Że jednak szerokie ich aspiracye do stworzenia „wzorowéj szkoły rzemieślniczéj“ powodowały zaniedbanie strony wychowawczéj w urządzeniu zakładu a więc pośrednio i owych zboczeń przyczyną się stały, to nam się wydaje więcéj niż prawdopodobném.

Szczęśliwszemi momentami tych dziejów było najprzód powierzenie w 1882 oddziału dla dziewcząt siostrom Felicyankom z Krakowa, a następnie objęcie zarządu fundacyi w r. 1885 przez obecnego kuratora, Henryka hr. Skarbka. Zanim jednak usprawiedliwimy to nasze twierdzenie, rozejrzyjmy się najprzód w całości 13-letnich dziejów fundacyi.

Załączona poniżéj tablica przedstawi nam dokładnie całą historyą Drohowyzkiego zakładu, o ile tę historyą suche cyfry unaocznić mogą.

WYKAZ

wychowańców i wychowanic oddziału sierot w Zakładzie Drohowyskim

ROK	Przyjęto			Ubyło z zakładu							Pozostawało z końcem roku		
	chłopców	dziewcząt	Razem	przez wyzwolenie na czeladników lub przysposobienie na służące		przez wydalenie lub uwolnienie przed ukończeniem nauk		przez śmierć		Razem	chłopców	dziewcząt	Razem
				chłopców	dziewcząt	chłopców	dziewcząt	chłopców	dziewcząt				
1875	78	42	120	—	—	—	—	—	—	—	78	42	120
1876	47	23	70	—	—	—	—	2	3	5	123	62	185
1877	38	22	60	—	—	1	—	4	2	7	156	81	238
1878	47	22	69	—	—	1	—	1	1	3	201	103	304
1879	34	21	55	—	—	3	2	—	1	6	232	121	353
1880	21	16	37	—	—	2	1	1	2	6	250	134	384
1881	18	18	36	17	—	3	—	—	2	22	248	150	398
1882	23	17	40	16	12	1	2	2	2	35	252	151	403
1883	28	20	48	20	13	7	2	3	—	45	250	156	406
1884	4	27	31	7	23	5	9	2	2	48	240	149	389
1885	38	3	41	25	12	28	9	2	1	77	223	130	353
1886	62	43	105	35	25	48	9	2	3	122	200	136	336
1887	38	16	54	15	13	22	4	—	1	55	201	134	335
Razem	476	290	766	135	98	121	38	19	20	431			

W oddziale dla ubogich znajdowało się:

Rok	chłopców	dziewcząt	Rok	chłopców	dziewcząt	Rok	chłopców	dziewcząt
1876	—	6	1881	—	19	1886	—	33
1877	—	9	1882	—	69	1887	—	50
1878	—	18	1883	—	18			
1879	—	19	1884	—	19			
1880	—	20	1885	—	28			

STATYSTYCZNY

za czas od 24 października 1875 r. po koniec r. 1887.

Podług religii było				Uczyło się w szkole ludowej		Chłopców uczyło się w warsztatach											Dziewcząt uczyło się na kursie praktycznym
Rzymsko-katolickiej		grecko-unickiej				ślusarski	kowalski	stolmański	stolarski	krawiecki	szewcki	blacharski	lakierniczy	rymarski	w ogrodzie	w piekarni	Razem	
chłopców	dziewcząt	chłopców	dziewcząt	chłopców	dziewcząt													
62	30	16	12	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
101	46	22	16	123	62	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
126	64	30	18	125	82	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
165	82	36	21	176	98	12	2	2	3	3	3	—	—	—	—	—	25	5
194	98	38	23	176	109	16	9	7	8	8	8	—	—	—	—	—	56	12
211	107	39	27	166	111	24	14	9	12	9	11	5	—	—	—	—	84	23
214	122	34	28	144	115	27	16	13	15	11	13	9	—	—	—	—	104	35
208	121	44	30	135	97	25	18	12	16	13	15	12	2	3	1	—	117	54
206	124	44	32	136	99	28	17	15	16	11	12	7	2	3	1	2	114	57
200	121	40	28	129	95	33	17	16	15	13	10	—	2	1	2	2	111	54
182	110	41	20	110	66	28	16	17	11	17	17	2	1	1	2	1	113	64
168	120	32	16	108	80	19	12	12	11	12	12	4	2	2	4	2	92	56
163	115	38	19	117	65	19	11	7	10	12	11	5	3	4	2	—	75	69

Dla uzupełnienia powyższego obrazu dodajmy, że w ostatnim roku z liczby 355 sierot znajdujących się w zakładzie 50% było sierot bez ojca i matki, 45% sierot mających jedno z rodziców oraz 5% dzieci mających oboje rodziców; prócz tego z ogólnéj liczby było 10% dzieci nieślubnych.

Koszt dziennego utrzymanie sieroty administracya oblicza w przecięciu na 70 centów; z tego przypada na wikt około 20 centów.

Wedle przytoczonych powyżéj danych od czasu otwarcia zakładu aż po koniec roku 1887 przyjęto dzieci 766; z tego: przysposobiono do odpowiednich zajęć 233; wydalono lub uwolniono przed ukończeniem nauk 159; umarło 39; zaś 355 pozostało na rok 1888.

Zgodnie z przyjętym systemem przez pierwsze trzy lata wszystkie dzieci pobierały tylko naukę elementarną; w roku 1878 otwarto warsztaty i kursa praktyczne, a pierwszy kontyngens wychowańców przysposobionych do właściwych zajęć opuścił Zakład w 1881 r.

Jeżeli zważymy że liczba 233 wychowańców i wychowanic wykwalifikowanych stanowi jedyny owoc dwunastoletniéj egzystencyi zakładu, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy nie jestto za mało i czy wobec rozporządzalnych środków fundacyi, nie należałoby oczekiwać liczebnie większych rezultatów.

Wszakże już przy samém otwarciu zakładu większe rezultaty były przewidywane. Z przytoczonych cyfr okazuje się, że tylko w latach 1882 i 1883 liczba sierot w zakładzie przekraczała ustanowioną normę (400), w pozostałych latach nigdy jéj nie dosięgała, a od r. 1883 nie tylko nie powiększa się, jakby należało, ale przeciwnie stale ulega zmniejszeniu.

Daléj—uderzającą jest cyfra 159 dzieci wydalonych lub uwolnionych z zakładu przed ukończeniem nauk. Porównywując tę cyfrę z cyfrą 233 wykwalifikowanych wychowańców i wychowanic, okazuje się, że na 3 wykwalifikowanych przypada 2 wydalonych. Pochodzi to zapewne wskutek zbyt częstego stosowania artykułu 29 statutu organizacyjnego, który upoważnia do wydalania z zakładu dzieci nieposłusznych.

Największa liczba owych „wydalonych i uwolnionych“ przypada na lata 1885, 1886 i 1887, t. j. po objęciu zwierzchniéj władzy przez obecnego kuratora. Być może, iż dziedzictwo moralne, przejęte od poprzedniego zarządu, zmuszało na razie do tego rodzaju puryfikacyi zakładu; to też jednorazowego zastosowania wspomnianego wyżéj przepisu, skoro już przepis taki do Ustawy został wprowadzony, za złe brać nie można; sądzimy wszakże, że stosowanie go stałe byłoby całkiem niewłaściwe.

Prawda, że zakład Drohowyski nie jest instytucyą karno-poprawczą, ale nie jest téż, a przynajmniéj być nie powinien wyłącznie szkołą. Pamiętać należy, że jest to internat i że jest przeznaczony dla sierot; że więc jego zadaniem jest nie tylko kształcenie dzieci

w rzemiosłach i przysposabianie do pracy zawodowéj, ale nadto i przedewszystkiem ich wychowywanie i zastępowanie im poniekąd opieki rodziców. Jeżeli sierota, która wedle ustawy w wieku od lat 6-iu do 10-iu do zakładu przybywa, nie chce się stosować do przepisów instytutu (art. 29), to któż temu winien, jeżeli nie sam instytut, który tak młodej latorośli do posłuszeństwa i porządku nagiąć nie potrafi. Nic łatwiejszego jak dziecko nieposłuszne i knąbrne wydalić, ale to nie jest chyba cel wychowawczego zakładu. To też stałe uciekanie się do tego środka dawałoby smutne świadectwo o pedagogicznych zdolnościach kierowników zakładu. Dzieci wydalone lub uwolnione przed czasem uważać trzeba tak niemal, jak gdyby wcale w zakładzie nie były a koszta, które zakład poniósł na ich utrzymanie i kształcenie za stracone prawie. Jeżeliby tedy stale $^1/_3$ część wychowańców i wychowanic zakładu przechodziła do kategoryi wydalonych i uwolnionych przed czasem, to znaczyłoby że $^1/_3$ część dochodów fundacyi idzie na marne.

Niewłaściwym wreszcie wydaje nam się stosunek liczebny sierot bez ojca i matki do dzieci, mających oboje lub jedno z rodziców. Wszakże fundator wyraźnie zastrzegł, że zakład Drohowyski ma być przedewszystkiem instytucyą dla sierot „bez ojca i matki“ (art. 19 ust. zas.). Ponieważ w zakładzie znajdowało się z początkiem roku 1888 ogółem 355 dzieci, a z tego połowa tylko było sierot bez ojca i matki, przeto nasuwa się wątpliwość, czy istotnie w całéj Galicyi nie ma więcéj nad 167 sierot, kwalifikujących się do przyjęcia do zakładu, czy też stosunek ten pochodzi z niedość ścisłego przestrzegania woli fundatora?

Jeżeli teraz od cyfr i sprawozdań przejdziemy do wrażenia, które się odnosi przy zwiedzaniu zakładu, to zaznaczyć wypadnie wrażenie dobre, ale nie bezwzględnie.

Przyznać trzeba, że zakład posiada wszelkie warunki po temu, aby się doskonalił i rozwijał. Ogromny budynek w zdrowém i otwartém miejscu pomieszczony. Wewnątrz: sypialnie, sale warsztatowe i szkolne obszerne, jasne i należycie przewietrzane. W szerokich ogrzewanych w zimie kurytarzach umywalnie z wodociągami i zlewami. W sypialniach łóżka żelazne, pościel prosta, lecz dostatnia i porządnie utrzymana. Odzież zimowa i letnia w zupełności potrzebom odpowiadająca. Żywność przyrządzona dobrze i smacznie. Nic też dziwnego, że zjazd pedagogiczny odbyty w roku 1886 we Lwowie, po zwiedzeniu Drohowyża, dał o zakładzie bardzo pochlebne świadectwo... „Nigdzie nie znaleźliśmy — pisze członek owego zjazdu do „Kłosów“ — najmniejszego uchybienia czy to pod względem konstrukcyi czy hygieny, słowem gmach to wzorowy, o jakim inne tego rodzaju zakłady marzyćby tylko mogły „Kłosy“ z r. 1886 Nr. 1110). Dodajmy do tego, że wychowańcy robią wrażenie korzystne: w szkole odpowiadają na zapytania przytomnie, w warsztatach zda-

ją się pracować ochoczo; a choć wyroby warsztatowe nie zwracają na siebie szczególnéj uwagi, muszą jednak być wykończone dobrze, skoro wedle objaśnień sprawozdawczych — łatwy znajdują odbyt.

Mimo to wszystko, nawet przy powierzchownem obznajmieniu się z obecnym kierunkiem zakładu dają się tu uczuwać pewne braki, będące naturalném następstwem przyjętego systemu. Szkołę widać tu wszędzie; zakładu wychowawczego trzeba się domyślać. Łatwo też dostrzedz, że nie wszyscy przewodnicy zakładu są z nim zespoleni duchem, że wielu sprowadziły tu koleje ich życia, los niepożądany, ale nie świadoma chęć poświęcenia się dla ubogiéj dziatwy, że przyszli tu za chlebem raczej niż z powodu rzetelnego umiłowania pięknych celów instytucyi. Są to u r z ę d n i c y fundacyi, którzy z poczucia obowiązku mogą pełnić swoję służbę najsumienniéj, ale jako przelotne ptaki pedagogii nie zawsze potrafią pełnić ją należycie. Dodajmy, że pomiędzy nimi są eks-wojskowi, których życie schodziło w bojach, pochodach albo w wojskowych koszarach, ale nie przy dzieciach. To też uderzają w zakładzie jakby jakieś reminiscencye militaryzmu i mimowoli budzi się obawa, ażali środki wojennéj dyscypliny nie są stosowane w nazbyt szerokim zakresie. Bo chociaż to środki przy wychowaniu męzkiej dziatwy dobre, lecz w pewnéj mierze jedynie; nie wystarczają one atoli tam, gdzie się ma do czynienia z dziećmi w wieku od lat 6-iu począwszy, a niewłaściwie stosowane i nie wspomagane innemi środkami, częstokroć niepowetowaną szkodę przynieść mogą.

Całkiem odmienne pod tym względem wrażenie robi oddział dziewcząt, pozostający, jak wspomnieliśmy, od roku 1882 pod sterem sióstr Felicyanek z Krakowa. Oddział ten, o ile nam się zdaje, prowadzony jest pod każdym względem bez zarzutu.

Czystość nieposzlakowana wszędzie; w salach, sypialniach, na kurytarzach, w szafkach z odzieżą najdrobniejszego nie spotkasz pyłku. A ów ład i porządek wzorowy panuje nie tylko we właściwym oddziale dla dziewcząt, ale i w oddziale gospodarstwa kobiecego dla całego zakładu, którym to oddziałem zawiadują również Felicyanki; tak — że granice ich dziedziny w gmachu zakładowym zarysowują się bardzo wyraźnie.

Dziewczęta schludnie odziane, wyglądają dobrze, są śmiałe, skromne i swobodne zarazem, a na ich twarzach rumianych maluje się ten dziwny spokój i ta pogoda, które im się udzielają od ich zacnych przewodniczek, a których tajemnicę posiadają wyłącznie owe święte chrześciańskie dusze, Bogu tylko i obowiązkom swoim w całości oddane. Dość krótką chwilę w owym oddziale przebyć, aby się przekonać, że Felicyanki a jak je tu nazywają „mateczki,“ są nie tylko nauczycielkami szycia, prania, prasowania i gotowania, ale istotnemi m a t k a m i s i e r o t, że nie tylko o przysposobienie uzdolnionych sług i robotnic im chodzi, ale nadewszystko o wycho-

wanie uczciwych, zacnych i pożytecznych kobiet. Oto — dlaczego nazwaliśmy chwilę objęcia przez Felicyanki oddziału dla dziewcząt szczęśliwym momentem w dziejach Drohowyskiego zakładu.

Za drugi szczęśliwy moment w owych dziejach uznaliśmy chwilę objęcia zarządu fundacyi przez Henryka hr. Skarbka. Rzutkością, przedsiębierczością i słusznem lekceważeniem przesądów, które w uczciwéj pracy ujmę widzieć każą, obecny kurator przypomina piękną postać fundatora, a choć pod innemi względami może nie jest blizkim swego pierwowzoru, niemniéj ożywiony najlepszemi dla fundacyi chęciami, daje rękojmię, że przy pomocy osób kompetentnych wspaniałe dzieło swojego krewnego ugruntować i na lepsze tory wprowadzić potrafi.

Zadanie hr. Skarbka niełatwe; tém trudniejsze, że moralny spadek, który odziedziczył, nie należy do najświetniejszych. Ulepszenia administracyjne w celu podniesienia dochodów fundacyi oraz reformy w zakładzie Drohowyskim w widokach dokładniejszego urzeczywistnienia myśli fundatora, oto — gdzie wedle naszego mniemania zmierzaćby powinien.

Zbyt mało znamy maszynę administracyjną fundacyi i warunki jéj działalności, abyśmy śmieli wypowiadać zdanie, jakiemi drogami pierwszy cel osiągnąć można. Co do drugiego, jakkolwiek w pewnéj mierze zawisł od skuteczności usiłowań podjętych w pierwszym kierunku, sądzimy, że głównéj podstawy do reform w zakładzie szukać trzeba nie gdzie indziéj jedno w aktach zasadniczych fundacyi, od których wykonawcy woli fundatora zbyt może daleko odbiegli. Należałoby może wyrzec się w części szerokiéj aspiracyi komisyi organizacyjnej, a powrócić do skromnych, ale pewniejszych i obfitsze rokujących owoce dążeń fundatora: należałoby zrezygnować, z „wielkiéj wzorowéj *szkoły rzemieślniczéj*“ z małą liczbą uczniów a z jeszcze mniejszą liczbą wychowańców, a dążyć do stworzenia w Drohowyżu zgodnie z wolą fundatora, kształcącego w rzemiosłach *zakładu wywychowawczego* dla 600 sierot, oraz przytułku dla 400 ubogich.

Jedną z największych trudności w urzeczywistnieniu pierwszéj części tego zadania będzie niewątpliwie wyszukanie odpowiedniego personelu do kierowania zakładem. Kandydatów znalazłoby się niezawodnie podostatkiem, ale po większéj części będą to zawsze ludzie, którzy Drohowyż uważaliby za chwilowy dla siebie przytułek, i którzy marzyliby tylko o tém, aby czemprędzéj na szerszy świat wypłynąć i zrobić karyerę. Będą to, jak powiedzieliśmy, przelotne ptaki pedagogii.

Najpewniejszym środkiem w tym razie byłoby urzeczywistnienie myśli ks. Jabłonowskiego i oddanie kierownictwa zakładu w ręce jednego z męzkich zakonów Galicyi. Tylko zakonnicy bowiem, którzy żadnych aspiracyi dla siebie nie mają i przed któremi powaby świata są zamknięte, mogą podonemu zadaniu sprostać. Wymowny

przykład oddziału dla dziewcząt powinienby być tutaj przekonywającym.

Kreśląc powyższe uwagi, nie pretendujemy wcale do nieomylności. Znajdą się może głosy bardziéj rzeczy świadome, które wykażą bezzasadność naszych poglądów, dowodząc bądź to, że fundacya skarbkowska żadnym nie podlega zarzutom, bądź téż że dla jéj udoskonalenia inne skuteczniejsze środki przedsięwziąć należy. Cel niniejszego artykułu będzie osiągnięty, jeżeli materyał w nim zawarty do przerwania mało pouczającego milczenia owe głosy nakłoni.

METAFIZYKA WSPÓŁCZESNA.*)

PRZEZ

Wincentego Lutosławskiego.

Kilkadziesiąt lat temu, August Comte zapowiadał koniec epoki metafizycznéj w dziejach ludzkości, i głosił początek nowéj ery pozytywnéj, w któréj ludzie mieli porzucić wszelkie rozumowania a priori i wiedzę swą opierać jedynie na faktach. Ten pozytywizm Comte'a znalazł licznych wyznawców i odtąd w XIX stuleciu metafizyka straciła poważanie w wielu kołach; często nazywano mrzonkami jéj wywody, które starano się zwalczać „w imieniu nauki.“ Pomimo tego zawsze jeszcze byli tacy, którzy także „w imieniu nauki“ dowodzili istnienia prawd metafizycznych, i uważali je za równie niezachwiane, jak prawdy innych nauk. Nawet w uniwersytetach niektórzy profesorowie wykładali metafizykę i nie zabrakło im słuchaczów. Nareszcie w ostatnich dziesiątkach lat ruch na polu metafizyki wzmógł się, większa część czasopism filozoficznych pomieszcza artykuły z zakresu metafizyki i zdaje sprawę z dzieł metafizycznych. Jednocześnie znamy ludzi wykształconych, rozumnych, wymownych, którzy prześladują metafizykę tak, jakby była rodzajem obłąkania, i dla których słowo „metafizyka” oznacza wszelkie fantastyczne pomysły, żadnej podstawy nie mające.

Ta walka metafizyków z pozytywistami nie jest bynajmniéj płodem XIX stulecia: widzimy ją prawie wszędzie i zawsze tam, gdzie istniała metafizyka. Pozytywistami starożytności byli sofiści greccy, przeciwko którym Platon skierował kilka swych najświetniejszych dyalogów. Jeśli zwrócimy uwagę na najnowsze objawy antagonizmu między metafizyką a pozytywizmem, spostrzeżemy, że rzadko kiedy przychodzi do rzeczywistego porozumienia między walczącemi stronami. Pozytywiści opierają się głównie na naukach przyrodniczych — metafizycy zaś najczęściéj nauk przyrodniczych nie znają i dają czasem dowody uderzającéj naiwności, gdy rozumu-

*) Zob. Bibl. Warsz. 1888, t. 3, zesz. sierpień, str. 184—208.

ją o przyrodzie. Za to większa część zapalonych przeciwników metafizyki nie zadaje sobie pracy, aby przeczytać i zrozumieć choć jedno dzieło metafizyczne, i dla tego używa wyrazu „metafizyka“ w zupełnie innem znaczeniu, niż to, które nabył w ciągu historycznego rozwoju téj nauki. Chcąc przeto zapoznać czytelnika z obecnym stanem metafizyki i z głównymi jéj przedstawicielami, winienem przedewszystkiém dokładniéj określić jéj przedmiot i zadanie, aby uniknąć nieporozumień, które spodwodowały tak często zupełnie fałszywe wyobrażenia o téj części filozofii.

Metafizyka, od początku swego istnienia była nauką o bycie, czyli istnieniu w ogóle. Jeśli gwiazdy, minerały, zwierzęta, ludzie, materya, ruch, mogą stanowić przedmiot nauki, to nie można zaprzeczyć, że i pojęcie istnienia jest przedmiotem godnym naukowego badania. Na pozór zachodzi pewna różnica w możliwości badania przedmiotów konkretnych, które znamy z doświadczenia zmysłów naszych, i pojęć ogólnych, które według pozytywistów, nie są dane bezpośrednio przez doświadczenie, tylko wytworzone sztucznie za pomocą abstrakcyi. Przy bliższym namyśle trudność ta znika i możemy się przekonać, że między takim przedmiotem jak gwiazda, a takim jak istnienienie, różnica jest tylko względna, gdyż oba przedmioty są pojęciami ogólnemi. Wszelkie twierdzenia o konkretnéj gwieździe, danéj nam przez bezpośrednie wrażenie zmysłów, nie wychodzą poza granice ciasnego subjektywnego wrażenia. To, co nazywamy prawami lub prawdami astronomii, nie tyczy się wcale pojedyńczego wrażenia naszych oczu, ale całego szeregu wrażeń, z których dopiero astronomia tworzy swoje ogólne pojęcie ciała niebieskiego, wraz z bardzo ogólnemi pojęciami ruchu, szybkości, ciężaru, wielkości tego ciała. Tak samo jest i w innych naukach: wszędzie, nawet w naukach przyrodniczych, przedmiotem nauki nie jest konkretne wrażenie, tylko ogólne pojęcie, które powstało znacznie później niż pierwsze konkretne wrażenia. Jeszcze więcéj: to ogólne pojęcie nigdy nie może znaleźć w doświadczeniu zmysłów swego dokładnego konkretnego obrazu. Nie ma konia, któryby tylko odpowiadał ogólnemu pojęciu konia bez żadnych oznak indywidualnych, nie ma reakcyi chemicznéj, którąby zupełnie odpowiadała używanym dla wyjaśnienia reakcyi formułom, bez żadnych innych towarzyszących jéj przemian, które wśród milionów przypadków zawsze inaczéj nastąpić mogą, wskutek coraz to inszych okoliczności. Jeden z wielkich matematyków marzył o olbrzymiéj formule matematycznéj, którąby obéjmowała dokładny wyraz wszystkich w świecie istniejących ruchów i pozwalała obliczyć wszystkie ruchy, jakie kiedykolwiek nastąpią. Nie tylko praktyczne trudności i niedokładność dotychczasowéj matematyki stoją na przeszkodzie wyrachowaniu takiéj formuły;—jest ona i dla tego niemożliwą, że każda formuła jest

ogólną, a suma ruchów istniejących jest tylko pojedyńczym, konkretnym przypadkiem wśród wielu innych możliwych. Żadna nauka, nawet gdy przepowiada jak astronomia, odkrycie nowych jeszcze nieznanych planet, albo, gdy jak chemia oblicza własności jeszcze nieodkrytych pierwiastków, nawet gdy dojdzie do wytłómaczenia wszystkich konkretnych zjawisk, żadna nauka nie ma i mieć nie może za przedmiot pierwszych, bezpośrednich danych naszéj zmysłowości, tylko ogólne pojęcia, powstające późniéj niż te zmysłowe wrażenia. Niektórzy uczeni sądzą, że te pojęcia ogólne powstają jedynie z wrażeń umysłowych i wskutek tego od nich zależą: jest to pytanie, którego stanowcze rozstrzygnięcie, należy do psychologii— tutaj musimy główny nacisk na to położyć, że żadne z tych pojęć ogólnych nie posiada zupełnego swego obrazu w zmysłowém doświadczeniu. Podobnie jak nie ma rzeczy, którąby tylko istniała, i żadnych przymiotów nie miała, tak samo nie ma żelaza, któreby tylko było żelazem, bez przymieszki najmniejszéj innych pierwiastków. Pomimo tego o żelazie i o innych pierwiastkach istnieje nauka chemii;—tak samo o istnieniu istnieje nauka metafizyki. Żelazo, jako pierwiastek chemiczny, wcale nie jest dla badania przystępniejszém niż istnienie, jako pierwiastek myśli.

W przyrodzie żadnego pierwiastku zupełnie oddzielić od reszty innych nie możemy, tylko do pewnych granic doprowadzamy jednolitość danego ciała. Możemy mieć żelazo, w którém zaledwie ślady są zawarte innych pierwiastków. Za pomocą eksperymentów i rozumowania, przedewszystkiem zaś rozumowania, możemy oznaczyć granice błędów analizy chemicznéj, i wytworzyć naukowe pojęcie „żelaza“ zupełnie inne i dokładniejsze, niż zwykłe wyobrażenie, które niefachowi ludzie mają o „żelazie“. Dla chemika to, co ogół nazywa żelazem, jest mięszaniną różnych pierwiastków, w któréj przeważa pierwiastek, zwany przezeń żelazem, posiadający własności dokładnie zbadane, pomimo tego, że go w zupełności izolować, aby żadnych nie było przymieszek izolować do tego stopnia, praktycznem jest niepodobieństwem. [1]).

Tak samo i metafizyk, jeśli chce stworzyć naukę o istnieniu, będzie musiał poprawić zwykłe wyobrażenia o tym przedmiocie, i ściśle określić pojęcie istnienia wraz z najbliższemi ogólnemi pojęciami, z któremi ono pozostaje w związku.

[1]) Niektórzy chemicy praktyczni, nieobeznani z najnowszemi teoryami chemii, może będą wątpić o dokładności tego twierdzenia. Aby ich przekonać, wystarczy wskazać liczne prace nad reakcyami chemicznemi, które obecnie głównie się drukują w piśmie „Zeitschrift für physicalische Chemie“, wydawaném przez W. Ostwalda, profesora uniwersytetu Lipskiego. W ciągu ostatnich lat 20 dokonano wielkiej ilości eksperymentów, dowodzących, że żadna reakcya chemiczna nie jest zupełną, i że zawsze towarzyszą reakcyi głównéj reakcye drugorzędne, wskutek których obok produktu głównego, powstają mniejsze ilości produktów drugorzędnych.

Przedmiot metafizyki nie jest tak jałowym jak na pierwsze wejrzenie może się wydawać. W naukach przyrodniczych mamy do czynienia ze zjawiskami, i badamy tylko związek zjawisk między sobą. Jakkolwiek na téj drodze odkrywamy pewne złudzenia, i dowiadujemy się naprzykład, że barwy, dźwięki, ciepło możnaby sobie przedstawić jako ruch niewidzialnych cząsteczek, to jednak takie tłómaczenie wcale nie wychodzi poza granice zjawisk, bo sam ruch i samo pojęcie cząsteczek pozostają bez dalszego tłómaczenia. Niektórzy przyrodnicy sądzą, że ruch, przestrzeń, materya, siła, są tak dobrze znanemi pojęciami, że nic nam ich bliżéj nie wyjaśni, bo nie ma nic, coby nam lepiéj było znaném; ale nawet jeśliby tak było, to pragnienie zrozumienia związku między temi pojęciami wystarczy, aby dać początek nauce metafizyki. Do metafizyki należą one dla tego, że istnienie pozostaje w najbliższym z nimi związku i bez nich samo nie może być zrozumianém. To, co istnieje, istnieje w czasie i przestrzeni, jest w ruchu lub nieruchoméM, materyalném lub niemateryalném, źródłem, siłą lub skutkiem ich działania. Ztąd wynika, że w zakres metafizyki wchodzą zasadnicze pojęcia nauk przyrodniczych, pojęcia, które w samych naukach przyrodniczych służą do wytłómaczenia wszystkich zjawisk, pozostając niewytłómaczonemi. Na tém nie koniec, oprócz całego świata zewnętrznego odnosimy pojęcie istnienia i do nas samych. „Ja jestem," to twierdzenie, które lepiéj niż jakiekolwiek inne pozwala nam zrozumieć istnienie. Więc to „ja" także jest przedmiotem metafizyki; istnienie tego „ja" powinno, być w niéj wytłómaczone. Tutaj graniczy metafizyka z psychologią;—ale granice łatwo dadzą się określić: psychologia zajmuje się tém, co się dzieje w świadomości, ciągłemi zmianami, jakie w niéj zachodzą,—metafizyka zaś istnieniem świadomości. Stosunek więc metafizyki do psychologii jest ten sam, co i do nauk przyrodniczych. Możliwą jest dopiero metafizyka, gdy psychologia i nauki przyrodnicze powstały,bo aby rozumować o samém istnieniu, trzeba wprzódy coś wiedzieć o przejawach tego istnienia. Postęp nauk przyrodniczych, który doprowadził do przekonania, że wszystkie zjawiska w nieograniczonéj przyrodzie dadzą się wytłómaczyć za pomocą pojęć ruchu i materyi, wielce ułatwił zadanie metafizyki i ograniczył jéj pole. Tak samo postęp psychologii, gdy dowiódł, że treść naszych wyobrażeń nie tylko nie ma objektywnego istnienia po za nami, jak sądzono w starożytności, ale nawet od zmysłów naszego ciała i od nerwów jest niezależną, ułatwił właściwe pojęcie istoty naszego „ja".

W obec takiéj łączności tych nauk, wydaje się dziwném, że właśnie wśród przyrodników i psychologów znajdujemy tylu przeciwników metafizyki. Trzeba przytém zastrzedz, że przeciwnikami bynajmniej nie są wszyscy przyrodnicy i psycholodzy, a tylko niektórzy: wśród najgłośniejszych i najwięcéj zasłużonych przyrodników i psychologów znajdziemy zwolenników metafizyki. Ilekroć więc któś

występuje przeciwko metafizyce „w imię nauki," postępuje samowolnie, bo w imię nauki można tylko wyrażać twierdzenia powszechnie przez uczonych przyjęte. Nauka psychologii, nauki przyrodnicze, nie mogą wcale decydować o doniosłości metafizyki, bo mają zupełnie inny zakres badań niż ona. Gdy uczony jaki wyraża swój wstręt do metafizyki, nie może on działać w imieniu swéj nauki, tylko w imieniu osobistych swych uczuć. Gdyby w imię nauki można było występować przeciwko metafizyce, i dowodzić, że prawdy uznane przez metafizyków są fałszem, w takim razie nauka musiałaby na miejscu tych fałszów prawdę określić, a prawda w zakresie pojęć istnienia, czasu, przestrzeni, świadomości, byłaby znowu metafizyką, chociażby ją nawet inaczej ochrzcić chciano.

Żadna więc nauka usunąć metafizyki nie może, i tylko osobiste uczucia niektórych ludzi walczą z przedmiotem i zadaniami metafizyki. Zadania uważają oni za niemożliwe do osiągnięcia, przedmiot za nieokreślony. Naturalnie, zarzuty podobne są zbyt ogólne, aby mogły mieć jakieś znaczenie. Metafizyka istnieniem swém dowiodła możliwości choć częściowego rozwiązania swych zadań i bliżéj określiła granice swego przedmiotu; — jeśliby więc kto chciał ją obalić, musiałby zacząć dyskussyą od szczegółów i w takim razie samby został metafizykiem, jeśli metafizykami, według oddawna utartego wyrażenia, nazywamy tych, co prawdę starają się zbadać o pojęciu istnienia i o pojęciach, stojących w najbliższym związku z tém centralném pojęciem.

Jeśli przeto chcemy zrozumieć opór, na który zawsze, i teraz więcéj jeszcze niż dawniéj napotykała metafizyka, nie znajdziemy wytłómaczenia tego oporu w argumentach, przytaczanych przez pozytywistów, bo żadne ogólne argumenta nie mogą dowieść niemożliwości lub zbyteczności nauki istniejącéj. Gdyby jakiekolwiek argumenta mogły obalić część wywodów jakiej nauki, przez to weszłyby do treści téj nauki i saméj naukiby nie obaliły. Lavoisier, dowodząc, że teorya flogistonu jest fałszywą, nie tylko chemii nie obalił, ale rozwinął ją bardzo. Tak samo Kant, gdy przez swoję krytykę czystego rozumu zniszczył prawie wszystkie poprzedzające systematy metafizyczne, stworzył nie tylko sam nową metafizykę, ale dał fundament dla wszystkich metafizyków przyszłości.

Z prawdziwie naukowego punktu widzenia powinniśmy zatem odrzucić filipiki przeciwko istnieniu metafizyki, jako nienaukowe; poważną zaś krytykę pojedyńczych działów metafizyki uważać za przyczynek do postępu téj nauki. Metafizycy gardzą napadami na samo istnienie ich badań, i za najlepszą odpowiedź na te napady uważają usilną pracę na polu wybranéj przez nich nauki. Jednak sprawozdawca z jéj obecnego stanu winien czytelnikowi przynajmniéj psychologiczne wytłómaczenie tych osobistych wrażeń, które pozytywistów prowadzą do lekceważenia metafizyki, i do przechwalania ich własnéj metody, mającéj być opartą na „faktach," a jednak

mającéj do czynienia zawsze tylko z ogólnemi pojęciami, którym żaden f a k t zupełnie odpowiadać nie może. Ta psychologiczna analiza wrażeń jest tém więcéj pożądaną i może być zajmującą dla czytelnika, że poglądy, oparte na tego rodzaju wrażeniu, panują nie tylko wśród uczonych, ale nader są rozpowszechnione i wśród ludzi po za nauką stojących.

Spór metafizyków z pozytywistami, to ostatni wyraz tego dawnego sporu między teoretykami a praktykami, uczonymi a technikami, filozafami a politykami, rozumem a zdrowym rozsądkiem. Od czasów Arystofanesa komedyopisarze, stojący na stanowisku zdrowego rozsądku, ośmieszali czysty rozum, teoryą bez zastosowań, politykę bez władzy. Do dnia dzisiejszego widzimy na scenie teatrów karykatury uczonych, od „Pedantów“ Moliera, aż do „Świata nudów“ Paillerona. Te same poglądy, które genialni poeci wygłaszali, przedstawiając w swych komedych parodyą nauki i uczonych, kierują także tymi uczonymi, którzy powstają na metyfizykę. Każda praktyka zawiera w sobie trochę teoryi, każda technika trochę nauki, każda polityka trochę filozofii, a zdrowy rozsądek tworzy się z materyałów najlepiéj wyprobowanych przez rozum. Granice między temi parami pojęć są względne, tak jak względną jest różnica między celem a środkiem. Każdy cel może być środkiem do wyższego celu, teorya wyda się praktyką w porównaniu z teoryą, która mniéj ma zastosowań. W starożytności polityk, żądający zniesienia niewoli, byłby uważanym za niepraktycznego filozofa; dziś takie żądanie w sobie nic nie ma filozoficznego ani też niepraktycznego, i jest stawiane i wykonane przez praktyków-polityków, rachujących się z warunkami rzeczywistości. Tak samo na polu techniki było dawniéj teoretyczne wykształcenie lekceważone, dziś coraz to więcéj staje się niezbędném, ale zawsze istnieje i istnieć będzie kontrast i walka teoryi z praktyką, bo teorya coraz to nowe będzie tworzyła prawdy, których zastosowanie będzie przedstawiać trudności i wyzywać będzie konkurencyą praktycznie już ustalonych sposobów działania.

Z tych przykładów widzimy, że myśl ludzka zawsze daléj sięga niż mogą iść jéj zastosowania i praktyczne konsekwencye. Te formy myśli, które już przyoblekły żywe ciało, to jest zostały zastosowane i praktycznie spożytkowane, wskutek swego widocznego i dowiedzionego powodzenia, mają dla niektórych ludzi pierwszeństwo przed późniejszemi, mniéj jasno sformułowanemi formami myśli, które jeszcze ciała nie mają, jeśli wolno tak obrazowo wyrażać stosunek zupełnie abstrakcyjny. Inni znowu ludzie, nie zważając na możliwe zastosowania, przywiązują się do myśli dla prawdy, którą w nich widzą, i pragną zakres myśli rozszerzyć, nie dbając o praktyczne zastosowania i o widoczny pożytek. Pierwsi są praktykami, utylitarystami, pozytywistami; — drudzy teoretykami, entuzyastami, metafizykami. Ta umysłowa różnica ludzi tkwi głęboko w ich naturze i nie da się znieść za pomocą dyskusyi. Polega ona na

przewadze rozumu lub woli w człowieku, a rozum i wola są to dwie strony równouprawnione naszego życia duchowego. Wola pobudza nas do czynów, rozum daje nam pojęcia; bez rozumu nie osiągnie wola swych celów i dlatego wszyscy praktycy muszą się posługiwać teoryą; bez woli rozum byłby bezczynnym, i dla tego wszyscy teoretycy starają się przekonywać innych, wyrażać myśli, które w nich powstały, aby mogły znaleźć praktyczne zastosowanie.

Wszyscy uczeni w porównaniu z innymi ludźmi są teoretykami; ale ponieważ różnica między teoryą a praktyką jest względną, więc nie przestaje ona działać i wśród wielkiego rodu teoretyków: wszyscy oni wprawdzie dążą do prawdy, — ale jedni do prawdy bliższéj, łatwiejszéj do osiągnięcia i zastosowania; drudzy zaś do prawdy dalszéj, trudniejszéj do osiągnięcia, nie mającéj zastosowań widocznych. W ten sposób psychologiczna różnica charakteru i usposobienia zniewala ludzi do zajmowania się różnemi naukami. Kto nie umie bezstronnie wznieść się po nad różnice osobiste ludzkich upodobań i skłonności, ten uważa swój fach za najlepszy i chciałby go narzucić innym. Ztąd też jedynie pochodzi wstręt do metafizyki, napotykany u tak wielu ludzi. Metafizyka ma przedmiot trudny; pojęcia, które w niéj główną grają rolę, powstają późno i mało są jeszcze rozwinięte; jéj zastosowania praktyczne są bardzo odległe a dziś jeszcze badzo ograniczone; nauka ta niewielu ma miłośników, a ci co do niéj skłonności nie mają, czasem jak najniesłuszniéj zarzucają metafizykom próżność ich usiłowań i jałowość otrzymanych rezultatów. Inaczéj postępują prawdziwi metafizycy; — oni, będąc teoretykami wśród teoretyków, nie powinni gardzić żadną umysłową pracą, bo gardzi ten tylko wysiłkami ducha, co ich nie rozumie, a metafizyk, badając pojęcie istnienia, zawierające w sobie wszystkie inne pojęcia, stara się zrozumieć wszystko, co jest.

Ogół praktycznych ludzi powie, że możemy się obejść bez rozmyślań nad istnieniem i bytem wszechświata, że daleko ważniejszém zadaniem jest poświęcić swe siły przezwyciężeniu bliższych trudności, polepszeniu warunków bytu i istnienia milionów ludzi cierpiących nędzę, ochronić od upadku instytucye polityczne, do których jesteśmy przywiązani, ułatwić zaspokojenie rzeczywistych i naglących potrzeb swych współbraci, lub nareszcie — i takie rady zdarza się metafizykom słyszeć od praktyków — dbać głównie o własny żołądek, starać się najwięcéj zarobić i najwygodniéj żyć. Ale siła, która filozofa ciągnie do zbadania prawd metafizycznych, silniejszą jest niż wszelkie utylitarne względy, i nie da mu spoczynku, dopóki nie wytworzy sobie poglądu na świat i istnienie, z którego potem inni ludzie korzystają i bezwiednie dają mu praktyczne zastosowanie.

Bo i metafizyka nie jest bez zastosowań: jasne pojęcie tego, co j e s t, pozostaje w ścisłym związku z żądaniem tego, co b y ć m a, co być powinno, czyli, że po metafizyce następuje etyka, a etyka sięga do najdrobniejszych czynów i zamiarów ludzkich. Więc i dla

praktycznych ludzi może nie być obojętném badanie, do jakich wniosków doszli metafizycy w swych rozumowaniach.

Jeśli powyższe wywody wystarczają, aby usprawiedliwić sprawozdanie z współczesnéj metafizyki, pomimo roszczeń pozytywizmu, pozostaje nam jeszcze porozumieć się co do sposobu obznajmienia z współczesną metafizyką czytelnika, który się tą nauką wcale nie zajmował. W pismach specyalnych zagranicznych, jak „Mind," „Philosophische Monatshefte," „Revue philosophique," „Zeitschrift für Philosophie und philosophische Kritik," „Rivista italiana di filosofia" poświęcono wiele miejsca na obszerne artykuły o tym przedmiocie, i łatwoby zebrać z tych pism materyał do szkicu współczesnéj metafizyki, w którym żaden wybitniejszy metafizyk nie byłby pominięty. Ale taki szkic nie mógłby zająć czytelników nieprzygotowanych i nieobeznanych już poprzednio z przedmiotem. Wolę więc wybrać nie wielu współczesnych metafizyków, a za to przedstawić możliwie jasno i zupełnie choć jeden z systemów, tak aby to streszczenie mogło zastąpić oryginał i dało wyobrażenie o tém, czém jest metafizyka współczesna.

W średnich wiekach, kiedy jeszcze filozofia była w zupełnéj zależności od nauki kościoła, za panowania scholastyki, metafizyka była uprawianą we Włoszech, Hiszpanii, Francyi, Szkocyi, Anglii — daleko mniéj w Niemczech. Potém razem z ruchem reformacyi religijnéj, który w Niemczech przyjął większe rozmiary niż gdzie indziéj, także i metafizyka głównie zakwitła wśród niemieckich filozofów, i na początku obecnego stulecia można ją było uważać za naukę niemiecką. Obecnie udział innych narodów w pracy nad zagadnieniami metafizycznemi jest daleko większy, ale zawsze jeszcze największą sławę mają niemieccy metafizycy, i filozof, którego można uważać za najbezstronniejszego i najgłębszego myśliciela drugiéj połowy XIX stulecia, Hermann Lotze, należy do niemieckiéj narodowości. Zaczniemy więc nasz przegląd spółczesnéj metafizyki od metafizyki niemieckiéj, uwzględniając, o ile to możliwém będzie, także i warunki zewnętrzne życia filozofów, których teorye nas zajmują. Ponieważ metafizyka, jak każda nauka, wzrasta przez wspólną pracę wielu uczonych, więc też i dzieła o metafizyce, odnoszące się do jednego i tego samego przedmiotu, wiele mają między sobą wspólnego. Wystarczy zatem poznanie dokładnie jednego systemu metafizyki, aby w następnych zwrócić tylko uwagę na różnice, dzielące ich poglądy od znanego nam systemu. Dla tego przedstawię metafizykę Lotze'go obszerniéj niż inne: ona służyć będzie nam za punkt wyjścia do porównania z innymi metafizykami, tak, że rozwijając ich zapatrywania już nie będziemy potrzebowali powtarzać tego, co z metafizyki Lotze'go jest znaném.

Naturalnie, że i Lotze metafizyki swéj nie wysnuł ze swoich tylko myśli; i on korzystał z prac swoich poprzedników, i sam nieraz na

to wskazuje. Aby jednak nie przerywać jednolitości wykładu, pominiemy obecnie rozbiór historyczny źródeł metafizyki tego filozofa: dopiéro gdy więcéj współczesnych metafizyków przedstawimy, sprobujemy nasze sprawozdanie zakończyć poglądem na pochodzenie i rozwój panujących obecnie teoryi metafizycznych, wraz z wnioskami o przyszłości téj nauki.

I. Hermann Lotze.

Hermann Lotze urodził się 21 maja 1817 roku w Budziszynie (Bautzen) w Saksonii, gdzie ojciec jego był lekarzem wojskowym. Wykształcenie gimnazyalne otrzymał w Zittau niedaleko od rodzinnego miasteczka położoném. W r. 1834 t. j. w 17-ym roku swego wieku wstąpił już do uniwersytetu lipskiego na wydział medyczny, z zamiarem poświęcenia się naukom i sztuce lekarskiéj. Od samego początku swoich studyów uniwersyteckich słucha atoli jednocześnie z medycznymi wykładów filozoficznych, dochodząc na tém polu już bardzo wcześnie do poglądów i przekonań samodzielnych, różniących się nieco od panującego w danéj chwili kierunku. Pomimo pracy w dwóch różnych kierunkach, Lotze bardzo prędko studya swe posuwał i w 1838 roku, w cztery lata po wstąpieniu do uniwersytetu, otrzymał stopień doktora filozofii, a 4½ miesięcy później doktora medycyny. W następnym roku rozpoczął wykłady w uniwersytecie Lipskim jako „Privatdocent," jednocześnie fakultetu medycznego i filozoficznego. Wykładał przedmioty filozoficzne i medyczne przez trzy lata, w ciągu których oprócz tego wydał dwa dzieła obszerniejsze: Metafizykę w 1841 roku, i ogólną Patalogią i Terapią w 1842 roku. Oprócz tego w tym przeciągu czasu wydał jeszcze tom poezyi, i kilka mniejszych rozpraw. W 1842 został profesorem filozofii w Lipsku, a w 1844 został powołany na katedrę filozofii do Gettingen, gdzie wykładał aż do 1881 roku. W 1881 roku przyjął wezwanie do zajęcia katedry filozofii w Berlinie i rozpoczął swe wykłady w stolicy Niemiec z wielkiém powodzeniem, ale po kilku miesiącach śmierć je przerwała. W ciągu długiéj swéj działalności jako profesor uniwersytetu, Lotze bezustanku pracował nad swemi dziełami, pomiędzy któremi obok licznych dzieł filozoficznych, także spotykamy „Ogólną fizyologią" z 1851 roku i „Medyczną psychologią czyli fizyologią duszy". System swój metafizyki Lotze przedstawił nie tylko we zmiankowanéj już metafizyce z 1841 roku, ale też w swém głównem dziele „Mikrokosmos" (3 tomy, 1-e wydanie 1856—1864, 3-ie 1876—1880) i nareszcie w obszernem dziele „Metafizyka," wydaném w 1879 roku, tłómaczoném na języki francuzki [1]) i angielski [2]). Oprócz tego

[1]) Metaphysique par Hermann Lotze. Traduction autorisée et revue par l'auteur. Paris, Firmin Didot Cie 1883 r.

[2]) (Clarendon Press Series — Lotze's System of Philopsby Part. I) Metaphysic in three books ontology Cosmology and Psychology, by Hermann Lotze. Englihs Translation ed. by Bernard Bosanquet. Oksford, Clarendon Press 1884.

mamy też krótki zarys metafizyki w wykładach uniwersyteckich Lotze'go, wydanych po jego śmierci. Metafizyka była jedném z pierwszych dzieł naszego filozofa i także jedném z ostatnich. Różnica między metafizyką jego z 1841 roku a metafizyką z 1879 roku nie jest tak wielką, jakby można było przypuszczać, ale naturalnie ostatnie wydanie więcéj na uwagę naszę zasługuje, niż pierwsza próba dwadzieścia cztery lata mającego myśliciela. Rożnice między jedną a drugą mogą tylko zajmować specyalistów, w obecném sprawozdaniu będziemy się trzymać drugiéj, którą uważamy za ostateczną. Oto jéj tytuł: „Metaphysik, Drei Bücher der Ontologie, Kosmologie und Psychologie, von Hermann Lotze, Leipzig, Verlag von S. Hirzel 1879“ (1 tom str. 604). Metafizyka w tém wydaniu stanowi drugi tom systemu filozofii, którego pierwszy tom wyszedł w 1874, i zawierał Logikę. Trzeci tom i ostatni miał zawierać etykę, estetykę i filozofią religii, ale śmierć nie pozwoliła autorowi ukończyć swego dzieła.

Już w pierwszéj swéj metafizyce z 1841 roku Lotze wyrzekł to charakterystyczne zdanie, cechujące jego prawdziwie naukowe dążenia: „Dotychczas w zakresie filozofii nie przyznawano, że pewne części jéj systemu zawierają w sobie niedostatki, które dopiero zgodną pracą następnych pokoleń wyrównane być mogą, podczas gdy skromniejsze nauki przyrodnicze chętnie przyznają swą niedoskonałość. Pomimo to musimy wyrazić przekonanie, że filozofia dotychczas tylko w niewielu swych częściach została wykończoną; w innych środki dla ostatecznego rozstrzygnięcia kwestyi są niewystarczające, i dopiero połączone wysiłki przyszłości będą mogły je uzupełnić; nareszcie w niektórych częściach filozofii mamy tylko niejasne poczucie czegoś nieznanego, a nie znaleziono dotąd wyraźnie sformułowanych zagadnień, od których badanie możnaby rozpocząć.“ Tak skromnym jak był w 1841 roku pozostał Lotze przez całe życie: nie zamierzał on nigdy stworzyć całego systemu, jak bezpośredni jego poprzednicy; nie był tak zarozumiałym, aby pragnął dać ostateczną odpowiedź na wszystkie pytania. Nie uważał on metafizyki za naukę, mogącą być dziełem jednego człowieka. Nie tylko liczył na prace następców swoich i na postęp nauki, którą się zajmował, ale też jak najszerzéj korzystał z prac poprzedników i potwierdzał je, gdy na to zasługiwały. Sam podział metafizyki na ontologią, kosmologią i psychologią przejął też Lotze od dawnéj tradycyi filozoficznéj.

Ontologia ma zbadać warunki istnienia w ogóle, kosmologia w świecie zewnętrznym czyli w przyrodzie, psychologia w świecie naszym wewnętrznym czyli warunki istnienia ducha. Ta psychologia rozumowa czyli racyonalna, jako część metafizyki, różni się od psychologii szczegółowéj i doświadczalnéj, czyli empirycznéj, stanowiącéj zupełnie inną gałąź nauk filozoficznych.

Zaczniemy od ontologii, jako ogólnego wstępu do innych części metafizyki. Pojęcie istnienia nie zasługiwałoby na szczegóło-

we badanie, gdyby bez takiego badania było zupełnie jasném i nie zawierało w sobie pewnych sprzeczności. Jeśli mówimy o sprzecznościach, mamy na myśli różnice między danemi doświadczenia a pewnemi przypuszczeniami, które w ogóle robimy o istniejących rzeczach, przed przystąpieniem do badań. Że duch ludzki ma skłonność do takich przypuszczeń, widzimy najlepiéj właśnie w naukach przyrodniczych, których zasadniczą hypotezą jest prawidłowość przyrody, istnienie ogólnych praw w przyrodzie. Przekonania o istnieniu podobnych praw nie można czerpać — z doświadczenia, bo dla doświadczenia, nieuprzedzonego bardzo wiele zjawisk przyrody następuje po sobie zupełnie nieregularnie, a te, w których i umysł nieuprzedzony spostrzedz może pewną prawidłowość, nawet gdyby były daleko liczniejsze niż są rzeczywiście, jeszczeby nie upoważniały do wyprowadzenia wniosków co do wszystkich zjawisk przyrody, gdyż ogół zjawisk pozostanie nam zawsze nieznanym, a te, które znamy, stanowią bardzo małą część całości. Żadne badanie przyrody nie byłoby możliwém, gdyby badacz nie przypuszczał z góry, że zawsze te same przyczyny wywołać muszą te same skutki. Bez tego przypuszczenia nie mielibyśmy wcale pobudki do sprawdzania różnych hypotez i wyciągania z nich wniosków. To też większa część przyrodników otwarcie wyznaje, że zasadnicze przypuszczenie prawidłowości natury, kieruje ich wysiłkami. Skoro zaś to przypuszczenie istnieje jako nieodłączne od natury myśli ludzkich, więc będzie zadaniem metafizyki zbadać, w jaki sposób takie połączenie i taki stosunek wszystkich istniejących rzeczy jest możliwym, aby mogły wzajemnie na siebie działać. Jeśli ktoś twierdzi, że możemy tylko wiedzieć jak się nam rzeczy wydają, a istoty rzeczy nigdy nie poznamy, to zaprzeczając możliwości poznania istoty rzeczy przyznaje, że ma jakieś pojęcie o téj istocie rzeczy. Zawsze więc pozostanie jeszcze dla metafizyki usiłowanie dokładnego określenia tego pojęcia, nawet jeśliby ono, po dokładném zbadaniu, okazało się próżném. Niektórzy znowu wymagają, abyśmy przed rozpoczęciem rozumowań nad istotą rzeczy, oznaczyli granice naszego rozumu i środki jego działania. Lotze takie wymaganie uważa za przedwczesne, „nie warto, mówi on, bezustannie noże ostrzyć, jeśli się nie ma zamiaru krajać.“ Środki działania rozumu rozwijają się w miarę ich używania; wszelkie prawdziwe postępy w innych naukach polegały na czynnéj działalności rozumu, a nie na biernéj kontemplacyi nad jego własnościami. Jest bezwątpienia zadaniem godném nauki zbadać warunki rozwoju rozumu i środki, których on używa, aby poznać rzeczywistość, ale zadanie to późniejsze—najprzód trzeba sobie zdać sprawę z tego, co nasz rozum uważa za rzeczywistość.

Jedną z najdawniejszych filozoficznych myśli jest odróżnienie prawdziwego od nieprawdziwego bytu. Widząc, że wrażenia zmysłowe często się łączą ze złudzeniami, zawsze staraliśmy się dotrzeć do takiego wyobrażenia, któreby nie było złudzeniem, do wyobrażenia rzeczy takiemi, jakiemi one rzeczywiście istnieją. O istnieniu rzeczy

wiemy jedynie przez wrażenia, które one na nas wywierają, czyli przez stosunek, w którym do nas się znajdują. Pierwsze pytanie, które się tutaj narzuca jest, jak odróżnić te wrażenia od samego istnienia rzeczy, jak określić istnienie rzeczy niezależnie od stosunków, łączących tę rzecz z innemi.

Niektórzy filozofowie próbowali stworzyć pojęcie czystego bytu, w którém zawartém miało być wszystko to, czém się rzeczy istniejące różnią od nieistniejących, prawdziwe od nieprawdziwych, na podstawie swéj ogólnéj treści; bez względu na konkretne warunki i stosunki, określające zawsze byt rzeczy oddzielnych, szczegółowych. Lotze dowodzi, że taki czysty byt, byt odosobniony rzeczy, wcale niezależny od bytu innych rzeczy, równałby się niebytowi, bo rzecz, która nie byłaby w żadném miejscu przestrzeni, w żadnym oznaczonym czasie, przez nikogo niespostrzeżona, niczémby się nie różniła od rzeczy n i e i s t n i e j ą c é j.

Pojęcie więc czystego bytu, Lotze uważa za nieodpowiadające rzeczywistości i usuwa je ze swojéj metafizyki. Dla niego, byt czyli istnienie rzeczy polega jedynie na stosunkach téj rzeczy do innych współistniejących rzeczy; chęć zaś ustanowienia jakiegoś czystego bytu, zupełnie wolnego od wszelkiéj zależności, prowadzi do złudzenia, jakoby rzecz jakakolwiek mogła istnieć wtedy, gdyby żadna inna rzecz nie istniała. Istnienie podobne, bezwzględne, absolutne, przyjęte przez wielu filozofów idealistów, Lotze uważa za niemożliwe, i przyznaje istnienie tylko tych rzeczy, które dają dowód swego istnienia przez działanie na inne.

Możnaby zarzucić, że działanie dopiero może nastąpić, gdy rzecz sama istnieje, i że—nim wejdzie rzecz jaka w stosunki z innemi rzeczami, rzecz ta, również jak i inne rzeczy istnieć musi. Na ten zarzut odpowiada Lotze, że metafizyka może się jedynie zajmować istnieniem rzeczy istniejących, o których istnieniu dowiadujemy się przez wrażenia, które na nas wywierają, i te wszystkie znamy jako działające na inne. Czy one kiedykolwiek mogły istnieć w sposób odosobniony i nie działać na inne, tego rozstrzygnąć nie możemy, ale gdyby nie działały, nie moglibyśmy ich uważać za istniejące.

Z tém określeniem istnienia, które Lotze daje, nie zupełnie można się zgodzić. Pojęcie istnienia przenosimy na rzeczy, ale tworzymy je wskutek świadomości naszego własnego istnienia: ja jestem, nawet jeśli nie wywieram żadnego działania, ani też nie odbieram żadnego wrażenia. Pojęcie mojego istnienia różni się od pojęcia moich czynności i moich wrażeń, więc w istnieniu mego ja, mam przykład tego niezależnego bytu, któremu Lotze zaprzecza. Zdanie „ja jestem“ nie oznacza żadnego stosunku mego „Ja“ do innych rzeczy—nie jestem dla tego, że coś widzę, słyszę, czuję lub działam, tylko j e s t e m poprostu, nawet wtedy, gdy nic nie czuję prócz własnego mego istnienia. Mogę więc być, nie znajdując się w żadnym stosunku do żadnéj innéj rzeczy, która jest:—taki byt bezwątpienia bardzo

się rzadko zdarza, bo zwykle nasze istnienie jest połączone z jakiemikolwiek odbieranemi wrażeniami lub wyraża się za pomocą jakiegobądź działania. Ale ponieważ takie istnienie niezależne zupełnie od świata zewnętrznego, tylko przezemnie samego może być znanem, jest ono subjektywnem, podmiotowem i może się nie tyczyć rzeczy po za mną istniejących. Więc jeśli chodzi o ogół rzeczy, stanowiących rzeczywistość, możemy przyjąć twierdzenie Lotze'go, że istnienie polega na stosunkach rzeczy między sobą, to jest na ich działaniu na inne rzeczy i na wrażeniach, które wywołują.

Po określeniu pojęcia istnienia, przechodzi Lotze do pojęcia przymiotów rzeczy. Zwykle widzimy w rzeczach te przymioty, które nam w nich wskazuje doświadczenie zmysłów, przy czem pozostaje niewytłomaczonem, jak jedna rzecz może mieć kilka przymiotów, ulegających różnym zmianom. Naukowe badanie zjawisk już oddawna doprowadziło nas do przekonania, że to, co napozór wydaje się jedną rzeczą, jest połączeniem wielu prostszych pierwiastków; możnaby więc przypuszczać, że każdy pierwiastek ma tylko jeden przymiot. Ale także i to, co w zwykłem naszem doświadczeniu nazywamy przymiotem, jak barwa, smak, zapach, właściwie nie jest przymiotem samych rzeczy, tylko pewnym stanem naszéj własnéj świadomości; pewnym stosunkiem rzeczy do nas samych. Pozostaje więc pytanie, jakie są przymioty samych rzeczy i czém są rzeczy posiadające te przymioty?

Wrażenia zmysłów nie pouczają nas wcale, czém są rzeczy, tylko jak się wydają. Aby się tak wydawały nam, muszą być czemś rzeczywiście. Jednak ilekroć probujemy oznaczyć prawdziwe przymioty rzeczy, potykamy się o trudność, pochodzącą ztąd, że pojęcie przymiotu zawsze jest dla nas nieodłączne od naszych wrażeń subjektywnych, podmiotowych; przymioty więc rzeczy zmuszeni jesteśmy oznaczać za pomocą zmian, zachodzących w nas samych. Ztąd wnosi Lotze, że istoty rzeczy nie można oznaczyć za pomocą jéj przymiotów i zwraca się do oznaczenia tych s t o s u n k ó w rzeczy, które ich byt stanowić mają, według wstępnego rozbioru pojęcia bytu.

Stosunki między przymiotami rzeczy powstają tylko wskutek działania naszego rozumu, wskutek tego, że robimy porównania między niemi. Ilość takich porównań jest nieograniczoną, ale na same rzeczy wpływu mieć nie może, gdyż one istnieją nawet wtedy, gdy ich przymiotów pomiędzy sobą wcale nie porównywamy. Prawdziwe stosunki metafizyczne muszą zachodzić między samemi rzeczami a nie między przymiotami, które my w rzeczach widzimy. Za taki stosunek możemy tylko uważać d z i a ł a n i e rzeczy jednych na drugie. Gdyby istota rzeczy tylko przez pewne przymioty była oznaczoną, działanie wzajemne rzeczy jednych na drugie byłoby niemożebném, bo z pojęciem przymiotu nie łączymy wyobrażenia zmia-

ny. Przymiot może pozostać lub zniknąć, ale nie mógłby pozostać i jednocześnie się zmienić: wtedy byłby innym przymiotem, a pierwszy przestałby istnieć. Jeśliby kto przypuszczał, że jeden przymiot może się zmienić na podobny, ale inny, musiałby przyznać, że to podobieństwo dwóch przymiotów tylko istnieje dla porównywającéj je jednostki, bez udziału zaś takiéj jednoski, dwa przymioty podobne również pozostają obcemi względem siebie jak gdyby wcale nie były do siebie podobne. Pojęcia przymiotów są niezmienne, i muszą być stanowczo odróżnione od pojęć rzeczy, trwających pomimo zmian, którym ulegają. Jeśli ciało białe staje się czarném, to nie białość zmienia się w czarność, tylko jeden z przymiotów zupełnie znika, drugi powstaje, a ciało przy tém pozostaje identyczném.

W ten sposób Lotze polemizuje przeciwko mniemaniu jakoby przymioty mogły być istotą rzeczy, lub jakoby przez nie można było oznaczyć istotę rzeczy. Lotze natomiast sądzi, że tylko przez pojęcia rozumu, niezależne od zmysłowych wrażeń, możemy określić istotę rzeczy. Za pojęcie najbliżéj oznaczające istotę rzeczy uważa Lotze siłę działającą, ale nie w znaczeniu ogólném tego słowa, to jest nie siłę, którąby można przypisywać różnym rzeczom, tylko siłę właściwą téj jednéj rzeczy, którą ona wyraża, różniącą się od innych sił, działających poza nią. Przy takiém określeniu istnienia, przewiduje Lotze zarzut, że każda siła jest tylko własnością rzeczy, i od saméj rzeczy powinna być odróżnioną. Taką różnicę przyznaje Lotze tylko odnośnie do przedmiotów doświadczenia zmysłowego, złożonych z różnych części, i nie mających jedności prawdziwych rzeczy. Wskutek fałszywéj analogii następuje złudzenie, jakoby ostatnie części tych przedmiotów, części proste i niezłożone, prawdziwe rzeczy, także jeszcze prócz swéj działalności zawierały to, coś, co jest nieokreśloną podstawą téj działalności, co tylko jest, a nie działa. Przeciwko temu powszedniemu wyobrażeniu twierdzi Lotze, że dla nas rzeczywistość rzeczy w niczém innem się nie wyraża, od niczego innego nie zależy jak od ich działania. Jak to działanie powstaje, jest niepojętém i wyobrażenie sobie jakiegoś źródła czyli środka niczego nie tłómaczy.

W tym wniosku metafizyki Lotzego, znowu, jak i w samém określeniu pojęcia istnienia, widzimy zaprzeczenie elementarnego przez wszystkich nas codziennie dokonywanego spostrzeżenia psychologicznego, że możemy być i jesteśmy nawet wtedy, gdy nic nie działamy i gdy żadnego obcego działania nie odczuwamy.

Daléj zastanawia się Lotze nad pojęciem zmian rzeczy. Jeśli rzecz jaka się zmienia, staje się inną niż była, a jednak nasze pojęcie rzeczy wymaga, aby przy wszelkich zmianach to, co nazywamy

rzeczą, pozostało. Lotze określa najprzód bliżéj to trudne zadanie, zaznaczając, że nie wszelkie dowolne zmiany mogą zachodzić w każdej rzeczy, tylko pewien szereg zmian właściwych téj rzeczy. Zmiany te są połączone węzłem pewnego podobieństwa, które wystarcza, aby zmiany jednéj rzeczy odróżnić od zmian innéj rzeczy. Naprzykład, jeśli chemika się spytać: co stanowi jedność żelaza w licznych przemianach i połączeniach, w które ten pierwiastek wchodzi, to jedyną możliwą odpowiedzi będzie, że jakkolwiek są różne połączenia i przemiany żelaza, ilość ich jest ograniczona i różni się od ilości i jakości zmian i połączeń innych pierwiastków. Ten określony szereg zmian, którym jedynie żelazo podlegać może, zmian, które jesteśmy w stanie wyrazić za pomocą określonych formuł chemicznych, stanowi też jedyny materyał do naszego pojęcia żelaza, i nic po za tém, dla nas przynajmniéj, istoty żelaza nie stanowi. Te zmiany jednak, które my jesteśmy w stanie ująć w pewne oznaczone formuły, tylko dla nas stanowią zamknięty szereg--więc pozostaje pytanie, o ile one w rzeczy saméj, do któréj się odnoszą, mogą stanowić także jednę całość, jeden system, nadający danéj rzeczy ową jedność i jednolitość, którą zawsze łączymy z pojęciem rzeczy. Tutaj Lotze zwraca się do przykładu świadomości ludzkiéj, którą pomijał przy poprzednich wywodach, i przytacza pamięć jako taki węzeł, łączący różne stany, czyli zmiany jednéj i téj saméj rzeczy, w danym razie stany duszy ludzkiéj. Ztąd wnosi, że jedność rzeczy poza nami istniejących, ich rzeczywistość, zależy od procesu, odbywającego się w nich, a podobnego do naszéj pamięci, która pozwala nam łączyć w jednę całość dwa różne stany naszéj duszy. Jeśli zaś rzeczy, poza nami istniejące, nie posiadają owego czynnika, któryby mógł zastąpić w nich działanie naszéj pamięci, w takim razie brak im wszelkiéj jednolitéj istoty; nie trwają one, lecz powstają ciągle i giną, według pewnych praw, które jednak przy dalszém badaniu pozwalają nam upatrywać w tych zmianach jedność, podobną do téj, którą znamy z naszéj świadomości.

Mówiąc o zmianach, zawsze przypuszczamy, że zmiany te mają swoje przyczyny. Dla tego pojęcie przyczyny należy do metafizyki, i powinniśmy rozstrzygnąć, czy rzeczywiście, jak zwykle się mówi, wszystko ma swoję przyczynę, czy też można również wyobrazić sobie rzeczy, nie mające przyczyny. Lotze zwraca uwagę na to, że o przyczynie mowa jest dopiero wtedy, gdy zajdzie jaka zmiana: to, co istnieje bez zmiany, mogłoby istnieć bez przyczyny. Przytém ostrzega Lotze, że przyczyna żadna nie jest twórczą, tylko działającą, to jest, że przyczyny nie są żadnemi tajemniczemi potęgami poza rzeczami istniejącemi, tylko same są rzeczami, działają-

cemi na inne rzeczy, a więc same ulegają działaniom. Z tego wynika, że żadnéj przyczyny nie ma takiéj, któraby nie była także skutkiem, i to tych samych rzeczy, na które działa, czyli że wszelkie działanie jest wzajemném.

Twierdzenie to w zasadzie przyjętém jest w naukach przyrodniczych,—tak np. astronomowie opierają swe obliczenia na przypuszczeniu wzajemnego działania ciał niebieskich jednych na drugie. W potocznych atoli rozumowaniach zbyt często zapominamy o tém prawie wzajemności działania przyczyn, i domagamy się takiéj ściśle ograniczonéj, jednostronnéj zależności skutków od przyczyn, jaka w rzeczywistości nigdy nie istnieje. Prawdziwa przyczynowość polega na jednoczesnym rozwoju pewnych szeregów zmian w różnych rzeczach. Możemy to sobie wytłómaczyć na niektórych przykładach: jeśli za pomocą iskry elektrycznéj spowodujemy eksplozyą mięszaniny wodoru z tlenem, wtenczas na pozór, i według zwykłego sposobu mówienia, iskra jest przyczyną wybuchu, dla tego, że wybuch ten poprzedza. Ale jeśli pominiemy pozory i sprobujemy sobie przedstawić rzecz samą, to mamy szereg zmian, zachodzących w wodorze i tlenie i zmiany te są wzajemnie od siebie zależne. To, co nam się wydawało iskrą jest jedną częścią tych zmian, wybuch zaś inną, ale same zmiany nie zależą ani od wrażenia, które nazywamy iskrą, ani też od wrażenia, które nazywamy wybuchem, tylko zależą wzajemnie od siebie.

Przyczynowość pojmujemy w myślach naszych na podstawie połączenia i porównania w naszéj świadomości wrażeń, wywołanych przez różne przedmioty. Ale co odpowiada temu połączeniu i porównaniu w samych rzeczach, co jest istotą przyczynowości? Co przechodzi z jednéj rzeczy do drugiéj, aby wywołać zmianę?

Lotze robi przegląd różnych odpowiedzi podanych już na to pytanie przez dawniejszych metafizyków, i dochodzi do wniosku, że żadna z tych odpowiedzi zadawalniającą nie jest. Wskutek tego probuje on dać nowe rozwiązanie téj dawnéj zagadki. Trudność pojęcia działania jednéj rzeczy na drugą głównie wynika z wyobrażenia samodzielności i niezależności każdéj rzeczy. Ale ta samodzielność i niezależność wcale dowiedzioną nie jest: jest ona przypuszczeniem tylko, jak Lotze sądzi, i można jéj zaprzeczyć bez wahania. Jeśli zamiast wielu rzeczy, które sobie wyobrażamy, istnieje tylko jedna rzecz prawdziwa w całym świecie, a to, co dotąd rzeczami samodzielnemi nazywaliśmy, są tylko części jedynéj rzeczywistéj istoty, od niéj zależne, w takim razie wzajemne działanie na siebie tych różnych części jest jak najzupełniéj zrozumiałe. Każda zmiana jednéj takiéj części jest jednocześnie zmianą całéj istoty świata, i pociąga za sobą zmiany w innych częściach, a raczéj wszystkie te zmiany zostają w takim

wzajemnym do siebie stosunku, że tylko jednocześnie nastąpić mogą. Ta wzajemna zależność i jednoczesność zmian jedynéj istoty, obejmującéj świat cały, wywołała pozór, jakoby wprost jedne części na drugie działały.

Tłómacząc ten swój pogląd na jedność wszystkich rzeczy, Lotze przyznaje, że taki pogląd, jak zresztą wszystkie metafizyczne rozumowania, ściśle dowiedzionym być nie może, ale może być przyjętym jeśli daje najprostsze i najwięcéj zrozumiałe pojęcie rzeczywistości. Broni go zatem przeciwko różnym zarzutom, które przewiduje i ostrzega, że filozofowie w zbyt różnych znaczeniach używali wyrażenia, tyczącego się prawdziwego istnienia, aby za pomocą tych samych wyrażeń można było nową myśl udzielić tym, którzy téj myśli jeszcze z własnego wewnętrznego doświadczenia nie znają. Pojęcie części wcale wystarczająco nie określa tego stosunku rzeczy pojedynczych do całości świata, który stanowi ostateczny wniosek ontologii Lotze'go.

Ponieważ nasz filozof do rzeczy prawdziwie istniejących zalicza duszę ludzką i przyznaje, że samodzielność jéj może osiągnąć różne stopnie rozwoju, więc widzimy, że łączność czyli jedność wszystkich rzeczy wcale nie wyklucza w jego mniemaniu téj rzeczywistości, którą pojedyńczym rzeczom przyznajemy w zwykłych naszych rozumowaniach. Ta jedyna, prawdziwa istota świata, którą Lotze w swej metafizyce nazywa M, nie powinna być uważaną za pewną sumę istniejących rzeczy, ani téż za materyą, z któréj rzeczy powstały, ani za ich duchowość, jak w niektórych systemach panteistycznych. Twierdzenie, że istnieje takie M, właściwie tylko znaczy, że rzeczy przedstawiające się nam jako pojedyncze samodzielne przedmioty, nie mogą być zupełnie wolnemi od wszelkiéj zależności wzajemnéj, nie mogą istnieć poza jedynym istniejącym światem. Nie należy także w powyższém wyrażeniu szukać jakiegoś wyobrażenia M i pojedynczych rzeczy w przestrzeni. Przestrzeń jest tylko idealną formą zjawisk, i jako taka, istnieje w nas, a nie my w niéj. Przestrzeń istnieje tylko o tyle, o ile istnieją istoty, które sobie przestrzeń wyobrażają;— same zaś istoty mogą nie być w przestrzeni i nie mieć żadnych rozmiarów. Jakkolwiek wyobrażamy sobie cały świat w przestrzeni, nie moglibyśmy oznaczyć ani przestrzeni ani rozmiarów naszych uczuć i myśli—także i nasze „ja" nie ma rozmiarów, jeśli nie będziemy mięszać zmysłowego wrażenia naszego ciała z pojęciem naszéj duszy. Więc i M, o którém Lotze mówi, nie jest bynajmniéj w fizycznem znaczeniu tego słowa całością świata, tylko węzłem, stanowiącym jedność wszystkich części świata. To M mogłoby być ideą, mogłoby być biernym wynikiem współdziałania wszystkich rzeczy, nareszcie może być, (to ostatnie, jest przekonaniem do którego Lotze się przyznaje w swych prelek-

cyach o filozofii religii), osobistym Bogiem, kierującym i ochraniającym świat przezeń stworzony.

Taki jest ostatni rezultat ontologii Lotze'go. Pojęcie M, niezbędnéj jedności świata, jest przezeń przedstawione z wielką siłą przekonania, z wielką subtelnością rozumowania, ale pomimo tego nie zupełnie zadawalnia czytelnika. Słusznie uwydatnił Lotze ogromną trudność zawartą w pojęciu wzajemnego działania na siebie rzeczy, uznanych za niezależne od siebie, za nic mające między sobą nic wspólnego. Ale trudność wcale nie jest usuniętą przez wprowadzenie tajemniczéj istoty M. W metafizyce Lotze jeszcze nie określa téj istoty jako osobistego Boga, i pozostawia jéj charakter ogólny, przedstawiając nawet dwa różne a według niego równie możliwe zapatrywania na istotę M. Według idealistów, M byłaby to idea, kierująca światem, istniejąca przed nim, i trwająca ciągle, wyrażona w zmiennych formach rzeczy. Według realistów, M powstałoby i rozwijałoby się razem z rzeczami, byłoby ogólną i zmienną formą całego świata, zależną od praw, za pomocą których można wyrazić wzajemne działanie rzeczy. Oba te zapatrywania pozostawiają nieco do życzenia pod względem jasności, i również niejasną jest filozoficzna teologia, którą Lotze opiera na téj części swéj ontologii. M pozostaje tylko symbolem, przypominającym nam niezrozumiałość wzajemnego działania rzeczy, symbolem, który nic pomaga do zrozumienia rzeczywistych stosunków rzeczy. W razie, jeśli to nieokreślone M mamy utożsamić z pojęciem już oddawna istniejącém osobistego Boga, należałoby tém bardziéj usunąć je z metafizyki, gdyż Bóg jest przedmiotem wiary, a nie nauki. Sam punkt wyjścia, który Lotze'go doprowadził do postawienia swéj teoryi o M, mianowicie trudność zrozumienia wzajemnego działania rzeczy jednych na drugie, nie jest wcale przez tę teoryą wyjaśniony. Trudność ta pozostaje i nawet jest jeszcze więcéj skomplikowaną przez tajemniczy udział M w każdem działaniu każdéj istniejącéj rzeczy.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że pojęcie działania jest nam znane z własnego naszego psychologicznego doświadczenia, również jak i pojęcia biernego wrażenia, cała trudność przedstawi nam się w innem świetle.

Działanie i uleganie działaniu jest zasadniczym, pierwszym, niewytłómaczonym faktem istnienia, faktem, którego istnienie dla nas nie może ulegać najmniejszéj wątpliwości, a którego tłomaczenie jest dla tego niemożliwe, że nic nie ma jeszcze więcéj prostego, zasadniczego i bezpośredniego nad ten fakt naszéj świadomości. Każde tłómaczenie ma za cel określić rzecz lub stosunek mniéj znany przez rzecz, lub stosunek lepiéj nam znany—aż do tych rzeczy lub stosunków, które najlepiéj nam są znane i których już nic nam jeszcze lepiéj nie wytłomaczy. Jednym z takich ostatecznych ele-

mentów świadomości naszéj, jest właśnie pojęcie działania, wpływu jednych rzeczy na drugie, to pojęcie które inaczéj bywa nazywaném prawem przyczynowości. Zadaniem metafizyki jest możliwe ograniczenie i odgraniczenie takich elementów świadomości, i pod tym względem Lotze szczególniéj zasługuje na uznanie za swoje rozumowanie o przymiotach; o pojęciu rzeczy i zmiany, o stosunkach idei do rzeczywistości, o ogólnych zadaniach i metodzie metafizyki. Niesłusznie jednak chce on wytłómaczyć pojęcie przyczynowości za pomocą daleko trudniejszego pojęcia M. Rozum ludzki zawsze wymaga pojęcia przyczyn i skutków i sama hypoteza istnieniu M jest wynikiem tego dążenia, tylko że stosuje pojęcie przyczyny do saméj przyczynowości. Takie zastosowanie prowadziłoby nas do nieskończonego szeregu nowych hypotez, niczego nie wyjaśniających.

Jeśli M jest przyczyną przyczynowości, istniejącéj w świecie, to nic nie przeszkodzi wymyślić drugą istotę N, będącą przyczyną przyczynowości, zachodzącéj między M a pojedynczemi rzeczami, i trzecią istotę P, przyczyną znowu stosunku między N i M i t. d. W ten sposób doszlibyśmy do wniosku, że dla jednego wzajemnego działania dwóch rzeczy, potrzebny jest nieskończony szereg istot nieokreślonych, powodujących możliwość tego wzajemnego działania. Lepiéj więc wcale nie zaczynać tego nieskończonego szeregu wątpliwych istot, i przyjąć fakt działania rzeczy jednych na drugie jako dany nam przez bezpośrednie nasze doświadczenie wewnętrzne, jako konieczność naszéj myśli. Metafizyka może tylko uwydatnić znaczenie i konsekwencye tego aktu, ale tłómaczyć go za pomocą hypotez nowych nie potrzebuje Lotze, usuwając pojęcie bezpośredniéj przyczynowości usunął też i pojęcie rzeczy, przez co zniszczył podstawy naturalnego i powszechnego wyobrażenia o bycie i o istnieniu.

Pomimo tego, jego onotologia zawsze będzie zasługiwała na uwagę metafizyków, przez wzgląd na bardzo jasne przedstawienie w niéj najtrudniejszych zagadnień i przez krytykę rozwiązań danych w przeszłości. Przedewszystkiem zaś sama metoda badania stawia Lotzego wysoko wśród współczesnych filozofów. Trudne zagadnienia ontoologii umie on traktować z całą oględnością, któréj wymaga ją, i nigdzie nie ma pretensyi do nieomylności. Sam przewiduje zaczuty, które mu robić można i grutownie je rozbiera. Nawet jeśli kto się z jego wywodami nie zgodzi, wiele się od niego nauczyć może, a szczególniéj dochodzi przy jego pomocy do zdania sobie sprawy z całéj trudności przedmiotu. Zalety te jeszcze więcéj występują w dwóch następnych częściach metafizyki: w kosmologii i psychologii, w których Lotze nam daje rozbiór pojęć przestrzeni, czasu, materyi, duszy wrażeń, wyobrażeń i stosunku duszy do ciała.

Sprawozdanie z kosmologii i psychologii Lotzego musimy od-

łożyć do następnego artykułu; zawiłość przedmiotu wymaga przynajmniéj na początku tych sprawozdań większéj rozciądłości niż w innych częściach filozofii. Lotze pomimo swego mistrzowstwa stylu, potrzebował na wyłożenie zupełne swéj onotologii 190 stronic druku w wielkim formacie: nic więc dziwnego, że w powyższém sprawozdaniu można było zaledwie główne jego rozumowania powtórzyć i ocenić.

Moskwa, d. 15 stycznia 1889 r.

(*D. c. n.*)

PODRÓŻ
D-ra Konstantego Iireczka
po Bułgaryi.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

W ostatnich latach pojawił się cały szereg opisów Bułgaryi. Gruntownością odznacza się świeżo wydane, pod skromnym tytułem „Listy po Bułharsku“ (Praga 1888), dzieło d-ra Konstantego Iireczka, profesora dziejów na wszechnicy czeskiéj. Syn ś. p. byłego austryackiego ministra oświaty Józefa, dr. Kostanty Iireczek w bardzo młodym wieku, choć wsławiony już swemi „dziejami Bułgaryi,“ w r. 1879 był powołany do Sofii, jako sekretarz generalny ministeryum oświaty, celem urządzenia szkół świeżo utworzonego księztwa; w r. 1884 sam stanął na czele wymienionego wydziału, ale w rok potem opuścił Bułgaryą i powrócił do Pragi. Zdumiewający ogromem wiadomości z dziedziny dziejów i językoznawstwa, a przytém wolny od szpecącéj znakomitych profesorów niemieckich pedanteryi, słowem w obejściu gentelmen w najlepszém znaczeniu wyrazu, p. Konstanty Iireczek w ciągu swego pięcioletniego pobytu w Bułgaryi przyczynił się potężnie do szybkiego rozwoju oświaty w tym młodym kraju, a różnym uczonym turystom dostarczał najcenniejszych wyjaśnień. I tak znany pisarz belgijski Emil de Laveleye w swém dziele: „La péninsule des Balkans“ (Bruksela 1886) wszystkie szczegóły o języku i piśmiennictwie Bułgarów, jak sam oświadcza (tom II, str. 60), zawdzięcza panu Iireczkowi, z którym się zapoznał w Zofii.

Były kapelan księcia Aleksandra, dr. Koch, w swém dziele o tymże księciu (Darmstadt 1887), opisując ministrów bułgarskich z r. 1883 oświadcza: „na szczególną wzmiankę zasługuje minister oświaty p. Iireczek, czech, człowiek niepospolitych zdolności i niezrównanéj pracowitości. Bułgarom dał się poznać przez swe „dzieje z Bułgarów“ i dlatego został powołany na sekretarza generalnego

w ministeryum oświaty. Przy nieuctwie i lenistwie ministrów on właściwie kierował wydziałem szkół i wszystko, co na tém polu stało się dobrego, Bułgarya jemu zawdzięcza... Książę cenił go bardzo wysoko“ (str. 96).

Pomimo swéj ciężkiéj pracy urzędowéj, młody uczony znalazł czas jeszcze do skrzętnego zbierania materyałów do przyszłych dzieł naukowych. W tym celu odbywał częste podróże po kraju i zapewniony sobie urlop dwumiesięczny, każdego roku poświęcał tym badaniom. Nie brakowało przeszkód. Z tuzinkowych polityków bułgarskich jedni nie mogli zrozumiéć, dla czego p. I. chodzi po pustych górach i wałęsa się po wioskach, inni, podejrzywali, czyli czasem nie zamierza działać na korzyść jakiego stronnictwa politycznego? I tak z początku naukowe wycieczki sekretarza generalnego w ministeryum oświaty nawet ze strony władz bułgarskich doznawały różnych przeszkód; łatwiéj stosunkowo szła sprawa w Rumelii, a mieszkańcy tu i tam gorliwie wspierali zabiegi uczonego turysty. Wśród takich okoliczności zwiedził całą Bułgaryą i Rumelią na wszystkie strony, poznał wszystkie znaczniejsze miasta, zbadał różne narzecza. Płód tych sumiennych badań, wspartych najdokładniejszą znajomością topografii i dawnych dziejów półwyspu bałkańskiego, mamy przed sobą w wymienioném w nagłówku dziele o 710 stronnicach.

Głośnemi pomnikami dziejów bułgarskich, tudzież ogniskami nowoczesnego życia publicznego bułgarów są trzy miasta: Zofia, Płowdiw i Tyrnowo. Z niemi to, korzystając z nader obfitego materyału, zebranego przez p. Iireczka, zamierzamy zapoznać czytelników.

Zofia. Leżąca w kotlinie pomiędzy stromemi górami, stolica księztwa bułgarskiego, jest jednem z najstarszych miast europejskich. Początki jéj bowiem sięgają aż czasów cesarza Trajana, który tam dla „strategii“ thrackiego plemienia Serdów założył osadę pod nazwą Serdica. Z tych czasów, mianowicie z drugiego i trzeciego stulecia, przechowały się liczne miedziane monety, złożone w Serdice. Za rządów cesarza Aureliana (271) Serdica stała się stolicą Dacyi środkowéj, znacznie zaś podniosła się, dzięki Konstantemu W-mu, który często przebywał w Serdice, nazywał ją swym Rzymem i — za nim wybrał Bizancyum, zamyślał podnieść ją do godności stolicy cesarstwa wschodnio rzymskiego. Napad Hunnów (447) położył koniec temu pierwszemu okresowi pomyślności Serdyki bo najezdzcy do szczętu ją zburzyli, z epoki rzymskiéj, nie zachował się ani jeden budynek; nastała teraz długa przerwa w dziejach miasta. Z mgły średnich wieków wydobywa się na wierzch dopiero w r. 809, gdy zdobyta przez bułgarskiego wodza Kruma staje się głównym punktem oparcia bułgarów. Już w 10-ym wieku Serdica, przezwana teraz Sredec, jak mniema pan I. od s r e d a czyli środek, była stolicą biskupią, potém siedzibą patryarchy bułgarskiego. Odtąd Sredec jest jednym z głównych miejsc, na których się odgrywa krwawy dramat nieustannych walk pomiędzy Bizancyum, Bułgarami, Węgrami,

i krzyżowcami, walk, zakończonych wreszcie wtargnięciem osmanów. W tymczasie (1329) powstała w starożytnéj Serdice wspaniała katedra św. Zofii, któréj miasto zawdzięcza swą dzisiejszą nazwę. Gdy roku 1443 Władysław Jagiellończyk na drodze do Warny zatrzymał się w Zofii było to miasto „ludne i bogate o sławnych łaźniach“ (civitas famosissima thermarum, populo et divitiis referta.“ Thurocz). Za panowania tureckiego stała się najważniejszém po Carogrodzie miastem półwyspu bałkańskiego. Przez cztery wieki w Zofii siedział beglerbeg Rumelii, któremu poddanych było 26 sandszakbegów całego półwyspu wyjąwszy Bośnią i Grecyą. Miasto wtedy napełniło się ludnością turecką i znacznie się rozszerzyło, ale nie przybyło mu blasku. Podróżnicy 16-go stulecia opisują Zofią taką, jaką pozostała aż do oswobodzenia bułgarów w naszych czasach: miasto bardzo rozległe, pełne ogrodów, z skromnemi domami z drzewa lub gliny, ze strzechami z modrych szkudeł, pomiędzy któremi wznosiły się wysokie meczety i dwory kupieckie. Ołowiane kopuły ogromnych świątyń tureckich, jak C z a r n a d ż a m i j a, lub „G o l e m a d ż a m i j a“ z białemi wysmukłemi minaretami, z daleka nadawały miastu malowniczy charakter. Włoski podróżnik Benaglia (1682), spoglądając na Zofią, przypomniał sobie Padwę z kopułami sławnego kościoła św. Antoniego.

Od wjazdu księcia Aleksandra do Zofii (1 lipca r. 1879) stolica księztwa bułgarskiego, nadzwyczaj szybko się przeobraziła. Pierwszéj zimy wyglądała gorzéj niż za czasów francuzkiego podróżnika Ami Boné (1837). Rozpadające się meczety, na wpół zburzone karawanseraje, różne świeże (po ostatniéj wojnie) pogorzeliska, rozległe tureckie cmentarze i niedokończone lub tymczasowe budowle sprawiały wrażenie posępne. Południowa część miasta była całkiem pusta. Mieszkańcy tureccy byli uciekli w czasie wojny, a żołnierze rosyjscy z opuszczonych domów powyciągali wszystkie belki na opał, poczém reszta zapadła się w bezkształtne kupy gliny. Po deszczu wozy grzęzły w bezdennem błocie ulic, a nocą i za sucha niebezpiecznie tam było chodzić z powodu otwartych, ale ukrytych pomiędzy trawą i chwastem studni. Znajdowało się wtedy w Zofii 2969 domów i 20,501 mieszkańców, pomiędzy tymi 14,052 prawosławnych, 4274 żydów, 1288 mahometan, 714 katolików i 136 protestantów. Bułgarów było 13,195, a z tych tylko 6000 urodzonych w Zofii, reszta przybyła z okolicy, zajmując oznaczane przez turków miejsca. Żydzi hiszpańcy, którzy stanowią piątą część ludności, pracowici i skromni, trudnią się nietylko handlem, lecz także rzemiosłem i pracują jako nosiciele (hamali), odznaczając się siłą fizyczną. Bułgarzy nazywają ich „Spaniolami,“ ponieważ dotąd mówią mięszanym językiem hiszpańsko-portugalskim z przymieszką słów arabskich i tureckich; w ostatnich latach pomiędzy niemi francuszczyzna wypiera język hiszpański. Kolonia cygańska mieszka w dużéj wsi za miastem i posługuje się dotąd swym starym językiem indyjskim.

Obecnie Zofia rozpada się na brudne stare miasto, którego

charakterystycznem znamieniem są liczne łaźnie, zasilane z gorących źródeł. Woda ta posiada naturalną ciepłość 40 stopni C. i trudno nam wyobrazić sobie, jak zofijczycy całemi godzinami zdołają przesiedzieć w nieznośnéj parze, która się wytrwarza w tych basenach. Na granicy pomiędzy Starem a Nowém miastem stoi świetny pałac Książęcy, wystawiony od 1880-1882 r. kosztem trzech milionów franków na miejscu, gdzie stał „konak“ baszy. Przed pałacem rozpościera się „Aleksandrowska gradina“ czyli ogród publiczny z kioskiem dla muzyki i małą kawiarnią. Tu, po starannie wymiecionych chodnikach, śród zielonych trawników, wieczorem wielki świat zofijski przechadza się przy dźwiękach muzyki wojskowéj, Na drugiéj stronie parku stanął szereg pałaców w najnowszym stylu: hotel „Bułgarya“ ministeryum wojny, daléj w przyległych, nowych, prostych i szerokich ulicach: koszary, szkoła wojenna, wielkie gimnazyum o 26 salach, ministerya, nowy pałac parlamentu i t. d. Natomiast domy prywatne w téj nowéj części miasta są małe i bez piętra. Bułgar nie rad osiada w najętém pomieszkaniu, lecz pragnie żyć pod własną strzechą, jakoż zamiast ożenić się, mówi: „zadomić się“. Nadto częste trzęsienia ziemi odstraszają mieszkańców Zofii od wystawiania wysokich, narażonych na większe niebezpieczeństwo, kamienic. W r. 1880 obliczano w Zofii tylko po 6 osób w przecięciu na każdy dom.

Wytrwały i bystry obserwator, jak p. Iireczek, nie poprzestaje na notatkach historycznych, archeologicznych i topograficznych, lecz wnika także w stosunki towarzyskie. To też autorowi niniejszego dzieła zawdzięczamy w téj mierze cenne szczegóły. Bułgarya jest krajem rolniczym, włościańskim, w którym nie ma szlachty, ani wielkich bogaczy, ani bardzo ubogich, jak w innych krajach. Dostrzega się zaledwo początków kupieckiéj plutokracyi; wszyscy są sobie mniéj więcéj równi. Nawet w warstwach intelegencyi wszyscy mówią do siebie: Ty. Jednak z średnich wieków przechowały się pewne tytulatury, jak waszmość. Tytuł „gospodyn“ do niedawna przysługiwał tylko biskupom. Teraz w miastach każdy nazywa się gospodyn, żona gospoża, córka gospożyca. Lepsze towarzystwo stolicy stanowią przedewszystkiém liczni urzędnicy (w r. 1881 było ich 251 i 80 pisarzów), następnie oficerowie, nauczyciele, kupcy i różni przedsiębiorcy. Wszystkie okolice bułgarskie, od osad bułgarskich w Bessarabii aż do zakątków gór Rhodopy i zachodniej Macedonii, mają pomiędzy niemi swych reprezentatów. Starzy Zofioci giną zupełnie w tłumie tych przychodniów. Pomiędzy tymi znowu zachodzą stanowcze różnice według miejsca, gdzie żyli przed utworzeniem Księstwa bułgarskiego i według wykształcenia. Są pomiędzy nimi wychowańcy szkół francuzkich, rossyjskich, niemieckich, austryjackich (głównie chorwackich i czeskich), amerykańskiego Robert College w Carogrodzie albo francuskiego „Lycée de Galata“, a obok nich ludzie bez wykształcenia szkolnego lub tacy, co odbyli tylko miejscowe szkoły bułgarskie. Starsi z nich przed

wojną rosyjsko-turecką byli po większéj części nauczycielami lub kupcami; są między nimi patryoci, których rząd turecki internował w Azyi a nawet w Tripolis, i tacy to długie lata spędzali na emigracyi, wielu przybyło z Carogrodu, gdzie przed wojną istniała liczna kolonja bułgarska. Pomiędzy młodém pokoleniem ciągle się zwiększa zastęp takich, co ukończyli fachowe studya w najznaczniejszych zakładach zagranicznych. W ogóle przeważa żywioł młodszy. Pomiędzy urzędnikami w r. 1881 więcéj niż połowa było takich, co liczyli mniéj, niż 30 lat. Kółka pomiędzy nimi tworzą się według zasad politycznych, ale także według miast lub okolic, z których pochodzą: Tyrnowcy, Płowdywcy, Bessarabczycy swarzą się ze sobą częściej niż inni.

Co do powierzchowności zaznacza się wielka rozmaitość. Nie ma jednolitego typu bułgarskiego. Co do wzrostu przeważnie nizcy; górale bałkańscy są po większéj części wzrostu małego, tłuści, ale żwawi; ludzie wysokiego wzrostu pochodzą z nad brzegów Dunaju lub z bezpośredniéj okolicy Zofii. Włos najczęściej czarny, rzadziéj kasztanowaty z rudą przymieszką; blondyn jasnowłosy należy do wyjątków. Co do twarzy, to obok typu słowiańskiego spostrzerzesz głowy rumuńskie, orli nos grecki lub wielkie nosy kaukazkie czyli armeńskie, gdzie indziéj zobaczysz szerokie lica z małym nosikiem, widocznie rysu tureckiego lub kumańskiego, a nie jeden z moich przyjaciół z podbałkania tyrnawskiego z gęstemi brwiami nad czarném okiem, i zakręconym w dół wąsem, wygląda całkiem na tatara lub kałmuka. Częste toż typy cygańskie. Za panowania tureckiego nosiły się tylko wąsy, teraz pojawiają się brody. Pomiędzy kobietami spostrzeżesz wiele twarzy inteligentnych, mało pięknych, o wiele mniéj niż pomiędzy innemi narodami półwyspu bałkańskiego.

Bułgar jest na pozór spokojny i flegmatyczny; ale gdy go poznasz bliżéj, łatwo dostrzeżesz, że poza tym spokojem ukrywa się temperament namiętny. Odnacza on się chłodnym rozsądkiem, i w tym względzie mocno się różni od poetyckiego usposobienia innych narodów półwyspu bałkańskiego. Jego zdolność do pracy i jego wytrwałość są niepospolite. W chwilach burzliyych, podczas wyborów, rewolucyi, walki stronniczéj, opanowuje go zapał, albo fanatyzm, który go uzbraja w nadzwyczajną energią. Przy tém jest uparty i zazdrośny, brzydka zazdrość stanowi główny czynnik w wzajemnych stosunkach Bułgarów. Skromny i oszczędny, do pracy skory, ale niekiedy wybuchający cholerycznem uniesieniem, Bułgar wiele się zbliża do włochów i greków. Rossyjanin wszystko co zarobi z wesołém sercem wyda, bułgar z kupieckim zmysłem oblicza wydatki i rachuje, ileby mógł oszczędzić. W Zofii wielu urzędników bułgarskich w ciągu kilku lat zaoszczędziło sobie tyle, aby sobie wystawić skromny domek własny. Zbytek u nich nieznany; nawet warstwy inteligencyi noszą szaty z grubéj krajowéj wełny

żółtéj lub brunatnéj zimą, śnieżno-białéj latem, a głowę okrywają kosmatym kołpakiem. Do większych miast a mianowicie do strojów płci pięknéj, dzięki balom i zabawom publicznym, wkradł się strój europejski, ale to dotyczy tylko najbogatszych warstw i obudziło silny zwrot na korzyść dawnego, krajowego zwyczaju.

W towarzyskiém życiu Zofii, w pierwszych latach po utworzeniu nowego księztwa ważną rolę odgrywały bale dworskie, na które zapraszano do 400 osób. Tam schodzili się dyplomaci, cudzoziemscy oficerowie i wszyscy wybitni bułgarzy z rodzinami. Książę Aleksander przy takich sposobnościach rozwijał wszystkie zalety swego sympatycznego charakteru. Politykowie różnych stronnictw po przyjacielsku rozmawiali, zwłaszcza u bufetu, który wszystkich równie przyciągał. Dyplomaci urządzali częste bale, obiady, wieczorki, festyny na lodzie, latem pikniki w okolicy lub łowy. Nie brakowało też gęstych parad wojskowych i manewrów, lub uroczystości, urządzanych z powodu pamiętnych dni z dziejów bułgarskich. Teatru stałego nie ma w Zofii, ale niekiedy grywa się teatr amatorski, na cele dobroczynne. Po raz pierwszy grano po bułgarsku na początku roku 1880 i to „Zbójców" Schillera. Potem w zimie z r. 1881 na r. 1882 grywano w sali „Sobrania" oryginalne, zakroju bardzo skromnego, dramata bułgarskie. Po jedném z takich przedstawień zgorzał drewniany gmach sejmowy. Obdarzony darem wymowy bułgar, posiada skłonność do życia towarzyskiego. Chętnie też schadzają się wieczorem na pogawędkę przy cygaretach i herbacie. Płeć piękna od tych zebrań nie usuwa się. Tylko w miastach, gdzie przeważał zwyczaj turecki, starsze kobiety i teraz jeszcze nie pokazują i nie odzywają się w męzkiem towarzystwie. Oczywiście, że w Zofii wszyscy pomiędzy sobą się znają. Życia w gospodach, jak w krajach, gdzie piwo piją, nie ma w Bułgaryi. Natomiast kawiarnie są bardzo ożywione. W ogóle jednak Zofia nie jest miastem przyjemném.

Stolica bułgarska powinna być też głównem ogniskiem oświaty i ruchu literackiego dla całego kraju. Ku temu jednak zaledwo założono podwaliny. Znajduje się tu 4 drukarń, z tych jedna rządowa, stojąca na równi z zagranicznemi. Jednakże oprócz ogłoszeń urzędowych i podręczników szkolnych, drukuje się w Zofii bardzo mało książek, dla tego też handel księgarski dotąd się tu nie rozwinął; głównem miejscém wydawnictw bułgarskich pozostał Płowdiw. Brak dobrych książek ludowych, daje się mocno uczuwać, choć podobne książki mają dobry odbyt, gdyż nawet prosty lud chętnie czyta lub przysłuchuje się czytającym dzieciom. Czasami wychodzi tu mnóstwo dzienników, które atoli nie mają trwałości. Oprócz „Drzawnego Wjestnika," który zamieszcza tylko ogłoszenia urzędowe, telegramy i anonse, żaden z dzienników tutejszych nie sięga r. 1879; bułgarskie czasopisma w Płowdiwie i w Carogrodzie, wychodzą znacznie dłużéj (w r. 1885 wychodziło w Zofii 10, w Płodiwie 13 czasopism bułg.). Szkół w stolicy nie brak. Oprócz szkoły wojennéj,

jest gimnazyum klassyczne dla 600 uczniów, wyższa szkoła dla dziewcząt, szkoła przemysłowa w bliskim Kniażewcu. Młody bułgar jest bardzo pojętny i chętnie się uczy; atoli wielu tu jeszcze naukę uważa za zbytek. Praca literacka dostępuje uznania i szacunku, ale mało wnika w życie. Ludzie wykształceni, skończywszy studya, przestają czytać lub co najwyżéj zaglądają do podręcznika, a zatém tracą związek z postępem wiedzy. Znajdziesz i ludzi, z których wpływ wykształcenia zeszedł, jakby jaki zewnętrzny pokost. Tém godniejsi pochwały są ci, co się szczerze starają o pielęgnowanie wiedzy w języku bułgarskim. Już w r. 1879 powstała narodowa biblioteka, bogata w dzieła, dotyczące kraju lub półwyspu bałkańskiego. Obejmuje ona 16,000 tomów, ale umieszczona jest nie korzystnie i rzadko zwiedzana. Pierwsze literackie stowarzyszenie: „Bułgarsko Uniżowno drużestwo" powstało w roku 1869 w Braile w Rumunii: majątek i księgozbiór towarzystwa w r. 1882 przeniesiono do Zofii, gdzie władze miejskie darowały mu znaczny grunt na wystawienie własnego gmachu przy jednéj z głównych ulic. Jakkolwiek liczba członków szczupła, towarzystwo oprócz mniejszych publikacyi wydało dotąd 20 zeszytów swego czasopisma: „Peryodiczesko Spisanie," zawierających obfity materyał do dziejów, geografii, statystyki, języka i piśmiennictwa Bułgarów.

Płowdiw. W samym środku wysokiéj równiny na prawym brzegu Marycy sterczy siedem odosobnionych skał sjenitowych. Na trzech najbliższych rzeki – osiadło miasto Filipa, zwane przeto od Rzymian t r i m o n t i u m. Najwyższy (212 metrów) i najszerszy pagórek miejski Dżambaż-tepe czyli wzgórze Kuglarzy, to cyrkuł arystokratyczny, siedziba bogatych Greków i Bułgarów, pokryty przestronnemi domami i ogrodami. Na wschód i nieco bliżéj rzeki stojące wzgórze Nebet-tepe także pokryte domami, choć mniéj okazałemi. Na zachód od głównego wzgórza stoi Taxim-tepe, tak zwany od rzymskiego wodociągu po turecku, (taxim), który aż tam sprowadzał wodę z gór Rodopy. Reszta miasta rozsiadła się dokoła tych pagórków, mianowicie ku rzece. Tu przy głównéj wązkiéj c z a r s y i znajdują się liczne składy, zwłaszcza stary dobrze zachowany karawanseraj (bazar) z sklepami jubilerskiemi, z wielkim dziedzińcem, o 10 ołowianych kopułach z każdéj strony dziedzińca. Daléj pomiędzy rzędami nowych domów rozpościera się świeżo założony na miejscu dawnego cmentarza tureckiego ogród publiczny. Na końcu czarsyi stoją dawne łaźnie tureckie, w których aż do zjednoczenia bułgarów, obradował sejm Rumelii wschodniéj, tudzież nad samą rzeką skromny pałacyk (konak) baszy a potem generalnego gubernatora. Przez dość tu szeroką i gwałtowną Marycę, most drewniany wiedzie do rozłożonego w równinie ubogiego przedmieścia rylskiego. Na zachód od wymienionych trzech wzgórzy miejskich sterczy goły Saat-tepe, czyli pagórek zegarowy, — dwugłowa skała z wieżą zegarową z 17-go stulecia, kawiarnią i szczątkami pro-

chowni tureckiéj. Ostatnie trzy wzgórza stoją ku południowi, pomiędzy miastem a dość odległym dworcem kolei żelaznéj. Dzięki téj oryginalnéj konfiguracyi, miasto przedstawia obraz wielce malowniczy: szare ściany wzgórzy wznoszą się nad zieloną doliną, słońce błyszczy w szybach białych domków na szczycie skał, dokoła nas równina a krajobraz zewsząd zamykają sine góry, nad któremi zawisły ciemne obłoki. Najpiękniejszy widok otwiera się z wymienionego wzgórza zegarowego. Ztąd obejmujemy wzrokiem całe miasto. Dokoła rozpościera się blado-zielona równina bezleśna, zasiana licznemi wioskami i prastaremi mogiłami; na południu gór Rodopy, których podnóże zbliża się aż na 10 kilometrów do miasta. Na północ Bałkany; na zachodzie oba pasma gór łączą się górami Rylskiemi, z których wypływa Maryca, szumiąca na dnie całego obrazu. Całkiem dokładnie rozpoznamy góry Rodopy, okryte lasami i łąkami, poniżéj winnicami, a na dole wioskami i klasztorami, gdzie latem przebywają Płowdiwianie. W dalszéj odległości (40 kilometrów) ku północy, sterczy pasmo średniéj góry, po za którém dostrzegamy potężny, nawet w sierpniu okryty śniegiem wierzchołek Bałkanów Gjumruk-czal a obok niego Dobrilę i Wyzień. Środek malowniczéj panoramy z téj strony tworzy wąwóz rzeki Stremy, która, spłynąwszy z Bałkanu, przecina średnią górę, dążąc wprost na południe do Marycy.

Jako jedyny ślad pierwotnych mieszkańców tych okolic, mężnych Thraków, przechowały się liczne mogiły od 1—4 metrów wysokie, o których usypywaniu na cześć zmarłych naczelników dokładne szczegóły podaje Herodot, oraz kamienne deski z płaskorzeźbą „thrackiego jeźdźca," bądź to jako łowiec z psami i jeleniem, bądź stojący naprzeciwko niewiasty o zasłoniętéj chustką głowie. Pomniki te, o których znaczenie spierają się archeolodzy, co chwila odkrywają się w pobliżu Płowdiwa. Zawojowawszy kraj Franków pomiędzy r. 342 - 340 po Chr. i dotarłszy aż do dolnego Dunaju, Filip macedoński celem zabezpieczenia swych zdobyczy założył kilka twierdz, a pomiędzy niemi *Φιλιππούπολις*. Były to przeważnie osady złoczyńców z załogą wojskową, to też i Filipopol według Theopompa i Pliniusza zwał się także Poneropolis, t. j. miastem złoczyńców. Z upadkiem potęgi macedońskiéj raz jeszcze Trakowie powrócili do niepodległości, aż za czasów cesarza Klaudyusza (r. 46 po Chr.). Kraj został prowincyą rzymską i w Filipopolu osiadł prokurator cesarski. Obok rzymskiéj nazwy Trimontium przechowywała się także thracka: Pulpudeva, jak sądzi p. Iireczek, skrócona z Filippo-dava. Wędrówka ludów nie minęła Filipopola. W r. 251 Gothowie zdobyli miasto i wzięli 100,000 mieszkańców, jak zaznacza Ammianus Marcellinus. W r. 448 podobną katastrofę zgotowali miastu Hunnowie. Od przejścia Bułgarów przez Dunaj (678) zrazu Filipopol stanowił przednią basztę cesarstwa bizantyjskiego przeciwko najeźdzcom. Wtedy cesarzowie bizantyjscy, aby ubezpie-

czyć swą władzę w tych stronach, wprowadzili do Filipopola licznych mężnych armeńczyków i syryjczyków z nad górnego Eufratu. Znaczna część tych osadników przyznawała się do armeńskiego monofizytyzmu albo też do manicheizmu; ztąd herezya przeszła do Bułgarów, mianowicie do sekty Bogumiłów. Wtedy rozpowszechniła się słowiańska nazwa miasta w pierwotnéj formie Płowdin, a późniéj, od 16-go stulecia, Płowdiw. Dokładnego wyjaśnienia etymogii tego wyrazu dotąd nie mamy. W 10-tém stuleciu za carów Szymona i syna jego Piotra, Bułgarzy opanowali Płowdiw, który jednak w r. 971 powrócił pod władzę cesarstwa wschodniego. W czasach krucyat nowe niebezpieczeństwo zagroziło miastu. W r. 1096 krzyżowcy spokojnie przeszli przez Płowdiw, ale na drugiéj wyprawie r. 1147 niemieccy krzyżowcy cesarza Konrada III złupili i spalili część miasta, to samo powtórzyło się na trzeciéj wyprawie cesarza Fryderyka I r. 1189. Gdy krzyżowcy, zdobywszy Carogród, założyli efemeryczne „cesarstwo łacińskie," księztwo filipopolskie dostało się flandryjskiemu rycerzowi Renierowi de Trit. Ten w listopadzie r. 1204 z 120 rycerzami przyjechał do miasta, gdzie go przyjęto z radością, ponieważ po upadku cesarstwa greckiego mieszkańcy obawiali się napadu swych sąsiadów bułgarskich. Gdy jednak łaciński cesarz, Balduin I, dnia 14 kwietnia r. 1205 pod murami Carogrodu został na głowę pobity i wzięty do więzienia przez cara bułgarskiego Kalojana, także w Płowdiwie nastał obrót. Część mieszkańców weszła w konszachty z carem, a Renier opuścił miasto, do którego jeszcze raz powrócił, gdy następca Balduina, cesarz Henryk, w sierpniu r. 1208 zwyciężył następcę Kolojana, cara Borila. Dalsze losy Reniera nie są znane, wiemy tylko z dokumentów archiwów weneckich, że po nim panował w Płowdiwie jego krewny Gerard de Stroem. Panowanie łacińskie skończyło się tam r. 1235, gdy car bułgarski Azen II, połączył się z nicejskim cesarzem Vatacem przeciwko łacinnikom, i odtąd rozpoczynają się nanowo krwawe walki Bułgarów i Greków o Płowdiw, zakończone wreszcie zajęciem miasta przez turków, około r. 1370. Gdy turcy także zdobyli państwo tyrnowskie (1393), ostatni car bułgarski, Jan Szysman, osadzony w Płowdiwie w więzieniu, w którém umarł czy został uduszony.

Za panowania tureckiego ludność chrześciańska wyniosła się z miasta. Podróżnik Gerlach r. 1578, znalazł w Płowdiwie, przezwanym po turecku Filibe, tylko 250 domów chrześciańskich, stojących w wydrążeniu pomiędzy pagórkami Dżambar a Nebet. Chrześcianie mieli wtedy 8 kościołów, z których najgłówniejszy ś-téj Maryi, dzisiejsza katedra grecka. Des Hayes w r. 1621 twierdzi, że połowa ludności jest chrześciańska, połowa turecka; a więc ludności chrześciańskiéj znowu przybywało. Jednakże jeszcze w r. 1819 z 15 cyrkułów miejskich było 11 tureckich. Kolonizacya turecka w Płowdiwie i w całéj równinie thrackiéj została przepro-

wadzona tém łatwiéj, ponieważ kraj wskutek ciągłych poprzednich wojen był wyludniony. Że ludność turecka w tych okolicach zdobyła stanowczą przewagę, świadczą o tém np. nazwy wsi, pól, pagórków, lasów, potoków około Płowdiwia: Tatar-Bazardżika, Staréj Zagóry i t. d., jako téż pisarze miejscowi, np. pop Konstantyn, który w swym opisie eparchii płowdiwskiéj w r. 1879 zaznacza, że w mieście i w całéj eparchii język turecki góruje nad wszystkiemi innemi. Dopiero w XVIII-ém stuleciu Płowdiw nieco się ożywił. Wtedy kwitł tu handel jedwabiu, wełny i bawełny, wywożonéj przez kupców greckich i bułgarskich przeważnie do Austryi. Głównem emporyum dla wschodniéj części półwyspu bałkańskiego był wtedy Braszów w Siedmiogrodzie, gdzie przebywała liczna kolonia greków i bułgarów i gdzie też wydrukowana pierwsza bułgarska książka szkolna, bukwar Berowicza (r. 1824). Jednak kupcy płowdiwscy udawali się też często do Smyrny, a nawet docierali do Lipska. Z czasem powstawała w Płowdiwie nowa warstwa patrycyuszów chrześciańskich, nie tylko z zbogaconych kupców, lecz zwłaszcza z dzierżawców podatku od bydła, czyli tak zwanych beglikczyjar (od beglik dziesięcina), pochodzących po największéj części z Koprywsztycy. Potomkowie ich tworzą obecnie bogate i daleko rozgałęzione rodziny greckie i bułgarskie, które bez względu na narodowość żenią się tylko pomiędzy sobą, zachowują pewną etykietę, i mają swą liczną klientelę, jak starzy patrycyuszowie rzymscy. Niektórzy z nich byli w służbie tureckiéj i posiadali znaczny wpływ w Carogrodzie. Ci to beglikczyjcy wspierali chrześcian, opiekiwali się szkołą, odnawiali lub stawiali nowe kościoły.

Jeszcze na początku bieżącego stulecia chrześciańska raja nie była świadomą różnic narodowości, aczkolwiek dawna nienawiść pomiędzy Słowianami a Grekami nigdy całkiem nie wygasła. Dopiero po rewolucyi greckiej prądy bułgarski i grecki zaczęły się ostréj ścierać i to najprzód w szkołach, które wtedy powstawały w miastach. Z początku uczono w nich i po bułgarsku i po grecku. Język grecki stanowczo przeważał w handlu; atoli niebawem prąd bułgarski, będąc bliższym korzenia swego, zaczął wypierać grecczyznę. W Płowdiwie Bułgarzy w r. 1850 oderwali się od szkół spólnych. Po wojnie bułgarskiéj odpadli od greckiego patryarchatu carogrodzkiego i odnowiono dawny narodowy kościół bułgarski. Płowdiw był jednym z głównych ognisk tego ruchu. Tutaj jeszcze przed ostatnią wojną rossyjsko-turecką powstała 7-io klasowa szkoła realna bułgarska, tu też od lat 30 ześrodkowywał się handel księgarski. Drukarni jednak przed oswobodzeniem nie było w Płowdiwie, bo rząd turecki na zakładanie drukarń pozwalał tylko w Carogrodzie i w stolicach v i l a j e t ó w. Ważną datą w dziejach Płowdiwia stanowi otwarcie kolei żelaznej do Carogrodu (1873), co przyśpieszyło przewrót stosunków ekonomicznych. Osłabiona już zniesieniem dawnego feudalnego porządku (1839), na którym się

opierała dawna jéj przewaga, apatyczna i niezdolna zastosować się do nowych środków komunikacyi, szlachta turecka teraz zwolna sprzedawała majątek po majątku a kupcem był prawie zawsze przebiegły i oszczędny Bulgar albo Grek; to też tutaj krótko przed wojną i ostateczną katastrofą najkrwawiéj wybuchła nienawiść dwóch ras, dwóch warstw społecznych i dwóch wyznań. Wprawdzie po wojnie, zrazu turcy powracali do swych majątków, ale nie wszyscy a w latach następnych zaczęła się gromadna ich emigracya do Azyi. Tymczasem wzrastał dobrobyt ludności krajowéj. Rumelia jest ponó z przyrody najbogatszą częścią półwyspu bałkańskiego. Za pierwszych lat samorządu nieznane tu były wewnętrzne rozterki, pod któremi upadało księztwo bułgarskie; sejm Rumelii nie zajmował się kwestyami politycznemi, konstytucyą dokładnie określał wypracowany pod kontrolą międzynarodową „statut organiczny;“ władze i urzędnicy nie zmieniali się nieustannie, jak w innych krajach półwyspu. Jednakże, nie będąc odosobnioną wyspą, Rumelia nie miała przyszłości. Z jednéj strony bułgarzy pragnęli ją przyłączyć do księztwa, wspierani w tym względzie sympatyami przeważnéj części ludności Rumelijskiéj; z drugiéj strony turcy pracowali nad podkopaniem autonomii i przywróceniem dawnego porządku. Stan finansów był niepomyślny, wielką uciążliwość stanowiła granica cłowa pomiędzy Rumelią a Księstwem, właśnie że rumelioci oddawna swe wyroby głównie wywozili za Bałkany.

Jako stolica Rumelii wschodniéj, Płowdiw, zawsze był wielce ożywiony. Na pierwszy rzut oka łatwo można dostrzedz stanowcze różnice pomiędzy dwiema stolicami. Zofia jest właściwie miastem nowém śród nieprzystępnych gór. Towarzystwo tamtejsze świeże, orginalne, z przymieszką rubasznie demokratyczną. Płowdiw stare miasto, z osiadłém oddawna społeczeństwem i ogładzonymi mieszczanami, przypomina małe miasto włoskie lub greckie. Życie w Rumelii było tylko dalszym ciągiem rozwoju dawniejszego, albowiem miasto zawsze było głównym ogniskiem prowincyi wielkiéj i bogatéj. W Zofii przeważał wpływ emigrantów bułgarskich, którzy po wojnie wracali do kraju; w Płowdiwie ster spraw publicznych znajdował się w rękach dawnych patrycyuszów. Bliskość Carogrodu silnie też tu oddziaływa na cały sposób życia, na formy towarzyskie i przemysł. Inteligencya płowdiwska stroi się według najnowszej mody, młodzież biegle mówi po francusku lub angielsku a w stosunkach towarzyskich zaznacza się większą ogładą. Na ulicach najczęściéj odzywa się język bułgarski, ale także grecki i turecki. Prawie wszystkie rodziny mieszczańskie umieją po grecku. W r. 1885 Płodiwo liczył 33,442 mieszkańców, pomiędzy nimi 16,782 Bułgarów, 7144 Turków, 5497 Greków, 2168 Żydów, 1061 Armeńczyków i t. d.

Tyrnowo. Historyczną stolicą państwa bułgarskiego nie jest ani Zofia, ani Płowdiw, lecz daleko młodsze od nich a za wtargnię-

ciem turków pozbawione wszelkiego znaczenia politycznego Tyrnowo. Za czasów rzymskich stolicą prowincyi pomiędzy Bałkanem a Dunajem (Moezyi) był Nikopolis, nie dzisiejsze miasto téjże nazwy nad Dunajem naprzeciwko Turn Magurelli, lecz dzisiejszy Nikiup, wioszczyna, leżąca o 3 mile na północ od Tyrnowa. Ostatnią wzmiankę o tym Nikopolu posiadamy z r. 600, podczas wojen Bizantynów z Awarami; kiedy zaś znikł i jakim sposobem nazwa przeniosła się na nowoczesne miasto nad Dunajem, nie wiadomo. Według podań miejscowych, carowie bułgarscy z początku rezydowali w Nikopolu i dopiero po odnowieniu carstwa w r. 1186 przenieśli się do pobliskiéj cierniem (tirnem) porosłéj skały, — ztąd Tyrnowo,—które pozostało stolicą aż do upadku państwa bułgarskiego w r. 1393. Stretegom średniowiecznym strome skały tyrnowskie wydawały się jako wzór nieprzystępności i pewności. I tak Niketas Acominatos Choniates pisał: „Tyrnowo, najpewniejsze i najznakomitsze z wszystkich miast pod Bałkanem, zabezpieczone potężnemi twierdzami, jest wystawione na wzgórzu a rzeką na kilka części rozdzielone.“ Grzegorz Camblak, rodowity tyrnowianiec († 1419) wychwala „pewność miasta, zamkniętego wysokiemi wzgórzami i zabezpieczonego potężnemi murami.“ Jednak nie zdołało się oprzeć turkom, którzy dnia 17 lipca r. 1393 zdobyli Tyrnowo i natychmiast usunęli wszystkich mieszkańców, którzy im się mogli stać niebezpiecznymi. Stu dziesięciu starszych i mieszczan pod pretekstem narady wezwano do jednego z kościołów i tam wycięto, resztę majętniejszych mieszczan wywieziono do Azyi. Ponieważ zaś stolicą sandżaku stał się Nikopol a Tyrnowo nie leżało téż nad żadną z głównych dróg państwa tureckiego, nie mamy o dawnéj stolicy bułgarskiéj tak licznych opisów z 16 i 17-go stulecia, jak o Zofii lub Płowdiwie. Tylko Dubrowczanie jeździli tędy z Zofii do Sylistryi. Zajmujące szczegóły podaje Piotr Bogdan (1640). Według niego miasto opływało w przyrodzone bogactwa: do koła na wszystkich wzgórzach rozpościerały się winnice, w pobliżu, doliny pełne były zboża, owoców i dobytku, ryby przywożono z Dunaju, mniejsze łowiono w pobliskich rzekach. Już wtedy kwitło tu jedwabnictwo. Za czasów Bogdana chrześcianie i turcy liczyli po 10,000 dusz. Zwróciło na siebie uwagę dubrownickiego podróżnika rozpowszechnienie się w tych dalekich stronach języka greckiego. „Nie wiem—powiada o prawosławnych mieszkańcach Tyrnowo—do któréj narodowości należą, bo mówią tyle po grecku, co po bułgarsku. Sądzę, że język grecki, utrzymał się tutaj jako wykształceńszy, ponieważ to było miasto królewskie. Także turcy i moi rodacy (dubrowczanie) mówią po grecku.“ Aż do r. 1570 rezydował w Tyrnowie patryarcha, potém metropolita, posiadający tytuł: „eksarcha Bułgaryi,“ któremu poddane były cztery biskupstwa: Czerwieńskie (dziś Ruszczuk), Presławskie, Łowczańskie i Wraczańskie.

Pozbawione znaczenia politycznego, Tyrnowo stało się ważném

ogniskiem handlowém. Głośnymi kupcami zdawien dawna byli rodowici tyrnowianie. W 16 i 17 stuleciu znajdowała się w Tyrnowie osada kupców z Dubrownika, którzy mieli swój kościół Najś. Maryi Panny. W 17-ém istuleciu w pobliskiéj wsi Marionopolu, dzisiejszém przedmieściu Maraopolu, mieszkali Bogumili, którzy w r. 1635 przyłączyli się do kościoła katolickiego; było ich 860 dusz. Handlowa działalność już w średnich wiekach zwabiła do Tyrnowa kolonią żydowską. Car Jan Aleksander ożenił się z piękną żydówką, która przy chrzcie otrzymała imię Theodory i hojnie obdarzała kościoły i klasztory; ostatni car bułgarski Szyszman, był synem téj carycy rodu żydowskiego. Późniéj żydzi się wynieśli a dzisiejsi tyrnowianie, bardzo przebiegli w handlu, pysznią się, że żaden żyd im nie podoła. W bieżącém stuleciu miasto szybko upadało. W miarę wzrastającego obrotu na Dunaju, kupcy tyrnowscy przenieśli się do Ruszczuku, Sistowa, do Rumunii, nawet do Wiednia. W Bułgaryi saméj spotykamy się teraz z tyrnowianami we wszystkich okolicach. Stare rodziny tym sposobem znikły z miasta. Ich miejsce zajęli przybysze z gór bałkańskich, którzy osiedli w Tyrnowie jako rzemieślnicy i kramarze i tam się pożenili. Powiadają, że w Tyrnowie kobiety pochodzą po największéj części z dawnych rodów, mężczyzni zaś są zamiejskiego pochodzenia. Za ostatniéj wojny i okupacyi rosyjskiéj, Tyrnowo było jedném z najbardziéj ożywionych miast bułgarskich. Na początku r. 1879 w dawnym konaku tureckim obradował pierwszy sejm bułgarski, który wypracował konstytucyą; tu też 17/29 kwietnia odbył się wybór księcia Aleksandra. Ale stolicą nowego księstwa Tyrnowo się nie stało. Przeszkodził temu prąd opozycyjny, który tutaj zawsze przeważał. Złożywszy przysięgę w Tyrnowie, ks. Aleksander przez wiele lat nie odwiedził miasta, a odbywając w r. 1881 podróż po kraju, zawitał do wszystkich okolicznych miasteczek, tylko Tyrnowo ominął. Dopiero w r. 1884 wielkie sobranie zebrało się znów tutaj, a ks. Aleksander osobiście zagaił posiedzenie. Drugim zbiegiem okoliczności, po swym strąceniu z tronu właśnie, w Tyrnowie znalazł najgorliwszych zwolenników, równie też wszyscy trzéj tak zwani regenci pochodzili z tego miasta. W r. 1881 liczono w Tyrnowie 2,190 domów i 11,247 mieszkańców.

Pod względem topografii, Tyrnowo jest jedném z najoryginalniejszych miast. Rzeka Jantra płynie tu pomiędzy stromemi skałami na wschód, potém nagle zwraca w tył i znowu w różnych zakrętach dąży na zachód. Tym sposobem powstały trzy skaliste niejako półwyspy, na których osiadło miasto. Na pierwszém od zachodu znajduje się teraźniejsze miasto. Tylko na głównéj ulicy, idącéj po 80 metrów wysokim grzbiecie wzgórza można jechać wozem. Od téj głównéj arteryi w terasach domy po obu stronach schodzą na dół. Komsziluki czyli sąsiedzkie furtki wschodniego zwyczaju, często z dziedzińca jednego domu otwierają się wprost na strzechę

lub wyższe piętro sąsiedniéj budowy [1]). W uliczkach, które przecinają ulicę główną, po kamiennych schodach zstępuje się na dół, aż nad kraniec przepaści, 50—60 metrów głębokiéj, na któréj spodzie szumi Jantra. To też miejsca na budynki mało, metr kwadratowy kosztuje około 20 franków. Z tego powodu domy drewniane, ale wysokie, o szczupłym dziedzińcu, czasem z malutkim wiszącym ogródkiem, stoją w zwartym szeregu, a że malowane żółto, biało, czerwono, zwiększa to malowniczość obrazu. Położenie takie chroni Tyrnowo od błota; każdy deszcz bowiem dokładnie obmywa ulice i sprowadza wszelkie nieczystości do Jantry, a kamienny bruk szybko osycha.

Stare miasto znajdowało się na środkowym półwyspie, zwanym Carewec, po turecku Hisar czyli zamek. Od dzisiejszego nowego miasta do Carewecu wiedzie na grzbiecie skały wiadukt, 160 metrów długi, 20 metrów wysoki, a na najwyższém miejscu zaledwo cztery metry szeroki. Po obu stronach téj dziwacznéj drogi, na któréj łatwo doznać zawrotu głowy, spostrzegamy głęboko w dole Jantrę, na południowéj stronie płynącą na wschód, na północnéj powracającą na zachód. W tém miejscu dwa koryta rzeki nie są oddalone od siebie więcéj, niż 100 metrów. W miarę, jak się rozbiegają brzegi rzeki, rozszerza się też wzgórze Carowecu. Z ogromnéj za czasów tureckich cytadeli pozostały tylko szczątki. Z pałaców carów bułgarskich nie przechowała się ani jedna ściana, domy tureckie, około stu, od czasów ostatniéj wojny stoją puste. Tylko czworograniasta Hisar-dżamija z wykwintną kopułą i wysmukłym minaretem bieli się pomiędzy gruzami i skałami. Całą zresztą przestrzeń zapełniają zapadające się domy, gdzie niegdzie drzewo owocowe, około zapadłych fontan tureckich, z których jeszcze ciecze woda; w gęstéj trawie pasą się konie i owce. Dokoła całego cyrkułu dostrzedz jeszcze śladów sześciograniu potężnych murów, które według starożytnego podróżnika tureckiego, Hadżi Chalfa, otaczały Hisar.

Na północ, u podnoża Hisaru stoi starodawny pałac metropolitalny, gmach nizki, po części z drzewa, a w szerokim dziedzińcu mała, ciasna i ciemna katedra ś-go Piotra i Pawła, do którego patryarcha Eutymiusz po zdobyciu Tyrnowa przez turków przeniósł swą rezydencyą. W pobliżu, na wązkim przesmyku pomiędzy Jantrą a wzgórzem Carewecu widać szczątki staréj „ławry“ świętych czterdziestu męczenników, wystawionéj w r. 1230 po zwycięztwie pod Kłokotnicą. Był to jeden z głównych klasztorów państwa buł-

[1]) Podobny system domów, wybudowanych na stromém wzgórzu jedne nad drugiemi, widzimy w starożytném miasteczku Hall nad romantyczném jeziorem tegoż imienia w Górnéj Austryi.

garskiego i tu się znajdowały grobowce carów i ich rodzin. Turcy zamienili kościół na meczet a klasztor na teleké derwiszów. Na drugim brzegu Jantry, dokąd prowadzi 125 kroków długi most drewniany na kamiennych filarach, zwany mostem władyki (biskupim), znajdują się szczątki wystawionego pono przez braci Arsena i Piotra około r. 1186 kościoła ś-go Dymitrego Soluńskiego, na którego ścianach dostrzedz jeszcze śladów malowideł i napisów greckich. Według podania, tutaj koronowali się carowie bułgarscy.

Co do ogólnego wrażenia Tyrnowo przypomina różne miasta włoskie i dalmackie których znaczenia trzeba szukać więcéj w przeszłości, niż w przyszłości. Mieszkańcy są usposobienia żywego, dowcipni, rozmowni i weseli, zdatni do studyów literackich, równie jak i do handlu i przemysłu. Kobiety, po większéj części brunetki, odznaczają się wdziękami. Inni bułgarzy uważają tyrnowian jako gadułów i lekkich dowcipnisiów, i żartują sobie z wielkiego wpływu, jaki w tém mieście posiada płeć piękna. Przemysł z czasem zupełnie upadł w Tyrnowie. Zaledwo na przedmieściu Marnopolu dostrzeżem przędzalnią jedwabiu, fabryki likieru i młyna parowego. Starodawne sławne tkactwo i inny miejscowy przemysł znikł. Życia umysłowego mało, choć kilkakrotnie poczęto wydawać czasopisma; żaden tyrnowianin, który odbył szkoły, nie pozostaje w mieście. Ani nawet miejscowe starożytności nie obudzają ciekawości, choć sędziwy dr. Wasil Beron starał się gorliwie o założenie towarzystwa archeologicznego, któreby tu było bardzo potrzebném. Jest miejska realna szkoła i rządowa 5 klasowa wyższa szkoła dla dziewcząt. Rozszerzyć miasto się nie może z powodu swego ciasnego obszaru pomiędzy przepaściami, w których do koła płynie rzeka. Okolice Tyrnowa są bardzo powabne. Możesz się daleko przechadzać w cieniu zieleni po winnicach, ozdobionych mnóstwem lekkich domków, albo po dróżynach pomiędzy ogrodami, albo też gołych skałach, skąd wszędzie piękny widok na miasto. Jest to całkiem coś innego, niż Zofia, otoczona do koła smutną pustynią i olbrzymiemi w dali górami, z których wieje tylko chłód i mgła.

Z powyższego streszczenia rozdziałów, dotyczących najsławniejszych miast bułgarskich, czytelnik łatwo oceni metodę pana Iireczka. Przy każdéj miejscowości podaje on zaczerpnięty z najlepszych źródeł opis historyczny od najdawniejszych czasów, a zna on równie dokładnie starożytne źródła greckie i rzymskie, jako też średniowieczne, przeważnie włoskie, tudzież wszystkie ważniejsze opisy podróży z najnowszych czasów. Równie wyczerpująco kreśli topografią teraźniejszą i to zawsze na mocy osobistego sprawdzenia na miejscu, względnie sprostowania mniéj sumiennych relacyi. Daléj wszędzie zwraca uwagę na stosunki społeczne, literackie, przemy-

słowe i t. d., w którym to względzie niemal nad wszystkimi innymi spółczesnymi turystami, zwłaszcza niemcami, francuzami, którzy najwięcéj piszą o Bułgaryi, ma tę wyższość, że znając dokładnie język bułgarski a nawet wszelkie jego narzecza, łatwiéj też mógł od różnych warstw ludności, począwszy od kolegów ministrów aż do prostych wieśniaków lub pastuchów w górach Bałkanu i Rodopy, zasięgnąć cennych wskazówek. To też pomiędzy mnożącymi się opisami Bułgaryi „Podróż“ p. Iireczka zajmuje bardzo wybitne miejsce a wszystkim tym, którzy pragną obeznać się gruntownie z tym ciekawym krajem i narodem, dostarcza ku temu najobfitszego materyału.

RZUT OKA
NA DOTYCHCZASOWE DZIAŁANIE KOMISYI HISTORYI SZTUKI
istniejącéj
przy Akademii Umiejętności w Krakowie.
przez
D-ra Stanisława Tomkowicza.

Piętnaście lat minęło w maju 1888 r. jak założoną została Akademia Umiejętności w Krakowie. Postanowiła ona okres ten życia i działalności swojéj przedstawić w książce pamiątkowéj, która wyjść ma z druku niezadługo. Znajdą tam uwzględnienie także i prace, odnoszące się do historyi sztuki. Ponieważ jednak plan i cel owéj książki pamiątkowéj nie dozwalają czynności pojedyńczych komisyi akademickich przedstawić jako osobną całość, przeto sądzę, iż nie od rzeczy będzie na innéj drodze podać publiczności polskiéj obraz kilkunastoletniéj działalności téj komisyi, do któréj mam zaszczyt należéć jako jéj od lat kilku sekretarz.

Okres niniejszym rzutem oka objęty nie jest żadną skończoną i zamkniętą całością. Komisya żyje i pracuje daléj we wszystkich prawie kierunkach, których początki w tym okresie dane zostały. Jest on przecież przestworem czasu dość znacznym, aby godziło się spojrzeć po za siebie i zapytać, co w ciągu lat tylu uczynioném zostało, jaką część programu spełniono, a jaka do dopełnienia zostaje i czego czynić zaniedbano. Poda ten rachunek sumienia zarazem pożądaną sposobność wyjaśnienia niejednego szczegółu, który z daleka stojącym może wydawać się niezrozumiałym, sposobność rozwiązania niejednéj może wątpliwości.

Taki jeden szczegół nasuwa się zaraz na wstępie w istnieniu współcześnie w łonie Akademii dwóch komisyi, których zakres działania nie jest właściwie ściśle odgraniczonym: Komisyi archeologicznéj i komisyi historyi sztuki, z których każda należy nawet do innego wydziału akademickiego.

Dla wytłómaczenia téj w obec nowszych pojęć naukowych anomalii, należy cofnąć się w czasy, poprzedzające utworzenie Akademii Umiejętności.

Tow. Naukowe krakowskie posiadało „Oddział archeologii i sztuki," w którym dwa kierunki od początku się uwidoczniały. Strona artystyczna miała w nim przewagę, jednak uprawianą też była archeologia w ściślejszém znaczeniu słowa. A gdy działalność tego oddziału, nie ograniczająca się na naukowém tylko badaniu, ale obejmująca i praktyczną opiekę nad zabytkami przeszłości, była nader rozległą, objawiła się myśl oddzielenia spraw do dziedziny sztuki należących, od spraw czysto archeologicznych, i utworzenia dla każdéj z tych dziedzin naukowych osobnego grona pracowników

Myśl tę urzeczywistniono, gdy powstawała Akademia. Były wtedy względy przemawiające za utworzeniem 3-ch wydziałów zamiast właściwszych może dwóch tylko. A gdy oddział I-y czyli filologiczny początkowo ciasne bardzo miał granice, postanowiono na wniosek ks. Jerzego Lubomirskiego, rozszerzyć je przez przydanie historyi sztuki, podczas gdy archeologią przydzielono wydziałowi II-mu. Stało się to tém snadniéj, ile że ówczesne pojęcia o historyi sztuki nie dozwalały wciągnąć do niéj sztuki stosowanéj do przemysłu i rękodzieł, a antropologia wówczas nie objęła jeszcze była sprawy wykopalisk.

W pierwszych chwilach po zawiązaniu Akademii istniały jedynie wydziały. Komisye powstały nieco późniéj. Z téj przyczyny na wydziale I-ym czytaną jeszcze była pierwsza rozprawa p. Łuszczkiewicza z dziedziny historyi sztuki, mianowicie „O malarstwie cechowém" w czerwcu r. 1873.

Komisya historyi sztuki powstała w r. 1873. Zaraz na pierwszém jéj posiedzeniu w czerwcu t. r. przedłożył program działania prof. Łuszczkiewicz. Program ten powierzony następnie do szczegółowszego opracowania wnioskodawcy wspólnie z p. Maryanem Sokołowskim, przyjętym został przez komisyą i dzieli się na dwie główne części. Pierwsza z nich, obejmująca badania zabytków sztuki miejscowéj w Polsce (co ograniczono początkowo jedynie do sztuki średniowiecznéj, ale niebawem rozszerzono i na arcydzieła odrodzenia, rozpada się na następujące główne punkta:

a) badanie średniowiecznego budownictwa, rzeźby i malarstwa;

b) badanie sztuki ruskiéj;

c) inwentaryzowanie zabytków sztuki w kraju;

d) poszukiwania archiwalne, odnoszące się do historyi sztuki i mistrzów.

Druga część programu obejmowała badanie dzieł importowanych sztuki europejskiéj i w ogóle światowéj, w kraju naszym się znajdujących, oraz poznanie działalności obcych mistrzów w Polsce.

Jako środki do spełnienia tych zadań uważała komisya:

a) Przedsiębranie wycieczek po kraju celem wydobywania na jaw i opisywania nieznanych zabytków sztuki;

b) Gromadzenie zbiorów sztuki w Akademii;

c) Zachęcanie osób poza Akademią stojących do badań podobnych, a mianowicie do pisania monografii zabytków sztuki;

d) Wydawanie osobnéj publikacyi dla zamieszczania w niéj wyników badań i nagromadzonych materyałów rysunkowych — do czego zamierzono dołączyć kontynuacyą rozpoczętego przez ks. Jerzego Lubomirskiego wydawnictwa „Monumenta artis Cracoviensis.“

Oczywista rzecz, iż z tak rozległego programu nie wszystkie części mogły równocześnie i w równéj mierze być wykonane i rozwinięte. Jeden z punktów pierwszorzędnéj wagi: założenie własnego odrębnego od wydawnictw wydziałowych organów komisyi, z powodu braku funduszów dopiero w czwartym roku istnienia komisyi, mógł być wprowadzonym w życie. Odtąd (t. j. od 1877 r.), zaczęły wychodzić w formacie i duchu, zbliżonym do Mittheilungen wiedeńskiéj centralnéj komisyi konserwatorskiéj — „Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce,“ w zeszytach in 4-to, ogłaszanych bez stałego terminu i po cztery jeden tom składających. Po dziś dzień zebrało się z nich 3 tomy i rozpoczyna się obecnie tom IV. Liczne tablice rysunkowe i drzeworyty odtwarzają w nich zabytki, które dotychczas nie były wydane, albo objaśniają tekst naukowy. Obok materyałów, pomieszczono tam także niektóre rozprawy naukowe. Przed rozpoczęciem wydawnictwa tego, parę prac z tego samego zakresu znalazło miejsce w „Rozprawach i Sprawozdaniach“ wydziału filologicznego, kilka zaś większych rozpraw tak w pierwszym czasie jak i po rozpoczęciu wydawnictwa komisyi ogłoszonych zostało w „Pamiętniku,“ wydawanym wspólnie przez dwa wydziały akademickie, filologiczny i historyczno-filozoficzny. Wreszcie kilka dzieł znaczniejszych rozmiarów z zakresu historyi sztuki, na zalecenie komisyi, zostało przez Akademią wydanych w osobnych książkach.

Co do naukowéj treści programu, przedewszystkiém uwzględnienie znalazł postulat jego pierwszy, to jest badanie średniowiecznych zabytków sztuki w Polsce. Miała przytém komisya na uwadze nie tylko tę okoliczność, że te zabytki jako najstarsze najwięcéj wystawione są na zagładę, ale jeszcze bardziej i to, iż zbadanie ich rzuca światło na najcenniejszą dotąd epokę dziejów naszych i historyi cywilizacyi w Polsce. Najdawniejsze nasze pomniki sztuki tak mało dotychczas były badane, że nawet o istnieniu ich skąpe nader były tylko wiadomości, a w dziełach naukowych pod względem determinacyi ich i pojęć o stylowych epokach wielka panowała niejasność. Można powiedzieć, że wiele najdoskonalszych pod tym względem kwestyi wyjaśniły dopiero badania i prace komisyi, że cofnęły one początek w dziejach cywilizacyi w Polsce

znacznie głębiej w średnie wieki niż dotąd myślano, ustaliły granice i datę średniowiecznych epok stylowych, wyjaśniły niejednokrotnie wzajemny ich stosunek, oraz wpływy róznorodne zewnętrzne na sztukę i kulturę naszę, i sprostowały nie jedno błędne pod tym względem mniemanie w nauce.

Za jedno z najpilniejszych zadań obrała sobie więc komisya zbadanie i publikowanie najdawniejszych zabytków budownictwa w Polsce, czyli, co prawie na jedno wychodzi, pozostałości z epoki stylu romańskiego. Tu prawie wszystko pozostawało do zrobienia a nieodzownemi okazały się naukowe wycieczki po ziemiach polskich, podejmowane częścią ze skromnego uposażenia komisyi, częścią na koszt ogólnych funduszów Akademii. Owocem ich, co następuje:

Prof. Maryan Sokołowski w obszernéj pracy p. t. „Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy“ (Pamiętnik wydziałów filol. i histor. filoz. tom III r. 1876), do których studyów pomiarowych i tablic dostarczył prof. Władysław Łuszczkiewicz, po wycieczce wspólnie do Wielkopolski odbytéj w r. 1874, sięgnął najdaléj w przeszłość, nawiązując do rzeczy o ruinach najstarszego zamku książąt polskich szereg spostrzeżeń ogólnéj natury. Rozwiązał on zapewne ostatecznie zagadkę, do tych resztek murów przywiązaną i przez wielu przedtém napróżno dotykaną, wykazawszy na podstawie rozległych naukowych zestawień i porównań, iż są to jedyne zachowane pozostałości najdawniejszego na ziemiach murowanego budynku, kościoła zamkowego, którego jedna część centralną będąc budową jest zabytkiem może X jeszcze wieku, noszącym piętno pierwotnéj średniowiecznéj techniki, a pod względem planu świadczącym o wpływach przyniesionych za pośrednictwem Czech ze wschodu lub z Rzymu— podczas gdy druga prostokątna dobudowaną do tamtéj została zapewne w wieku XI. Całość zaś stanęła na miejscu zburzonéj świątyni, należącéj do rezydencyi pogańskich jeszcze Piastów Wielkopolskich. W dodanych ekskursach rzucił autor światło na wiele najważniejszych zagadnień, tyczących się historyi sztuki w ogóle, jakoteż początkowych dziejów oświaty i budownictwa kościelnego i świeckiego w Polsce, w chwili tajemniczéj powstawania państwa, na przełomie bajecznéj, pogańskiéj i historycznéj chrześciańskiéj epoki.

Wynikiem téjże saméj wycieczki przez Szlązk do Wielkopolski jest praca w tymże tomie Pamiętnika zamieszczona, w któréj prof. Wład. Łuszczkiewicz pod zbyt skromnym tytułem „Kościoły i rzeźby Duninowskie w Strzelnie na Kujawach,“ podał architektoniczne zdjęcia i opisy zabytków romańszczyzny, zawartych w dwóch kościołach w Strzelnie, w kościele N. P. Maryi w Inowrocławiu i w kościele na Piasku (Sandkirche) w Wrocławiu, a po raz pierwszy określając znaczenie i cechy romańskich granitowych budowli kościelnych tudzież typ rzeźby XII wieku w Polsce, wykazał jak bez-

podstawnie imię Piotra Dunina tradycya przywiązała do znacznéj liczby fundacyi, powstałych w zbyt rozległym okresie, od r. 1122 do końca XII a nawet po części do pierwszéj połowy XIII wieku.

Dalszego ciągu badań tutaj rozpoczętych, szukać trzeba w Sprawozdaniach komisyi. I tak prof. Łuszczkiewicz w pracy „Granitowe kościoły w Kruszwicy, Kościelcu i Mogilnie... i ś. Jana w Poznaniu“ (Sprawozd. tom I) podał zdjęcia architektoniczne i charakterystykę katedry polskiéj z XI wieku, kościołka miejskiego z XII wieku i kościoła benedyktyńskiego z epoki romańskiéj, a dodał do nich studyum nad zachowanymi w późniejszéj przebudowie śladami należącego do rzadkości w Polsce ceglanego zabytku budownictwa romańskiego z samego końca XII wieku. Tenże w pracy p. t. „Kościół kollegiacki łęczycki, dziś parafialny, we wsi Tumie“ (Sprawozd. tom I), zdał dokładną sprawę z jednego z większych i najlepiéj zachowanych kościołów romańskich typu granitowego, a którego ważność podnosi niezwykle w Polsce rozwinięty plan (3 nawy, 3 apsydy, empora i 4 wieże), ustalona data budowy do r. 1161 się odnosząca, i to że przedstawia on przykład inkastellacyi. Wreszcie prof. Maryan Sokołowski pracę p. t. „Kościoły romańskie w Gieczu, Krobi, Lubiniu i Kotłowie.“ (Sprawozd. tom III) zamknął szereg dotychczas ogłoszonych wyników wycieczki wielkopolskiéj a zarazem badań nad granitowymi najstarszymi zabytkami średniowiecznego budownictwa kościelnego w Polsce, nawiązując do studyum o kilku mniejszych i gorzéj zachowanych jego przykładach ekskurs o znaczeniu nadawanego najstarszym u nas kościołom wezwania ś. Leonarda, mającego związek z klasztorem benedyktyńskim w Leodyum, co może rzucić światło na genezę niektórych naszych benedyktyńskich klasztorów, na stosunek najstarszych kapituł i kościołów katedralnych do zakonu benedyktyńskiego, oraz na początkowe dzieje budowlane katedry krakowskiéj.

Prof. Łuszczkiewicz, który w zakończeniu rozprawy o kościołach granitowych wielkopolskich zestawił treściwie główne wyniki naukowe dotychczasowych badań nad polskiemi zabytkami wcześniejszego romanizmu do końca XII wieku, skierował poszukiwania swoje równocześnie także do końcowego okresu stylu romańskiego w Polsce, czyli do zabytków XIII wieku. Z niéj są wszystkie prawie budowle klasztorne, z których „Kościół ś. Jakóba w Sandomierzu,“ (Sprawozd. komisyi tom II) budowa Iwona Odrowąża, jest ceglanym i niegdyś był dominikańskim, podczas gdy cysterskimi były „Opactwo Sulejowskie“ (Sprawozd. komisyi tom I), najwspanialsze i najbogatsze z zachowanych na ziemiach polskich budowli romańskich, oraz „Kościół i reszty klasztoru w Koprzywnicy“ (Sprawozd. komisyi tom III); pod wpływem zaś budowli cysterskich stanął „Kościół św. Wojciecha w Kościelcu pod Proszowicami“ (Sprawozd. kom. tom I), mający tryforya i należący, przynajmniéj pod względem bogatéj ornamentacyi, do typu przejściowego romańsko-gotyckiego.

Do powyższego wyliczenia dodać trzeba jeszcze rozprawę prof. Łuszczkiewicza p. t. „Kościół ś. Stanisława pod Haliczem z resztami romańskiéj cerkwi ś. Pantalemona," (Sprawozd. kom. tom II), oraz cały zapas dalszych rysunkowych i pomiarowych studyów prof. Łuszczkiewicza, czekających w tekach, kiedy fundusze Akademii pozwolą na ich ogłoszenie, a po części przedstawianych na posiedzeniach, jak zabytki Sandomirskie, klasztor Jędrzejowski, kościół w Prędocinie (jeden z ciekawych przykładów inkastellacyi, dokonanéj w XIII wieku), Zembocin, Czerwińsk, Wąchock, Staremiasto pod Koninem, katedra Płocka, pozostałości romańszczyzny w Krakowie w klasztorze Norbertanek na Zwierzyńcu i w kościołku św. Wojciecha, dyskusye nad poszukiwaniami w starym Haliczu, do których zbadania komisya na miejsce wezwaną była. Z powyższego przeglądu okazuje się, że komisya badaniami swojemi, prowadząc daléj pracę rozpoczętą, publikacyami monograficznemi o opactwach w Jędrzejowie i Mogile już przez b. Towarzystwo naukowe Krak., wyczerpnęła cały prawie obszar romańszczyzny w Polsce, przynajmniéj o tyle, o ile zabytki tego stylu są dotychczas dochowane i wiadome. Dla dokładności dodamy, że trudności, z jakiemi powiązane są wycieczki i studya naukowe w Królestwie Polskiém, sprawiły, iż delegaci komisyi nie zdołali dotrzéć do niektórych ważnych pod tym względem miejscowości lub zabytków, że z powodu nieprzezwyciężonych dotąd przeszkód nie można było dokonać zamierzonych zdjęć kościoła ś. Andrzeja w Krakowie, i że krypta na Wawelu była przedmiotem badań, o których niżej w innym związku jest mowa. Ogłoszony dziś przez Akademią materyał, choć niezupełny jeszcze, tworzy pewną już całość i stanowić będzie poważną podwalinę do przyszłéj historyi budownictwa romańskiego w Polsce, tém bardziéj, że prace wymienione nie ograniczają się na badaniach i zdjęciach technicznych, ale równocześnie objęły historyczną stronę przedmiotu, dają poglądy ogólniejszéj doniosłości, a łącząc także poszukiwania archiwalne, stanowią poniekąd szereg monografii zabytków badanych.

Uzupełnieniem teoretycznem tego materyału i zarazem świadectwem, że pamiętano przy studyach nad rzeczami polskiemi także o przedmiotach ogólno-naukowego znaczenia jest wydane przez Akademią w osobnéj książce, na zalecenie komisyi, dokonanego przez jednego z jéj członków d-ra Teofila Żebrawskiego tłómaczenie słynnéj „Theophili presbyteri et monachi diversarum artium schedula," który to traktat (z jedenastego lub dwunastego wieku) zawiera ówczesne przepisy i tajemnice rzemiosła, odnoszące się do techniki malarstwa, sporządzania witraży kolorowych, złotnictwa, budowy organów, rzeźbienia kości i szlifowania kamieni.

Nie zaniedbywała komisya i drugiéj, bogatszéj połowy średniowiecznéj sztuki t. j. zabytków g o t y c y z m u w Polsce. Świadczą o tém protokóły posiedzeń, na których p. Łuszczkiewicz przed-

kładał studya architektoniczne nad katedrą gnieźnieńską, kollegiatą Wiślicką i katedrą na Wawelu, a prócz tego ma w tece przygotowane studya nad kościołami w Gosłowicach, w Lipsku pod Stobnicą, oraz pod kościołem w Starym Korczynie wyjątkowego układu planu; p. Sokołowski zaś zdawał sprawę, jakie są zabytki gotycyzmu w Poznaniu, Gostyniu, Sielcu, Środzie, Bninie, Kościanie, Gryżynie, Ostrzeszowie, Krzywiniu, Lubiniu, Kobylinie, Krotoszynie, Koźminie, Bolesławcu, Wysocku, Ołoboku, Sobótce. Prof. Odrzywolski na posiedzeniu d. 10 lutego 1887 przedłożył i poddał dyskusyi szczegółowe, z polecenia kapituły krak. zrobione, zdjęcia i pomiary katedry na Wawelu, połączone z badaniami nad najstarszemi, tak romańskiemi jak gotyckiemi częściami budynku tego (patrz protokóły posiedzeń w Sprawozd. kom. tom III).

Rzeczą, która zwróciła już uwagę badaczy obcych, jak Essenweina, jest oryginalny typ konstrukcyjny gotyckich kościołów krakowskich, polegający na zręcznem położeniu dwóch materyałów, kamienia i cegły oraz na idącem z tem w parze, wprowadzeniu szkarp nawy głównéj w kościołach trzechnawowych, pionowo przy filarach do wnętrza kościoła, zamiast przerzucać łukami na zewnątrz naw bocznych. Śledzenie objawów tego odrębnego od wszystkich zachodnich i północnych systemu budowy, doprowadziło prof. Łuszczkiewicza do wniosków, z którymi podzielił się z komisyą na kilku posiedzeniach lat 1878, 1881 i 1888. Dostrzegł on w tych objawach wskazówkę istnienia w Polsce niezawisłego od szkół niemieckich i krzyżackiéj odcienia gotycyzmu krakowskiego, którego system w XIV wieku ze stolicy rozszerzył się na prowincyą i zaznaczył aż w Gnieznie, a do którego genezy ważny przyczynek znajduje się w budowli z epoki przejściowéj a powstałéj pod wpływami francuzkiemi, mianowicie w opactwie Cysterskiém w Wąchocku, datującém z przed r. 1240 (por. Rozprawy i Spraw. Wydz. filolol. tom VII i tom IX). Sprawie téj poświęcony był z inicyatywy członków komisyi referat i obszerna a nauczająca dyskusya na zjeździe historycznym im. Długosza (p. P a m i ę t n i k z j a z d u w wyd. Akad. Pisarze dziejów polskich tom VI).

Jeżeli komisya pod względem zbadania zabytków gotycyzmu stosunkowo mniéj dotąd uczyniła niż odnośnie do romanizmu, to jednak, jakby dla wynagrodzenia tego odrazu, podjęła jedno z zagadnień teoretycznych najdonioślejszych w tém badaniu, a podjęła w sposób, który nie pozostanie bez wpływu na rozjaśnienie sprawy.

Z materyałów do historyi gotycyzmu obficie nagromadzonych w tekach członków Komisyi, — pominąwszy studya nad dwoma świeckiemi budowlami, które ściśle artystycznéj nie mają cechy t. j. prof. Łuszczkiewicza „Zamek Lipowiec“ (Spraw. kom. tom III), oraz pp. Henryka Lindquista i Stanisława Tomkowicza „Szczątki średniowiecznego zameczku zw. Wołek“ (tamże), do czego jako ciekawy archiwalny przyczynek, doliczoną być winna udzielona przez p. Igna-

cego Zakrzewskiego „Umowa o budowę zamku Kórnickiego w r. 1426 (Sprawozd. komisyi tom III),“ wydanemi dotąd mogły być niestety tylko dwa: „Dawne opactwo cysterskie w Lędzie nad Wartą“ i „Ruina bohojawleńskiéj cerkwi w zamku Ostrogskim na Wołyniu,“ oba w opracowaniu prof. Łuszczkiewicza i oba w tomie III, Sprawozd. kom.

Pierwsze, któremu w przeglądzie prac około średniowiecznego malarstwa obszerniejsza należy się wzmianka, zaliczoném być musi do starszych bo XIV-wiecznych zabytków ozdobnego ceglano-kamiennego gotycyzmu; druga czysto ceglana jest natomiast jednym z najpóźniejszych, z oznaczoną datą 1521 r. Ogłoszenie zdjęć téj wyjątkowego znaczenia budowli okazało się tém nieodzowniejszém, iż bezpośrednio po dokonaniu badań przez delegata komisyi, przystąpiono do rozebrania murów, a nowa na ich miejscu wzniesiona cerkiew przyczynić się może do zatarcia śladów dawnego zachodniego wpływu na kulturę téj części Rusi.

Zabytki R u s i ten właśnie wybitny przedstawiają interes, iż na ziemiach tych spotykały się przez średnie wieki i aż do XVII wieku dwa wielkie prądy cywilizacyjne: wschodni-bizantyński, i zachodni germańsko-łaciński. Najstarszych przykładów tego zetknięcia dostarczają wspomniane już cerkwie: romańska w ś. Stanisławie pod Haliczem a gotycka w Ostrogu. Wpływ zachodu jeszcze dobitniéj, bo konsekwentniéj objawia się w ikonograficznéj stronie malarstwa ruskiego. Wykazał to p. Sokołowski w rozprawie: „Przedstawienia Trójcy o trzech twarzach na jednéj głowie w cerkiewkach na Rusi (Sprawozd. kom. tom I).

Jak to malarstwo, tak poniekąd i nasze cechowe malarstwo XVI wieku nie wychodzi poza ramy sztuki średniowiecznéj, a stanowi główny materyał do poznania właściwości malarstwa istotnie średniowiecznego, którego tak mało u nas dochowało się przykładów. Sprawie téj poświęcił swą uwagę p. Łuszczkiewicz w pracy p. t. „Malarstwo cechowe krakowskie XV i XVI wieku.“ (Rozprawy i sprawozd. wydz. filol. tom I). Zrobiwszy przegląd, tablicą rysunkową ozdobiony, znacznéj liczby obrazów z téj epoki po kościołach w krakowskiém dochowanych, wykazał on, że stare obrazy religijne o tłach złotych, malowane na drzewie, w bliższéj i dalszéj okolicy Krakowa częste, nazywane przez ogół bizantyńskiemi, a nawet przez uczonych zwykle przypisywane szkole staro-niemieckiéj, są dziełami miejscowych malarzy, których cech w tych czasach kwitnął w Krakowie. Malarstwo to wprawdzie jak malarstwo całéj środkowéj Europy podówczas stało pod wpływem sztuki niemieckiéj, ma jednak, zdaniem autora, odrębne od niéj i bliżéj tam rozpatrywane piętno.

Do podobnéj rewindykacyi średniowiecznych zabytków malarstwa, na korzyść sztuki polskiéj, nadarzyła się jeszcze inna sposobność w wydaném jako osobne dzieło w r. 1880 przez Akademią na

zalecenie komisyi i do wydawnictw komisyi policzonéj pracy senatora K. Stronczyńskiego: „Legenda obrazowa o ś. Jadwidze, księżnie szlązkiéj," w któréj autor polemizujący z Wolfskronem, podał w rysunkowéj podobiznie i przystępnym uczynił dla polskiéj publiczności ten ciekawy zbiór miniatur z r. 1453 pochodzenia szlązkiego, i z kulturą polską, zwłaszcza z dziejami kostyumów w Polsce związek mających.

Udało się wreszcie komisyi rozszerzyć szczupły dotychczas zasób wiadomości naszych o malarstwie XIV wieku w Polsce także do zabytków malarstwa monumentalnego. W pracy wyżéj przytoczonéj o opactwie w Lędzie, ogłoszonéj jako wynik wycieczki, odbytéj z polecenia komisyi w Kaliskie, wydał p. Łuszczkiewicz w zdjęciach konturowych cały cykl malowań ściennych tamtejszéj kaplicy, z których jeden obraz na próbę podały były niegdyś „Wzory sztuki średniowiecznéj" w reprodukcyi barwnéj, lecz jak się teraz pokazało bardzo mało dokładnéj, niezawodnie wskutek trudności, z jaką i teraz połączone było odnajdywanie a często odgadywanie pierwotnego rysunku kompozycyi, przemalowanych nieumiejętnie w XVIII wieku. W naukowéj, na studyach archiwalnych, i na kombinacyi licznych, wplecionych w obrazy herbów, opartéj rozprawie ustalił autor po raz pierwszy z prawdopodobieństwem, z zupełną prawie ścisłością graniczącém, daty budowy klasztoru i namalowania dekoracyi ściennych około r. 1375 oraz wyjaśnił kwestyą osobistości przy tém dziele głównie zasłużonych.

Jeżeli średnie wieki w sztuce polskiéj przedstawiają naukowy interes, nieodłączony od śledzenia genezy cywilizacyjnych objawów ducha ludzkiego, to o ileż silniejszą ponętę do badania artystycznych stosunków stanowić musi dla miłośników sztuki i nauk rozkwit naszéj kultury w epoce renesansu, ilość powstających XVI wieku arcydzieł, aureola bogactwa, świetności i sławy, otaczająca naród nasz w onym czasie. Składają się na nią pod względem cywilizacyjnym dwa czynniki: stosunki ścisłe dworu i naśladujących go możnowładców z przedstawicielami kultury włoskiéj, stosunki mieszczaństwa z przemysłem i artystami niemieckimi. Dwa te prądy widoczne są w sztuce naszéj ówczesnéj i zlewają się w całość barwną, ciekawą i pouczającą.

Zgodnie z naturą rzeczy wpływ pierwszy uwidocznił się najwymowniéj w budowlach monumentalnych Zygmunta I, które pod względem historycznym mało były jeszcze opracowane. Szczęśliwym zbiegiem rzeczy, członek komisyi J. E. p. Paweł Popiel posiada w zbiorach swoich orginalne rachunki wielkorządowe Seweryna Bonera do téj właśnie epoki się odnoszące. Jako znawca i miłośnik sztuki, dziejów polskich i zabytków renesansu, poczynił z nich i dał komisyi niniejsze wypisy, które poprzedzone pouczającym poglądem wydane zostały pod tyt.: „O artystycznym ruchu na dworze Zygmunta I" w dwóch częściach, obejmujących razem lata

1524-1527 (Sprawozdanie Kom. tom I). Dość powiedzieć, że lata te najżywszéj działalności mistrzów Włochów około budowy i ozdoby Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, a rachunki z drobiazgową dokładnością zapisują każden szczegół do téj sprawy się odnoszący. Z dalszego ciągu tychże rękopisów ogłosił p. Łuszczkiewicz wypisy p. t. „O księdze wydatków na budowy w zamku Niepołomskim r. 1568“ (Sprawozd. Kom. tom II).

Jedną z dziedzin, w których znów niemiecki wpływ najsilniéj się uwydatniał, było malarstwo obrazowe. Między innemi jest w dwóch kościołach krakowskich cały szereg obrazów na drzewie, monogramisty z początku XVI wieku, które od dawna zwracały uwagę znawców równie znakomitemi zaletami swojemi, jak tajemnicą, pomimo monogramówi napisu na nie jednym z nich, okrywającą nietylko nazwisko mistrza, ale nawet szkołę, z któréj wyszedł. P. Łuszczkiewicz w czytanej na posiedzeniu komisyi w grudniu 1876 r. rozprawie „Malarz monogramista K-I“ (Rozpr. i sprawozd. wydz. filol. tom. I) po raz pierwszy podjął wytłómaczenie treści tak cyklu, przechowanego w skarbcu kościoła N. P. Maryi, jak i cyklu, rozdzielonego między kościół ten i S. Floryana, odnoszące ją do legendy złotéj Jakóba a Voragine. Przeciw hypotezie w téjże rozprawie wyrażonéj co do rozwiązania zagadki, zawartéj w monogramie malarza, wystąpił stanowczo prof. Łepkowski, wśród zajmującéj dyskusyi następnego posiedzenia, ogłoszonéj w całéj rozciągłości w tymże tomie Rozpraw i Spraw. Wydziału. Sprawę tę podjął w lat kilka późniéj prof. Maryan Sokołowski naprzód w ustnym wykładzie na posiedzeniu komisyi w marcu 1878 r., rozszerzonym późniéj w wyczerpującéj i licznemi reprodukcyami ozdobionéj pracy: „Hans Sues von Kulmbach, jego obrazy w Krakowie i jego mistrz Jacopo dei Barbari,“ która zajęła znaczną część tomu II Sprawozd. kom. a w któréj nietylko pierwszy wykazał dokładnie źródła przedstawienia pojedyńczych scen tak cyklu ś. Katarzyny Aleksandryjskiéj jak cyklu ś. Jana Ewangielisty i roztrzygnął sprawę autorstwa tych obrazów na korzyść Hansa Suesa z Kulmbachu — błędnie czasem z Wagenerem identyfikowanego, — ale szeroko granice swego zadania zakreśliwszy, wyjaśnił nieznane szczegóły życia Kulmbacha, oraz dwojaki wpływ dwóch szkół: norymberskiéj i weneckiéj, pod jakim się rozwinął malarz, zostający w najściślejszych stosunkach artystycznych z Dürerem i z tajemniczym Jakóbem dei Barbari, dotknął mnóstwa artystycznych, ikonograficznych i cywilizacyjnych pytań, będących w związku z obrazami Kulmbacha, i rzucił silne światło na historyą malarstwa w epoce przełomu z średnich wieków w odrodzenie, tudzież na obfite w następstwa wzajemne stosunki Krakowa z Norymbergą w owéj zajmującéj chwili dziejów cywilizacyi w Polsce.

Zgodnie z ustalającém się coraz bardziéj pojęciom o zakresie historyi sztuki, objęła komisya badaniami swemi także historyą

przemysłu, rękodzieł artystycznych i t. zw. drobnéj sztuki. Pominąwszy zabieranie głosu w sprawach nieobojętnych dla wyjaśnienia początkowéj kultury polskiéj, np. wykopalisk scytyjskich i innych przedhistorycznych skarbów na ziemiach polskich lub słowiańskich (czego zresztą z dawniejszych czasów jedna tylko wydrukowaną jest dokładniejsza wzmianka pod rubryką „Wiadomości drobniejsze“ w tomie I Sprawozdań, choć przedmioty te na posiedzeniach nieraz bywały traktowane), podnieść wypada zagadnienia, poruszone rozprawą p. Maryana Sokołowskiego, p. t. „Trzy zabytki dalekiego wschodu na naszych ziemiach“ (Spraw. kom. tom III).

Autor przedstawił tu w reprodukcyach naprzód blaszkę czyli jednostronny miedziany medalik, znaleziony niegdyś w mogile podolskiéj, przez Lelewala odrysowany, a dziś niestety zagubiony, uważając go za wyrób azyatycki, powstały pod wpływem chaldejsko-asyryjskim zapewne około VI wieku przed Chrystusem; następnie czarkę srebrną ozdobnie kutą, wykopaną w Dolicsławicach a przechowaną dziś w muzeum Czartoryskich, którą determinuje jako wyrób z Baktryany z wieku III lub IV po Chr.; wreszcie kilka lat temu znaleziony w kryjówce skarbca katedr. krak. relikwiarzyk albo raczéj skrzyneczkę srebrną, bogato w postacie ludzkie i zwierzęce ozdobioną. Naprzeciw wyrażonemu na posiedzeniu komisyi w kwietniu 1881 r. przypuszczeniu ks. Polkowskiego, iż byłby to płód kultury perskiéj monarchii Sasanidów, zostającéj pod wpływem chrześciaństwa w wieku VI po Chryst., uzasadnia p. Sokołowski na podstawie własnych kombinacyi, popartych odczytanym przez prof. Karabaczka napisem kuficznym, twierdzenie, iż jest to raczéj wyrób jakiegoś kunsztmistrza saraceńskiego, zamieszkałego w Syryi, przeznaczony na uczczenie którego z bohaterów pierwszéj wojny krzyżowéj i dla użytku jednego z owych chrześciańskich panujących na wschodzie, którzy wówczas na dworach swych wschodnie przybierali obyczaje. Przypuszcza, że przedmiot ten mógłby stać w związku z jedynym śladem udziału Polski w wojnach krzyżowych, jakim jest wyprawa Henryka Sandomirskiego i Jaksy Gryfity do ziemi świętéj r. 1154.

Razem z tym relikwiarzem znalezioną została w skarbcu katedry krak. inna skrzyneczka, z kości słoniowéj, okryta rzeźbą prześlicznéj artystycznéj roboty, jak wątpić nie można francuzkiéj z XIV wieku. Wyrażoną na posiedzeniu komisyi w kwietniu 1881 r. przez ks. Polkowskiego hypotezę, jakoby treścią rzeźb były sceny z siedmiowiecznego poematu Walthariusa, albo może według przeróbki Boguchwała legendy o Walgerzu i Heligundzie, obalił późniéj dr. Jan Bołoz Antoniewicz, który w wyczerpującéj, na posiedzeniu komisyi w maju 1884 r. streszczonéj i przez komisyą do druku zaleconéj rozprawie p. t. „O średniowiecznych źródłach do rzeźb, znajdujących się na szkatułce z kości słoniowéj, w skarbcu katedry na Wawelu“ (Pamiętnik Wydz. filol. i hist.-filoz. tom V r. 1885) rzeźby

publikował i z matematyczną prawie ścisłością odniósł 20 scen, okrywających kasetkę (należącą widocznie do tualety damy średniowiecznéj), częścią do gry symbolicznéj, zwanéj la cour d'amour, częścią do legend średniowiecznych o Arystostolesie i Phillidzie, oraz Pyramusie i Thisbie, do poematów Chrestien de Troyes z późniejszemi interpolacyami, do poematu o Tristanie i Izoldzie; jednę wreszcie wytłómaczył jako przeciwstawione tym ostatnim wyobrażenie symbolu czystości.

Bardzo wielu spraw téj dziedziny, na posiedzeniach komisyi poruszanych, pozostał ślad jedynie w protokółach; obejmowały one przeważnie rzeczy specyalnie polskie, jak opisy skarbców kościelnych, dyskusya nad relikwiarzem emaliowanym jakoby miechowskim i średniowiecznym, dyskusya nad gobelinowemi ornatami katedry krak. z XVIII wieku, z warszawskiéj fabryki Glaiza, praca ś. p. Lucyana Siemieńskiego o nazwanych Potopem kobiercach Zygmunta Augusta i ich losach i t. d. Zaledwie kilka przyczynków do dziejów ceramiki i złotnictwa w Polsce mogło dotychczas znaleźć umieszczenie w wydawnictwach komisyi, jak d-ra Piekosińskiego „Dawne ślady wyrobów majolik w Krakowie," ks. Polkowskiego, „Grób i trumna ś. Stanisława na Wawelu," oraz p. Leonarda Lepszego, specyalisty do spraw, odnoszących się do historyi złotnictwa naszego „Rzecz o kubku srebrnym roboty krakowskiéj XVI wieku", (Wszystkie trzy w tomie III sprawozdań).

Nad wykonaniem części pierwotnego programu, mówiącéj o badaniach dzieł sztuki obcéj i życia mistrzów obcych w Polsce, nie zastanawialiśmy się osobno; w związku z nią stoi z samej już istoty kultury polskiéj wielka ilość prac wyżéj wymienionych. Przyczynkiem do tego obrazu, jest studyum „O miniaturowym kodeksie XI wieku kapituły katedr. krak." (Sprawozd. kom. tom I), w którém Szujski po raz pierwszy ogłosił wiadomości i rysunkowe podobizny jednego z najstarszych miniaturowych kodeksów krak., prawdopodobnie znajdującego się w bibliotece kapitulnéj od r. 1101;— a w dodanéj rozprawie udowodnił pochodzenie jego z benedyktyńskiego opactwa ś. Emmerama w Ratysbonie, a starał się oznaczyć w przybliżeniu datę powstania jego w końcu XI wieku tudzież wykazać historyczne znaczenie zawartych w nim portretów współczesnych. Publikacyą tą uprzedziła komisya o lat 8 ponowne wydanie ewangeliarza tego w Mittheilungen ck. komisyi centr. wiedeńskiéj dokonane; co prawda, to ostatnie wypadło pod względem zewnętrznym świetniéj, a dodane tam studyum historyczne z większą nieco ścisłością ustaliło i postacie odportretowanych książąt i datę.

Dla dokładności wreszcie powiedzmy, że wychodząc właściwie po za ramy programu swego, komisya parę razy zajmowała się na posiedzeniach swoich historyą muzyki w Polsce (wydana opinia o nadesłanéj do Akademii pracy p. Dolleczka o rozwoju muzyki wojskowéj w Polsce, sprawozdanie ks. Polkowskiego, odczytane w marcu 1884

r. z odkrytego na Wawelu zbioru nut kompozytorów katedr. i królewskich przeważnie z XVI i XVII wieku. (p. Rozpr. i Spraw. Wydz. filol. tom X).

Wreszcie wspomnieć godzi się, iż komisya, odpowiadając życzeniu Akademii Umiejętn., zabierała kilkakrotnie głos w sprawach aktualnych i praktycznych przedsięwzięciach, z historyą sztuki w związku stojących. Wymienimy ujęcie w ręce i przeprowadzenie przez człon. kom. d-ra Piekosińskiego sprawy postawienia pomnika Bolesławowi Wstydliwemu w kościele Franciszkańskim w Krakowie 1878 r., opinię, wskutek której Akademia udzieliła zapomogi wydawnictwu prof. Zacharyasiewicza we Lwowie p. t. „Zabytki sztuki w Polsce," i wycieczkę delegatów komisyi, przedsięwzięte w lecie roku 1882 na zaproszenie konserwatora hr. Wojciecha Dzieduszyckiego dla zbadania na miejscu wykopalisk starego Halicza.

Z powyższego przedstawienia poznać można zakres i kierunek działalności komisyi. Niewątpliwie wyszła ona niejako poza obręb zadań komisyom akademickim zakreślonych. Nie ograniczała się bowiem na zbieraniu materyałów, ale zajmowała się także przerabianiem ich i wyciąganiem z nich wniosków naukowych w większych traktatach, czytanych na jéj posiedzeniach i umieszczanych w jéj publikacyach. Ale bo też zgromadziła znaczną część sił naukowych, zajmujących się u nas historyą sztuki, a przedmiot, tak osobnych studyów wymagający, u nas jeszcze nowy, nie dawał się omawiać z pożytkiem a nawet mało mógł wzbudzać interesu w szerszém gronie przedstawicieli różnych nauk humanistycznych, jakim jest wydział filologiczny. Niemniéj i tam od czasu do czasu poruszone bywały sprawy i czytane bywały rozprawy, z zakresu historyi sztuki, mianowicie prof. Łuszczkiewicza wspomniona rzecz „O malarstwie cechowém krak. XV i XVI wieku," zdanie sprawy z badań nad romańskim kościołem w Kościelcu Wielkopolskim (Rozpr. i Spraw. wydz. filol. tom IV), tudzież uwagi nad charakterystycznemi właściwościami wczesnego renesansu krakowskiego na posiedzeniu 11 paździer. 1884 r. (Rozpr. i Spraw. wydz. filol. tom XII).

Jeżeli zestawimy treść wymienionych wyżéj prac komisyi — przyznać trzeba że, choć może na kilkanaście lat istnienia jéj, jest to wiązanka za mała, nie za mała ze względu na szczupłą ilość współpracowników i skąpe fundusze — to przecież świadczą one, iż komisya we wszystkich kierunkach usiłowała torować drogi naukowemu traktowaniu rzeczy. Ustalanie pojęć o stylach i epokach, wprowadzenie metody krytycznéj i systemu, związanie historyi sztuki w Polsce z historyą sztuki na zachodzie, a badanie nad tym przedmiotem z nauką europejską, oto były cele, przyświęcające pracom komisyi. W tym duchu dotykała ona wszystkich działów historyi sztuki, w najszerszém pojętéj znaczeniu i najważniejszych jéj epok, przechodząc zabytki romanizmu, gotycyzmu i odrodzenia.

Ramy zostały naznaczone robota w różnych punktach pozaczynana, rysunek nakreślony,—pozostaje dopełnianie braków i luk.

W téj też myśli, na wniosek i usilne starania prof. M. Sokołowskiego postanowiono w r. 1887 podjąć kilka zaniedbanych dotychczas punktów pierwotnego programu i zarazem wprowadzić niektóre reformy. Zajęto się przygotowawczemi pracami około inwentaryzacyi zabytków Krakowa, zebrania repertoryum piśmiennictwa polskiego o sztuce oraz literatury sztuki polskiéj, gromadzenia materyałów do słownika dawnych i ludowych wyrazów technicznych, do sztuki się odnoszących. Na porządku dziennym posiedzeń, odbywanych raz na miesiąc, stoi zawsze sprawozdanie o ważniejszych publikacyach zagranicznych, dotyczących historyi sztuki, tudzież komunikaty drobniejszych wiadomości, odkryć i przyczynków, mających związek z historyą sztuki w Polsce, lub z historyą sztuki polskiéj zagranicą. Aby rozszerzyć grono współpracowników zaproszono na członków komisyi szereg polskich sił naukowych zamiejscowych i zagranicznych, prosząc ich o przysyłanie informacyi w kierunku powyższych. Ku rozpowszechnianiu rezultatów służyć ma systematyczne ogłaszanie obszernych protokółów posiedzeń, obejmujących też komunikaty.

Protokóły te w bardzo treściwych wyciągach drukowane dawniéj były w zbyt dalekich odstępach czasu w „Rozprawach i Sprawozdaniach Wydz. filolog.“ Obecnie przez umieszczanie ich w własnym organie komisyi, którym są jéj „Sprawozdania,“ zyskano nietylko na miejscu, ale i na czasie, a odbitka z nich, nie czekając nawet na wyjście zeszytu, rozsyłaną bywa w luźnych arkuszach członkom komisyi i niektórym osobom, które sprawom tam omawianym zwykły poświęcać uwagę. Indeks alfabetyczny na końcu każdego tomu będzie ułatwiał rozpatrzenie się w nagromadzonym tam materyale, i będzie kiedyś stanowił repertoryum, dopełniające braki w wiadomościach o historyi sztuki w Polsce. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że już w kilku dotąd wydanych arkuszach ogłoszono między innemi ważne archiwalne odkrycia nazwisk artystów polskich nieznanych nauce, szczegóły nowe o życiu i działalności artystów o nazwiskach znanych, inwentarz skarbca kolegiaty Sandomirskiéj z r. 1552, umowę zawartą r. 1531, między Andrzejem Krzyckim a architektem Bernardinus de Gianottis, rzymianinem o budowę katedry płockiéj, najdokładniejszy opis grobu królowéj Jadwigi, otwieranego z okazyi robót restauracyjnych w katedrze krak. w styczniu r. 1887; a między rycinami w tekst wplecionemi autentyczny współczesny widok kościoła na Skałce w Krakowie z początku XVI wieku.

Z całego tego zestawienia powziąć można przekonanie, że w komisyi objawia się żywotność, hamowana tylko po części szczupłością środków materyalnych. Komisya pracuje w przeświadczeniu o doniosłości swych zadań, i dąży do ześrodkowania ruchu naukowego polskiego, dotyczącego historyi sztuki.

Portret „pięknéj pani.“

OPOWIADANIE STAREGO WARSZAWIANINA.

SKREŚLIŁ

Wincenty hr. Łoś.

Dopiero jako czternastoletni chłopiec, dowiedziałem się przypadkowym sposobem, że moja babka miała siostrę. Chociaż jéj też wcale nie znałem, a nawet nazwisko jéj nigdy o uszy mi się nie obiło, historya jéj przygód obfituje w tyle wspomnień, że one potrafią zapełnić szerokie dosyć ramy ciekawego opowiadania.

O istnieniu téj osoby zachowywano w domu głębokie milczenie, jakby do niéj przywiązanym był jakiś straszny dramat rodzinny. Straszydło tradycyi zdawało się tu być silniejszém od najbardziéj rozbudzonéj ciekawości młodszych pokoleń.

Ale cóż ujdzie ciekawości popsutego wnuka?

Raz, bawiąc się w „chowanego“ z rodzeństwem, schowałem się do szafy mojéj babki, umieszczonej w murze, a przeznaczonéj jako schowanie jéj mało używanych sukien. Tam, przycupnąwszy potrąciłem o obraz, który jak zwykle obrazy, wielce zainteresował moję młodą wyobraźnią.

Dla czego ten obraz był ukrytym, podczas gdy inne zdobiły majestatem sławnych antenatów ściany poważnych komnat, sal i krużganków starożytnéj rezydencyi dawnego historycznego rodu?

W sekrecie tedy, korzystając z pierwszéj chwili, w któréj bezpiecznie mogłem zrobić rewizyą w szafie babuni, wydobyłem z niéj płótno, które wizerunkiem malowidła, jakie się na niém znajdowało, okrutnie mi zaimponowało.

Był to portret prześlicznéj kobiety z czasów pierwszego cesarstwa. Twarz jéj pełna i owalna, miała alabastrową cerę, odbijającą przy hebanie włosów zaczesanych à la Josephine. Uśmiechała się do widza namiętnym i rozkosznym wyrazem swych koralowych

ust, które po niebieskich dużych oczach, najpiękniejszą były ozdobą, jéj twarzy.

Ubranie téj pani składało się z muślinowéj, białéj, dekoltowanéj sukni i ozdobionéj niebieskiemi wstążkami, jako téż tiulowemi bufami. A jéj śliczna figura ujętą była srebrnym paskiem, zdobnym w turkusy i emalie.

Portret ten chwilę tylko widziałem, ale go zapamiętałem w najdrobniejszym szczególe, choć liczyłem wówczas czternasty rok życia.

Dla czego nie wisi w gabinecie babci na ścianie, przykrytéj portretami familijnemi? uparcie sam siebie pytałem.

Wszak był on najpiękniejszym z nich wszystkich.

Nie mogąc sam rozwiązać téj tajemnicy, udałem się do matki, odkrywając jéj pod wielkim sekretem kryjówkę portretu „bardzo pięknéj pani“ i tajemnicę babuni.

Ale matka w odpowiedzi, mnie zburczała, że po szafach, jak złodziéj jaki szperam, nakazując mi przytem najgłębsze milczenie co do portretu.

Nie potrzeba było nic więcéj, by rozbudzić do najwyższego stopnia dziecięcą jeszcze ciekawość.

To téż od tego czasu trawiła mnie ciekawość dowiedzenia się historyi tego obrazu, bo przecież historyą mieć on musiał.

Ta piękna pani, która mi żywo stała w pamięci, musiała przedstawiać osobę straszną i dramatyczną, jak ten portret białéj damy w Rydzynie, który w dzień zaduszny wychodził z ram i straszył w zamku, według opowiadań naszéj bony.

Od tego czasu, niejako idea fixe mego zaczynającego pracować mózgu, stała się żądzą docieczenia historyi potretu „pięknéj damy.“

Ztąd wszystko znajdujące się w pokoju méj babki, przedstawiało w moich oczach wiele interesu. Zacząłem się przyglądać baczniéj wszystkim przedmiotom, znajdującym się w jéj gabinecie, aby z nich jakiś związek z portretem wyciągnąć.

I po długich usiłowaniach, nastąpiłem znów na szczegół, który połączyłem z tajemnicą portretu.

Na biurku babuni stały dwie miniatury, oprawne w czarny heban, na machoniowych, zdobnych w bronzy stoliczkach.

Te miniatury niezmiernie się podobały mym ciekawym oczom, tak one były ładnie i barwnie namalowane, a tak mało, jaskrawe tak śliczne obrazki.

Przyglądać się im było prawdziwą przyjemnością. Ale wkrótce po odkryciu w szafie portretu, sam zauważyłem między niemi miniaturę, przedstawiającą dziewczynkę, bawiącą się z barankiem.

Ta dziecina miała niebieskie oczy, czarne włosy i pulchne usta, przypominała portret „pięknéj pani.“ Z chwilą téż, gdy to podobieństwo odkryłem, dzika mnie ogarnęła żądza dowiedzenia się, kogo miniaturka przedstawiała. Bo i dzieci mają swoje prze-

biegłości i mylą się rodzice, którzy sądzą, że im byle czém oczy zamydlić można.

To też raz, gdy babunia siedziała na swéj kanapie i robiła pończochy dla wnuków, oparłem się o biórko i przypatrując się miniaturce spytałem.

— Babuniu, a kto to?

Matrona podniosła oczy z igieł, a przeniosła je na biórko i spoglądała na obrazek, który palcem wskazywałem.

— To pod-podczasyc,—mówiła—brat mój, a twój dziadunio...

— A ten babuniu?

— To żona jego.

— A ta pani?

— To twoja prababka.

— A ten ułan babuniu?

— To twój stryj.

— Aaaa... stryjcio... a ta dziewczynka z pieskiem babuniu? taka ładna?

Tym razem matrona długo nic nie odpowiedziała, tak długo, iż powtórnie zapytałem, a pamiętam, że mi serce wówczas z ciekawości biło.

— Ta ładna dziewczynka babuniu?

— To jest... ładna dziewczynka — odparła matrona wzdychając.

Spojrzałem na nią zdziwiony i od tego czasu niejednę bezsenną godzinę spędziłem w łóżku, pracując nad rozwiązaniem tajemniczéj pani i dziewczynki.

Jakkolwiek już niebyłem dzieckiem, bałem się od tego czasu o zmierzchu pokoju babuni i téj szafy w murze i téj miniatury, z któréj przecież wyjść do mnie mogła śliczna dziewczynka.

Za nic na świecie nie byłbym poszedł do tego pokoju, gdy noc zapadła i gdy księżyc wdzierał się przez okno i oświecał stojących na biórku i podczaszyca i stryjcia i dziewczynkę z barankiem.

Ale niczego długo dowiedzieć się nie mogłem. Raz jednak podsłuchałem następującą rozmowę, z któréj wyniosłem przekonanie, że portret pięknéj pani i dziewczynki ma dramatyczną historyą, podobną do opowieści o Rydzyńskiéj białéj pani.

Babunia pewnego razu zasłabła, a jéj powiernica, donosząc o tém méj matce, tak mówiła:

— Bo co też pani się tak martwić? Mój Boże! po tylu latach! toćby i sam Bóg zapomniał.

Urwała i dodała ciszéj.

— Gdy pani list z Warszawy przeczytała, to zaraz się zasępiła. Wyjęła portret siostry ze szafy i długo, długo mu się przyglądała i płakała... płakała.

Moja matka milczała, a stara służąca babuni dodała jeszcze:

— Bo co to też ta pani Olimpia zgryzoty mojéj pani narobi-

ła. I na starość się jeszcze tak gryść. Co się stało, nie odstanie! A pani się tak trapi, że jéj siostra widzieć nie chce. Ot...

Więcéj nie usłyszałem, ale i to mi wystarczyło do nabrania pewności, że portret „pięknéj pani“ przedstawiał siostrę mojéj babki, któréj na imię było Olimpia i że ta była przyczyną niezliczonych jéj zmartwień.

Byłbym zapewne w bujnéj czternastoletniéj wyobraźni lepiéj odtworzył historyą portretu pięknéj pani, gdyby nie okoliczność, że w kilka dni późniéj wysłany zostałem do szkół publicznych do Krakowa.

O portrecie pięknéj i strasznéj pani na śmierć zapomniałem.

II.

Po upływie siedmiu lat powróciłem do rodzicielskiego domu, opatrzony w świadectwo ukończonych szkół.

Moję babkę zastałem przy życiu i zdrowiu, była to bowiem jedna z tych staréj daty matron, co do grobowéj deski zachowują zasoby sił i pewien odblask młodości.

Kobieta ta zresztą dopiero sześćdziesięcioletniém żyła sercem, a serce, jeśli nie skamienieje pod wpływem okoliczności, to się i nie starzeje.

Znalazła mnie „bardzo dobrze“, jak się z francuzka wyrażała, zapewniając, że wyjdę na kawalera obytego i edukowanego, który nazwiska nie skompromituje.

Babka moja, będąc jak wszystkie matrony, pamiętające jeszcze czasy Stanisława Augusta, wielką arystokratką, szczególną przywiązywała wartość do ówczesnéj reprezentacyi nazwiska.

Znajdowała mnie podobnym do podczaszyca, który, jak zapewniała, ozdobą był salonów z czasów pałacu pod Blachą, pani Sobolewskiéj i Julii Potockiéj.

Wkrótce po moim powrocie do domu uradzono, że powinienem dla wypolerowania się między ludźmi i na wielkim świecie, spędzić jeszcze jakiś czas w świecie na rozrywkach memu wiekowi odpowiednich.

Postanowiono więc opatrzyć mnie w listy rekomendacyjne do różnych domów w Warszawie i wysłać na kilka miesięcy do stolicy.

Już wszystko do podróży było przygotowaném, już nazajutrz miałem na dłuższy czas opuścić dom rodzicielski, gdy mnie babunia zawezwała do siebie i odkładając szpilki od pończoch, a zagłębiając się w fotelu, temi słowy zaczęła:

— Jesteś kawalerem dorosłym i mogę z tobą mówić o rzeczy, o któréj i mówić nie lubię, a którą zapewne zupełnie ignorujesz.

Nadzwyczaj zaciekawiony, skinąłem tylko głową na znak, że gotów jestem z uwagą babki słuchać. To téż jakby się zanosiło na długie posiedzenie, daléj ciągnęła:

— Jedziesz do Warszawy i wypada, abyś będąc w tém mieście, znał pewną osobę, bardzo blizko mnie i ciebie obchodzącą, tą osobą jest moja rodzona siostra, pani Olimpia...

Tu babka się zamyśliła i długo milczała, aż po chwili, jakby się budząc z zadumy, podchwyciła wątek opowiadania, ale już w innem miejscu.

— Jest to moja starsza siostra, de facto księżna Izydorowa X..., bałamucę cię, bo niewiem, jak ci to wszystko powiedzeć.

Babka znów urwała i znów po chwili zaczęła.

— Nazywa się pani Olimpia... to ci wystarczy. Bardzo bolesny wypadek zaszły w r. 1814 rozdzielił nas na zawsze, choć nie mógł jéj z mego serca, jako starszéj i ukochanéj siostry, wyrugować.

Tu matrona znów się zamyśliła i jakby zapominając, że naprzeciw niéj siedzę, sama do siebie zmienionym tonem mówiła:

— Bo to Olimpka była zawsze egzaltowana i idealistka i taka... niech jéj Bóg przebaczy... patryotka. Nadeszły te czasy, pełne entuzyazmu, zapału, ognia! niema się czemu dziwić, bo kto znał księcia Józefa, kto widział Bonapartego, Dąbrowskiego, kto był w Warszawie, gdy ulice błyszczały od mundurów, a w salonach panował entuzyazm do wszystkiego, co pachniało armią, bohaterstwem!.

Babka opuściła głowę i umilkła, głęboko rozstrojona i zadumana. Krząknąłem, by jéj przypomnieć moję obecność. Ocknęła się też zaraz i daléj mówiła.

— Na czémże to skończyłam? A! tak! od 1814 nie widziałyśmy się. Siostra mnie widzieć nie chce, bo, trzeba ci wiedzieć, kawalerze, że wypadek ten obałamucił trochę władze umysłowe pani Olimpii. Gniewa się na mnie, ale nie gniewa się na twą matkę, i sądzę, że nie ma racyi, aby ciebie dobrze widzieć nie miała. Potrzeba, abyś się starał przypodobać pani Olimpii. Nie tylko do tego skłaniać cię powinien afekt familijny, ale jeszcze i inna ważna okoliczność. Siostra jest bardzo bogatą i jeśli i ty nie zdołasz łask jéj sobie zaskarbić, to może być bardzo łatwo, że to, co się nam słusznie należy, w obce pójdzie rece, jeśliby pani Olimpia nie zapomniała i w ostatniéj godzinie urazy do mnie...

Tu babka urwała, a wyglądała bardzo zmęczona i strapiona. Dwie duże łzy stanęły jéj w oczach, ale nie spłynęły po policzkach, tylko zaschły pod powiekami. Po dobréj przerwie, zaczęła, nie wiążąc słów swych z urwanym wątkiem myśli:

— Pani Olimpia ma apartament i żyje wygodnie, ale zdaje mi się, że zerwała ona od lat wszelkie światowe stosunki. Biedna! naturalnie zerwała sama, a inne, n o w e! zerwał los. Bywa jednak u niéj codziennym gościem pan kapitan Wojda, z którym jestem w korespondencyi czasami i do którego ci dam list polecający, aby cię siostrze zarekomendował.

Zdziwienie uwydatniało się na méj twarzy i to spostrzegłszy babka, zaraz dodała:

— Bo to widzisz, Olimpka nie poszła, tak jak ja, jak inne z prądem epoki. U niéj wszystko tak, jak było w zwyczajach i użyciu za księcia Józefa i w tych czasach. Zanadto mnie boli, obszerniéj ci o tém mówić. Zresztą powiedziałam ci wszystko i czuję się bardzo znużoną. Nie mówiłam o tém od lat... Jeśli czegoś jeszcze ciekawy, to się z czasem dowiesz, czy domyślisz. Kapitan Wojda wcale od rzeczy człowiek, choć i to Napoleończyk i pewnie dziwak i fanatyk. To ludzie, co się stosują do epoki, są i inni...

Tu babka skończyła i więcéj do tematu tego nie powróciła.

Ja zaś opuściłem ją pod dziwném wrażeniem ciekawości, która wydobywała się z pod przygnębienia moralnego, jakie mnie podczas opowiadania babki ogarnęło. Smutek jéj udzielił mi się, a w wyobraźni stanęły mi żywo moje młode lata, w których byłem odkrył tajemniczy portret „pięknéj pani."

Przypomniała mi się podsłuchana rozmowa powiernicy babki z moją matką. Ale wszystko przy pomocy nawet tego, co mi teraz babka opowiedziała, nie odsłaniało ani trochę tajemnicy, jaka panią Olimpią otaczała. Niczego domyślić się nie mogłem z urywanego opowiadania matrony, w którém przebijał tylko ból z dawnéj, lecz niezabliźnionéj rany. Pani Olimpia nie przestawała być daléj dla mnie tajemniczym portretem, tém więcéj ciekawym, iż przywiązaną do niego rzeczywiście była jakaś dramatyczna historya, o któréj po tylu latach moja babka mówić nie chciała. Szczególnie intrygowały mnie jéj jakby bezwiednie wypowiedziane uwagi o siostrze:—Olimpka była zawsze egzaltowana, idealistka i patryotka!

Zdawałoby się, iż w tych właśnie cnotach, trzeba było szukać le mot de l'énigme. Ale myśli te prędko się rozwiały, gdyż wybierałem się do Warszawy, pełen ciekawości ludzi i życia w dawnéj stolicy. Jechałem, aby się bawić, aby widzieć świat. Pani Olimpia którą miałem poznać, któréj rzeczywiście nawet nazwisko było mi obcém, choć babka ją zwała „de facto księżną Izydorową," urokiem swéj dramatycznéj tajemniczości podniecała tylko interes téj podróży.

III.

Na jednéj z dawniejszych ulic Warszawy, stała wówczas kamienica a raczéj stary pałac z podwórzem i oficynami. Realność ta nic się nie zmieniła od czasów Stanisława Augusta, prócz tego, że zabudowano ją od ulicy wysokiemi i modnemi domami.

Minąwszy bramę, szło się przez długi jakby korytarz, powstały między dwoma kamienicami, a prowadzący na ścieśnione niemi dawne pałacowe podwórze. Tu dopiero odsłaniała się staroświecka

budowla, która niezawodnie była przedmiotem dumy senatora czasów Augusta III, od którego ją był nabył pan podczaszyc.

Nie pięknem, nie stylowém, nie imponującém, lecz niezmiernie ciekawém było to domostwo, nietknięte kielnią od lat stu. A na mnie także zrobiło charakterystyczne wrażenie, odbijając jaskrawiéj, przy trzypiętrowych budowlach, których tyły zasłaniały mu widok na ulicę. Pałac niegdyś pana podczaszyca, a wówczas siostry mojéj babki, zamknięty i ścieśniony, wyglądający swemi drzwiami i oknami na wysokie nowoczesne mury, robił wrażenie niepotrzebnego, wyszłego z mody i wzgardzonego antyka. Smutek wiał z jego ścian, na ciemny kolor pomalowanych, a opuszczenie wyzierało przez szyby, porosłe mchem od dołu, popielate od kurzu, zaszłe pajęczyną i wiekowym pyłem.

Budynek ten zasępiał sam przez się człowieka, przypatrującego mu się badawczém okiem, bo opowiadał całą smutną historyą, jaką jest każda przeszłość, jaką jest starość.

Pałacysko wyrugowano na tyły z frontu, ścieśniono mu podwórze, zamknięto mu widok, odebrano mu światło i ujęto mu powietrza. Przypominało ono tych staruszków, którzy przeżywszy się, aby ludziom do koła nie zawadzali, pozwolili się zamknąć w najciaśniejszéj izdebce swego własnego mieszkania. Budowla była jednopiętrowa o nizkich, dolnych, a wysokich górnych oknach. Nad nią wznosił się olbrzymi dach, czerwoną cegłą kryty, którego jednostajność przykrywała fasada główna o jedno piętro podwyższona, o trzech oknach i żelaznym balkonie. Na szczycie tego frontonu wznosił się herb, wyobrażający podkowę, na którym sterczała niegdyś pięciopałkowa korona, z któréj jednak tylko trzy gałki pozostały.

Pałac ten miał i boczne pawilony, odpowiadające frontowi, ale na to tak powchodziły kamienice swymi tyłami, że ich nic widać nie było.

Stanąwszy w pośrodku pozostałego pasa podwórza, starałem się napróżno objąć całość budowli, na któréj dachu uwijały się gołębie, odbijające swą białością od cegły. Nic nie zdradzało życia wewnątrz, nic go nie zdradzało nie tylko wtedy, lecz zdawało się już od lat wielu.

Uważałem za niepodobne, aby siostra méj babki mieszkała w tych ponurych komnatach, do których światło z trudnością dochodziło przez zakurzone podwójnych okien szyby.

A przecież tak mnie poinformowano! Tak mi opisała babka mieszkanie pani Olimpii. Tak też mnie objaśnił stróż.

— Właścicielka mieszka—powiedział—w podwórzu, w „starym dworze.“ „Starym dworem“ nazwał ten dom, który sobie postawił kasztelan inowrocławski, aby mieć gdzie wygodnie rezydować, gdy zjeżdżał na sejm do stolicy, lub gdy go król powołał do swego boku.

Śmiało wszedłem do wnętrza, składającego się najpierw z ponuréj sieni, mieszczącéj schody prowadzące na piętro. Na prawo miały się znajdować drzwi do mieszkania kapitana Wojdy.

Te drzwi zaraz zoczyłem i i zapukałem do nich.

— Proszę!—odezwał się z pokoju głos silny i iście wojskowy.

Wszedłem i nalazłem się naprzeciw mężczyzny lat siedemdziesięciu, o powierzchowności powszedniéj starych weteranów z czasów Napoleońskich.

Pan Wojda był średniego wzrostu jegomością o okrągłéj rumianéj twarzy, białych jak mleko włosach i takimże starannie podmuskanym wąsem. Fizyognomia nie była pospolitą, wskutek nadzwyczajnéj rumianości oblicza, odbijającéj od białego zarostu. Kapitan miał nadto nadzwyczaj ruchliwe, strzelające, ożywione małe oczy, które wciąż zdawały się niejako komenderować, jakby na polu bitwy.

Zmierzył mnie od stóp do głów i zawołał:

— Nie znam Waćpana!

Wręczyłem mu list od méj babki. Kapitan prędko przeczytawszy pismo, wskazał mi dopiero krzesło, a nie wyjmując z ust długiego cybucha, daléj, z pewnéj znacznéj odległości, od ócz czytał raz wtóry papiery od méj babki.

Usiadłem na tę komendę i rozglądałem się po ponuréj komnacie. Była to sklepiona sala o nizkich ścianach, bo arkady o dwa łokcie nad ziemią wybiegały z tychże, umeblowane po staroświecku, zakopcone dymem, ubrane w broń różną i cybuchy, które razem pomieszczone stały po kątach i leżały na stołach.

Nieme moje uwagi przerwał kapitan.

— A więc Waćpan jesteś wnukiem siostry pani Olimpii... bardzo mi miło... babka pisze, abym waćpana przedstawił właścicielce i starał się mu wyrobić pozwolenie bywania w „starym dworze.“

Nic nie odpowiadałem, bo mnie i nieco onieśmielił komenderujący ton pana Wojdy i zrazu nie rozumiałem znaczenia kilku jego słów.

Kapitan daléj ciągnął.

— Właścicielka... pani Olimpia – dodał, poprawiając się i siadając na krześle—nie przyjmuje, jak zapewne panu wiadomo, nikogo od daty owego nieszczęścia, które ją i mnie spotkało.

Nic nie rozumiejąc, wpatrywałem się tylko w twarz pana Wojdy, głęboko w téj chwili zasępioną, a on daléj mówił:

— Jednakowoż, może zechce ona teraz przyjąć i poznać syna matki waćpana, do któréj nigdy nie miała, o ile mi się zdaje, urazy.

Zamyślił się i po chwili dodał.

— Tak... nie mogła mieć urazy, bo w roku 1814...

Domyślając się, o co mniéj więcéj chodzi, wtrąciłem nieśmiało.

— Moja matka wówczas była dzieckiem...

— Tak—podchwycił kapitan—to salwuje waćpana, bo gdyby nie to... właścicielka, pani Olimpia, jest kobietą z męzkim... żołnierskim charakterem, a my...

Urwał, popykał z fajki i nagle zawołał:

— Le courage à deux mains!

— Zerwał się z krzesła i komenderował:

— Courage Monsieur! naprzód! marsz! pójdziemy do pani Olimpii... sama pora.

Wstałem i ja, i przyznam się szczerze, że mimo całéj ciekawości, z jaką wchodziłem do „starego dworu,“ zmieszany byłem wstępem i komendą pana kapitana Wojdy, wzywającą do odwagi, choć on sam, jak prawdziwy napoleończyk, dziarsko wyglądał.

Ruszył naprzód, zostawiając cybuch w kącie, a ja postępowałem za nim po wytartych i powyżłobionych dębowych schodach. Echo niosło nasze kroki het po gmachu, a za każdym stąpnięciem skrzypiały tafle posadzki startéj wiekowém użyciem.

Staroświeczczyzna nietknięta, poczerniała w tym domu. Zdawało mi się, że od lat niepamiętnych ja pierwszy zaniepokajam mymi krokami ciszę „starego dworu.“ I rysowała mi się w wyobraźni postać pani Olimpii, straszna wyrazem swéj boleści i mściwości, wysuszona i zapleśniała w tém mieszkaniu, wiejącém zimném i powagą zachowanego antyka.

Lekko pocieszony, uczułem silniejsze bicie serca, gdy kapitan uchylił wysokie drzwi prowadzące do apartamentu pierwszego piętra.

IV.

Kapitan pozostawił mnie w dużym pokoju a sam pobiegł w głąb mieszkania.

Salon ten odpowiadał pod względem archaicznym całości „starego dworu.“ Umeblowanym był w stylu pierwszego cesarstwa, ale to tak skrupulatnie, że oczy moje nie napotkały w niém ani jednego przedmiotu, któryby odnieść można do wcześniejszéj, lub późniejszéj o jakie lat dwieście daty. Najzimniejszym ze znanych stylów jest „empire“, najniesympatyczniejszym téż z salonów, które mi się widzieć zdarzyło, był salon pani Olimpii. Gdyby nie to, że posadzka w nim była wywoskowaną i lśniącą, a kurze z gładkich i pustych stołów pościerane, skory byłbym do przypuszczenia, że do téj komnaty od r. 1812 nikt nie zajrzał. Naprożno moje oko szukało w téj sali choćby jednego przedmiotu, zdradzającego, że do niéj czasem ktoś wchodził, że ona była częścią mieszkania osoby żyjącéj. Ale niemiałem czasu na coraz bardziéj zasmucające refleksye, bo pan Wojda wnet drzwi uchylił i zawołał:

— Proszę Waćpana tutaj... do gabinetu. W sali nie palono i ciemno... przepomniała.

Przeszedłem więc do gabinetu, który tylko atmosferą różnił się od sali i w nim znów pozostawiony zostałem samemu sobie.

Pokój ten wyglądał na część jakiegoś muzeum, bo tak w nim

stylowa panowała harmonia, ożywiona pewną dozą uleciałego, lecz istniejącego tu kiedyś życia.

Gabinet pani Olimpii za czasów księcia Józefa, musiał nawet uchodzić za pełen elegancyi, kokieteryi, buduar niewieści. Na mnie zrobił on niewymownie oryginalne wrażenie; z trudnością bowiem zdawałem sobie sprawę z teraźniejszości, a czułem się coraz więcéj przenoszony w czasy minione Księstwa warszawskiego i napoleońskich awantur. Wszystko tu tchnęło epoką, w któréj ten gabinet właśnie powołanym został do życia i w któréj, zdawało się, zamarł.

Widzę go dziś przed oczyma i odczuwam wrażenia, jakich wówczas doznawałem, wrażenia przykre, bo wciąż mi się zdawało, że zwiedzam mieszkanie, zamknięte od dnia szczęścia dawno zmarłéj osoby.

Pokoik ten był wysokim i kwadratowym, o jedném oknie i dwóch drzwiach. Ztąd jedna ściana tylko wolna, stanowiła punkt główny umeblowania. W pośrodku niéj stała kanapa z machoniowego drzewa, inkrustowanego jesionem i bronzem i perłową macicą, a przykryta perkalem białym w niebieskie kwiatki. Wysokie poręcze téj kanapy tworzyły dwie harfy misternie ażurowo wyrznięte. Nad nią, na haku zakrytym draperyą z niebieskiéj materyi, wisiało małe lustro w złoconych ramach. W narożnikach tego zwierciadła tkwiły listy, wsadzone tutaj tymczasem, na prędce, ale tych listów koperty zrobione były z grubego i zżółkłego papieru, jakiego używał jeszcze Kościuszko.

Po obu bokach lustra wisiały dwa obrazy w orzechowych politurowanych ramach. Jeden z nich przedstawiał kolorowany portret Napoleona z założonemi rękami, a drugi był litografią i wyobrażał księcia Józefa w pełnym mundurze. Pod lustrem wisiało kilka obrazków i miniatur w swych oryginalnych, szerokich, zagłębionych, złoconych ramkach.

Z jednéj strony kanapy stała machoniowa, kwadratowa kolumna, a na niéj bronz przeznaczony na bilety, wysoki ze swymi wężami, wijącymi się dokoła postumentu.

Z drugiéj strony kanapy opierała się o ścianę gitara, a o nią zaś robota kobieca, wyprężona na mahoniowych krosienkach. Robota ta była zaczętą, przedstawiała kwiaty i liście haftowane na niebieskim jedwabiu kiedyś, bo wówczas był on już żółtym i obrzydliwie wypłowiałym.

— Co to znaczy? — pytałem, doznając wrażenia formalnego przestrachu w téj katakumbie.

Ale idźmy daléj. Przed kanapą stał mały, okrągły stolik, odpowiadający stylem kanapie i dwa takież krzesła, których tylne poręcze przedstawiały harfy.

Na stoliku leżały nici tak ułożone, jak gdyby je był ktoś dopiero co złożył, ktoś taki, co je w dwu rękach trzymając, pomagał drugiéj osobie do zwinięcia ich w kłębek.

A i ten leżał na stole.

Oczy moje długo badały te nici, bo były one zżółkłe i wyglądały, jakby się same przez się w proch lada chwila miały obrócić.

Prócz tego spoczywały na stoliku rękawiczki, niegdyś białe, jelonkowe, jakich w epoce téj, z której gabinecik pochodził, używali wojskowi. Te rękawiczki bardzo stare nie groziły rozsypaniem,co nie przeszkadzało, że żadnego z tych przedmiotów za nic na świecie nie byłbym się dotknął.

Ta robota rozpięta, ten kłębek nici i te rękawiczki, były jedynym śladem życia w tym pokoju, życia tak odległego, iż wyglądały na relikwie.

Prócz tego, mieściły się w gabinecie: wysoka machoniowa szafka z lustrem, zaszłém mgłą, charakterystyczny parawan, wyklejony różnemi sztychami, przedstawiającemi rzeczy z głośnych za Napoleona wypadków.

Na ścianie zaś, naprzeciw kanapy, wisiał portret, wyobrażający oficera od ułanów z czasów Księztwa Warszawskiego. Portret ten, przedstawiający mężczyznę naturalnéj wielkości do połowy figury, ściągnął moję uwagę i przykuł ją długo.

W tém zamarłém otoczeniu, on jeden zdawał się żyć i spodziewałem się, że mi odsłoni tajemnicę tego archaizmu u pani Olimpii. Ale nie! Portret milczał. Ułan o czarnym wąsiku i malutkich faworytach, uśmiechał się z podbijającym serca niewieście wyrazem, a pięknym był w swym opiętym mundurze, z krzyżem na piersiach, w swym wysokim kołnierzu, w swym ubraniu o lśniących guzikach.

Wpatrując się w twarz oficera od ułanów, który tak odpowiednio i na swoim tle wisiał, ocknąłem się dopiero, gdy jedne z drzwi się uchyliły, a w nich stanęła—pani Olimpia.

Wydała mi się ona wtedy tak niezwykłą i tak przerażającą, że chwilę przypatrywałem się jéj oniemiały, nieruszając się z miejsca.

Siostra mojéj babki była wysoką, chudą niewiastą, o twarzy noszącej mdłe ślady piękności, głęboko ukrytéj pod jéj surowym wyrazem. Zrobiła mi efekt widma, co sobie dziś tém tłumaczę, że cały „stary dwór“ w owéj chwili, swoją staroświeczczyzną, pozbawioną życia, do takiego tylko wrażenia usposabiał. Oprzytomniałem dopiero, gdy za sztywną i przygnębioną panią, wsunął się pan Wojda i mnie zarekomendował.

Pani Olimpia zbliżyła się do mnie i zaraz tak zaczęła:

— W dniu tym, przyrzekłam sobie nigdy nikogo z méj rodziny nie widzieć. Ponieważ jednak, w owym czasie kawalera nie było na świecie nie złamię słowa, przyjmując go w mym domu.

Tu, podała mi rękę, którą ucałowałem z pewną, niewytłómaczoną w mojém wieku trwogą.

Sama zaś usiadła na kanapie, mówiąc sucho i ostro.

— Siadaj!

Na to wezwanie, chciałem usiąść na jedném z trzech krzeseł, które było więcéj wysunięte i zdawało się zapraszać do zajęcia na nim miejsca. Ale pani Olimpia zaledwie mój zamiar spostrzegła, czemprędzéj wskazała mi ręką drugie krzesło, mówiąc.

— Siadaj tutaj! to jest jego miejsce...

Pomieszany tą pierwszą niezręcznością, zająłem wskazany mi stołek, w przekonaniu, że tamten był siedzeniem kapitana. Ale gdzież tam. — Kapitan usiadł na trzeciém krześle, a miejsce „jego“ zostało pustém.

Dopiero wtedy nasunęła mi się myśl, że pani Olimpia mogła mieć męża, który na tém krześle zasiadał.

Zaczęła się dziwna rozmowa o rzeczach obojętnych, bo przez cały ciąg trwania jéj, gospodyni domu nie spytała mnie ani o moję babkę, ani o nikogo z rodziny.

Aby nadać inny zwrot konwersacyi, skierowałem mój wzrok na wiszący portret wojskowego i już miałem zapytać, kogoby on przedstawiał, gdy kapitan trącił mnie nogą i dał znak milczenia. Czułem, że coraz więcéj tracę kontenas wobec tych tajemniczości, które przywiązane już były do osoby pani Olimpii, zanim ją jeszcze poznałem.

Milczałem więc i byłbym milczał bez końca, gdyby pani Olimpia mnie nagle nie zagadnęła.

— Kawaler znasz historyą swego kraju?

— Jakżebym mógł nie znać—odparłem ze zdziwieniem, które zdawała się ona zauważać z miłém uczuciem.

Obróciła się do kapitana i dodała cicho.

— Wyrodził się.

Nic nie rozumiałem, coby miały znaczyć pytanie i uwaga, gdy stara pani powtórne zadała pytanie:

— A w historyi, któreż m o m e n t a ci się najbardziéj podobają? Jakaż epoka najwięcéj przemawia do twojéj duszy?

Te pytania zadała mi pani Olimpia takim tonem, iż odgadłem z tegoż, że gorąco swój kraj w swoim czasie ukochała. W téj chwili wydała mi się inną, bo szczery wyraz z jéj twarzy znikał, a zastępowało go ciekawe ożywienie.

Bez namysłu odparłem, iż podobają mi się czasy Księztwa, wojen napoleońskich, czasy bohaterstwa i zapału, w które bezwiednie w owéj chwili stylem apartamentu, byłem przeniesiony.

Niewiasta spojrzała na mnie podejrzliwie i bystro, a ja daléj tłómaczyłem mój entuzyazm do téj epoki

Kapitan Wojda wnet mi przerwał ogólnikami, dotyczącemi tych czasów i wnet wszczęła się rozmowa o ówczesnéj historyi. Pani Olimpia, po krótkiém milczeniu, wzięła w niéj udział i jakież było moje zdziwienie, gdy powoli zaczęła się ożywiać i zapalać, mówiąc o Napoleonie i księciu Józefie, o Kniaziewiczu i innych.

Przypatrywałem się jéj z osłupieniem; siostra mojéj babki bowiem znała nietylko doskonale historyą téj epoki, ale osobiście téż znała wszystkie wybitne jéj osobistości.

W ożywionéj dyspucie doszliśmy nie pamiętam już, z jakiego wychodząc stanowiska, do historyi bitwy pod Lipskiem.

Opowiadając jakieś epizody, które byłem świeżo o tych zdarzeniach przeczytał, spojrzałem na panią Olimpią i jak uciął urwałem. Stara pani bowiem zupełnie znów zmieniła wyraz twarzy. Pobladła, zesztywniała, oczy w słup wytrzeszczyła i drżała na całém ciele, a wyglądała przerażająco i złowrogo.

— Wiem, cobyś kawaler chciał powiedzieć—zawołała trzęsąc się z wruszenia—ale nie! nie! nie!.. on wtedy nie zginął!

Nagle osłabła, opuściła rękę wzdłuż poręczy, oparła się i szepnęła.

— On żyje...

Głuche nastało milczenie, z którego kapitan skorzystał, by mi dać znak wyjścia.

Wstałem więc i ucałowawszy rękę pani Olimpii, która mi ani słowa więcéj nie powiedziała, wyszedłem.

Gdy się znalazłem na pełnéj ruchu i gwaru ulicy, odetchnąłem, choć przytomności zupełnéj nie odzyskiwałem. Uciekałem przyśpieszonym krokiem ze „starego dworu,“ a jakiś stęchły zapach jego komnat wciąż mnie ścigał.

Sam siebie pytałem, czy to nie był sen? sen, wywołany wspomnieniem z dzieciństwa portretu „pięknéj pani“?

Jeśli to nie sen—myślałem—to postanawiałem sobie najsilniéj, nigdy więcéj nie odwiedzać siostry mojéj babki, choćbym miał przez to stracić dziedzictwo „starego dworu.“

V.

Zapewne byłbym dotrzymał postanowienia nie odwiedzenia więcéj pani Olimpii, gdyby nie kapitan Wojda, który na trzeci dzień po mojéj bytności w „starym dworze,“ złożył mi oficyalną wizytę.

Staruszek wyglądał wspaniale w swojéj staroświeckiéj czarnéj czamarze i dużym halsztuku na szyi, ale nic a nic nie rozjaśnił mi tajemnicy, jaką we wszyskiém wraz z panią Olimpią, zdawali się być otoczeni.

Na moje zapytanie, proszące go o wyjaśnienie mi, coby znaczyło zachowanie się dziwne „właścicielki,“ bo tak panią Olimpią nazywał, jako też niezrozumiałe jéj dla mnie wspominanie „o nim,“ nic nie odpowiedział, tylko mi się bystro i badawczo przypatrzył, i tak zagadał.

— Mówię waćpanowi nieszczęście! nieszczęście, które nas oboje spotkało i które dotąd całkowicie nie jest wyjaśnione. Ot, przybyłem, by p r i m o szanownemu panu złożyć rewizytę, jak przynależy, na trzeci dzień i oznajmić, co mi właścicielka hm... hm... pani Olimpia poleciła.

— Cóż takiego?

— Oto—ciągnął daléj pan Wojda—mimo całego uprzedzenia, jakie... pani Olimpia żywi do swéj rodziny, spodobałeś jéj się waćpan. Mówi, iż masz coś w oczach i w wojskowym sposobie bycia coś, co jéj przypomina ..

Tu się kapitan mocno zakrztusił i jakby własnemi słowy przeraził. Widocznie się zapomniał i chciał coś powiedzieć o „nim," o tym tajemniczym człowieku, który, jak się już wtedy domyślałem, był osią obrotną niezwykłych stosunków pani Olimpii.

Pan Wojda po chwili daléj zaczął.

— Otóż właścicielka prosi waćpana, abyś zechciał co niedziela u niéj przyjąć obiad o godzinie pierwszéj po południu. Nie potrzebuję panu dodawać, iż to jest fawor nie lada z jéj strony. Od śmierci pułkownika Zakrzewskiego, nikogo nie pamiętam na obiedzie u pani Olimpii. Babka pańska pragnie, byś waćpan wkradł się w łaski siostry jejmości... hm... zobaczymy. Dużo zawiniliście, ale czas łagodzi wszystko, mówią. W tém miéj waćpan nadzieję. Z méj strony winienem cię przestrzedz tylko ..

— Co? proszę! bardzo proszę!—zowołałem uradowany niespodziewanym obrotem rzeczy, który mi pozwalał mieć nadzieję, że spełnię misyą, w jakiéj po prostu przez babkę zostałem wysłany.

— Otóż pani Olimpia... uważaj tylko waćpan, jest gorącą patryotką.

— Ależ i ja także.

Kapitan spojrzał mi w oczy niedowierzająco i podchwycił:

— Wierzę... wierzę... ale uważasz waćpan, twoje uczucia nie mogą być tém, czém są nasze, bo nawet nie znałeś, tylko z historyi znasz tych, co nas chrzcili...

Nie bardzo rozumiejąc myśl, którą chciał pan Wojda wyrazić, nie śmiałem go i o wytłómaczenie jéj prosić, tak w téj chwili wyglądał przejęty i natchniony.

— Gdyby on żył!—westchnął tylko i równocześnie zwilżyły się jego błyszczące oczka.

Nagle machnął ręką i wstając, mówił.

— Ot! co to próżno gadać. Tajemnica pozostanie tajemnicą... wypadek tylko... Przychodź waćpan w niedzielę na obiad i staraj się utrzymać opinią, jaką sobie pani Olimpia wyrobiła. Sądzi, że i przed tobą rodzina utrzymała w tajemnicy paskudny postępek...

— Ależ ja nic a nic nie wiem, nic!—zawołałem rozdrażniony tém obracaniem się w błędném kole, a bałem się sam nie wpaść w jaką i d é e f i x e, w jakiéj pozostawać zdawali mi się i kapitan i siostra méj babki.

— Czas wyjaśni, czas!—zawołał pan Wojda i pożegnał mnie z wszelkiemi oznakami ceremonialności, modnéj za jego czasów.

Wizyta ta, pamiętam, znów rozstroiła moje nerwy.

Kapitan bowiem na inném tle, niż salony i gabinety pani

Olimpii, nawet nie w „starym dworze," tylko w najmodniejszym owego czasu hotelu warszawskim, robił dziwne, ducha, a nie człowieka wrażenie.

Po krótkiéj rozmowie z nim, zdało mi się dość długo, że się wczytałem w dobrze napisaną i intrygującą powiastkę ze starych czasów.

Doczekawszy się najbliższéj niedzieli, udałem się na obiad do „starego dworu."

Zastałem w salonie i panią Olimpią i kapitana i jakąś starą jejmość, wyglądającą na rezydentkę z dawnych czasów.

Pan Wojda zarekomendował ją, jako pannę wojszczankę, Lewicką, a pani Olimpia głęboko westchnęła i dodała:

— Kuzynka jego.

Ten „on" nie przestawał mnie rozciekawiać do najwyższego stopnia, bo przy obiedzie nawet, obok pani Olimpii leżało nakrycie, przed którém nikt nie zasiadł.

Zaintrygowany tém próżném miejscem, na które zresztą nikt nie zwracał uwagi, zapytałem siedzącéj obok mnie rezydentki, dla kogoby ono było przeznaczoném.

Panna Lewicka bardzo się zmieszała, ale pani Olimpia, która pytanie moje usłyszała, odpowiedziała na nie.

— To jest miejsce jego.

Nie było co więcéj pytać. Od téj chwili nie wątpiłem, że mam do czynienia z osobą pod pewnym względem opanowaną małym bzikiem. Zastanawiała mnie tylko ta okoliczność, iż zresztą pani Olimpia w niczém nie zdradzała zboczenia umysłowego. Do reszty zaś mnie obałamucili kapitan i rezydentka, którzy smutnieli, ile razy tylko o tym „on" była mowa.

Począwszy od téj niedzieli, przez kilka tygodni regularnie bywałem u pani Olimpii na obiadach i nic naprzód nie postąpiłem w wyrobieniu sobie jakiegokolwiek pojęcia o tajemniczym „on."

Miejsce jego zawsze było nakrytém przy obiedzie, a w saloniku na krześle nikt nigdy nie siadał, ani nikt nigdy nie dotknął kłębka nici czy białych rękawiczek. Pojmuje czytelnik, do jakiego stopnia to wszystko mnie rozciekawiało i drażniło. W rozmowie, którą przeważnie i tylko w starym dworze prowadzono o czasach Napoleona i Księztwa, czasem zapominał to kapitan, to pani Olimpia o nim, o jego poglądzie na wypadki, o jego roli, którą w tém czy owém odgrywał.

Ten „on" więc żył w tych czasach i musiał prawdopodobnie dawno umrzeć—myślałem.

Ale w takim razie zkądże to oczekiwanie go ciągłe u ludzi wyglądających na zupełnie zdrowych na umyśle?

Wprawdzie wszyscy mieszkańcy starego dworu robili wrażenie mumii z czasów Napoleońskich, wprawdzie zamknęli oni swą żywotność z chwilą śmierci ks. Józefa, chwilą od epoki mego opowiadania,

blizko czterdziestoma latami odgrodzoną, ale poza tém byli to zupełnie ludzie rozumni i zdrowi.

Ten „on“ więc, ta tajemnica gniewu pani Olimpii na moję babkę, to głębokie milczenie, które zachowywała o całéj swéj licznéj rodzinie, to wszystko do najwyższego stopnia mnie męczyło.

A tu babka, któréj najskrupulatniéj donosiłem o każdym kroku moim w „starym dworze,“ pisała, bym się śpieszył, bym wyciągnął panią Olimpią na rozmowę o niéj, na rozmowę, w któréjbym mógł uzyskać jéj przebaczenie dla staréj siostry i rodziny.

Moja babka napisała raz wreszcie: — „Śpiesz się i z pomocą kapitana weź się do dzieła, dla którego spełnienia pojechałeś do Warszawy. Siostra cię lubi, możesz dużo i uwierzy ci prędzéj, niż komukolwiek, żeśmy nic a nic nie winni. Pomyśl, że dnie moje już policzone, a przed śmiercią pragnęłabym uściskać tę, z którą się wychowałam, która mi jest jedyną z dawniejszych czasów mojéj tak odległéj młodości. Chciałabym choć raz jeszcze być w „starym dworze,“ jak go zowiesz, w którym się urodziłam, w którym, zda mi się, widzę mych rodziców, w którym są wspomnienia wszystkich moich chwil szczęśliwych!“

Łzy mi stanęły w oczach, gdym czytał ten list staréj babki.

Chciała, abym urzeczywistnił ostatnie jéj marzenie przed śmiercią, ja, co nic jeszcze zgoła z otaczających mnie tajemnic nie rozumiałem i pojęcia nie miałem, o co w całych tych odwiecznych gniewach chodzi.

Babka zapewne przypuszczała, że mnie kapitan poinformował, a tu kapitan jak zaklęty milczał i zdawał się podzielać zapatrywanie pani Olimpii. Bądź co bądź, postanowiłem skorzystać z pierwszéj sposobności, aby wprost z panią Olimpią o życzeniu méj babki pomówić. Czasu do stracenia nie miałem. Dnie obu sióstr były policzone, a sposobności próżnobym czekał na wyjaśnienie rzeczy dzisiejszéj w „starym dworze,“ który zaschł, jak roślina pod szkłem w r. 1815-ym schowana.

„ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO“

MIKOŁAJA REJA Z NAGŁOWIC.

STUDYUM Z LITERATURY XVI-GO WIEKU. [1])

NAPISAŁ

Walery Gostomski.

III.

Trzecia i ostatnia część „Żywota,“ traktująca o starości człowieka poczciwego, różni się od poprzedzających przez to, że przeważnie moralizuje, gdy w poprzednich obrazowość przemagała. Wynika to z natury samej osnowy wykładu autora. Rej, chcąc przeprowadzić szczęśliwie swego poczciwego człowieka przez różnorodne stosunki życiowe, ukazywał mu je w barwnych obrazach, w których naocznie można było widzieć dodatnie i ujemne ich strony;—w ostatniéj zaś epoce życia, gdzie myśl człowieka zwrócona więcéj na zewnątrz, zdala od głównych prądów życiowych, gdzie człowiek przebywszy burzliwe fale, płynie po już spokojniejszych wodach, zmierzając do ostatecznego portu. Epoka ta mniéj przedstawia materyału do obrazów świata zewnętrznego, więcéj zaś nastręcza moralnych refleksyi. Rej troszczy się też przedewszystkiém o to, aby człowiek, zdobywszy w poprzedniém życiu pewne zasoby moralne, nieutracił ich przy końcu swéj ziemskiéj pielgrzymki, lub też jeśliby nawet w późnym wieku nie wyrobił sobie moralnego charakteru, aby nie zaniechał tego uczynić w téj ostatniéj epoce życia. Pod tym względem sam nasz autor może służyć jako przykład pouczający: żywot jego daleki był od tego wzoru, który nakreślił w dwóch pierwszych częściach swego dzieła, dopiero na starość uspokoiła się jego burzliwa natura i umysł zwrócił się do tego, co stanowi prawdziwe

[1]) Dokończenie.—Zob. zeszyt na mies. luty r. b.

dobro w życiu; — dlatego też w ostatniéj części swojéj pracy z głębokiém przekonaniem, wyrobioném przez długoletnie doświadczenie, głosi swoje maksymy moralne i w nich wskazuje jedyną wartość życia.

Nie wynika jednak ztąd, aby Rej gubił się tu w abstrakcyach. Mniéj tu—prawda—obrazów z życia i poglądy etyczne przybierają bardziéj ogólny charakter, nie odbijają tyle rysów miejscowych, narodowych, ale zawsze zastosowane są do bezpośredniéj praktyki życia. Tylko zakres tego życia bardziéj ograniczony; nie roztacza się ono szerokim kołem obywatelskiéj i społecznéj działalności, lecz ograniczone jest do ogólnikowych warunków powszedniego, domowego bytu. Widzieliśmy, iż Rej rozmiłowany jest w spokoju i swobodzie prywatnego życia, nawet z pewną ujmą pojęć obywatelskich, (np. usuwanie się od urzędów). Tém bardziéj pragnie on spokoju dla swego poczciwego człowieka w epoce jego starości. Ztąd wynika, że ideał jego staruszka, jakkolwiek z wielu względów piękny i dodatni, grzeszy zbyt wielkiém samolubstwem, zbyt wyłącznem zamknięciem się w kole osobistych potrzeb i przyjemności.

W rozdziale wstępnym przedstawia autor ogólny obraz sędziwego wieku w porównaniu z latami młodzieńczemi i średniemi. Natura ludzka burzy się zawsze jako moszcz; trzeba pilnie się starać o to „aby na dnie nie pozostał tylko lagier, co się niczemu dobremu nie godzi i poczciwy człowiek, który już przebył burzliwe i omylne drogi młodości i średniego wieku, powinien się uczynić czystem winem,“ „aby jego cnotliwe sprawy pięknie się na wsze strony błyszczały, jako gdy łuna bije na wsze strony, od nadobnéj szklenice jako od kryształu, w którém piękne i przezroczyste wino stoi.“ (str. 436). Następnie dowodzi, jak nie przystoi sędziwemu wiekowi poddawać się namiętnościom i burzliwym chęciom. Jeśli one szkodzą młodości, tém więcéj przynoszą ujmy stojącemu nad grobem starcowi; — stąd wzgardzenie i śmiech ludzki i niechybne kary boskie, jak tego liczne przykłady dowodzą. Ale więcéj jeszcze, niż dolegliwości doczesne, wynikające z niepomiernego żywota, winien chrześciański starzec mieć na pamięci życie przyszłe i srogie kary, które tam czekają grzeszników; — wszyscy bieżymy do ostatecznego kresu, ale „przed się siwy naprzód.“ Pomny na to człowiek w sędziwym wieku powinien szczególnie się starać o udoskonalenie moralne swego charakteru, zaprawiać swój umysł cnotami, a strzedz się grzechów błędów.

Tu następuje obszerna rozprawa o cnotach szczególnie do dobrego żywota potrzebnych. Więc najprzód zasadnicze cnoty chrześciańskie: wiara, nadzieja i miłość. — Rej objaśnia ich znaczenie i wykazuje dobrodziejstwa, które one człowiekowi przynoszą. Następnie rozbiera i wyjaśnia główne zasady chrześciańskiéj etyki wyrażone w ośmiu błogosławieństwach ewangielii św. kolejno obja-

śnia co znaczy człowiek prawego serca, ubogi w duchu, cichy, zasmucony i t. d. Z całego powyższego ustępu widać głęboką i szczerą religijność Reja: posiada on silną wiarę i uważa prawdy religijne jako nieodzowną podstawę moralności, któréj wogóle nigdy nie oddziela od religii.

Atoli w pojęciu zasad chrześciańskich nie wznosi się on zbyt wysoko. Szczególnie to daje się widzieć w wykładzie owych ośmiu błogosławieństw. Myśl Reja trzeźwa i jasna, ale krążąca zawsze przy ziemi nie jest w stanie pojąć wzniosłego humanitaryzmu, który w nich przebija a który podnosi, uszlachetnia i uświęca wszelkie cierpienia i nędzę ziemską, głosi urzeczywistnienie na ziemi królestwa powszechnéj i doskonałéj miłości. Rej pragnie wprawdzie, aby ludzie wzajemnie się miłowali i przebaczali sobie urazy, ale jak wszędzie tak i w tém zaleca miarę pewną, któréj nie należy przekraczać. A więc, wedle niego, nie trzeba być ani zbyt dobrym, ani zbyt sprawiedliwym, ani zbyt miłosiernym: „bo cokolwiek jest nazbyt już dobrem nazwane być nie może.“

Uznawszy ograniczone stanowisko Reja, trzeba przyznać, iż jest ono koniecznym wynikiem całego jego systemu. W „Żywocie“ nie daje autor idealnego wzoru etyki chrześciańskiéj, lecz wskazuje sposób moralnego postępowania, mogący znaleźć bezpośrednie zastosowanie w rzeczywistości. Rzeczywistość zaś nie może się nigdy wznieść do wysokości chrześciańskiego ideału; ten ideał świeci od wieków przed oczyma ludzkości, hamując jéj niskie żądze i podnosząc moralny jéj poziom, ale daremnieby się kusił ten, coby go chciał ściśle i konsekwentnie stosować w życiu. Wprawdzie nic powszechniejszego nad to, iż ludzie, z pewną czelnością zalecają innym postępowanie zgodne z zasadami chrześciańskimi, sami się o nie wcale nie troszcząc, ale Rej zanadto jest szczery, on nie zna żadnéj obłudy i on mówi tak jak czuje. Wszystkie te zasady, które wygłasza, sam zawsze gotów zastosować je w życiu; a jako realista nawet na polu moralności, a żaden asceta nie mógł on w swém postępowaniu wznosić się do najwznioślejszego ideału chrześciańskiego. Zresztą, pomimo tego względnego obniżenia jego ideałów religijno-moralnych, dobrzeby się pono działo na świecie, gdyby chociaż większość ludzi wznosiła się do tego poziomu moralności chrześciańskiéj, na którym on się znajduje.

Określiwszy najważniejsze cechy moralnéj doskonałości chrześciańskiego starca, jako jéj koronę wskazuje Rej stałość w znoszeniu wszelkich przygód życia. Rozwija tutaj daléj myśl, którą już w poprzedniéj części obszernie traktował.

W życiu człowiek narażony jest ciągle na rozliczne przygody i ciosy fortuny: „dom, dzieci, żona, wszystko to jest jako pajęczyna w jego ręku.“ Pomnąc na ten nieodwołalny wyrok, ciążący nad całą ludzkością, nie powinniśmy się nigdy poddawać rozpaczy i zwątpieniu. Jeśli przyrodzenie nasze upada pod ciężarem cierpie-

nia, należy rozumem gwałt mu zadawać; w tém leży moralna wartość człowieka, aby panował nad przyrodzonymi skłonnościami. — „Bo gdybyś przyrodzeniu swéj woli dopuścił nigdybyś żadnego końca w swéj żadnéj sprawie poczciwéj nie znalazł, jednobys się mieszał zawżdy, wiercąc jako motyl, wichrem zachwycony.“ Wreszcie nie tylko człowiek słaby i niedoskonały, ale ziemia, niebo, natura cała podległe są przygodom; ludzie święci i cnotliwi znosili tysiące cierpień i prześladowań; dlaczegoż człowiek grzeszny ma być od nich wolny „A czémże się ty nędzna mucho być mnie masz? zapytuje z właściwą sobie rubaszną dosadnością nasz autor, gdyż ani niebo, ani ziemia, ani ludzie święci ani oni namożniejsi królowie nigdy bez przygód być nie mogli. A ciebie by jedno nos zaświerzbiał, to już płaczesz, narzekasz a lamentujesz.“ (str. 550). Ostateczny wniosek z tych wywodów ten sam, co poprzednio: człowiek poczciwy i stałego serca winien zawsze być wolny od wszelkich trosk i frasunków, zachować we wszystkich przygodach swobodną i wesołą myśl, pomnąc, iż wszystko musi kiedyś przeminąć a skarb wieczny, cnota i rozum, zawsze nam pozostanie w tém i przyszłém życiu.

Nietylko jednak przygody i cierpienia sprawiają ludziom troski i wielu martwi się nieustannie krótkością przyrodzoną swego żywota, a jednak sami przykładają się najskuteczniéj do jego skrócenia. Niepomierne używanie rozkoszy niszczy nasze zdrowie i przyspiesza śmierć: siedm grzechów śmiertelnych naraża nas na niezliczone cierpienia i gwałtownie popycha do grobu; dlatego to niektóre zwierzęta dłużéj żyją od człowieka, gdyż instynkt wrodzony wstrzymuje je od nadużycia, które wyniszcza siły wielu ludzi. W ogóle ludzie przez to tyle cierpień i trosk znosić muszą, że nie umieją dobrze żyć nie umieją tak urządzić swego życia, aby ono mogło im dostarczyć spokoju i szczęścia Przedewszystkiem powszechném jest, że ludzie nie cenią należycie wartości czasu, który szybko bardzo uchodzi i nigdy nie wraca i wielu pragnęłoby; aby im czas jak najprędzéj upływał i myślą tylko o zabawach, uciechach, które pomagają im do zabicia tego drogiego klejnotu, a o przyszłość się nie troszczą, nie dla niéj nie czynią i to też nieraz w przyszłości srodze muszą pokutować za owe w bezmyślnych a szkodliwych uciechach marnotrawienie czasu, muszą znosić mnóstwo cierpień i dolegliwości, sami sobie będąc w tém winni. Inni trawią czas w bezczynnéj gnuśności o nic nie dbając, o nic się nie troszcząc. I tych także smutna przyszłość czeka „Albowiem to nieszczęsny człowiek, co jako bydlę w marném próżnowaniu czasy swe sprośnie traci, a jest tylko jako on staroświecki marmurowy filar, a na nim chłop z spiże, co tylko wróble i gołębie na nim siadają, a w niwecz się nic przygodzi.“ (str. 578). I ten też źle czyni, co nieustannie upędza się za bogactwami i ani chwili spokoju nie znajdzie, ani nie myśli o nabywaniu cnoty i kształceniu swego charakteru „A wszakoż, dodaje Rej, wżdy ten co tak po światu biega, wżdy się ćwiczy, wżdy się ludziom i sprawom ich

przypatruje. Ale owo próżnujące idolum a na co się innego przygodzi? jedno leży jako spruchniały pień, który już ani na standar pod przycieś, ani na łuczywo się nie przyda, jedno iż mrówki pod nim gmerzą a kokoszy grzebą. (str. 191) Widzimy tutaj zamiłowanie spokoju i wstręt do zabiegów i starań o dobro materyalne, z drugiéj strony występuje tu natura pełna energii, czynna i żywa, która nie znosi gnuśnej bezczynności i próżniactwa.

W ostatnich trzech rozdziałach rozwodzi się Rej nad tém, jak niesłuszne są obawy ludkie przed starością i śmiercią.—W tém zakończeniu swego dzieła wygłasza apoteozę sędziwego wieku; z głębokiém przekonaniem zbija opinie o ujemnych stronach i dolegliwościach starości; porównywa ją z poprzedzającymi epokami życia ludzkiego i wykazuje dobre i piękne jéj strony.—Przedewszystkiém dowodzi, iż niesłuszne jest mniemanie, jakoby człowiek w starości stawał się nieużytecznym. — Prawda, że nie może tyle zdziałać co w sile wieku, ale za to jego działalność teraz stokrość pożyteczniejsza, bo wsparta dojrzałą radą i doświadczeniem.—Jako dowód przytacza Rej liczne przykłady, świadczące, iż rozwaga i rozum daleko większe miały znaczenie w różnych okolicznościach życia aniżeli siła fizyczna. Następnie twierdzi, iż brak sił, który pospolicie bywa uważany jako jedna z największych dolegliwości sędziwego wieku, niekoniecznie jest takiém złem, jak się wydaje. — „prawda, iż ciało nasze ku starości nie tak bujne i poskoczne być musi“, ale nie idzie za tém, aby miało się stać zupełnie niedołężném. — Zresztą owa „poskoczność“ ma też i swoje złe strony. — W doskonałém i pełném życia i werwy porównaniu przedstawia Rej, jak to starzec w swém spokojném a statecznem zachowaniu daleko więcéj może nieraz zażyć rozkoszy aniżeli ów żywy i niecopatrzny młodzik, co swém lekkomyślném postępowaniem nieraz sobie i ludziom szkodzi.— „Bo jeśli na szkapie tedy się wierci, kręci, biega, darmo nigdy nie postoi — więc albo co potłucze, albo poprzewraca, albo kogo udepcze, a sam też albo o tragasz w łeb, albo o gałęź w gębę weźmie albo i z szkapą padnie, potem mokrym płatem nogę uwija. Jeśli też pieszo, to albo przez stoły albo przez ławki skacze, jednego nogą w bok, drugiemu szpadą po gębie, a sobie też albo w bok, albo w goleń, albo śklanice potłucze. Owa nie wiem ani rozumiem nacz się ony figle przygodzą. Bo ni do męztwa ni do żadnej potrzebnej rzeczy, chyba uciekać przed guzem uskakować teby się wżdy zeszły. (patrz str. 591). O ileż lepsze i rozumniejsze rozkosze poważnego a szlachetnego człowieka w sędziwym wieku: „Azaż też ubogi starzec nie może sobie nadobnych i statecznych a spokojnych przechadzek użyć około stawków, albo po sadeczkach swoich, albo też po polu, patrząc niemsz-li w pszenicy kąkolu. A potem przyszedłszy siadłszy sobie u chędogiego stolika, smacznych a pomiernych potrawek się najeść, a potem na swym przyrodzonym inochodniczku, który na nogach pan, na białém a nadobnem łóżeczku się przejeździć,

z czeladką sobie pomówić, pożartować, pokrotofilować. A jeśli też jaki dostateczny—może też sobie i jaką cichą muzyczką główkę naszychtować, a potem się smaczno przespać, a potem się też obudziwszy to sprawować, co też już jego stanowi należy. A cóż ma ów latacz albo skoczek przed nim, któremu się łeb nigdy uspokoić nie może?" (str. 592). Następnie zapytuje Rej „co lepiej samemu li młócić, czyli u młocków stać a doglądać, aby dobrze wymłacali?" I tak dalej rozumuje: „Także i poczciwemu a szlachetnemu człowiekowi nic lepiejże mu na to patrzeć, gdy się szaleńcy trzęsą, skaczą, maszkarują, rozmaite krotofile wymyślają, niźliby się sam trząść miał, albo się ślizać miał jako kozieł po lodu" (str. 594).

W przytoczonych ustępach słychać jakby gderliwy głos staruszka na niesforną żywość młodego wieku. Ale w tych dosadnych obrazkach młodzieńczéj ruchliwości, zaprawnych takim jowialnym, dobrodusznym humorem, taką szczerą i żywą wesołością, znać, że nie wyszły one z pod pióra zgrzybiałego i zgorzkniałego marudziarza, ale nakreślone zostały silną jeszcze dłonią jędrnego starca, który, zostawiwszy daleko już poza sobą one poskoczne a bujne lata młodości, teraz ze spokojną powagą, jaka przystoi sędziwemu wiekowi, uśmiechając się pobłażliwie, spogląda na owe skoki a figle młodzieńcze. Tak też sobie możemy wyobrażać poczciwego moralistę w chwili, gdy pisał „Zwierciadło."

Atoli szczególnie sympatycznie przedstawia się nasz autor w następnym rozdziale, traktującym o śmierci. Tutaj przemawia on z powagą i namaszczeniem, starając się przekonać czytelnika, iż ta smutna chwila nie jest tak straszną i bolesną, jak sobie ludzie wyobrażają. Wszakże nie staje on tu na jakiémś ascetycznem stanowisku z obsolutną wzgardą życia i apatycznem oczekiwaniem śmierci. Widzieliśmy, iż posiadając tak normalnie rozwiniętą wrażliwość umysłową, umie on rozumieć i oceniać piękne strony życia; to też pojmuje naturalne uczucie grozy, jakie człowieka ogarnia w obec téj ostatecznéj i smutnéj chwili; przyznaje, „iż to jest przyrodzeniu naszemu straszna rzecz rozłączyć się z światem i z onemi nałogi jego, którymechmy tu już przywykli, a w nich się rozkochali." Jednak człowiek poczciwy powinien się uciec do rozumu, który go poucza, iż inaczéj być nie może: śmierć jest koniecznem prawem natury, z którém musimy się pogodzić, nie mogąc go zwalczyć. Rządząc się rozumem, powinniśmy oswajać myśl naszę ze śmiercią; wtedy mniéj nam się ona wyda straszną, bo każda rzecz najstraszliwiéj nam się przedstawia, gdy niespodzianie na nas spada. Atoli jeszcze większéj pociechy w obec śmierci dostarcza nam to przekonanie, iż jest ona tylko kresem ziemskiego życia, a początkiem przyszłego bytu, który daleko wyższy i doskonalszy jest od téj doczesnéj pielgrzymki. Rej z głęboką wiarą, z całą mocą szczerego przekonania mówi o przyszłém życiu. W szeregu prześlicznych obra-

zów i przenośni stara się zaszczepić to przekonanie w sercach ludzkich; widać jak chodzi mu o to, aby czytelnika umocować w obec śmierci. Porównywa tedy życie do chwilowego spoczynku podczas drogi w cieniu rozłożystego drzewa. Śmierć na nas woła; musimy porzucić miłe nam miejsce i w dalszą, daleką ruszać drogę. To znowu w innem miejscu przedstawia życie jako gliniany, mizerny domek, który lada chwila obalić się musi: z téj nietrwałéj a nędznéj gospody mamy się przenieść do mocnego i pięknego domu, który się nigdy ani obalić ani zepsować nie może. Na innem jeszcze miejscu porównywa człowieka wśród dolegliwości życia do tego, co go powieszą za nogi i pytają czy niechce być odciętym; a on na to: ale się boję, bym się nie stłukł. „O pewnieby lepiéj, dodaje Rej, kazać uciąć, chociażby się potłuc niż tak dłużej wisieć.“ Jednem słowem, w obec tego, że rozum wskazuje śmierć jako nieuniknioną konieczność, wiara każe oczekiwać po za nią szczęśliwego i lepszego bytu, człowiek rozważny nie powinien się jéj obawiać, lecz ze spokojem i poddaniem się woli Bożéj oczekiwać téj ostatecznéj chwili, dbając o to, aby się do niéj godnie przygotować i zdobyć sobie prawo do nagrody w wieczności.

W ostatnim wreszcie rozdziale zastanawia się Rej nad tém „jako poczciwy człowiek, gdy już rozważy powinność śmierci, jak jéj ma czekać i jakiego żywota do czasu swego przyszłego używać ma.“ Minęła już nadobna wiosna młodości, minęło gorące i burzliwe lato męzkiego wieku i jesień, nosząca bogate plony żywota. „A gdyś już przyszedł do zimy a do chłodniejszych czasów swoich a czemuż byś też nie miał już użyć wdzięcznego pokoiku swego? jako ów dobry gospodarz, który nanosiwszy w lecie a w jesieni wszystkiego pełne kąty swoje, już też sobie wszystkiego rozkosznie używa w ciepłej izbie albo przy kominku swoim“ (str. 620). Następnie rozwodzi się Rej nad tymi rozkoszami, jakich umie zażyć poczciwy starzec, oraz wylicza zajęcia, mogące pożytecznie czas jego zapełnić.

Poprzednio widzieliśmy z jakim wdziękiem kreśli Rej idyllę życia rodzinnego, zdobiącą południe męskiego wieku; tutaj rozwija przed nami w prześlicznych obrazach nie mniéj piękną sielankę pogodnéj starości. „Ano sobie siedzisz w nadobnym domku, któryś sobie zbudował wedle myśli swojéj, ano łóżeczko nadobnie usłane stoi dla odpocznienia twego, anoć synkowie służą, jeśli je Pan Bóg dał i z żonkami swemi, wymyślając ci potrawki wedle czasów swoich; anoć jeden przyniesie ptaszków, drugi zajączków, białe głowy kurek, owoców rozlicznych, że bezpiecznie możesz rzec w onym wdzięcznym pokoiku swoim: używaj moja miła duszo, bo masz wszystkiego dosyć.“ (str 622)

Wreszcie raz jeszcze powraca Rej do téj myśli, iż człowiek poczciwy niczego się lękać nie powinien a zawsze stałe serce zachować; tylko teraz wskazuje głębsze uzasadnienie w téj stałości

w zaufaniu, jakie winniśmy pokładać w bożkiéj opatrzności i mądrych jéj zrządzeniach. Wszystko, co się dzieje, wynika z woli bożéj, a wola ta musi być zawsze sprawiedliwą i słuszną. Dla potwierdzenia tego, przytacza Rej znaną powszechnie opowieść o pustelniku, którego anioł zesłany z nieba naocznie o tém przekonał, iż najdziwniéjsze nawet zrządzenia bożkie zawsze są sprawiedliwe i dobre. Opowieść ta bardzo rozwlekła i nacechowana zbyt prostacką i naiwną wiarą, psuje nieco harmonią, źle odbija przy żywéj formie i względnéj głębokości myśli, któremi odznaczają się ostatnie rozdziały „Żywota“

Daléj, uplastyczniając jeszcze więcéj myśl o sprawiedliwości wyroków bożkich, porównywa Rej fortunę do złéj macochy, która pieści i zdobi dzieci mężowskie, ale nie dba o ich dobro, a często zgubę im gotuje; Bóg zaś który nas nieraz doświadcza i karze, jest jako rozumny ojciec: nie pieści się bardzo ze swymi dziećmi i nieraz je prątkiem posieka, ale gotuje im trwałe dobro i szczęście w tém doczesném życiu i w wieczności.

Na zakończenie, powtórzywszy raz jeszcze swe zasadnicze przestrogi, żegna się autor serdecznie z czytelnikiem, z ujmującą prostotą, i skromnością poleca mu swą książkę: „Przyjmiż to odemnie, mówi, miasto rejestru poczciwych spraw swoich, jako od prostaka. A gdy się tu jako z rejestru obaczysz w sprawach swoich, snadnie potem znajdziesz między mędrszymi, czego daléj w sobie poprawować i jako się sprawować masz.“ „Jedno, dodaje, nie leż darmo, czytaj, szukaj, biegaj a dowiaduj się o powinności swojéj. Bo i Pan na nas woła, abyśmy się dowiadowali o piśmiech, na których zależy i sława i poczciwość i zbawienie nasze.“ Zakończywszy swoje uwagi tém ostatniem napomnieniem i wezwaniem do starości o moralne udoskonalenie i kształcenie charakteru, zamyka Rej całe dzieło, starodawnym obyczajem polecając czytelnika opatrzności i łasce bożéj.

IV. Uwagi ogólne i zakończenie.

Najogólniejszą cechą w systemie etycznym Reja, jest dogmatyczny jego charakter. — Rej nie wdaje się nigdy w analizę pojęć moralnych; nie stara się o uzasadnienie ich za pomocą głębszego rozumowania; uważa je za absolutne prawdy, znajdujące swoję gwarancyą w zasadach religijnych i w uznaniu ogółu cnotliwych i rozumnych ludzi. Stąd wynika, iż nasz moralista nigdy nie waha się w zastosowaniu praktycznem swych maksym, nie ma żadnych wątpliwości co do ich wartości wewnętrznéj i życiowego znaczenia. Dla niego wszystko w życiu jest jasne i pewne; droga, po któréj winien kroczyć poczciwy człowiek, jest dokładnie przed nim wytkniętą; — wszelkie zboczenie z niéj na lewo lub na prawo prowadzi nieuchronnie do błędu i grzechu. Ta pewność w określeniu zadań i obowiązków życiowych wynika z tradycyonalnego cha-

rakteru całéj mądrości Reja. — Istota tradycyi polega na uznaniu bezwzględnéj powagi pewnych pojęć i zasad, odziedziczonych po przodkach; — pojęcia te nie mogą podlegać analizie i krytyce, całe zadanie moralisty opiera się na właściwém ich zrozumieniu i sformułowaniu.

Takie stanowisko moralne ma niewątpliwie swoję bardzo dobrą stronę, daje postępowaniu naszemu ściśle określony kierunek, zabezpiecza nas od krańcowych zboczeń, do których prowadzi często samodzielny zapęd myśli, chroni od tragicznéj niepewności i wahań Hamleta, lub rozpacznego zwątpienia Fausta. Widzieliśmy wyżéj, mówiąc o znaczeniu małżeństwa, o ile nasz moralista stoi wyżéj od Montaign'a przez tę właśnie jasność i pewność swoich pojęc etycznych, nie pominęliśmy jednak strony dodatniéj stanowiska Montaign'a ze względu na duchowy rozwój człowieka. Wątpliwość, sceptycyzm, to najpierwsze źródła wiedzy; walka wewnętrzna, będąca ich następstwem hartuje umysł, wyrabia siłę myśli, bez któréj nic wielkiego dokonać nie można. Społeczeństwu polskiemu XVI wieku brakło téj wewnętrznéj siły duchowéj, na pisarza takiéj miary i głębokości, jak Montaigne, nie mogło się ono zdobyć. W dziele Reja znajdujemy system etyczny jasny, pełen trafnych uwag, ale zarazem bardzo ograniczonego zakresu. Mógł on dostarczyć wybornych wskazówek dla postępowania wśród danych warunków miejsca i czasu, ale daremnieby w nim szukać głębszych idei i myśli, któreby wznosiły się ponad współczesną rzeczywistość i wskazywały odległe cele dążeń ludzkich. To téż owo społeczeństwo, którego nasz autor tak doskonałym był przedstawicielem, okazało się za słabém—skoro przyszło mu rozwiązywać wielkie zadania polityczne i religijne: dało się unieść bezmyślnie prądom jednostronnéj reakcyi, uwięzło w zastoju i apatyi.

Wszelako, jeśli nie możemy dostrzedz w autorze „Żywota“ wyższéj indywidualności duchowéj, to nie idzie zatem, abyśmy mu odmawiali niepospolitych przymiotów umysłu. Głębokiéj samodzielnéj myśli w Reju nie ma, jest on tylko rzecznikiem tradycyonalnych pojęć;—główna jego zasługa polega na doskonalém ich sformułowaniu.

Ale właśnie, aby tego dokonać, aby utworzyć taki jasny, skończony, konsekwentny system etyczny, potrzeba było niepospolitego umysłu. Zasady i wyobrażenia tradycyonalnéj mądrości, rozproszone w całéj atmosferze społecznéj, umiał Rej odpowiednio wybrać, umiał połączyć je w jednolitą logiczną całość; mógł on tego dokonać, dzięki znacznym zasobom bystrości spostrzegawczéj, konsekwencyi myśli i zdrowego rozsądku. Te przymioty określały najwybitniéj umysłowość Reja,—nadawały jéj wysoką wartość intellektualną. Zdrowy rozsądek nie był jeszcze wtedy rzadkością w Polsce: widoczny on w utworach wszystkich ówczesnych pisarzów, w działalności wybitniejszych posłów sejmowych; dzięki téż jemu ogół szlachecki nie wpadł jeszcze w te niedorzeczne utopie złotéj wolności, które zapa-

nowały w następnym wieku; obce mu były cudackie doktryny w rodzaju téj, iż Polska nierządem stoi.

Z tych dwóch znamion poglądów Reja: zdrowego rozsądku, który w nich przebija i tradycyonalnego ich pochodzenia, wynika trzecie: mianowicie praktyczna ich dążność; — tradycya bowiem jest to produkt doświadczenia, poczerpniętego z bezpośrednio otaczającéj nas rzeczywistości życiowéj, ku téj rzeczywistości więc muszą się zwracać wszystkie jéj pojęcia; — zdrowy rozsądek czerpie głównie swą siłę z doświadczenia, w niém znajduje probierz swych czynności.

Oprócz tego, owa praktyczność rejowskiego systemu znamionuje naturę czynną, zwróconą całkiem na zewnątrz, nieskłonną do zatapiania się w głąb własnéj myśli, usposobienie, które musiało być następstwem owéj pełni publicznego życia, pochłaniającéj w Polsce XVI-go wieku wszystkie myśli i dążenia ludzkie.

Dalszym wynikiem ogólnego nastroju umysłowości Reja był optymizm, tak wyraźnie znamionujący wszystkie jego poglądy. Widzieliśmy, iż poczciwy nasz szlachcic w gruncie rzeczy bardzo różowo się na świat zapatruje: nader żywo umie odczuć i wystawić różne rozkosze i przyjemności życia, silnie wierzy w możność znalezienia w niém prawdziwego i trwałego szczęścia.—Niewątpliwie, głównem źrodłem tego optymistycznego nastroju było poczucie siły i dzielności wewnętrznéj, poczucie naturalne bardzo w owém młodzieńczém społeczeństwie szlacheckiém XVI-go wieku, które nadto w tak wyjątkowo pomyślnych znajdowało się warunkach. Z drugiéj strony jednak, zdaje się, iż niemałą rolę odegrywał tu, także wskazany wyżéj brak głębszéj myśli, powierzchowny pogląd na świat i życie. Schiller powiedział: „Któż będzie się cieszył życiem, gdy raz spojrzał w jego głębie?" [1]). Jest w tém wiele słuszności.— Pessymizm i optymizm zarówno skłaniają nas do jednostronnego na świat poglądu;—podczas jednak, gdy pierwszy często bardzo cechuje umysły głębokie i poważne, drugi (nie mówię tu oczywiście o filozoficznym optymizmie, dotyczącym ostatecznych przyczyn bytu) zazwyczaj łączy się z powierzchownością myśli i sądu. Że bezmyślność (?!) niemałą grała rolę w tym optymizmie szlachty polskiéj, dowodem tego, iż przetrwał on pomyślne czasy rzeczyposp. i wśród największych klęsk i nieszczęść słodką drzemką usypiał umysły.

W związku z tym optymistycznym na świat poglądem jest pewien niedostatek w systemie moralnym Reja, którego źródła głęboko tkwią w naszym charakterze narodowym.

Rozbierając osnowę Żywota, widzieliśmy, iż autor rozważa najrozmaitsze pojęcia i zasady moralne, mające pewne znaczenie w ży-

---

[1]) Wer erfreute sich des Lebens,
Der in seine Tiefen blickt?

(*Kassandra*)

ciu ludzkiem;—z jedném tylko pojęciem nie spotkaliśmy się nigdzie, mianowicie z jasno i wyraźnie określoném pojęciem p r a c y. Nie znaczy to, aby Rej był zwolennikiem gnuśnego próżniactwa; owszem widzieliśmy, iż wielokrotnie i bardzo energicznie je potępia; w każdéj epoce życia zaleca poczciwemu człowiekowi, aby nie trawił czasu w lenistwie, aby nie leżał darmo jak suchy pień na roli, albo ów chłop ze spiżu odlany na staroświeckim filarze. Atoli w tém uznaniu działalności ludzkiéj, jako koniecznego warunku życia powoduje się nasz moralista nie tyle pojęciem obowiązku pracy, ile wrodzoną żywością i energią usposobienia, nieznoszącego bezczynności. Dla tego ma on przeważnie na względzie nie zewnętrzny cel, który człowiek przez swe działanie osiąga, lecz głównie wewnętrzne zadowolenie oraz korzyść moralną, jakie mu ono przynosi. Często téż bardzo rozwodzi się nad tém, jaka to uciecha a rozkosz pokrzątać się około gospodarstwa, wyjechać z pieskami na polowanie (te zajęcia zupełnie Rej zdaje się stawiać na równi), jak to ono wszystko można sobie bez wielkiego trudu i zachodu na poły z krotofilą uczynić, jak to poczciwy a rozumny człowiek w każdém zajęciu, w każdéj porze roku przyjemności sobie użyć może i t. p. Jedném słowem, przedstawione przez Reja zajęcia rolnicze, są raczéj przyjemną rozrywką aniżeli rzeczywistą, produktywną pracą. Wprawdzie mówi on i o korzyściach z dobrego i skrzętnego gospodarstwa, ale ma przeważnie na myśli tylko te drobne domowe pożytki, które bez natężenia sił dają się osiągnąć, a więc porządek i ład domowy, przyozdobienie swego ogródka, obfitość zwierzyny, drobiu, różnych przysmaków i t. p. Rozwodzi się téż nieco nad tém, jak to gospodarz powinien pilnie doglądać uprawy roli, siewów, ale zawsze uwydatnia więcéj przyjemności, jaką te zajęcia mogą sprawić, aniżeli obowiązek, z którego one powinny wynikać.

Dla naszego szlachcica praca jako trud ciężki i mozolny, zmierzający do zdobycia stanowiska i mienia, jako walka z losem i naturą, zupełnie jest niezrozumiałą. Owszem, kilkakrotnie nawet stanowczo potępia te marne, jak się wyraża, starania i zabiegi ludzkie;—dziwi się ludziom, którzy dla zysku narażają się na trudy i niebezpieczeństwa, jak np. górnik, co się grzebie pod ciężką ziemią, lub marynarz, który puszcza się na srogie nawałności morskie, (str. 237), wszystko to, wedle niego, sprawuje brzydka chciwość, nadmierna chęć nabywania. „Ażeż nie lepiéj, pyta, w cieplój izbie siedzieć, rozkosznego spokoju w bezpiecznym a pomiernym żywocie użyć, aniżeli się za oném marném nabyciém uganiać?“ (str. 242, 580). Jedném słowem, głównie ceni sobie Rej w życiu spokój i dobrą bezpieczną myśl, a nadewszystko swobodę, wolność zupełną, niezależność od wszelkiego zewnętrznego przymusu, swobodę robienia tylko tego, co się podoba i wtedy, gdy chęć jest po temu. „Boć to już nędzny żywot, który się w jaką niewolę dla pożytku zaprzedawa“ (str. 138). „Albowiem przez one starania już tam i wolność onę przytem

marnie tracić musisz, którą mądrzy ludzie nad wszystkie skarby świata tego zawżdy sobie przekładali“ (str. 237). Ta myśl, która wielokrotnie w różnych słowach się powtarza, należy do najbardziéj zasadniczych przekonań Reja. I w swém życiu zawsze on wedle niéj postępował. Wiemy, że wiódł żywot niezmiernie czynny, zawsze był gotów usłużyć przyjaciołom i sprawie publicznéj, ale żadnego stałego obowiązku nigdy nie chciał przyjąć i „we wszem, jak mówi Trzycieski, na swobodny żywot się udał.“

Tego rodzaju działalność, którą w życiu Rej praktykował i w teoryi zalecał, pracą, we właściwém znaczeniu, nie jest. Z pojęciem pracy związane jest ściśle pojęcie zewnętrznego obowiązku, wywierającego na nas pewien moralny lub ekonomiczny przymus; nie wewnętrzne, indywidualne pobudki, lecz cel zewnętrzny winien być regulatorem pracy ludzkiéj. Tak pojmowana jest ona często ciężkim i mozolnym trudem, pozbawia nas swobody, szkodliwie wpływa na nasz rozwój indywidualny Są to zapewne złe jéj strony, ale uniknąć ich w obecnych warunkach życia niepodobna. Niewątpliwie, byłoby bardzo pożądaném, aby upodobania człowieka pozostawały w harmonii z ciążącymi na nim obowiązkami; możemy sobie wyobrazić doskonały stan społeczny, w którym ta harmonia w pełni będzie osiągniętą, ale obecnie daleko jeszcze do tego. Stary wyrok biblijny: „w pocie czoła pracować będziesz“ z całą siłą ciąży jeszcze na ludzkości; człowiek musi trudem i nauką zdobywać sobie los w życiu, z natężeniem wszystkich sił swoich dążyć do celu. W naturze wszystkie istoty ożywione muszą walczyć o warunki swego bytu i rozwoju. I człowiek podlega temu odwiecznemu prawu, ale, ogarniając je swym rozumém, wprowadza doń regulujący pierwiastek organizacyi i tworzy cywilizacyjne i ekonomiczne pojęcie pracy, a uznając ją zarazem jako główny obowiązek życia, któremu świadomie i dobrowolnie się poddaje, podnosi ją tém samém do godności wyższéj zasady moralnéj.

Otóż takiego pojęcia pracy nie znajdujemy u Reja. Nie było go również w ówczesném społeczeństwie polskiém. Przyczynę tego niedostatku nie trudno wynaleźć. Kryła się ona w przewadze stanu szlacheckiego i w całém społeczeństwie ówczesném. Praca z natury swojéj umie się rozwijać tylko w dobrze uorganizowaném społeczeństwie, przytém osiąga ona pełnią swego rozwoju w działalności przemysłowéj, będącéj wytworem stanu miejskiego. Szlachta reprezentuje działalność wojenną stanowiącą, zupełne przeciwieństwo spokojnéj organicznéj pracy. Ponieważ u nas wszystkie żywotne siły narodu pochłonął stan szlachecki, ponieważ brakło miast i przemysłu krajowego, produktywna praca nie doznawała należytego szacunku i poparcia, więc nie mogła się ona rozwijać, nie mogło się wyrobić zdrowe jéj pojęcie. Brak zaś ten musiał doprowadzić do rozstroju i upadku. Ks. Walcryan Kalinka wypowiedział zdanie, iż ostateczną przyczyną upadku Polski, przyczyną wszystkich przyczyn

był brak pracy. Głębokie słowa, trafiające w sam rdzeń naszych wad narodowych. Ten kardynalny niedostatek naszego organizmu społecznego przetrwał nawet upadek. Jednostronność rycersko-szlacheckiego ducha w epoce romantyzmu politycznego popychała nas do bezpłodnych wysiłków i poświęceń, zasłaniając nam przed oczami istotne źródło siły i wielkości narodów;—twórczą potęgę wytrwałéj, niezmordowanéj pracy.

Wskazawszy wyżéj ujemne strony tego wyłącznie szlacheckiego stanowiska Reja, nietrzeba zapominać i o dodatnich jego znamionach. Rej, uznając szlachectwo za gniazdo cnoty i poczciwości, widząc w niém stan powołany do przewodniczenia narodowi w wyższych dążeniach,—żąda téż, aby każdy szlachcic, wzgardziwszy tém wszystkiém, co ma na celu zysk i dobro materyalne, pracował jedynie nad udoskonaleniem własnego charakteru, starał się o nabycie wyższych cnót i przymiotów.—„Myśl szlachcica poczciwego wszystka jako orzeł ku górze bujać ma to mieć jedynie na pieczy, coby cnotę a rozum ucieszyło.” W tém pojęciu tkwi moralna zasada szlacheczczyzny, tém wzniosłém powołaniem szlachty usprawiedliwiano wyjątkowe przywileje, uwalniające ją od powszednich trosk i zajęć. Niewątpliwie, teorya ta często służyła za narzędzie niskiéj hipokryzyi, była pokrywką egoizmu i próżniactwa;—nie mniéj jednak odbija ona w sobie pewne podniosłe aspiracye. Nie ulega wątpliwości, iż codzienne zabiegi życia, praca na chleb powszedni wykrzywiają często nasz charakter, prowadzą do zmateryalizowania pojęć i uczuć. Społeczeństwa, rozwijające się w kierunku wyłącznie przemysłowym, pozbawione tradycyi szlacheckiéj (jak np. północno-amerykańskie) najlepszym są tego dowodem. Duch rycersko-szlachecki, cechujący życie dawnéj Polski, niewątpliwie podnosi i uszlachetnia umysł ludzki, czyni go bardziéj uzdolnionym do wyższego polotu. W życiu szlachty polskiéj, obok wielkich grzechów, były także wielkie czyny, bohaterskie poświęcenia; — nie zbawiły one kraju, bo brakło im realnéj podstawy, jaka się znajduje w normalném rozwinięciu wszystkich sił społecznych, — ale nie pozostały jednak bez dodatniego wpływu na charakter narodowy. Widząc ujemne strony przeszłości, trzeba téż ocenić i uszanować tę piękną i jasną jéj stronę, a z nią razem należy téż uczcić i zacnego pisarza, który, jakkolwiek nie wznosił się ponad wyłącznie szlachecką sferę widzenia, ale w téj sferze zajął możliwie najwyższe stanowisko i jeżeli chciał uwolnić swego szlachcica od mozolnych trudów i zabiegów życia, to dlatego jedynie, aby zwrócić wszystkie jego siły ku wyższym celom. Mylił się w tém zapewne, okazał nieznajomość natury ludzkiéj, oraz warunków rozwoju społecznego; ale był to błąd szlachetny, wynikający z jednostronnego, lecz zacnego sposobu myślenia.

Zresztą pamiętać należy, iż, jeśli Rej był przeciwnikiem pracy dla chleba, to równie potępiał żądze bogactw i dostatków bez pracy

chciał on, aby ludzie wcale ich niepotrzebowali, aby przestawali na małém i żyli w jakiéjś idyllicznéj niewinności i prostocie.

Możemy w tém pragnieniu widzieć również dowód powierzchownego zapatrywania na świat i życie, ale musimy uznać w niém także sympatyczny objaw szczeréj i naiwnéj natury, nacechowanéj przedziwną prostotą i świeżością uczuć, pozostającéj w bezpośredniéj łączności z przyrodą, a przytém uszlachetnionéj przez wyższą kulturę moralną. Ta ostatnia cecha, w połączeniu z odznaczającym Reja wysoce rozwiniętym zmysłem realnym, oraz czysto praktycznym kierunkiem umysłu nadaje jego postaci nader oryginalny charakter, czyni ją nie tylko doskonałym typem szlachcica polskiego, ale nadto niezmiernie zajmującym okazem natury ludzkiej w ogóle.

Pozostanie mi jeszcze dodać słów parę o literackiém i estetyczném stanowisku naszego autora.

Przedewszystkiém nastręcza się pytanie: czy można Reja nazwać poetą? Co do tego istnieje w naszéj krytyce literackiéj dosyć ustalona opinia, która przyznaje, iż jest on znakomitym pisarzem pierwszorzędnym prozaikiem, ale odmawia mu całkiem prawie poetycznego talentu. Jest w tém zdaniu pewna słuszność, ale niezupełna. Rzeczywiście utwory wierszowane Reja nie posiadają wyższéj wartości:—forma wysłowienia w nich zazwyczaj ciężka i niezręczna, rytm i harmonia często kuleją, wreszcie brak wyższego polotu wyobraźni i rozleglejszych uczuć. Za to proza Reja, wedle powszechnego uznania, jest niezrównaną. Ale czy ta proza, szczególniéj proza „Żywota człowieka poczciwego,“ jest rzeczywistą prozą? Wiadomo, iż poezya niekoniecznie potrzebuje formy rymowanéj; i istnieją znakomite utwory poetyckie, mające formę prozaiczną. Przy szczegółowym rozbiorze Żywota mieliśmy sposobność nie raz zauważyć iż styl Reja (z wyjątkiem niewielu ustępów teoretyczno-moralnych) odznacza się w ogóle niepospolitą plastyką, obrazowością i nader żywym kolorytem. A to są żywioły czysto poetyckie.

Żeby więcéj uwydatnić charakterystyczne cechy stylu Reja porównajmy go z innymi prozaikami. Weźmy np. Górnickiego. — Jego styl jest najdoskonalszym wzorem prozy:—jasność, poprawność, potoczystość główne jego cechy, ale obrazowania malowniczości nie ma w nim ani śladu. Dla braku miejsca nie mogę się tu wdawać w szczegółowe porównania; — wspomnę tylko kilka miejsc, gdzie obydwaj pisarze traktują o tych samych przedmiotach. Każdy może dostrzedz odrębności ich stylu, gdy porówna ustępy w Dworzaninie i w Żywocie, traktujące np. o szlachectwie, o rycerskim rzemiośle, o polowaniu, o sędziwym wieku, o młodości i t. p. [1]). Rej wszędzie przemawia do nas żywością i plastyką swych obrazów,— Górnicki—jasnością i precyzyą dykcyi. Na tém głównie polega różnica między stylem prozaicznym i poetycznym:—pierwszy jest orga-

[1]) Por. Żywot czł. pocz. (wydanie Bibl. Mrówki) str. 92, 136, 406, 591.

nem intelligencyi, drugi — wyobraźni i uczucia, w tamtym chodzi przedewszystkiém o jaknajdokładniejsze oddanie myśli, czego głównym warunkiem jest przejrzystość, poprawność i potoczystość wysłowienia, — w tym główną rzeczą jest żywość i siła wywołanych wrażeń, która zależy od wyrazistości i plastyki obrazowania.

Zauważmy jeszcze innego pisarza, mającego z Rejem wiele cech wspólnych, — mianowicie Paska [1]). Różni się on bardzo od Górnickiego, nie ma u niego wcale tych wspaniałych, potoczystych okresów, jakie spotykamy w Dworzaninie. Pasek odznacza się niezmierną żywością swego stylu, zbliżonego do potocznéj mowy i pod tym względem przypomina on bardzo Reja, ale także różni się od autora „Żywota“ brakiem obrazów i malowniczości. Pasek umie oddać bardzo dosadnie i charakterystycznie różne sceny z życia, ale nie uplastycznia swych myśli, nie nadaje im takiéj żywéj barwy jak Rej. Powyżéj zestawiłem satyryczne ustępy obydwu pisarzy, dotyczące zmienności mody. Możemy tam zauważyć, iż Rej okazuje niedorzeczność mody, stawiając nam przed oczyma szereg kontrastujących ze sobą maleńkich obrazów, — Pasek nie obrazuje wcale swéj myśli, tylko w dosadnych słowach karci słabość ludzką, wykazuje niedorzeczność i szkodliwość tych ciągłych zmian mody.

Z powyższego widzimy, iż Rej zasadniczo się różni od czysto prozaicznych, pisarzów jakimi są Górnicki i Pasek; styl jego zawiera pewne żywioły, które tamtym są obce, a które należą niewątpliwie do zakresu poetycznego przedstawienia.

Wszelako zdolność obrazowania sama przez się nie stanowi jeszcze poety. Bełcikowski mówi, iż Rej nie był poetą w prawdziwém znaczeniu tego wyrazu, gdyż „posiada on wprawdzie jednę cząstkę poetycznego geniuszu, która jest zarazem najniższą bezwątpienia w hierarchii zalet poety t. j. zmysłowe obrazowanie myśli, ale idealne pojmowanie rzeczy tego świata, obszerna koncepcya artystyczna, zapał porywający serca i wysokie natchnienie, są zupełnie obce i niedostępne jego naturze.“ [2]).

Na zdanie to niezupełnie mogę się zgodzić. Prawda, Rej nie wznosił się na idealne wyżyny; zapału i wyższego natchnienia brakło mu także, w jego umyśle przeważał trzeźwy rozsądek i zmysł praktyczny; ale pomimo tego sądzę, iż oprócz poczucia plastyki zmysłowéj są w nim i inne struny poetyczne. We właściwym zakresie umiał on idealnie pojmować rzeczy tego świata, umiał bardzo silnie

---

Dworzanin polski (wydanie Turowskiego—Kraków 1858) str. 28, 24, 35, 80.

[1]) Sz. autor przeprowadzając to porównanie, nie uwzględnił różnicy wieku: Rej stał przy kolebce prozy polskiéj; a Pasek miał przed sobą tysiączne wzory w pismach Kochanowskich, Skargów, Wujków, Birkowskich, Twardowskich, Opalińskich i w. i. *Red.*

[2]) Ze studyów nad literaturą polską.—Warszawa 1885 str. 47.

i żywo odczuwać pewne zasadnicze i wyższe objawy życia. Widzieliśmy to szczególniéj w ustępach, dotyczących życia rodzinnego i zajęć rolniczych. Starałem się tam okazać, jak żywo i plastycznie przedstawił nasz autor idealny obraz rodziny, z jakim wdziękiem nakreślił ową szlachecko-polską idyllę życia rolniczego. Prawda, iż trzyma on się tam mocno gruntu rzeczywistości, ale to jest w mniejszym lub większym stopniu koniecznym warunkiem każdego pomysłu poetyckiego, — właśnie w tym realnym a żywym kolorycie jego obrazków tkwi ich wartość i znaczenie. Sądzę, iż Reja możnaby nazwać poetą życia codziennego. Wznieść się ponad tę sferę nie był on zdolny, ale w jéj granicach posiadał prawdziwe poetyckie natchnienie.

Zresztą nie obstaję koniecznie za tą nazwą poety dla autora „Żywota.“ Nie ma wyraźnéj granicy między poezyą i prozą. Rej stoi właśnie na tém miejscu, gdzie twórczość prozaiczna przechodzi stopniowo w poetycką; przymioty, warunkujące pierwszą i drugą, schodzą się i łączą w jego umyśle; — z jednéj strony zdrowy rozum, jasność i konsekwencya myśli, z drugiéj — żywość wyobraźni, siła i świeżość uczuć. W prawdzie przymioty te nie osiągają w umyśle naszego poczciwego szlachcica wyższego rozwoju; nie jest on ani wielkim myślicielem, ani wielkim poetą; — ale w pewnym zakresie cały jego ustrój umysłowy odznacza się wewnętrznem zdrowiem, równowagą i harmonią, co czyni go prawdziwie znakomitym pisarzem, doskonałym przedstawicielem epoki i społeczeństwa.

DWORZEC
ŁUKASZA GÓRNICKIEGO
w Lipnikach pod Tykocinem.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Górnicki, będąc starostą tykocińskim od r. 1571 do 1602, rezydencyą swoję posiadał w Lipnikach, folwarku starościńskim, najbliżéj Tykocina położonym. Tutaj to, jak się zdaje, znakomity prozaik i dziejopis polski wieku XVI-go najczęściéj przesiadywał, tu najwięcéj dzieł swoich napisał i jak wiadomo tu umarł. Że zaś z życia i otoczenia znamienitych ludzi najdrobniéjsze szczegóły skrzętnie zebrane i zachowane być powinny, więc niejako w dalszym ciągu, podanych dawniéj przez nas w Bibliotece Warszawskiéj o Łukaszu Górnickim luźnych wiadomości, przepisujemy tu dzisiaj szczegółowy obraz dworca lipnickiego, wyjęty z inwentarza starostwa, którego oryginał, sporządzony w r. 1603, zatem zaraz po śmierci Górnickiego, leży przed nami.

Folwark Lipnicki.

Budowanie dworca w tym folwarku.

„Naprzód z przyjazdu od miasta (Tykocina) wrota, w nich wrzeciądz dla zamykania. Przy wrotach furtka. Od tych wrot niedaleko sadzawka niewielka, przy niéj jest studnia zdrębiona, z drugiéj strony skrzynia dla chowania ryb, w niéj okna dwa na zawiasach żelaznych z wrzeciądzem. Ryb w niéj ani w sadzawce nie masz.

„ Niedaleko wrot po prawej ręce jest izdebka mała z sionką, w sieni drzwi na zawiasach żelaznych z wrzeciądzami dwiema, jeden wewnątrz a drugi z dworu, okno proste szklanne w drzewo robione, klamka jedna, komin gliną lepiony. Sionka gliną oblepiona, z téjże sionki schodek na górę i pułap u wierzchu. W izdebce trzy okna szklanne w drzewo robione, okiennice na drewnianych biegunach, piec prosty gliną lepiony, ław cztery, stół jeden; z téj izdebki komórka potrzebna.

„ Podle téjże izdebki mydlarnia, gdzie mydło robiwano, ta stara, zła, przy niéj druga studnia zdrębiona.

„ Podle téjże mydlarni kowalnia, ta stara, zła.

„ Niedaleko kowalni kuchnia, w któréj komin wielki murowany i łańcuch w kominie żelazny, stół jeden długi, drzwi na zawiasach żelaznych z wrzeciądzem i klamką.

„ Podle téj kuchni ogródek mały.

„ Podle ogródka d o m w i e l k i, na który wszedłszy, w sieni drzwi na zawiasach żelaznych, zamek wnętrzny z antabą, z klamką i z wrzeciądzem, okno szklanne w ołów robione, u którego okna okiennica na zawiasach żelaznych. Po prawéj ręce, idąc z sieni, izba, do któréj drzwi z zawiasami, zamkiem wnętrznym, antabą, klamką i zaszczepką. W téj izbie okien szklannych w ołów robionych pięć a szóste małe; stołów trzy małych, ław dwie małych, zedłów trzy a czwarty mały, piec polewany stary, przy nim kominek murowany. Z téjże izby komora, do któréj drzwi z zamkiém wnętrznym i t. d. W komorze okienek małych dwa starych, w ołów robionych. Z téjże komórki druga komórka podługowata, okienka małe, złe, w drzewo robione, z téjże komórka potrzebna. Z komórki podługowatéj idąc, sionka mała, w któréj schód na górę, okno jedno małe w drzewo robione. Z téjże sionki druga izba, w niéj piec polewany stary, zły, okien pięć szklannych, w ołów robionych z okiennicami na zawiasach, stołów dwa. Z pierwszéj izby poszedłszy w pierwszą sień, jest w boku po prawéj ręce komora mała, schód na górę a na górze komórki dwie. Naprzeciwko téj pierwszéj izby jest świetlica a w niéj okien trzy szklannych w ołów robionych, piec polewany, przy nim komin murowany, pokład na ziemi dębowy (podłoga), stołów trzy małych, zydel jeden. Z téjże świetlicy komora, w niéj okien dwa, w ołów robionych, stołek jeden mały, ławek trzy małych. Z téjże komory druga komórka, w któréj okno jedno bez kwatery, z téjże jest komórka potrzebna. U tego domu wszystkie okiennice na zawiasach żelaznych. To budowanie wszystko jest dachem pokryte.

„ Pod tym domem jest piwnica z kamienia robiona, w niéj drzwi na zawiasach i z wrzeciądzem.

„ Podle tegoż domu komor służebnych, pospołu zbudowanych 6, u których drzwi na zawiasach żelaznych, zamki wnętrzne u czworga drzwi. U wszystkich komór okienka małe szklanne, w drzewo ro-

bione. Z wierzchu pokryte dranicami. W tyle tych komór jest lodownia, słomą poszyta.

„ Podle tych komor izba służebna, w sieni na górę schod i komórek dwie, w izbie służebnéj okien cztery, ław trzy, stół jeden piec prosty. Drugie drzwi w téjże sieni do potrzebnéj komórki.

„ Podle téjże służebnéj izby domek niewielki, w którym sień, okien dwa szklannych w ołów robionych z okiennicami dwiema, stół jeden, ław trzy, piec prosty, komórka w boku, z téj komórki potrzebna komórka. Naprzeciwko idąc do drugiéj izdebki, po prawéj ręce w sieni dwie komorze, w nich kominy dwa proste, schodek na górę. W izdebce drugiéj okien dwa szklannych, w ołów robionych, z téj izdebki komórka, z téj komórka potrzebna.

„ Pod tą izdebką piwniczka niewielka z kamienia robiona, to wszystko dranicami pokryte jest.

„ Naprzeciwko tegoż domku dom drugi. Wszedłszy do sieni, okien w niéj dwa, po prawéj ręce piekarnia, w niéj piec prosty do chleba pieczenia, przy tymże kominek murowany, okien pięć, starych złych, tylko po połowicy. Z piekarni wszedłszy w sień, komórek małych dwie. Naprzeciwko piekarni jest świetlica, w niéj piec prosty, przy piecu kominek, okien pięć prostych szklannych, stół jeden zły, ław dwie, trzecia malućka przy piecu, ławki dwie małe. Z téjże świetałki komora, w niéj okno szklane jedno. Ten dom wszystek gliną oblepiony, wierzch na tym domie dekiem położony, okiennice proste na biegunach drewnianych. Obok jest domek do wybijania oleju, w tymże komin gliną lepiony, stępa jedna, dranicami nakryty. Podle olcarni piekarnia stara zła.

„ W pośrodku tego budowania wszystkiego na podwórzu „d o m w i e l k i n o w o b u d o w a n y.“ [1])

Widzimy z tych opisów, że było w Lipnikach dwa dwory, stary i nowy. Stary zwany także „domem wielkim“, opisany był powyżéj. W którym z nich mieszkał Górnicki tego napewno wiedzieć nie można. Prawdopodobnie mieszkał kolejno w obu, to jest początkowo w starym, a po wzniesieniu nowego, w nowym. Drzwi do sieni w tym ostatnim miały dwa wrzeciądze oprócz antaby, klamki i skóbli a sień miała dwa okna w ołów oprawne. Z téj sieni idąc na prawo, była druga sionka z oknem w ołów oprawnem o czterech kwaterach oddzielnie otwieranych, a dopiero z drugiéj owéj sionki wchodziło się do izby „nowéj“ i zapewne bardzo obszernéj, skoro miała okien osiem „ nowych w ołów robionych ze wszystką narzędą nową.“ Był tutaj stół wielki, ławy, stołki mało, „zedelek maluśki“, piec polewany,

[1]) Nazwa „pałacu lipnickiego“ w późniéjszych inwentarzach spotykana, odnosi się do tego dworca, który wzniesiony tu był przez Górnickiego.

przy którym komin z blachą żelazną, pułap wapnem pobielony. Z téj świetlicy (tak nazywano wówczas izbę bawialną czyli salon) były za piecem drzwi do komórki (alkowy) a z owéj komórki drzwiczki do „komorki potrzebnéj.“ Przez sień (ze wschodami na górę), przechodziło się do drugiéj świetlicy równie ośm okien posiadającéj, gdzie znajdujemy dwa stoły wielkie, trzeci mniejszy, trzy ławy, dwa zydle wielkie, pułap drewniany i lisztwy na ścianach w koło (czyli lamperye). Za tą świetliczką była świetliczka z piecem polowanym i wejściem do komórki potrzebnéj. Pod obiema wielkiemi świetlicami znajdowały się „piwnice sklepiste,“ jeden maleńki „sklepik“ i „piwniczka,“ a cały dwór pokryty był „dekiem.“

Widać ze wszystkiego, że dworzec starościński był okazały i zbudowany porządnie. Prawie u wszystkich drzwi np. znajdujemy tu po dwa wrzeciądze, gdy w starym dworze tylko pojedyńcze, okna z kwaterami do otwierania, gdy w domu starym jedno tylko okno z kwaterą się znajdowało. Górnicki miał kilka córek, które pod koniec swego życia za mąż wydawał i któż wie, azali dorastające starościanki nie były powodem dla troskliwego ojca do pobudowania w Lipnikach „nowego wielkiego domu.“

Niedaleko tego dworca stał „śpichlerz do chowania wszelakich legumin.“ Pod śpichlerzem znajdowała się piwnica sklepista z murowanym w niéj kominem a w pobliżu stał „chłodniczek niewielki z drzewa“ (altana) dranicami pokryty.

„Stajnia wielka z kamienia murowana z oknami szklannemi i pułapem gliną nałożonym. Od stajni téj idąc ku wrotom, jest łaźnia z sienią i świotełką maluśką. Nie daleko od téj łaźni znajdowała się przy samych wrotach wjazdowych, od strony miasta druga stajnia, murowana z kamienia a w niéj piec prosty i pułap, wszystek gliną polepiony, drabiny i żłoby porządnie porobione, okien trzy szklannych a dach z dranic już nie nowy.

„Dwor cały ogrodzony był częścią tynem, częścią proszczami (sic) i żerdziami.“ Przy wrotach gumiennych znajdowała się jeszcze jedna stajnia wielka, stara, pod dachem słomianym z porządnymi żłobami i drabinami a oprócz niéj dwie małe stajenki. Nad wrotami więc zapewne w rodzaju wieży drewnianéj wybudowany był „sernik,“ a w pobliżu chlew dla świń „gliną oblepiony.“ Daléj stała jeszcze jedna stajnia „z gliny lepiona,“ obok któréj znajdował się „sadek wiśniowy a podle sadku ogród, co sieją w nim warzywo wszelakie ogrodne. Sadek i ogród ogrodzony jest płotem plecionym.“

„Podle tegoż ogrodu browar“ z izbami do robienia i suszenia słodu, przy nim studnia zdrębiona a naprzeciwko browaru ogród wielki, w którym siewano konopie i mak, również otoczony płotem plecionym. Przy ogrodzie stała „październia do suszenia konopi i lnu.“ Ogrodu owocowego było morgów trzy. Gumna składały się z czterech chlewów, ze stodoły wielkiéj o czterech wrotach i z dwóch śpichlerzy, z których jeden służył dla ziarna, drugi na skład rzeczy rozmaitych. Atoli folwark lipnicki trzypolowy nie był

obszernym, ziemi ornéj posiadał tylko włók 6 i morgów 12. W r. 1603 (z wysianych w roku poprzednim żyta beczek 54) narzęto kop. 250. Pszenicy z posianych beczek 5½ narzęto kop. 17. W ogóle oprócz żyta, urodzaj na pszenicę, jęczmień, owies, groch i tatarkę był w tym roku zły. Konopi zebrano kop 8, siana 3 brogi i pod Sierkami stogów dwa.

Inwentarz żywy, królewski czyli skarbowy, to jest zostawiony przez „państwa starościców“ Górnickich na gruncie składał się w Lipnikach z 30 sztuk bydła rogatego, 10 sztuk chlewni, 20 gęsi, 19 „kurów indyjskich“ (indyków), 3 pawie i 4 kaczek. „Pożytek króla jegomości z bydła“ był następujący: „Za mleczno od krowy dojnéj pan starosta dawał groszy litewskich 20, za mleczno od owcy dojnéj groszy 2, za runo od owcy starszéj grosz lit. 1, a za runo od owcy młodéj denarów litewskich 5.

Oto wszystko, co w inwentarzu starostwa tykocińskiego pomieszczono w opisie dworu starościńskiego w Lipnikach. Mnogość budynków i takie np. szczegóły, że obejmowały one w sobie izby po 8 okien, wskazują, że była to rezydencya iście pańska. Inaczéj też być nie mogło, nie należy bowiem zapominać, że Łukasz Górnicki był tylko dzierżawcą starostwa, należącego do królów którzy w przejazdach swoich po drodze z korony do Litwy nawiedzając zwykle Tykocin a prawdopodobnie i Lipniki, dworzec obszerny posiadać tu musieli. Sprzęty domowe do starosty należące, po jego zgonie przez rodzinę usunięte, nie mogły wejść do powyższego inwentarza, który obejmuje tylko własność królewską, z małéj liczby ruchomości złożoną.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Tytan — Aryon z Koryntu,“ Kraków 1889.

Gdyby nie data, położona na pierwszéj karcie książeczki, któréj tutuł wypisaliśmy, czytelnik mógłby śmiało przypuszczać, że oba utwory pochodzą z doby najgorętszego romantyzmu. W „Tytanie“ jest i „warowny zamek na urwistéj skale, wznoszący ku niebu ramiona błagalne,“ (?) a w tym zamku słychać nocą „brzęk ciężkich łańcuchów, zmieszany z głuchym, tajemniczym jękiem,“ jest tam i „więzień w ponuréj celi na łożu słomianém“ jest i „mnich,“ który „cicho spełniał przedśmiertne posługi“ jest i „śród pola postać tajemnicza, grobowa, zachodząca drogę mnichowi,“ jest „słup śmiertelny, przy którym jeszcze dwa serca obok siebie biły,“ jest i niespodzianka tragiczna, bo:

Gdy obłok pierzchnął — dwie piersi skrwawione
Padły na ziemię w śmiertelnym uścisku...
Z mniszéj odzieży, pod wiatru powiewém,
Śnieżne się szaty wywinęły z toni,
I obok więźnia pod śmiertelném drzewem
Tłum ujrzał dziewczę z wianeczkiem na skroni!..

jest nakoniec epilog w takich wypadkach nieunikniony, z którego dowiadujemy się:

. . . . . że gdy noc zapadnie,
Jakieś dwa widma wstają z pod kamienia,
Jedno z nich rękę na swe piersi kładnie,
Drugiemu jasność czoło opromienia...
I biegną razem — gdzie zamku wieżyca
Tam długo smętne zawodzą piosenki,
Po tém coś szepczą — nachmurzają lica...
I nikną z brzaskiém różanéj jutrzenki!..

Jednóm słowem, wszystko tu, zarówno treść jak forma i koloryt całego poematu, jest reminiscencyą najdokładniejszą z epoki prze-

brzmiałego już dzisiaj romantyzmu. Czy mam to autorowi za grzech poczytać? Bynajmniéj. Jakkolwiek bowiem dla trzeźwéj doby dzisiejszéj romantyzm a la „Tytan“ jest już zupełnym anachronizmem a poeta, którego płody nie tętnią żywym epoki duchem, skazuje swą dziatwę na śmierć przedwczesną, to jednakże ofiary tego rodzaju nie zawsze idą na marne, zwłaszcza gdy wyjałowiona niwa poezyi co raz rzadszych dostarcza plonów. Otóż w „Tytanie“ razi mnie nie ów romantyzm archaiczny, lecz jedynie... tytuł poematu, który nie ma z treścią nic wspólnego. Jakichże bohater dokonał czynów, któreby usprawiedliwiły miano Tytana? Czy choć jednym rysem zaznaczył autor potęgę woli zapaśnika, rzucającego światu rękawicę? Bo jeśli już nie leżało w planie poety przedstawić nam bohatera w chwili zapasów, któreby jego naturę tytaniczną wykazać mogły, jeżeli mamy tylko dać wiarę własnym jego słowom, na godzinę przed śmiercią wypowiedzianym; to niechże chociaż słowa te odzwierciedlają czytelnikowi duszę Tytana. Otóż i tego niema. Matka, błogosławiąc syna na drogę życia mówi doń:

Ukochaj ludzkość —bądź jéj wiernym synem,
Dla niéj znoś cierpień najsroższe katusze,
A świat twe czoło uwieńczy wawrzynem,
I Bóg światłością otoczy twą duszę.

Syn „pojąwszy te słowa, wybiegł w świat jak orle swobodne mając przed sobą burze, cierpienia, łzy i zawody.“

Lecz jam z uśmiechem patrzał w przyszłość ciemną
I chociaż gromy wisiały nademną
Z pieśnią na ustach biegłem w świat wesoło
Chciałem przesądom wydać bój zacięty
Wzniecić tam zapał, gdzie zwątpienie tkwiło
Obawy ducha pokruszyć na szczęty
I podnieść ludzkość ducha mego siłą.
Zapał był silny —*silniejszém złudzenie*
Po krótkiéj walce straciłem nadzieję
Zgasły méj myśli palące promienie
Zostały smutne *zwątpienia* koleje.

Jak widzimy bohater ograniczał się na samém „chceniu,“ miał złudzenia silniejsze nie tylko od woli, lecz „od zapału“ a po krótkiéj walce „stracił nadzieję“ zdobył zaś „smutne zwątpienia.“ Jestże to Tytan?!.. Wprawdzie pod wpływem miłości znów się odzywa w bohaterze dawna c h ę ć „toczenia zgubnych z przeznaczeniem bojów,“ ale kochanka zniewala go sama do porzucenia „mar dziecinnych,“ wieszcząc mu „świętsze przeznaczeń koleje „na grobach ojców.“ Nie wierzymy jednak w ziszczenie się téj przepowiedni, gdyż „Tytani,“ którym zwątpienie ducha przegryzło już z téj choroby „groźni i silniejsi“ nie powstaną. A choćby nawet „mężnie umierali“ — to ich jeszcze nie uczyni Tytanami którzy dalecy być muszą od wszelkich zwątpień i sentymentalizmu jałowego!..

Zresztą przyznajemy chętnie, że cały poemat, natchniony duchem na wskroś szlachetnym i podniosłym a dotykający ran ludzkości najboleśniejszych, musi znaleźć oddźwięk w sercu każdego, kto czuć i myśleć umie. Forma poematu nie zawsze warunkom artyzmu odpowiada, przeważnie jednak jest gładka, a niekiedy nawet bardzo ładna.

„Aryon z Koryntu,“ jest zupełnie pokrewny „Tytanowi“ — oba poematy jednym tchną duchem i do jednego zmierzają celu a obaj bohaterowie tym samym nawet walczą orężem i jednaki los ich spotyka. „Tytan“ chcąc „wyzwać do walki żywiołów miliony“ idzie w świat „z pieśnią na ustach“ i Aryon chce siłą pieśni zniszczyć cień nocy“ t. j. „zetrzeć pleśń z piersi swych ziomków;“ tamten umierając wierzy, iż „duch jego nie zamrze, lecz kiedyś zbudzi się i połączy z innemi w uścisku bratnim i uleci po nad cmentarze ludów z słowem ognistém“ i ten także ufa przed zgonem, że jego „okrzyk rozpaczy będzie owym promieniem męczenników, co bije z mogił odwiecznych cmentarzy.“ Autor poświęcając wiersz swój „pamięci śpiewaka Tyrteusza“ mimowoli zmusza czytelników do porównań, z których Aryon“ zwycięzko wyjść nie może i sam też autor przyznaje, że ten ostatni „świeci księżycowym blaskiem przy słońcu pieśni Tyrteusza.“ I nie dziwi.. Takie klejnoty jak „Tyrteusz“ rodzą się rzadko i tylko w chwilach natchnienia wyjątkowego. W każdym razie i „Aryonowi,“ zwłaszcza w pieśni IX, nie zbywa na sile poetyckiéj.

J. A. Święcicki.

Marya Rodziewiczówna: „Dewajtis.“ Powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego dnia 1 maja 1888 roku. Warszawa 1889. Nakład Kuryera Warszawskiego, S. Lewentala, str. 409.

Czytając powieść, którą nam nastręczyły okoliczności bez żadnéj z zewnątrz rekomendacyi, poddajemy się z całą swobodą wrażeniu, jakie na nas sama osnowa wywiera, bez żadnych z góry postawionych zastrzeżeń lub wymagań. Jeśli jednak bierzemy się do czytania pracy rozgłośnéj, wyróżnionéj, lub nawet, jak ów „Dewajtis“— aż uwieńczonéj na konkursie — oczywiście wymagamy od niéj już bardzo wiele: powieść taka winna być dziełem artysty, tworem piękna— w istotném znaczeniu tego doniosłego słowa.

Istotnie—wymaganie to może niezbyt jest słusznem: na konkursach wieńczą czasem dzieła nie bezwzględnie doskonałe, lecz względnie z przedstawianych do oceny najlepsze. O tém przy ocenie prac na konkursie wyróżnianych pamiętać trzeba—i sądu z tego powodu, że dzieło jest na konkursie nagrodzoném, zaostrzać nie należy.

Pozostawiając tedy zdanie sędziów konkursu na uboczu, rozpatrywać będziemy Dewajtisa jako zwyczajny utwór powieściowy — nie szukając w zdobiącym go wieńcu zwiędłych liści.

Dewajtis przedewszystkiém jest powieścią tendencyjną — na czasie. Bohater powieści — Marek Czertwan — kocha ziemię, dla niéj pracuje, ku niéj zwraca wszystkie myśli swoje i pragnienia — i z ziemi téj nie chce obcemu żywiołowi ustąpić ani piędzi, chociażby miał paść w tém boju: — idea ta zwycięża!

Gdy szmat za szmatem z téj ziemi przechodzi powoli w obce ręce, gdy coraz ciężéj wytrwać w boju z przemagającą siłą, gdy walczącym coraz bardziéj z pod nóg grunt się usuwa, gdy wreszcie bojowników ogarniać zniechęcenie poczyna, — Marek Czertwan, ten bohater w pracy i walce cywilizacyjnéj, zostaje się przy ziemi — swym ideale, — a ziemia ta darzy go w nagrodę cnót obywatelskich i rycerskiéj jego odwagi szczęściem, spokojem i sławą.

Taka jest treść powieści; — lecz, w obec głównéj idei, autorce wcale prawie o nią nie idzie; intrygi, interesu, powikłań powieściowych w utworze ani śladu. Główny bohater; walka jego o stare bogi — o ową ziemię, na któréj wzrósł i którą zrosił potem krwawéj swéj pracy — wypełniają całość.

Stary Czertwan, umierając, przekazuje rodzinie swéj majątek ziemski i kapitały. Sukcesorami jego są Marek Czertwan, syn jedyny z pierwszego małżeństwa, Kazimierz, Witold i Hanna, dzieci z drugiego małżeństwa i druga żona. Najmniejszy dział dostał Marek Czertwan, i największe obowiązki włożył na niego umierający ojciec. Stary Czertwan zarządzał majątkiem, który należał do przyjaciela jego Orwida, przepadłego bez wieści. Czertwan wierzył w przybycie Orwida lub dzieci jego i święcie strzegł mienia Orwidów. Umierając, przekazał to staranie i bezpłodne zabiegi o cudze dobro Markowi, który i nadal miał być ekonomem cudzego dobra. Zacięty Żmudzin wypełnia wolę ojca.

Po śmierci starego Czertwana pozostała wdowa i ulubieniec jéj Witold, tracą bezmyślnie ojcowiznę. Marek krwawą pracą stara się utrzymać ziemię w swym ręku; w tym celu po części skupuje, po części wydzierżawia folwarki od rodziny i powoli spłaca współsukcesorów.

Wreszcie wraca i dziecię Orwidów, od lat tylu upragnione, piękna Irena, i spada — aż z Ameryki na rodzinną ziemię. Marek pokochał całą duszą piękne dziewczę i — żeni się z nią, wspomagając radą i czynem macochę i zwyrodniałego przyrodniego brata; — pozostając na ziemi, którą po nad wszystko ukochał... A któż jest owym Dewajtisem?

Dewajtis — to allegorya bohatera ziemi, który ziemię po nad wszystko ukochał i wrósł w nią — to dąb tysiącletni, ukochany przez Marka z lat dziecięcych i został się dąb ten i przetrwał wieki, bo ze-

spolił się ziemią, z któréj wyrósł, bo z niéj czerpał soki swéj istności. I oto wszystko.

Zbytecznem byłoby wdawać się w szczegóły tam, gdzie o szczegóły te najmniéj chodziło. Autorka przejęta myślą jedną, poświęciła dla niéj ornamentacyą utworu: jéj bohater, wcielający tę ideę, panuje potężnym swym charakterem po nad wszystkiemi postaciami utworu. Marek Czertwan, to człowiek idei, bohater najwznioślejszego dzisiaj hasła śród społeczeństwa. Bez ziemi nie może istnieć naród żaden, ani nawet żadne stworzenie: ziemia jest żywicielką wszystkich, ją więc miłować i cenić należy.

Od bohatera téj powieści wieje dziwna energia i siła, która elektryzuje czytelnika: Czertwan o głowę przerasta dzisiejsze nerwowe pokolenia, żyjące z dnia na dzień—dla wrażeń przyjemnych, bez wspomnień przeszłości, bez pamięci na jutro, bez ideałów. I ta jedna idea—na czasie, uchwycona i wyraziście uwydatniona przez autorkę, stanowi największą zaletę Dewajtisa. Jeśli mówiliśmy, że bohater powieści, Marek Czertwan, jest człowiekiem idei, to bardziéj mieliśmy na względzie ogólne wrażenie utworu, aniżeli kreacyą przez autorkę stworzoną.

Marek z „Dewajtisa“ w rzeczy saméj jest zbiorem niekonsekwencyi i logicznych sprzeczności, które ujawniają się wprawdzie przy bliższym rozbiorze téj postaci, lecz nikną w obec ogólnego wrażenia. W ogóle w całéj powieści znać rękę kobiecą;—brak sił do szerszego lotu bardzo dostrzegać się daje.

Marek Czertwan ma być przedewszystkiém człowiekiem czynu i idei,—a więc powinien mieć jeden cel główny, dla którego poświęca wszystkie drobne żądze i pragnienia, powinien obok wytrwałości, energii i odpowiednich zdolności posiadać głębokie i stałe uczucia. To też, w zasadzie niby on jest takim, lecz właściwie—nie jest.

Przedewszystkiém ten człowiek czynu, zawalony interesami, od dziecka wdrożony do zawodowéj ciężkiéj pracy i przyuczany do do ścisłéj rachunkowości, człowiek, rzucający się na najrozmaitsze przedsiębiorstwa, człowiek praktyczny i wyrachowany na wskroś—nie może być sentymentalnym. Tymczasem Marek Czertwan godzinami całemi przesiaduje pod dębem w lesie i wsłuchuje się w szum liści, i tajemną z szumem tym toczy rozmowę,—rozkoszuje się kontemplacyą przyrody. Nie dosyć na tém: Marek, jak ongi Romeo, spędza pod oknami noce całe, marząc o pani swego serca. Ten sentymentalizm jest najfatalniejszym dyssonansem w bohaterze Dewajtisa.

Dalej bohater ten zmienne ma uczucia, a to już zupełnie z nim niezgodne. Kochał głęboko Martę Wojnatównę, lecz oto panna go porzuciła. Marek ból swój przetrawił w głębiach swéj duszy, i słowem jedném o prawa swe się nie upomniał. Lecz czytelnik ma prawo ze słów i z charakteru Marka wnioskować, iż to jego pierwsza i ostatnia miłość. Lecz wkrótce potém zjawia się Irena Orwidówna, i Marek szaleje dla niéj bez pamięci.

A to kochliwa sztuka z tego milczącego, zaciętego żmudzina!

Daléj czytelnik ma prawo sądzić, iż taki człowiek, jak Marek Czertwan, który każde słowo zważy i obmyśli, zanim je wypowie, we frazesa się nie bawi. Tymczasem Marek Czertwan, zawiedziony w pierwszéj swéj miłości, powiada: „jedną kochałem i chciałem brać! Drugiéj nigdy nie zechcę!“ Niezadługo jednak zapragnął drugiéj i to bardzo gorąco. Raz utrzymuje, że jedyną ideą i celem w życiu jego była i jest ukochana ziemia, to znów oświadcza w ekstazie uczucia Irenie, iż „jest potęga co mnie z m o g ł a (bohatera?) i takim w obec niéj pokorny, jak małe dziecko!“ A potęgą tą jest—miłość dla dziewczyny!

Jakto! I cóż to za bohater, którym los włada, jak wicher liściem jesiennym? Gdzież się podziała owa moc ducha, która tyle walk i trudów zwycięzko przetrwała? Więc tą potęgą, rządzącą ostatecznie Markiem ma być miłość dla kobiety, a nie miłość ziemi?! Więc ciemne oczy zawsze panować będą nad wolą mężczyzny—i to mężczyzny bohatera? Więc u c z u c i e, a nie myśl rządzi mężczyzną?

Pomyliła się autorka, a właściwie ujawniła w kreśleniu postaci i sytuacyi swoich całą swą kobiecość. Istotnie: uczucie może uczynić bohaterką kobietę; mężczyznę-bohatera wytwarza idea, myśl.

O ile więc w pomyśleniu i założeniu charakterystyki głównego bohatera autorka stanęła na wysokościach zadania, o tyle w wykonaniu chybiła celu. Marek Czertwan zamiast być potężnym społecznym działaczem, przedstawicielem wielkiej idei, chwilami maleje i staje się sentymentalnym kochankiem lub ckliwym marzycielem. Całe szczęście, że dzieje się to chwilami, na które mniéj uważny czytelnik nie zwróci uwagi. Bohater urzeczywistnia swe zamiary, pozostaje na swojéj ziemi, a że tam trochę pogrucha lub pomarzy, tém miléj sercu kobiecemu. Wobec ustalonych zasad teoryi nigdy od kobiet nie wymagamy ścisłéj konsekwencyi ani logiczności, to też, zaznaczając odstępstwo autorki od powziętego planu, uważamy je za wynik przyczyn naturalnych, z pod których wpływu autorka uwolnić się nie mogła. Kobieta stawia zawsze uczucie na pierwszym planie—i pod tym względem utożsamia naturę obu płci, gdy tymczasem w rzeczywistości dzieje się inaczéj: w kobiecie przeważa zawsze strona uczuciowa, w mężczyznie strona intelektualna. Bądź co bądź Marek Czertwan dopiął celu, ziemię zatrzymał w swych rękach, lasu wyciąć nie dał i, jako obywatel, wierny swym obowiązkom, pozostał opatrznością całéj okolicy. Za to też słusznie los darzy go szczęściem—i wszystko dobre, co się dobrze kończy. W obec zasadniczéj idei utworu, górującéj po nad wszystkiém, niekonsekwencye psychologiczne i logiczne bohatera ustępują na plan drugi.

Ścisła krytyka jednakże pominąć ich milczeniem nie może, wykazując brak prawdy życiowej w bohaterze Dewajtisa.

Marek Czertwan tak wypełnia sobą powieść całą, iż na inne osoby niewiele nawet miejsca pozostało. Druga jakoby bohaterka Dewajtisa, Irena Orwid, ukazuje się dopiero od połowy powieści, wszędzie, słowem każdym zaznaczając wszelkie dodatnie przymioty duszy ludzkiéj. A więc tedy panna Irena jest energiczną, rozumną, dobrą, szlachetną, głęboko uczuciową—a w dodatku piękną i bogatą. Po amerykańsku sama wyznaje miłość swą Markowi i zmusza go również do szczerości. I w ogóle, wszystkie inne kreacye powieści również są dodatnie. Nawet i szalaputa Witold, bezmyślnie trwoniący ojcowiznę, chętnie skłania się do poprawy. Dużo, a może nawet za dużo osób wprowadza autorka do powieści, gdyż właściwie niczém one do rozwoju akcyi się nie przyczyniają, właściwie stanowią one lekką ornamentacyą bez ściśle wskazanéj roli. Sympatycznie a pod względem prawdy życiowéj najdokładniéj skreśliła autorka sylwetki dwojga staruszków Ragisa—ojca chrzestnego Marka, i panny Anety, ciotki jego. Sympatycznie również, choć zanadto może blado narysowała kontury dwóch studentek—pełnych entuzyazmu i miłości dla wiedzy. W ogóle cały świat téj powieści tchnie uczciwością, podniosłemi dążnościami—jest dodatnim w całém znaczeniu tego wyrazu. Pod względem kompozycyi całość jednak grzeszy niektóremi wadami. Jakeśmy to zaznaczyli wyżéj—w powieści téj nie ma żadnéj intrygi, żadnéj naturalnéj sprężyny, nadającéj ruch ludziom i wydarzeniom. Z tego też powodu powieść nie zaciekawia. Do czasu przybycia amerykanki właściwie wszystko jest w zawiązku, od chwili zaś jéj przyjazdu, od pierwszéj niemal sceny spotkania z Markiem, najniedomyślniejszy czytelnik ma już wszystko jak na dłoni. Marek i Irena, te postacie górujące inteligencyą, uczuciem i wolą ponad całém otoczeniem, muszą się pokochać, tém bardziéj, że sympatya w ich sercach rodzi się od razu. Błędem jest również ze strony autorki, że dla dalszéj kompozycyi utworu poświęca konsekwencyą charakteru Marka, który traci z oczu zasadniczy ideał dla ukochanéj, pragnąc jedynie milionów dla zapełnienia finansowéj jakoby przepaści, jaka w jego przekonaniu dzieli go od bogatéj Ireny. To też dalsze epizody powieści, zespalające coraz ciaśniejszém ogniwem dwa te szlachetne serca, właściwie stanowią szereg przypadków, nie powiązanych ze sobą w żadną organiczną całość, nie snują się jeden z drugiego, lecz sztucznie wytworzone dla pomyślnego rozwiązania powieści, tracą charakter naturalności, a właściwie są niepotrzebne, bo i tak zakochani, żadnych na swéj drodze nie znajdując przeszkód, prędzéj czy późniéj połączyć się muszą. Po co na przykład ten przypadek z pożarem chaty Marka lub wpadnięcie do lochu Ireny? Właściwie w powieści każdy epizod, każde wydarzenie powinno posuwać naprzód całość, a nie zjawiać się jak Deus ex machina, jak niepoprawne wypadki, zawsze panujące w powieści polskiéj. Powieść powinna być jedną organiczną całością, w któréj myśl twórcza artysty wszystko

łączy w jednę przyczynową całość. Żadna postać nie powinna być zbyteczną, każda winna odegrać rolę swą w całości i dla całości.

Pomimo wykazanych powyżéj stron ujemnych pod względem artystycznym, literackim, Dewajtis należy do lepszych utworów powieściowych. Szlachetna tendencya, optymistyczny nastrój powieści, żywo kreślone chociaż psychologicznie nie umotywowane charaktery, efektowne a często rozrzewniające sytuacye (na przykład przyjęcie Irenki, odbudowanie spalonéj chaty Marka i t. p.) składają się na barwną i sympatyczną całość. Utwór ten, zdaniem naszém, ma pedagogiczną wartość, i Dewajtisa uważamy za odpowiednią powieść dla dorastającéj młodzieży płci obojga. Niechaj młodość ufna w swe siły, wie i wierzy, że wytrwałość i praca, w szlachetnym podjęta celu, otrzymuje zasłużoną nagrodę, niechaj pozna, jak uszlachetnia człowieka-obywatela miłość rodzinnéj ziemi. I na tém polu zdaniem naszém, autorka rzetelną zasługę położyła w naszéj literaturze nadobnéj. Rzadko zdarzy się powieść, którą bez obawy można dać w ręce młodzieży. Dewajtis w rzędzie takich powieści pierwsze zajmuje miejsce, i radzibyśmy, aby podniosła idea powieści i jéj bohater rozgrzewały jak najwięcéj młodych serc i jak najwięcéj zapalały umysłów.

J. K. Dworzaczek.

Theodorus Wierzbowski. Bibliographia Polonica XV et XVI ss. volumen I. Nri 1—800 annorum 1488—1600: opera et editiones quae in Bibliotheca Universitatis Caesareae Varsaviensis asservantur. Varsaviae 1889. 8-o str. IX, 304.

Pod tym tytułem wydał prof. Wierzbowski spis druków polskich lub Polski dotyczących z XV i XVI wieku, znajdujących się w Bibliotece Uniwersytetu warszawskiego. Spis ten obejmuje numerów 800, jak na tytule wskazano. Dzieło całe składa się z następujących rozdziałów: Rozdział pierwszy obejmuje opis bibliograficzny 800 dzieł podług lat ułożony. W rozdziale drugim podany alfabetyczny spis autorów z krótkiém wypisaniem tytułu dzieła, miejsca druku, roku wydania, liczby, pod którą w pierwszéj części dzieło jest dokładnie opisane i nakoniec numer, pod którym obecnie to dzieło stoi w bibliotece uniwersyteckiéj.

W trzecim rozdziale podany alfabetyczny wykaz osób i miejsc w opisie bibliograficznym wspomnianych. Czwarty rozdział obejmuje zestawienie dawniejszéj numeracyi z obecną. Dodano w piątym rozdziale wskazówkę jedenastu dzieł, opatrzonych własnoręcznemi napisami autorów.

We wstępie, po łacinie napisanym, obznajmia nas autor z zasadami, jakich się trzymał przy opisywaniu dzieł i poucza, jak należy rozumieć oznaczenie formatu oraz liczby stronic lub kart. Z wstępu

tego najważniejszém nam się wydaje oświadczenie, że nie chcąc opuścić żadnego dzieła w Bibliotece mieszczącego się, wydawca z mozołem wyszukiwał po innych bibliotekach zupełne egzemplarze, aby podać dokładny tytuł nawet przy tych dziełach, które w bibliotece uniwersyteckiéj są bez tytułu, początku lub końca, które w ogóle są uszkodzone. Wydawca przyznaje, że przez to w błąd wprowadza czytelnika, i dlatego waha się, czy tak samo ma postępować w dalszych tomach swéj publikacyi i zapowiada, że nadal tylko te egzemplarze opisywać będzie, które po bibliotekach znajdują się nieuszkodzone.

Co do tego oświadczenia winniśmy przyznać autorowi, że dobrze postąpił, obejmując swym wykazem nawet te dzieła, które Biblioteka uniwersytecka posiada uszkodzone, bo gdyby się podawała w bibliografii wiadomość tylko o dziełach zupełnych, natenczas o niektórych milczećby musiała całkiem bibliografia, gdyż ich tytułów dotąd nie wynaleziono. Za przykład może służyć pierwsze wydanie „Kroniki świata“ Bielskiego, którego tytuł dopiero od kilku lat jest znany. Lecz aby nie wprowadzać w błąd czytelnika co do jakości egzemplarza, posiadanego przez bibliotekę uniwersytecką, można było dodawać w opisie maleńkie zastrzeżenie, że egzemplarz czy z początku czy z końca jest uszkodzony, lub opatrzony faksymilowaném dopełnieniem. Sądzimy, że autor i nadal może bez wahania wymieniać dzieła uszkodzone, wypisując dokładny tytuł z innych, dostępnych mu gdziekolwiek egzemplarzów, a czyniąc tylko wzmiankę, że egzemplarz biblioteczny jest uszkodzony. Może to nawet być z korzyścią dla biblioteki, gdyż niejeden miłośnik piśmiennictwa krajowego, widząc z opisu, że biblioteka nie ma zupełnego egzemplarza, może poczuje się w obowiązku opatrzyć bibliotekę lepszym egzemplarzem albo przynajmniéj podobizną kart brakujących.

Praca ta autora jest bardzo pożądana mianowicie dlatego, że przez wskazanie numeru, pod którym dzieło stoi w bibliotece, ułatwia niesłychanie korzystanie z dzieł przez bibliotekę posiadanych. Dokładny opis każdego dzieła, wskazujący nie tylko zupełny tytuł, miejsce i rok wydania, format; ale nawet i liczbę kart lub stronic jest nieocenionym dla każdego zbieracza tych dawnych zabytków, który nie mając przystępu do innych bibliotek, nie może się przekonać, czy ma zupełny egzemplarz, lub też ile w jego egzemplarzu niedostaje.

Przy każdéj drobiazgowéj pracy, jaką jest niewątpliwie bibliografia, trudno jest uchronić się pomyłek. Nie uchronił ich się i autor, lecz już przez to wiele dokazał, że te pomyłki nie są liczne. Niektóre sam dostrzegł i sprostował na końcu dzieła. Nie dla przyganiania autorowi, lecz dla przysłużenia się czytelnikom pozwolimy sobie zwrócić na kilka pomyłek uwagę.

Przedewszystkiem musimy zaczepić niewłaściwe pomieszczenie nowych podobizn pomiędzy zabytkami XVI wieku. Nowa podobiz-

na jest właściwie najdokładniejszém nowém wydaniem. W chronologicznym spisie jéj miejsce jest pod tym rokiem, w którym została uskuteczniona, a nie pod tym, w którym ukazało się pierwotne wydanie. Podobizn takich w bibliografii autora naliczyliśmy 38, a jeśli liczbę tę odciągniemy od ogólnéj 800 opisanych druków, pokaże się, że dzieło obejmuje opis tylko 762 wydań. Nie sądzimy, żeby ta liczba była ostatecznym wyrazem zamożności biblioteki uniwersyteckiéj, która przecież znana jest jako jedna z najbogatszych w dawne polskie druki; lecz do tego powrócimy jeszcze.

W szczegółach ostrzegamy, że przy wydaniach artykułów prawa magdeburskiego z r. 1560 podany jest na str. 172, jako autor Łazarz Andrysowicz, który te wydania drukował tylko, a wydania tego samego dzieła z r. 1565 podane są pod rzeczywistym ich autorem Bartłomiejem Groickim (na str. 188). Mączyński, autor słownika łacińsko-polskiego wydanego w Królewcu, na str. 56, 200 i 241 nazwany jest Maczyńskim, jak go dla braku wielkiéj czcionki wydrukowano na tytule. Rzeczywiste jego nazwisko było Mączyński i tak go wydrukowano w nagłówku przypisania słownika do księcia Alberta i ks. ks Radziwiłłów.

W alfabetycznym spisie autorów (str. 186) Górnicki położony po Górskim i Goślickim. Są to maleńkie pomyłki, które każdy łatwo dostrzeże, i które bynajmniéj nie przeszkadzają w korzystaniu z téj mozolnéj pracy.

Dla dokładności bibliograficznéj należało przy nr. 9 str. 4 nadmienić, że jeden egzemplarz z podanych jest odbity na pergaminie. Podobnie z numeru 235 (str. 52) należałoby zrobić dwa numery i pomieścić pod pierwszym egzemplarz z tytułem, ozdobionym drzeworytowemi scenami z Pisma Świętego, pod drugim zaś egzemplarz, gdzie tytuł zamiast tych scen ozdobiony arabeskami; drugie to wydanie tytułu jest bardzo rzadkie.

Na zakończenie naszych uwag musimy jeszcze wrócić do wstępu położonego na czele publikacyi. Pod koniec tego wstępu oświadcza wydawca, że w dalszych tomach swéj publikacyi zamierza tylko zupełne, nieuszkodzone dzieła pomieszczać, lecz ani słowem nie daje poznać, co zamyśla w drugim tomie pomieścić. Rozumie się samo przez się, że nie możemy autorowi przepisywać, co ma w którym tomie zapisać, ani też żądać, aby nam naprzód zapowiedział, co w następnym tomie zamieści. Nie idzie tu jednakże o zbyteczną ciekawość, ale o zrozumienie znaczenia pierwszego tomu. Autor nie zapowiada, że w drugim tomie będzie dalszy ciąg bibliografii XVI wieku, i dlatego u niejednego czytelnika może obudzić błędne zupełnie mniemanie, że opisane w tomie I 762 wydania przedstawiają cały dobytek biblioteki uniwersyteckiéj z wieku XV i XVI.

Bibliografią autora poprzedził bibliograficzny skorowidz druków XV i XVI wieku, wydany w r. 1875 przez Karola Estreichera. W skorowidzu tym, a przynajmniéj w drugiéj jego połowie są przy

każdym jego tytule dzieła—wskazane literami biblioteki, które obecnie to dzieło posiadają. Litera W, położona po tytule dzieła, oznacza, że egzemplarz tego dzieła posiada biblioteka uniwersytetu warszawskiego. Estrejcher był przez lat kilka drugim bibliotekarzem w bibliotece, wówczas głównéj, obecnie uniwersyteckiéj, mógł ją przeto dokładnie znać. Jeżeli w skorowidzu Estrejchera są niedokładności, to tylko mogą być takie, że niekiedy mógł nie pomieścić litery oznaczającéj „Warszawską" uniwersytecką bibliotekę, mianowicie kiedy wymienił kilka innych bibliotek, to samo dzieło posiadających [1]). Lecz gdzie Estrejcher położył literę W, tam można mu zawierzyć, że dzieło to widział w bibliotece uniwersyteckiéj i miał je zapisane w przygotowywanéj już wówczas bibliografii. Wskazówki Estrejchera mają szczególne wtenczas znaczenie, jeżeli po tytule dzieła położył jedyne W, gdyż znaczy to, że dzieło znane mu z jedynego egzemplarza biblioteki uniwersytetu warszawskiego, a inne biblioteki dzieła tego nie posiadają.

Otóż ze skorowidza Estrejchera da się zestawić skorowidz wydań XV i XVI wieku, znajdujących się w bibliotece uniwersyteckiéj, a skorowidz ten liczebnie bardzo się różni od bibliografii objętéj pierwszym tomem katalogu, o którym mówimy. Ponieważ nie każdy z czytelników ma pod ręką bibliografią Estrejchera, dajemy próbkę takiego porównania i zapisujemy tu dzieła zamieszczone w skorowidzu Estrejchera jako należące do biblioteki uniwersyteckiéj, a nie wykazane w bibliografii p. Wierzbowskiego.

Acosti, Vita di S. Hiacinto. Roma 1594.
Agenda ecclesiae et dioecesis Plocensis. Cracoviae 1554.
Armamentarium Catholicum. Crac. 1572.
Barlecius, Historya o żywocie Skanderberga. Brześć 1569.
Basaeus, Epitome Xenodochii. Crac. 1570, W.
Beroaldus, Testament starca jednego, tłóm. Paprocki. Kraków 1578.
Białozor, Epicedium na pogrzebie Dorohostajskiéj. Wilno 1596, W.
Bozoła, Koncylium trydenckiego wyroki. Kraków 1565, W.
Bruttus, Selectarum epistolarum libri V. Cracoviae 1563.
Burnomissa, o dobywaniu Agru. 1597.
Calvinus, Brevis admonitio ad fratres Polonos. Cracoviae 1583.
Cantius, Ex Terentii comoediis formulae cum idiomate polonico. Crac. 1549.

---

[1]) P. Estrejcher nie zaznaczył na str. 149 Bibliografii XVI stulecia, że Biblioteka uniwersytecka w Warszawie posiada którąkolwiek część pierwszego wydania Postylli Grzegorza z Żarnowca. A jednakże zdaje nam się, żeśmy, zwiedzając tę bibliotekę przed kilkunastu laty, oglądali pojedyńcze części téj Postylli, oddzielnie oprawione, w deski powleczone skórą na sposób krakowski. Na wskazaném miéjscu bibliografii Estrejchera można się przekonać o wielkiéj rzadkości téj edycyi i dla tego właśnie mógł nam utkwić w pamięci obraz tego wydania, jako nie często napotykanego.

Chalecki, Allegoriae. Vilnae, Mamonicz, bez roku, W.
Christoporski. Colloqvium musarum cum Apolline. Cracoviae 1574.
Chwaliboski. Odpis na rycerstwo Jezuickie. Poznań 1597.
Consensus Sandomiriensis. 1587.
Consensus Sandomiriensis. Thorun 1596.
Cyrillus, Kazanie o antichryście. Wilno, 1596.
Czahrowski, Treny. Poznań 1599, W.
Czechowicz, Respons na skrypt Farnowskiego (1579).
Czekanowski. De corruptis moribus utriusque partis, b. m. i r.
Crescentyn, Księgi o gospodarstwie. Kraków 1549.
Dębowski, Izmonda. Kraków 1587 W.
Dębowski, Tysbe z Pyramusem. Kraków, bez r. W.
Eckius, De resurrectione Domini. Cracoviae 1525.
Eckius, Ad D. Thursum de mundi contemptu. Cracoviae 1528.
Edictum regium Svirense. Varsav. 1579.
Ferrevius, Vita beati Casimiri. Crac. 1521.
Gilowski, Rozsądek rozprawy niektórego Jezuity 1593, W.
Gnaphous, Morosophus, comoedia. Gedan. 1541 W.
Gospodarstwo dla młodych i nowotnych gospodarzów, około 1590.
Gratulationes Georgio Radivilio. Vilnae, 1581, W.
Grochowski. Wiersz nowo uczyniony na przyjazd J. K. M. po koronowaniu. W.
Gumowski. Królów polskich opis, 1576.
Historya bardzo ucieszna o wojnie Trojańskiej, Kraków 1563.
Jana ks. Nortumborskiego rzecz. Kraków, 1554.
Kromer, o wierze rozmowa dworzanina z mnichem. Kraków 1551—1554.
Lippus, Oratio de passione Domini. Pultoviae 1533.
Lippus, Passio albo Kazanie o męce Pańskiej około r. 1567.
Locher, Judicium Paridis. Crac. 1522.
Lukrecya rzymska i chrześciańska b. m. i. r.
Modrzewski, Dialogi de utraque specie, 1550, W.
Niegoszowski pros ton Sigismondon triton. Romae 1578.
Orzechowski, Książki o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi. Kraków 1543, W.
Paprocki. Tryumf satyrów leśnych. Kraków 1582.
Pieśń nowa o Gdańsku. 1577, W.
Piotrkovius, De cometa anni 1558, W.
Statorius Piotr. Polonicae Grammatices institutio. Pinczow (1560).
Statorius, Odpowiedź na księgi Śmigleckiego (1596).
Statorius, Dysputacya lubelska z Radzimińskim, 1592, W.
Plautus, Potrojny w przekładzie Cieklińskiego, 1597, W.
Powieść rzeczy istéj o założeniu klasztoru na Łysej Górze, 1540, W.
Pudłowski, Dydo do Eneasza, 1600, W.
Pudłowski, Lament i napomnienie rzeczypospolitéj, Kraków, 1561, W.
Recepta na to, abyśmy długo w ojczystéj ziemi osiedziedzieli 1597, W.
Zbylitowskiego Wieśniak. Kraków 1600, W.
Zbylitowskiego Żywot szlachcica we wsi. Kraków 1597.

W wykazie tym, obejmującym cząstkę tylko dzieł, wskazanych przez Estrejchera, położyliśmy wszędzie literę W, gdzie biblioteka uniwersytecka posiada jedyny znany egzemplarz. Nie podobna nam wypisywać wszystkich dzieł nie opisanych jeszcze przez prof. Wierzbowskiego: chcieliśmy tylko miłośników dawniejszego piśmiennictwa pocieszyć tym wykazem, że pierwszy tom „Bibliografii“ autora nie wyczerpuje jeszcze wszystkich skarbów biblioteki uniwersyteckiéj i że opisu ich należy oczekiwać w drugim tomie. Możnaby zrobić zarzut wydawcy, że nie wskazał zasady, podług któréj wydania XVI wieku podzielił na dwa, jak nam się zdaje, nierówne działy. Do drugiego tomu bowiem, jeśli się nie mylimy, zachował wszystkie najrzadsze i najważniejsze wydania, a w szczególności te, które są znane z jedynych egzemplarzów, przechowanych w bibliotece uniwersyteckiéj. Z téj przewagi danéj drugiemu tomowi poszło, że wydawca nie opisał dotąd dziełka, ogłoszonego p. t. „Psałterz albo kościelne śpiewanie w Krakowie w r. 1535.“ Piękny i jedyny znany egzemplarz wydania tego nabyła niegdyś biblioteka uniwersytecka, jeśli nas pamięć nie zawodzi, od referendarza Chyliczkowskiego za 900 złotych. Téj przewadze drugiego tomu przypisać należy, że „Zwierzyniec Mikołaja Reja“ w powtórném wydaniu z r. 1574, z tytułem faksymilowanym, nie znalazł pomieszczenia w tomie pierwszym. Ten sam los spotkał niesłychanie rzadki „Kancyonał,“ wydany w Królewcu przez Walentego z Brzozowa w r. 1554. To samo powiedzieć należy o wspaniałym Kancyonale braci czeskich, wydanym w Szamotułach w r. 1561 pod tytułem: „Pieśnie chwał Bożkich.“ Kancyonału tego posiada podobno biblioteka jeden egzemplarz bez tytułu, drugi najzupełniejszy i świetnie zachowany. Wpływowi téj samej przewagi drugiego tomu przypisać należy, że wydawca pomieścił w pierwszym tomie pod Klonowiczem (str. 196) tylko przekład Reguły św. Benedykta, a do drugiego pozostawił:

1. Flis drukowany u Sternackiego około r. 1595.
2. Roxolania. Cracoviae 1584.
3. Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego. Kraków 1585.
4. Victoria Deorum.

Co do ostatniego dzieła była niegdyś wątpliwość, czy było wydane przed r. 1600. Kraszewski dopatrywał w niém scen, kreślonych pod wrażeniem rokoszu Zebrzydowskiego, z czegoby wypadało że Victoria Deorum wyszła z druku po r. 1606. Lecz od czasu wykrycia egzemplarza, w którym pod przypisaniem do Jana Firleja położył Klonowicz r. 1587, nie ulega wątpliwości, że Victoria wydana była nie później jak w r. 1587, a zatém należy niezaprzeczenie do druków 16 wieku.

Do ulubieńców zachowanych do drugiego tomu należy także poeta Klemens Janicki, o którym w pierwszym tomie milczy wydawca, chociaż wedle skorowidzów Estrejchera biblioteka posiada następujące wydania:

1. Tristium, Elegiarum, Epigrammatum libri bez roku.
2. Vitae regum polonorum, Antverp. 1563.
3. Vitae regum polonorum, Cracoviae 1575.
4. Vitae archiepiscoporum Gnesnensium, Cracoviae, 1574.

Chyba nie dla ważności, ale tylko dla niezwykłéj rzadkości pozostały do drugiego tomu Jana Achacego Kmity ulotne pisemka:

1. Psalma przyjazdu Zygmunta III. Kraków 1587.
2. Trimachia J. Szemeta. Kraków 1594.

Nie myślimy suchemi temi wykazami nadużywać cierpliwości czytelników, boć ostatecznie chodzi tylko o to, żeby wykazać, jak bogaty zasób druków XVI wieku pozostał autorowi do drugiego tomu, i jak zamożną jest biblioteka, która mniéj ważnemi pomnikami zapełniła tom pierwszy wydanego właśnie katalogu, którego tom drugi dopiero ukaże wielkie bogactwo druków polskich, znajdujących się w Bibl. uniwersyteckiéj.

Nie będziemy się prawować z autorem o rozkład wydań między tomy pierwszy i drugi, sam on zapewne najlepiéj wie, dla czego jednych pisarzów pomieścił w tomie pierwszym, a drugich pozostawił do tomu następnego. Zdawałoby nam się, że lepiéjby było opisać w pierwszym tomie wszystko, co wyszło na ten przykład do roku 1570, a do następnego pozostawić koniec stulecia aż do r. 1600 włącznie, niż w drugim tomie, wracać znów do roku 1500. Po wydaniu drugiego tomu zapewne nam się to wyjaśni.

Lecz jeśli się zgadzamy z p. wydawcą na przyjęty przez niego podział na dwa tomy pojedyńczych pisarzów i pojedyńczych dzieł, to musimy otwarcie wyznać, że całkiem nie rozumiemy jak można jedno wydanie lub kilka wydań jednego i tego samego dzieła opisywać w tomie pierwszym, a inne wydania tegoż dzieła pozostawiać do tomu drugiego. W tém położeniu znajdują się np. wydania Postylli Mikołaja Reja. Biblioteka uniwersytecka, ile nam wiadomo, jest jedyną, która posiada wszystkie cztery wydania téj Postylli i to wszystkie drukowane w wieku XVI. Tymczasem autor opisał w pierwszym tomie swéj Bibliografii tylko wydanie z r. 1571, a wydania z lat 1557, 1560 i 1594 pozostawił do drugiego tomu. W każdym razie nie bardzo to będzie wygodnie szukać opisu tych wydań w obu tomach. To samo powiedzieć można o wydaniach Psałterza w przekładzie Walentego Wróbla. Autor wykazuje (str. 182) sześć wydań, znajdujących się w bibliotece uniwersyteckiéj, a jedno czy dwa pozostawia do drugiego tomu. Bardzoby nam było miło mieć przy tych sześciu wydaniach i opis wydania z r. 1551, którego, ile z skorowidza Ejstrejcherowskiego widzieć można, biblioteka uniwersytecka posiada jedyny znany egzemplarz.

Nie mogliśmy téż wyrozumieć, dla czego wydawca opisał w pierwszym tomie podobiznę nowoczesną „Pieśni o potopie" Jana Kochanowskiego (str. 163 nr. 761), a pierwotne, oryginalne wydanie téj pieśni pozostawił do tomu drugiego. Jeśli podobizny dostąpiły

téj łaski, że są na równi traktowane z oryginalnemi wydaniami, to już przynajmniéj wypadało oryginalne wydanie opisać w tomie pierwszym, a podobiznę odesłać do tomu drugiego. To samo możnaby powiedzieć o podobiznie ustaw prawa polskiego z r. 1563, którą wydawca opisał pod nr. 244 (str. 24), a opisu oryginalnego wydania każe nam szukać w tomie drugim. Jeśli książka jest tak rzadka, że uznano za właściwe łożyć znaczny koszt na jéj facsymilowanie, to przecież wolałbym pospieszyć z jéj opisem w tomie pierwszym niż odkładać ten opis do późniejszego czasu.

Wbrew méj woli, bo to nie tyczy pracy p. Wierzbowskiego, ciśnie mi się pod pióro pytanie, zkąd się téż wzięła w bibliotece uniwersyteckiéj podobizna ustaw prawa polskiego, kosztująca w księgarni rubli 8? Przecież biblioteka nie miała potrzeby wydawać 8 rubli na podobiznę, kiedy posiadała oryginalne wydanie w jednym, a może nawet w dwóch egzemplarzach, bo zdaje nam się, żeśmy zwiedzając dawnemi czasami bibliotekę uniwersytecką, widzieli dwa egzemplarze téj książki do tego stopnia rzadkiéj, iż hr. Jan Działyński ważył znaczny nakład na zrobienie jéj podobizny.

Kończymy tę pobieżną wzmiankę zapewnieniem, że mimo przekomarzanie się z wydawcą, nie lekceważymy jego pracy, ale przeciwnie witamy ją z uznaniem i życzylibyśmy sobie, aby dalszy ciąg bibliografii nastąpił jaknajprędzéj. Bibliografia p. Wierzbowskiego może wyświadczyć wielkie przysługi bibliotekom, leżącym zdala od ognisk nauki i siedzib wielkich zbiorów pomników piśmiennictwa; biblioteki takie, jak cekowska, kurnicka, stankowska, suska, posiadają zapewne nie jedno niekompletne wydanie z XVI wieku i dla tych właśnie sprawdzenie, ile im brak kart w niekompletnym egzemplarzu, jest zadaniem trudném do rozwiązania. Dzięki skrzętności wydawcy katalogu, o którym mówiliśmy, zadanie to jest wielce ułatwione, i takie właśnie biblioteki najlepiéj będą umiały ocenić użyteczność téj publikacyi.

POLEMIKA

P. Lorkiewicza z Panem pułkownikiem Konstantym Górskim.

List P. Lorkiewicza brzmi dosłownie:

Szanowna Redakcyo!

P. Górski umieścił w grudniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiéj“ artykuł, wymierzony głównie przeciw mnie z powodu sprawozdania, jakie ogłosiłem w „Kwartalniku historycznym“ z jego pracy o bitwie pod Byczyną. Przekonany, że szan. Redakcya „Bibl. Warsz.“ nie powoduje się względami na osoby, ale na rzecz samą, ośmielam się Ją najuprzejmiéj prosić o ogłoszenie w interesie prawdy następującéj na ten artykuł, o ile możności krótkiéj, odpowiedzi. Tem bardziéj zaś liczę na łaskawe uwzględnienie méj prośby, że sam p. Górski oświadcza, iż ze mną możliwa jest dyskusya, bo traktuję rzecz przedmiotowo. Jako krytyk poczytuję sobie tego rodzaju oświadczenie za wielką pochwałę, tem cenniejszą, że pochodzi od przeciwnika, który dotąd o ludziach innéj zupełnie miary, niż piszący, zawsze z największem mówił lekceważeniem. Wprawdzie na innem miejscu i dla mnie ma p. Górski tylko wyrazy politowania, ale na to byłem przygotowany (ob. „Kw. Hist.“ I, 665), jeśli zaś w dodatku nazywa mnie arogantem, to przecież okoliczość, że wiedząc bardzo dobrze o tém, jak pożądaną w danym razie broń tem zeznaniem podaję mu przeciw samemu sobie, przecież nie wahałem się wyznać otwarcie, że o sprawach wojskowych nie mam wyobrażenia, — powinna może była p. Górskiemu nieco odmienne dać o mnie wyobrażenie. Ale pomijam osobiste sprawy, wystawiam sobie bowiem, jak wstrętną musi być dla tak poważnego pisma, jak „Bibl. War.“ tego rodzaju polemika i przechodzę do saméj rzeczy. Otóż p. Górskiemu z całego szeregu zarzutów, jakie mu uczyniłem, niektóre, bo o innych milczy, nie przypadły do smaku, ale niestety i mnie, co dla ich odparcia mówi, również nie trafia do przekonania. I tak muszę się znowu przyznać do tak wielkiéj nieznajomości sztuki wojennéj, iż mimo to wszystko, co p. Górski ponownie w téj materyi mówi, nie mogę w żaden sposób pojąć, jak Zamoyski mógł umyślnie Maksymiliana wypuścić do Szląska, skoro przecież ten, co p. Górski sam przyznaje, nie mając zgoła zamiaru ustępować z Polski, dopiero w ostatniéj chwili na ten krok się zdecydował i natychmiast w nocy go wykonał a Zam. dopiero na drugi dzień się o tém dowiedział. Także, jak to już sam p. Gór-

ski zauważył, nie możemy się zrozumieć co do szczegółów poprzedzających bezpośrednio bitwę i co do jéj przebiegu, ale tą razą już nie z mojéj ale p. Górskiego winy, skoro przez dziwną jakąś nieuwagę wyczytuje w méj recenzyi rzeczy, o których mi się nie śniło. I tak 1) powiada, że mówię najprzód o prawem skrzydle Maks. a potem mylnie o lewem, na dowód zaś przytacza w tem drugiem miejscu dosłownie moje słowa, jednakże w cytacie tym wyraz „prawego“ zamienił p. Górski na „lewego“ (str. 453 w. 6 od góry). 2) Na téj saméj stronie (9 w. od dołu) unosi się p. Górski nad moją ignorancyą, że mogłem kazać Maksymilianowi ustawić wojsko w bok od drogi, tymczasem wprzytoczonym na poprzedniej stronie przez samego p. Górskiego ustępie z méj recenzyi, stoi dość wyraźnie, choć p. Górski nie chciał tego zrozumieć, że wojsko Maks. było ustawione w poprzek drogi, tak że lewe skrzydło miało ją przed sobą. 3) Trzy wiersze niżéj zarzuca mi p. Górski, że znowu mówię mylnie o lewem skrzydle polskiem, tymczasem najwyraźniéj w świecie nazwałem je Maksymilianowem. 4) Na téj saméj stronie według p. Górskiego robię mu zarzut, że kreśląc pozycyą wojska Maks. nie powołał się na źródła, a na dowód, że się mylę, przytacza powtórzone przez niego na tem miejscu słowa Heidenszteina, tymczasem ja takiego zarzutu p. Górskiemu nigdzie nie zrobiłem, owszem te same słowa Heidenszteina za p. Górskim powtórzyłem a tylko odnośnie do jednego szczegółu takiego użyłem zwrotu: „Otóż nam się wydaje a to tem bardziej, że autor przy swem twierdzeniu nie odwołuje się na żadne źródło.“

Nie dziwię się téż wcale, że po wyczytaniu w méj recenzyi zupełnie czego innego, niż napisałem, musiała się p. Górskiemu moja „kombinacya strategiczna“ wydać tak „dowcipną,“ iż mnie nazwał czarodziejem a nawet alchemikiem. Czy p. Górski na seryo sądzi, że trzeba być na to czarodziejem, aby zrozumieć, że jeśli Zam. zamiast ruszyć prostą a wygodną drogą, obrał znacznie dłuższą nader niebezpieczną, musiał mieć do tego jakąś nadzwyczajną przyczynę? Jeśli zaś przyczyny téj domyślam się w tem, że Zam. chciał tym sposobem pozbawić swego przeciwnika dominującego stanowiska, jakie ten znajdując się na wzgórzu byłby miał wobec niego, gdyby Zam. był się posuwał swą drogą wznoszącą się na to wzgórze i u stóp lub téż na pochyłości jego, musiał się zatrzymać do boju, że więc wolał, choć manewr taki był bardzo ryzykowny, zajść nieprzyjaciela z boku, aby stanąć na równym z nim pozomie—to z tytułu tego domysłu, którego zresztą p. Górski, zdaje się, wcale nie zauważył w méj recenzyi, nie roszczę sobie bynajmniéj pretensyi do znajomości sztuki wojennéj.

Powiada w końcu p. Górski, że jestem nieubłagany w wymaganiach, bo żądam od niego wyjaśnienia przebiegu bitwy na lewem skrzydle polskiem, choć mogłem z jego przypisku wiedzieć, że mu do tego brakło źródeł. Tymczasem powiedziałem dosłownie tylko tyle: „Jakkolwiek autor wytyka (mógłem był dodać „w sposób szy-

derski") p. Nacherowi bałamutność, zwłaszcza w przedstawieniu walki na prawem skrzydle Maks., w czem z resztą przyznajemy mu słuszność, to przecież i jego opis bitwy a zwłaszcza tego jéj momentu, nie daje nam również dość jasnego jéj obrazu, choć z drugiéj strony przyłączony do niéj plan ułatwia w wysokim stopniu oryentowanie się."

Na zarzut zaś, do którego zresztą nie przywiązywałem większéj wagi, iż nie oznaczył na mapie kilku miejscowości wspomnianych w opisie, odpowiada p. Górski: „W drugiém znowu miejscu poczytuje mi za złe, że nie wyrysowałem stawu koło grobli, którego dziś nie ma, t. j. ma mi za złe, że rzeczywistości (?) nie uzupełniłem fantazyą." Wobec tego zapytuję p. Górskiego, dla czego opuściła go fantazya przy kreśleniu planu, skoro w opisie samym kazała mu ów staw umieścić koło grobli, lub czy owa grobla i oba wojska jeszcze dziś znajdują się pod Byczyną, skoro ich położenie p. Górski oznaczył na swym planie? Czyżby opisując np. oblężenie Lwowa przez Chmielnickiego nie oznaczył p. Górski także na dołączonym do opisu planie bram i murów miasta, dla tego że ich dziś nie ma?

W końcu tylko jeszcze słówko o metodzie. Pan Górski odpowiadając panu R. K. powiada, że się już odemnie dość nasłuchał o metodzie historyczno-krytycznéj. Otóż konstatuję, że nie rozpisywałem się w swych recenzyach o żadnéj metodzie, cała moja metoda polega na tem, że mając jakieś źródło przed sobą, patrzę, co to za źródło, i wytykałem tylko p. Górskiemu, że tego nie robi a korzysta z źródeł w sposób, jak to uczynił np. z moją recenzyą; jeśli zaś użyłem wyrażenia „metoda historyczno-krytyczna," to powtórzyłem je tylko za p. Górskim, chcąc wykazać, na czem polega ta metoda p. Górskiego, przy któréj świetle, jak o sobie twierdzi, rozprasza ciemności, w jakie jego poprzednicy pogrążyli historyą naszych wojen.

Stanisławów d. 31 grudnia 1888 r. *A. Lorkiewicz.*

II.

Objaśnienie p. K. Górskiego.

Szanowny panie Redaktorze.

Objaśniając (Bibl. Warsz. 1888 r. t. 4-y str. 450) nieuzasadnione wnioski p. Lorkiewicza, nie miałem zamiaru wszczynać dyskusyi o przedmiocie, który za dostatecznie usprawiedliwiony uważałem. P. L. osądził jednak rzecz inaczéj, gdy dla podtrzymania reputacyi swojéj krytyki roztacza ponownie kwestye, których bez gwałtownego naciągania obronić nie można. Odpowiadając p. Lorkiewiczowi na jego recenzyą méj pracy: o bitwie pod Byczyną, miałem nadzieję zakończyć dyskusyą, uważałem bowiem podniesione przez niego wątpliwości, co do niektórych szczegółów téj bitwy za usunięte przez moje pismo

do redakcyi. Ale p. Lorkiewiczowi chodzi podobno nie tyle o wyjaśnienie prawdy, ile o podtrzymanie swéj reputacyi krytyka fachowego; nie mając bowiem racyi, sili się utrzymać przynajmniéj jéj pozory, a w gruncie rzeczy nie przytacza trwalszych argumentów ani dla poparcia czynionych mi zarzutów, ani dla uzasadnienia stawianych przez siebie przypuszczeń. P. L. sprawia wrażenie człowieka, co spadając w przepaść, chwyta się za zielska i trawy, ale wszystko mu się z rąk wymyka. Niewłaściwie zaś ulokowana reputacya krytyka, nie roszczącego sobie (jak sam powiada) żadnéj pretensyi do znajomości sztuki wojennéj, ulega téż losowi, na który zasłużyła.

Najprzód, zarzut, jakobym niesłusznie posądzał Zamoyskiego o bezczynność w dniu 22 grudnia 1588 r. p. L. usunął, nie zgadzając się tylko na to, żeby hetman miał umyślnie wypuścić z rąk Maksymiliana, ależ téj mojéj hypotezy nie podnosiłem do znaczenia absolutnéj prawdy. P. L., nie uznając téj hypotezy, mógłby postawić inną dla wytłómaczenia tego faktu, że Zamoyski ociągał się z bitwą pod Wieluniem, mając przed sobą 1350 żołnierzy, a pod Byczyną nie waha się ani chwili stoczyć bitwy z nieprzyjacielem, rozporządzającym 6000 wojska.

Powodów zboczenia Zamoyskiego z królewskiego gościńca p. Lorkiewicz nie tylko nie dowiódł przez powołanie treści listu Z-go; ale jeszcze bardziéj je zaciemnił. Jeśli bowiem z kombinacyi, wyłożonych przez p. Lork. w „Kwartalniku," wypadło, że wieś Roszkowice miała się znajdować jednocześnie przed środkiem, a zarazem przed prawém i lewém skrzydłem, to dodawszy do tego jeszcze zamianę skrzydła lewego na prawe t. j. po wykonaniu kontramarszu, taż sama wieś Roszkowice okaże się już w tyle wojska Maksymilianowego, tak że stanie ono plecami do nieprzyjaciela. Zamianę skrzydeł uskutecznił p. Lorkiewicz sam w swojéj odpowiedzi, niesłusznie zatem zarzuca mi błędne cytowanie słów jego. Że tak nie jest, każdy łatwo z powołanego tekstu przekonać się może, gdy porówna ustęp Bibl. Warsz. z ustępem „Kwartal. histor."

Jeden tylko argument poważniejszy na pierwszy rzut oka przytacza p. L. w obronie swego przypuszczenia, mianowicie: że Zamoyski, zbaczając z królewskiego gościńca, chciał pozbawić swego przeciwnika dominującego stanowiska. Ale zkąd wiadomo p. Lorkiewiczowi, że posuwając się prostą drogą, nie wyrównałby był Zamoyski tego stanowiska.

Miejscowości w kierunku z Wojsławic do Roszkowic nie dorysowałem, jako leżącéj poza obrębem akcyi; ale tu dla wyjaśnienia rzeczy muszę powiedzieć, że po przejściu strumienia u Wojsławic, droga się podnosi, tylko nie na pagórek, jak za groblą Sierosławicką a na płaskowzgórze, na którém leży i wieś Roszkowice. Dodać mi do tego wypada, że jeśli pod pewnemi względami, o których tu nie miejsce się rozszerzać, dominujące stanowisko ma ważne znaczenie na wojnie, to znaczenie to w potyczkach jazdy zupełnie upada; powolne bowiem pochyłości nie utrudniają ataku dla żadnéj strony, po-

chyłości zaś znaczniejsze są równie niedogodne dla potykających się w górę jak z góry. To były powody, dla których dyskusyą o téj elementarnej kwestyi uważałem za zbyteczną.

P. Lorkiewicz obstaje jeszcze przy swojém twierdzeniu, że powinienem był narysować staw koło grobli, jeżeli już o nim wspomniałem w tekscie. Ale co innego powiedzieć, że staw był, do czego mnie upoważniały źródła, a co innego tenże staw narysować, gdy źródła nie objaśniały ani rozmiarów ani konturu. Byłaby to istotnie fantazya, podobnie jak umieszczenie na planie bram i murów Lwowa podczas oblężenia miasta przez Chmielnickiego, czegobym się téż nie podjął, nie mając planu Lwowa z tych czasów. Co innego znowu jest kreślenie na planach pozycyi i szyku wojska, które aczkolwiek jest przypuszczalne, opiera się jednak na źródłach i przyjęte jest w nauce dla illustracyi tekstu. W braku jednak materyału, nie pozwalam sobie podobnych nakreśleń, jak to uczyniłem i z planem bitwy pod Warszawą, nie podając ani położenia, ani téż szyku wojska polskiego. Zganił mię za to p. krytyk, że nie umiałem tak błachéj rzeczy wykonać.

Nareszcie, co do niejasności wyłożenia przebiegu bitwy, to podobny ogólny zarzut można, przy silnéj woli, uczynić każdemu opisowi bitwy. Z méj strony mogę sumiennie powiedzieć, że starałem się i pod tym względem uczynić wszystko, co przy danych źródłach uczynić było można.

W końcu nadmieniam, że posłannictwa rozpraszania ciemności, w które poprzednicy pogrążyli historyą naszych wojen, na siebie nie brałem. Jeśli zaś zdarzało się, przy podanéj zręczności, wskazywać na błędy lub zboczenia moich poprzedników, to postępowałem w tym razie na zasadzie tego samego prawa, którém się kierował i p. Lorkiewicz względem mojéj pracy. Rozpraszanie ciemności jest specyalném zadaniem krytyków fachowych, a więc i p. Lorkiewicza, żałować tylko muszę, że on nie rozprasza; ale zgęszcza — niestety — jeszcze bardziéj ciemności, że zamiast wyjaśnić obraz naszych wojen, daleko mocniéj go zaciemnia, a to jedynie dlatego, aby się przy swojém zdaniu choć pozornie utrzymać.

Co do insynuacyi osobistych, te jako nie nadające się do druku w piśmie poważném, pominąć muszę.

Warszawa d. 20 lutego 1889 r. *K. Górski.* [1])

---

[1]) Uważając historyczną stronę kwestyi przez p. K. Górskiego za dostatecznie objaśnioną, zamykamy dyskusyą w téj sprawie, gdyż wnosząc z tonu repliki, mogłaby ta rozprawa o rzeczach wojennych wejść na pole osobistych docinków, które szerszego koła czytelników Bibl. Warsz. interesować nie mogą. *Red.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki międzynarodowe. Opozycya przeciw nowéj organizacyi wojskowéj w Węgrzech. — Przesilenie w Rzpltéj francuzkiej. — Rozwiązanie „ligi patryotycznéj“ we Francyi. — Słabnący zapał Włochów dla wielkiéj polityki Crispi'ego w obec t. zw. „ligi pokoju.“ — „Bank ziemski“ w Poznaniu. — Sprawozdanie niemieckiéj komissyi kolonizacyjnéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich za rok 1888-y. — Z dziedziny nauki: 1) Posiedzenie komissyi prawniczéj Akad. Um. w Krakowie d. 22 grudnia 1888-o r. 2) Posiedzenie komissyi historycznéj d. 31 grudnia (Wydawnictwo „Bibliografii historycznéj.“ Historya gospodarstwa wiejskiego; Akta z archiwum w Modenie, odnoszące się do histor. polskiéj). 3) Posiedzenie wydz. filologicznego d. 18 stycznia 1889 r. (Sprawa pisowni polskiéj). — Konkurs rysunkowy „Tygodnika Ilustrowanego.“ — Odkrycia archeologiczne dokonane w Kartaginie przez O. Delattre. — Z spraw społecznych i ekonomicznych: Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie. — Sprawa ubezpieczeń ogniowych. — Ochrona lasów.

Kronika spraw bieżących zaznacza już od dosyć dawna brak zaufania w stosunkach międzynarodowych; lecz opinia publiczna w Europie oswoiła się z tym nienormalnym stanem interesów publicznych do tego stopnia, że równie zapewnienia pokojowe jak i odzywające się niekiedy groźby wojownicze nie budzą na razie ani nadto różowych nadziei optymistycznych, ani też zbyt przerażających obaw pessymistycznych; ponieważ jedne i drugie przypominają tylko zmianę dekoracyi w grze sztuki dyplomatycznéj. Sytuacya jednak tego rodzaju długo trwać nie może, bo podżegana przez antagonizm narodowy nieufność i zawiść między pierwszorzędnemi potęgami państwowemi nie ustaje w przysposabianiu coraz większych mass wojskowych i w doskonaleniu środków wojowniczych we wszystkich gałęziach sztuki wojennéj. Najwięcéj kłopotu sprawiała w ostatnich czasach sprawa coraz nowszéj organizacyi wojskowéj rządowi węgierskiemu, gdzie opozycya nie zawahała się uciec nawet do pomocy manifestacyi ulicznych, aby obalić gabinet Tiszy, objawiając równocześnie z pewną ostentacyą swoje lojalne uczucia względem korony. Przy tém wszystkiém sądzimy, że zdrowa część narodu poskromi te warchol-

skie zapędy opozycyi, pragnącéj obalić Tiszę w nadziei zajęcia jego stanowiska, mamy nadzieję, że większość reprezentacyi narodowéj wniesiony przez rząd projekt organizacyi wojskowéj przyjmie z nader nieznacznemi zmianami.

Trudniejsze przesilenie przebywała w miesiącu lutym Francya. Od chwili tryumfu wyborczego Boulangera w Paryżu, zatrudniały dwie sprawy umysły polityków francuzkich, mianowicie kwestya poprawienia systemu wyborczego oraz rewizya konstytucyi republikańskiéj, z instygacyi bolanżystów podjęta nieroztropnie przez Floqueta. Pierwszą usunęła większość reprezentacyi narodowéj w myśl rządu, powracając napowrót do dawnego sposobu wybierania posłów do izby prawodawczéj nie z listy ogólnéj, ale pojedynczemi okręgami, gdyż ten sposób zapewnia większą łączność między posłem a wyborcami. Druga zaś, odrzucona przez większość sejmu spowodowała upadek gabinetu Floqueta, który, ścigany przez bulanżystów, tracił z każdą chwilą grunt pod nogami i kompromitował coraz więcéj obecne formy rządu republikańskiego. Zebrany mozolnie nowy gabinet Tirarda nie budził na razie wielkiéj ufności w prasie francuzkiéj, ale przez energiczne ujęcie lejców rządu w swoje ręce, zdobywał sobie coraz więcéj uznania w narodzie, który, z obawy przed grożącą krajowi anarchią, błogosławić gotów każdemu rządowi, któryby mu zapewnił spokojne jutro. Doniosłości energicznego kroku gabinetu Tirarda przy rozwiązaniu ligi patryotycznéj nie podobna w ostatniéj chwili dokładnie ocenić; nie wiadomo bowiem w jaki sposób przyjmie Paryż zuchwalstwo takie; ale sprawa porządku zyskać przez to powinna, ponieważ jest to w téj chwili najdotkliwszy cios, jaki dotknął agitacye bulanżystów. Żaden rząd poważny nie może cierpieć w kraju Towarzystwa, prowadzącego na swoję rękę nietylko politykę wewnętrzną, ale i zewnętrzną. Rozwiązanie „ligi patryotycznéj“ powinno wyjść na korzyść rządowi republikańskiemu.

Na ulicach Rzymu mieliśmy w miesiącu lutym potworne widowisko manifestacyi robotniczych, która jawnie wystąpiła pod sztandarem komunistycznym; ale w gruncie rzeczy inspirowaną była przez idee nie godzące się z wzrastającemi ciężarami uzbrojeń, wymaganych przez wielką politykę p. Crispiego. Po uspokojeniu się ulic w Rzymie, to samo wrzenie przeniosło się do Neapolu i innych miast pomniejszych. Fakta te dowodzą, że naród włoski nie zapala się dla „ligi pokojowéj,“ stworzonéj przez Niemcy, bo związek ten przeciąża zanadto budżet włoski. Zażegnane w pewnéj mierze przez p. Crispiego przesilenie ministeryalne przez zmianę ministra skarbu nie stworzy stałéj zmiany ku lepszemu. W Berlinie zaczynają się już niepokoić tą niechęcią Włochów do obdłużania państwa i czują w tém stygnący zapał przyjaźni.

Sprawa Banku ziemskiego, dzięki ofiarności kilku obywateli galicyjskich, weszła na pożądane tory. Dzień 1 lutego był ostа-

tecznym terminem dla wniesienia całéj zgłoszonéj subskrypcyi (na ogólną sumę 1200 akcyi po 1000 marek) do regestru handlowego. Tymczasem w przededniu niemal tego terminu pokazało się, iż do całości brakuje jeszcze 45 podpisów, a tych pomimo gorączkowych starań i nawoływań prasy nie można było uzyskać w W. Ks. Poznańskiém. W téj krytycznéj chwili przyszło z pomocą kilku obywateli z Galicyi. Ofiarności téj głównie należy zawdzięczać, iż Bank przyszedł w ogóle do skutku, rozebrano bowiem w Galicyi przeszło połowę wszystkich akcyi. Teraz pragnąć tylko należy, aby instytucya, która przyszła do skutku z takim mozołem, rozpoczęła jak najrychléj swoję działalność. Rękojmę prawidłowego jéj rozwoju i ostrożnego prowadzenia interesów daje zabiegliwy dyrektor banku, dr. Teodor Kalksztein.

Z obszernego sprawozdania komisyi kolonizacyjnéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusiech zachodnich przedstawia się w streszczeniu następujący obraz o jéj działalności w roku ubiegłym. Komisya zakupiła w roku 1888 na cele kolonizacyjne 11 dóbr ryceskich, 1 majątek szlachecki i 7 innych dóbr, czyli razem 19 dóbr większych, a oprócz tego 9 samodzielnych gospodarstw włościańkich. Obszar wszystkich tych zakupionych majątków wynosi razem 9524 hektarów, cena zaś zakupna 5,620,505 marek. Obszar gospodarstw włościańskich obejmuje 602 hektarów, za cenę zakupna 429,200 marek. Z doliczeniem zakupionego w dwóch poprzednich latach, komisya kolonizacyjna nabyła dotychczas w ogóle: majątków większych objętości 36,098 hektarów za cenę przeszło 2 milionów marek i posiadłości mniejszych (włościańskich) 1288 hektarów za cenę 870,125 marek. Za jeden hektar ziemi przypada przeciętnie 585 marek. Zakupione w roku zeszłym dobra nabyto wyłącznie od właścicieli polskich. Z jednym wyjątkiém, wszystkie dobra zakupione w ciągu r. 1888 wzięła komisya kolonizacyjna pod własny zarząd, w którym to celu został utworzonym osobny wydział administracyjny. Na sprzedaż ofiarowano komisyi w roku zeszłym 78 majątków większych i 79 gospodarstw włościańskich, między temi z ręki polskiéj 36 większych dóbr i 53 włościańskich, resztę z ręki niemieckiéj. Od samego zaś początku działania komisyi ofiarowano ogółem dobrowolnie na sprzedarz 216 większych majątków i 121 mniejszych, między temi z ręki Polaków 102 majątków większych i 78 włościańskich. Jak widzimy tedy, cyfra oferentów niemieckich była większą niż polskich.

Sprawozdanie potwierdza wiadomości pism codziennych, że lista kandydatów na kolonistów w r. 1888 znacznie się zmniejszyła. Zgłosiło się w ogóle 952 kandydatów, lecz do list można było po zbadaniu zapisać tylko 593, i to: 561 ewangielików, 28 katolików, 3 menonitów i 1 żyda. Majątek reprezentowany przez tych 593 kandydatów wynosił w ogóle 2,652,616 marek, „W ogóle powiedzieć

można — czytamy w sprawozdaniu — że koła chłopskie nie umiały dotychczas ocenić wielkiego znaczenia kolonizacyi dla siebie, chociaż właśnie chłopi są najwłaściwszym żywiołem dla kolonizacyi. Ażeby na nich wpłynąć więcéj, niż dotychczas, postanowiła komisya kolonizacyjna w przyszłości opracować i rozpowszechnić osobną broszurę, pod tyt. „Ogólne informacye“. Sprawozdanie robi wreszcie uwagę, iż u bardzo wielu kolonistów objawia się skłonność urządzenia się po nad swoje stosunki i po nad środki. Ujawnia się to nietylko w nierozsądnéj chęci budowania, lecz i w wewnętrznem urządzeniu osad.

Komisya prawnicza Akademii Umiejętności w Krakowie odbyła d. 22 grudnia 1888 r. pod przewodnictwem dra Zolla posiedzenie, na którém uchwalono na wniosek prof. Ulanowskiego drukować w tomie X Starodawnych prawa polskiego pomników: 1) księgę sądową wsi Kęborska Wola, rozpoczynającą się od roku 1457, 2) księgę sądowę wsi Maszkienice od r. 1482, 3) księgę sądową wsi Kaszyna od początku XVI w., 4) wyjątki ciekawsze z kilku innych ksiąg sądowych wiejskich.

Komisya historyczna odbyła d. 31 grudnia 1888 r. pod przewodnictwem St. hr. Tarnowskiego posiedzenie, na którém imieniem komitetu administracyjnego sekretarz zdał sprawę z prac przygotowawczych „Bibliografii hystorycznéj polskiéj“, któréj wydawnictwo przysposabiają pp. dr. Finkel i H. Sawczyński we Lwowie; przedstawił plan tymczasowy, spisany jako wynik narad, odbytych w czasie pobytu dr. Finkla w Krakowie w gronie ściślejszém kilku krakowskich i lwowskich członków komisyi. Po obszernéj dyskusyi, w któréj zaznaczono z jednéj strony potrzebę, aby bibliografia była dokładną i szczegółową, z drugiéj zaś strony jéj praktyczny pożytek, a ztąd potrzebę, aby nie była dziełem zbyt wielkich rozmiarów, zgodzono się na przedstawiony w zarysie plan jéj systematycznego układu i uchwalono, że koniecznie należy się ograniczyć co do rozmiarów, które nie powinny przekroczyć 40 arkuszy druku dużéj 8-ki.

Następnie prof. Bobrzyński zwrócił uwagę komisyi na potrzebę dostarczania materyału dla badań nad historyą gospodarstwa wiejskiego w Polsce. Wydano już wprawdzie różne lustracye i inwentarze, dla poznania jednak kolejnych zmian, jakie zachodziły w tych wszystkich stosunkach, należałoby zgromadzić i wydać opisy, rachunki i t. d. odnoszące się do wsi lub jednego kompleksu dóbr przez czas dłuższy; materyały zaś takie znajdują się nieraz bardzo obfite po archiwach różnych korporacyi. Komisya uchwaliła zasadniczo, że publikacyą taką zajmie się w niedalekiéj przyszłości. Podjęto też już teraz prace przedwstępne, polecając Komi-

tetowi administracyjnemu wyszukanie odpowiednich pracowników i ułożenie z nimi programu wydawnictwa.

Nareszcie prof. Smolka oznajmił, że hr. Zygm. Cieszkowski, pragnąc otrzymać z archiwum w Modenie różne odpisy aktów, odnoszących się do historyi polskiéj, życzy sobie pomocy komisyi w tym względzie, a za to ofiaruje do jéj zbiorów wszystkie te odpisy, biorąc na siebie cały koszt ich sporządzenia i zastrzegając sobie tylko pierwszeństwo w ich zużytkowaniu. Uchwalono przyjąć ten dar i poprzeć starania p. Cieszkowskiego w Modenie.

W końcu uchwalono sposób, w jaki mają członkowie komisyi otrzymywać jéj publikacye (za osobistem zgłoszeniem się do biura Akademii, we Lwowie za zgłoszeniem się do Zakładu Ossolińskich).

Dnia 18 stycznia roku bieżącego na posiedzeniu administracyjném, wydziału filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie wyznaczono komitet (prof. Małecki, Malinowski, dr. Wisłocki i dr. Tretiak) do ocenienia 2-ch prac, nadesłanych na konkurs imienia ś. p. S. B. Lindego mianowicie: 1) dra Andrzeja Cinciały, notaryusza w Cieszynie: „Słownik wyrazów, używanych w księstwie Cieszyńskiém;“ 2) Stefana Ramułta: „Słownik wyrazów Pomorskich“. Równocześnie zawiadomiano obecnych, że rada szkolna krajowa doniosła Zarządowi Akademii, iż p. Minister wyznań i oświecenia reskryptem z d. 21 listopada 1888 l. 696, oznajmił, iż byłoby rzeczą pożądaną, ażeby zasady pisowni polskiéj, przepisane do przesztrzegania w szkołach, były zupełnie zgodne z zasadami, przyjętemi przez Akademią, oraz że przywiązuje szczególniejszą wagę do tego, ażeby jak najrychléj mogło przyjść do skutku wydanie podręcznika, uzasadniające powyższe zapatrywania. Wydział na wezwanie Zarządu Akademii, wyznaczył komitet, złożony z prof. Malinowskiego, Morawskiego i Tretiaka, który ma przedstawić referat o kwestyach spornych pisowni na najbliższém posiedzeniu Wydziału. Wobec tego faktu, możemy nareszcie mieć nadzieję, że kwestya pisowni polskiéj, wydęta przez samowolę niepowołanych reformatorów języka polskiego do znaczenia, którego w żadnéj literaturze pisownia nie posiada (zob. Bibl. Warsz. 1889 r. Zesz. Styczeń str. 144—147. Porównać prócz tego Bibl. Warsz., 1884. t. I, str. 488 i 489), ujednostajnioną zostanie!

Redakcya „Tygodnika ilustrowanego“ ogłosiła konkurs na rysunki rodzajowe z tematów miejskich lub wiejskich. Każdy z pp. malarzy, pragnących uczestniczyć w konkursie, zechce dostarczyć jeden rysunek obranéj treści, albo też dwa, z obu tematów po jednym. Rysunki mają być wykonane do trawienia, rozmiarów jednéj stronicy „Tygodnika.“ Termin nadsyłania rysunków oznacza się do dnia 15-go kwietnia r. b. Rysunki nie powinny mieć podpisu,

lecz zawierać przy sobie kopertę zamkniętą z nazwiskiem autora wewnątrz, a godłem zewnątrz, powtórzoném na samym rysunku. Z pomiędzy nadesłanych utworów, redakcya, łącznie z kierownikiem artystycznym „Tygodnika“, p. Miłoszem Kotarbińskim, przy współdziałaniu poproszonych pp. Leopolda Horowitza i wiceprezesa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych Lucyana Wrotnowskiego, wybierze kilka do wytrawienia i umieszczenia w swém piśmie, aby publiczność, w sposób już znany z poprzednich naszych konkursów, wybrała dwa rysunki do nagrody większością głosów. Pierwsza nagroda wynosi rs. sto, druga rs. pięćdziesiąt, oprócz zwykłego honoraryum, które będzie wypłacone i za inne rysunki konkursowe, zamieszczone na kartach „Tygodnika.“

Misyonarz francuzki, O. Delatrre, przy rozkopywaniu wzgórza Byrsa, oraz tak zwanéj nekropolii Gamart, na obszarze starożytnéj Kartaginy, odkrył szereg grobów z pierwszych czasów punickich, w których oprócz wybornie zachowanych zwłok ludzkich, znaleziono rozmaitą broń, drogocenne ozdoby i naczynia. O. Delatrre jest zdania, że nekropolia Gamart przeznaczona była głównie dla kolonii żydowskiéj w Kartaginie.

Towarzystwo ogrodnicze warszawskie z końcem grudnia zakończyło czwarty rok swéj działalności. W dniu 28 stycznia r. b. odbyło się ogólne zebranie téj instytucyi, na którém zatwierdzono sprawozdanie za rok 1888 i budżet na rok bieżący. Sprawozdanie wykazuje rozwój tego pożytecznego Towarzystwa, który pozwala rokować dobrze na przyszłość i daje nadzieję, że instytucya ta przyczyni się nader pomyślnie do postępu w naszém ogrodnictwie. Z cyfr sprawozdania przytaczamy tylko kilka ważniejszych. Dochody Towarzystwa wynosiły w r. ubiegłym 6151 rs. 70 kop. wydatki 4981 rs. 68 kop., przewyżkę więc dochodów nad wydatki osiągnięto w sumie 1170 rs. 2 kop. Majątek Towarzystwa z końcem roku sprawozdawczego wzrósł do sumy 21,693 rs. 32½ k. Nadto w roku ubiegłym Towarzystwo pozyskało od ś. p. Józefa Spornego zapis, który po ustaniu dożywocia, ustanowionego na tym funduszu, powiększy majątek Towarzystwa o sumę przypuszczalnie 30,000 rubli wynosić mogącą. Liczba członków powiększyła się w ciągu ostatniego roku o 82 i doszła do cyfry 485. Należy zwrócić tu uwagę, że liczba członków w latach poprzednich się zmniejszała, gdy tymczasem w roku ostatnim nastąpił przyrost, i to dość znaczny. Na powiększenie liczby członków wpłynęły dwie okoliczności: przedewszystkiém przyczyniła się do tego uchwała Towarzystwa stanowiąca, że wszyscy członkowie otrzymują bezpłatnie czasopismo „Ogrodnik Polski.“ Uchwała ta z wielu względów nader zbawiennie na Towarzystwo, a nawet pośrednio na rozwój ogrodnictwa naszego wpły-

nęła. Zachęciła bowiem do przystępowania nowych członków, stała się mocniejszą spójnią pomiędzy Towarzystwem, jako instytucyą i jéj członkami, wpłynęła na regularniejsze opłacanie składek, gdyż „Ogrodnika" odbierają tylko ci członkowie, którzy w składce nie zalegają, przyczyniła się do większego rozpowszechnienia tego nader pożytecznego organu i nakoniec wpływa na podniesienie i prostowanie wiadomości ogrodniczych wśród ogółu członków. Na powiększenie się liczby członków wpłynęło też obudzenie pewnéj agitacyi w tym kierunku, wskutek zwrócenia na ten przedmiot uwagi przez jednego z członków. Sądzimy jednak, że agitacyą tę należałoby w myśl propozycyi owego członka ująć w pewną, ściśle określoną organizacyą. Do najważniejszych rezultatów osiągniętych przez Towarzystwo w roku ubiegłym zaliczyć należy, oddanie pod nadzór komitetu z łona Towarzystwa ogrodniczego wybrany plantacyi miejskich w Warszawie. Sprawa to nie małéj wagi, a niestety bardzo zaniedbaną była dotychczas. Widzieliśmy całe ulice (jak np. Leszno lub bulwar nad Wisłą) wysadzone drzewami, które przez niezachowanie odpowiednich warunków marniały. Obecnie można mieć wszelką nadzieję, że komitet, wybrany z łona Towarzystwa ogrodniczego, a więc złożony z ludzi w przedmiocie tym zamiłowanych, a przytém w znacznéj części ze specyalistów, pokieruje nowemi robotami i konserwacyą istniejących plantacyi ze znajomością rzeczy i z uwzględnieniem rzeczywistych potrzeb miasta, a komitet ten będzie pod kontrolą całéj poważnéj instytucyi, któréj członkowie powołani też będą do czuwania nad całością wspomnionych plantacyi.

Przytoczone tu przez nas szczegóły świadczą o dobréj woli pomiędzy ogółem członków Towarzystwa i członkami zarządu; stąd też wypływa tak pomyślny rozwój téj młodéj jeszcze naszéj instytucyi.

W sferach prawodawczych kwestya ubezpieczeń zwróciła na siebie uwagę i w niedługim zapewne czasie ważne zmiany zajdą w tym przedmiocie. Dziś już mamy pewne wskazówki co do kierunku, który państwo zamierza nadać formie ubezpieczeń, gdyż komisya rolnicza pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych, p. Plewego, obradująca, ukończyła właśnie prace swe nad powyższą kwestyą.

Punktem wyjścia dla komisyi było przekonanie, że istniejące premia ubezpieczeniowe we wszystkich Towarzystwach bezwarunkowo są uciążliwe dla ubezpieczonych i że państwo w ten lub ów sposób interwencyą swą na zmianę położenia powinno wpłynąć. Z rzędu projektów, które komisya wzięła pod uwagę, dwa głównie były przedmiotem bardziéj wyczerpującéj dyskusyi.

Pierwszy z nich żąda, by ogólne ubezpieczenie państwowe zastąpiło dzisiejsze instytucye asekuracyjne, drugi, bardziéj pośredni, projektuje tylko reasekuracyą nieruchomości ubezpieczonych w in-

stytucyach gubernialnych i ziemskich. Mówiąc o pierwszym projekcie, komisya uznała jego zasadnicze korzyści; w obec jednak doniosłości reformy nie czuła się dość kompetentną do opracowania wyczerpującego operatu; natomiast sprawę reasekuracyi państwowéj wyjaśniono i uznano za rzecz możliwą i praktyczną. Motywem głównym projektu była istota stosunków tutejszych towarzystw akcyjnych, które w rezultacie nie są instytucyami samodzielnemi, lecz uważać je należy za komisyonerów towarzystw zagranicznych, reasekurujących ubezpieczenia nasze w tak znacznym stosunku, że zaledwie 15 do 25% premiów pobierają towarzystwa miejscowe. Skutkiem tego ogromne sumy corocznie kraj oddaje zagranicy, a jak pokazują cyfry za 1887 r., premja wniesione do 14 towarzystw ubezpieczeń w państwie istniejących, wyniosły 36,438,000 rs. z których 21,861,000 rs. wypłacano towarzystwom zagranicznym. Nasuwa się zatém myśl, czy w obec tak olbrzymiego podatku na rzecz zagranicy wnoszonego, nie byłoby właściwiéj uczynić państwo reasekurantem ubezpieczeń, ustanawiając jednocześnie ścisłą kontrolę nad działalnością towarzystw, skutkiem czego usunęłoby się wyzysk niektórych klientów instytucyi ubezpieczeniowych, którzy w asekuracyi ponad wartość znajdują możność osiągania nieprawych zysków, puszczając z ogniem nieruchomość małéj wartości a wysoko ubezpieczoną i wzmocniłoby się kontrolę państwową, ograniczając niepomiarkowaną wysokość niektórych premii, przez towarzystwa pobieranych.

Nie odmawiając pewnych korzyści tak obmyślanemu projektowi, sądzimy jednak, że przecenia on znaczenie owéj kontroli, która jeśli rzeczywiście ma być ścisłą i skuteczną, pociągnąć za sobą musi funkcyonowanie nadzwyczaj licznego i kosztownego personelu. I chociaż kontrola działalności towarzystw wyjdzie z pewnością na dobre ubezpieczonym, to jednak oszczędności z tego powodu osiągnięte pochłoną instytucye kontrolujące, których utrzymania skarb na siebie nie weźmie.

Sądzimy, że trudności, piętrzące się w naszych systematach ubezpieczeniowych, dałyby się usunąć drogą bardziéj praktyczną, jeśli reformę oprzeć się postaramy na kształtujących się obecnie prądach stosunków ekonomicznych. Zamiast odwoływania się do pośrednictwa towarzystw akcyjnych, ułatwić należy interesowanym zawiązywanie asekuracyi wzajemnych, nieograniczonych sumą asekuracyi, a dopiero takie wzajemne towarzystwo ubezpieczeń poddać kontroli i reasekuracyi państwowéj. Tego rodzaju instytucye najlepiéj odpowiadają potrzebom; zgodne z wymaganiami ekonomicznemi czasu, największą przedstawiają gwarancyą i zamiast przedsiębiorstw spekulacyjnych, dają nam instytucye ściśle mające na celu tylko pokrycie strat zrządzeniem losu wywołanych, a nie interesy akcyonaryuszów; prócz tego unika się biurokratyzmu i kosztów, które pociąga za sobą organizacya predsiębiorstw akcyjnych.

Że ubezpieczonym dobrze musiały się dać we znaki dobrodziejstwa towarzystw akcyjnych, świadczą dążenia do zawiązywania stowarzyszeń ubezpieczonych na wzajemności opartych. U nas, gdzie idea stowarzyszeń tak słabo jest rozwiniętą, ostateczności tylko chyba mogą zmusić opieszałych do wyboru dróg w innych społeczeństwach za jedynie skuteczne uznanych; jeśli więc państwo poparłoby i ułatwiło przejawiające się tu i owdzie dążenia do stowarzyszeń ubezpieczonych, niebawem cały kraj pokryłby się instytucyami, opartemi na wzajemności, a kto wie czy dobry początek nie byłby zapowiedzą dalszych reform w kierunku tyle upragnionego zjednoczenia ludzi, których praca identyczne ma cele i interesy.

Trudno było przypuszczać, żeby przepisy o ochronie lasów mogły za sobą pociągnąć tego rodzaju kłopoty i poważne zachwianie interesów, jak to zapowiada okolnik p. ministra dóbr państwa, wyjaśniający znaczenie ustawy z dn. 4 kwietnia 1888 r., pod względem prawomocności kontraktów na eksploatacyą lasów, przed wydaniem ustawy téj zawartych.

Interpretacya p. ministra jeszcze w m. listopadzie r. z. komitetom leśnym rozesłaną została, nie wywołała jednak zaniepokojenia dotąd, dopókąd w zastosowaniu praktycznem nie spostrzeżono, do jak niepożądanych konfliktów interpretacya ta doprowadzić może.

P. minister w cyrkularzu swym zwraca uwagę komitetów ochrony lesnéj, że wszelkie umowy, w jakimkolwiek porządku i w jakimkolwiek czasie byłyby zawarte, prawomocne są o tyle tylko, o ile nie sprzeciwiają się prawu, przy którego współdziałaniu umowa będzie wykonaną.“ Daléj zaś czytamy: „Co zaś dotyczy tych nowych kwestyi prawnych, które wyniknąć mogą między stronami, biorącemi udział w kontraktach, wskutek ograniczenia mocy ich przez przepisy prawa ochrony lasów, to wszystkie kwestye, mające związek z taką zmianą stosunków prawnych, powinny być rozstrzygane albo przez dobrowolną ugodę kontrahentów umowy, albo też, jeżeli ugoda taka nie będzie miała miejsca, przez odnośne instytucye sądowe, na zasadzie istniejących ustaw sądowych.“

Jest to orzeczenie jasne. Z chwilą ogłoszenia prawa ochronnego przyjął je kraj z należném uznaniem, jako postanowienie, wprowadzające ład i porządek tam, gdzie do téj pory bezrząd i lekkomyślność panowały. Ale oceniając znaczenie prawa a priori trudno było przypuszczać, żeby wpływ swój wywarło ono a posteriori, osłabiało a nawet zupełnie rozwiązywało umowy przed wydaniem prawa zawarte. Nie należy się bowiem łudzić. Ani jeden z kontraktów, spisanych przed 4 kwietnia 1888, nie odpowiada warunkom nowego prawa, nie jest prawomocnym. Cyrkularz ministeryalny ogłoszony był zapewne z tego powodu, że z chwilą, gdy rozeszły się pogłoski o ograniczeniach prawnych w eksploatacyi lasów wielu właścicieli ogarnęła gorączka sprzedażna i pod warunka-

mi rzeczywiście rujnującemi, zawierano kontrakty na wyrąb lasu, byle coś wyciągnąć ze źródeł, które niebawem miały być zamknięte lub bardzo skromnym mogły sączyć się tylko strumykiem na rzecz wiecznie łaknących rolników-właścicieli. Że prawo skarcić chce takie wybryki, jest to po części rzeczą słuszną; lecz dla czego dotyka umowy w dobréj wierze i na dłuższy przeciąg czasu zawarte? Ale co najbardziéj jest ciekawe, torównie w pierwszym jak i w drugim razie następstwa nieuznania kontraktów za prawomocne. Gdyby umowy zawierane były ze sprzedawcami odpowiedzialnymi każdej chwili, to kupujący miałby możność otrzymania wynagrodzenia za warunki nie spełnione, czyli za część lasu jeszcze nie wyciętą a już zapłaconą. Ale w aktualném położeniu właścieli lasów, kupiec nie może żądać zwrotu kapiału wypłaconego za las. I nic sprzedawcy tu nie będą winni, o nieuczciwość posądzić ich nie będzie można. Sprzedający las zwykle całą należność odbiera z góry i natychmiastowo daje jéj przeznaczenie na cele melioracyjne majątku, na spłatę ciążących go długów i t. p. Ale pieniędzy nie zatrzymuje w kasie, nie może ich zwrócić nabywcy. Prawo każe się stronom ugodzić polubownie, co nigdy przeprowadzić się nie da, bo ów b e a t u s q u i t e n e t twarde stawiać będzie warunki, co się zaś tyczy rozstrzygania spraw takich przez władze sądowe, to nie mogą one sprawiedliwych wyroków wydać i żadnéj ze stron nie zadowolnią. Przedewszystkiem kontrahenci nie są winni zerwania umowy, każdy więc z nich domagać się będzie uwzględnienia własnych, a słusznych zapewne pretensyi. Zdarzyć się prócz tego może, że kupiec wybrał już towar wyborowy a pozostawiwszy braki i odpadki, domagać się będzie wynagrodzenia w stosunku a nie w jakości wyciętéj przestrzeni. Kto w takich warunkach zdoła wyprowadzić normę obliczenia rzetelnego? A wreszcie przyznany zwrot kapitału nabywcy lasu, naturalnie gotówką zrealizowany nie zostanie; lecz zabezpieczeniem hypoteczném. W takim razie powinszować przyszłemu wierzycielowi. Takie zakwestyonowanie umów prawnie zawartych i niemożliwość odszkodowania strony pokrzywdzonéj, wywołać muszą zachwianie wielu interesów, cały szereg procesów i kłopoty na długie, długie lata.

W Królestwie Polskiém gdzie komitety ochrony lasów jeszcze nie funkcyonują i prawo ochrony faktycznie wprowadzone jeszcze nie zostało, interpretacya p. ministwa dóbr państwa zdawać się może nie tak groźną. Ale z dnia na dzień należy się spodziewać nominacyi komitetów, a wtedy umowy dotychczasowe narażone zostaną na wszystkie powyżéj wymienione następstwa.

Skoro mowa o nowéj Ustawie leśnéj, na miejscu może będzie przestrzedz interesantów przed następstwami różnych zawikłań, które zła wola wywołać może. Powołujemy tu fakt zaszły w Cesarstwie, gdzie prawie w całéj już pełni Ustawa obowiązuje, fakt nie opisany przez prasę naszę, w ogóle bardzo mało zajmującą się temi sprawami.

Włościanie, sąsiadujący z dobrami hr. Druckiego-Sokolnickie-

go w gub. penzeńkiéj, wystąpili do miejscowego komitetu ochron. o wzbronienie wspomnianemu właścicielowi cięcia lasów sąsiednich, gdyż podpadają one pod kategoryą ochronnych. Ową „ochronność“ umotywowali przez tę okoliczność, że z lasów księcia sączy się strumyczek, który wązką nitką przecina ich wioskę i że w razie wycięcia lasu wyschnie owo źródło dla wsi niezbędne. No... i sprawa poszła na drogę prawną, a choćby władze ze śmiechem odrzuciły pretensye włościan, na razie sprzedaż jest wstrzymana, spór nierozstrzygnięty. Włościanom naturalnie chodziło o to, by skarbczyk podręczny, z którego czerpali potrzebny im opał darmo—nadal zachować, ale tkwi w tém wskazówka jak ostrożnie postępować powinny komitety leśne w obec przepisów, uznających lasy za ochronne, a zwłaszcza kwalifikujące je jako ochronę źródeł rzek i ich dopływów. Luźne tłómaczenie nowego prawa, może w tym względzie spowodować znaczne i niczém nie dające się uniknąć straty dla posiadaczy lasów. Wszędzie mamy masy rzeczek, i każda z nich może, w myśl nowego prawa, dać sposobność do bardzo znacznego ograniczenia praw własności właściciela, w którego lesie rzeczka taka ma swe źródło.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Księgarnia T. Paprockiego i Sp. w Waszawie rozpoczęła wydawać w terminach miesięcznych: „Katalog nowych książek. Miesięcznik dla kupujących i czytających książki.“ Cena roczna kop. 60 z przesyłką rs. 1. Osoby pozostające w stałych stosunkach z księgarnią Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie. Nowy Świat 41, otrzymywać będą katalog nowych książek co miesiąc regularnie bezpłatnie. Nr. 1-szy za styczeń, z którego powyższą wiadomość czerpiemy, określa dokładnie cel i zadanie tego wydawnictwa. Nie są to, jak głosiły gazety, „wiadomości bibliograficzne o nowych książkach, wychodzących we wszystkich językach europejskich;“ ale katalog księgarski, który, przy utrudnionych warunkach naszego handlu księgarskiego, może być dla publiczności polskiéj bardzo pożyteczny. Czy tylko cena nie jest nieco dla ogółu za wysoka? Ofiara jaką przynosi księgarnia osobom zostającym z nią w stałych stosunkach, nie wpłynie korzystnie na rozszerzenie koła pragnących korzystać z najnowszych wiadomości bibliograficznych.

„Muzeum“ czasopismo towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, wychodzące we Lwowie, nakładem Tow. rozpoczęło z 1-ym stycznia piąty rocznik swego istnienia, które w dotychczasowéj swojéj działalności może się pochlubić poważnym szeregiem gruntownych studyów i rozbiorów krytycznych na całém obszernem polu nauk pedagogicznych. Redaktorem odpowiedzialnym jest obecnie prof. dr. Maurycy Maciszewski. Redakcyi trzeba przyznać zasługę bezstronnéj krytyki, nie zamykającéj się szczególnemi względami w ciasném kółku współpracowników; ale mającéj wyłącznie dany przedmiot przed oczyma — oraz widoczną dbałość o czystość języka, chociaż to przy tylu współpracownikach-nauczycielach, wykształconych jeszcze na podstawie języka niemieckiego, nie zawsze się jéj udaje. W zeszytach za m. styczeń i luty r. b. czytamy z rozpraw obszerniejszych: Emeryt „O rzekomych i istotnych wadach gimnazyów;“ Dziwiński dr. P. „O algorytmie Bernarda Wojewódki;“ Jubileusz 300-letniéj roczni-

cy założenia gimn. St. Anny w Krakowie; Parylak „W sprawie językowéj;" dr. Szczepański: „Extemporalia;" Siedlecki S. „List Fr. Bielińskiego" i. w. i. Oprócz recenzyi dzieł pedagogicznych znachodzimy tu: Przegląd programów, czasopism, Sprawozdań z posiedzeń Towarzystw naukowych, Rozmaitości z zakresu szkoły i nauki, Rozporządzenia władz, nekrologie i t. p.

„Kwartalnik historyczny." Organ Tow. historycznego pod redakcyą Ksawerego Liskiego. Rocznik III-ci zeszyt I-szy 1889 roku, str. 182. Z osobnym dodatkiem, zawierającym odezwę prof. M. Bobrzyńskiego do redakcyi Kwartalnika historycznego z napomnieniem za wydrukowanie artykułu p. K. Waliszewskiego, zaczepiającego teorye historyozoficzne sz. prof. na polu naszéj historyi—oraz odpowiedź redakcyi (str. VIII). Na czele zeszytu czytamy 3 rozprawy: 1) W. Czermak, Jan Kazimierz; 2) M. Kawczyński, O poezyi polskiéj; 3) Fr. Piekosiński, Jeszcze słowo o dokumencie kard. Idziego dla Tyńca. Po tém następują zwykłe działy, opracowane starannie 4) Recenzye i sprawozdania; 5) Spis recenzyi, umieszczonych w innych czasopismach; 6) Bibliografia literatury zagranicznéj; 7) Sprawozdanie z posiedzeń Tow. histor. 8) Polemika.

W Petersburgu, rozpoczęto z polecenia rządu wydawnictwo historyczne, ważne nader dla badaczów rozwoju stosunków społecznych w cesarstwie rosyjskiém wieku XIX-o pod tyt. „Żurnały komiteta ministrów; carstwowanie imperatora Aleksandra I. 1802 — 1826." Dzieło to przedstawia dziennik posiedzeń komitetu ministrów od utworzenia komitetu t. j. od r. 1802 do końca panowania cesarza Aleksandra I czyli do r. 1826. Ogłoszony t. I-szy obejmuje akta od roku 1802—1810.

Zasady elektrotechniki opracował Henryk Merczyng, kand. n. fiz. mat. inż. kom.—(164 rysunków w tekscie i mapa litografowana). Warsz. 1889, 8-o str. IX + 251. — P. Merczyng dał się już chlubnie poznać na polu badań naukowych przez prace swoje, ogłoszone w językach: polskim (7), rossyjskim (3), francuzkim (1) i niemieckim (1); obecnie jest profesorem w instytucie komunikacyi w Petersburgu. Najnowsza jego praca zbogaca piśmiennictwo naukowe polskie dziełem z dziedziny fizyki stosowanéj, a mianowicie z jednego jéj działu—elektrotechniki. Chociaż za podstawę tego dzieła służyły autorowi wykłady w Instytucie Inżynierów komunikacyi i szkole technicznéj głównego zarządu poczty i telegrafów w Petersburgu, to książka niniejsza może być bardzo pożyteczną i dla szerszego koła czytelników, bo dla tego względu usunięto z dowodów matematycznych wszędzie rachunek wyższy, a w odsyłaczach każdego paragrafu pomieścił autor szczegółową literaturę przedmiotu, z której korzystał. Całość opracowana starannie i systematycznie, tak że zajmie poważne stanowisko w naszéj literaturze naukowéj.

Dr. Hermann Hager. Wykład chemii farmaceutycznéj w 126 lekcyach (231 drzeworytów w tekscie). Z upoważnienia autora przełożył z czwartego wydania oryginału i opracował Maksymilian Flaum, kandydat chemii. Staraniem i nakładem Wincentego Karpińskiego, magistra farmacyi, na pamiątkę 100-ej rocznicy założenia jego apteki. Warsz. 1889, 8-vo m. str. XII+806. Obok dokładnego spisu lekcyi na początku dzieła, znajdujemy w końcu (od str. 768—796) szczegółową Tablicę ciężarów atomowych i cząsteczkowych, oraz (od str. 797—806) Spis alfabetyczny.—Skład główny dzieła u wydawcy, Elektoralna Nr. 39. Przy całéj zabiegliwości szczupłego grona badaczów nauk przyrodniczych u nas, walczących wszystkiemi siłami z obojętnością i umysłową apatyą ogółu czytelników polskich, — całe skarby wiedzy i odkryć najnowszych w téj dziedzinie są niemal niedostępne dla nieznającego języków obcych, gdyż nawet i szkoły żadnéj pomocy tu nie przynoszą. Oprócz dawniejszych prac z zakresu chemii agronomicznéj (Zdzitowieckiego), farmaceutycznéj (Leśniewskiego), chemii organicznéj Jakóba Natansona, nie mamy w literaturze naszéj podręcznika chemii, odpowiadającego zadaniu nauki i potrzebie życia praktycznego. Takie dzieło podjął i wykonał z całą okazałością zewnętrzną i gruntownością wewnętrzną p. Wincenty Karpiński, znany gorliwy reprezentant farmacyi w kraju naszym, z powodu 100-lecia założenia apteki, i poświęcił je uczniom aptekarskim i samoukom, którzy chcieliby się zapoznać z tą gałęzią wiedzy. Wydane nakładem p. W. Karpińskiego dzieło przełożył z oryginału niemieckiego H. Hagera, p. M. Flaum z chwalebną starannością o czystość języka i poprawność stylu polskiego. P. Fl. zastosował tłómaczenie swoje do wymagań farmacyi, wzbogacił je objaśnieniami i całym rozdziałem, poświęconym nowym środkom lekarskim. Książka odznacza się jasnością wykładu obok gruntownych podstaw, na których opiera się dzisiaj nauka chemii. Znajdujemy tu chemię nieorganiczną (mineralną) i organiczną. Rozdziały od 105 do 113 traktujące o alkoholach, eterach, kwasach, glikozach, fermentacyi, tłuszczach i t. p. związkach są wyczerpująco dokładne. Dzieło to jest prawdziwém zbogaceniem literatury polskiéj, zapewniającém wdzięczną pamięć sz. nakładcy.

Wł. Boberski: Główne zasady praktycznego kształcenia kandydatów w seminarym nauczycielskiem. Lwów 1889. W rozprawie téj przedstawił autor, na podstawie statutu organizacyjnego dla c. k. seminaryów w Austro-Węgrzech, główne zasady postępowania przy praktycznem kształceniu kandydatów. Rozwijając rzecz stopniowo postępuje p. B. krok za krokiem aż do zupełnego wykończenia całego zarysu praktyki nauczycielskiej. Autor opiera się równie na doświadczeniach swojskich, jakoteż i obcych i przyswaja naszéj szkole niejedno praktyczne postępowanie, wypróbowane w seminarych wiedeńskich, zostających pod kierownictwem wytrawnych pedagogów. Jestto

drugie z rzędu dziełko pedagogiczne autora, które porusza tę ważną kwestyą, badaną w celu ułożenia norm jednolitego postępowania we wszystkich zakładach. Obok książki p. B., nie spotykamy w naszéj literaturze pedagogicznéj rozbioru téj doniosłéj kwestyi, dla tego zwracamy na nią uwagę stanu nie tylko nauczycielskiego; ale i ogółu, którego sprawy pedagogiczne obchodzić powinny.

Trzeci Zeszyt „Encyklopedyi rolniczéj", wydawanéj staraniém i nakładém „Muzeum przemysłu i rolnictwa", ogłoszony drukiem zawiera następujące artykuły: Anatomia zwierząt ssących domowych, Antracyt, Anyż, Arszenik, Artel, Asfalt, Atmosfera. Augit, Australia, Austrya-Węgry, Awuls, Azoiczne formacye, Azot, Azya, Bagna.

Pierwsze wydanie „Encyklopedyi Handlowéj", pomimo trudnych warunków, nieodłącznych od każdéj próby nowego wydawnictwa wyczerpane zostało w parotysięcznym nakładzie w przeciągu lat kilku. Redakcya zachęcona tém niezwykłém powodzeniem, przystępuje do drugiego, pomnożonego i uzupełnionego wydania „Encyklopedyi Handlowéj", w tém przeświadczeniu, że czyni zadość powszechnie odczuwanéj potrzebie systematycznie opracowanego podręcznika nauk handlowych.

„Encyklopedya Handlowa" będzie zbiorem wszystkich teoretycznych i praktycznych wiadomości, dotyczących handlu i przemysłu, a dlatego oprze się zarówno na ostatnich wskazówkach praktyki handlowéj, jak i na najnowszych badaniach w tych dziedzinach ogólnéj wiedzy, które bądź bezpośrednio, bądź pośrednio w całokształt nauki o handlu wkraczają.

Redakcya pragnie dziełu swemu nadać wartość zarazem naukową i dydaktyczną, t. j. przeznacza je dla dojrzałych i wykształconych czytelników ze świata handlowego, przemysłowego i rzemieślniczego, a jednocześnie dla młodzieży, która, poświęciwszy się zawodowi kupieckiemu, musi dla uzupełnienia swéj wiedzy fachowéj, posiłkować się wyczerpującym podręcznikiem. Mając tén podwójny cel na względzie, postanowiła Redakcya w nowém wydaniu „Encyklopedyi Handlowéj" układ systematyczny, czyli naukowy, uznając go za odpowiedniejszy od alfebetycznego, który, zdaniem naszém, nie nadaje się do „Encyklopedyi" specyalnéj.

Układ systematyczny pozwoli Redakcyi zachować w całém dziele ściśle logiczny i naukowy związek między jego częściami, a nie przeszkodzi łatwemu oryentowaniu się w książce, która w tym celu zaopatrzoną zostanie w szczegółowy abecadłowy wykaz, będący zarazem słownikiem terminologii kupieckiej. „Encyklopedya Handlowa" dzielić się będzie na dwie części: 1) Naukę o handlu i 2) Praktykę Kupiecką.

Część pierwsza składa się z następujących działów:

1) Historya handlu (uwzględniająca dzieje przedhistoryczne, czasy historyczne, historyą handlu w Cesarstwie i w dawnéj Polsce, oraz zarys statystyczny obecnego stanu handlu i przemysłu w państwie rossyjskiém, a w szczególności w Królestwie).

2) Zarys gospodarstwa społecznego z zastosowaniem do nauki o handlu (z dodatkiem o nauce skarbowéj).

3) Prawodawstwo handlowe (ogólne i u nas obowiązujące).

4) Ogólne wiadomości o handlu i towaroznawstwo (z szerokiém uwzględnieniem towarów, w kraju produkowanych).

5) Środki wymiany i rynek pieniężny. W dziale tym mieści się między innemi nauka o wekslach i o prawodawstwie wekslowém, tudzież nauka o giełdach, z zarysem historycznym i organizacyą giełdy warszawskiéj.

6) Stosunki międzynarodowe i środki komunikacyi. (Dział ten obejmuje gospodarstwo kolejowe z uwzględnieniem kolei żelaznych w kraju).

7) Geografia handlowa (ogólna i krajowa).

8) Specyalne środki popierania handlu (traktaty handlowe, instytucye patentowe, stowarzyszenia handlowe, konsulaty etc.).

Część druga składa się z działów, traktujących o korespondencyi handlowej, rachunkowości i z różnych pomocniczych wiadomości.

Dzieło zamknie dodatek, poświęcony literaturze handlowéj oraz wzmiankowany powyżej wykaz abecadłowy.

Z powyższego rozkładu materyi okazuje się, że do „Encyklopedyi handlowéj“ wchodzą badania z historyi, ekonomii politycznéj, nauki skarbowéj, statystyki, gospodarstwa kolejowego, prawa, geografii i t. p., niezależnie od wiadomości ściśle handlowych. Dla należytego obrobienia tak rozległego programu, zapewniła sobie Redakcya współpracownictwo najwybitniejszych specyalistów w każdéj wzmiankowanéj gałęzi wiedzy, jako téż doświadczonych teoretyków i praktyków na polu handlowém.

„Encyklopedya Handlowa“ obejmie 55 do 60 arkuszy druku, zamykając się w jednym tomie. Wydawaną będzie zeszytami od 3 do 4 arkuszy. Zeszyty ukazywać się będą co miesiąc, tak że całość, złożona z 16 zeszytów, wyjdzie najpóźniej w przeciągu półtora roku. Pierwszy zeszyt wyjdzie w końcu lutego.

Dla płacących należność z góry cena za całe dzieło wynosi Rs. 4.

Dla nabywców zeszytami cena za każdy zeszyt—kop. 30.

Dla prenumeratorów „Gazety Handlowéj“ i „Gazety Losowań“, opłacających należność z góry,—cena całego dzieła Rs. 3.

Dla tychże prenumeratorów, nabywających zeszytami—cena zesztu kop. 20.

Nabywcy pozamiejscowi płacić będą na koszta portoryi po kop. 5 za zeszyt.

Powyjściu dzieła cena znacznie podniesioną będzie.

Redakcya i Skład główny i Ekspedycya „Encyklopedyi Handlowéj“ w Redakcyi „Gazety Handlowéj“, Mazowiecka Nr. 8.

Nabywać i zamawiać można nadto w Redakcyi „Gazety Losowań“ (Krak.-Przedmieście 51) i we wszystkich księgarniach.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1889.

stron.

Sprawy rolniczo-ekonomiczne.

Bilans rolniczy ubiegłego roku 1888. 1

Sprawy społeczne

O domach podrzutków. Przez d-ra Antoniego Okolskiego. . . 12, 187
Przegląd mieszkańców Rosyi Europejskiéj i Królestwa Polskiego podług narodowości. Przez Witolda Załęskiego. 247
Fundacya Skarbkowska w Drohowyżu. Przez Stefana Godlewskiego. 327

Literatura i krytyka.

„Żywot człowieka poczciwego" Mikołaja Reja z Nagłowic. Studyum z literatury XVI-go wieku. Napisał Walery Gostomski. . 41, 210, 419
O najnowszych polskich przekładach Iliady (Dok.). Przez Romamana Zawilińskiego. 69

Przemysł.

O Fabryce fajansu i porcelany w Korcu. Napisał Leonard Lepszy. 90

Powieść.

Krwawa sielanka. (Obraz powieściowy z dziejów serbskich). Przez M. Grzymałę. 99, 252
Portret „pięknéj pani." Opowiadanie starego warszawianina. Skreślił Wincenty hr. Łoś. 403

stron.

Poezya.

Kolęda poznańska. Przez Autorkę „Opowiadań.“ 161
Złudzona. Przez A. O. 323

Historya literatury.

Kilka szczegółów do życiorysu Szymona Starowolskiego. Przez Józefa Przyborowskiego. 168

Pedagogia.

Nerwowość i wychowanie. Przez Wł. d-ra Chodeckiego. . . . 173

Filozofia.

Metafizyka współczesna. Przez Wincentego Lutosławskiego. . . 353

Krajoznawstwo.

Podróż d-ra Konstantego Jireczka po Bułgaryi. Przez E. Lipnickiego. 373

Sztuki piękne.

Rzut oka na dotychczasowe działanie Komisyi historyi sztuki istniejącej przy Akademii umiejętności w Krakowie. Przez dr. Stanisława Tomkowicza. 389

Kronika krajowa i zagraniczna.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Uroczystość doroczna w Akademii nauk społecznych: mowa J. Simona o historyku Henri Martin. Dzieła uwieńczone w Akademii francuzkiéj: „Europa i rewolucya francuzka“ przez Alberta Sorel. — „Liga w epoce Henryka III“ p. Beliguet. — „W Meksyku 1862 r.“ p. księcia Jerzego Bibesco. — Francya prowincyonalna p. Milleta. — Paradoks równości p. Lafitte. — Pielgrzymka do kraju Ewangeliny przez księdza Casgrin, Kanadyjczyka. —Przekłady, studya literackie, pedagogia, podróże, poezye.—Medal honorowy, przysądzony królowej rumuńskiéj (Carmen Sylva).—Powieści Ferdynanda Fabre.— Przyjęcie w Akademii dr. Haussonville, na miejsce prof.

stron.

Caro.—Dzieło archeologiczne prof. Charvet. „Enseignement de l'art decoratif. — Królowa szwecka Dezyderya przez bar. Hochschild. — Sprawozdanie z odczytu p. Dembińskiego: Udział polaków w Koncylium trydenckiém oraz sprawa kościoła narodowego w Polsce. 222

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

Biblioteka „Wisły,“ Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy, jego zwyczaje, sposób życia, obrzędy, podania, gusła, zabobony, pieśni, zabawy, przysłowia, zagadki i właściwości mowy. Zebrał i napisał Michał Fedorowski. Tom I. (Z zapom. kasy im. Mianowskiego) Warszawa, 1888. Przez Romana Zawilińskiego. 121

Lewis H. Morgan: „Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.“ Przekład A. B. (Objaśnienie i uzupełnienie Marksa-Engelsa), Warszawa, nakładem redakcyi „Prawdy,“ 1887 r. w 8-ce, str. 625. Przez J. K. Dworzaczka. 123

Czy się wyradzamy? Napisał Władysław Wścieklica, Warszawa, 1888. Przez C. 264

„Die landwirthschaftliche Konkurenz Nordamerika's in Gegenwart und Zukunft. V. dr. prof. Sering.“ (Drugie wydanie. Lipsk, 1888). 281

„Tytan — Aryon z Koryntu,“ Kraków 1889. Przez J. Adolfa Święcickiego. 440

Marya Rodziewiczówna: „Dewajtis.“ Powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ dnia 1 maja 1888 roku. Warszawa 1889. Nakład Kuryera Warszawskiego, S. Lewentala, str. 409. Przez J. K. Dworzaczka. 442

Theodorus Wierzbowski. Bibliografia Polonica XV et XVI ss. volumen I. Nri — 800 annorum 1488—1600: opera et editiones quae in Bibliotheca Universitatis Caesareae Varsaviensis asservantur. Varsaviae 1889, 8-o str. IX, 304.. 447

Polemika.

Polemika pana Lorkiewicza z panem pułkownikiem Konstantym Górskim. 454

Kronika miesięczna.

Styczeń. — Rzut oka na polityczną sytuacyą chwili. — Zaniedbanie polityki międzynarodowéj obok przewagi spraw wewnętrznych. — Charakterystyczne znamiona najnowszéj polityki wewnętrznéj. — Najnowsze ideały reprezentacyi narodowéj. — Polityka Niemiec na wybrzeżach wschodnio-afrykańskich.—Wniosek Windthorsta w sprawie ukró-

cenie handlu niewolnikami. — Bankructwo francuzkiego Towarzystwa budowy Kanału panamskiego: znaczenie polityczne téj kwestyi.—Ekonomiczne błędy izb francuzkich. — Korzystne operacye finansowe rządu rossyjskiego. — Kłopoty rządów parlamentarnych z rosnącym niepomiernie budżetem wydatków wojskowych na całym obszarze państw europejskich. — Kłopoty t. zw. „ligi pokoju.“ — Rumunia.—Król Milan i oktrojowana przez niego liberalna konstytucya serbska. Zwycięztwo radykalistów. — Głosy senatora Challemel-Lacour i b. ministra Ferre'go, ostrzegające republikanów francuzkich o grożącém Rzeczypospolitéj niebezpieczeństwie przez radykalizm i cezaryzm.—Działalność niemieckiéj komisyi kolonizacyjnéj w W. Ks. Poznańskiém i Prusach zachodnich. — Nagrodzenie utworu dramatycznego p. Karczewskiego (Jasieńczyk) p. tyt. „Lena“ z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa, dn. 30 listop. 1888. — Dwie ofiary mające na celu poparcie literatury polskiéj) 15,000 rubli: Michał Wołodyjowski—Henr. Sienkiewiczowi) — i badań leksykalnych języka polskiego (rs. 16,000, złożone na ten cel w Banku państwa). — Kwestya ujednostajnienia pisowni polskiéj. — Zjazd koleżeński uczniów „Kursów prawnych.“ — Projekt O. Tondini de Quarenghi przyjęcia południka jerozolimskiego za południk pierwszy. — Z ekonomiki: Kwestya kredytu dla właścicieli nieruchomości w Warszawie na pokrycie kosztów kanalizacyi. — Rozporządzenie Dyrekcyi głównéj Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiém co do terminu wprowadzenia w wykonanie nowéj ustawy Towarzystwa kred. ziemsk. — Reorganizacya wzajemnych ubezpieczeń nieruchomości w rz. gubernialnych w Król. Polsk. — Projekt ministra co do budowy dróg żelaznych dojazdowych. — Otwarcie warsztatów ślusarstwa i stolarstwa w szkole miejskiéj imienia Michała Konarskiego. . . 130

Luty. — Charakterystyka politycznéj sytuacyi chwili. — Gorszący widok znęcania się oficyalnéj prasy pruskiéj nad pamięcią Fryderyka III przez szczwanie przyjaciół i otoczenia zmarłego cesarza. — Tryumf Boulangera w Paryżu. — Stosunki międzynarodowe i wewnętrzne Austro-Węgier.—Doniosłe znaczenie gwałtownego zgonu arcyksięcia Rudolfa.— Blednące nadzieje pokojowe pod wpływem oświadczeń angielskiego generała Wolesley'a i króla włoskiego Humberta. — Kłopoty ks. Bismarcka na polu polityki kolonialnéj wobec Ameryki i Anglii. — Warszawski dom dla sierot chłopców po robotnikach.—Obecny stan funduszu t. zw. „Użyteczności publicznéj“.—Projekt zaprowadzenia po wsiach środków ochronnych przeciw pożarom. — Przedłużenie konkursu w Uniwersytecie warszawskim na tematy: „Krótki rys historyi wyparcia słowian lechickich przez Niemców z nad Elby, Odry, Warty i pobrzeża m. Baltyckiego“.—Doroczne posiedzenie St. Petersburskiego Ces. Tow. geograficznego dn. 23 stycznia.—Kongres międzynarodowy nauk geograficznych, zwołany na miesiąc sierpień r. b. do Paryża podczas zamierzonéj wystawy powszechnéj. — Międzynarodowe stowarzyszenie profesorów prawa karnego w Brukseli. — Przywrócenie biskupom krakowskim tytułu książęcego. — Odezwa komitetu II-ego zjazdu prawników i ekonomistów polskich, zapraszająca na kongres do Lwo-

wa. — Prof. Morawski: „Przyczynek do dziejów humanizmu w Polsce.“— Gdzie się urodził Adam Mickiewicz? — Z dziedziny ruchu naukowego: *a*) Posiedzenie wydziału filolog. Akad. Um. w Krakowie dn. 7-go grudnia 1888 r.; *b*) Wydz. historyczno-filozof. dn. 10-go grudnia (Ulanowski: „O konfederacyach polskich w. XIV i XV-go), *c*) Posiedzenie komisyi fizyograf. Akadem. Um. dn. 15-go grudnia 1888-go r. *d*) Posiedz. Tow. historycznego we Lwowie dn. 22 grudnia 1888-go r. (Dr. Margasz: „O stosunkach włościan na Rusi w XV-ym wieku); *e*) Posiedzenie Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu (Erzepki: „Wyjątki z poematu Wacł. Potockiego p. t. „Merkuryusz nowy“; August hr. Cieszkowski „O archiwum krzyżackiém w Wiedniu“; dr. Chłapowski: „Dokument do hist. miasta Poznania z archiwum w Landsbergu“).—Walne doroczne zebranie Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu dn. 11-go stycznia 1889 r.—Sprawa reorganizacyi szkół rolniczych na sejmie lwowskim.—Projektowane środki ratunkowe przeciw powszechnéj stagnacyi ekonomicznéj. 285

Marzec.—Rzut oka na stosunki międzynarodowe. Opozycya przeciw nowéj organizacyi wojskowéj w Węgrzech. — Przesilenie w Rzpltéj francuzkiéj.—Rozwiązanie „ligi patryotycznéj“ we Francyi. — Słabnący zapał Włochów dla wielkiej polityki Crispiego w obec t. zw. „ligi pokoju.“ —„Bank ziemski“ w Poznaniu. — Sprawozdanie pruskiéj komisyi kolonizacyjnéj w W Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich za rok 1888-y. — Z dziedziny nauki: 1) Posiedzenie komisyi prawniczéj Akad. Um. w Krakowie d. 22 grudnia 1888-go; 2) Posiedzenie komisyi historycznéj; (Historya gospodarstwa wiejskiego: Akta z archiwum w Modenie, odnoszące się do histor. polskiéj). 3) Posiedzenie wydz. filologicznego dn. 18 stycznia 1889 r. (Sprawa pisowni polskiéj).—Konkurs rysunkowy „Tygodnika ilustrowanego.“ — Odkrycia archeologiczne, dokonane w Kartaginie przez O. Delattre.—Z spraw społecznych i ekonomicznych: Towarzystwo Ogrodnicze Warszawskie.—Sprawa ubezpieczeń ogniowych.—Ochrona lasów. . . . 460

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń. — Nowe pedagogiczne wydawnictwo Gebethnera i Wolffa: Zbiór podręczników, zawierających wykład nauk bez pomocy szkoły (153). —Prace filolog. T. II, zesz. III-ci.—J. F. Gajsler: Rys dziejów czeskich, t. I. (154). — Banzemer, tłóm. W. Roschera: „Systemu gospodarstwa“ t. III. — M. Meyera „Główne kierunki najnowszéj ekonomii politycznéj“ Warsz. 1889. — Maćkowski: „Moralność ludności polsk. w zaborze prusk. (155).—Archiwum ks. Sanguszków w Sławucie. T. II (1284—1506). —Publikacye archiwum watykańskiego (156).—Leop. Ranke'go Historya powszechna. Lipsk 1888, t. IX, cz. 1 i 2-ga. — Trzy legendy Pługa (157).—„Niwa“ w nowym formacie.—Kalendarz „Ruch.“ 158

Luty. — Biblioteka seminaryjska w Sandomierzu (313).—Pamiętnik Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza. Lwów, 1888, t. II. — St. A. Narkiewicz Jodko: Szkic historyczny umysłowego i arty-

stron.

stycznego rozwoju ludzkości. Druk. w Krakowie, 1889, t-ów 3. — Ks. Stanisław Załęski: O massonii w Polsce. — Korn. Celsa: „O lecznictwie“ ksiąg ośmioro. Tłóm. dr. Łuczkiewicz. Warsz. 1888.—Pamiętnik fizyograficzny, T. VIII (316).—Rudolf Zuber „Atlas geologiczny Galicyi.“ Zesz. II, Wiedeń, 1888. — „Wisła“ zeszyt 4-ty tomu II-go (317).— „Słownik geograficzny“ tomu X-go zeszyt 1 (ogólnego zbioru 109-y).— Stanisław Bełza „Odgłosy Szkocyi.“—Przewodnik naukowo-literacki (Dodatek Gazety lwowskiej) zesz. styczeń, 1889. —K. P. (Barbaryzmy i dziwolągi językowe p. J. Blizińskiego) (318).—„Sport“ Nr. 1. . . . 320

Marzec.—T. Paprocki: Katalog nowych książek Miesięcznik.—„Muzeum“ Czasopismo Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. (str. 470).— Kwartalnik historyczny. Organ. Tow. histor. we Lwowie, 1889. Zeszyt I. —Żurnały komitetu ministrów w Petersburgu 1802—1826. — H. Merczyng: Elektrotechnika (472). — Dr. H. Hager Chemia farmaceutyczna, tłóm. M. Flaum. Wyd. Winc. Karpiński. —Wł. Boberski: Zasady kształcenia kandydatów w semiaryum nauczycielskiém (473). — Encyklopedya rolnicza. Zesz. 3.—Encyklopedya handlowa, wyd. 2-gie. 474

Nekrologia.

S. p. Karol Rogawski. — Ś. p. Jan Kassyanowicz. — Ś. p. Józef Brzozowski (159). — Ś. p. Teofil Nowosielski (160). — S. p. Konstanty Schmidt-Ciążyński.—S. p. Julian Korabita-Laskowski (279). — Mikołaj Sarnecki.—Ignacy Domeyko (321). 159, 279

Ogłoszenia.

„Bibl. Warsz.“ Zaproszenie do prenumeraty na rok 1889-ty. — Encyklopedya wychowawcza.—Przegląd katolicki. — Kraj.—Towarzystwo popierania przemysłu i handlu w sprawie zakładania kass pożyczkowo-oszczędnościowych. . . . . .